

# Żeglarz

Monsarrat Nicholas



calibre 0.9.27

MONSARRAT NICHOLAS

ŻEGLARZ

CZEŚĆ PIERWSZA

TCHÓRZ

Mężczyzna stał przy samej granicy zasięgu wód pływowych, trochę z dala od swych towarzyszy, nie garnąc się do rozmowy z załogą barkasa\*, pragnąc tylko cieszyć się gorącym słońcem lipcowym i krótką chwilą spokoju wybrzeża Plymouth. Jego barkas, który przywiózł wiceadmirala i dziesiątkę szlachetnie urodzonych wolontariuszy, stanął w pewnej odległości od schodów wyładunkowych basenu Sutton, aby uniknąć tłumu zawsze gromadzącego się wokół ich dowódcy, gdziekolwiek tylko się pokazał, w Plymouth czy w każdym innym miejscu w południowo-zachodniej Anglii. Kiedy więc on oraz inni wielcy panowie ruszyli do Plymouth w swoich sprawach, załoga wyciągnęła łódź na brzeg i złożyła wiosła wzdłuż burt. Teraz wszyscy stali w beczynnym oczekiwaniu, radzi ze słońca, twardości piasku pod bosymi stopami i schronienia przed silnym wiatrem, ubijającym wody zatoki plymouckiej na szarobiałą pianę.

Mężczyzna na uboczu był średniego wzrostu, barczysty, powolny w ruchach. Skórę miał opaloną na brąz. Marynarskim zwyczajem stał na szeroko rozstawionych nogach. Jak przystało członkowi załogi wiceadmiralskiego barkasa, był — tak jak i jego towarzysze — porządnie ubrany. Pikowany kaftan wspaniale zdobiły zielono-białe tudorowskie lamówki. Na łodzi powiewał proporzec wiceadmiralski, ofiarowany niedawno przez Wysokiego Lorda Admirala Anglii.

Młody marynarz stojący na granicy zasięgu wód pływowych, zwący się Mateusz Lawe, wybrany przez wiceadmirala na sternika jego łodzi i w związku z tym cieszący się zasłużonym autorytetem, miał prawo trzymać się oddzielnie. Ze swego miejsca kątem oka spoglądał w dół na załogę złożoną z wyszkolonych przez siebie marynarzy, gotów przyciszyć ich gadaninę, gdyby zaczęli zachowywać się zbyt ordynarnie lub hałaśliwie.

Za jego plecami rozciągał się basen Sutton, wewnętrzny port Plymouth. Ten basen i pobliski Cattewater oraz cała zatoka były jednym lasem okrętów, mozaiką suszących się żagli, stromych dębowych hulków, kołyszających się masztów oraz flag i proporców rozwiewanych przez rześki południowy wiatr.

Przed nim leżało miasto, gwarne i rojne od ludzi, i zielone zbocza Plymouth Hoe. Mateusza Lawe'a jednak interesowały rzeczy drobniejsze, a jego spojrzenie ślizgało się głównie po znaczących się na piasku śladach zasięgu wód pływowych, szczątkach z rozbitych statków, wodorostach, kawałkach

drewna, bladych skorupkach krewetek i krabów, luźnych skrętach lin i wypolerowanych muszlach małży — błękitnych, krwistoczerwonych i w żółtym kolorze

brzasku.

Mateuszowi ta granica pływów kojarzyła się ze spokojem. Była chyba jedynym spokojnym miejscem w Anglii tego dnia, bo wszędzie indziej, w Plymouth i w południowo-zachodnich

rejonach kraju, faktycznie w całym królestwie, panował zgiełk, demonstrowanie gotowości bojowej, bufonada, ciężki trud i strach.

Już prawie osiem tygodni stali w porcie, ale ten czas okazał się za krótki na załatwienie wszystkich niezbędnych spraw, na przygotowanie "Revenge"\* i pozostałych okrętów

angielskiej floty do stawienia czoła potędze Hiszpanii i butnym donom\*. We wszystko, czego było im trzeba, musieli zaopatrzyć się w Plymouth; a Plymouth, najświetniejszy port Anglii, ledwie był w stanie pomieścić tłumnie przybywające dniami i nocami okręty i ich załogi.

Nie było młodego mężczyzny w promieniu dwudziestu mil ani dziadka do niedawna

drzemiącego w ciepłe kominka, którzy by nie harowali na pokładzie jakiegoś okrętu lub nie wykonywali tego samego rodzaju pracy na lądzie.

Za dnia barkasy, kutry, bączki i pinasy kręciły się tam i z powrotem, przewożąc ludzi i broń; fliboty wyładowane żywnością pilnie wypełniały swe zadania, a kutry do przewożenia prochu, z czerwonymi chorągiewkami ostrzegającymi przed niebezpieczeństwem, ostrożnie

kluczyły między okrętami. Na lądzie cieśle okrętowi, żaglomistrze i zbrojmistrze trudzili się zapamiętane, aby wykonać wszystko, czego od nich żądali kapitanowie, nawigatorzy i

artylerzyści, czy chodziło o nowe drzewca, lniane liny, spiżowe działo albo starą kolubrynę, czy o amunicję artyleryjską i baryłki na słodką wodę.

Wieczorem ci wszyscy mężczyźni wałęsali się po nabrzeżu, tłoczyli w podcieniach

domów, napełniali gwarem barbakan i pili w tawernach — "Pod Głową Turka" przy St

Andrew's Street, "Pod Mitrą" i "Pod Głową Papieża" przy Looe Street, gdzie miał swoją kwaterę sam

wiceadmirał. Pili ostro, powodowani brawurą albo strachem, jak zawsze marynarze w

przeddzień bitwy, albo skrywszy się w jakimś kącie bazgrali listy do żon. Czasem zabawiali się z dziewczynami lekkich obyczajów, jeśli nie zostały wygnane z miasta przez tego zacnego obywatela, wielce szacownego burmistrza, pana Williama Hawkinsa.

Zawsze jednak następnego ranka wracali do pracy na swoich okrętach albo w swoich kuźniach, zamieniając Plymouth, od Wyspy Św. Mikołaja do cypla Hoe, w kocioł wojennych przygotowań.

Tak było przez ostatnie dwa miesiące albo i dłużej. A teraz, gdy zrobiono już wszystko, co było można, i gdy dzięki temu szpic włóczni Anglii stojącej u progu wojny został wyostrzony i wycelowany, załoga barkasa czekała, tak jak przedtem wyczekiwała na stu brzegach, od Plymouth do Brazylii, od Nombre de Dios do Cieśniny Magellana, na największego żeglarza świata.

Znali jego zalety jako człowieka, lecz widzieli też w nim jaśniejący symbol sukcesu: Sir Francis Drake, niegdyś burmistrz Plymouth, członek parlamentu i wiceadmirał Anglii, jako pierwszy głównodowodzący wyprawy opłynął glob, złościąc swój ślad wokół całej kuli ziemskiej.

Niezapomniany herb tego obsypanego zaszczytami korsarza, najslynniejszego winowajcy swoich czasów, podniesionego do godności szlacheckiej wolą królowej po jego powrocie z niewyobrażalnymi wprost skarbami, opisano w taki oto sposób:

“Czarne tło, pas biegnący faliście przez środek tarczy między dwoma srebrnymi gwiazdami polarnymi; rumpel z ozdobą w formie kuli ziemskiej, powyżej okręt pod żaglami sterowany za pomocą złotych lin przez dłoń wysuwającą się z chmur; wszystko w odpowiednich barwach, z tymi słowami: Auxilio Divino — Z Bożą pomocą...”

Było to nazwisko, które porażało zwykłych prostaczków, inspirowało zaś nawet szlachetnie urodzonych zawistników. Sir Francis Drake wytrzymywał wszelkie porównania również wśród wielkich panów z jego sfery, nie mających sobie równych a będących żeglarzami, wojownikami i nie bojącymi się ryzyka podróżnikami, jak Raleigh, Frobisher, Humphrey Gilbert, lordowie Essexu i Leices- teru oraz lord Howard Effingham, Richard Grenville, John Hawkins.

Cóż zatem dziwnego, że gdy potrzebował ochotników na okręty wyruszające przeciwko groźnej hiszpańskiej Armadzie, mężczyźni i chłopcy z całej zachodniej Anglii zgłaszali się tłumnie pod jego sztandar? Pośród załogi barkasa znalazł się jeden taki, wiejski chłopak, który przeszedł całe sto mil z Shepton Mallet w Somerset; chociaż wyrósł w gospodarstwie rolnym, gdzie pracował jak

jego przodkowie, przykładał się do wiosła, jakby całe życie nie robił nic innego.

Mateusz Lawe, sierota-włóczęga ze szkoły dla ubogich w Barns- taple, zwabiony przed

dziesięciu laty tym samym magnesem, także zamienił pług na żagiel. Drake, sławny dowódca, dla którego wody Kanału Angielskiego i Morza Irlandzkiego były zbyt ciasnym więzieniem, pociągnął za sobą marynarzy na sam koniec świata, jak kobieta kochanka czy pasterz swoją trzodę.

Gdy niemal w przeddzień bitwy na rozkaz królowej na stanowisko admirała zamiast Sir

Francisa Drake'a został wyznaczony lord Howard Effingham, niektórzy ośmielili się wyrazić sprzeciw. Wielu zaklinało się, że nie chodziło tu o zasługi, lecz o pozycję społeczną; że błahy powód, iż na czele hiszpańskiej Armady stanął książę Medyny Sidonii, miał podobno

wystarczyć do uznania za rzecz konieczną, aby postawić mu naprzeciw człowieka

znakomitego rodu — jakby to herby mogły walczyć ze sobą.

Czemuż, pytano w gorących sporach, kapitan o takich zaletach jak Sir Francis, człowiek, któremu towarzyszy szczęście, znany jako ten, kogo Hiszpanie boją się śmiertelnie, miałby opuścić swój porządek, gdy jego zdolności i dokonania dają mu tytuł do objęcia dowództwa nad całością wyprawy? Ale Drake nie życzył sobie żadnych buntowniczych pomruków; z całą kurtuazją wypłynął na czele swojej eskadry na powitanie nowego lorda admirała, oddając salut na cześć "Ark Royal" i innych wielkich okrętów Korony. Przy dźwiękach trąbek i bębnow opuścił swą banderę i na jej miejsce wciągnął porządek wiceadmiralski. Nie uznawał

niesubordynacji, charakterystycznej dla ludzi niższego stanu.

Później nakazał, aby nikt z jego flotylli, od najwyższego rangą oficera do chłopca

okrętowego, nie próbował wyrażać żalu z tego powodu. W dniu Zielonych Świąt razem z

lordem Howardem przystąpił do komunii świętej i zawsze demonstracyjnie był tego samego

zdania co postawiony nad nim admirał.

Takie zachowanie, leżące w jego naturze i będące odbiciem subordynacji i panowania nad

sobą właściwego starożytnym Rzymianom, musiało bardzo dziwić tych, którzy uważali go za pirata i żadnego łupów korsarza.

II

Wśród załogi barkasa zapanowało poruszenie — wszyscy wskazywali coś na morzu.

Mateusz Lawe, zajęty obserwacją muszli dziwacznie wygiętej w kształt perłowego

napierśnika, wrócił do rzeczywistości usłyszawszy wołanie jednego z marynarzy:

— Mateuszu! Zwiadowcza pinasa!

To wołał John Waggoner, ceniony za bystry wzrok; on to podczas rejsu naokoło świata zawsze pierwszy dostrzegał wypatrywany przez wszystkich łąd, czy to u wybrzeży Brazylii, czy na niegościnnych szerokościach geograficznych Cieśniny Magellana, czy wreszcie na zdradliwych wodach Moluków.

Przysłoniwszy oczy przenikliwe jak u orła, patrzył i wskazywał równocześnie; teraz już wszyscy widzieli to, co zwróciło jego uwagę w kierunku południowym, na samym skraju zatoki plymouckiej — mały dwumasztowiec pod pełnymi żaglami, wyglądający jak pinasa i płynący z wielką prędkością.

Mateusz Lawe cofnął się o krok w górę, żeby mieć szerszy widok.

— John, czy to naprawdę ona?

— Tak — odparł John Waggoner tonem wyrażającym dumę z własnej pewności. — Widzę na fokmaszcie proporzec jego wiel- możności... To "Golden Hind"\*, wraca.

"Golden Hind" to była nazwa omen dla nich wszystkich, chociaż nie był to słynny okręt Drake'a, który opłynął świat, lecz inny, o tej samej nazwie, dowodzony przez Thomasa

Fleminga, a wysłany wiele tygodni temu w kierunku Sleeve u wejścia do Kanału, między

Ushant\* i wyspy Scilly, dla wypatrywania nadpływających hiszpańskich donów.

Patrzyli, jak pchana w ich stronę silnym wiatrem pinasa mija ogromne okręty flotylli,

pochyla banderę przed admirałem na "Ark Royal" i oddaje taneczne ukłony najeżonej działami Wyspie Św. Mikołaja, osobiście ufortyfikowanej przez Drake'a dla obrony przed Hiszpanami, a potem zwija żagle jeden za drugim w miarę zbliżania się do zamkniętych wód basenu Sutton.

Widać było, że płynie z największym pośpiechem. Gdy podeszła bliżej, zobaczyli, że jej

grotżagiel jest mokry aż po sterreję. A kiedy skręciła podchodząc do cumowania, dojrzeli połysk mokrego pokładu. Było rzeczą jasną, że przywozi wiadomości nie cierpiące zwłoki.

Kotwica rozcięła z pluskiem wodę spieniając ją pod dziobem. Zwinięto luźno resztę żagli, a potem, po chwili zamieszania i niesionych wiatrem okrzyków, dwa małe bączki opadły na wodę przy burcie, gotowe do odpłynięcia.

— Ale z nich niezdary — zauważył pogardliwie najmłodszy z załogi barkasa, wiejski chłopak z Shepton Mallet.

— „Revenge” pokazałby im, jak się spuszcza bączek na wodę — dodał John Waggoner. — I nie tylko to.

NICHOLAS MONSARRAT

— Pewnie są okropnie zmęczeni — rzekł Mateusz Lawe, tknięty złym przeczuciem. —

Albo mają za mało ludzi z powodu wielu rannych.

Bączki jeden za drugim odeszły od „Golden Hind”. Pierwszy z wielkim trudem ruszył z powrotem w kierunku okrętu flagowego, stojącego w zatoce, a drugi, popychany rześkimi

podmuchami wiatru, płynął w stronę nabrzeża basenu Sutton.

Załoga bączka składała się z czterech wioślarzy i oficera, kogoś z wyższej sfery, siedzącego na rufie i rozglądającego się na obie strony. Bączek podążał ku schodom basenu Sutton, lecz w ostatniej chwili zmienił kurs i popłynął w kierunku łodzi z proporcem wiceadmirała,

wyciągniętej na piasek i leżącej o kilka kroków od załogi.

Oficer, przeniesiony na plecach przez bosakowego na suchy ląd, zeskoczył na ziemię i

spiesznie ruszył ku grupce marynarzy. Był to młody mężczyzna wysokiego wzrostu. Szedł z dumną miną mimo zmęczenia malującego się na jego twarzy.

Mateusz Lawe wystąpił do przodu i uchylił czapki, gotów do pełnienia swej powinności.

—

Sir! — przemówił służbistym tonem, jak go nauczono. — Sternik łodzi wiceadmirała!

Oficer spojrział na wiceadmiralski proporzec, a potem na Mateusza.

— Czy jego wielmożność jest jeszcze na lądzie?

— Tak jest, sir. Powiedział, że idzie na Hoe.

— Jak dawno temu?

— Ze dwie godziny.

—



Pójdę go poszukać... — Oficer wrócił do bączka, rzucił rozkazującym tonem: —

Czekajcie tu na mnie! — i zaczął iść bardzo wolno, krokiem zdradzającym krańcowe wyczerpanie.

Mateusz Lawe zebrał się na odwagę: — Czy są jakieś nowiny, sir?

Oficer odwrócił się. Już mniej wyniosły, bo chciał być pierwszym, który przekaże wiadomość.

Odparł:

— Tak, chłopcze. Hiszpanie wreszcie się zjawili.

— Jak są daleko?

—

Byli opodal Lizard, kiedyśmy odpływali. Teraz, na Boga Ojca, są z pewnością bliżej.

Lizard... Mniej niż sześćdziesiąt mil od Plymouth... Gdy młody oficer ruszył w kierunku Hoe, Mateusz — nie po raz pierwszy tego roku i w tym dniu — poczuł śmiertelny chłód strachu.

Strach... Każdy mężczyzna towarzyszący Sir Francisowi Drake'owi musiał kiedyś go poczuć; po jakimś czasie — mimo odwagi i wiary w szczęśliwą gwiazdę kapitana — strach wkradał się, mącąc rozum i wprawiając w drżenie kolana. Bo jego słynne zalety muszą przecież kiedyś zawieść; szczęście musi się wyczerpać, jak piasek przesypany się w klepsydrze.

Taki strach zapewne odczuwał w porcie San Julian w pobliżu Cieśniny Magellana kapitan

Thomas Doughty, gdy zbuntowawszy się próbował opuścić eskadrę i wrócić do Anglii.

Wiedział, że będzie musiał zapłacić za to głową, lecz inne zagrożenia budziły w nim jeszcze większy strach.

W Mateuszu Lawe strach narastał powoli. Chorowity jedenastoletni sierota, uciekinier z

ponurej, okrutnej szkoły dla ubogich w Barnstaple, dawszy się zwabić na morze, które było jego marzeniem, jako młodzieniec miał już za sobą podróż z kapitanem dookoła kuli ziemskiej.

Teraz, gdy liczył sobie lat dwa razy więcej i był dojrzałym marynarzem w służbie Sir Francisa, nie umiałby faktycznie powiedzieć, w którym momencie strach wziął w nim górę nad odwagą.

Z pewnością nie było to na początku, gdy "Pelican" w eskorcie pięciu innych barków\* i pinas\* opuścił — z prawie stuosobową załogą — pobliskie Cattewater z

zamiarem opłynięcia globu pod dowództwem kapitana już znanego z odwagi i szczęścia. Cała tamta wyprawa była jednym złotym snem, magią i młodzieńczą ekstazą.

"Pelican", w asyście płynącego za nim stadka pięknych kurczątek, złożonego z barków

"Marigold" i "Elizabeth", pinas "Christopher" i "Benedict" i flibota "Swan", wyszedł z Plymouth na wzburzone morze, cichnące w miarę jak zbliżali się do wybrzeży Berberii. Odtąd przez pełne trzy lata każdy dzień miał urok nowości, każdy przynosił swoją porcję podniecenia i strachu.

W Berberii poznali smak miąższu orzechów kokosowych, na Mogadorze po wylądowaniu

połamali krzyże z odpychającymi wizerunkami twarzy Chrystusa. Na równiku jedli mięso

delfinów, bonito\* i latających ryb.

Przez następne sześćdziesiąt trzy dni płynęli bez zaoczenia lądu, a gdy się ukazał, była to Brazylia. Na widok ich statków prymitywni mieszkańcy rozpalili ogniska i tańcem wokół nich chcieli wywołać sztormy i postawić na ich drodze mielizny; i faktycznie, wichura, która w nich wtedy uderzyła, była tak gwałtowna, że angielski statek poczuł się jak prawdziwy pelikan w dzikiej głuszy.

Zobaczyli tam kobiety o bujnych kształtach, noszące dzieci na plecach; gdy chciały je

karmić, przerzucały pierś do tyłu, żeby dziecko mogło ją possać. Zabili maczugami trzysta wilków morskich\*, a na brzegu natknęli się na odciski olbrzymich stóp. Przez jakiś czas płynęli wielką rzeką La Plata.

Długo jeszcze posuwali się na południe, aż dotarli do portu San Julian, gdzie podstępni Patagończycy zamordowali kilku członków załogi. Widzieli tam szubienicę zrobioną ze

świerkowego masztu, na której przed sześćdziesięcioma laty Magellan powiesił kilku zbuntowanych marynarzy — pod szubienicą leżały ich wyschnięte kości. Tam właśnie podobny los spotkał Thomasa Doughty'ego, dowódcę jednego ze statków ich eskadry.

Doughty oświadczył, że dalej nie popłynie, że chce wrócić do kraju, i w tajemnicy

próbował nakłaniać innych do buntu. Dowiedziawszy się

o tym, Drakę wpadł we wściekłość, nawymyślał wszystkim od leni

i wałkoni i po publicznym przesłuchaniu zażądał, aby sami wydali wyrok.

Załoga od razu zdecydowała, że Thomas Doughty zasługuje na śmierć. Doughty przystąpił

do komunii świętej razem z Sir Francisem, przy obiedzie przepili do siebie serdecznie, a potem

głowa Thomasa spadła odcięta od tułowia.

Doughty spojrział śmierci w twarz spokojnie. Po egzekucji Drake'a chwycił jego głowę za włosy, potrząsnął nią przed załogą i zawołał: "Niech żyje Królowa Anglii!", po czym zaintonował wspólne śpiewanie psalmów. Miejsce to nazwał później Wyspą Sprawiedliwości i Sądu, ale w ustach jego wrogów była to Wyspa Krwi.

Wtedy zaczęła się (zdaniem niektórych, jako kara za ten morderczy czyn) ponura część wyprawy — straszliwe przejście Cieśniną Magellana, chwilami przypominające nawlekanie przez ślepcę nie kończącej się liczby igieł żaglomistrza; każda droga okazywała się zamknięta jak lisia nora, a ciąg wodny, obiecujący możliwość posunięcia się do przodu, zwężał się i kończył skalną ścianą.

Wyglądało, że nigdy nie przedostaną się na Ocean Spokojny, że będą kręcić się i kluczyć, aż ich statki się rozpadną, a oni sami, wycieńczeni, skończą jako pokarm dla ryb.

Pchając się przez cieśninę oglądali bluzgające lawą wulkany i migotliwe ogniska rozpalane przez tubylców na obu brzegach, jak złe, zazdrosne oczy, że statek płynie swoim kursem.

Faktycznie mało tu widzieli żywych stworzeń; kraina była pusta i bezludna i mogłoby się wydawać, że tu przysiadają ptaki, żeby muskać pierwsze pióra na świecie. Wielokrotnie

jednak wychodzili na ląd, aby ze szczytów szukać wzrokiem dróg wyjścia, zbierać opał,

zdobywać żywność na nędzną egzystencję i w imieniu królowej obejmować w posiadanie

ziemię, oznaczając jej granice darnią i gałęziami.

Kiedyś zabili trzy tysiące ptaków nie umiejących latać; innym razem, przybiwszy do lądu w celu zaopatrzenia się w wodę, natrafili na szkielet mężczyzny, martwego od tak dawna, że jego kości się rozpadły. Czyje były, jakiego nieszczęsnego wygnańca? Pytanie to ściagało ich jak czarny złowróżbny ptak podczas prób przedarcia się na zachód.

Właśnie tam, w Cieśninie Magellana, zmienili nazwę statku z "Pelican" na "Golden Hind", dla uczczenia lorda kanclerza Anglii, Sir Christophera Hattona, którego herbem (używając dawnego języka) była: a hind trippant or łania siejąca złoto z kopyt.

Jedni narzekali na prześladowającego ich pecha, inni ze zmianą nazwy łączyli nadzieję na

lepszy obrót rzeczy. Sir Francis nie słuchał tej gadaniny, chociaż coś w tym mogło być, bo gdy niezadługo znaleźli przejście przez cieśninę i wypłynęli na wolny przestwór Pacyfiku, powitał

ich tam wściekły sztorm o niewyobrażalnej wprost gwałtowności, który trwał nie pięć, lecz pięćdziesiąt dni.

W czasie tego sztormu, gdy nawet księżyc przez jakiś czas był przerażająco zaćmiony, stracili resztę eskorty. "Marigold" poszedł na dno z całą załogą; "Elizabeth" opuściła ich, haniebnie umykając, jak pies z podkulonym ogonem, do Anglii. Co do pozostałych statków, to "Benedict" odstał od nich w pobliżu Plymouth, a "Swan" i "Christopher" tak przeciekały, że zużyto je na drewno opałowe. "Golden Hind" została sama, mając pół świata za sobą i pół przed sobą.

Mogłoby się zdawać, że Sir Francis Drake, samotny w obliczu niebezpieczeństw, podąży teraz spokojnie do kraju, dosyć się nażeglowawszy, jak na jednego człowieka i jeden statek, i dawszy dostateczne dowody męstwa. Ale takie zachowanie nie pasowało do niego; przeciwności dodawały mu sił i podsycaly ambicję. Tak więc z zuchwałą determinacją, właściwą

korsarzowi rzucającemu się na świeży łup, wyruszył na spotkanie nowej wspaniałej przygody.

Może to właśnie wtedy Mateusz Lawe, kończący trzynaście lat, po raz pierwszy doznał złego przecucia.

Sir Francis, głównodowodzący wyprawy, nienawidził Hiszpanii całym sercem i duszą. Ta nienawiść, w pewnym stopniu związana z jego oddaniem władczyni, w której chciał widzieć królową nie mającą sobie równych, a częściowo z odrazą do papistowskich kręactw

Hiszpanów, do ich okrucieństw i perfidii znanej całemu światu, rozdrażniła jego pobudliwą naturę.

Szczególnie o wściekłość przyprawiało go to, że Hiszpanie nie okazywali jeńcom ani szacunku, ani miłosierdzia. Jego przyjaciel John Oxenham po schwytaniu został publicznie powieszony w Limie, a Robert Barrett z załogi Johna Hawkinsa żywcem spalony na rynku w Sewilli.

Teraz był jego czas na zemstę. Żeglował swobodnie po oceanie, po którym nie pływał jeszcze żaden Anglik; nikt nie wiedział i nawet nie podejrzewał, że Drake tam się znajduje.

Mógł porządnie splądrować bogate Peru i Nową Hiszpanię, jeśli nie dla łupu, to z chęci walki, spadając na Hiszpanów jak sokół spuszczone z uwięzi.

Zdobywali zasobne statki jeden po drugim, napadali z zaskoczenia na garnizon za garnizonem, jak burza atakowali ląd i siali spustoszenie od Valparaiso po wybrzeża Panamy.

Rzucali się zwłaszcza na transportowce przewożące bogactwa Hiszpanii, z taką łatwością

ograbiając je z ładunków, że w końcu żaden hiszpański statek nie wypływał w morze i trzeba było abordażować je i zdobywać w miejscach ich postoju.

Z tych statków pochodziły wszelkiego rodzaju łupy — szmaragdy, złoto, płótno, liny, jedwab, porcelana i skrzynie reali. W splądrowanym mieście Santiago zabrali z kościoła srebrny kielich, dwie ampułki i obrus z ołtarza i wszystko to oddali, jak należało, swemu kapelanowi, panu Fletcherowi.

Wylądowawszy w Tarapazie, natknęli się na brzegu na głęboko uspiętego Hiszpana, obok którego leżało trzynaście sztabek srebra wartości 4000 hiszpańskich dukatów. Srebro zabrali, człowieka zostawili. Na północy schwytali osiem lam; każda z nich była objuczona dwiema skórzanymi torbami, zawierającymi po pięćdziesiąt funtów srebra. W innym miejscu zabrali 1700 dzbanów białego kanaryjskiego wina, jeszcze w innym sokoła ze złota, pięknie kutego, z ogromnym szmaragdem osadzonym w piersi.

W końcu zastosowawszy fortel opanowali "Cacafuego", wielką karakę z Hiszpanii — wywiesili na rufie olejne kaganki, aby zmylić Hiszpanów w ocenie prędkości "Golden Hind".

Chytrze abordażowi statek i wybili załogę przy akompaniamencie głośnego krzyku: "Śmierć wam, psy!" Tu łup był najwspanialszy ze wszystkich dotąd, bo głównym ładunkiem na karace było dwadzieścia sześć ton czystego srebra o wartości pół miliona funtów angielskich.

Później zdobyty statek przemianowali żartobliwie z "Cacafuego" (co znaczyło "Plujący Ogniem") na "Cacaplata", czyli "Plujący Srebrem", na pamiątkę łatwości, z jaką go zdobyli.

Ale żartem czy serio, zawłaszczyli statek ze wszystkim, co miał wartościowego w ładowniach, i zostawiwszy za sobą spustoszenie na liczącym trzy tysiące

mil długości bezbronnym wybrzeżu, ruszyli swoim właściwym kursem na północ.

Po tych rozgrzewających utarczkach zrobiło się chłodno, a w miarę jak posuwali się na północ, szukając przejścia w kierunku wschodnim, ku Anglii i domowi, stawało się coraz

zimniej. Dokuczliwy chłód i ostre, szczypiące powietrze atakowały każdy zakątek na "Golden Hind", dzień po dniu niwecząc ich nadzieje. Płynąc wciąż w zimnie i wzdłuż groźnej bariery lądu dotarli do czterdziestego ósmego równoleżnika północnego. Tam znowu zawrócili i

posuwając się w ryzykownej bliskości brzegu, pchani pomyślnym wiatrem, dobrnęli do wejścia tak szerokiego i wygodnego, że Drakę nazwał je Złotą Bramą.

Również ten teren objęli w posiadanie, nazywając go Nova Albion. Była tam mnogość

dziwnych królików, o wspaniałych futrach i puszystych ogonach, a także ogromne stada

ptaków, wędrującej jak owce po angielskich nizinach. I tu natknęli się na tubylców odzianych w skóry i pióra, którzy powycinali płaty własnych ciał dla uczczenia podobnych bogom przybyszów.

Ale "Golden Hind" wciąż jeszcze znajdowała się na największych rozstajach świata.

Dowódca, Drake, nie znalazłszy północno-wschodniej drogi do kraju, miał do wyboru albo wrócić tą samą trasą, którą tu przybył, albo — posuwając się dalej do przodu — opłynąć glob.

I znowu wybrał drogę nieznaną i będącą dla nich wyzwaniem. Od tej chwili podróż stała się fantastycznym przeżyciem, nie do zapomnienia przez nikogo, kto w niej uczestniczył.

Szukając Chin albo trasy przechodzącej obok tego kraju, przepłynęli siedem tysięcy mil

wodami Pacyfiku, którymi nie odważył się popłynąć dotąd żaden statek angielski (a tylko jeden obcy). Przez sześćdziesiąt osiem dni nie widzieli lądu. Kurs ustawiali posługując się astrolabium, laską Jakuba i kompasem, aż dotarli do Wyspy Pelewa\*.

Tamtejszy król przyjął ich prezentami i unizonym hołdem. Przez wiele miesięcy kręcili się po archipelagu w poszukiwaniu drogi na zachód. Mijając wyspy Mindanao, Moluki, Celebes i Jawę natrafili na dziwną krainę, gdzie zobaczyli czółno pełne dzikusów o długich paznokciach, uczernionych zębach, z przekłutymi uszami, w których wieszali ozdoby.

Na Molukach (gdzie władowali się na skałę, ale spłynęli z niej) przyjął ich hołdem król odziany w bogaty strój; obwieszony złotymi łańcuchami, przystrojony w diamenty, rubiny i szmaragdy, siedział dostojnie pod paradnym baldachimem, pilnowany przez dwunastu

wojowników z pikami. Na Celebesie widzieli fruujące w powietrzu ogniste robaczki i nietoperze wielkie jak kury. Na Jawie zastali

wprawdzie pięciu radzów, ale do jedzenia był tylko gotowany ryż. Rozleniwieni tubylcy wystawiali się na słońce, mające jakoby leczyć francuską chorobę.

Wydostawszy się wreszcie z gąszczu wysp, przepłynęli inny wielki ocean i dotarli do

Przylądka Dobrej Nadziei (Diaz opłynął go jako pierwszy), najpiękniejszego, jaki widzieli w całej podróży naokoło świata. Minęli go jednak nie zatrzymując się nawet na chwilę

wytnienia i ustawili kurs na Anglię. W Sierra Leone zobaczyli najdziwniejszy (zdaniem Mateusza) widok z oglądanych w całej podróży: ogromne słonie przy pracy w lesie. W końcu, opłynawszy glob, co zajęło im trzy lata, wrócili do Plymouth.

Dla chłopca była to wyprawa szalona i cudowna, a dla Sir Francisa Drake'a — wspaniałe osiągnięcie, o którym stało się głośno w całym królestwie. Samo Słońce (mówiono, oddając mu hołd) nie może zapomnieć swego towarzysza-podróżnika.

IV

Wyżej, na dobrze wydeptanej ścieżce wiodącej ku Hoe, coś zaczęło się dziać, a gdy się obejrzel, ich oczom znów się ukazał młody porucznik z bączka zdążający ku nim energicznym krokiem. Wyglądało, że nie jest w humorze; brwi miał ściągnięte, a posrebrzana szpada, wisząca u pasa, przy schodzeniu uderzała go gniewnie w udo.

—

Dobrze popatrzcie — szepnął John Waggoner, bystrooki obserwator i znany kpiarz — a zobaczycie muchę w jego nosie.

—

Jakże to? — zdziwił się Mateusz Lawe. — Przynosząc wiadomość o przybyciu Hiszpanów powinien zostać przyjęty jak król.

—

Sir Francis wciąż ma do czynienia z królami — odparł John Waggoner — a ten wygląda na najmniej ważnego wśród nich.

Porucznik zbliżał się z kwaśnym wyrazem twarzy. Zgodnie z obowiązującym ceremoniałem, załoga jego bączka czekała u wiosł, aż wejdzie do łodzi. Mateusz Lawe uchylił czapki. Porucznik odwzajemnił się krótkim pozdrowieniem.

— Sir, czy znalazł pan jego wielmożność? — zapytał Mateusz.

— Tak — odburknął porucznik.

— I co? Przyjdzie?

— Nie.

Porucznik ruszył w stronę bączka. Przez chwilę wyglądało, że z wściekłości w ogóle się nie odezwie, lecz (będąc człowiekiem młodym) nie potrafił się powstrzymać od opowiedzenia, co

zaszło.

Odwrócił się. — Znalazłem waszego wiceadmirała — odezwał się ze złośliwym naciskiem

— grającego w kręgle na Hoe... Powiedziałem, że Hiszpanie są blisko, bardzo blisko, koło Lizard... Ale on chyba nie uznał tej wiadomości za ważną.

— Jak to, sir?

— Powiedział, że starczy czasu i na wygranie partii, i na przetrzepanie Hiszpanom skóry.

Po tych słowach dał się słyszeć pomruk i wybuch śmiechu. Śmiały się załogi obu łodzi,

lecz nietrudno było zauważyć różnicę między nimi, różnicę wypływającą z klasy, jaką reprezentował jeden człowiek. Marynarze z bączka, którzy z takim pośpiechem wieźli tu

nowinę, żeby została zlekceważona, najpierw się zdumiali, a potem, przygotowując się do powrotu na "Golden Hind", zaczęli szydzić, wołając, że jak komuś tak się nie śpieszy do walki, to oni będą musieli pewnie zrobić robotę za niego i za siebie. Może nawet, dodali, tak byłoby najlepiej dla czekającego ich zadania.

Ludzie Drake'a, nie mniej zdumieni, zachowali się jednak w sposób całkowicie lojalny.

Skoro wiceadmirał tak powiedział, to wiceadmirał ma rację. Taka jest prawda i na tym koniec.

Dowódca wyprawy nie po to opłynął świat, żeby na lądzie okazać się głupcem albo

samochwałem. Niech załoga bączka wraca na "Golden Hind", a "Re-venge" niezadługo popłynie za nimi, żeby opatrzyć ich rany i zmienić klęskę w zwycięstwo.

Czekając na zepchnięcie bączka na wodę, porucznik bez większego przekonania uciszał

swoich marynarzy; po jego twarzy było widać, że chętnie dorzuciłby od siebie jakąś kpinę. W

końcu odpłynęli, energicznie wiosłując i rzucając ostatnie słowa pożegnania, a ludzie Drake'a zostali przy granicy zasięgu pływów, skazani na czekanie w żarze lejącym się z nieba.

— Głupcy! — rzucił John Waggoner odprowadzając bączek wzrokiem. — Nie znają jego wielmożności. Przyjdzie, kiedy będzie na to czas.

— Jeżeli Hiszpanie są pod Lizard, to czas najwyższy — mruknął inny członek załogi,

James Weaver, marynarz starszy wiekiem. — Co to on powiedział? "Starczy czasu na

wygranie partii"? Co to za mowa, kiedy my bijemy się i oblewamy potem, żeby przeżyć?



— Sir Francis bije się z nami ramię w ramię — rzekł sucho John Waggoner — i poci się z nami... Wszyscy to wiemy.

— Ale mówią, że za bardzo wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę

— zauważył trzeci marynarz, który właśnie podszedł do nich.

— Szczęście! — odparował Waggoner. — Kto mówi o szczęściu? Czy to szczęśliwa gwiazda wiodła go naokoło świata? Czy szczęście zdobyło "Cacafuego" i całą resztę?

Doświadczenie, talent i bojowość

—

to są jego zalety. Szczęście jest dla dzieci i niewiast!

— Kto tu mówi o niewiastach? — odezwał się ktoś inny. — Pewnie jego wielmożność

rozgrywa partyjkę w pościeli... Czy zdąży zakończyć tę partię? Hiszpanie mogą dotrzeć do Londynu, a on jeszcze będzie się zabawiał.

Te słowa przyjęto wybuchem prostackiego śmiechu. Mateusz Lawe odwrócił się do towarzyszy.

— Uważaj, co mówisz! — rzucił ostro do marynarza, który odezwał się ostatni. — Czego chcesz?... Chłosty na kabestanie? Jeszcze słowo, a dostaniesz za swoje, aż skóra zejdzie ci z pleców.

— Daj spokój, Mateuszu — wtrącił pojednawczo Waggoner. — Tylkośmy żartowali.

— To trzymajcie się ze swoimi żartami z dala od jego wielmożności. On nie tarza się w tym samym łajnie co wy.

Zapadło zdumione milczenie. Marynarze darzyli Mateusza respektem i wiedzieli, że jego

obowiązkiem, jako sternika wiceadmirala, jest utrzymywanie porządku i dowodzenie załogą barkasa (co jednoznacznie było uwzględnione w wykazie jego zadań); pilnowanie, żeby łódź

była wysłana dywanem i poduszkami, dodawanie załodze ducha świstem srebrnego gwizdka i

własnoręczne sterowanie. Mateusz cieszył się zarówno ich szacunkiem, jak i zaufaniem jego wielmożności; dotąd jednak nigdy nie podkreślał tak dobitnie swojej władzy, i to, wydawałoby się, z tak błahego powodu.

— Daj spokój, Mateuszu — powtórzył John Waggoner. — Nikt z nas nie rzuciłby

potwarzy na Sir Francisa.

— Pierwszego dowódcę wyprawy, który opłynął świat — dorzucił James Weaver.

— Drugiego — sprostował John Waggoner. Chociaż to żaden dyshonor... Okręt

Magellana był pierwszy.

— Magellan zmarł w trakcie wyprawy. — Weaver, człowiek akuraty, był gotowy do

podjęcia dyskusji. — Tylko jego porucznik odbył całą podróż. Sir Francis jest pierwszym dowódcą, który opłynął glob. Dokonał tego w jednym rejsie, na co Diaz, Vasco da Gama i

Magellan potrzebowali kilku wypraw. On...

Był to znany przedmiot sporów i Mateusz przestał słuchać argumentacji. W głębi duszy

odczuwał niepokój i lęk. Dlatego napadł na marynarza za nierozważny żart. Poruszyły go

przytoczone słowa o wygraniu partii kręgli. Właśnie tak mógłby się odezwać Sir Francis, ale to byłoby chyba za daleko idące wyzwanie swego szczęśliwego losu.

Jak z uporem twierdził John Waggoner, Bogiem a prawdą nikt nie mógł utrzymać, że

ich kapitan ufa tylko swojej szczęśliwej gwiazdzie. Szczęście nie miało nawet większego znaczenia w jego świetnych dokonaniach. W swoich wyprawach Drake nie zostawiał niczego

przypadkowi. Zabierał na pokład cieśli i innych rzemieślników, aby niezależnie od czasu trwania podróży utrzymywali jego statki w stanie

zdatnym do żeglugi. Na nieznanym wodach brał do niewoli rybaków, żeby pełnili rolę pilotów, i przystawiając im piki do pleców zmuszał do wskazywania drogi według ich najlepszej wiedzy.

Woził nawet ze sobą "malarzy" — nie po to, żeby nadawali ładny wygląd jego statkom, lecz żeby malowali obrazy każdego oglądanego ładu na użytek przyszłych wypraw.

Przygotowania, jakim poddawał swoich ludzi przed każdą walką, były tak wyczerpujące, że załoga witała jękiem dźwięk gwizdka bosmańskiego.

— Co jeszcze? — usłyszał raz Mateusz westchnienie pomocnika artylerzysty. — Czy mamy obwiązywać wstążkami pociski do dział?

Jeśli wstążki mogły odegrać jakąś rolę, Drake kazałby je wiązać... Ale gdy wszystko zostało zrobione i każda możliwość przewidziana, nikt nie mógłby zaprzeczyć, że ich dowódca znacznie ograniczył ryzyko towarzyszące jego apetytowi na podboje.

Jednym takim ryzykiem, które mogło oznaczać koniec dla nich wszystkich, był niedawny atak na Kadyks. "Czy mamy siedzieć cicho, jak kurczęta pod kwoką, czekając na lisa?" — zapytał Drake, gdy wieść o przygotowywaniu Wielkiej Armady dotarła do Anglii. "Czy ze strachu zaczniemy znosić jajka albo wrzucimy palącą się pochodnię, żeby dymem wystraszyć rabusia? Na Boga Ojca, ja swoją pochodnię przypalę brodę hiszpańskiemu królowi!"

Do "przypalania" wybrał Kadyks, serce potęgi wroga, gdzie tyle było uzbrojonych okrętów i wojennego zaopatrzenia co pcheł na psie. Jak lew wdarł się do ich jaskini i zatopiwszy lub spaliwszy trzydzieści trzy jednostki hiszpańskiej floty, odpłynął bez szkody dla siebie, tak znacznie opóźniając atak Armady, że wyszła w morze dopiero teraz, o rok później, niż to przewidywał zadufany plan Hiszpanów. Lecz na wspomnienie ryzyka, na jakie narażała ich

tamta wyprawa, nawet w ciepły czerwcowy dzień w Plymouth Mateusz Lawe czuł, że pot spływa mu po plecach.

Dalsze naigranie się z wroga, świeżo przeżywającego hańbę, jakiej doznał w Kadyksie,

wydało się Mateuszowi jeszcze zuchwalszym wyzywaniem losu, nawet jeśli w grę wchodził

tylko jeden okręt abordażowany i zdobyty na Azorach, tyle że był to królewski okręt Kompanii Wschodnioindyjskiej i przy tym tak wspaniały, iż jego utrata wstrząsnęła Portugalią, krajem jego przynależności. Ogromna karaka "San Felipe", opanowana po zażartej walce, była, jak się okazało, załadowana bogactwem przewyższającym wszystko, czego można było się

spodziewać po tej zdobyczy. Znaleziony na niej ładunek o trudnej do wyobrażenia wartości, po oszacowaniu go przez pirata, został opisany następująco:

"Złoto i srebro w sztabach, złote łańcuchy, klejnoty, kryształy, nie szlifowane kamienie, tony przypraw i ambry, wielkie skrzynie porcelany, surowego jedwabiu i aksamitu, bele

batystu krochmało

25

nego i nie krochmalonego, koronek, cieniutkiej tafty, perkalu, dywanów oraz barwnego

klejonego płótna o łącznej wartości stu tysięcy funtów angielskich."

"San Felipe" nie był największym przyzmem w karierze Drake'a, a dowódca tego okrętu nie należał do jego najznakomitszych jeńców. Niemniej uwięzienie go stanowiło zniewagę dla

wszystkich Portugalczyków płci męskiej. Po co było ich prowokować tak dotkliwą grabieżą?

Po co z niezdecydowanego nieprzyjaciela robić sobie wroga rozwścieczonego do granicy

nieprzytomnej żądzy odwetu?

Skutek tego zuchwałego wyczynu zawisł teraz nad nimi wszystkimi; Armada stanęła u

wrót Anglii, a Sir Francis Drake, tak odważnie ją wywabiwszy, zwlekał, jak chłopiec na

wagarach, ze swoim powrotem z Plymouth Hoe.

Mateusz Lawe usłyszał, jak Jem, wiejski chłopak, który nauczył się przechwałek od swoich towarzyszy, pociągnąwszy łyk wody z baryłki, odezwał się za jego plecami: "Jutro będziemy chleptać hiszpańską krew". Musiał się uśmiechnąć na te słowa swego ulubieńca, równocześnie jednak pomyślał z bólem serca: To Wielka Armada, a nie święto dożynkowe. Spuścisz z tonu, jak bebechy wypłyną ci z brzucha na pokład.

Skryte obawy Mateusza podzielała cała Anglia; ludność zdążyła już uwierzyć w pogłoski o spodziewanym ataku potężnego wroga. Od dawna też podejrzewano, że podszyty tchórzem

ludzie na wysokich stanowiskach i zasiadająca na tronie kobieta-dusigrosz pozostawią kraj bezbronny. Ta świadomość była tak powszechna, że nawet tak lojalny dworak jak Howard

lord Effingham, rozsierdzony królewskim skąpstwem, ośmielił się napisać do władczyni:

“Zbudź się, Pani, na miłość boską, i zauważ nikczemną zradę wokół siebie!”

Odpowiedź typowo kobieca (jak ją określano) była obłudna i jak zawsze zdradzająca

skąpstwo. Bardzo żałuje, lecz królewskie skrzynie są prawie puste i flota musi obywać się tym, co ma. Odważni na pewno nie tracą odwagi tylko z powodu braku prochu i pocisków... Tak więc pogłoski mogły się jedynie nasilać i budzić rozpacz. Marynarze wiedzieli już z całą pewnością, że tysiące zbrojnych najeźdźców tylko czekają, żeby się wgrzyźć w angielską ziemię.

Podobno po drugiej stronie Kanału, w Dunkierce, Armada zaokrętowała tysiące żołnierzy

dowodzonych przez księcia Parmy. Będą, mówiono, przybywać łodziami, barkami i korakłami o obciążonych płótnem wiklinowych szkieletach. Będą spadać z nieba jak ptaki albo

przyplływać pod wodą; a gdy postawią stopę na wybrzeżu Kent, zasnują niebo dymem,

rozczzerwienią je płomieniami i rozgrzanymi do czerwoności kulami dział, paląc zboża, wioski i pozbawiając ludzi życia.

Potem pomaszerują w głąb kraju, żeby się połączyć z siłami katolickiej Północy, i

doprowadzą całą wspólnotę do ruiny... Anglia, niby zgłodniała sierota, bez łachmana dla przykrycia swej nagości, już była na ich łasce.

Ale Drake, cieszący się posłuchem możnych i niewątpliwie zdający sobie sprawę z

zagrożenia kraju, nie dopuszczał do siebie takich myśli. Jego zachowanie mogłoby być

ilustracją pogardliwego odezwania się jego krajana, Johna Hawkinsa: “Czyżbyśmy przybyli na morza południowe po to, żeby tu wywieszać białe flagi?” Jakiś prosty bodziec, zdolny w nim wzbudzić chwilowy gniew, mógł go rozognić ponad granice rozwagi i popchnąć do czynu;

wystarczyło, że mu doniesiono, iż hiszpańscy donowie nazwali królową “brudną dziwką”, żeby puścił w niepamięć wszystko, co miał przeciwko niej, podwajając swoją wobec

władczyni lojalność — i brawurę.

Taka nienawiść, taka pogarda człowieka dla człowieka... Sir Francis potrafił wprowadzić ją do każdego zakątka myśli, czy gdy szło o najskuteczniejszą metodę abordażowania

smakowitego kaska w postaci frachtowca, czy o formę przyjmowania najświętszego Ciała

Chrystusa. Jego odraza do religii katolickiej stała się przysłowiowa nawet w narodzie

przeciętym, jak kłoda drewna, siekierą religijnego podziału.

Nie tracił żadnej- okazji do głoszenia swojej krucjaty; potrafił w ostrych słowach

formułować oskarżenia, a kiedy odczytywał je na głos, co mu się czasem zdarzało, czynił to tak, że kąsały jak skorpiony, nawet gdy płynęli z pomyślnym wiatrem.

Mateusz pamiętał jedno takie czytanie podczas podróży naokoło świata, gdy pływając się w ciepłe Południowego Pacyfiku załoga mogła — gdyby nie te jego słowa — sądzić, że płyną w objęciach błogości i miłości. Na końcu modłów Drake nakazał im nagle mieć w pamięci swą wiarę — a zwłaszcza tych, których nazywał tej wiary wrogami.

Jego słowa brzmiały okrutnie i nieubłagane; chociaż odczytywał je z podniszczonego

dziennika, w którym zapisywał swoje myśli, wyglądało, że dyktuje mu je głęboko

zakorzeniona nienawiść, sącząca truciznę w otaczającą ich noc.

„Albowiem tak jak prawdą jest, że wszędzie w Ameryce, gdzie Hiszpanie mają jakąś

władzę, szerzy się trująca zaraza papieżstwa, tak też jest prawdą, iż nie ma miasta, co więcej, nie ma prawie domu na tych ziemiach, gdzie nie tylko prostytutka, lecz cały brud Sodomy, o jakim nie powinny słyszeć uszy chrześcijan, byłyby czymś niezwykłym i wzbudzającym

potępienie. Za to zepsucie papież udziela tam więcej odpustów niż gdziekolwiek w Europie, ciągnąc niemałe korzyści."

Te ostatnie słowa: "...ciągnąc niemałe korzyści" wypowiedział tonem syczącym, wyraźnie się nimi napawając, co już samo wystarczało, żeby zmrozić krew.

Może chodziło mu tylko o podniesienie ducha załogi przed czekającymi ją próbami. A

może chciał samemu sobie dodać odwagi... Ale czy taka nienawiść nie mogła zaprowadzić

człowieka za daleko? Czy nie mogła sama sobą się podsycać?

Ostrzeżony gwarem i poruszeniem, usłyszonym nagle od strony wyniosłości Plymouth

Hoe, Mateusz spojrział w tamtym kierunku i pomyślał, że chyba pozna zaraz odpowiedź na te pytania.

Ciżba ludzi schodziła po jasnym zielonym zboczu opadającym ku plaży. Na czele, sądząc

choćby tylko po barwności, kroczyła elita Plymouth, w kolorowych strojach zdobionych

kryzami i wstążkami powiewającymi na wietrze. W słońcu lśniły polerowane klingi, srebrne guzy i sprzączki i urzędowy złoty łańcuch burmistrza. Za notablami tłoczyli się mieszczanie, już nie tak wspaniale odziani jak te rajskie ptaki, lecz wyglądający nie mniej pstrokato.

Sądząc po wspaniałych nastrojach można by pomyśleć, że to jakieś ogólne święto. A było tak dlatego, że ten, którego odprowadzali, wszędzie napotykał same uśmiechy i rozradowane twarze. Mateusz Lawe pierwszym rzutem oka rozpoznał człowieka będącego ośrodkiem tego tłumy. Błyskawicznie odwrócił się do swojej załogi, gapiącej się jak w kalejdoskop z rozdziawionymi ustami.

— Spuścić łódź na wodę — rozkazał ostro. — I czekać u wiosła. Jem, do mnie, i bądź gotów do przeniesienia jego wielmożności do barkasa.

To zbliżał się ich wielki kapitan.

V

Czterdziestosześcioletni, w samym rozkwicie męskości, miał postać rosłego wieśniaka i czerstwą twarz marynarza. Ruda, rozwiewana wiatrem broda, która zdawała się rozwierać na podobieństwo jaskini, kiedy był wesoły, a sterczeć jak skalny występ, gdy wpadał w złość albo gdy wiatr zmieniał się na przeciwny — była przystrzyżona z tą samą dbałością, z jaką trzymowano żagle na jego okręcie. Był człowiekiem, który potrafił patrzeć całemu światu w twarz i tak też czynił; i albo uznawał, że jest z niego zadowolony, albo sprawiał, żeby tak było.

Dobry przyjaciel i zażarty wróg, lubił w razie wątpliwości zwoływać swoich oficerów na naradę — i słuchał. Kiwał głową z aprobatą albo cybuchem glinianej fajki postukiwał o zęby — może dla pokaza

nia, że jest obecny i przytomny. A potem działał tak, jak chciał, i nikt — ani człowiek, ani mysz — nie śmiał wtedy nawet pisnąć.

Gdy jednak ktoś się ośmielił, blizna po strzale na policzku Drake'a, pamiątka lądowej potyczki z Indianami w czasie rejsu naokoło świata, stawała się ostrzeżeniem. Czerwieniała niby rozwijający się proporzec i zaraz wybuchiała burza. Mateusz Lawe był świadkiem takiej burzy tylko raz lub dwa. Najgorzej było wtedy, gdy jacyś nierozważni marynarze poskarżyli się na jedzenie w czasie, kiedy brakowało wszystkiego.

“Jedzenie! — ryknął Drake, dowódca całej wyprawy. — Jak każę, będziecie żreć to, co spadnie mi spod ogona na łapę kotwicy!”

Nie musiał dalej mówić, aby mu uwierzyli.

Sir Francis zawsze promieniał energią — biła z niego i teraz, gdy zdecydowanym krokiem schodził ze wzgórza na czele odprowadzającego go tłumu. Na zmasowanym tle kaftanów z lamówkami i rozcięciami, płaszczy z aksamitu, satynowych spodni i modnych w owym czasie przybranych piórami kapeluszy nie prezentował się zbyt okazale. Wystarczała jednak sama jego obecność, tak jak wystarczał jego humor, dobry czy zły.

Na ubitym piasku plaży, przy łodzi stojącej nieruchomo jak głaz, pożegnał się. Było wiele kurtuazyjnych gestów, mnóstwo komplementów i wiwatów. Ostatnia więź z łądem musiała zostać przecięta z należytych ceremoniałem. Przemówienie rozpoczęte przez czcigodnego lorda burmistrza Plymouth, noszącego na szyi łańcuch własnoręcznie nałożony mu przez Drake'a, zostało przerwane, chociaż bardzo uprzejmie. Nasilający się wiatr, donowie i wola Drake'a nie zostawiały czasu na pompatyczne popisy urzędników.

Bez dalszej zwłoki wiceadmirał i jego mała świta zostali przeniesieni do barkasa. Tłum na plaży wznosił głośny okrzyk, wybitniejsi obywatele Plymouth zamachali kapeluszami zdobnymi w pióra, przypominając zaniepokojone ptactwo w ptaszami. Załoga pochyliła się nad ociekającymi wodą wiosłami, a Mateusz Lawe nad wiosłem sterowym. Znaleźli się sam na sam z morzem.

Na wysłanej poduszkami ławce rufowej siedział Drake marszcząc brwi, ale Mateusz, umiejący już odróżniać mars na czole od gniewnego spojrzenia i oceniać znaczenie tych objawów, jak uczucia ulicznej dziewczyny z sercem na dłoni, nie zaniepokoił się. Jego pan był zwyczajnie pogrążony w myślach.

Gdy w końcu wiceadmirał się odezwał, użył słów ujmujących, które zjednywały mu sympatię marynarzy.

— Jadłeś coś, Mateuszu, czekając na mnie?

— Tak, wasza wielmożność, dziękuję. Przysłali z gospody chleb i wołowinę.

— A do tego ładną dziewczuchę do obsługi?

Mateusz dostosował się do jego nastroju. — Owszem, tylko że to był chłopak, pomocnik



karczmarza.

— Dziękuj więc Bogu za wołowinę.

Ostry wiatr zaszarpał ich odzieniem, gdy barkas wzniosł się na grzbiet fali. Opuścili port wewnętrzny i wzięli kurs na zatokę, gdzie stała na kotwicach duża flotylla okrętów Korony.

Mateusz obrócił wzrok na "Revenge", ich dom i schronienie, i nacisnął na ciężkie wiosło rufowe, żeby ustawić łódź dokładnie na kursie. Nie musiał poganiać załogi, a Drake nie musiał poprawiać jego.

Ustawwszy barkas, Mateusz Lawe, ośmielony dobrym humorem dowódcy, odważył się zapytać:

— Czy wasza wielmożność wygrał partię?

Sir Francis spojrzał na niego ostro. — Jaką partię?

— No, kręgli, sir. Tak przynajmniej słyszeliśmy.

— Co jeszcze słyszałeś?

Mateusz nagle stracił rezon. — Nic więcej, wasza wielmożność.

— Słyszałeś, że zwlekam. — A gdy zmieszany Mateusz milczał w obawie, że posunął się za daleko, Drake ciągnął z niezwykłą u niego swobodą: — Czemu, jak myślisz, zwlekałem?

Mateusz udał, że jest zajęty wiosłem rufowym. — Nie wiem, sir.

— Pływ, chłopcze, pływ! — powiedział głośno Drake, jakby chcąc, aby usłyszało go kilku siedzących z nim panów. — Hiszpanie płyną ku Lizard. Czy jestem w stanie im przeszkodzić?

Nie, jeśli teraz, o tej godzinie, minęli Dover! Przy obecnym przeciwnym wietrze nie damy rady opuścić portu, zanim nie wyniesie nas odpływ. Nawet z boską pomocą. Nie da się płynąć na żaglach, kiedy wiatr dmie prosto w nos; jedyne, co możemy, to dać się stąd wyciągnąć za pomocą lin i kabestanów lub wyholować się przez łódzie okrętowe. Albo też płynąć z liną w zębach! — Słowo "płynąć" wyrzekł tym samym syczącym pogardliwym tonem, jakim kiedyś wyrzekł: "Ciągnąc niemałe korzyści", kiedy mówił o papieżu. — Przez ostatnie cztery godziny nasza flotylla nie posunęłaby się nawet o cal ku otwartym wodom Kanału, więc zostałem, żeby dokończyć partii. — Tu westchnął. — Niech Bóg mnie chroni przed głupcami nie umiejącymi odróżnić żartu od prawdy!

— Nie wiedzieliśmy, sir.

Na twarzy Drake'a natychmiast zjawił się uśmiech, jak promień słońca zza odpływającej chmury.-^Nieważne, chłopcze! Myślę, że nie wiedział tego żaden chrześcijanin.

Ale ja wiedziałem... Każ teraz swoim ludziom przyłożyć się do wiosł, choćby miały im pękać karki. Mamy do wykonania zadanie i wreszcie czas jest właściwy.

Przeciskali się dzielnie między okrętami flotylli, nie tyle żeby sobie dodać odwagi widokiem potężnych lwów morskich, ile dla podniesienia ducha u innych marynarzy ukradkiem obserwujących porządek wiceadmirała — teraz wiedzących już, że jego eskadra ma znowu właściwego człowieka u steru. Tego dnia zebrana tu flotylla stanowiła najwspanialszy widok w Anglii, a każdy jej okręt był gotów do rozwinięcia swoich skrzydeł.

Wysokie hulki z poczerniałej, nasączonej olejem dębiny miały górne partie pokryte lśniąca farbą; wyżej widniały tarcze herbowe z kolorowymi symbolami heraldycznymi: tudorowską różą, krzyżem św. Jerzego czy lilią, a na samym szczycie pod silnym powiewem wiatru rozwijały się ku lądowi haftowane srebrem i złotem dumne bandery i jedwabne proporce, dochodzące do stu stóp długości.

Głośne nazwy tych okrętów niezbyt ze sobą harmonizowały; niektóre brzmiały ładnie, inne miały groźną wymowę, a jeszcze inne ciepły wydźwięk, jakby chciały przypominać marynarzom o domu i domowym ognisku.

Sześć z nich było własnością Howarda lorda Effingham, inne wyposażyli londyńscy kupcy; wywoływane, ich nazwy brzmiały jak głosy trąb: flagowiec "Ark Royal"; "Lion", "Bear", "Elizabeth Jonas", "Victory", okręt osobiście dowodzony przez Johna Hawkinsa; "Triumph", "Merchant Royal", "Centurion", "Margaret and John", "Mary Rose", "Golden Lion", "Dreadnought", "Swallow", "Galeon of Leicester", "Mayflower", "Rainbow", "Vanguard", "Bonaventure", "Frances of Fowey" i "Delight".

Mateusz Lawe skierował łódź ku prywatnej eskadrze Drake'a, stojącej osobno, gdyż od kilku dni była gotowa do wypłynięcia i zaopatrzona w żywność. Wnet znaleźli się wśród rodziny nazywanej swoją przez wiceadmirała. Zaprawieni w bojach marynarze z "Hope",

“Nonpareil”, “Swiftsure”, “Advice” i “Aid”, stłoczeni przy nadburciach, wzniesli okrzyk, kiedy barkas ze złotym proporcem przepływał obok nich.

Drakę przyjął ten hołd siedząc sztywno z poważnym wyrazem twarzy, lecz gdy Mateusz spojrział ukradkiem na niego, odniósł wrażenie, że w jego oczach błysnęła iskierka wzruszenia.

Po zakończeniu śpiesznej podróży, gdy stawali pod burzą “Revenge”, zgotowane im powitanie było gorętsze niż na jakimkolwiek innym okręcie floty.

Okręt, który wyglądał jak martwy pod nieobecność kapitana, wrócił do życia w momencie postawienia przez niego stopy na pokładzie. Jednakże “Revenge”, ten galeon królowej, sam z siebie był uosobieniem odwagi. Głęboko zanurzony z powodu ogromnych ilości załadowanej broni, potrafił mimo to ślizgać się po morzu jak mewa

w najłżejszym powietrzu i pokonywać odporne fale jak rumak wspinający się na szaniec.

Od ostro sterczącego, zakończonego galionem dziobu do wysokiej, mocno ściętej rufy było sto pięćdziesiąt stóp. Nadbudówka rufowa nie górowała nad pokładem tak wyniosłe jak na

okrętach hiszpańskich, budowanych na podobieństwo domów ustawianych jeden na drugim,

jakby dla popisywania się niezmiernym bogactwem Hiszpanii. Angielski styl był

skromniejszy, aczkolwiek galerię rufową “Revenge” zdobiły złote płaskorzeźby. Zapewniała ona wiceadmirałowi możliwość swobodnego przechadzania się przez całą szerokość okrętu.

Dzięki temu udogodnieniu mógł on, lekko wyciągnawszy szyję, objąć wzrokiem cały pokład rufowy i główny oraz dziobówkę wraz z dwoma rzędami dział.

Gdy w momencie wchodzenia wiceadmirała na pokład rufowy entuzjizm witających

osiągnął szczyt, Mateusz Lawe pilnował bezpiecznego zamocowania barkasa. Potem zwolnił

załogę, a sam wspiał się po długiej, chwiejnej drabince do swego legowiska, które było jego domem. Przeskakując przez nadburcie natknął się, jak zwykle, na srogą postać bosmana

Tuke'a.

Tukę, chłopisko potężnej postury, odziany w skórzany kaftan wycięty w solance, aby

po stwardnieniu stanowił ochronę przed wrogiem, miał na głowie czerwoną wełnianą czapkę, jaką noszą algierscy piraci. Srebrny gwizdek, emblemat jego urzędu, był jednym z trzech na okręcie, a przysługiwały one zastępcy kapitana, bosmanowi i Mateuszowi Lawe, jako

sternikowi kapitańskiemu. Tuke jednak nie potrzebował gwizdka do potwierdzania władzy, jaką sprawował nad sześciuset marynarzami, od chłopców trudniących się szorowaniem pokładu do sterników. Władza emanowała z olbrzymiego, wypełnionego sadłem cielska, z mięśni jak u konia pociągowego, z jego twarzy wydętej jak beczułka piwa, z ust przypominających otwór szpuntowy i z jego zachowania, które zdawało się mówić: "Jestem niżej od każdego oficera i wyżej od każdego marynarza. Zapamiętajcie to sobie raz na zawsze!"

Od Jema, chłopaka ze wsi, wyszło kiedyś określenie bosmana Tuke'a tak trafne, że obiegło całą flotyllę.

— Mieliśmy u nas na wsi byka rozplodowego, takiego jak on

— powiedział Jem śpiewnym akcentem ludzi z zachodniej Anglii.

— Ale musieliśmy z niego zrobić wołu.

— Czemu, chłopcze?

— Żeby nie zagrażał naszemu życiu!

Tuke zwrócił się do Mateusza demonstrując—jak zwykle—swoją władzę.

— Czy barkas dobrze zamocowany?

— Tak jest.

— Dopilnuj, żeby go wciągnięto na pokład, jak nie będzie już potrzebny jego wielmożności.

— Tak jest.

— Długoście nie wracali.

— Tak jest.

Tak było najbezpieczniej zachowywać się wobec Tuke'a. Odpowiedź potulna łagodziła jego gniew, podczas gdy jej brak tylko go nasilał. Mateusz rozumiał powody brutalności bosmana. Miał on zadania do wypełnienia—choć, Bogiem a prawdą, nie musiał robić

wokół tego tyle szumu — związane z obowiązkiem stania między tymi na górze: kapitanem, oficerem nawigacyjnym, porucznikiem, kapralem piechoty morskiej i głównym artylerzystą a załogą. Gdyby nie karał winnych aż do zdzierania skóry z ich pleców, on sam mógłby być uznawany za winnego.

Przed zdarciem skóry z własnych pleców chronił się więc brutalnym traktowaniem załogi.

Jego krzyk przeplatała krwawa nić kar; taki był surowy porządek regulujący życie na okręcie Korony w morzu. Tuke posługiwał się swoją własną Świętą Biblią — Mateusz raz ją widział — a była to Skala Kar dla marynarzy, którzy łamali prawo. Od zapisów w tej biblii nie było odwołania; człowiek mógł być trupem, zanim zdążył otworzyć usta, by krzyknąć, że jest niewinny.

Najniższą karą była chłosta na kabestanie — za zuchwalstwo, niesubordynację czy drobną kradzież. Potem kary się zwiększały zgodnie z tym strasliwym katalogiem. Za kradzież na pokładzie — KARA: zrzucenie winnego z noku rei i pozostawienie go na lądzie, żywego czy martwego.

Za spanie podczas wachty — KARA: za jeden raz — wrzucenie do wody, za dwa razy — dwukrotne wrzucenie do morza, za trzy razy — przywiązanie do grotmasztu na dwadzieścia cztery godziny, za cztery razy — powieszenie na końcówce bukszprytu i zostawienie tam, aż winny sam się odetnie lub umrze z głodu. Za wyjęcie broni w celu zaatakowania

kapitana — KARA: obcięcie prawej dłoni. Za dezercję — KARA: powieszenie albo

“szorowanie stępki”, czyli przeciągnięcie winnego pod dnem okrętu. Za morderstwo

— KARA: przywiązanie do trupa zamordowanego i wyrzucenie wraz z nim za burtę. Za

bunt — KARA: powieszenie za pięty nad pokładem i pozostawienie winnego w takiej pozycji, aż mózg wypadnie mu z czaszki.

Kary, kary, kary... Czy nie było nagród, poza porcją wołowiny i miarką piwa, sławą zaś dla dowódcy? Jeśli udało się uniknąć gniewu wielkich, zawsze jeszcze była potężna pięść Tuke'a, równie przykro odczuwalna jak syfilis, a wciąż gotowa do zadania ciosu. Każdy nowy dzień mógł przynieść śmierć lub kalectwo. Czy po to człowiek szedł na morze?

Po to. Kiedy bosman Tuke, nie znalazłszy powodu do sporu, bluznął przekleństwem i kazał

Mateuszowi spuścić z tonu sternika jego wielmożności i dołączyć do marynarzy ciągnących szoty z

najniższego pokładu — i to biegiem! — Mateusz poczuł, że po cudownym półdniowym spokoju u granicy zasięgu pływu znalazł się z powrotem w domu.

Zszedłszy do swojej nędznej nory na najniższym pokładzie — faktycznie będącej schowkiem na zapasy nad przydennymi wręgami — potrzebował czasu, by przywyknąć do ciemności słabo rozświetlonej jedyną latarnią zawieszoną u belki pokładowej. Gdy po kilku chwilach odzyskał zdolność widzenia, zobaczył swoich towarzyszy.

Pod okiem głównego artylerzysty brali ze stojaków okrągłe kule i podawali je sobie z rąk do rąk w górę drabiny, aż do poziomu dział. Chociaż szczupłość miejsca zmuszała ich do pracy w pozycji przykucniętej, wykonywali zadanie z ochotą. Tego wieczora Tukę nie musiał

zagrzewać marynarzy do pracy przekleństwami i szturchańcami. Nie trzeba też było ich popędzać przy końcowych przygotowaniach do wyjścia "Revenge" w morze.

Od tych przygotowań mogło zależeć ich życie, a w następnej kolejności honor marynarzy z eskadry Drake'a, która, jak mówiono, miała stanowić awangardę ataku na\*Wielką Armadę.

Nikt nie próbował się wałkonić na tak krótko przed bitwą; gdyby znalazł się taki, koledzy z mesy szturchańcami wybiliby mu to z głowy.

Znajdowali jednak czas na rozmowy. Oprócz pocisków trzeba było nosić łój, połcie surowej wołowiny, za bardzo spleśniałej, żeby nadawała się do jedzenia, pasy płótna żaglowego i drewniane zaślepki, zwane korkami — czyli wszystko, czego potrzeba do tamowania przecieku w razie przedziurawienia okrętu. Wstawszy, żeby wyprostować plecy, stary James Weaver powiedział:

— Ja to bym posyłał na pokład pociski, a nie korki. Według mnie najpierw trzeba ich pogruchotać, a potem będzie można zatykać nasze rany!

— Kiedy nas przedziurawiono pod Hispaniolą — odezwał się Mateusz — człowiek się cieszył, że były korki, bo woda wlewała się jak przez bramę śluzy!

— Tak — potwierdził John Waggoner z mroku najniższego pokładu. — Próbowałbyś zatkać dziurę własnym tyłkiem, jakby nie dało się inaczej.

— A ma ogromniasty! — zawołał ktoś, wywołując śmiech na dole.

— No, no, uważajcie... — zaczął James Weaver obrażonym tonem.

— Albo nawet tym, co ma w przodzie portek.

— Za małe — stwierdził ten sam kpiarz.

Stary Weaver rozzłościł się. — Który to powiedział?! — krzyknął.

Ktoś, w kim marynarze rozpoznali Jema, pisnął falsetem: — Gruba Andzia z "Głowy Turka".

Na te słowa marynarze znowu ryknęli śmiechem. Mateusz ochoczo dołączył do nich. Z

długiego doświadczenia znał ten nastrój, o włos sąsiadujący ze strachem. Dodawali sobie ducha kiepskimi, głupawymi żartami, bojąc się wspomnieć żartu najbardziej ponurego: że

jutro kule będą ich rozrywać i przemieniać w krwawą miazgę; że fale zaczną wlewać się na pokład jak wodospad i że pokład najniższy i zawieszony tam rzędy hamaków ze złożonymi w nich poszarpanymi ciałami załogi staną się pokarmem dla ryb.

Wielu z mesy Mateusza z pewnością bało się tak samo jak on. Mężczyźni o większej

odwadze, panowie umiejący łacinie przemawiać, mogli wygłaszać bombastyczne mowy i

obwieszczać, że wkrótce zaświta godzina Anglii, a dla Hiszpanii wybije dzwon zguby. Łatwo było im to mówić, siedząc wygodnie w pałacach, gdy na morzu marynarze gotowali się do

walki na śmierć i życie. W otworze łukowym nad głową Mateusza rozległ się groźny głos:

— Hej, wy tam na dole! Co to za śmiechy? Nie macie nic do roboty?

Zapadła cisza. Do dwóch adresatów ich kpinek, przyjaciół i wrogów, doszedł teraz trzeci

— bosman Tuke. Po budzącej strach groźbie chłosty i wielokrotnego nurzania w wodzie, jaką ich poczęstował, znowu zgięli plecy nad robotą.

Gdzieś koło dziesiątej wieczorem uparty pływ zmienił się wreszcie. Teraz był czas na ich ruch.

Podczas gdy wiceadmirał spożywał kolację jak zwykle przy muzyce, "Revenge" rozpoczął

mozolne wychodzenie z zatoki Plymouth, a w ślad za nim sunęła jego eskorta. Okręty

podnosiły kotwice i niesione odpływem szły trzymając się brzegu; przeciągane krzepkimi

ramionami marynarzy za pomocą lin i kabestanu, wlokły się od wybrzeża do wybrzeża, od

skały do skały, z linami cumowniczymi zahaczanymi o każdy pierścień na pokładzie i każdy występ w

skale, zdążając na południe ku otwartemu morzu.

Nie można było użyć żagli, bo wciąż wiał przeciwny wiatr, uparty jak przedtem pływ.

Musieli wydostać się z zatoki o własnych siłach, przeciągając się jakby za własne sznurowadła.

Wydostanie się z portu na głęboką wodę zajęło im wieczór i całą ciepłą lipcową noc.

Opodal cypla Rame stanęli na kotwicach, aby — mając dostateczną przestrzeń morską do

halsowania i zwrotów —oczekiwać na to, co przyniesie świt. I co wtedy ujrzeni, skierowawszy wzrok na ląd?

Całe wybrzeże południowej Anglii, cypel za cypem, hrabstwo za hrabstwem, rozświetlały

gigantyczne ogniska sygnalizacyjne; iskry

z nich leciały wirując ku czarnemu niebu, przekazując oczekiwany sygnał i alarmując

wybrzeże na całej jego długości; alarm przenosił się w głąb lądu, do coraz dalszych wsi i osad.

Dzięki Bogu, Anglia wreszcie się ocknęła.

O czwartej przyszedł świt, cudowny jak błogosławiący go śpiew ptaków. I wtedy, na

południowy zachód od Eddy Stones, zobaczyli nieprzyjaciela.

VI

Przez okręt podniósł się alarm, niby krwawy błysk sygnalizacyjnych ognisk. Marynarze,

zmęczeni otępiającą pracą przy kabestanach, przetarli znużone oczy i zerwali się na nogi, usłyszawszy wołanie towarzyszy: — Chodźcie zobaczyć... Wielka Armada! — Znalazszy się

na pokładzie, zarówno elegancy panowie w kryzach i strojnych kaftanach, jak i prości

marynarze w usmolonych samodziałowych ubraniach, wdrapywali się pośpiesznie na

upatrzony dogodny punkt obserwacyjny na takielunku, żeby zobaczyć, ile się da.

Nikt dotychczas nie wiedział, jak wygląda ta Armada; nikt w Anglii nie oglądał przedtem czegoś podobnego. Mateusz Lawe, siedzący okrakiem na bukszprycie, gdzie było jego miejsce podczas obsługi żagli, wbijał wzrok w lekką mgiełkę poranka. Gdy światło dnia nasiliło się, a rzeński powiew rozpedził mgłę, oczom wszystkich ukazał się zapierający dech w piersi widok w całej swej przerażającej glorii. Daleko na południowym zachodzie, jeszcze nie zrównawszy się z cypem Rame, sunęła Kanalem bez przeszkód hiszpańska Armada, przywodząc na myśl

triumfalny pochód Rzymian.



Była czymś więcej niż flotą; to płynęło ogromne miasto okrętów, przetykane istnymi morskimi katedrami — olbrzymimi galeonami z Biskajów, Sewilli czy Tarragony — wyniośle górującymi nad resztą. Okręty, rozciągnięte na obszarze siedmiu mil, były uformowane w półksiężyc z rogami zakrzywionymi ku tyłowi. Płynęły w zdyscyplinowanym ordynku, na jaki nie umiałyby się zdobyć swobodnie poruszające się okręty floty angielskiej.

Armada była jak mocno zaciśnięta pięść skierowana w twarz, w serce albo w brzuch.

Wydawało się rzeczą absolutnie pewną, że uderzając, musi trafić w cel, przebić go i doprowadzić do krwawej zagłady.

Mateusz, przerażony i zdeorientowany, zaczął liczyć nieprzyjacielskie okręty, ale się

pogubił — odległość, ogromna ich liczba i zamieszanie panujące wokół niego przekraczały możliwości skołowa

nego mózgu. Jedyłą rzeczą, o jakiej był teraz zdolny myśleć, ściskając bukszpryt dygocącymi kolanami, były pogłoski mówiące o tym, co mieści w sobie straszliwy półksiężyc Armady.

Mówiono, że każdy z jej okrętów jest większy i mocniejszy od wszystkich jednostek, jakie mogli jej przeciwstawić Anglicy. I tak właśnie wyglądały tego ranka z odległości hiszpańskie okręty. Mówiono, że mają na pokładach łącznie dwa tysiące pięćset dział, osiem tysięcy

marynarzy i dwadzieścia tysięcy żołnierzy.

Mówiono też, że są wśród nich marynarze lub żołnierze podlejsi, okrutniejsi i zdrażliwsi niż jacykolwiek inni. Że są tam okręty do szturmowania warowni, okręty z fałszywymi

banderami i z krzyżem Anglii dla wprowadzenia przeciwnika w błąd; że są zakamuflowane

statki z kobietami, których zadaniem jest truć i zarażać mężczyzn, i statki pełne księży z żelazami do wypalania piętna i biczami do chłostania heretyków. Są też na tych statkach duchowni ośliżli jak węże, wiozący szpady zdobne w drogie kamienie dla katolickich parów Anglii, gdy będą podawać sobie ręce z tymi zdrażliwymi łotrami.

Powiadano... Z tych okropnych rozmyślań wyrwał Mateusza potężny szturchaniec.

Odwrócił się i zobaczył Thomasa Berry'ego, drugiego z obsady żagla rozprzowego, który szczerząc zęby, powiedział:

— Zbudź się, Mateuszu! Czyżbyś chciał wylądować w morzu, zanim jeszcze do nas

wystrzelą?

Mateusz odwzajemnił się bladym uśmiechem. — Nie chcę wpaść do morza w taki czy inny sposób... — Wskazał na południowy zachód z groźną chmurą pchaną ręką ludzką, a nie boską.

— Powiedz, umiałbyś je zliczyć? Myślę, że tylko John Waggoner zdołałby policzyć te sępy.

Thomas Berry przybywał z ważną wiadomością. — John został skierowany na pokład rufowy do pomocy jego wielmożności. Powiedział, że okrętów jest sto dwadzieścia.

— A my mamy tylko osiemdziesiąt, w tym zaledwie trzydzieści dużych. — Mateusz potrząsnął głową nie kryjąc niepokoju. — Co zamierza jego wielmożność? Żeby ich obskoczyć jak zgraja piesków?

Thomas Berry obrócił na niego zdziwione spojrzenie. — Co z tobą, Mateuszu? Głowa do góry, chłopie! Wiem, czego ci brak... Śniadania! Przecież to tylko Hiszpanie, baby w zbrojach.

Dostawali od nas lanie w różnych miejscach świata.

— Ale nie było ich tyle.

— Już jego wielmożność coś wymyśli i wybierze odpowiednią chwilę. Co, może myślisz,

że nagle zapadł w sen? — Berry zrobił z dłoni daszek nad oczyma i popatrzył najpierw na półksiężyc Armady, a potem na ląd. Wiodąc wzrokiem wzdłuż brzegu zauważył: — Gdyby-

śmy wypłynęli teraz, oni mieliby wiatr bardziej sprzyjający niż my.

Mało też jest miejsca do manewrowania między Armadą i lądem. Jeżeli zdecydują się zaatakować nas tutaj...

v>;

Jego słowa zostały przerwane, jak gdyby Drake, ich dowódca, usłyszał jego ostrzeżenie i wziął je sobie do serca. Bo oto rozległ się przenikliwy świst gwizdka bosmańskiego, a za nim wołanie, które poniosło się po całym "Revenge". Tuke miał płuca z żelaza i nie oszczędzał ich.

— Wybierać kotwicę! — I zaraz potem: — Stawiać żagle!

Dowodził lord Howard na "Ark Royal". Za nim szła eskadra Drake'a, posłusznie spełniając wolę lorda admirała. Potem okręty rozeszły się: "Ark Royal" ruszyła na południe, żeby obejść najdalej wysunięty róg hiszpańskiego półksiężyca, "Revenge" zaś na zachód i na północ, z zamiarem

prześliznięcia się — jeśli się da — między lądem i Armadą i wyjścia w ten sposób na nawietrzną. Wszystkie te manewry były wspaniałą prezentacją sztuki żeglarskiej, chociaż wymagały niewyobrażalnego wprost wysiłku i odwagi ze strony załóg.

Przez cały ten dzień i większą część czarnej jak smoła nocy "Revenge" prowadził konwój tak blisko brzegu, jak tylko zdolne były posuwać się okręty obsługiwane przez pilotów i wytrawnych marynarzy sondujących co minuta głębokość wody podczas kolejnych wacht. Te

wody Drake znalazł z czasów wczesnej młodości, tyle że wtedy zabawiał się tu łowieniem piskorzy na wędkę wyrzucaną z łodzi wiosłowej, a teraz prowadził i wystawiał na ryzyko galeony królowej i życie ich załóg.

Halsowali godzina za godziną płynąc na granicy łopotu żagli. Omijali zręcznie skały i mielizny, doprowadzając załogi do krańcowego wyczerpania zmienianiem ustawienia żagli

dwadzieścia razy na godzinę i tym ogromnym trudem zyskując korzystne położenie. Później mówiono, że gdyby jeszcze wtedy, z wybrzeżem po zawietrznej, na przestrzeni morskiej nie większej od szafy na ubrania zaatakowało ich kilka okrętów Armady, Drake zostałby

pokonany, miasto Plymouth zdobyte, a eskadra lorda Howarda zdana na łaskę nieprzyjaciela.

Jednakże księżę Medyny Sidonii, posłuszny rozkazom, prowadził Wielką Armadę w

kierunku Kanału, gdzie — cokolwiek by się działo — miał się połączyć z księciem Parmy i

jego trzydziestotysięczną armią inwazyjną, stojącą w gotowości w Dunkierce. Nie wolno mu było dać się zwabić żadną przynętą ani zastąpić ustalonego planu żadnym innym.

Tak też czynił, a Drake robił swoje. Następnego dnia sytuacja zmieniła się diametralnie.

Podczas gdy Armada parła do przodu niby gigantyczny cyrk wędrowny, lord Howard i Sir

Francis połączyli swoje siły na jej tyłach, mając wiatr w plecy, a nieprzyjaciela przed sobą. Psy owczarskie gotujące się do skoku zmieniły się w wilki.

— Teraz ich mamy! — powtarzał ciągle Drake przez następne kilka dni z pewnością siebie

tego, który zajął pozycję po nawietrznej nieprzyjaciela i nie miał jej utracić aż do wystrzelenia ostatniego pocisku. Nie trzeba jednak było się śpieszyć z bliskim zwarcie; mieli czas na wyskakiwanie do przodu i cofanie się, na liczne pojedynki artyleryjskie dla zbadania siły Armady, atakowanie maruderów i udzielanie im pierwszej lekcji działań wojennych—że

należy trzymać się blisko swojej floty.

Przez ten czas Drake dowiedział się wielu rzeczy: że jego okręty, mniejsze i lżejsze niż monumentalne jednostki przeciwnika, są przez to zwinniejsze i łatwiejsze do manewrowania; że Hiszpanie wykazują niezwykle zdyscyplinowanie w posuwaniu się okrętów, umiejętność szybkiej zmiany szyków i koncentrowania sił, gdy wymaga tego sytuacja.

Zauważył też, że uszkodzony okręt brano w środek półksiężyca, jak słabą owcę chronioną przez stado, a wielkie rogi zamykając się za nim osłaniały biedaka. Nie zawsze jednak to się udawało. Nadszedł dzień —trzeci kolejny opodał wód Portlandu—gdy Anglicy po raz pierwszy upuścili krwi Hiszpanom, wiceadmirał zaś, patrząc na jeden z hiszpańskich okrętów, mógł zawołać:

— I teraz, jak pragnę Boga, mamy go!

Tym nieszczęśnikiem okazał się galeon "Nuestra Señora del Rosario", mocnej budowy flagowiec eskadry andaluzyjskiej. W zderzeniu z jedną z konwojujących go jednostek stracił bukszpryt i fokmaszt. I chociaż wzięto go w środek floty, wnet zaczął przeszkadzać, nie był bowiem w stanie płynąć pod żaglami. Armada zaś nie mogła zwalniać. Lepiej — uznano pewnie — stracić okręt, nawet tej wielkości, niż opóźnić realizację planu.

W rezultacie marudera pozostawiono w tyle. Gdy "Revenge" podszedł do niego, przewalał się bezwładnie na fali, pozbawiony masztów i niesterowny, jak słaba sierota opuszczona przez przyjaciół i zdana na litość i łaskę otoczenia.

Może — myślał później Mateusz Lawe, zajęty w barkasie przez następne kilka godzin — najlepiej właśnie było rozpocząć tę walkę na śmierć i życie od drwiny z nieprzyjaciela.

Położenie bowiem "Rosaria" rzeczywiście zasługiwało na kpinę, i to niebotyczną, w porównaniu z wszystkimi innymi walkami, jakie stoczył Drake-zdobywca. Widząc, że na pokładzie wraka nic się nie rusza i że żadne tamtejsze działo nie zagraża "Revenge", wysłał łódź ze swoim emisariuszem, żeby stwierdził, czy "Rosario" się poddaje.

Wracając na okręt z tym angielskim dżentelmenem, Mateusz przywiózł pasażera, hiszpańskiego granda, który z wielką kurtuazją oświadczył, że reprezentuje admirała z okrętu "Rosario", Don Pedra de Yaldes.

— I co? Poddaje się? — spytał krótko Drake.

Szlachetnie urodzony Hiszpan, wspaniale odziany w jedwabny, lamowany złotem strój z koronkowymi mankietami i w posrebrzany napierśnik dla nadania sobie wojskowego wyglądu, nie przybył, jak się okazało, aby dać odpowiedź na takie brutalne pytanie. Natomiast, mocno gestykulując, sam z kolei zapytał jak najuprzejmiej, czy mógłby się dowiedzieć, z kim ma zaszczyt rozmawiać.

Sir Francis Drake uświadomił go.

— Ach! — zawołał Hiszpan. — To zupełnie zmienia sprawę!

— Jak to zmienia?

— Sądzę, że Don Pedro de Valdes uzna poddanie się takiemu dzielnemu mężowi za zaszczyt.

— To dobra wiadomość — odrzekł Drake.

— Z drugiej strony...

— Nie ma żadnej drugiej strony! — wybuchnął wiceadmirał. — Nie mogę tracić czasu.

Muszę zdobywać następne okręty! A zatem co? Walka czy poddanie się?

— Poinformuję Don Pedra de Valdes — odpowiedział Hiszpan, urażony chłodem wiceadmirała, co uznał za poważne naruszenie zasad kurtuazji.

— Dokładnie moimi słowami... — Drake obrócił się do Mateusza czekającego u szczytu zejściówki: — Mateuszu! Zawieź z powrotem tego pana i poczekaj chwilę. W drodze powrotnej będziesz miał pasażera.

— Jakiego pasażera? — zdziwił się Mateusz, dla którego sprawy toczyły się zbyt szybko.

— Don Pedra de Valdes.

I rzeczywiście. Popatrzywszy na znikające topsle Armady, hiszpański admirał opuścił swój porzecz i popłynął z Mateuszem w jego łodzi. (— Bogu dzięki! — mruknął pod nosem John Waggoner, zmęczony wiosłowaniem po długich falach i ich spienionych grzebieniach w tej

drugiej podróży barkasem. — Grzbiet mi pęka od tego pływania tam i z powrotem!) Znalazłszy się na pokładzie "Revenge", Don Pedro powtórzył to, co już powiedział jego arystokratyczny wysłannik: że poddanie się takiemu człowiekowi jak Sir Francis uważa raczej za przyjemność niż za hańbę.

Drakę odparł, że i dla niego to przyjemność, i tak myślał naprawdę. "Rosario", z załogą przyzową na pokładzie, odpłynął do zatoki Tor ze skrzyniami wypełnionymi ponad

pięćdziesięcioma tysiącami sztuk złotych skudów oraz z innymi bogactwami niespotykanymi na okrętach wojennych; sam Don Pedro de Valdes dostarczy za siebie ładny okup... "Revenge"

zajął znowu swoją pozycję w awangardzie. Hiszpański admirał został przyjęty przez Drake'a z całą kurtuazją. Stwierdziwszy, że jest on ogólnie miłym człowiekiem,

Drakę zaprosił go do jedzenia przy swoim stole i spania w swej obszernej kajucie.

Wiedział, że w ciągu najbliższych dni będzie miał mało okazji do korzystania z obydwu

pomieszczeń. — Zdobędziemy dwadzieścia takich okrętów! — powiedział tak głośno, żeby

usłyszeli go wszyscy na pokładzie rufowym, i wszyscy mu uwierzyli. Przysłowiowe szczęście wiceadmirala... Między sobą mówili, że to jego piracki nos doprowadził go do tego przyzu. A teraz będzie go wiódł już tylko do sławy.

## VII

Obietnica sławy majaczyła raczej po ich stronie widnokręgu. Lecz pytanie, czyim stanie się ona udziałem, a kto za nią zapłaci, nurtowało nie tylko Mateusza; obawiał się, że w obu wypadkach on sam może być na nie odpowiedzią. Jednakże planowanie wyników to rzecz

wielkich, nie zaś maluczkich.

Podczas gdy ci maluczcy, bez znaczenia, jak Mateusz, zastanawiali się, jakie są ich szanse przeżycia do następnego świtu, lord Howard Effingham, odpowiedzialny za cały obszar tych morskich działań, starał się doprowadzić do tego, żeby każdy następny świt był jaśniejszy od poprzedniego. Nie istnieje inna droga do sukcesu, ani w walce, ani w miłości... Najpierw musiał usunąć rozbieżności wśród swoich dowódców, a potem skierować ich wysiłki

przeciwko rzeczywistemu nieprzyjacielowi, znenawidzonym Hiszpanom, a nie przeciw

współziomkom.

Lord Howard, świetny żeglarz, a przy tym zręczny negocjator, wiedział, że ludzie, którymi dowodzi, nie są tak zgranym zespołem, jak by tego pragnął. Już teraz mówiono, że Sir Francis Drake, dowodzący flotą w nocy, wygasił na swoim okręcie światła rufowe (według nich inne okręty utrzymywały swoje pozycje) i ruszył w kierunku "Rosaria", żeby rankiem zdobyć go na swój własny rachunek.

Lord Howard wiedział też, że inny z jego dowódców, Martin Frobisher, nazwał za to

Drake'a perfidnym bandytą, a John Hawkins, zajmujący się organizacją floty angielskiej, uważał, że Drakę buduje swoją reputację na wiedzy innych. Lord Howard zdawał sobie

sprawę, że w tak doborowym gronie ten jego wiceadmirał nie jest ulubieńcem wszystkich.

Musiał jednak załatwić ten problem, i to w wirze walki, bo inaczej mogło się to skończyć przegraną. Skłócenie ze sobą admirałowie — podobnie jak zwalczający się wzajemnie lordowie czy zawistni władcy — postępują nie inaczej, niż jak to się dzieje na szkolnym

podworcze. Trzeba ich pogodzić, zanim spory nie przenikną do otoczenia.

Musiał stłumić nieporozumienia między swoimi dowódcami, umiejacymi posługiwać się

siłą i nie bojącymi się jej użyć. Potrzebował tych skłóconych dzieciaków — każde z nich posiadało talent i odwagę. W gromadzie rywalizują ze sobą; każdy z osobna może odnosić

sukcesy dla siebie i dla Anglii.

Lord Howard też miał siłę i umiał się nią posługiwać. Odczekawszy tyle, ile potrzebował, żeby zażegnać spory zwykłym rozkazem, podzielił flotę na cztery eskadry, dowodzone przez niego samego, przez Drake'a, Frobishera i Hawkinsa. Powiedział, że zamiast spiskować, mają działać, a potem zostawił im swobodę. W awangardzie postawił wiceadmirala — i tylko Bóg wie, dlaczego; może uznał, że Sir Francis to najodpowiedniejszy człowiek do odniesienia triumfu lub — w jego braku — do zapłacenia za to życiem.

Tak oto wysokiej rangi dowódcy załatwiali sprawy z kolegami trochę niższej rangi. W

odróżnieniu od tych wielorybów drobne płotki miały na pociechę wspaniałą perspektywę —

ślepa szansę, że przeżyją albo zginą. Gdy bowiem po tej koniecznej pauzie rozgorzała prawdziwa bitwa, to chociaż jej wynik potwierdził mądrość lorda Howarda, dla ludzi Drake'a

okazała się najcięższą próbą w ich życiu.

Nie wdawano się z Armadą w bezpośrednie zwanie; nie dałoby się wdrzeć na strome

masywy potężnych galeonów po chwiejnych stopniach drabinki małych angielskich okrętów.

Można jednak było stopniowo kruszyć jej opór i osłabiać ją, odrywając z niej fragment po fragmencie, jak to czyniło morze z wyżyną Dover, w nieustannym wysiłku zabierające jej

kolejne skrawki. "Revenge" wraz ze swą eskadrą zastosował z powodzeniem tę metodę.

Przez następne cztery dni i noce trwała zabawa w ataki i ucieczki. Okręty angielskie

okazały się zwinniejsze, a ich ogień szybszy od hiszpańskiego. Drake — rozżarzony szpic włóczni — z furią pasjonata zmuszał do wysiłku samego siebie i swoich ludzi. "Revenge" to wyskakiwał do przodu, to się cofał, często będąc holowany. W trakcie tych działań kajuta wiceadmirala została pogruhotana i zniszczona.

Jednakże chociaż ginęli ludzie, żaden angielski okręt nie został zmuszony do wycofania się z walki, podczas gdy okręty Armady, jeden za drugim, były ścigane z zjadłością psów

tropiących jelenia i następujących mu na pięty, dopóki nie zdołał się gdzieś schronić.

Sir Francis Drake mógł donieść królowej: "Wyskubujemy Hiszpanowi pióra jedno po

drugim". I była to prawda, chociaż w tym samym czasie około pięćdziesięciu ludzi zostało

"wyskubanych" z jego załóg. Salwy burtowe hiszpańskich galeonów zionęły piekielnym ogniem jak paszcze smoków. Marynarze ślali się trupem przy rozbitych działach; ci pod

pokładem padali łupem ognia płonąc jak

poходnie, a ci na pokładzie byli zmiotani przez grad żelaznych pocisków.

Wśród zabitych znalazł się bosman Tuke, zawsze tak surowy dla swoich podwładnych.

Pocisk z działa urwał mu głowę między jednym przekleństwem a drugim i teraz Tuke leżał na głównym pokładzie spokojnie jak kaczka na półmisku. Na ten widok niejednen pomyślał:

Każda groźna chmura ma swoją jasną stronę.

"Revenge" wraz z innymi angielskimi okrętami tak długo ścigał nieprzyjaciela, aż dumny półksiężyc Armady zdeformował się, a jej okręty popadły w rozsypkę. W piątym dniu

nieubłaganego pościgu Hiszpanom nie pozostało już nic innego, jak tylko zebrać się jak

najśpieszniej i umykać w kierunku Calais. Tam stanęli na kotwicach, żeby przeczekać burzliwą pogodę, wylizać się z ran, oszacować poniesione straty i naprawić, co było możliwe do

naprawienia.

Wciąż jeszcze nie rezygnowali z beznadziejnego zamiaru zabrania na swoje okręty

inwazyjnych wojsk księcia Parmy, które rozłożyły się wokół Dunkierki w ramach realizacji wyprawy buńczucznie nazywanej "angielskim przedsięwzięciem".

Ściemniło się. Hiszpańska flota przywarowała na kotwicach, a wzdłuż wybrzeża Anglii

ciągle płonęły sygnalizacyjne ogniska, rzucając diabelskie cienie na odległość pięćdziesięciu mil i dalej. Może właśnie ten obraz podsunął Sir Francisowi, a potem i lordowi Howardowi identyczny pomysł następnego, być może ostatniego posunięcia. Spotkali się na wojennej

naradzie, obaj mając w głowie ten sam wojenny fortel.

— Teraz możemy zrobić tylko jedno! Wykurzyć ich dymem!



Cały dzień później, o tej samej godzinie zmierzchu, Mateusz Lawe wciąż bardziej pragnął  
snu niż życia. Leżał twarzą w dół w hamaku zawieszonym w najniższym rzędzie w cuchnącej wnęce  
dziobówki, mając wokoło siebie marynarzy gadających, marynarzy żarłocznie  
pochłaniających jedzenie, marynarzy jęczących z powodu ran. Usiłował jakoś się odgradzić od  
"Revenge" i od wszystkiego, co stało między nim a sennym marzeniem o pogodnym życiu.  
Wyglądało na to, że walki minionego tygodnia, długotrwała bitwa w Kanale tocząca się w  
trakcie pogoni, huk wystrzałów z dział własnych i nieprzyjacielskich, godziny harówki przy  
zmienianiu żagli i zatykaniu przecieków wyczerpały go ponad granice wytrzymałości. Na to nałożyły  
się trudy kończącego się dnia, gdy wraz z całą swą załogą musiał tyrać jak koń, przygotowując  
brander, jeden z ośmiu, które miały zostać wpuszczone na redę Calais z  
wieczornym pływem.

Był to "Thomas" z Plymouth, prywatna własność Sir Francisa Drake'a, dwustutonowy  
statek przynoszący niezły dochód a poświęcony przez niego na ogniisty atak przeciwko stojącej na  
kotwicach

[Armady. W pocie czoła pracowali dwanaście godzin, żeby przekształcić "Thomasa" w pochodnię;  
napychali go słomą, suchymi gałęziami i kawałkami smołowanych lin; smarowali smołą drzewca i  
takielunek; ładowali działa podwójnie, żeby eksplodowały, gdy dotrze do nich ogień; ustawiali  
baryłki z prochem i przygotowywali lont wolnotłący, który miał podpalić statek, zmieniając go w  
ziejący ogniem wulkan.

Taką mieli niedzielę. Mateusz przewrócił się na plecy, wyprostował strudzone członki i  
choć po raz tysięczny zamknął oczy, wciąż nie mógł zasnąć. Tak go to zmęczyło, że  
zaprzagnął umrzeć dla tego świata, mimo że nie był jeszcze gotów do przeniesienia się na drugi.

Myśli walczyły w nim z pragnieniem zapomnienia. Dla Mateusza Lawe'a krwawa śmierć  
bosmana Tuke'a nie była żartem. Tuke pozostał tyranem do ostatniej chwili. Znalazłszy się pod  
najcięższym ostrzałem, Mateusz czuł na swoich plecach jego gorący oddech. Pocisk z działa minął go  
o włos, a wtedy Mateusz odwrócił się i zobaczył krew buchającą z bezgłowego  
tułowia i głowę toczącą się jak okrwawiony bączek, nim zatrzymała się w jakimś miejscu  
pokładu.

Gdyby "Revenge" moment wcześniej kiwnął się na prawą burtę, byłaby to głowa jego,

Mateusza... Takie było ryzyko towarzyszenia wiceadmirałowi — ryzyko, którego ceną musi

stać się głowa Mateusza, może już w następnej godzinie. Gdy spocony zapadał w sen, wydało mu się, że to była jego głowa; że gdy ruszył za nią, by zabrać swoją prawowitą własność, buchająca z niej krew była jego krwią.

Śniło mu się, że upadł na pokład, kalecząc sobie ramię. Zbudził się I śmiertelnie

przerażony, aby stwierdzić, że czyjaś ręka, niechybnie Ręka Śmierci, trzyma go za to ramię i potrząsa nim.

Czy nigdy nie zaśnie—nawet tak okropnym snem?... Odwrócił się z jękiem rozpaczony i

ujrzał nad sobą pogodną twarz Jema, wiejskiego chłopaka.

— Co jest, Jem?

— Wzywają pana.

— Ale ja chcę spać!

— Czy mam to powiedzieć wiceadmirałowi?

Na twarzy Jema malowała się taka duma i ufność, że Mateuszowi zrobiło się wstyd. Gdy

usiadł, hamak się przechylił, jak każdy hamak od czasu, kiedy marynarze zostali na nie

skazani, i Mateusz omal nie wypadł na deski pokładu. Jem przytrzymał go silnym ramieniem.

— O co chodzi, na rany Chrystusa?

Jem wciąż promieniał z powodu ważności swojej misji. — Wiadomość od oficera

nawigacyjnego. Wiceadmirał chce widzieć swojego sternika na pokładzie rufowym.

Mateusz oprzytomniał. — Czy coś było nie tak? Coś słyszał?

— Że chce nadać panu szlachectwo.

— Co?

Był to tylko marynarski żart. Podczas kilku minionych dni Martin Frobisher i John

Hawkins, a także inni mający czyjeś poparcie, otrzymali za swą służbę tytuły szlacheckie z rąk lorda Howarda Effinghama na pokładzie "Ark Royal". Gadając na wszystkie możliwe tematy, prości marynarze wysnuli z tego faktu taki oto wniosek: "Jeżeli pożyjemy dostatecznie długo, wszyscy zostaniemy lordami". Nie było to prawdą... Mateusz Lawe wyprostował się i

wyglądził pogniecione ubranie. Udało mu się nawet wyszczerzyć zęby do Jema.

— Dziękuję, Sir Jem.

— Nie ma za co, Sir Mat.

Teraz był już czas stawić się na wezwanie.

Gdy Mateusz wszedł na pokład rufowy, było tam pełno ludzi, od osoby Drake'a poczynając

do giermków obsługujących szlachetnie urodzonych ochotników; a wszyscy w swoich

najlepszych ubraniach, jakby to była audyencja w pałacu, nie zaś przerwa w bitwie. Gromada pawie czekających na wyszukaną kolację, ze słodką muzyką przy winie... Zawahał się, czy ma iść dalej w swoim zwykłym odzieniu, lecz Sir Francis, który wszystko zauważał, dostrzegł go i gestem przywołał do siebie.

Mateusz podszedł i uchylił czapki. A może w tej uperfumowanej atmosferze należało

oddać dworski ukłon?... Grupa otaczająca wiceadmirala zrobiła mu miejsce. Pierwsze słowa Drake'a były, jak często u niego, miłe i uprzejme.

— Czy spałeś, Mateuszu?

— Tak jest, wasza wielmożność. Dostatecznie długo.

Drakę uśmiechnął się. — Gdy marynarz mówi, że miał dosyć snu, to koniec świata. —

Począł na śmiech otoczenia, a potem, swoim zwyczajem, poważniał z każdym zdaniem.

Najpierw poprzez ciemniejący zmierzch wskazał w stronę lądu, w kierunku hiszpańskiej

floty odpoczywającej na redzie Calais. Między toplami jej okrętów widać było czerwony blask przewodnich świateł. — Zapamiętaj te hiszpany — rzekł ochryłym głosem.

— Mamy zamiar je spalić! — Potem odwrócił się i wskazując na brandery, przezornie postawione z dala od jego eskadry, warknął:

— Co tam widzisz?

— Brandery, wasza wielmożność.

— A najbliższy?

— "Thomas", sir. — Mateusz był zdezorientowany, przestraszony i nawet trochę zły. Czy po to przerwał mu sen, żeby zadawać dziecinne zagadki? — Coś z nim nie tak?

— Ależ nie... i nic nie będzie nie tak! Jeśli oddaję mój stateczek królowej, to już moja głowa, żeby nie na próżno. T y dopilnujesz tego.

— Wasza wysokość?

— Patrząc na "Thomasa" masz przed oczyma swoje nowe stanowisko dowódcze.

Po tych słowach na twarzach stojących wokół ludzi pojawiły się uśmiechy; widać

wiedzieli, co usłyszą. W Mateuszu jednak nie pobudziły one osłabłego serca i ducha. Nie pragnął dowodzenia czymś takim jak pływająca głownia. Chciałby pójść brzegiem morza i poszukać spokojnego miejsca. Wystarczyłby mu pierwszy lepszy przydrożny rów w Devon.

Wiceadmirał przystąpił do wydawania instrukcji. Stercząca do przodu ruda broda sygnalizowała determinację.

— Chcę mieć pewność, że "Thomas" utrzyma się na swoim kursie i zada celny cios. Tak jak zrobiliśmy to w Kadyksie. Do ostatniej chwili ma być obsadzony załogą i kierowany przez dowódcę. Weź ze sobą najlepszych z obsady swojego barkasa. Wystarczy dwóch zwawych i

zdecydowanych. Na mój sygnał przetniesz linę i wytrzymujesz żagle. Pamiętaj, żeby go dobrze nakierować, na największy hiszpański okręt stojący na kotwicy. Następnie podpalisz suche gałęzie w dolnej ładowni. Dopiero potem zapalisz wolnotłący lont podłączony do baryłek z prochem. Ale masz odczekać, aż cały "Thomas" stanie w płomieniach. Wtedy zsuniecie się do łodzi i odbijecie od brandera... Czy to jasne?

— Tak jest, wasza wielmożność. — Prawie wszystko było jasne. — Tylko kiedy wolno nam będzie odpłynąć? Z jakiej odległości od Armady?

— Kiedy poczujecie ich strach! Kiedy sami zaczniecie się smażyć! — To był żart, taki

sobie lekki dowcip przed kolacją. — Od was będzie zależało, z jakiej odległości. Właśnie dlatego wysyłam ciebie, a nie kogoś innego. I Mateuszu...

— Tak, sir?

Drakę miał teraz na ustach uśmiech przeznaczony dla ulubieńca, dla człowieka, któremu mógł zaufać. — Będę czekał na twój powrót.

W tym momencie Mateusza ogarnął przerażający chłód, pojął bowiem, że nie ujrzy już Drake'a na tym świecie.

Kiedy zmierzch przeszedł w noc, wiatr południowo-zachodni nasilił się, a przypyływ

zaczynał obejmować redę Calais, Mateusz Lawe z ponurą gorliwością przystąpił do wypełniania rozkazów. Musiał pracować—od jego wysiłku zależało wszystko; gdy ustawał na chwilę, żeby pomyśleć, zaczynał odczuwać drżenie... Z dwoma marynarzami, których wybrał sobie do pomocy, Johnem Waggonerem i wiejskim chłopakiem, Jemem, przygotował "Thomasa" do jego ostatniej drogi.

Lekkie żagle górne wypełniły się, gdy tylko brander obrócił się dziobem do wiatru.

Przygotowano siekiereę do odcięcia liny i w niewi

doczny sposób zamocowano pod rufą barkas, żeby mieli czym uciec. Każdy miał latarnię do podpalania — najpierw gałęzi, potem wiązek słomy na pokładzie i na stałym takielunku, a na końcu baryłek z prochem, które wpędzą "Thomasa" do grobu — i Bóg tylko wie, co i kogo jeszcze wraz z nim.

Zrobiono wszystko, co należało. Teraz siedzieli w nocnym chłodzie na pokładzie rufowym

"Thomasa", wypatrując sygnału z "Re-venge" i więcej milcząc niż rozmawiając. Był to dzień morderczej pracy w pocie czoła. A teraz zbliżał się jego straszliwy moment kulminacyjny.

John Waggoner popatrzył na księżyc, potem na swoją gwiazdę, w którą wierzył.—Widzicie, jak się kiwa—zauważył.—Już jest pełny przyptyw.

Mateusz odmruknął coś przez desperacko zaciśnięte zęby. Natomiast młodzieńczego zapału Jema nic nie mogło stłumić. Złożył dłonie w tubkę i zawołał:

— Wasza wielmożność, dawajże nam sygnał! Spalimy dla ciebie całą Armadę! — A potem do siedzącego obok Mateusza: — Jak myślisz, spróbują poczęstować nas salwą burtową?

Mateusz otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale tylko zaszczękały mu zęby. — Do diabła z tym zimnem! — mruknął. — Człowiek nie może mówić.

— Niedługo będzie nam bardzo gorąco!

John Waggoner wpatrzył się uważnie w "Revenge". — Jest! — krzyknął. — Wciągają sygnał!

Spojrzeli w tamtym kierunku. Powoli, chwiejąc się wskutek kołysania okrętu na fali,

czerwone światło wzniosło się nad latarnię na rufie flagowca i stanęło w tej pozycji. Czas było ruszać.

Znali swoje zadanie i przeznaczone dla nich rozkazy, więc ruszyli szybko. Lina kotwiczna, przecięta przez Jema mocnymi ciosami siekiery, znikła z pluskiem pod wodą. Dziób brandera odpadł od wiatru, a marsie — jeden za drugim — zaczęły się wypełniać. Mateusz pociągając za drążek sterowy ustawił "Thomasa" na kursie. Rzut oka za rufę wystarczył, by stwierdzić, że posuwają się za nimi inne czarne duchy. Ale "Thomas" prowadził.

Płynęli pełnym wiatrem. Mateusz, przerażony, wbijał wzrok w swój cel — liczne światła

lekkomyślnie pozapalane na hiszpańskich okrętach. Miał jeszcze daleko do nich, lecz napięcie sprawiło, że nie był w stanie czekać ani chwili dłużej. Miał w głowie jedną tylko myśl: nie podpłynąć, broń Boże, za blisko do Armady. Podpalić brander i w nogi!... Powiedział do

stojącego obok Waggonera:

— Podłóż ogień pod pokładem.

— Już teraz? — zdziwił się Waggoner. — Mamy jeszcze milę albo i więcej do przebycia.

Jeżeli...

Z największym wysiłkiem Mateusz przerwał mu ostro: — Rób, co ci mówię! Podpalaj!

Waggoner ujął w dłoń latarnię i ruszył bez słowa przed siebie. Na dziobówce buchnął

ogień, a za nim pojawiły się tańczące płomienie. Wskoczywszy spod pokładu, John

Waggoner zaczął, zgodnie z rozkazami, przytykać płomyk latarni do takielunku stałego na dziobie, a potem do wiązek słomy ułożonych na pokładzie w wysoki stos. Mateusz patrzył z przerażeniem na ogień strzelający w górę i gwałtownie się rozprzestrzeniający. Był to sygnał

dla wszystkich... W Mateuszu poczucie winy walczyło ze strachem. Podłożyli ogień za

wcześniej — będzie to oczywiste dla całej floty.

Stojąc u steru prawie czuł lodowate spojrzenie wiceadmirała na tyle czaszki. Drake mógł

go nawet widzieć, czarną sylwetkę na tle płomieni. Na pewno wścieka się i złorzeczy mu. Bo

"Thomas", cały w ogniu, musiał obudzić czujność Armady i zdradzić obecność innych branderów, które miały pozostawać niewidoczne w ciemnościach nocy. "Thomas" mógł nawet zatonać niesławnie w dużej odległości od nieprzyjaciela.

Lecz zdradziecka myśl: Podpalić brander i w nogi! — wciąż brała górę w głowie Mateusza.

W jakimś momencie morderczych zmagania na Kanale poczuł, że ma dosyć wojowania.

Wszystko, co nastąpiło potem, było konsekwencją owej chwili słabości.

Musi robić swoje do końca, jakikolwiek ów koniec będzie... Poprzez ciemność krzyknął do Jema:

— Teraz twoja kolej, chłopcze. Idź z latarnią na śródkręcie i bądź gotów do zapalenia wolnotłącego lontu. Powiem ci, kiedy.

— Ależ, Mateuszu...

— Czego?

Jem, bystry, chociaż prostak, przestał rozumieć cokolwiek. — Jesteśmy jeszcze tak daleko!

Ledwo widzimy Armadę, ale oni, na Boga, lepiej nas zobaczą! Co nam da podpalenie prochu już teraz?

— Nie powiedziałem teraz! — ofuknął go Mateusz. — Na Chrystusa, nie myślisz chyba,

że każe ci zapalić lont teraz? Baryłki z prochem stoją dziesięć stóp od nas! Masz tylko iść tam i czekać w pogotowiu. Nie czujesz wiatru? Gnamy jak burza.

— Jak burza... — powtórzył Jem, oglądając się na dziób statku objętego strzelającymi w górę płomieniami. Z takielunku spadały już na pokład wielkie placki topniejącej smoły. — Ta burza jest dla nas, a nie dla donów. Po mojemu, palimy się za wcześnie.

— A ja ci mówię, rób, co każe! — Miotany strachem i wstydem Mateusz prawie krzyczał.

— Mam powiedzieć wiceadmirałowi, że jeden z mojej załogi odmówił posłuszeństwa?

— Powiedz mu, co chcesz. — Były to najzuchwalsze słowa, jakie Jem wypowiedział w

swoim życiu. Wzruszył potężnymi ra-

mionami, wziął swą latarnię i poszedł. Mateusz stracił kolejnego przyjaciela.

“Thomas” sunął nurzając się dziobem w fali, samotny ognisty znak nawigacyjny na

rozhuśtanym morzu. Płomienie rzucały na wodę poblask czerwony jak krew. Niemożliwością

było stwierdzić, w jakim płyną kierunku. Wszystko stracone, zaprzepaszczone. Ale może jakiś cenny drobiazg — może życie jednego człowieka zostanie uratowane.

Brander przechylił się nagle na opadającej fali. Nadpalone drzewce z ogarniętego ogniem fokmasztu zwały się z trzaskiem na śródkręcie. Krzyk dobiegający z ciemności oznajmiał, że spadło na Jema. Pewnie przygniotło go do pokładu. Latarnia, którą trzymał w ręku,

zatoczyła szalony łuk w powietrzu i padła na snop słomy. Sucha podpałka błyskawicznie zajęła się ogniem.

Mateusz, zdezorientowany, wypuścił z rąk drążek sterowy i krok za krokiem zaczął się posuwać w stronę morza skaczących płomieni. — Jem! — krzyczał przerażony.

— Przygniotło mnie! — usłyszał pełen bólu głos Jema. — Chryste!... Urwało mi nogę!

Pomóż mi, Mat!

W blasku płomieni Mateusz dojrzał Jema, który bijąc rękami próbował tłumić ogarniające go języki. Przypominał człowieka pochwyconego przez monstrualnie stłoczone fale pływów.

Ale Mateusz myślał tylko o jednym: za moment ogień obejmie baryłki z prochem. Nad jego głową po linach grotmasztu spływała już kaskada stopionej smoły.

Zaczął się cofać.

Jem, w palącym się kaftanie, gwałtownymi ruchami rąk usiłujący gasić obejmujący go krąg płomieni, widział jego odwrót i jeszcze był w stanie zdumieć się zachowaniem przyjaciela: —

Mateuszu! Ty uciekasz! Nie słyszysz mnie?

Z dala, od strony dziobu, dobiegł czyjś inny krzyk. To wołał John Waggoner, też uwięziony przez ogień.

Mateusz Lawe spojrział w jedną stronę, potem w drugą. Za moment wybuchną baryłki z prochem albo wypalą podwójnie nabite działa, siejąc wokół zniszczenie. Nie było już czasu nawet na odczepienie barkasa i zsunięcie się do niego. Podbiegł do burty.

Za sobą słyszał bolesny krzyk Jema: — Mateuszu! Ogień! Moja noga! Ty przeklęty tchórze! Czy chcesz żyć wiecznie?

Lecz Mateusz Lawe był głuchy na wszystko poza biciem własnego serca — przerażone waliło, jakby miało zaraz pęknąć. Jednym skokiem przesadził nadburcie i znalazł się w morzu, zostawiając swoich towarzyszy. W ten sposób postradał honor i postawił się poza nawiasem świata uczciwych marynarzy.

Dumny galeon "San Vigilio", najpiękniejszy w eskarze biskajskiej, był teraz tylko umykającym wrakiem. Jego dowódca, Don Jago de Olivarez, zdawał sobie z tego sprawę. Czuł



zarazem strach i wstyd. W miarę jednak upływu dni coraz bardziej godził się z myślą, że nie może na to nic poradzić.

Siedział sam w swoim salonie, czterdzieści stóp nad poziomem fal, głodny i zmarznięty jak cała jego załoga — czy Anglicy naprawdę mogą żyć w tym ostrym północnym klimacie? A

jeśli tak, to jak to robią? Otuliwszy płaszczem chude ramiona, zastanawiał się — jak wkrótce będzie się zastanawiać cała Hiszpania wraz z monarchą i może z samym Panem Bogiem —

gdzie tkwił błąd w ich przedsięwzięciu.

Wyruszyli na takich wspaniałych okrętach, z tak wielkimi nadziejami. Grandę Armada

Felicissima miała w pełni osiągnąć wytyczony cel: zabić, na jego własnych wodach, El

Draque'a, tego pirata, który miał czelność mienić się admirałem; najechać jego kraj —

siedlisko wszelkiej zarazy, strącić z tronu tę niewiastę, co nazywa siebie królową Elżbietą; podać sobie ręce z przyjaciółmi z ziemi angielskiej i sprowadzić błądzący naród z powrotem w objęcia Chrystusa i Hiszpanii.

Mieli naprawdę wielkie nadzieje! Co wpędziło ich w tak rozpaczliwą sytuację? Zrucano

winę na to, że pokpili sprawę nie zdobywając Plymouth, gdy miasto było bez obrony. Ale jakże Medina Sidonia, głównodowodzący floty oceanicznej, mógł zmienić królewskie rozkazy?

Kwestionowano też hiszpańskie umiejętności bojowe w długotrwałych zmaganiach na Kanale.

Cóż jednak mogła zdziałać nieruchawa Armada w walce z małymi, lecz zwinnymi okrętami, które wyskakiwały do przodu, oddawały salwę burtową i umykały jak psy, co szczerkawszy uciekają z podkulonym ogonem?

Ostatnim usprawiedliwieniem była pogoda, tak bardzo sprzyjająca Anglikom, a tak nieprzyjazna dla okrętów Hiszpanii.

Dlaczego tak się stało? Czyżby to był palec boży? Ale przecież na jednym tylko "San

Vigilio" było dziesięciu księży, odprawiających wspólne modły pięć razy dziennie! Kapelan i spowiednik Olivareza (który nie musiał nigdy dowodzić flotą ani nawet czymś takim jak

cuchnący hulk zaopatrzeniowy, załadowany zjełczałą oliwą z oliwek) kazał mu szukać plamy grzechu we własnym sercu. Gmerał więc w nim, aż stało się obolałe i puste, jak baryłka po wodzie, i nie znalazł nic.

Jeśli miał jakiś grzech, to była nim pycha, z jaką wyruszyli z La Coruni; pycha, co kazała im wierzyć, że zrobią pośmiewisko z niewielkich okrętów angielskich, a teraz zredukowała królewską Armadę do

rozproszonej garstki, umykającej, jak krewetkowce, do jakiegokolwiek miejsca schronienia.

Don Jago de OHvarez owinął się ciasniej w opończę. Był głodny i zmarznięty, ale wszyscy byli głodni i zmarznięci. I tacy chudzi... Niewątpliwie od czasu, gdy rzucili kotwice na redzie Calais, sytuacja potoczyła się wielce niewłaściwym torem.

Sądziło się, że będą tam bezpieczni, przynajmniej przez noc. Kto ośmieliłby się w

ciemnościach atakować stojącą na kotwicach zmasowaną potęgę Armady? W ów

świętobogobłogosławiony, spokojny Dzień Pański nie mogło już być zabawy w kota i mysz... Jedynym

zagrożeniem byłyby brandery, gdyby Anglicy zdołali przygotować je na czas; była też mowa o diabelskich machinach — barkach wyładowanych szatańskim wynalazkiem: bombami

zdolnymi siać ruinę i zniszczenie w promieniu mili.

Armada więc przygotowała się na brandery, zaopatrując pinasy w bosaki do ich

odpychania. I były brandery; a że obrona przed nimi z użyciem pinas nie powiodła się z

powodu ciemności i nie sprzyjającej pogody, cała flota musiała odciąć kotwice i rozproszyć się w ucieczce przed groźbą spłonięcia jak drewniane wióry w piecu.

To prawda, że żaden z atakujących, objętych ogniem branderów nie osiągnął celu z winy

jakiegoś pomylenia na jednym z nich, który wzniecił alarm, kiedy Armada miała jeszcze czas na ucieczkę, ale ucieczka nie kosztowała jej mniej, niż kosztowałby jakikolwiek inny atak. Jej śpieszne odpłynięcie tuż po północy, przy zasnutym chmurami księżycu i silnym wietrze,

spowodowało kompletny chaos.

Okręty schodziły z kursu i ładowały się na mieliznę, w zamieszaniu wpadały na siebie i

szcepiwszy się, wzajemnie niszczyły. Przecięte liny oplątały ster jednego z galeonów, tak że uwiązany jak krowa na pastwisku, nie był w stanie uciekać, nawet gdy nastał świt.

Jak gołębie, między które dostały się wojownicze koty, więcej szkód spowodowały swoim gorszącym miotaniem się niż cała angielska flota.

Olivarez ze swoim "San Vigilio", który prowadził jak odważny kawalerzysta konia, był

jednym ze szczęściarzy. Ujrzawszy ogarnięty płomieniami brander, gdy ten był jeszcze w

sporej od nich odległości, przeciął linię kotwiczną, nie czekając na rozkaz admirała, i opuścił cumowisko przed resztą floty, biorąc kurs na północny wschód, w kierunku wybrzeża flamandzkiego. Tam stanął na kotwicy, a o świcie odnalazł okręt flagowy "San Martin" i dołączywszy do niego, podobnie jak pięć innych jednostek, wysłał zwiadowcze pinasy na poszukiwanie maruderów.

Do południa połączyli to, co się ostało, i znów byli Armadą, chociaż mniejszą i pogruchotaną. Potem wiatr zmienił się nieprzyjemnie; zaczął dąć ostro z kierunku południowego, od strony cypla. Musieli więc zapomnieć o czekających na zaokrętowanie wojskach księcia

51

Parmy, o planach inwazji z Dunkierki i dalej płynąć na północ, dokądkolwiek miałby ich zawieść ten kurs.

Przed zmierzchem angielski pościg, dowodzony przez El Draque'a, znowu zaczął następować im na pięty.

Wciąż gotowa wznowić walkę, Armada ponownie uformowała się w półksiężyc, który poprzednio okazał się tak skuteczny. Przez całą drogę od wybrzeży Europy ku Morzu

Północnemu, aż po Przylądek Północny, Naze, przylądek Spurn i ujście rzeki Tyne, toczyła się zażarta bitwa, pomyślniejsza jednak dla El Draque'a i innych angielskich dowódców.

Tym razem artylerzyści angielscy pokazali, co potrafią w pościgu. Dziurawili okręty

hiszpańskie jeden po drugim i tak długo ostrzeliwali takielunek, aż nieszczęsny hulk nie wytrzymał i stawał się igraszką wiatru. Hiszpanie robili, co się dało, nie byli jednak w stanie mierzyć się ze zwinnymi okrętami przeciwnika, któremu od cypla Margate do Newcasde i

dalej ciągle sprzyjał wiatr.

Wkrótce Anglicy mogli podchodzić blisko i strzelać, jak chcieli, Armada bowiem oprócz

braku żywności i wody doświadczała teraz niedostatku najgorszego rodzaju — jej pierwszej skończyła się amunicja. Za mało wydatkowano na ten cel, nim król rozkazał wyruszyć. W

końcu jej okręty mogły już tylko uciekać, przy wietrze z rufy nie mniej bezlitosnym niż nieprzyjaciel.

Mogłyby zostać zniszczone całkowicie, gdyby również atakujący nie stanęli przed tym samym problemem. Drastyczne skąpstwo angielskiej władczyni, wyliczającej każdy pocisk, jakby to były rubiny z królewskiego skarbcza, nie pozwoliło odnieść pełnego zwycięstwa. Byli jeszcze w gorączce pościgu, gdy lufy ich dział również ostygły z braku prochu.

Mogli tylko podążać w ślad za przeciwnikiem, wytrwale, choć w milczeniu, aż do cypla

Berwick, aby — pokazawszy mu stanowczo, gdzie są tylne drzwi Anglii — odpłynąć ku Firth of Forth. Armada, rozproszona, lecz jeszcze duża liczebnie, znikła za skrywającym kłopoty widnokrzem. Chociaż hiszpańska potęga morską nie została raz na zawsze zmieciona z

powierzchni morza, na co liczyła Anglia, nigdy już nie połączy swoich sił z siłami księcia Parmy ani jakimikolwiek innymi aż do spotkania na Sądzie Ostatecznym.

Jako jeden z braci-żeglarzy, którzy poznali królewskie skąpstwo i niedbalstwo, Don Jago de Olivarez nie poczułby się zaskoczony innym złośliwym obrotem spraw.

Jeszcze hiszpańscy jeńcy wojenni, wzięci na postronki, byli prowadzeni stadami jak bydło wzdłuż wybrzeży Anglii, a już załogi angielskich okrętów rozpuszczano do domu, żeby

oszczędzić królowej wydatków. A czyniono to w tak bezlitosnym pośpiechu, że chorzy i zagłodzeni marynarze, wysadzani na ląd ze słowami: "Dziękujemy

i żegnajcie", poniewierali się i umierali na ulicach Dover, Margate i Harwich, a także w każdym innym porcie, który wysłał swoich synów w bój.

Teraz "San Vigilio" został sam, sierota i ofiara burzliwych tarapatów.

Początkowo sześćdziesiąt okrętów — czy nawet więcej — trzymało się razem. I chociaż

nigdy już nie uformowały się w swój półksiężyc ani w żaden inny wykonalny szyk, płynęły przynajmniej blisko siebie i o chłodnym brzasku każdego nowego dnia mogły wypatrzeć

marsie towarzysza i oczyma duszy ujrzeć przyjazne oblicza. Lecz tygodnie nie sprzyjającej pogody, towarzyszącej im prawie do krańców Szkocji, sprawiły, że musiały się rozproszyć.

Teraz każdy okręt był pozostawiony samemu sobie i w rezultacie zaczęły ginąć w tej morskiej pustyni.

Olivarez, przebijający się ze swoim postępującym okrętem przez najgorsze wody świata,

obok nieprzyjaznych cypli Caithness i między Orkadami i Wyspami Szedandzkimi, poznał

przedsmak katastrofy i mógł tylko błagać Zbawcę, aby nie stała się jego udziałem.

Musiał patrzeć, jak jego ukochanych, oddanych marynarzy i mocne okręty, z którymi

przeszedł tyle prób, morze wyrzuca na brzeg niby zmurszałe dryfujące drewno. Biedne okręty, podziurawione w bitwach przez pociski dział i tak silnie uszkodzone przez sztormy, że nad pokład nie wystawał nawet kawałek masztu, opuszczone przez załogę, były wpędzane przez

fale na brzeg, gdzie rozbijały się doszczętnie. Inne, z głodującymi załogami na pokładzie, dryfowały miotane bezlitosnymi wichurami, aby znaleźć swój kres na wodach Norwegii lub

Rosji czy w niezmiernych lodach Arktyki.

Na sprawnych jeszcze okrętach powyrzucano za burtę konie i muły, żeby oszczędzić cenną

wodę. W pewnej chwili załoga "San Vigilio" stwierdziła z przerażeniem, że płyną przez morze tych nieszczęsnych stworzeń, których przeraźliwe wycie zagłuszało wycie wiatru.

Widzieli, jak ostatni towarzyszący im okręt, galeon "San Jose", został rzucony na skały Orkad, gdzie natychmiast wysypały się z jaskiń gromady tubylców, aby mordować usiłujących dostać się na ląd marynarzy, którzy miotani falami przyboju, walczyli w śmiertelnym

przerażeniu o życie. Jednakże atakujący ich wyspiarze byli sprawniejsi, toteż nikt nie dotarł

żywy dalej niż kilka stóp od granicy pływów.

"San Jose" był ostatnim widzianym przez nich bratnim okrętem. Gdy przestał istnieć, "San Vigilio" został osamotniony w pustce rozhukanego morza, nie mając w polu widzenia nawet skrawka żagla innego okrętu.

Dla Olivareza była to godzina największej samotności w życiu. Wstyd z powodu klęski, o

której wieść na pewno obiegnie świat,

NICHOLAS MONSARRAT

pogłębiał beznadziejny stan okrętu, za który on jeden był odpowiedzialny. Na "San Vigilio"

nie pozostało już nic do jedzenia poza zepsutym mięsem, soloną rybą i spleśniałym, twardym jak kamień chlebem; do picia mieli niemiłosiernie cuchnącą wodę z baryłek. Marynarze marli z głodu, bo sam widok takiego jedzenia wywoływał wymioty.

Takielunek był beznadziejnie splątany, a wyczerpana załoga, pracująca przy pompach

przez okrągłą dobę, aby utrzymać okręt na powierzchni wody, nie miała ani siły, ani ducha, żeby zabrać się do jego naprawy. Pod pokładami leżało całe mnóstwo chorych i rannych, bez żadnej nadziei na pomoc poza rozgrzeszeniem przez spowiedników.

Ze stanowiska na pokładzie rufowym, którego prawie nie opuszczał, Olivarez widział swój okręt

borykający się z falami i bliski zagłady, z odrętwieniem przyjmując wicher atakującą ich z nieopisaną wściekłością, zalewającą mu twarz bryzgami tak słonymi i kłującymi, że skóra zaczynała krwawić. Potrzebowali miesiąca na opłynięcie przylądka Wrath, straszniejszego od wszystkiego, co dotąd oglądały hiszpańskie oczy. Tam właśnie wicher uderzyła w "San

Vigilio" z pełną siłą, a wysokie jak góry fale, przebiegłszy cały Atlantyk, wyładowywały swoją furję na ostatnim ocalałym okręcie.

Sprzeczne myśli miotają teraz Olivarezem. Musiał kierować się ku brzegom Hiszpanii, a tu wiatr swoim wyciem oznajmiał sprzeciw. Głodująca załoga musiała dostać pożywienie, lecz gdzie w tej pustce znaleźć chociaż trochę chleba albo mięsa? Stojąc obok walczącego z

morzem sternika i trzymając się kurczowo poręczy Olivarez podjął decyzję. Kapitan musi dokonywać wyboru i ponosić za ten wybór konsekwencje, nawet gdyby powodowały uszczerbek na honorze albo bolesne cierpienia duszy.

Bez względu na to, co się stanie, gdy zejda na ląd, i jak bardzo krwiożercze będzie

powitanie, nie może ryzykować wyjścia na rozszalały Atlantyk, aby odwrócić w ten sposób ostatnią stronicę historii ich strasznej wyprawy, zanim załoga nie odpocznie, nie dokona napraw i nie załaduje wystarczającej ilości zapasów, jakiegokolwiek by były dla ich

podniebienia.

Tak więc o zmierzchu pewnego bardzo chłodnego dnia wrześniego okręt wpełzł do

wąziutkiej przystani, która według wyblakłej mapy morskiej miała się znajdować na wyspie Muli, i tam stanął na kotwicy. Ale zamiast dogodnych warunków do wypoczynku i gościnnych tubylców zastali plażę pokrytą kłującym łupkiem, strome urwiska, a na nich drzewa

wystawione na wszystkie wiatry świata. Kilka poczerńiałych chat z kamienia, pokrytych

dziurawymi strzechami, kryło, być może, jakieś obserwujące ich oczy, lecz nie pokazała się ani jedna twarz i nie zaszczał żaden pies.

## ŻEGLARZ

Jakąż to przystań znaleźli dla siebie? Co się stało z ich marzeniami? Czy Bóg zasnął? Don Diego de Olivarez utkwiał wzrok w lądzie, a ląd odpowiedział mu spojrzeniem zdającym się wyrażać nienawiść do okrętu i do całej jego załogi. Na zmizerowanej twarzy Olivareza pojawił

się wyraz gorzkiego rozczarowania, a w jego sercu zgasła nadzieja.

Służący Olivareza, Carlos, przypominający wyglądem, jak on sam, wynędniały strach na

wróble, zbudził go z przerywanej drzemki, gdy słońce podniosło się nad widnokrąg miejsca ich schronienia i jego promienie przeniknęły przez okno kajuty. Olivarez, śpiący od wielu nocy w ubraniu—dla powitania w większej gotowości żalostnego świtu — zeszywniał z chłodu.

Otrząsnąwszy się z zamroczenia, zdał sobie sprawę, że czegoś brakuje na "San Vigilio". I zaraz odkrył czego. Okręt się nie kołysał, nie nurzał dziobem w wodzie i nie przewalał z fali na falę jak pijak szukający drogi do domu. Stał nieruchomo.

A więc więzień wyrwał się z kajdan i znalazł jakieś schronienie.

Były rzeczy, które Olivarez mógł robić na oczach zaufanego sługi, a których żaden

hiszpański grand nie zrobiłby przy nikim innym. Ziewnął szeroko, przetarł zlepione snem oczy i przeciągnął od tak dawna zbolące członki.

— Carlosie, która to godzina?

— Dochodzi dziewiąta, wasza wielmożność.

— A jaki mamy dzień?

Carlos, od dłuższego czasu pogodzony z nieprzyjaznym światem, wciąż potrafił witać narodziny każdego nowego dnia nastrojem, na jaki ten dzień zasługiwał. Na jego pomarszczonej woskowobladej twarzy malował się zły humor.

— Zimny jak jałmużna, wasza wielmożność. A w nocy spadł nawet śnieg. — Wymówił

"śnieg" tak, jakby to było słowo, które nie powinno nigdy wyjść z ust chrześcijanina. — Jak ludzie mogą żyć w takim czyścicu... Marynarze nie muszą szukać końca świata. Mają go tutaj, przed nosem!... Czy coś pan zje teraz?

Po wielu dniach Don Jago poczuł wreszcie apetyt.—Tak. Co masz dla mnie?

Carlos wydał cienkie wargi. — Wino z korzeniami, wasza wielmożność. Chleb opiekany na oleju. Ryby niech pan nie je, bo nawet rybom nie przeszłaby przez gardło.

To samo obrzydliwe jedzenie co zawsze. Po nocy w bezpiecznym miejscu Olivarez nie mógł tego zrozumieć. — Czy oddział zaopatrzeniowy jeszcze nie wrócił?

— Nie, wasza wielmożność. I Bóg jeden wie, co uda im się tu znaleźć!

— Kiedy zeszli na ląd?



— Dwie godziny temu albo i wcześniej.

Ta sprawa wymagała większej uwagi. — Przynies wina, a potem wezwij do mnie Don Alonza.

— On już czeka, panie.

— Niech wejdzie.

Don Alonzo, bratanek i sekretarz OHvareza, zabrany na okręt bardziej żeby oddać

przysługę kochanemu bratu niż ze względu na jakieś jego szczególne zalety, stracił już wiele z tej gorliwości i zapału, z jakimi dołączał do załogi "San Vigilio" na ciepłym wybrzeżu La Coruni. Teraz najtrafniej określały go słowa: "młody zmarniały elegancik".

Nic z jego świetnej garderoby nie przetrwało wyprawy bez szwanku. Sięgające ud buty z

miękkiej skóry, kiedyś ciasno opinające jego męskie łydki, opadały żałośnie jak wielkanocna dekoracja w miesiąc po święcie Zmartwychwstania Pańskiego.

Wciąż tęsknił za słońcem ukochanej Kordoby, za dawnym jedzeniem i winem

sprawiającym, że życie było zupełnie znośne. Brakowało mu towarzystwa eleganckich

przyjaciół i ciemnych oczu dziewcząt; on, który przysiągł, że przed każdym śniadaniem nabije na szpadę dziesięciu Anglików, teraz uściskałby tych wstrętnych nieprzyjaciół jak braci, gdyby dali mu trochę spokoju i czystą bieliznę, a przede wszystkim umożliwili szybki powrót po spokojnym morzu do kraju, gdzie mógłby dyskutować, jak blisko świetnego zwycięstwa była jego Armada.

Wszedłszy do salonu i pozdrowiwszy stryja, zaczął natychmiast rozcierać dłonie. Od

ponad dwóch miesięcy cierpiał z powodu dokuczliwego zimna i chciał, żeby to zostało zauważone.

Olivarez nie był w nastroju do żartów. — Są jakieś wiadomości o grupie zaopatrzeniowej?

— Nie ma, stryju, jak się orientuję.—Don Alonzo, nie oczekujący niczego dobrego, póki jego prywatny świat nie wróci do normy, odpowiedział tak, jakby pytanie nie dotyczyło niczego ważnego.

— Przecież oni są na lądzie od siódmej!

— Tak słyszałem.

— Czy nigdzie ich nie widać?

— Chyba nie. — Don Alonzo czuł, że do tych słów musi dodać jakieś wyjaśnienie. — Na pokładzie jest tak zimno. Czekałem na wiadomości w kajucie.

Gdyby ten chłopiec nie był synem mojego brata, pomyślał Olivarez, powiesiłbym go jako leniwego, nic nie wartego hultaja! Od tak dawna jednak odczuwał tę chęć, że przestała być groźna. Komary cięży dotkliwiej na panamskim wybrzeżu... Zapytał:

— Więc po co tu przyszedłeś?

Don Alonzo spojrział na stryja szeroko otwartymi oczyma gazeli. — Pomyślałem, że może stryj będzie chciał coś mi podyktować.

— Matko Boska! — Olivarez zdenerwował się w końcu. — Co miałbym dziś pisać?

Bratanek odparł urażonym tonem: — Ależ, stryju, ja nie mam pojęcia.

— Czyli obaj jesteśmy w tej samej sytuacji!

Lecz Don Alonzo, jak osaczona łania, odważnie wysupłał z głowy nadającą się do przedstawienia sprawę: — Już sobie przypominałem. Fray\* Bernardo chce widzieć się z wami.

— Czego chce? Znowu ktoś przeklinał?

Na wszystkich hiszpańskich okrętach przestrzegano ściśle zasady, że nie będą tolerowane żadne przekleństwa szkodzące ich świętej sprawie; na "San Vigilio" więcej marynarzy dostało chłostę za wzywanie imienia boskiego nadaremno, niż było szczurów w ładowniach. Kapelan okrętowy, Fray Bernardo, bardzo tego pilnował.

Don Alonzo, trochę obrażony, zaprzeczył ruchem głowy. — To z pewnością nie moja sprawa, ale on uważa, że ciąży na nas klątwa.

Jedna klątwa, pomyślał stryj Alonza, stoi właśnie przede mną... Czy po to wysiłam wszystkie moje władze fizyczne i umysłowe, żeby przywieźć takie motylki z powrotem do domu, do jedwabnej pościeli?... Odpowiedź kapitana mogła być tylko "tak".

— Idź i powiedz, żeby na mnie czekał.

— Tak, stryju.

— A potem dowiedz się, co z tym zaopatrzeniem.

— Tak, stryju.

— Idź na pokład rufowy w najlepszej futrzanej opończy.

Alonzo wyszedł bez odpowiedzi.

Fray Bernardo, dominikanin, zawsze był chudy; i w kraju, w nagrzanym słońcem zamku na zboczach Sierra de Guadarrama, i na pokładzie "San Vigilio", uwięzionego w tej lodowatej szkockiej dziurze. Gdziekolwiek się jednak znalazł, zawsze z taką samą zajadłą pobożnością posługiwał się tym samym biczem.

Don Jago de Olivarez czasami chciałby mieć więcej sympatii dla swego kapelana, jak przystało dobremu synowi Kościoła, lecz potrafił się zdobyć tylko na szacunek dla jego urzędu i sposobu, w jaki go

sprawował. Może też odczuwał pewien lęk — lęk człowieka piastującego władzę książęcą wobec tego, którego władza pochodziła od Boga.

Chwilami ten sługa Boży sprawiał wrażenie, jakby miał duszę równie wyschlą jak ciało.

Nie narażając się wcale na miano heretyka można by rzec, że osoba posiadająca taką świętą moc nie powinna być tak okrutna w stosunku do tych, co zeszli z drogi albo jej nigdy nie znaleźli.

Mimo chłodu i szarości poranka Fray Bernardo promieniał gorliwością.

— Dzień dobry, synu.

— Dzień dobry, Fray Bernardo. Mam nadzieję, że cieszy cię, iż dla odmiany możesz odpocząć.

— Nie odpoczywam. Odpoczynek to gnuśność. A gnuśność jest grzechem.

Dobrze, dobrze, pomyślał Olivarez. Bóg wybaczy nam, grzesznikom... Chcąc lżej podejść do poważnej sprawy, zaczął:

— Przykro mi, że jeszcze nie znaleźliśmy świeżej żywności. Ale może nasz los odmieni się wkrótce.

— Może się wcale nie odmienić.

Olivarez popatrzył uważnie na stojącego przed nim zakonnika, na jego kościstą twarz,

jakby wyrzeźbioną z wyschniętego oliwkowego drewna; twarz, której wyraz nigdy nie łagodniał.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo na twoim okręcie wciąż znajduje się trucizna.

Olivarez westchnął. A więc o to mu chodzi... Mimo tylu innych kłopotów kapelan wciąż pragnął swego żeru... — Czy on czuje się dobrze?

Fray Bernardo odpowiedział szyderczo: — Chyba nigdy nie będzie czuł się lepiej.

— W takim razie o co chodzi?

Duchowny doskonale udał zdumienie. — O słuszną karę dla heretyka! O co by innego?

— Więc należałoby pozwolić mu umrzeć.

— To nie byłaby kara, lecz ucieczka od niej.

Don Jago znowu westchnął. Ci dominikanie są tacy nieugięci! Nie bez powodu przezwano ich Domini Canes — Psy Pańskie. Ale po co tuczyć ofiarę przed jej zarżnięciem? Czemu tak bardzo pragnął rozedrzeć na kawałki przerażonego Anglika, który — wpadłszy w ich ręce

przez przypadek — mógłby się z nich wydostać, gdyby łaskawie puszczono go wolno?

— Czy mówił coś?

— Wiele razy. I zawsze to samo. Ale już koniec z tym. Ja muszę wykonywać swoje obowiązki, a ty swoje.

— On jest jeńcem wojennym.

— On jest heretykiem, zarazą, obrazą Wiary! Czy dziwi cię, że tak bardzo zostaliśmy

pokarani? Przesłucham go formalnie, w twojej obecności. Ustalę jego winę wobec Boga, a ty go ukarzesz wobec świata. Tylko tak można oddać Bogu chwałę — i oczyścić ten okręt!

Nie będzie temu końca, póki Fray Bernardo nie dopnie swego. A zatem trzeba sprawę

załatwić, i to im wcześniej, tym lepiej... Płynęli przez wiele tygodni z tym problemem na pokładzie: problemem człowieka — marynarza z łodzi.

— W porządku — ustąpił Don Jago. Trochę udając, mógł przyznać, że nie było to wielkie

ustępstwo w porównaniu z grożącymi im niebezpieczeństwami. — Niech go przyprowadzą.

Mateusz Lawe zbudził się z niedobrego snu, jak zwykle szarpnięty mocno przez strażnika.

Ci ludzie, sami w żalonym stanie, mogli tylko demonstrować swą nikłą władzę kopniakami, szturchańcami, przekleństwami i wymysłami. Na tym pływającym lazarecie to jedynie

odróżniało dozorcę od więźnia i pana od niewolnika.

Obudziwszy w ten sposób Mateusza, strażnik przygniół mu szyję obcasem, żeby zmusić

go do obrócenia wzroku na migoczącą świecę, i gestami i głosem przypominającym warczenie psa próbował dać mu coś do zrozumienia. Miało to znaczyć: "Wstawaj! Ale już! I chodź za mną!", a gdy Mateusz stanął na chwiejnych nogach, pchnięciem wyjaśnił mu rzecz do reszty.

Po raz pierwszy od tygodni miał stąd wyjść.

Na drżących nogach szedł za strażnikiem po drabinie, potem po drugiej i trzeciej. Na jej najwyższym szczeblu kazano mu usiąść. Raz chociaż zostawiono go w spokoju, nie darząc

kopniakami ani przekleństwami, az siedząc odzyskał siły w słabym świetle dnia

— w świetle po raz pierwszy widzianym od czasu wydarzeń na redzie Calais.

Przez te tygodnie ciągle leżał w ciemnej norze pod pokładem, półprzytomny, chory i

głodzony, cierpiąc z tych wszystkich powodów, a także od wstrząsów towarzyszących bitwie na morzu. Instykt marynarza powiedział mu, że okręt, na którym się znalazł, jest ogromny; a mimo to przez cały czas był miotany przez wysokie jak góry fale, tłuczony, dziurawiony i rozszarpywany pociskami, odpowiadając zaś ogniem własnych dział, stawał się piekłem

wypełnionym hukami i ogniem.

Potem wstrząsy stopniowo ustawały i po dniach czy tygodniach

— leżąc w ciemnościach Mateusz nie potrafił ich zliczyć — wrócił względny spokój.

Kanonada umilkła i jedynym wrogiem pozostało teraz morze, wciąż wściekle bijące w

pogruchotany kadłub, i to

— sądząc po nieustannej pracy pomp, dzień za dniem, wachta za

wachtą — wrogiem, który mógł się okazać gorszy od wszystkich innych.

Dla rannych i chorych nora, w której przebywał Mateusz, była schronieniem, ostatnią

kruchą drabinką łączącą życie ze śmiercią. Wciąż znoszono tu coraz to nowych marynarzy, aby konali

u jego boku. Gdy przestawali jęczeć, ich żalсна podróż kończyła się. W takiej klatce tortur, poniewierany strasznymi sztormami, karmiony czymś, co ominąłby szczur, szukając czegoś lepszego, raz dziennie dostając kubek śluzowatej, zielonkawej wody — Mateusz Lawe miał czas na rozmyślania nad swoim położeniem i winą, która go tu przywiodła.

Podczas tych dni tortur niektórzy hiszpańscy marynarze, mimo że widzieli, w jakim jest stanie, potrafili przed śmiercią znaleźć jeszcze siły, żeby mu urągać. Któryś próbował nawet udusić go we śnie, lecz nie zdążył, bo sen wieczny uśmierzył jego wściekłość. Jednakże nienawiść żadnego z tych wrogów nie mogła się równać z tą, jaką żywił sam do siebie, ani uwolnić go od świadomości hańby.

Uciekwszy jak tchórz z brandera, walczył o życie płynąc co sił w kierunku przybrzeżnych pól Flandrii, lecz zamiast tam dostał się w sam środek obłądnego chaosu przypominającego stan w jakim również się znajdował. Gdy w gęstych ciemnościach zauważono pierwszy

brander, Wielką Armadę ogarnęła panika i obawa o jej zagrożone kotwiczowisko. Wiatr poniósł ostrzegawcze wołania, huknęły strzały z sygnalizacyjnych dział, rozbłysły latarnie i rozległy się głucho odgłosy uderzeń siekier — słowem, wszelkie oznaki alarmu.

Między lądem a morzem zaczęły się poruszać czarne cienie. Za plecami Mateusza brandery — te rzeczywiste, nie zaś niesławny "Thomas", który rozpadł się po wybuchu, ledwie Mateusz zdążył opuścić jego pokład — wdarły się, płonące, między okręty hiszpańskie.

Mateusz Lawe borykał się z morzem, już na pół żywy i przemarzły do szpiku kości, a tymczasem bezpieczna przystań zamieniła się w pułapkę i wielu marynarzy walczyło, jak on, o życie. Gdy mijał go jakiś ogromny cień, Mateusz ostatnim desperackim wysiłkiem — to zapamiętał — uchwycił się mniejszego cienia, barkasa zapomnianego w gorączce bitwy i wciąż

holowanego za rufą kolosa. W panicznym strachu wgramolił się do niego i tam stracił przytomność. Ocknął się dopiero następnego dnia, koło południa, przynajmniej tak mu się wydawało, w tej cuchnącej norze, z której go właśnie wyprowadzono.

Nie umiałby powiedzieć, ile tygodni najdotkliwszych cierpień przeżył w tym mrocznym zamknięciu. Spośród wszystkich żywych istot tylko jedna była dobra dla niego — ksiądz.

Surowy ksiądz, który zadawał mu pytania i rozważał odpowiedzi, jakby od tego mogło zależeć Mateuszowe życie. A wyglądało, że chce, aby Mateusz żył, to zaś było więcej, niż dało się powiedzieć o strażnikach.

Mateusz nie pytał dlaczego. Mógł tylko darzyć miłością jedyną przyjazną osobę.

W tym cuchnącym konfesjonale nie wyznawał wszakże całej prawdy. Czy przed Bogiem trzeba się wstydzić tak samo jak przed człowiekiem?... Powiedział, że wypadł za burtę jednego z branderów. Że nie jest szpiegiem ani kimś wysłanym z tajnym zadaniem dokonania zniszczenia, a tylko pechowym marynarzem. Przyznał się, że jest wyznawcą angielskiego protestantyzmu, ale — dodał przypochlebnie i uniżenie — nie miał okazji poznać innej wiary. Czy wyrzeknie się swoich grzechów? Mateusz odparł zgodnie z prawdą, że chciałby to uczynić.

Strażnik popatrzył na niego i dał znak gestem, że czas iść. Z bolesnym wysiłkiem Mateusz wszedł po jeszcze jednej drabinie i następnej. Czy ten niesamowity okręt nie ma końca? Był chyba największy, na jakim Mateusz postawił dotychczas stopę, a teraz ukazywał mu się w całej swojej wspaniałości.

Rozległe pokłady, leżące jeden nad drugim coraz wyżej i wyżej, wzbijały się ku niebu, jakby szydząc z morza. W miarę nasilania się światła i migotania nikłego blasku wdzierającego się przez furty strzelnicze, zanim słońce w pełnej jasności wlało się przez okna wykuszowe, zupełnie jak w pałacu, Mateusz mógł się tylko dziwić, że "Revenge" i wszystkie okręty angielskie razem wzięte ośmieliły się stanąć do walki z tym monstrem i rzucić mu wyzwanie.

Jednakże mijani marynarze nie pasowali do swego okrętu. Chociaż wielu miało wspaniałą odzież i broń wykonaną przez artystów w swoim fachu, wszystko nosiło znamiona zniszczenia — ubrania były złach- manione i brudne, a broń pokryta rdzą. I wszyscy byli niezwykle chudzi i ponurzy... Przechodząc obok tych strachów na wróble nie zobaczył nikogo, kto by nie wyglądał tak samo biednie, mizernie i żałośnie jak on.

Mogli już tylko spoglądać na niego z resztką nienawiści i pogardy, bo własne strapienia prawie doszczętnie wypaliły w nich ducha. Miał wrażenie, że zdają sobie sprawę, iż wszyscy, przyjaciel czy wróg, są jednakowo skazani. Czy Hiszpan może uważać się za lepszego od

Anglika, gdy znajdują się w jednej trumnie i wkrótce mogą zostać owinięci w taki sam śmiertelny morski całun?

Z pokładu rozświetlonego chłodnymi promieniami słońca wszedł do kajuty wspanialszej niż obie razem zajmowane na "Ark Royal" przez lorda Howarda. Zastał w niej księdza, którego już znał i darzył zaufaniem, i wyniosłego pana o dumnej twarzy, którego nie znał.

Zaczął się przesłuchanie.

Angielszczyzna Fray Bernarda była doskonała, a Don Jago znośna. Wspólnie ustalili

szybko, w jakim Mateusz jest stanie i jak trafił do niewoli. Pech chciał, że jest ich jeńcem wojennym, że on, angielski

marynarz, dostał się w ich ręce z morza. Swoje życie zawdzięczał "San Vigilio". Teraz było ono warte mniej niż najmniejsza moneta świata.

Don Jago de Olivarez, który mimo wysokiej rangi nie był arogancki ani bezwzględny,

przyglądał się zmaltretowanemu nieszczęśnikowi, odzianemu w nędzne jenieckie łachy. Sam będąc ofiarą pecha, mógł mu tylko współczuć.

— Carlos! — krzyknął na służącego, a gdy ten pojawił się niezwłocznie, jak każdy sługa z uszami zawsze blisko otwartych drzwi, rozkazał: — Daj mu kubek wina.

Z kwaśną miną Carlos spełnił rozkaz. Chociaż wyraz jego twarzy mówił: "Wino dla tego

psa?", to jego ruchy były zwinne jak zawsze. Musiał być posłuszny, nawet gdy trzeba było zrobić coś dobrego dla heretyckiego śmiecia. Mateusz pił łapczywie wino, a Olivarez dalej mu się przyglądał. Nagle jego oczy, oczy marynarza, zwęziły się. Zapytał ostro:

— Co masz na szyi?

Z trudem pojawiwszy, o co jest pytany, Mateusz odparł: — To mój gwizdek, wasza wielmożność.

— Tak też myślałem... Ja również noszę srebrny gwizdek, jako dowódca tego okrętu, chociaż, rzecz jasna, nie używam go... Więc kłamałeś? Kim jesteś? Oficerem?

— Nie, sir. Sternikiem kapitana.

Olivarez odwrócił się pytająco do Fray Bernarda, który tłumaczył, jak umiał najlepiej. —

Mówi, zdaje się, że jest sternikiem.

Mateusz chciał im pomóc. Nie bardzo wiedział jak, więc wykonał ruchy wyrażające

sterowanie łodzi wiosłem. — Nie, sir — powtórzył. — Dowodziłem łodzią okrętową. Gwizdek to oznaka mojego stanowiska.

— Taka ważna osoba... Czyja to była łódź?

— Wiceadmirała. Sir Francisa Drake'a.



Zapadła śmiertelna cisza. Żaden Hiszpan na całym świecie — nawet książdż, wyższy ponad sprawy ziemskie — nie mógł nie odczuć dreszczu gniewu lub strachu na dźwięk nazwiska Drake'a. A więc stoi przed nimi człowiek splamiony infamią, piractwem i podłą zdradą; człowiek, który stykał się z prawdziwym potworem oceanów i zaraża "San Vigilio"... Olivarez, czując lodowaty dreszcz, wrócił wolno do przesłuchania.

— Ach, tak... My nazywamy go El Draque... Różnie go nazywamy... Byłeś zatem, jak powiadasz, jego sternikiem. Ale dowodziłeś też branderem? Jakże to?

Mateusz był za słaby i za wolno myślał, żeby zamilczeć. — To był jego własny brander, wasza wielmożność. Wiodący. Nazywał się "Thomas".

— Wiodący? Czy to ten, który nas zaalarmował?

— Tak, sir.

Olivarez patrzył surowo na Mateusza. — Czy El Draque wypada za burtę? Czy wypadają jego wyborowi marynarze? Dlaczego twój statek został podpalony tak wcześnie?

— Przez pomyłkę, wasza wielmożność.

— Twoją pomyłkę?

— Tak.

— Co to była za pomyłka? Podłożyłeś ogień przez przypadek?

— Nie, wasza wielmożność. Myślałem... myślałem, że jesteśmy wystarczająco blisko.

— I nie chciałeś podejść bliżej?

Nie będąc w stanie napotkać spojrzenia Olivareza, Mateusz opuścił wzrok na bogaty dywan zaścielający kajutę. — Tak, sir.

— A potem... wypadłeś?

Mateusz wiedział, że ten wielki pan o duszy marynarza domyśla się prawdy, i pilno mu

było ją wyznać — oczyścić się z winy przed kimś takim. Pokręcił przecząco głową. — Nie, wasza wielmożność. "Thomas" stanął w ogniu i zaraz mógł wybuchnąć! No to ja...

wyskoczyłem.

Kiedy Don Jago powiedział: — Jesteśmy ci wdzięczni — wstyd Mateusza osiągnął szczyt.

Milczący dotąd Fray Bernardo poruszył się niecierpliwie. Wiele wysiłku kosztowało go

wysłuchiwanie tych wszystkich nudnych pytań o to, jak i dlaczego. Jakież miało znaczenie, że angielski marynarz okazał się tchórzem lub głupcem? Jest wiele istotniejszych spraw na tym świecie i rzecz najważniejsza — na tamym. Gra idzie o duszę człowieka, a nie o jego

reputację.

Ze zdecydowanym wyrazem suchej, oliwkowej twarzy Fray Bernardo przejął prowadzenie

sprawy. Tonem wyższej władzy zwrócił się do Don Jago: — Teraz, synu, pozwól mnie

poprowadzić przesłuchanie.

Nie można było odmówić mu tego; ale Mateusz na ton słów księdza, których treści nie

rozumiał, zareagował zdumieniem.

Fray Bernardo był wyrafinowanym i gorliwym indagatorem, równie biegłym w sprawach

wiary, jak Don Jago w sprawach morskich. Nie dotknął żadnego tematu, jakiego wcześniej nie poruszał, lecz teraz zestaw jego pytań zmienił się w gwałtowne oskarżenie ubrane w chytre ozdobniki, aż w końcu Mateuszowi nie pozostało nic innego, jak potulnie się poddać.

— Wymieniłeś El Draque'a — zaatakował — a to nazwisko nie może być żadną

rekomendacją. Powiedz, co El Draque sądzi o rzymskiej wierze?

Mateusz był wciąż przekonany, że ksiądz doceni prawdę, nawet przykrą dla swych uszu. —

Nienawidzi jej.

— Czy uczył cię tej nienawiści?

— Mówił o tych rzeczach.

— A ty słuchałeś i wierzyłeś?

— On był naszym głównym kapitanem.

— Nie o to pytam. Czy mu wierzyłeś?

— Tak.

— A więc nienawidzisz Rzymu? I zniszczyłbyś go?

Teraz, dosłyszawszy płomienny ton w słowach księdza i zdawszy sobie sprawę z

niebezpieczeństwa, Mateusz zaczął wątpić w przyjacielskie nastawienie duchownego. — Sir, już przecież mówiłem, że wiem tylko to, czego mnie nauczono.

— Wiem, czego cię uczyli. Chcę usłyszeć, w co wierzysz teraz. — A gdy Mateusz

jeszcze się wahał, Fray Bernardo nadał swemu głosowi ton łagodnej groźby: — Czy uczono

cię, że posługujemy się biczem i zaciskającymi się kajdanami dla zmuszania ludzi do

mówienia prawdy?

— Tak, sir — odparł cicho Mateusz.

— No cóż, mogłeś w to wierzyć... Zaczniemy jeszcze raz, bez wykrętów. Czy jesteś... czy ty jesteś wrogiem rzymskiej wiary?

Teraz był koniec z wykręcaniem się. Podczas gdy Don Jago patrzył obojętnie na

udręczonego Mateusza, nie proponując dalszych kubków \yina, Fray Bernardo rzucał pytanie za pytaniem i groźbę za groźbą. W końcu Mateusz dawał już tylko takie odpowiedzi, jakie spodziewał się, że ksiądz chce usłyszeć.

Tak, nienawidził Rzymu, bo go tego nauczono. Tak, musiał być w błędzie, ponieważ za

mało wiedział i dał się zwieść kłamstwom. Tak, wierzy w to, co mu teraz mówi Fray Bernardo.

Łatwo przyznał się do grzechów i wyraził chęć okazania za nie skruchy. Był gotów się pokajać.

Przyjmie tę nową wiarę, ponieważ jest to jedyna prawdziwa wiara. To dar Boga dla heretyka.

I właśnie wtedy padły słowa, które były dla niego straszliwym wstrząsem. Fray Bernardo, usiadłszy znów na krześle, prawie łagodnie skinął głową ku stojącemu przed nim

nikczemnikowi.

— To dobrze — powiedział. — Wyznałeś teraz wszystko, wszystkiego się wyparłeś i w

końcu odkryłeś prawdę... Dzięki nieskończonemu miłosierdziu boskiemu możesz umrzeć w

spokoju.

Oszukany, wprawiony w kompletne osłupienie, Mateusz utkwiał w księdzu nie

dowierzający wzrok, gdy to, co usłyszał, dotarło do jego świadomości. A więc wszystko było kpina,

potwornym, okrutnym żartem, zabawą w kotka i myszkę, w której — cokolwiek by

mówił i jak dalece upodlające byłoby jego poddanie się — nie miał szans wygrać. Czyli to, czego ich uczył Sir Francis, było prawdą: Hiszpanie torturują i palą żywcem swoich więźniów na chwałę ich bezlitosnego Boga!

Mimo swego podrzędnego stanowiska i tego, co zyskał stając się zdrajcą i renegatem, mógł także posłać do diabła papieża ze wszystkimi jego sztuczkami!

Nie bacząc na niebezpieczeństwo Mateusz już miał gwałtownie zaprotestować, ale nie zdążył. Z zewnątrz dobiegły ich nagle krzyki, nad głowami rozległ się ciężki tupot nóg, a potem salwa z muszkietów. Czy "San Vigilio" został zaatakowany? Mateusz nie mógłby życzyć sobie nic lepszego... Niechby ten okręt smażył się w ogniu piekielnym, podsycanym ciałami wszystkich przebywających na nim przewrotnych klech!...

Lecz cisza, która potem zaległa, nie zapowiadała dobrej nowiny. Gdy umilkły muszkiety, z zewnątrz dały się słyszeć czyjeś śpieszne stapania. Don Jago wyjął szpadę i stanął w

pogotowiu, ale człowiekiem, który wpadł bez tchu do kajuty, był jego bratanek, Don Alonzo.

— Stryju, stryju! — zawołał splatając dłonie, jakby w obawie, że mogłyby mu odpaść. —

Oddział aprowizacyjny!

Olivarez bez słowa wsunął szpadę do pochwy. Dziwna rzecz, ale wolałby, żeby ich

angielski jeniec zobaczył i usłyszał coś lepszego niż tę bladą ćmę, jego krewniaka... Spytał

sucho:

— I co z tym oddziałem aprowizacyjnym? Jakie wieści przynosisz?

— Najgorsze, jakie mogą być! — odpowiedział Don Alonzo. Głos jego był nabrzmiały cierpieniem, jakiego nie doświadczył dotąd żaden Hiszpan. — Chyba wszyscy nie żyją...

wyrznięci przez tych piekielnych łajdaków!

— Powiedz krótko, co się stało.

— Och, stryju! To było straszne! Moje serce krwawi z powodu tych dzielnych ludzi!

Widzieliśmy tylko dwóch z nich, biegnących w dół ku plaży, jakby goniły ich hieny. I

faktycznie! Gonili ich mężczyźni w spódnicach. Odcięli im głowy ogromnymi mieczami,

zanim biedacy zdążyli dopaść łodzi. — Zupełnie roztrzęsiony zwrócił się do Carlosa: —

Błagam, daj kubek wina!

— Co znaczyły strzały z muszkietów?

— To myśmy strzelali! Ja sam strzelałem do tych diabłów i pozabijałbym wszystkich...

Niestety, byli za daleko... Ale reszta naszych ludzi... musieli zostać napadnięci i wymordowani!

Wreszcie stało się jasne, co zaszło. — Zostaw to wino — rozkazał Olivarez. — Idź do kapitana Barramedy i powiedz, żeby natychmiast stawił się u mnie.

— Ale co możemy zrobić? Tysiąc tych diabłów może czyhać w ukryciu, gotowych poderznąć nam gardła!

— Tysiąc mężczyzn w spódnicach?... Już cię nie ma! — Olivarez zwrócił się do Mateusza i księdza: — Musimy przerwać przesłuchanie — oznajmił. — Nie mogę teraz zajmować się takimi rzeczami.

Chociaż w takiej chwili wola kapitana powinna wziąć górę nad każdą inną, Fray Bernardo stanowczo chciał doprowadzić swoje zadanie do końca. — A twój werdykt, synu? Sprawa jest jasna. Ten człowiek to...

— Ten człowiek jest niczym — rzucił ostro Olivarez. — Musimy uratować naszych

ludzi... albo ich pogrzebać. I dalej nie mamy zaopatrzenia, a ja muszę je mieć. — Zobaczywszy bratanka stojącego przy drzwiach, Don Jago de Olivarez, człowiek dobrze wychowany, po raz pierwszy w życiu huknął: — Alonzo! Nie słyszałeś, co powiedziałem? W tej chwili sprowadź mi kapitana Barramedę! Chyba że sam chcesz dowodzić wyprawą ratunkową.

— Ja sam? No dobrze...

Galancik odwrócił się i pobiegł, uciekając przed rozpętanym się prawdziwej burzy albo czegoś jeszcze gorszego.

X

Jeśli "mężczyźni w spódnicach" sądzili, że mogą się zabawić z oddziałem

zaopatrzeniowym, złożonym z piętnastu marynarzy przybyłych w jednej łodzi, to musieli

zmienić zdanie na widok trzech łodzi z setką uzbrojonych ludzi, dowodzonych przez oficera wyglądem przypominającego lśniący posąg Herkulesa. Gdy wróciwszy kapitan Barrameda

składał na pokładzie rufowym raport Ólivarezowi, o swoim lądowaniu wspomniał tylko tyle, że przebiegło spokojnie i bez zakłóceń. Natomiast jego straszna relacja o tym, co się stało, wzbudziła grozę i gniew.

Barrameda, mężczyzna imponującego wzrostu, był najbardziej bojowym żołnierzem na

“San Vigilio”, a jego pułk, Pierwszy Biskajski, szedł za nim, jak inni by szli za Ojcem Świętym. Z poważnym wyrazem twarzy pod lśniącym hełmem zasalutował Don Jagowi,

swemu podziwianemu przyjacielowi i dowódcy, i zdał mu raport w suchych, prostych i

krótkich słowach, jak przystało na żołnierza.

— Nie znaleźliśmy nieprzyjaciela, wasza wysokość, nawet włosy z ich przeklętych łbów,

ale znaleźliśmy naszych ludzi. Wszyscy martwi, co do jednego. Ostatnich dwóch zabito na plaży, przy samej łodzi. Inni zostali zaskoczeni i zarębani na śmierć w trakcie napełniania baryłek wodą. Rozebrano ich do naga, obcięto palce, na których mieli pierścienie, z szyj zerwano różańce. Ale najpierw odcięto im głowy i zabrano.

Obecni na pokładzie rufowym słuchali Barramedy w milczeniu, wstrzymując oddech. Co

to mogli być za ludzie? Olivarez, z głową huczącą od myśli o okrutnej zemście, zapytał:

— I nie zobaczyliście nikogo? Gdzie ukryli się ci mordercy?

— Myślę, wasza wysokość, że na wzgórzach. Chaty, oprócz jednej, były puste.

Moglibyśmy stracić tydzień na pościg za łotrami i nie znaleźć żadnego. Nie tracąc więc na to czasu pogrzebaliśmy naszych i zabraliśmy się do napełniania baryłek wodą i do szukania

żywności. Warto wysłać ludzi jeszcze raz albo tyle razy, ile wasza wysokość uzna za

wskazane. Jest tam dobra woda, trochę zwierzyny i jakieś zboże. Będziemy musieli być dobrze uzbrojeni, ale to nie problem.

— Co przywieźliście?

Barrameda miał wszystko w pamięci, jak przystało na kogoś, komu powierzono zadanie do

wykonania. — Szesnaście baryłek wody. Trzy sarny upolowaliśmy, a w chatkach znaleźliśmy

dziesięć wędzonych. Jest też jedna czy dwie świnie i całe mnóstwo ryb. A mój porucznik zastrzelił ptaka podobnego do orła. — Uśmiechnął się, pierwszy raz podczas ponurej relacji. — Były czasy, wasza wysokość, kiedy nie potrafilibyśmy zjeść orła... Przywieźliśmy też więźnia, który ukrył się w chacie i stamtąd miotał na nas przekleństwa.

Don Jago powiedział groźnym tonem: — Damy mu więcej okazji do przeklinania nas... i matki, która go wydała na świat!

— To kobieta, wasza wysokość. Stara wariatka. Ale dumna... Wygląda na czarownicę.

Mimo to mogłaby nam powiedzieć coś istotnego.

— Gdzie ona jest?

— W barkasie, wasza wysokość. Bawi się wnętrznościami sarny.

I faktycznie była wariatką ta starucha o wyglądzie czarownicy,

właśnie wciągnięta na pokład i postawiona wśród tych, którzy ją ujęli. Ale była dumna, jak powiedział kapitan Barrameda, który na pierwszy rzut oka mógł określić, jakim człowiekiem jest dany mężczyzna, a z połową prawdopodobieństwa potrafił powiedzieć to samo o kobiecie.

Była dumna z czegoś, czego nie zdołali odgadnąć. Dopiero Mateusz Lawe dostarczył klucza.

Marynarze z "San Vigilio", rozwścieczeni losem, jaki spotkał ich towarzyszy, urządzili sobie pośmiewisko ze starowiny, która niespodziewanie znalazła się wśród nich. Mieli przed sobą drobną kobietę w łachmanach, z dłońmi zakrwawionymi po nadgarstki, spoglądającą na nich nieprzeniknionym wzrokiem, jakby posiadała moc decydowania o życiu lub o śmierci

każdego, na kogo padło jej spojrzenie.

Miała haczykowaty nos, oliwkową, ciemniejszą od nich cerę i siwą grzywę zmierzwionych włosów; poruszała się z wielką swobodą, bardziej skacząc niż chodząc. Wciąż wykrzywiała grymasami twarz, robiła miny, strzelała pokrzywionymi palcami i zachowywała się pogardliwie w stosunku do tych mężczyzn, w których władzę popadła tylko przez przypadek.

Przy całej swej dumie była niewiarygodnie brzydka i hiszpańscy marynarze i żołnierze, początkowo zaskoczeni, zaczęli stroić żarty na ten temat. Fray Bernardo, stojący wśród

oficerów na wyższym pokładzie, słuchał ich dowcipkowania z kamienną twarzą lub udawał, że nie słyszy. Kpiny i prześmiewcze gesty stawały się coraz dosadniejsze, lecz adresowano je

początkowo tylko do załogi łodzi, która zdobyła taki przyz. Jak już muszą przywozić niewiasty, to niech przywożą lepsze.

Kpili, wykrzykiwali nieprzyzwoite słowa i wybuchali ordynarnym śmiechem, gdy im

urągała lub gdy myśleli, że urąga, bo język, którym staruszka mówiła, był im zupełnie nie znany. Kiedy w końcu zaczęli posuwać się za daleko, oddała mocz na pokład, a zrobiła to z dumą i jakby z obrzydzeniem do motłochu niegodnego nawet jej pogardy.

Chociaż Don Jago był tolerancyjnym dowódcą, uznał to za sygnał do ukrócenia

zachowania załogi. Oficer nawigacyjny, a potem kapitan Barrameda rzucili groźne rozkazy i grupka prześmiewców cofnęła się. Oficerowie zeszli na niższy pokład i stanęli przed starą kobietą.

Fray Bernardo, mający ziemską wiedzę a kierowany boską ręką, wydał się

najodpowiedniejszą osobą do nawiązania kontaktu z tym dziwacznym gościem. Robił co mógł, posługując się wspomaganą latynizmami angielszczyzną, przeplataną wyrazami francuskimi, a wreszcie hiszpańskimi, by w końcu przyznać, że nic nie rozumie z jej odpowiedzi.

— Jej mowa przypomina jakby angielszczyznę—rzekł do Olivarez-za. — Ale tak bardzo

przekręca niektóre słowa, że z trudem można się w nich domyślać przekleństw i złorzeczeń.

Słyszałem, jak mówiła, że potrafi przepowiedzieć godzinę naszej śmierci, a jest to przecież wyłącznie boska sprawa. A co do reszty... — Chociaż raz stracił pewność siebie i zasłonił się opinią erudyty: — Moim zdaniem brak jej wykształcenia.

Czegóż innego mógł oczekiwać, na litość boską? — pomyślał Olivarez, przyglądając się

zagadkowej dla nich, zdziczałej istocie, na pół kobiecie i na pół małpie, lecz nie powiedział

tęgo na głos. Ludzie zdrowi na umyśle, nawet tacy, co mogą rozmawiać z Bogiem, są przecież tylko zwykłymi ludźmi. Ta wariatka może nie tylko rozmawia z Bogiem, lecz zna Jego język...

Potem przyszło mu na myśl pogardliwe zdanie Fray Bernarda, że jej mowa jakby przypomina angielszczyznę, i uprzytomnił sobie, że ma przecież Anglika.

— Sprowadzić jeńca—rozkazał. Czekali w milczeniu, aż rozzłoszczeni strażnicy, którym

rzucano sprzeczne rozkazy wedle widzimisię zwierzchności, wyciągną znowu Mateusza z jego więziennej nory.

Mateusz Lawe, ponownie wywleczony na światło dzienne bez słowa wyjaśnienia, poza

normalnymi złorzeczeniami, pomyślał, że prowadzą go na śmierć. I mniej by go to zdziwiło niż



“dom wariatów”, do którego został doprowadzony. Wielcy panowie i oficerowie, wśród których nagle się znalazł, spoglądali na prostego marynarza zjadliwie i z głęboką hiszpańską arogancją, na jaką nie przygotowała go nawet służba na okrętach królowej. Było też wielu ludzi z załogi “San Vigilio” i wszyscy oni wlepiali oczy w człowieka, o którym słyszeli, lecz którego dotąd nigdy nie widzieli. Jego pojawienie się przywitali pomrukiem, powtarzając jedno słowo: “Ingles”.

Pośród wrogiego mu audytorium stała przy wykuszu stara kobieta, pierwsza, jaką oglądał od czasu pobytu w Plymouth Hoe straszne trzy miesiące temu. Była jak on wyrzutkiem, ludzką istotą w krańcowym osamotnieniu i niebezpieczeństwie, odartą z godności jak zajęc ze skóry przed wrzuceniem go do garnka.

Wielki pan, Don Jago de Oliyarez, czekający niecierpliwie na przybycie Mateusza, nie tracąc więcej czasu rozkazał:

— Dowiedz się, kim jest ta kobieta, będąca naszym więźniem. Nie możemy zrozumieć jej mowy. Zadaj jej jakieś pytania!

Devończyk tłumaczący Hiszpanom mowę szkocką? — sytuacja tak samo zwariowana jak wszystko inne na świecie, który stanął do góry nogami... Mateusz mógł tylko odpowiedzieć: —

Tak jest, wasza wielmożność — i przystąpić do wykonania dziwaczного polecenia.

Zadanie okazało się prostsze, niż myślał. Tajemnicza starucha wyglądała na wzruszoną jego obecnością i chętnie — a nawet dość ulegle — odpowiadała na jego pytania. Chociaż jej mowa była równie chropowata jak skały strzegące ich przystani, była jednak — jak przypuszczał Fray Bernardo — czymś w rodzaju angielszczyzny.

Mateusz rozpoznał i śpiewność, i zgrzytliwe tony zapamiętane z dawnych czasów, z mowy pedla w szkole dla ubogich w Barnstaple, wyrzutka, jak on, z dalekiej północy królestwa, brodacza ziejącego ogniem i siarką na gromadkę małych sierot, między przekleństwami oplakującego swoje wygnanie z krainy, którą nazywał “Szkocją bez Skazy”.

Mateusz nie musiał wierzyć w to, co opowiadała mu starucha i co relacjonował Don

Jagowi, miał tylko przekazywać jej słowa mądrzejszemu od siebie, żeby ten mógł coś z nich wywnioskować.

Ta kobieta, mówił, to czarownica. Sławna czarownica o imieniu Morąg. Ma władzę nad

ludźmi prostymi i posłuch u wodzów. Jest spadkobierczynią czarownicy pochodzącej z Drumninów, mieszkającą na stałym lądzie. Przybyła tu na coroczne wróżby i przypadkowo wpadła w pułapkę zastawioną przez obcych tyranów, nie zdających sobie sprawy ze swej podłości i z wyrządzonej jej zniewagi — ani z własnego pecha.

Umie przepowiadać przyszłość. Nawet takim barbarzyńcom jak oni; chociaż to, co by usłyszały ich uszy, mogłoby zabrzmieć jak zapowiedź plagi egipskiej. Mogłaby ich przeklinać bez przerwy, lecz to Bóg przeklnie ich stokrotnie za położenie rąk na jednej z Jego wybranek.

Może przepowiedzieć przyszłość... Jest z tego znana, tak jak znana była jej matka i babka, która zmuszona siłą, poszła do łóżka z królem Szkocji, a obudziła się z trupem na piersi.

Umie...

W tym punkcie długiej i powolnej wypowiedzi wtrącił się Fray Bernardo, pytając przez zaciśnięte wąskie wargi:

— Jeżeli jest taką sławną czarownicą, to czemu tak łatwo dała się nam schwytać? Czemu nie przewidziała tego i nie uciekła? Dlaczego dała się zaskoczyć w chacie?

Mateusz zadał kobiecie te pytania, a ona, obrzuciwszy księdza rozgnionym spojrzeniem, odpowiedziała wulgarnie:

— Klecha znajdzie odpowiedź, jak podniesie swoją sukienkę! Rzeczy nie używane kurczą się. Tym, co ma, może tylko dłużyć sobie w uchu.

Mateusz ostrożnie przekazał Fray Bernardowi jej odpowiedź.

— Powiada, że nie wie. — Odwróciwszy się do czarownicy Morąg dostrzegł w jej oczach głęboko skrytą iskierkę rozbawienia.

Teraz z kolei ich zdobyczą zainteresował się OHvarez. Jako człowiek o umyśle badacza, zawsze starał się czegoś dowiedzieć. Gdyby Morąg oświadczyła, że jest alchemiczką, zażądałby, aby dla udowodnienia swoich słów zamieniła w złoto jedno z jego miedzianych dział. A że przechwalała się umiejętnością przepowiadania przyszłości, zainteresowała go właśnie przyszłość.

— Wypróbujmy ją — powiedział do otaczających go ludzi.

— Jeżeli potrafi przepowiadać, to chętnie jej posłucham.

— Och, stryju! — wykrzyknął drżąc bratanek Alonzo. — Taki okropny babsztyl! Czy nie widzicie, co ona... Naprawdę chcecie jej wysłuchać?

— Z całą pewnością.

Fray Bernardo miał poważniejsze zastrzeżenia. Wziął Don Jaga na bok i powiedział bezceremonialnie: — To grzech. Przesąd. Nie wypada ci pozwalać na to.

— W tej przeklętej dziurze nie istnieje coś takiego jak “wypada” albo “nie wypada” —

odparował Olivarez. — Straciłem piętnastu ludzi. Zamordowano ich! Chcę usłyszeć, co czeka resztę nas... — A do Mateusza: — Powiedz tej starej łachmaniarce, niech przepowiada. Zapytaj ją.

— O co mam pytać, sir?

— Spytaj o los Armady.

Czarownica Morąg była przygotowana na to pytanie i na wykazanie się swoimi możliwościami. Odpowiedziała pytaniem: — Jakiej Armady?

Te słowa, nie wymagające tłumaczenia, rozgniewały Don Jaga. — Doskonale wie, jakiej!

Całej potęgi Hiszpanii... Co ją spotka?

— Będzie gorzej, niż było. — Wszyscy usłyszeli szyderstwo w głosie staruchy, które

miało zabrzmieć jeszcze silniej. — I mniej, niż było. Słysząc, że Hiszpanie z całą swoją potęgą nie zdobyli nawet jednego małego angielskiego okrętu... Nie spalili ani jednej owczarni w całym kraju... Za to wzięli dwóch cennych jeńców: marynarza, który wpadł im w ręce przez przypadek, i starą kobietę... Taka jest ta wielka Armada!... — Gdy Mateusz, śmiertelnie przerażony jej zuchwalstwem, przekazał te słowa, zapytała go: — Chcą usłyszeć więcej?

— Chyba nie.

Lecz przynajmniej Don Jago chciał pytać dalej. — Wystawiasz się na niebezpieczeństwo

— rzekł ostro do Morąg. — Bo my nie wstydzimy się naszego pecha.—Potem, w nagłym

przyływie odwagi, rozkazał: — Prorokuj! Prorokuj! Gdybym miał cię powiesić, to nie za mówienie, lecz za milczenie!

Spojrzała na niego rozognionym wzrokiem: — Jesteś pewien, wielki panie?

— Tak.

— Jak chcesz... — Zamruczała coś do siebie i skrzyżowała dłonie na chudej piersi, a potem sama sobie wymierzyła mocny policzek; wyglądało, że wpadła w trans. Jej głos zmienił się, brzmiał głębiej i przychodził jakby z daleka. Zaczęła mówić nie jako "ja", lecz "my", jakby otaczały ją zgłodniałe diabelskie duchy. — Widzimy: hiszpańscy jeńcy, powiązani ze sobą linami, gnani są batem do domu, jak chłopcy, którzy coś przeszkrobali.

Mateusz powtarzał to, co mówiła, zrozumiałymi słowami. Bał się coraz bardziej, ale mógł robić tylko to, co mu kazano. Olivarez, powściągając gniew, zapytał: — Co będzie z naszym okrętem?

— Twój okręt leży w krainie Macleana... Mamy tu małego wodza, Macleana z Deuart...

Lecz jego rodzina to będą wielcy panowie i oni będą przez wieki szukać tego okrętu.

— Szukać? Jak to szukać? Gdzie szukać?

— Tu, w tym miejscu —| odrzekła Morąg. Czy może jej znajome duchy przycupnięte na jej ramionach?

— Jak to możliwe?

— Powiadamy wam, że tak będzie.

— Jak się nazywa to miejsce?

Odpowiedź była tak niewyraźna, że Mateusz poprosił o powtórzenie. — Tobermory.

— I oni będą szukać tego okrętu w Tobermory?

— Do końca czasu.

Olivarez odetchnął z ulgą. To nie miało sensu. Może stara czarownica była tylko zwykłą wariatką. Lecz Fray Bernardo, w którym

jej świętokradcze mamrotanie budziło coraz większe zniecierpliwienie, zaatakował ją z nagłą zjadliwością:

— Usłyszeliśmy dosyć! — krzyknął. — Jesteś złym duchem! — Obrócił rozwścieczone

spojrzenie na Mateusza. — Oboje jesteście złymi duchami! I zapłacicie Bogu za to!

Po chwili ciszy Morąg zawołała głośno: — On jest poza waszą władzą!

Z gardłem ściśniętym wściekłością Fray Bernardo był tylko w stanie wydusić z siebie: —

Moja moc jest mocą Boga. Nie ma nic ponad nią!

— My nie patrzymy twoimi głupimi oczami. Jesteś ślepy. A my nie. Powiadamy ci, nie

zabijesz tego człowieka. Żaden śmiertelnik nie zada mu śmierci. Ludzie jeszcze nie poczęci połamią miecze na skale jego twierdzy. — Jej głos zaczął słabnąć, a stare ciało osunęło się, jak ptak pozwalający zamknąć się w klatce. — Posłuchajcie naszego ostatniego słowa —

powiedziała łamiącym się szeptem. — On nie umrze... Będzie wędrować... przez burzliwe wody... aż...

— Aż co?

— Aż wszystkie morza wyschną... — Ze skrzekliwym jękiem czarownica upadła na

pokład bez zmysłów; wszyscy obecni na "San Vigilio" mieli przed sobą jedynie kupę kości w łachmanach i słyszeli tylko żałobne zawodzenie wiatru, w którym trochę było o życiu, a bardzo dużo o śmierci.

Hiszpański grand nie spierał się ze swoim świątobliwym spowiednikiem, a rzucony na

morze kapelan z wielkiej rodziny nie konkurował ani mieczem, ani wiedzą ze swoim

wielmożnym protektorem. Lecz rozmowa Don Jaga de Olivarez z Fray Bernardem, utrzymana

w formalnych granicach przyzwoitości, była burzliwa i zakończyła się zawieszeniem broni zawartym tylko z rozsądku.

Natychmiast po gorszącym widowisku Fray Bernardo upomniał się o swoją ofiarę:

— Musisz oczyścić okręt! — nalegał w kółko. — Staruchą nie zawracajmy sobie głowy —

może nie mogła zostać zbawiona i teraz pewnie jest w czyścicu. Lecz angielski jeniec... Czy nie widzisz, mój synu, że jego życie jest stracone? Skazał się sam, własnymi słowami, a

czarownica przypieczętowała wyrok swoim przekleństwem. Uznałem go za winnego

nikczemnej herezji. Teraz ty musisz zrobić, co do ciebie należy.

Oliyarez jednak nie zrobił nic. Nie mógł zrozumieć, dlaczego zwariowane przesłuchanie, jakie miało miejsce na pokładzie, tak bardzo go poruszyło — lecz tak właśnie było. Chociaż nie wierzył słowom

czarownicy, nie chciał im się przeciwstawiać. Ani skazać na zgubę tego

nieszczęsnego zbiega, cokolwiek by postanowił Kościół

Święty. Tylko Niebiosa powinny zdecydować o dniu śmierci tego człowieka. Naciskany do granic cierpliwości Olivarez powiedział jedynie:

— Pomyślę o tym. — A potem z władczym chłodem dodał: — Na razie mam czterystu

chorych i tylu martwych, iluś ich sam naliczył. Trzeba tego człowieka zagonić do roboty.

Fray Bernardo, zbity z tropu, odrzekł na to: — Wiem, że jesteś w błędzie, mój synu. — I na tym skończyła się pora zabijania.

XI

Z jaskini w zboczu skały, legowiska po jeleniu ukrytego w kłujących wrzosach, Mateusz

spoglądał na "San Vigilio", który stał pół mili pod nim, w przystani Tobermory. Widział

zluzowane żagle i proporce rozwinięte przez silny wiatr. Dojrzał też gromadkę marynarzy biegnących żwawo na dziób, żeby wyciągnąć kotwicę.

Był w okropnym stanie, przemokły do suchej nitki, głodny i zziębnięty, lecz ten widok

rozgrzał go jak nic dotąd w jego życiu i napełnił uczuciem szczęścia, jakiego nie doznał od czasu swego pierwszego Bożego Narodzenia. "San Vigilio" odpływał wreszcie z całą załogą: dzięki temu liczba jego wrogów zmalała o połowę.

Od przeklętego przesłuchiwania Morąg minęło osiem dni, w czasie których na galeon

załadowano wodę, mięso sarnie i trochę innego jedzenia, jakie udało się znaleźć podczas wypraw zaopatrzeniowych, i przygotowano okręt do odpłynięcia. Były to bardzo złe dni dla kogoś naznaczonego piętnem śmierci czy może nawet gorzej — piętnem życia.

Czarownica Morąg przesądziła o jego egzekucji. Wcześniej cierpiał z powodu jednego

wielkiego wroga, księdza, który mu oznajmił, że musi umrzeć za swe przeszłe grzechy, lecz teraz na pokładzie "San Vigilio" cały świat stał się jego wrogiem. Mateusz budził lęk i nienawiść w marynarzach i żołnierzach. Przepowiednia, że będzie żył do końca czasu,

rozniosła się po okręcie jak długi i szeroki, a gdy jedni z tego powodu przestali go dręczyć, zaczęli nękać go drudzy, ci, co ze strachu przed żalosnym własnym końcem zapragnęli, aby stał się on i jego udziałem, zanim nie będzie za późno.

Każdego dnia o zmroku Mateusz czekał na śmierć, a budząc się rano w swej norze witał

nowy dzień z tą samą przerażającą obawą. Wiedział, że to nie miłosierdzie odsuwa ten moment, lecz nie potrafił odgadnąć co.

Tymczasem zapędzono go do roboty, jak zwykle jeńców, którzy muszą zapracować na nędzną strawę. Najpierw do obrzydliwego sprzątania zapychanych co noc ustępów, a potem — błogosławiona ulga — posłano go na wyprawy zaopatrzeniowe.

Pilnował jednej z łodzi w czasie, gdy załoga przetrząsała okolicę w poszukiwaniu żywności. Początkowo przywiązywano go do stewy rufowej, żeby nie mógł uciec, a w razie zaskoczenia był pierwszym do zabicia. Później jednak, z lenistwa czy lekceważenia, zaprzestano tej ostrożności i zostawiano go z innymi marynarzami pilnującymi łodzi. Przez sześć roboczych godzin mógł więc na stojąco rozglądać się do woli.

W dniu, który miał być ostatnim w tym nieco lżejszym okresie niewoli, Mateusz odkrył, że ma przyjaciela.

Był to Juan Batista, biedny głupawy chłopak, ofiara nieustannych prześladowań, przed którymi bronił się w jeden tylko sposób—uśmiechem. Pewnego ranka uśmiechnął się do

Mateusza. Zbliżyli się do siebie i zaprzyjaźnili. Tego dnia zachowywał się tak, jakby miał coś Mateuszowi do zakomunikowania, ale że nie umiał powiedzieć tego słowami, Mateusz go zaś nie rozumiał, wyraził to rysunkiem na piasku.

Szturchnąwszy Mateusza łokciem, żeby przywołać jego uwagę, gdy leżeli przy swoich łodziach, sięgnął po kawałek drewna oszlifowanego przez fale i wyrzuconego na brzeg i

nakreślił zarys galeonu. Wskazał przez zatokę na "San Vigilio", a Mateusz kiwnął głową, że rozumiał. Następnie narysował słońce w postaci kółka na niebie. Starł je i nakreślił drugie kółko, dalej, po lewej stronie okrętu. Potem starł obraz "San Vigilio", zostawiając tylko słońce.

Na plaży był jeszcze jeden człowiek pilnujący łodzi, gburowaty, tępy Andaluzczyk, lecz pośpieszny rzut oka w jego stronę pozwolił stwierdzić, że jest zajęty paznokciami u nóg.

Mateusz energicznie przytaknął głową i odwzajemnił szczery uśmiech Juana Batisty. Jak dotąd, sprawa była jasna. Rano słońce będzie na niebie, lecz "San Vigilio" nie będzie już w zatoce.

Teraz Juan przestał się uśmiechać. Trzymając drewnienko w dłoni patrzył na Mateusza i smutno potrząsał głową. Potem zabrał się do dzieła, które u takiego prostaka było dziełem

mistrzowskim.

Najpierw narysował krzyż, jak ten na jego piersi, lecz wysoki i mocny. Na nim umieścił

postać ludzką z czymś u pasa, co Mateusz bez trudu rozpoznał jako kord. Dysząc z wysiłku Juan skończył swój rysunek. Na piasku pojawiły się faliste linie wznoszące się od stóp krzyża ku górze, aż objęły postać przywiązanego człowieka i wszystko wokół niej.

Mógł to być tylko ogień.

To wystarczyło, lecz dla upewnienia się Mateusz wskazał na rysunek, a potem dotknął swojej piersi. Juan kiwnął głową i położył

dłoń na dłoni Mateusza. Teraz sprawa stała się aż nadto jasna. Wieczorem lub rano, przed odpłynięciem "San Vigilio", Mateusz umrze okrutną śmiercią przyobiecana mu przez księdza.

Poprzez myśli kłębiące się szaleńczo w głowie Mateusza przedarł się chłodny rozkaz

przekazany przez Bóg wie jakie resztki odwagi. Nie potrafił wprawdzie uwierzyć zwariowanej starej czarownicy, że zachowa życie, lecz uwierzył Juanowi Batiście zapewniającemu go

o bliskiej śmierci.

Był skazany i musiał działać.

Nie miał nic, co mógłby dać biedakowi, który być może stawał się jego wybawcą. Ależ

miał! Schyliwszy głowę, zdjął z szyi oznakę swego urzędu, srebrny gwizdek sternika, i położył go na dłoni Juana.

Prosty chłopak, posiadający, zdawałoby się, najmniejszą wiedzę na świecie, uśmiechnął się w podzięcie. Wziął srebrny gwizdek i czule obrócił go w palcach, po czym wsunął głęboko w but. A potem ten mądry młodzieniec—błogosławiony anioł światłości!—położył się na piasku i ująwszy w dłonie nie pokryty zarostem podbródek, zwyczajnie zapadł w sen.

Mateusz czekał na swoją szansę, która nadeszła szybko. Na skalnym zboczu nad ich

głowami rozległ się nagle śmiech i krzyki, a potem strzał z muszkietu i liczniejsze głosy wzywające innych do pościgu. Marynarze z grupy zaopatrzeniowej zabawiali się osaczeniem łani, drugiej pozwoliwszy uciec.

Mateusz rozejrzał się uważnie. Marynarz zajęty paznokciami u nóg dalej stękał schylony

nad nimi. Mateusz uniósł się na kolana i najpierw pełznąc, a potem biegnąc posuwał się ku schronieniu na porośniętych wrzosem wzgórzach.



Dotarł do nich, gdy z oddali ciągle dobiegały wołania. Żaden ptak nie zakłócił i nie zdradził jego ucieczki.

Strażnicy szukali go, lecz krótko; pewnie uznali, że przy końcu dnia zostało im niewiele czasu na powrót na pokład; że pogoda, już nie sprzyjająca, może popsuć się jeszcze bardziej i opóźnić odpłynięcie okrętu — zwykle wymówki marynarzy, którym śpieszyło się do kolacji

I którzy nie mieli zamiaru z niej zrezygnować z tak błahego powodu jak ucieczka więźnia.

Mateusz uznał, że jest wolny, dopiero wieczorem, kiedy trzy wyładowane łodzie ruszyły w stronę "San Vigilio". Teraz, po nocy spędzonej w chłdzie i strachu, cały drżący, patrzył na ostami akt widowiska.

Przez zatokę poniósł się głos trąbki, gdy kotwica przecięła powierzchnię wody i opadła na pokład. Galeon, zręcznie prowadzony, odpadł od wiatru, żagle się wypełniły i okręt wziął kurs na wyjście z przystani. Wspaniały widok przedstawiał ten lewiatan, który mógł być ostatnim okrętem Hiszpanii, prawdziwie wspaniałym, oglądanym przez człowieka nie będącego już

więźniem na jego pokładzie.

A potem ta przerażająca scena!

"San Vigilio" był jeszcze w obrębie zatoki, gdy z najwyższego pokładu działowego oddano strzał. Czy to było pożegnanie krwiożerczego wroga, czy przekleństwo rzucone w kierunku Mateusza Lawe'a, czy może ostatni akt brawury — mógł to orzec tylko dowódca. Ale to był

ostatni strzał oddany z jego okrętu.

Rozległ się huk, buchnął dym i okręt błyskawicznie stanął w ogniu od rufy po dziób.

Okręt w płomieniach, przyjazny czy wrogi, to dla marynarza zawsze straszny widok;

Mateusz patrzył wstrząśnięty na tę gigantyczną pochodnię. "San Vigilio" przechylił się, rozpadł na pół i zatonął tak szybko, że zamiast na przerażenie został ledwo czas na

współczucie.

Po katastrofie na powierzchnię wody zaczęły wypływać szczątki wyskakujące w górę jak

piki i spadające w dół niby strzały wypuszczane przez bawiące się dzieci — odłamki drewna, baryłki wirujące bezsensownie, mokre żagle poszarpane na strzępy. Potem pojawiły się głowy ludzi krzyczących, walczących z bezlitosnym ssaniem wody, z wysiłkiem płynących ku

brzegowi.

Tam jednak na spotkanie tych, co dopłynęli, z kryjówek w skałach Tobermory wyszli

mężczyźni wysokiego wzrostu i stojąc na brzegu, czekali.

Dla Mateusza Lawe'a był to ostatni moment na ucieczkę, zanim żądza krwi nie zatrze

różnicy między Hiszpanem a jego biednym więźniem. Wstał zeszywniały i ruszył ku

szczytowi wzgórza położonego dalej od zatoki. Odwróciwszy się tuż przed osiągnięciem jego grzbietu, tak aby nie być zauważonym, wystawił twarz na słońce i zaczął czołgać się przez wyspę Muli na południe, ku stałemu lądowi. Zaczęła się długa ucieczka.

## CZEŚĆ DRUGA

### PODRÓŻNIK 1610

Morze musi wreszcie gdzieś się kończyć.

Ta maksyma stale towarzyszyła Martinowi Frobisherowi, gdy poszukiwał

północno-zachodniego przejścia, a dopłynął do Ziemi Baffina, 1576

I

I

Dziewczyna leżąca w brudnym łóżku tym tylko różniła się od innych dziewcząt, młodych i

chętnych, służących marynarzom za rozrywkę, że była bardziej urodziwa. Jej gotowość miała swoją cenę, podobnie jak cuchnąca izdebka na strychu oberży; za jedno i za drugie trzeba było płacić, kładąc gotówkę na pokrywie beczki, zanim dziewczyna choćby tylko kusząco rozłożyła nogi.

W tym świecie grzesznych interesów Jenny, sprzedająca swoje wdzięki w tawernach, nie

działała na własny rachunek. Jej opiekunem był wulgarny, bezwzględny zbir, kupujący i

sprzedający ten rodzaj towaru, zarówno świeży, jak i zestarzały, w swoim stałym miejscu pracy w piwiarni "Pod Głową Saracena"; a kiedy ruch był mały, sam zabawiał się z

dziewczętami. Gdy Jenny i jej koleżanki robiły swoje, rozpustny stręczyciel czuwał na dole na wypadek kłopotów.

Nie było jednak kłopotów z Mateuszem Lawe'em podczas tej jego ostatniej nocy na lądzie

w londyńskim porcie. Zapłacił, co należało, ze skromnej zawartości sakiewki i mógł zajmować izbę wraz z dziewczyną aż do wschodu słońca. Wypchany słomą siennik, dwa zgrzebne koce i ladacznica, dzięki której było mu ciepło i wesoło, to wystarczało, by splukany marynarz czuł

się po królewsku.

W ciągu dziesięciu dni spędzonych na łodzi przepuścił całą ciężko zarobioną wypłatę na Jenny i na tę izdebkę na strychu cuchnącą jak zadek tchórza. Światło dzienne ukazało brud nasuwający porównanie tego pomieszczenia do otłuszczonego szaflika na pomyje.

Dziewczyna, dzięki Bogu, była lepsza niż izba. Ta piękna ulicznica, wciąż wybuchająca wesołym śmieciem, miała ciało z obfitymi okrągłościami jak miękkie wybrzuszenia żagla, wprost stworzonymi dla dłoni kochanka; a jedyną rzeczą budzącą w niej rozpustne pożądanie był męski członek.

' p§§|||l|

Z pewnością tego właśnie potrzebował marynarz, który miał wstać rano w pełnej gotowości do innego rodzaju poczynań.

Po pierwszym gwałtownym stosunku leżeli z otwartymi oczyma, [świadomi, że to nie koniec uciechy] w ostatnią noc na łodzi marynarz nie zachowuje się jak chłopiec, dający z siebie wszystko za pierwszym razem, albo starzec, którego stać tylko na jeden raz. W świetle ociekającej woskiem świecy popijali korzenne piwo z jednego cynowego kufła z pokrywką, uśmiechając się czule do siebie i czekając na ponowny przypływ namiętności.

Na razie rozmawiali szeptem.

— Żeby tak mógł leżeć tu zawsze — powiedział Mateusz. — Kto by szedł na morze mogąc pływać w takiej słodkiej zatoczce?

— Masz pieniądze? — spytała Jenny. Znała odpowiedź, lecz kobieta musi stawiać sprawę jasno. Mężczyzna może marzyć, niewiasta ma być czujna.

— Nie.

— No to musisz odejść... Dokąd płyniesz, Mat?

— Umyj sobie uszy, dziewczyno! Tyle razy ci mówiłem.

— Umyję sobie, co zechcę. Za dużo marynarzy opowiada mi swoje sprawy. Trudno to spamiętać.

Mateusz nie chciał myśleć o jutrze. Dziś, jak we wszystkie poprzednie noce, Jenny należała do niego. Jeśli jutro ma tu być ktoś inny, to on woli nie słuchać o tym. — Ruszamy w podróż odkrywczą. Może

na poszukiwanie północno-zachodniego przejścia.

— Masz stracha?

— Nie. — I tak było naprawdę, przynajmniej tej nocy. — To dobry, mocny statek.

“Discovery”\*, bark. Kapitanem jest Henry Hudson, wielki człowiek pod każdym względem.

Mówią też, że łagodny.

Jenny uśmiechnęła się lubieżnie. — Komu potrzebny łagodny chłop?

— Na pewno nie tobie. Ale łagodny dowódca to inna sprawa. Chcemy mieć kapitana, co

da nam dobrze jeść i nie będzie nas chłostał na śmierć. Bicie i głodzenie ludzi nie pomoże w znalezieniu drogi do Kataju\* albo do Indii. Dzielny dowódca i chętna, dobrze traktowana załoga — tego szukam. Chcę powrócić z wyprawy cało!

— Przywieziesz z niej skarb?

— Tak. Przywiozę, co dostanę i zdobędę, i znowu wszystko oddam tobie.

— Najbardziej chciałabym gorsecik naszywany drogimi kamieniami!

— Będziesz go miała, skarbie... Ale cóż to jest, na Boga, ten gorsecik?

— Naprawdę nie wiesz, Mat?... Sięga stąd dotąd — mówiła przesuwając dłońmi od

pełnych piersi w dół, do pachwiny. — Nosi się go jako górę do spódnicy. Jest ozdobiony

drogimi kamieniami albo złotymi kółeczkami. Przystraja ubiór jak tęcza, a jak włożę jeszcze trzewiki z klamerkami w tym samym...

— Dosyć, dosyć! — powiedział Mateusz śmiejąc się. — Podoba mi się to. Przywiozę ci

ten skarb, jak uda mi się go znaleźć... Chociaż wolałbym cię nie oglądać zakrytej stąd dotąd...

Chyba że przeze mnie.

— Przywieź mi go — przekonywała Jenny z żarem — a będziesz mógł przykryć mnie dziesięć razy.

— Przykryć moimi skarbami. — Słowa Jenny i jej wygląd sprawiły, że znowu poczuł przypływ namiętności. — Jeżeli te moje skarby ci wystarczą.

Leżała na plecach gotowa, jak powinna sprzedajna dziewczyna. — Wiesz dobrze, że dla

mnie jesteś najbogatszym księciem ze wszystkich.

— Nie jestem dla ciebie za stary?

Spojrzała na niego zdziwiona.—Czy taki zuch jak ty mógłby być za stary? Nigdy w życiu nie spotkałam kogoś takiego! — Może powtarzała to wszystkim, a może nie. — Jesteś wspaniały, jak żreback z Derby. . — Ile lat byś mi dała?

— Czemu o to pytasz?

— Ile?

— Dwadzieścia pięć?

— Prawie zgadłaś... A teraz leż spokojnie, aż znowu wsunę mój skarb gdzie trzeba. Potem będziesz mogła wycisnąć z niego ostatnie soki.

Gdyby to matkę pytano o wiek Mateusza, przysięgłaby, że ma czterdzieści cztery lata. Lecz biorąc Jenny czuł się na dwadzieścia pięć.

Gdy dziewczyna zapadła w głęboki sen, jak kłoda drewna ukołyszana i wyrzucona na brzeg potężną siłą morskich fal, Mateuszowi pozostało panowanie nad tym jego lądowym

królestwem. Nie było ono imponujące. Popijając w ciemnościach zimne piwo poczuł chłód

izby. Jenny ściągnęła na siebie koce i szczelnie się nimi owinęła, Mateuszowi zostawiając zaledwie ich brzeżek. Knot kaganka migotał niepewnie domagając się przycięcia. Nawet piwo, resztką na dnie kufła, smakowało kwaśno i trzeba było samozaparcia, żeby je dopić.

Będzie miał ciężką głowę, zgłaszając się rano na "Discovery", do normalnej harówki w pocie czoła, bez widoków jakiegokolwiek ulgi. Podczas gdy jeden głos w mózgu mówił mu: tak żyją marynarze, od czasu kiedy ląd został oddzielony od morza, drugi pytał ze smętnym

wyrzutem: skoro tylko tyle dostaje marynarz za wszystkie swoje trudy, to może lepiej nie żyć?

Mateusz kończył piwo kupione za ostatnie grosze wysupłane z sakiewki, starając się

znaleźć w nim jakiś smak. Napawał się ostatnimi chwilami na lądzie, lecz smutek spełnionej miłości sprawiał, że wszystko wokół wydawało się pogrążone w smętnym cieniu. Jeśli nic

więcej nie miałoby się liczyć, jak tylko wypite kufle, wydane pieniądze i wyładowana

męskość, to jakież plugawe legowisko dał Chry- tus-Zbawiciel członkom mężczyzny!

Ale na takim właśnie legowisku muszą spoczywać. Chociaż znał je na pamięć, nie był w

stanie nic zmienić. Żaden marynarz nie może zmienić praw ustanowionych przez Boga lub przez tych, co rządzą, czy przez głupotę samych ludzi morza. Był skazany na nędzne bytowanie, na wyczerpujące rejsy i zejścia na ląd po zdobyciu żalosnej fortuny, odpowiadającej skromnemu poziomowi zamożności w jego zawodzie, aby pić do woli, móc korzystać z usług ladaczniczki, wydając na nią roczny zarobek w kilka dni czy tygodni, a potem znów zaciągając się na statek bez złamanego grosza w kieszeni.

To koło fortuny, odwieczne jak wschody i zachody słońca, wyposażało dziewczęta w świecidełka, oberżystów w pieniądze, marynarzy w syfilis i głowy pękające z bólu, a okręty w załogi — tylko tyle i zawsze tak będzie.

Był to jednak rzetelny wątek życia mimo wszelkich okrutnych osiadań na mieliźnie.

Mateusz godził się z nim i poza okresami, gdy ogarniały go czarne myśli, żyło mu się nie najgorzej. Chociaż Drake, sławny dowódca, spoczął już w swoim ołowianym hamaku na dnie

zatoki Nombre de Dios w pobliżu Panamy, wciąż odwaga była w cenie; zwycięstwo nad

Wielką Armadą dało narodowi zakosztować dumy ze swego przeznaczenia, z którego już

nigdy nie zrezygnuje, a marynarzom przyniosło sławę nie do odebrania.

Mateusz wysączył z kufła ostatnie gorzkie krople. Marynarzowi można odebrać wszystko

inne... Prawdę mówiąc, duma jest tylko dla wielkich dowódców; za dumę nie kupi się chleba, wołowiny, piwa ani dziewczyn, gorących czy zimnych. On w szczególności nie miał prawa do odczuwania dumy. Nie zapracował na nią; zasłużył tylko na niesławną stronę tej monety. Tak musi żyć dalej — do głowy napłynęły mu czarne myśli i pograżyły wszystko w koszmarnym

wirze wątpliwości i obaw.

Nie bardzo chciał wierzyć, że czeka go taka przyszłość, jaką dawno temu zapowiedziała

mu stara czarownica z Drummin; zaczął się jednak teraz oswajać z taką możliwością. Miał

czterdzieści cztery lata, ale jego ciało nie starzało się z wiekiem, na twarzy nie pojawiły się zmarszczki, a włosy miał gęste jak przedtem. Był tym samym człowiekiem. Czy te

fantastyczne historie o wiecznej młodości mogą być prawdziwe?

Zimny wiatr hulał po mansardzie, za drewnianym przepierzeniem z piskiem ganiały się

szczury. Nie znalazł tu żadnej pociechy — tylko chłód i zepsucie. Leżąc próbował dawnym

zwyczajem znaleźć w sobie ziarenko odwagi. Nawet te okropne myśli były częścią porządku dziennego jego życia, elementem każdej ostatniej nocy spędzanej na lądzie. Zaczął się więc zastanawiać, co zrobić, żeby je odsunąć. Z pomocą przyszła mu boska czy diabelska iskierka — przypomniał sobie o lekarstwie stosowanym przez jego pana w takiej sytuacji.

Jutro odpływa, ale jeszcze nie jest jutro. Ta noc wciąż jest z nim, leży u jego boku.

Dzisiejsza noc jeszcze śpi, ale nie będzie spać długo...

Obrócił się do Jenny i zaczął głaskać ją i przytulać, aż się obudziła. Przez chwilę burczała o nienasyconych chuciach marynarzy i o tym, jak postępują z biedną dziewczyną, która już z okładem zrobiła, co do niej należało; kiedy jednak rozgrzał ją od nowa, okazała się tak samo chętna jak zawsze.

— To już ostami raz — mruknął, a ona odpowiedziała: — Na Boga, mam nadzieję, że tak!

Po dzisiejszej nocy będzie mi potrzebna laska. — I po tych słowach zrobiła sztywną laskę z najlepszego materiału, jaki znalazła pod ręką.

Na rzucone szeptem polecenie usiadła na nim. Taki sposób kochania się, prawdziwy

wypoczynek dla marynarza, Mateusz lubił najbardziej; wspaniałe żagle wypełniały się nad nim, to zniżając się, to wznosząc, a on leżał na plecach i uważał tylko, żeby grotmaszt był

wysoki i dobrze ustawiony i żeby jak szpada wdzierał się między przyzwalające uda. Patrzył na pełne piersi dziewczyny, wznoszące się i opadające przy jej ruchach w górę i w dół, i na jej rozplómonioną twarz, ukazującą w ostatnim błysku świecy szal, jaki ją ogarnął; słuchał, jak ciężko dysząc poganiała go: — No dalej, marynarzu! Teraz! — Gdy w obydwójgu fala

namiętności sięgnęła szczytu i opadła, to była odpowiedź na wszystko!

Co z niej za lubieżnica! Nie jest byle dziwką portową. Kocha swoją robotę, ale najbardziej kocha jego. Naprawdę go kocha! Tak mu powiedziała!

Zasnawszy wreszcie w jednym łożu ze spoconą, wyczerpaną, pochrapującą unisono

towarzyszką, śnił o małpach i pawiach, o rozszalałych morzach i łagodnych wybrzeżach, o syrenach z lśniącymi piersiami i radośnie rozszczepiającymi się ogonami. Gdy ocknął się o świcie, Jenny wstała już z łóżka i siedziała w kącie okrakiem na kamiennym nocniku.

Czar miłości prysnął, czas było iść.

Walcząc z niesmakiem w ustach ubrał się i spakował. Jenny, znowu owinięta kocami, nie

poruszyła się, gdy na pożegnanie dał jej czułego klapsa. Zarzucił marynarski worek na ramię, zszedł skrzypiącymi schodami i ruszył przez obskurny szynk.

Ordynarny rajfur kiwnął mu głową ze swego stanowiska pracy i bez słowa pozwolił odejść.

Żaden pożytek ze splukanego marynarza.

Wyszedłszy na bladą jasność dnia Mateusz przeciągnął się i ruszył po kocich łbach w stronę basenu Św. Katarzyny. Był ranek, Niedziela Przewodnia, kwiecień roku 1610.

II

Chociaż w chwili, gdy Mateusz Lawe znalazł miejsce postoju "Discovery", statek był już postawiony na nogi, wyglądał mimo to, jakby miał nigdy nie odpłynąć, a w każdym razie nie w tym miesiącu. Wszystkie statki — podobnie jak marynarze — traciły cnotę w zetknięciu z

ładem, i ten nie był wyjątkiem. Trwał załadunek i na pokładzie panował kompletny chaos.

Ładunki leżały jedne na drugich jak u niedbałego kupca. Poprzez skrzynie i baryłki, spiętrzone reje, żagle i żaglowe płótna trudno było objąć spojrzeniem szeroki pokład, wyglądający jakby zwalono na niego górę zbędnych rzeczy skazanych na straty.

Między bezładnymi stosami niemrawo kręcili się ludzie, jak mrówki w zburzonym

mrowisku, zgięci pod ciężkimi skrzyniami, próbując ustawić je jedna na drugiej. Z trudem, stopień za stopniem, schodzili zejściówkami jak dzieci uczące się chodzić, a tymczasem nowi robotnicy wnosili dalsze ładunki, jeszcze bardziej zwiększając bałagan.

W całym jednak tym zamęcie jego marynarskie oko dostrzegło rzeczy pocieszające.

"Discovery", trójmasztowy bark o ładowności około sześćdziesięciu ton, był niewielki —

mniejszy od wielu statków, na jakich pływał — lecz mocne drewno jego konstrukcji i wysokie maszty były przyzwoitej jakości, i łatwo było wyobrazić sobie, że będzie się dobrze sprawował

w swoim naturalnym środowisku — bezkresnym morzu — żeglując bez trwogi i wahania na

zachód, północ czy w każdym innym kierunku i dobrze wykonując swoje zadania.

Pokład, brudny w tej chwili brudem lądowym, jak to określali marynarze, zostanie wkrótce zmyty do czysta; splukanie tego lądowego obrzydlistwa uczciwą słoną wodą wyjdzie statkowi tylko na dobre.

Jeżeli wszystko inne dorówna temu barkowi, Mateusz może uznać się za szczęściarza, że

znalazł tu miejsce do spania.

Chciał właśnie przemierzyć krokami całą jego długość, wynoszącą nie więcej niż

sześćdziesiąt stóp, gdy powstrzymał go ryk, godny antycznego Stentora, herolda Troi:



— Mateuszu Lawe!

Odwrócił się, speszony, aby napotkać wściekły wzrok starca siedzącego na pokładzie

“Discovery” na obwiązanej sznurem skrzyni, z pięścią uniesioną w górę, jakby chciała wygrażać niebiosom, a już na pewno każdemu nie robiącemu tego, co do niego należało.

Mateusz poznał go natychmiast; był to zastępca kapitana, Robert Juet, który poprzedniego dnia zaangażował go na zwykłego marynarza, niezdarną ręką kładąc na umowie swój podpis.

Wtedy wydał się Mateuszowi miłym starym człowiekiem, teraz jednak wbił w niego wzrok kwaśny jak piwo z minionej nocy, gotów zrezygnować z tak marnego nabytku.

Mateusz chciał coś odpowiedzieć, lecz Juet nie dopuścił go do głosu mówiąc, teraz już nie tak głośno, lecz z tą samą niechęcią:

— Czy nie wpisałem ciebie wczoraj rano na listę załogi?

— Tak jest, sir.

— Żebyś teraz stał tu i gapił się jak gamoń?

— Nie, sir.

— No to włącz na pokład! — Marynarze stojący obok Jueta wyszczerzyli zęby na widok

zmieszania Mateusza. — Złóż swoje graty i do roboty! — ciągnął. — Może ci się zdaje, że wozimy tu dżentelmenów z wyższych sfer i jeszcze im płacimy za to, że płyną?

Mateusz zarzucił na ramię marynarski worek i po desce przerzuconej z nabrzeża wszedł na statek. Mijając jednego ze swych przyszych kolegów usłyszał, jak ten rzekł cicho z krzywym uśmiechem: — Łaciny miałeś początek, bałwanie! — i wrócił do swego zajęcia. Mateusz

znalazł się teraz twarzą w twarz z władzą. Juet, stojący na podwyższeniu, dzięki czemu

wydawał się bardzo wysoki, patrzył na niego z ponurą niechęcią. — Złóż rzeczy! — powtórzył

— i pośpiesz się. Nie potrzebujemy tu leni.

Mateusz obrzucił spojrzeniem zawalony ładunkami pokład i najbliższą zejściówkę. —

Gdzie mam złożyć, sir? W międzypokładzie?

— Mówił tu ktoś o “międzypokładzie”?! — huknął Robert Juet.

— Niedługo zechcesz zająć kajutę kapitana Hudsona. — Odwrócił się i wskazał na barkas

zamocowany na pokładzie za jego plecami:

— W łodzi. Gdzież by indziej? Przychodzisz na statek jako ostami, więc musisz brać to, co zostało.

Mateusz popatrzył na skleconą byle jak łódź o długości około dwunastu stóp, częściowo przykrytą kawałkiem podartego płótna żaglowego. — To ma być moje miejsce do spania na całą podróż?

— Tak. Zabieramy ją pod pokład, jak pogoda robi się gorsza. Będzie ci w niej dostatecznie ciepło.

Mateusz zebrał się na odwagę i zapytał: — Co sprawi, że będzie mi ciepło, sir?

— Sześciu innych marynarzy—odparł Juet z uśmiechem lodowatym jak wiejący akurat wiatr.

— Co?... Siedmiu w takiej skorupce?

Robert Juet uznał, że dość już tych pytań i odpowiedzi. — Nie będziesz spał przez cały czas

— rzekł ironicznym tonem. — Ani przez pół czasu, ani nawet przez ćwierć, jeżeli potrafię wymyślić coś, co cię zmusi do czuwania... A teraz złóż swoje graty, i to im szybciej, tym bardziej będę zadowolony; a... — wciągnął z sykiem powietrze przez wyraziste wargi — jak będę z ciebie zadowolony, to może ujrzysz żywy port londyński.

Prawdopodobnie nie jest to dla mnie najszcześniejsze miejsce — pomyślał Mateusz.

Ale nie wszyscy na "Discovery" byli tak zgryźliwi i nieprzyjemni. Dla Mateusza Lawe'a początek nie był miły, jak kiedyś dla sieroty świeżo przyjętego do szkoły dla ubogich; i tam, i tu byli przełożeni lubujący się w okrucieństwie. Ale wnoszenie ładunków na pokład i

pilnowanie, żeby zostały bezpiecznie rozmieszczone, to była praca, na której znał się dobrze, a zarazem najlepsze lekarstwo na onieśmienie. Szerokie bary i chętne do dźwigania plecy wnet zapewniły mu uznanie towarzyszy. Bo tak już jest z marynarzem wszędzie na świecie; niech tylko zaraz po zaokrętowaniu okaże się dobry w robocie, a przy tym pełen wigoru, znajdzie wokół siebie więcej przyjaciół niż wrogów.

Mateusza, podobnie jak innych marynarzy, ciekawiło, co ładują; było wiele zaglądania do worków i szperania w skrzyniach, wachania baryłek i odcyfrowywania oznaczeń i napisów. Od tych informacji zależał spokój ich umysłów, a od faktycznej zawartości — ich dobre

samopoczucie, a może i życie.

Zsumowawszy zebrane informacje doszli do wniosku, że są dobrze zaopatrzeni w suchary,

soloną wołowinę i konserwowaną wieprzowinę, że mają dużo wysuszonego grochu i fasoli, różne gatunki serów i trochę wina do splukiwania tego wszystkiego.

Znalazły się też w zapasach rzadkie smakołyki, delikatesy obecne tylko w marzeniach

marynarza: cytryny, olej jadalny, cukier, goździki i rodzyнки, co usłyszawszy jeden z chłopców okrętowych wykrzyknął: —Będziemy żyli jak królowie! — ale go zaraz przygasił Michael

Perse, ten, co przywitał docinkiem Mateusza przybywającego z rzeczami na statek.

— Mało co z tego zobaczysz, chłopcze. Zeżrę fokmaszt, jeżeli te zapasy dotrą dalej niż do kajuty kapitana czy do prywatnego schowka Jueta. Jak zachorujesz ciężko, to mogą wepchać ci kawałek skórki cytryny między zęby, żebyś za bardzo nie jęczał. Ale musisz na to zasłużyć!

Rozległ się gwizdek bosmana wzywający pod pokład na krótki odpoczynek i posiłek, więc

Mateusz miał okazję poznać innych członków załogi.

Sześciu zeszło o pokład niżej, żeby tam, z dala od zamętu na górze, w spokoju, choć w

ciasnocie, odpocząć w swoim kącie na trzypiętrowych kojach, na które Mateuszowi Lawe nie udało się dostać. W miłym półmroku panującym w pomieszczeniu wypełnionym smolnym

zapachem takielunku i wonią nowych płómk żaglowych—zęzy jeszcze nie cuchnęły — po

czterech godzinach harówki padli w milczeniu na koje czekając, aż chłopcy okrętowi

przyniosą jedzenie, które przywróci im siły.

Nie czekali długo. Wciąż milcząc, rzucili się na chrupiący chleb, może ostatni tu oglądany przed wielomiesięcznym rejsiem, i na grube plastry świeżego sera, ostrego i smakowitego, produkowanego w zachodniej Anglii, krojone z wielkiej, okrągłej bryły. Posiliwszy się i nieco odpocząwszy, zaczęli wreszcie rozmawiać. Statek kołysał się łagodnie na fali pływu. Wszędzie panował spokój.

Pierwszy odezwał się do Mateusza Michael Perse. Chcąc zatrzeć w nim przykre wrażenie

ze złośliwego powitania go na statku, zwrócił się do niego z radą.

— Nic sobie nie rób z Roberta Jueta — powiedział. Był silnym mężczyzną, mówił głośno

i władczo, lecz przyjaznym tonem. — Wciąż tylko szczeka, jak każdy pies, nawet stary. Ale już nie ugryzie... Jest zwyczajnie zazdrosny; odbył trzy podróże z kapitanem Hudsonem i chce rządzić, a nie pozostawać w jego cieniu.

— Niech Bóg ma nas wszystkich w Swej opiece, jakby miało dojść do tego! — zawołał

ktoś głośno. To był cieśla, Filip Staffe. Mateusz miał się przekonać, że to człowiek oddany Henry'emu Hudsonowi i zawsze gotów dawać tego dowód. ||| Wnet znaleźlibyśmy się na skałach, a on by się zaklinał, że to z naszej winy! Pamiętajcie dzień, kiedy trafiliśmy do ujścia wielkiej rzeki, a on zawołał: "To okropna dziura w środku świata. Odpadać od wiatru, odpadać!"

— Pamiętam doskonale — potwierdził afektowany głos trzeciego marynarza. To mówił Arnold Lodlo, zmanierowany człowieczek niskiego wzrostu, o różowej cerze, który lepiej by się pewnie czuł ze skrzypcami pod brodą niż z liną w dłoniach. Niemniej jednak, pomyślał Mateusz, ten wyskrobek przeżył wyprawę z wielkim Henrym Hudsonem i jest gotów do następnej. — Bardzo dobrze pamiętam — ciągnął Lodlo — bo od tamtego czasu mieszam w kiszki rewolucję. Zaskrzeczał wtedy: "Odpadać od wiatru, odpadać!" A potem wrzasnął: "Przeciwny hals, ty osłe!" — i zaraz się okazało, że o mało żeśmy się nie wladowali na ławicę piaskową, gdzie czekały pomalowane na różne kolory dzikusy, gotujące się wskoczyć na pokład!

— Pomylił ład? — spytał Mateusz wśród śmiechu wywołanego opowieścią Lodla.

— Prędzej słońce z księżycem — odrzekł Lodlo. Zadrzał na to wspomnienie. — Powiem wam tylko tyle, że to ja byłem tym osłem,

[któremu on wymyślał, wobec wszystkich! Byłem gotów na śmierć! I to nie z rąk dzikich!

Przerwał mu Filip Staffe, myślący poważniej niż taki urodzony błazen jak Arnold Lodlo.

— Henry Hudson to nasz dowódca i nie powinniśmy o tym zapominać! Już nie mógłby potajemnie zająć jego miejsca!

— A ja myślę, że mógłby — powiedział Lodlo takim tonem, że wszyscy znów się roześmieli.

Był to ostatni żart, na jaki mu pozwolił zacny cieśla. — Zastanówcie się tylko, czego dokonał ten człowiek — rzekł. — Już po trzech wyprawach ma opinię największego żeglarza Anglii. Mateusz Lawe, kończący kroić nożykiem swój kawałek sera, uznał, że teraz może się

odezwać.

— Co masz na myśli mówiąc “wielki żeglarz”? — zapytał, zwracając się do Filipa Staffe'a.

— Wielki dowódca? Jak rządzi na statku? Podobno jest miękki...

Cieśla spojrział na Mateusza, jakby oceniając, czy ma przed sobą przyjaciela, czy wroga, ale nastawił się i na jedno, i na drugie. — Jest sprawiedliwy i uczciwy. Słucha, co się do niego mówi. Daje się przekonać, a tego nie można powiedzieć o tych, co rzucają na niego po twarze.

Starzeje się, rzecz jasna. Mówią, że jest już dziadkiem. Ale ja poszedłbym za nim... Ma już za sobą trzy wielkie wyprawy... Żaden mięczak by tego nie dokonał!

Michael Perse, też amator świeżego sera, dotąd milczący, teraz się odezwał:

— Nie był miękki w czasie naszego ostatniego rejsu. Poprowadził nas w tamtą dziurę w

środku świata — z pogardą powtórzył słowa Arnolda Lodla — a była to tylko rzeka, ale

najwspanialsza, jaką widziałem w swym życiu. Szeroka, płynąca na północ przez Nowy Świat!

Żeglowaliśmy nią przez więcej jak sto mil, aż skały, jak ściana, zagroziły nam drogę. To nie dzikusy zatrzymały kapitana Hudsona. Tam był koniec morza i żaden statek nie mógłby

przejść tamtędy. Ale była przed nami otwarta woda — sam ją widziałem z marsa na własne

oczy, i kiedyś, któregoś dnia ludzie przedostaną się na nią i dowiedzą... — przerwał i

dokończył niepewnie, jakby jego marzenia nie miały dosyć siły, aby pokonywać takie

tajemnice — i dowiedzą się, co jest po drugiej stronie.

— Czy tam właśnie płyniemy?

— Któż to wie?

— Tak, któż to wie? — przerwał milczenie głos Sylvanusa Bonda, bednarza pracującego z

Filipem Staffem, zasuszonego człowieczka o smutnych oczach, patrzącego na świat, jakby

chciał odkryć, skąd przyjdzie następny szturchaniec. — Bóg jeden wie, gdzie będziemy za pół

roku! Kto zwierza się prostym marynarzom? My wiemy tylko, że

mamy zapasów na sześć miesięcy. Potem będziemy pewnie głodowali, żarli odrywane od skał

wodorosty albo zjadali się nawzajem!

— Głowa do góry, stary! — odezwał się Arnold Lodlo. — Ciebie nie zjemy, póki nie przybierzesz choć trochę na wadze.

— Możesz sobie kpić — mruknął Sylvanus Bond. — Ale czy wystarcza dostawać rozkazy:

“Stawiać żagle!” i dopiero jak już gdzieś dopłyniemy, dowiedzieć się od kapitana, gdzie się znaleźliśmy?

— Tak — poparł go Filip Staffe. . — Co znaczy to twoje “tak”?

— To, co słyszeliście. On jest naszym kapitanem i wielkim człowiekiem, sławnym ze swoich wypraw. Dla mnie wystarczy, jak mi w końcu powie: “Jesteśmy w Indiach” albo:

“Jesteśmy w Kataju”. To wszystko, co chcę od niego usłyszeć.

— A ja wolałbym usłyszeć: “Płyniemy do Kataju” — upierał się mały bednarz i dodał, chcąc dokładniej wyjaśnić, o co mu idzie: — Wtedy bym wiedział, dokąd kapitan nas prowadzi i codziennie mógłbym sobie powtarzać: “Ten ląd przed nami to Kataj”.

— Może on sam nie wie — zauważył Mateusz Lawe.

— No właśnie! — Sylvanus Bond ucieszył się z sojusznika w tym świecie pełnym nieznanym zagrożeń. — I zawsze może przyjść dzień, kiedy sam powie, że przecenił swoje możliwości i że nie da rady wrócić. Wtedy my zginiemy razem z nim!

Mateusz Lawe poparł go mówiąc: — Słyszałem o takich kapitanach.

Ale tym odezwaniem ściągnął na siebie uwagę, może za wcześnie. Arnold Lodlo, zmienny jak motylek, pierwszy uczepił się nowego tematu. Cisnął za siebie skórkę od sera, wyciągnął krótkie nogi w stronę plamy słonecznego światła, wpadającego z góry przez otwór w pokładzie, i powiedział:

— Czy to nie ciebie widywałem ostatnio “Pod Głową Saracena”?

■— Tak, mnie.

— Prosto z rejsu, a już gotów do następnego?

— Ano.

— Co to był za rejs i na jakim statku? — zapytał Michael Perse.

Mateusz nie życzył sobie takich pytań. Chciał być na "Discovery" tylko członkiem załogi bez przeszłości i bez przyszłości. Ale musiał dać jakąś odpowiedź, i to raczej prawdziwą.

Marynarze od razu wyczuli by kłamcę.

— Na Morze Środkowe — odparł. 3 | Na "Judith Mary". Dopłynęliśmy do zatoki Bantry w Irlandii... Przywieźliśmy konie. Mówiono, że dla króla Jakuba, ale nie wiem, czy to prawda.

Michael Perse wiedział trochę więcej.—Podobno zahaczyliście też o wybrzeże Italii?

— Tak... Włóczyliśmy się osiem miesięcy albo i dłużej, handlując

czym się dało. W Italii to było wino... zresztą podłel W Maroku — próbował się roześmiać —

Bóg wie co!

Teraz znowu zadał pytanie Arnold Lodlo z tajoną uciechą w głosie, jakby znał jakąś

tajemnicę:

jjs Ale w końcu wylądowałeś u starego "Saracena"?

— Ma się rozumieć. Dokąd miałby iść marynarz, żeby wypić kufelek?

— I ulżyć sobie w ukryciu?

— W ukryciu? O czym mówisz? — Mateusz nie chciał dać się sprowokować nawet przez

kogoś tak niepoważnego jak Lodlo. Jeśli odcięcie mu się może być ryzykowne, podejmie to ryzyko. Znacznie niebezpieczniej byłoby stać się na samym początku długiej podróży

obiektem docinków.

— W ukryciu na stryszku, w łóżku z jakimś niezłym ciałkiem.

Mateusz odetchnął z ulgą. A więc tylko o to chodziło... Odpowiedział możliwie

najłżejszym tonem: |— A kto mógłby uleżeć sam na stryszku w chłodną noc?

Lodlo jednak nie chciał dać za wygraną. — Powiedz, jak ją znalazłeś?

— Kogo?

— Jenny Laleczkę.

— Jak znalazłem? Zajrzałem pod koc i ona tam leżała!

Jego dowcipna odpowiedź wywołała wybuch szczerego śmiechu, co zażegnało konflikt i dało

początek przyjaznym stosunkom.

Michael Perse wykrzyknął: — Jenny Laleczka? Mateuszu, musiałeś być bardzo bogaty schodząc na ląd! Dam głowę, że ta ladacznica kosztowała cię złotego suwerena za każdym razem, kiedy tylko postawiłeś stopę na schodku. Jest bardzo sprytna.

—

Mogę cię zapewnić—odparł Mateusz—że teraz nie jestem już bogaty. Wydałem wszystko tam, na stryszku.

— Warto było?

— Jasne.

Rozmowa wkrótce zesłała na sprośny tor.

— Niezły kąsek, co?

— Palce lizać!

—

To prawda. A co za tyłeczek! Człowiek może się zatracić, nim dotrze do sekretnych miejsc.

— Kto mówi, że u niej te miejsca są sekretne?

—

Ohydni rozpustnicy! — ryknął ktoś nagle w ciemnościach.

Zaskoczeni odwrócili się w stronę, skąd dobiegł głos. U wejścia stał wysoki mężczyzna w czarnym, podniszczonym ubraniu z dobrego materiału. Na jego posępnej twarzy malowała się wściekłość. Swoim

wyglądem przywodził na myśl kruka, ptaka złowróbnego, który się znalazł pośród stadka mew. Potoczywszy kolejno wzrokiem po ich twarzach znikł jak duch z blanki murów obronnych.

Wybuch nieprzychylnego śmiechu, który odzwierciedlił ulgę, jaką odczuli zebrani, nie



złagodził przestrachu Mateusza Lawe'a.

— Na miłość boską, kto to był?

— Abacuck Prickett—odpowiedział Michael Perse. — Ale nic się nie bój. Bez przerwy nas nęka, a my wcale nie jesteśmy bliżsi zbawienia.

— A czy on sam nie gustuje w tych... wstydliwych miejscach?

I teraz temu, co odpowiedział Michael Perse, towarzyszył gromki śmiech: — Najpierw trzeba by go objaśnić, co to takiego i gdzie tego szukać.

Arnold Lodlo dodał: — Pognałby milę, jakby to coś zamajaczyło mu przez mgłę! Ale potrafi, tropiąc zło, walić Biblią tak, że się mało nie rozleci!

— Jakie ma tu stanowisko? — pytał dalej Mateusz, wciąż nie rozumiejący sytuacji.

— To szczer lądowy — odparł pogardliwie Sylvanus Bond. — Zausznik Sir Dudleya Diggesa, przysłany tu, żeby nas szpiegować. Będzie wszystko obserwował i donosił.

— To nie jest całkiem takie pewne — zauważył Filip Staffe.

— Dla mnie tak! Wyczuję szpiega Kompanii na milę! Kiedy już skończy powtarzać nam ciągle, że jesteśmy skazani na dno piekła i wieczne potępienie, i wszystkich nas wpakuje do jednego worka, będzie mógł, w razie potrzeby, oświadczyć swemu panu: "Załoga »Discovery« nie była warta pańskich wydatków". Jak nam się powiedzie, będzie uderzał w swoją czarno odzianą pierś i ogłaszał: "To ja, Abacuck Prickett, wskazałem im właściwą drogę"; a jak nam się nie uda, będzie mówił: "Co może zrobić człowiek prawy? Zmagałem się, jak długo mogłem, z tymi diabłami, żeby naprostować ich ścieżki, ale daremnie! Niestety, niestety, wszystko na nic!"

Beznadziejny ton żalu, z jakim wymówił te ostatnie słowa, tak spotęgował jego zwykłą ponurość, że wszyscy znów wybuchnęli śmiechem.

Mateusz miał jeszcze jedno pytanie: — Kto jest jego panem? Kto to taki Sir Dudley Digges?

— Jeden z naszych protektorów — wyjaśnił Filip Staffe, chcący sprowadzić rozmowę na

przyzwoitsze tory. — Bogacz z Kentu, ma powiązania z jeszcze dwoma takimi jak on... A

więc, jak widzisz — dokończył poważnym tonem — kapitan Henry Hudson ma wpływowych przyjaciół, którzy mu ufają, a na dowód tego wykładają pieniądze.

W jego głosie było coś, co sugerowało, że gotów był dodać: "I chciałbym, żeby każdy niedowiarek albo włóczęga był tego samego zdania!"

Jeszcze nie zdążyli przełknąć nagany, gdy z góry doleciał świst gwizdka i ostry głos

bosmana Francisa Clemensa: — Wachta na dole! Na pokład! — I zaraz, głośniej i ostrzej: —

Chłopcy trapowi! Do powitania kapitana!

Wspinając się żwawo po drabince zaciekawiony Mateusz Lawe zdążył na czas, żeby ujrzyć

Henry'ego Hudsona wchodzącego na pokład swego statku. Zobaczył mężczyznę w średnim wieku, siwego,

o powolnych ruchach. Był pogrążony w myślach, gdy wchodził trapem przy wysokim pływie

— miał przecież tyle na głowie — a jednak doszedłszy do końca zdobył się na uśmiech

wyrażający pewność siebie, bo był to jego statek, jego prywatny teren. Stawiając stopę na pokładzie, wkraczał znowu w realizowanie swego upragnionego marzenia o podróżowaniu.

Stanąwszy na pokładzie, Henry Hudson przystanął na chwilę

i rozejrzał się wokoło kapitańskim okiem, najpierw zatrzymując wzrok na zagraconym

śródookręciu, a potem podnosząc go wyżej, na drzewca i takielunek mający ponieść ich w dal.

Na rzucone przez niego słówko bosman Clemens ruszył biegiem, żeby coś poprawić.

Następnie Hudson obrócił spojrzenie ku lądowi i zauważył, że jeden z chłopców okrętowych, najmniejszy i najchudszy, próbuje dźwignąć ciężką skrzynię.

— Zostaw, John! — zawołał. — To za ciężkie dla ciebie! Jesteś na to jeszcze o rok za

młody! — Rozejrzał się za kimś silniejszym. — Ty tam!

— rzekł łagodnym, lecz rozkazującym tonem. — Jak się nazywasz?

— Mateusz Lawe, wasza wielmożność.

— Idź i weź tę skrzynię, Mateuszu Lawe — polecił. — Ale ostrożnie! Są w niej wszystkie moje przyrządy i najlepsze mapy morskie. Gdybyś ją upuścił — zakończył z poważnym

uśmiechem

— byłby to koniec naszej wyprawy.

Mateusz, dumny z otrzymanego polecenia, podszedł do małego Johna, odsunął go na bok i

wziął skrzynię na plecy. Dopiero dzień później dowiedział się, że jasnooki John, chłopiec okrętowy, którego zdążył zwymyślać za jakieś zaniedbanie, nazywa się John Hudson i jest synem kapitana.

Ale w bardzo krótkim czasie wiele się zmieniło w oczach Mateusza. Stwierdził, że od razu poczuł nie tylko szacunek, lecz także dużo sympatii dla Henry'ego Hudsona. To był kapitan budzący zaufanie; nie tyran, lecz ktoś przemawiający do swojej załogi jak do zespołu będącego czymś lepszym niż gromadą osiłków w zniszczonych łachach; dowódca mający dosyć lat

doświadczenia i dostateczną wiedzę, żeby nie narażać swoich ludzi na niebezpieczeństwa.

Wszedłszy za Henrym Hudsonem do kapitańskiej kajuty i postawiwszy skrzynię tak ostrożnie, jakby miał do czynienia z własnym nowo narodzonym dzieckiem, poczuł się oddanym członkiem załogi kapitana.

Wielu marynarzy darzyło Henry'ego Hudsona podobną sympatią. Wielu poszło za nim;

niektórzy zawiedli jego zaufanie, lecz zostało im to wybaczone. Jego gwiazda, jako żeglarza, wzniosła się wysoko ponad horyzont trzy lata temu, po trzech morskich wyprawach, w których wykazał odwagę połączoną z umiejętnościami nawigowania. Dwie podróże odbył dla

Kompanii Moskiewskiej, gildii angielskich Kupców Ryzykantów, co stworzyli podstawy swoich fortun, handlując z tym okropnym księciem Moskwy, znanym pod bardziej

odpowiednim imieniem Iwana Groźnego; a potem trzecią dla Holenderskiej Kompanii

Wschodnioindyjskiej, która utwierdziła jego sławę.

W pierwszą podróż wyruszył na "Hopewelt", osiemdziesięciotonyowym statku

obsadzonym zaledwie jedenastoosobową załogą, z zadaniem znalezienia drogi do Japonii lub Chin, opływając biegun północny. Dotarł do wyspy Spitsbergen, leżącej w nieprzyjaznym kole podbiegunowym północnym, ale lód zatarasował im drogę i zmusił do powrotu.

Druga wyprawa, na tym samym statku i z tym samym zadaniem, powiodła go daleko na

północny wschód, wzdłuż zaśnieżonych wysokich brzegów Rosji, do wyspy Nowaja Ziemia,

na tej samej lodowatej szerokości geograficznej. Gdy jednak ani statek, ani załoga nie byli już w stanie stawiać czoła wścieklej pogodzie, kapitan zawrócił do kraju nie wypełniwszy zadania.

Potrzeba mu było trzeciej wyprawy, do niesamowitego zakątka świata, aby zdobył prawdziwą sławę.

Jego nowy zleceniodawca, Holenderska Kompania Wschodnioindyjska, wywabił go ze

służby Anglii z jednego tylko powodu: Hudson był typem człowieka, który mógł zrealizować marzenie Kompanii

o drodze północno-wschodniej, przez śniegi i lody na szczycie globu. Lecz wyszło z tego coś całkiem innego.

Statek Hudsona, o nazwie "Half Moon"\*, miał załogę w połowie angielską i w połowie holenderską; Holendrom, przywykłym do żeglowania wśród ciepłych, pachnących

przyprawami wysp po drugiej stronie globu, zabrakło siły ducha. Nie cierpieli zimna. Po długim szemraniu, kiwaniu głowami, obnoszeniu się z ponurym nastrojem

i niechęcią do pełnienia obowiązków odmówili płynięcia na "Half Moon" poza Przylądek Północny, najdalej wysunięty kraniec Laponii.

## NICHOLAS MONSARRAT

Można było nazwać to buntem i Henry Hudson nie bardzo wiedział, jak nad tym zapanować.

Potrafił prowadzić statek z rzadką wprawą, ale nie był zdolny przekonać załogi o zbyt tępych, jego zdaniem, głowach, do swego marzenia. Nie musiało to jednak oznaczać końca wyprawy.

Holendrzy, podobnie jak sam Henry Hudson, nie chcieli wracać do kraju tak rychło, narażając się na oczywistą niełaszkę.

Powiedział im wprost: "Skoro wam zimno, to popłyniemy tam, gdzie jest cieplej. Jeżeli nie chcecie posuwać się na północ, skierujemy się na zachód. Ale dobrze wiecie, że płynąć dalej musimy". Po czym "Half Moon" przebył trzy tysiące mil na ukos w przeciwnym kierunku po rozkołysanym Atlantyku, skręcił na południe i płynąc wzdłuż wybrzeża Nowego Świata odkrył

wejście na Wielką Rzekę\*, która — zdawało się — mogła otwierać przejście przez kontynent.

Jej szerokim korytem przebyli blisko sto pięćdziesiąt mil, aż skały i progi wodne zagroziły im drogę, a dzicy Indianie okazali się tak zuchwali i niebezpieczni, że w końcu przezorność musiała wziąć górę nad brawurą.

Hudson wrócił do kraju w pełni zaszczytów, ale ku niezadowoleniu króla, którego powód

nie był niczym hańbiącym. Hudson był za dużo wart, żeby służyć innemu narodowi niż swój własny. Tajemnice związane z Wielką Rzeką, kryjącą obietnice zysków, nie powinny stać się przedwcześnie udziałem kogokolwiek innego. Nie można pozostawić Henry'emu Hudsonowi

swobody decyzji w tej sprawie — należy położyć tamę odpływowi z kraju wiedzy i umiejętności.

Rozporządzeniem królewskim Hudson został zganiony za “odbywanie wypraw ze szkodą dla własnego kraju” i otrzymał zakaz podejmowania jakiegokolwiek służby za granicą.

Lecz była to tylko przerwa, jeden stracony krok na dziesięć tysięcy przebytych mil. Byli też inni, poza królem, zazdrośni o talent i odwagę Hudsona, lecz z przyjemniejszych dla niego powodów; tym ludziom chodziło o to, aby taki człowiek jak on przynosił zaszczyty i zyski tam, gdzie faktycznie należało. Sir Thomas Smith i Sir Dudley Digges, obaj z hrabstwa Kent, oraz John Wolstenholme z Yorkshire założyli nową kompanię kupców ryzykantów\*. Mieli

pieniądze, byli na swój sposób odważni i bardzo ciekawi świata, jak często ludzie o szerokim umyśle.

Dali więc Henry'emu Hudsonowi ten statek, “Discovery”, i byli gotowi wysłać go na nową wyprawę z jedną tylko wskazówką, co świadczyło o ich wielkim do niego zaufaniu.

Powiedzieli mu: “Nie próbuj znowu drogi północno-wschodniej. Przefrutowanie nad biegunami to rzecz dla latających potworów, a nie dla statków. Płyn na

## ŻEGLARZ

zachód, potem na północ, szukając innego przejścia — i niech cię Bóg prowadzi!”

Po czterech dniach zaopatrywanie “Discovery” dobiegło końca i statek, załadowany do maksimum, opuścił rzekę z prądem odpływu. Z załogą liczącą dwudziestu jeden marynarzy

zaszli do Grave's End i wzięli tam na pokład jeszcze jednego człowieka, który dopiero po jakimś czasie objawił im swoje prawdziwe, łotrowskie oblicze.

W statkowym rejestrze został zapisany jako Henry Greene. Mimo że Henry Hudson

przywitał go bardzo przyjaźnie, jego nazwisko nie figurowało na liście załogi zaakceptowanej przez właścicieli “Discovery”, a sposób jego zaokrętowania był wielce zagadkowy. Dlaczego zabrano go w takiej tajemnicy, gdy było za późno na sprzeciw właścicieli? Statek huczał od plotek, a wygląd przybysza bynajmniej im nie przeciwdziałał.

Henry Greene był młodzieńcem silnym i dobrze ułożonym, chociaż ślady hulaszczego

życia widoczne na jego twarzy mogły się z tym kłócić. Na statku też pojawiał się pijany i pod tym

względem nigdy się nie zmienił. Odziany był w strój krzykliwy, niby upierzenie sójki, a zachowywał się zuchwale, jak diabeł. Zazwyczaj dobry kompan, zmieniał się, gdy wpadał w złość. Wtedy twarz wykrzywiał mu zły grymas, pod którym nikły wszelkie ślady przyjaznego nastawienia.

Kim był, jaki był naprawdę i dlaczego? Filip Staffe był zdania, że to zbiegły morderca, a Michael Perse podejrzewał w nim bękarta potajemnie darzonego względami przez ojca.

Sylvanus Bond znowu twierdził, że to jeszcze jeden szpieg Kompanii mający pilnować, żeby jej pieniądze były właściwie wydawane.

Mateusz Lawe, przyglądający się przez dłuższy czas ukradkowo temu dziwnemu

członkowi załogi, uznał, że musi to być dżentelmen z dobrego domu, który popadł w rozpustę i pogрузił się w niej tak głęboko, że dla jego dobra—a może i zdrowia—wysłano go na morze.

Abacuck Prickett, wszędzie węszący zło, małe czy duże, od razu zgodził się z Mateuszem i poszedł jeszcze dalej.

— Takie plugastwo!—krakał. —Jeżeli woli towarzystwo rajfurek i dziwek od towarzystwa...

— A kto nie woli? — zapytał Michael Perse wywołując śmiech, który zniweczył kaznodziejskie zapędy Pricketta.

Jednakże coś, co później wywęchał Prickett, wsadzając nos głębiej w tę śmierdzącą sprawę, potwierdziło, że jego zdanie było najbliższe prawdy. Henry Greene był jakoby młodym rozpustnym hulaką z dobrej rodziny, wydziedziczonym przez ojca i z nieznaney przyczyny wziętym pod opiekuńcze skrzydła przez Henry'ego Hudsona. Matka miała dać mu w tajemnicy pięć funtów na ubranie i były to ostatnie pieniądze, jakie wydała na swego syna-nicponia.

Ani Henry Hudson, ani nikt z załogi nie podejrzewał, że na swoje nieszczęście wzięli na pokład największego łotra, jaki pływał kiedykolwiek na przyzwoitym statku, i że w ten sposób na czystym, dziewiczym polu zostały zasiane bujnie rosnące nasiona zdrady.

### III

Wszystko jednak zaczęło się dosyć przyjemnie. Nastaly właśnie nie mające sobie równych dni angielskiej wiosny, gdy kwiecień odwracał się plecami do zimy i radośnie witał maj.

Płynęli na "Discovery" z pomyślnym wiatrem wzdłuż wschodniego wybrzeża Anglii i Szkocji, mijając Harwich, cypel Flamborough, Orkady i Szetlandy — cały czas przy doskonałej pogodzie—póki nie dotarli do najdawniejszego wroga wszystkich statków, Oceanu Atlantyckiego.

Chociaż tą właśnie trasą rozgromiona Armada umykała ze wstydem i rozpaczą, angielscy żeglarze nie musieli przeżywać tu żadnych Ipodobnie dręczących uczuć. Mateusz Lawe, przebywający tę samą drogę co kiedyś hiszpański wrak, na którym przebywał jako jeniec, mógł cieszyć się, że jest Anglikiem i do tego na porządnym angielskim statku.

Na "Discovery", rzecz jasna, nie żyło się łatwo. W każdych okolicznościach mały statek stwarza wiele niewygód; załadowany, jak ich, na długą podróż, gdy na jednego członka załogi przypadało trzy stopy powierzchni, przypominał raczej szpital w czas zarazy.

Nie było nikogo, od kapitana Henry'ego Hudsona i jego zastępcy Roberta Jueta, poprzez lekarza okrętowego Edwarda Wilsona i matematyka Thomasa Wydowse'a (obaj byli

przygotowani na wszystko, czy chodziło o sięganie do gwiazd, czy w pobliże grobu) do Johna Williama, artylerzysty, i chłopca okrętowego Johna Hudsona, kto nie cierpiałby z powodu krańcowej ciasnoty, gdy jeden człowiek musiał deptać po drugim, żeby znaleźć dla siebie skrawek miejsca, a fetor z marynarskich spodni mógł zabić radość dnia i zatruć nocny sen. Ale, jak zawsze, prosty marynarz, który cierpiał najbardziej, mówić miał jak najmniej.

Na swoje nieszczęście Mateusz Lawe, wraz z innymi pechowcami, został ulokowany w

łodzi zamocowanej na pokładzie między grotmasz-tem a rufą. Chociaż był maj, gdy płynęli wzdłuż wschodnich brzegów Anglii, i wciąż jeszcze maj, kiedy — minąwszy wyspy szkockie

— skręcili na zachód, nocami było chłodno, a poranna rosa (którą szczur lądowy określiłby jako przenikliwą mgłę) dla zziębniętego marynarza była niemal śmiertelnie lodowata. Gdy jednak Mateusz

Lawe, wybrany na reprezentanta kwaterujących w łodzi, "bo znał swoje prawa lepiej od innych i potrafił znajdować właściwe słowa", przedstawił sprawę Robertowi Juetowi, dostał cierpką odpowiedź.

— Czego szukałeś przychodząc na statek? — zapytał Juet swoim dobrze znanym

jęklwym głosem, który nawet anioła wyprowadziłby z równowagi. — Poduszek i zasłon z

aksamitu? Polan drewna na kominku i grzanego piwa z korzeniami?... Od razu wiedziałem, że będą z tobą kłopoty i, jak mi Bóg miły, nie pomyliłem się! Czy nie powiedziałem, że przy pierwszej

sposobności wpakowałbyś się do kajuty dowódcy? Chcesz poprawić swoje

położenie? To pracuj w pocie czoła i zasłuż na to! Jesteś w łodzi i w łodzi będziesz, a łódź

będzie pozostawać na pokładzie, póki ja nie wydam odpowiedniego rozkazu!

— Sir — odrzekł Mateusz Lawe, poczekawszy, aż Juet przestanie mówić, bo nie śmiał

przerwać gwałtownego potoku gniewnych słów — chciałem tylko powiedzieć, że na pokładzie jest piekielnie zimno, i jak wstajemy o świcie na wachtę, to jesteśmy półżywi. Nigdy nie możemy się rozgrzać! Czy pan chce, żebyśmy pospadali z topu masztu?

• — Tak — odparował Juet. — Uwolniłoby to mnie od waszych jęków i narzekań.

— Ale my nie jesteśmy w stanie wykonywać naszej pracy.

— Dopilnuję, żebyście ją wykonywali jak mężczyźni... albo będziecie zdychać z głodu jak psy!

I tak już pozostało aż do czasu, gdy nagle, między wyspami Faeroes a Islandią, pogoda do tego stopnia się pogorszyła, że nawet człowiek tak nieczuły, z sercem jak zardzewiałe żelazo lub wypełnionym najczystszym jadem, musiał ustąpić. Przy akompaniamencie wymysłów i

oskarżeń o niewdzięczność łódź została zdjęta i umieszczona dwa pokłady niżej, tuż nad zębami.

Od czasu gdy Arnold Lodlo cisnął w dół pierwszą skórkę od sera, zaczęło już stamtąd

porządnie cuchnąć i początkowo czysty statek zamieniał się powoli w pływający śmietnik. Ale nareszcie było im ciepło.

A ciepło było dzięki wysiłkom kucharza Bennetta Matheusa, okrągłego jak pączek (jak

przystoi w jego zawodzie) kompletnego szczura lądowego. Wszędzie, dokąd się udawał,

zabierał ze sobą swoje wyobrażenia o komforcie i nie pozwalał, żeby je zmieniano tylko z tego powodu, że znalazł się w połowie drogi między kopułą nieba a doliną fali, beładnie miotany od jednego zapomnianego przez Boga brzegu do drugiego.

Tuż obok miejsca, gdzie ustawiono łódź, Bennett Matheus zainstalował piec, za który

otrzymałby pochwałę od matki — zgrabne palenisko z cegieł ułożonych na warstwie piasku

usypanej na dennych wręgach. W tej rozżarzonej grocie mógł produkować cuda, kiedy był

W

NICHOLAS MONSARRAT



w dobrym humorze; a jeśli nie był, to wszyscy, oprócz niego, karmili się nadzieją i zimną owsianką. Zadaniem załogi było utrzymywać go w dobrym nastroju i schlebiać mu po cichu; bycie ulubieńcem kucharza dawało przedsmak raju, a złe notowania u niego — przedsmak czegoś zupełnie przeciwnego. Wysługiwali się więc nieustannie kapryśnemu tyranowi, przynosząc gałęzie na opał, wodę do gotowania czy produkty do wypiekania smakołyków. A potem, aż ślinka ciekła, czekali na dodatkowe porcje albo na lepsze kawałki mięsa przy kości, prześcigając się w zaskarbianiu kucharzowych łask.

Niekiedy mogłoby się zdawać, że nie pracują dla kapitana Hudsona, lecz dla Wszechmocnego Mistrza Kuchni, jak faraon królującego na piramidzie mięsiwa. Człowiek musi żyć.

A życie stawało się coraz cięższe, w miarę jak bark, kołysząc się i nurzając, zagłębiał się coraz bardziej w rejony lodowatego chłodu i wichur, bardziej bezlitosnych, niż może być człowiek czy nawet lód, przewalający się wokół statku jak gigantyczny pływający potwór, baraszkujący tuż pod powierzchnią wody i bijący w jego burty, żeby go zatopić. Za Islandią życie stało się nie do wytrzymania i dla statku, i dla jego załogi. Henry Hudson, wysłuchawszy skrajnie wyczerpanych marynarzy i zasięgnąwszy ich rady, wycofał się w zaciszne schronienie.

Znaleźli je u zachodniego brzegu Islandii, w przystani nazywanej pogardliwie przez marynarzy Wszawą Zatoką, która jednak okazała się dla nich miłosierna jak łagodne łono kobiece. Na lądzie znaleźli gorące źródła, w magiczny sposób wytryskujące z zamarzonego gruntu i ogrzewające powietrze; wulkan pod Górą Hekla, królującą nad tym całym chaosem, niekiedy przyćmiewał niebo czarnym śniegiem, unoszonym przez wiatr i opadającym gdzieś za wschodnią stroną widnokregu.

Tutaj wyszli na ląd szukać zaopatrzenia i ze szczytu góry mogli obejrzeć teren w promieniu pięćdziesięciu mil. Mieli tu możliwość zaspokajać pragnienie, łowić ryby, polować na zwierzyne, której tu była obfitość, i pławić się w osłoniętych wodach. I tu, będąc tylko ludźmi dalekimi od doskonałości, zaczęli się kłócić.

Pyszałkowaty Henry Greene był iskrą, która otworzyła drogę nikczemności i

niewdzięczności. Popadłszy w konflikt z lekarzem okrętowym, Edwardem Wilsonem, przybyłym na statek dwudziestodwuletnim młodzieńcem prosto z uniwersytetu — z tego tylko powodu, że był bardziej wykształcony i zdradzał to swoim sposobem mówienia—Greene najpierw go przedrzeźniał, a potem powiedział, że takie mądrzenie się nie przystoi prawdziwemu mężczyźnie.

Doszło do wymiany mocnych słów i wtedy się okazało, że lekarz ma język cięty jak bicz i szybciej nim operuje niż (co podkreślał z naciskiem) setka młodych nieponi, u których cały rozum koncentruje się we wstydliwych okolicach ciała.

## ŻBOLARZ

Zgodnie z zamierzeniem, złośliwość trafiła w cel (bo, jak mówiono, Greene miał problemy z tymi okolicami), i przeciwnicy od razu przeszli do wymiany ciosów. Na oczach marynarzy Henry Greene, który bywał w Holandii, naurągał lekarzowi po holendersku, a potem stłukł go po angielsku.

Wołanie o sprawiedliwość, które wydarło się z ust Edwarda Wilsona, znalazło poparcie u większości. Wszelako gdy obaj przedstawili przedmiot sporu Henry'emu Hudsonowi, ten sprawę zlekceważył. Wyglądało nawet, że jest po stronie swego faworyta Greene'a, oświadczył bowiem, że po obu stronach racje są i słuszne, i błędne, i kazał puścić sprawę w niepamięć.

Słabość okazana przez dowódcę otworzyła rany boleśniejsze od odniesionych przez lekarza.

Zaraz też z tych ran zaczęła się sączyć zatruta krew.

Gdy stary Robert Juet, zgodnie ze swoim rozumieniem władzy normowanej przepisami, próbował interweniować i uzyskać zmianę wyroku i ukaranie Greene'a, Henry Hudson — po raz pierwszy w tej wyprawie — wpadł we wściekłość.

— Trzymaj się z daleka od tej sprawy! — huknął na starego. — Bo jak mi Bóg miły, poparzysz sobie na niej palce! Co cię obchodzi Henry Greene?

— Obchodzi mnie, jeśli wszczyna burdy — odparł mężnie Juet. — Obchodzi, kiedy uderza naszego oficera. Obchodzi—dodał chytrze —jeśli przybył na statek tylko po to, żeby nas szpiegować i nadwerężyć pańskie zaufanie do nas.

Łagodny dotąd kapitan, stary, siwy dziadunio, teraz nie posiadał się z gniewu.

— Szpiegować was! — krzyczał. — Powiedz jeszcze słowo, a wysadzę cię na ląd i będziesz mógł tam czekać, aż jakiś rybacki statek zabierze cię do kraju! Szpiegować was?

Nadweręzać moje zaufanie do was? Będę rad, kiedy wyszpieguję ciebie siedzącego na

gorących węglach wulkanu, a nadwerężony będzie twój tyłek, a nie zaufanie! Wiesz, kogo

zrobię zastępcą na twoje miejsce? Pomyśl o tym... Nie igraj ze mną, kapitanie Juet, bo ci pokażę, kto rządzi na tym statku, kto jest tu sędzią we wszystkich sprawach, kto... — w tym miejscu Hudson, ze zrećznością godną Abacucka Pricketta, dodał, trawestując majestat i gniew wyrażony w Piśmie Świętym: — ...kiedy powie "Idź", ty pójdziesz!

Po tych słowach Robert Juet wybiegł z jękiem i nie pokazywał się do końca dnia. Ale mimo gwałtowności incydentu był on zaledwie pierwszą zmarszczką na powierzchni bardzo

zmaczonej sadzawki.

Henry Greene, głupawym uśmiechem wyrażający swe zwycięstwo, przestał stawiać

granice swojej arogancji. Edward Wilson, dalej wściekle zagniewany, nosił w sercu piekący ból, jaki może odczuwać tylko ktoś młody, świadom, że został potraktowany niesprawiedliwie przez swego przełożonego. Robert Juet, zrobiwszy w swoim ciężeniu do sprawiedliwości

jeden krok naprzód i dwa w tył, został wystawiony na durnia za swoje wysiłki i wprost zionął

nienawiścią. Grozić jemu wysadzeniem na ląd!... (Mateusz doszedł do wniosku, gdy

nieprzyjemna sytuacja trwała dalej, że może lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby groźba

została wykonana). Ale najbardziej szkodliwy był wpływ tej sytuacji na załogę.

Wdrażani od samego początku do posłuszeństwa rozkazom każdego stojącego wyżej, tak

że Juet mówił "Tak jest, sir" Henry'emu Hudsonowi, bosman Clemens—Juetowi, a Robert Bylot, ich wiodący marynarz — Clemensowi i tak dalej w dół, aż do szczurów okrętowych

umykających na rozkaz Nicholasa Symsa, najmniejszego chłopca okrętowego — wychowani

w tym surowym regulaminie, byli oburzeni, że ich lekarz, oficer, mógł zostać obrażony i pobity przez Henry'ego Greene'a, ochotnika bez patentu ani zaszeregowania.

Jeżeli za coś takiego nie było kary, to nie powinno jej być i dla zwykłego marynarza, który powiedział Henry'emu Hudsonowi prosto w twarz, że jest głupcem.

Wypowiadano gorzkie słowa, rzucano ostre groźby; wybuchały zawzięte spory, a wszystko

to odzywało się później, jak wojenne rany dokuczające przy zmianach pogody. Marynarz o niecodziennym nazwisku, Syracke Fanner\*, wyśmiewany z tego powodu przez Greene'a, poprzysiął w tajemnicy zemstę, zaś Arnold Lodlo, podziwiający Greene'a i uważający go za "prawdziwego mężczyznę, a nie lekkoducha", dopytywał Syracke'a, w jaki sposób zamierza zemścić się na młodym dżentelmenie, wyższym od niego o co najmniej dwa cale i dysponującym pięścią większą od jego głowy.

Michael Perse mówił, że ta sprawa nie miała nic wspólnego z racją czy jej brakiem; Henry Greene to podlec, który nie miał racji, i zostałby ukarany, gdyby nie był najprawdopodobniej bękartem kapitana — czy obaj nie mają na imię Henry?... Kucharz Bennett Matheus, zły na Greene'a za to, że kiedyś potraktował go lekceważąco, przysięgał, że prędzej zaleje ogień, niż podgrzeje coś do jedzenia takiemu gadowi.

Sylvanus Bond, pełen najgorszych przeczuć, przepowiadał, że "płyną po zgubę, a wszystko przez jednego śmierdzącego łotra i jednego kapitana, który mięknie stając z nim twarzą w twarz". Jeden cieśla Filip Staffe zachował pełną lojalność.

— Kapitan musi być sędzią — dowodził. — To jego święte prawo, i lepiej, żebyście o tym pamiętali.

— A ja uważam — gorączkował się Michael Perse — że jakby był naprawdę sędzią, uznałby Greene'a za winnego i by go powiesił.

— Kapitan wydał wyrok — upierał się Staffe. — Uznał, że obaj są winni, i na tym zakończył sprawę. Powiadam, że postąpił słusznie... ale nawet jeśli się pomylił, to nie nasza sprawa. On jest dowódcą.

Słyszając to, wszyscy obruszyli się na Filipa Staffe'a i nazwali go lizusem, chociaż nim nie był, i człowiekiem Kompanii, tańczącym jak mu grano, kim — bez obrazy — był faktycznie.

Abacuck Prickett, trzymający się z dala od tego całego zamieszania, z kwaśną miną, to wydymając, to ściągając wargi, wertował Pismo Święte. Zapytany, po czyjej jest stronie, wystękał: — Po stronie Boga, naszego Ojca! — stawiając siebie na wyższym szczeblu, a pytanie pozostawiając bez odpowiedzi.

Mateusz Lawe nie zabierał głosu w tej sprawie. Zarówno siedząc w ciemnościach dolnego pokładu, plecami oparty o łódź, jak i w górze, na rei, gdzie zakładając nowy żagiel wystawiał

twarz na słońce, nie potrafił wytworzyć sobie prawdziwego obrazu Henry'ego Hudsona tak

dobrze jak ci, co już z nim pływali. Dołączywszy do załogi jako ostami, trzymał się jeszcze z boku, gdy dochodziło do sporów.

W jednym zgadzał się z Filipem Staffe'em, że oczy wszystkich powinny być zwrócone na

dowódcę statku i że gdy on wypowie swoje zdanie, sprawę należy uznać za zamkniętą. To nie przeszkadzało, że uważał Henry'ego Greene'a za ostatniego łotra; za jego zuchwalstwo

należałoby wysadzić go na ląd, zanim nie zagarnie dla siebie wszystkich swobód, nic nie zostawiając dla reszty.

Nade wszystko dziwiło go, że Henry Hudson, kapitan mądry, o doskonałej reputacji,

zgromadził taką galerię zawistnych hultajów, malkontentów i osobników dbających tylko o własny interes—a resztę niech diabli biorą! Jeżeli taka ma być przyszłość ich wyprawy i taki duch ma panować na "Discovery", to morze pochłonie ich wszystkich, zanim wrócą do portu londyńskiego!

Islandię opuszczali w nastroju niezadowolenia, zaopatrzywszy się w ryby, świeże mięso i tłuste gęsi arktyczne, upolowane w trakcie ich przelotu na Daleką Północ. Rozpoczęła się podróż w nieznane.

Popychany lekkim wiatrem statek płynął wolno na zachód. W chłodzie czerwcowego

poranka na pokładzie rufowym pracowali tylko dwaj ludzie: Mateusz Lawe u steru i Henry

Hudson, pochylony nad rozpostartymi na stole mapami.

Co do reszty, wachta pokładowa obijała się na śródokręciu, czekając na wezwanie do

obsługi żagli; bosman Clemens, nie śpiesząc się, dopasowywał klin do pięty grotmasztu, która czasem skrzypiała głośniejsz, niż powinna; a chłopiec okrętowy, Nick Syms, wyobrażając sobie, że jest pierwszym odkrywcą świata, wlepił wzrok w dal, jakby bez jego obserwacji mogli przeoczyć Kataj i zakończyć wyprawę nad jakąś otchłanią na krawędzi piekła.

W spokoju wprost wymarzone dla marynarza Mateusz miał czas rozejrzeć się wokół

siebie. Sterowanie nie sprawiało mu najmniejszego trudu — wystarczał ruch jednym palcem, żeby statek nie zbaczał z kursu. Spieniony ślad torowy utrzymywał się za rufą prościutki jak strzała. Ale wzrok Mateusza wciąż przyciągał ląd widoczny na trawersie, ląd z

zielonocarnymi górami, leżący za ogromnym polem lodowej kry, trącej o siebie z groźnym pomrukiem, przez które żaden statek nie był w stanie się przedostać; ląd tajemniczy i wyniosły, przyzywający ich ku sobie i zarazem wygrażający tą samą niedbałą dłonią, jakby chciał

powiedzieć: Ty — okręt, a ja — ląd. Bardzo proszę, zmierz się ze mną, jeśli starczy ci odwagi

— a wtedy powitam cię miło!

Co to za ląd? Mateusz czekał na okazję, żeby o to zapytać. Wiedział już, że chociaż Henry Hudson jest tu nad wszystkimi, nie będzie taki wyniosły i nieprzystępny, żeby mu nie odpowiedzieć.

Ponieważ każdy marynarz znający się na rzeczy kolejno dyżurował u steru, Mateusz Lawe, wykazawszy się umiejętnością i zyskawszy niechętną aprobatę starego Jueta, spędzał na tym miejscu wiele godzin. Chętnie podejmował się tego zadania od czasu, gdy opuściwszy schronienie we Wszawej Zatoce i wypłynąwszy na ocean, przebyli siedemset mil, a może i więcej — i to zarówno dniem, jak i nocą — głównie dlatego, że sterowanie dawało mu okazję zbliżenia się do Henry'ego Hudsona, którego poznając lepiej, coraz bardziej podziwiał.

Po owym jedynym wybuchu furii Hudson pozostał łagodnym sędzią, ojcem całej załogi i ostoją zdrowego rozsądku w chwilach, gdy najbardziej tego potrzebowali. Chociaż marynarze dalej szemrali i utyskiwali, opanowywał ich nastroje nie surowym komenderowaniem, lecz łagodną perswazją, której trudno było się przeciwstawić.

Jego przesłanie, komunikowane słowem lub milczeniem, spojrzeniem albo odwróceniem wzroku, było proste: wszystko w tej wyprawie idzie dobrze pod dowództwem człowieka, któremu mogą ufać. Dopóki towarzyszyło im szczęście, takiemu przesłaniu mógłby się przeciwstawić jedynie ktoś bardzo odważny lub głupiec uważający, że on robiłby to lepiej.

Właśnie Henry Hudson, zadowolony z wyniku obliczeń, wyprostował plecy i odwrócił się od rozwiniętych z rolek grubych płacht papieru zaścielających stół do map. Podniósł wzrok na łagodnie wydęte żagle, obrzucił badawczym spojrzeniem ląd przesuwany się po północnej stronie widnokregu, po czym przeszedł na pokład rufowy i stanął obok Mateusza. Nadeszła sprzyjająca chwila.

— Łatwo się steruje? — zapytał.

— Tak, sir. Wystarczy lekkie dotknięcie od czasu do czasu... Jaki to ląd mijamy?

Henry Hudson, który może był dyrektorem szkoły, zanim poszedł na morze, swoim zwyczajem odpowiedział pytaniem na pytanie:

— A jak myślisz?

— Nie mam pojęcia.

— Ale jak ci się wydaje?

— Nowy Świat?

— Jeszcze nie. To Grenlandia.

Mateusz Lawe słyszał już tę nazwę, ale nic mu ona nie mówiła. Nawet teraz, gdy wszystkie odkryte miejsca zostały już dokładnie zbadane, pozostały pewne nazwy, które należało przyjmować na wiarę. Wśród nich właśnie Grenlandia.

— Czy zajdziemy tam?

— Nie. Ostrzeżono nas, żebyśmy tego nie robili.

Hudson mówił jak dawny prorok... albo chłopiec ukrywający jakiś sekret. Jak zawsze w

morzu, miał na sobie coś, co załoga określała jako szatę przebierańca: spłowiały, kiedyś czarny płaszcz ze zwyczajnego materiału i o prostym kroju, lecz — jak płaszcz jakiegoś kupca z Lewantu — obszyty wokół szyi futrem z arktycznego lisa, a na połach ozdobiony szerokimi

pasmami skór bobrowych.

Arnold Lodlo (którego uszy były zdolne dosłyszeć z odległości mili szmer rury

odpływowej) usłyszał go kiedyś mówiącego: “To całe moje bogactwo, jakie przywiozłem z

Rosji i z Nowego Świata. Czy dziwi was, że ciągle jeszcze pływam?”

Marynarze brali to za dobry żart, dopóki odbywana po raz trzeci pogoń za futrem nie

wystawiała na ryzyko ich życia.

Ale Mateusz bardzo się chciał dowiedzieć czegoś więcej. — Sir

— zapytał — w jaki sposób nas ostrzeżono?

— Umiesz czytać, Mateuszu?

— Tak, sir. Wystarczająco.

— Nie można umieć czytać wystarczająco — powiedział Henry Hudson, lecz z

uśmiechem na twarzy. Przeszedł do stołu, przy którym pracował, i wrócił ze starą,

podniszczoną mapą. Podsunąwszy ją Mateuszowi pod nos, kciukiem zakreślił na niej spory

kawałek lądu.

— Co tu jest napisane?

Mateusz sylabizował powoli: — Grenlandia. Tu Króluje Lód.

— Wyraźne ostrzeżenie — rzekł Hudson. — A do tego podane przez człowieka, który zrobił to odkrycie sam dla siebie.

— Kto to był, sir?

— John Davis, przyjaciel Sir Waltera Raleigha. Pływał po tych wodach dwadzieścia pięć

lat przed nami, szukając przejścia. Pewnego razu zauważył wir, który gwałtownie się kotłując parł na zachód. Zabrakło mu jednak odwagi na spenetrowanie go. To jest właśnie wejście na drogę, której szukam.

— Gdzie jest teraz jego wielmożność pan Davis?—spytał Mateusz

po chwili, jakiej potrzebował na przetrwanie tej złowróżbnej informacji.

Henry Hudson znowu się uśmiechnął. — Gdybyś dobrze poszukał po drugiej stronie

świata, znalazłbyś może jego kości gdzieś na Wyspach Korzennych... Zginął z rąk japońskich piratów. Lepiej byłoby dla niego, gdyby został na tym spokojnym wybrzeżu!

— To znaczy że popłyniemy dalej?

— Tak, będziemy płynąć, aż samo piekło zamarznie. — Na fokmaszcie załopotał żagiel,

statek zaczął myszkować, a Henry Hudson błyskawicznie wrócił do roli kapitana. — Uważaj, chłopcze, jak sterujesz! Żebyśmy pływali po morzu, a nie na czworakach po lodzie!

Na tym pogawędka się skończyła, ale później często ze sobą rozmawiali. Henry Hudson

znał wiele podróżniczych historii i chętnie opowiadał o braciach marynarzach, którzy

penetrowali te same wody, o nieznanym nieszczęśnikach, którzy umierali w osamotnieniu, i tych co dożyli zatknięcia flagi na jakimś odległym brzegu i wrócili do kraju obsypani

zaszczytami, by opowiadać swym dzieciom historie słuchane ze skrzącymi się oczyma i by

umrzeć w ciepłe własnego domowego ogniska.

Czasem Hudson mówił o Sir Humphreyu Gilbertcie, przyrodnim bracie starego Sir Waltera.

— Na Boga, to był mężczyzna! — wołał z ogniem w oku. — I umarł jak mężczyzna, na



“Squirrel”\*, między Nowym Światem a Starym. Niedaleko Azorów, w drodze powrotnej po objęciu w posiadanie w imieniu królowej Nowej Fundlandii. Jak myślisz, jakie były jego

ostatnie słowa?

Mateusz czekał.

— Ujął w dłonie tubę i w najokropniejszym sztormie, na jaki natknął się w swoim życiu, zawołał do towarzyszącego im barku “Golden Hind”, doradzającego mu ostrożność: “Głowa do góry, chłopcy! Do nieba jest tak samo blisko z morza jak z lądu!” W tym momencie przesłonił go szkwał, a gdy przeleciał, nie ujrzeli już “Squirrel”. Dziesięcotonowy stateczek.

Dziesięcotonowy!... Pchła na oceanie, ale pchła o lwim sercu! W Eton\* uczą czegoś więcej niż greki i gry w piłkę ręczną!

A potem mówił o rzeczach bliższych sercu Mateusza. — Ale stary Drake to był ktoś, na kogo zawsze bym stawiał. Najświetniejszy kapitan, jakiego mieliśmy kiedykolwiek. Opłynął kulę ziemską na statku nie większym od naszego. Wiesz, o kim mówię?

— Tak, sir. — Taka tylko mogła być odpowiedź Mateusza. — Ale powiadają, że był w gorącej wodzie kąpany.

— Co? — Henry Hudson zachnął się. — Dziecinne gadanie! Za jego czasów byłeś dzieckiem, a może nie było cię jeszcze na świecie! To był człowiek na miarę epoki. Miał swoje marzenie i urzeczywistniał je. Jeśli coś czy ktoś stanął mu na drodze, to ten ktoś czy to coś musiało ustąpić. O takim człowieku nie można mówić, że był w gorącej wodzie kąpany. —

Hudson zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiając, czy zdradzić jakiś posiadany przez niego sekret, ale w końcu powiedział tylko z przekonaniem: — Był najdoskonalszy!

Raz w rozmowie z Mateuszem cofnął się w daleką, mglistą przeszłość, sprawiając, że ożyła, jakby obaj znaleźli się w tych bardzo dawnych czasach. Było to w pełni lata, podczas nocnej wachty, z księżycem nad ich głowami rozjarzonym jak latarnia. Gdy Hudson mówił o pierwszych znanych podróżnikach, wikingach, }łDiscovery", statek o szerokim pokładzie, zdawał się zmieniać w mroku w okręt znacznie starszy, długi i smukły jak pies krzyżowca\*.

— Były to otwarte łodzie podobne do skifów\* — mówił Henry Hudson — bez jednej

choćby deski dla osłony przed wlewającymi się falami. Broniąc się przed nimi, wojownicy tworzyli ścianę z tarczy, trzymając je tak, że ich górna połowa wystawała nad burtę. Ta ściana przeciekała, a jedynym ich dachem — w zimie i latem — było niebo. Lecz na takim właśnie statku, to wiosłując, to zeglując z wiatrem, przepłynęli cały Atlantyk i odkryli Nowy Świat na stulecia przed nami.

— Myślałem, że my byliśmy pierwsi — powiedział Mateusz.

— Ja sam ciągle lubię tak myśleć! Ale to nieprawda. Odkryty ląd nazwali w swoim języku

Vinland; żeglarz-wiking, Leif Ericsson, wylądował tam przed sześciuset laty. Ale i on nie był

pierwszy na tych wodach! Jego ojciec, Eryk Czerwony, założył osady na tym lądzie, który minęliśmy dwa tygodnie temu. Na samej Grenlandii! Ale miał ważny powód do opuszczenia

Norwegii. Został wygnany za morderstwo.

— Gdzie jest ten ich Vinland?

— Może to Nowa Fundlandia albo jakiś ląd jeszcze dalej na południe, gdzie byliśmy na

“Half Moon”. Nazwa znaczy “Kraj Wina”, ale nie mam pojęcia, skąd się wzięła, bo nie znaleźliśmy tam nawet kropli tego trunku. W przeciwnym razie zostalibyśmy tam dłużej!

Zadziwiający w tym wszystkim jest fakt, że całe te trzy tysiące mil przebyli w wąskich, otwartych łupinach, w jakich nie odważyłbym się przepłynąć od Mostu Londyńskiego do

Greenwich! Prawie bez używania jakiegokolwiek instrumentu nawigacyjnego zasługującego

na tę nazwę. Możliwe, że dotarli dokładnie do wód, na których my się

teraz znajdujemy. — To mówiąc, wskazał gestem na czarną głębię lśniąca odblaskiem gwiazd, którą ciął kadłub “Discovery”. — Ale podczas gdy my mamy do pomocy najdoskonalsze

przyrządy, oni dopłynęli tu na chybił-trafił i z Boską pomocą!

Mateusz, stojący z szeroko rozstawionymi nogami na mocnym pokładzie, czuł się prawie

jak wiking, zagubiony, samotny, lecz odważny na stateczku pokonującym czarny bezmiar

wód, z falami bijącymi w ścianę z tarcz wojowników, jak zakute w żelazo pięści żądne

dobrania się do burt.

— Czy naprawdę nie mieli żadnych przyrządów?

Wyczuł uśmiech w głosie kapitana odpowiadającego na jego pytanie: — Owszem, mieli kruki.

— Kruki?

Henry Hudson nie mówił wprost, co mu się zdarzało, kiedy miał się z kimś dzielić swoją

wiedzą.

— Czytałeś, Mateuszu, Biblię?

— Tak, sir. — Na to pytanie Mateusz mógł bez wahania dać szczerą odpowiedź. W całym

przebiegu nauczania w szkole dla ubogich w Barnstaple treści żadnej innej książki nie wbijano do głów trzymany tam sierot mocniej, nie żałując razów w tyłki, niż tej najświętszej księgi.

— Więc znasz historię o arce?

— Tak.

— Noe doszedł do wniosku, że po Wielkim Potopie mógł gdzie pozostać nie zalany

skrawek ziemi. Wypuścił z arki gołębia, żeby szukał miejsca, gdzie mógłby przysiąść. Gołąb jednak wrócił, bo go nie znalazł. Wrócił też następny, po siedmiu dniach, ale z gałązką z drzewa oliwnego w dziobie. W jakimś miejscu musiały być widoczne wierzchołki drzew!

Trzeci wypuszczony ptak nie wrócił. Co to oznaczało?

— Że znalazł w końcu miejsce, gdzie mógł się zagnieździć.

— Właśnie! I tak było z krukami zabieranymi przez wikingów, ale oni robili to zmyślniej.

Gdy chcieli się zorientować, gdzie jest najbliższy ląd albo nowy, którego szukali, wypuszczali na poszukiwanie ptaki. Czasem ptaki leciały do kraju, czasem wracały, zdezorientowane, na statek, ale zdarzało się, że odleciawszy na północ, zachód czy południe, już nie powracały. A to oznaczało, że w tamtym kierunku był jakiś ląd.

— Ale jaki?

— No właśnie, jaki ląd? Musieli tam popłynąć, żeby się przekonać, i w ten sposób świat się poszerzał. Czasem, gdy się nie udało i całkiem zabłądzili, ruszali za wielkimi kluczami gęsi lecących z klangorem z Irlandii, gdzie spędzały zimę, do miejsc letnich lęgów w Islandii albo na Grenlandii.

— Czy tylko ptaki wskazywały im drogę? Może coś jeszcze?

— Prawie nic poza tym. Mieli ołowiankę, podobną do tej, jaką my teraz mamy, z

umieszczoną na końcu grudką łożu, do którego przywierał piasek, kamyki albo szary muł. Na podstawie tego mogli się orientować, kiedy morze robi się płytsze i jaki jest brzeg. Polubili niektóre gwiazdy, na przykład Stellę Maris — wskazał w kierunku bieguna — tę, która jest właśnie nad nami i wskazuje nam drogę. I Wielkiego Psa, przez nas nazywanego Syriuszem, i Oriona z jego Pasem, a także małe Plejady. Wiedzieli, czy żeglując należy mieć je po lewej ręce czy po prawej. Umieeli oznaczać ich położenie w stosunku do węzła na takielunku i

dostrzegać, gdy ono się zmieniało. Ale na tym koniec. Żadnego prawdziwego pomiaru! Ani igły magnetycznej. Ani kompasu. Ani zegara czy choćby klepsydry. Ani astrolabium.

Dla Mateusza astrolabium też nie istniało, toteż wrócił do swojej zasadniczej wątpliwości.

— Jak to jest, że ptaki wiedzą, dokąd lecieć, a ludzie nie?

Henry Hudson westchnął, jakby nagle stracił energię. — Gdybyśmy to wiedzieli, poznalibyśmy wszystkie tajemnice mórz.

Wieść o tej długiej rozmowie rozeszła się po statku, potwierdzając to, o czym być może szeptano wcześniej. Bo gdy następnego ranka Mateusz wygramolił się ze swojego kąta w łodzi i chciał przyjemnie powitać nowy dzień skonsumowaniem marynarskiego przysmaku, solonego świńskiego kopytka, kucharz Bennett Matheus dał mu kawałek spleśniałego wołowego kopyta.

Gdy protestował, jeszcze w dobrym nastroju, Matheus odburknął opryskliwie: — Idź

poskarżyć się kapitanowi Hudsonowi! Może poczęstuje cię u siebie w kajucie potrawą z

bażanta. — Gdy inni znajdujący się w zasięgu słuchu też zaczęli mu dokuczać, Mateusz pojął, że nagle znalazł się w niełasce.

Robert Juet zapytał go złośliwie, czy chce zostać zastępcą kapitana — bo jeśli tak, to z punktu widzenia własnego dobra posuwa się za szybko. Bednarz Sylvanus Bond, niby żartem, wyraził troskę o to, co by się działo ze statkiem, gdyby on, Mateusz Lawe, przejął kontrolę nad jego kursem. Arnold Lodlo, drażliwy jak kobieta cierpiąca na hemoroidy, powiedział, że i bez Mateusza "Discovery" jest w tak złej sytuacji, oddalając się coraz bardziej od kraju, że on nie mógłby już jej pogorszyć.

— Nie namawiaj — powiedział drwiąco — naszego pana kapitana Hudsona, żeby płynął dalej. Może on ciebie lubi, ale my nie musimy — I a jest nas dwudziestu na jednego!

Ogromnie zaskoczony, czerwony ze wstydu Mateusz stał milcząc i z otwartymi ustami

patrzył na towarzyszy. Przypomniawszy mu się dawny pobyt w szkole dla sierot, gdzie chłopak będący ulubieńcem

wszystkich mógł — wskutek jakiejś zmiany nastroju albo trującego poddmuchu czyjejs niechęci

— w jednej chwili stać się wyrzutkiem, którego każdy chętnie szczypał i poszturchiwał. Bez słowa oddalił się chyłkiem w drugi koniec pokładu i tam w samotności zjadł swoje śmierdzące śniadanie.

Ale czekało go coś jeszcze gorszego. Wysłany na reję grotmasztu do naprawy przetartej liny, z przyjemnością wykonywał zadanie, nie śpiesząc się z jego zakończeniem. Z góry widział Henry'ego Hudsona, znowu przy stole z mapami, tym razem z Robertem Bylotem, młodym człowiekiem uznanym za wiodącego marynarza, tak świetnie znającym się na nawigacji, że zasługiwał raczej na nazwanie go pilotem.

Nagle bosman Clemens, teraz jeden z wrogów Mateusza, ostrym tonem kazał mu zejść na pokład, wziąć z kajuty czapkę kapitana i zanieść mu ją na rufę. Było to zadanie dla chłopca okrętowego, i narażanie marynarza pracującego na rei, żeby wdrapywał się tam i z powrotem, jak mała na smyczy pana, było idiotyzmem.

Ale wobec wrogiej mu atmosfery Mateusz posłusznie wykonał polecenie. Czekał obok stołu, aż kapitan go zauważy, usłyszał, jak Hudson, z palcem na rozpostartej mapie, powiedział do Bylota:

— Sądząc po chłodzie powietrza powinniśmy być niedaleko pokrytego lodem lądu. Albo bliżej brzegu, niż nam się wydaje. Czy na pewno widziałeś o świcie gwiazdę?

Jak zwykle Robert Bylot odpowiedział po dłuższej chwili namysłu. Mocną stroną tego poważnego, rozmiłowanego w nauce młodzieńca, trzymającego się z dala od innych, był jego rozum i zamiłowanie do liczb. Był najszczęśliwszy, gdy wynik sumowania budził jakąś wątpliwość, którą można było rozwiązać na dwa sposoby albo i więcej. W tej chwili odczuwał zadowolenie, ale mimo młodego wieku potrafił tego nie okazać.

Wreszcie odrzekł: — Na pewno. Może lód jest trochę dalej na południe, niż był kiedyś. Jak wiemy, jego położenie zmienia się co roku.

— Niech będzie; Bóg widzi, że ci ufam — powiedział natychmiast Henry Hudson.

Odwróciwszy się od stołu, zauważył Mateusza Lawe'a, który podał mu czapkę. — Słyszałeś, Mateuszu? Mam do niego zaufanie w sprawach naszego statku, tak jak do ciebie, gdy idzie o moje najlepsze nakrycie głowy!

Nie była to bardzo wielka pochwała, ale Mateusz odpowiedział uśmiechem. Robert Bylot, wyraźnie znający swoją wartość, nie odpowiedział wcale. Hudson stwierdził, że nagle zrobiło się zimno

I włożył czapkę. Mateusz, czując, że robi źle, ociągał się jednak z odejściem i patrzył na stół, na którym leżały rozpostarte mapy i różne przyrządy.

Zauważywszy jego spojrzenie, Henry Hudson zapytał:

— Znasz się, chłopcze, na nawigacji?

— Nic a nic, sir.

— To umiejętność nad umiejętności! Ale pomyśl, jakich pomocy potrzebujemy w porównaniu z ptakami, o których rozmawialiśmy wczorajszej nocy. — Wskazał na stół i stojącą pod nim drewnianą ławę na krzyżakach. — Oprócz map, najlepszych, jakie dziś istnieją, mamy dobry kompas pływający, który nigdy dotąd mnie nie zawiódł. I tabliczkę kursową — ciągnął, wskazując gestem — na której zaznaczam kółeczkiem długość każdego kursu, podczas gdy klepsydra określa czas jego trwania... No i zegar, wykonany w Londynie, chociaż na morzu nie sprawuje się tak dobrze, jak u mnie w domu.

Mówił z radosną dumą, jak kobieta pokazująca swoją biżuterię albo chłopiec ulubione zabawki. — A to jest nasza prawdziwa kotwica... nasza kotwica na niebie... laska Jakuba do pomiaru wysokości słońca i gwiazd. — Laska miała sześć stóp długości, była pięknie rzeźbiona i przedziwnie ukształtowana — Mateusz nie wiedziałby, czy należy balansować nią na głowie, czy też trzymać między nogami. — A to ulubiony przyrząd Johna Davisa, jego kwadrant do oglądania słońca w odbiciu łagodzącym oślepiający blask, tak aby był znośny dla starych oczu. — Odwrócił się w drugą stronę. — Moje pierwsze tablice gwiazd, z których korzystam od pięciu lat. Trzydzieści dwie gwiazdy stałe, wszystkie nazwane i pomierzone! Ale prawdziwą biblią jest ten nowy Waggoner, almanach nautyczny, podający deklinacje stu gwiazd i zawierający wszelkie tablice ułatwiające pomiary. Holenderskie rozumy i angielska sztuka drukarska — wołałbym stracić własny rozum niż ten almanach!

Mateusz czuł się głupio, jakby był gołębiem świeżo wypuszczonym z arki. Zdobył się tylko na pytanie: — Jak to działa?

Henry Hudson uśmiechnął się. — Musisz o to spytać Roberta Bylota, jak będzie miał wolną chwilę. Zna się na tym lepiej ode mnie!

Obaj roześmieli się i nawet Bylot się uśmiechnął, chociaż z przymusem, jakby ten żarcik nie był zbyt

dobry. Odprawiony, Mateusz zaczął schodzić z pokładu rufowego.

Po drodze musiał przejść obok stanowiska sternika. Arnold Lodlo, akurat stojący u steru, popatrzył na niego z taką pogardą, że Mateusz omal nie jęknął. Jego spojrzenie mówiło równie głośno i jadowicie jak słowa:

— Kapitański lizus!

Wyglądało, że niektórzy ludzie z załogi Henry'ego Hudsona nie mogli znieść myśli, że ma on jeszcze jednego przyjaciela.

Ktoś odporniejszy zignorowałby to i mógłby nawet poczuć się rozbawiony błazenadą

przypominającą pieski z wysiłkiem prężące się na tylnych nogach, by dowieść, jakie są mocne, a ukazujące jedynie

podbrzusze. Ale ranek nie dodał Mateuszowi sił; czuł, że jest wystawiony na ciosy mogące tak go osłabić, że nie będzie mu się chciało ich odwzajemniać. Zараźliwa niechęć rosła i

przestawała być sprawą między nim i Lodlem, między nim i Juetem, między nim i nierówno-

ścią szans jednego przeciwko dwudziestu.

Wrogie spojrzenie Lodla było sygnałem ostrzegającym o wiszącej w powietrzu groźnej

zarazie, mogącej zniweczyć szczęśliwy obrót losu i pozbawić znaczenia taki drobiazg, jak konflikt między dwoma marynarzami. Nad "Discovery" ta zaraza zawisała jak czarna chmura, sprawiając, że ten dzień mógł być ostatnim spokojnym dniem na statku.

I tak się stało.

W południe, w przenikliwym, nasilającym się chłodzie, weszli niespodziewanie w tuman

mgły tak gęste, że w jednej chwili przestali widzieć nie tylko morze i niebo, lecz cały przód

"Discovery". Mateusz, który wrócił na swoje stanowisko u steru, otrzymał rozkaz: — Ustawić dziób na północny zachód i tak trzymać! — Rozkaz jednak nie pomógł wiele. Wiatr ustał, ale gdy wrócił, dmuchał raz w tę, raz w inną stronę, jak szermierz badający, gdzie zadać następny cios.

Żagle to się wypełniały, to łopotały ponuro o maszty z odgłosem przypominającym

trzaskanie z bicza. Gdy statek cofnął się pod naporem wiatru, Mateusz został ostro

zwymsłany za to, jak steruje; ale nawet dziesięciu marynarzy z dziesięcioma parami oczu nic by nie pomogło. Bark dryfował, miotając się ślepo jak nietoperz w zachmurzone południe.

Połowa statku słabo rysowała się we mgle, gdy druga już w niej znikła jak napis ścierany z tablicy.

Niesamowity mrok zaległ wszystkie zakątki pokładów. Brody marynarzy ociekały

wilgocią, twarze lśniły osiadłą na nich mgłą. Głosy dochodziły jakby znikąd; straszniej brzmiały przekleństwa i groźby kierowane przeciwko wszystkim, którzy wpakowali ich w to nieszczęście. Ktoś — mógł to być Henry Greene — rzucił dowcip o “ślepcu prowadzonym

przez ślepego”, skwitowany, na pogrążonym w mroku dziobie, przez fałszywie brzmiący śmiech, bardziej przypominający chichot demonów niż ludzi.

Henry Hudson stał spokojnie, usiłując przebić wzrokiem złowieszczy tuman, ale inni wokół niego upadali na duchu.

W miarę zbliżania się wieczoru i nocy mgła ciemniała, aż stała się czarna jak całun

spowijający trumnę. Mijały godziny nie przynosząc żadnej zmiany. Nie było widać żadnej

gwiazdy ani błysku latarni na topie masztu czy choćby bieli najbliższego żagla. Było tak, jakby statek znalazł się we własnym grobie. Świt, nadeszły z ociąganiem, rozjaśnił tylko mgłę, zamieniając oślepiającą oczy czerń w coś żalobnie szarego, lodowatego i przerażającego.

Tak płynęli po omacku do południa następnego dnia, kiedy to rześki wiatr dmuchnął od

wschodu. Ruszyli fordewindem, mając wrażenie, jakby wlekli ze sobą jakąś własną,

skrywającą wszystko zasłonę i nie mogli się jej pozbyć; przy sondowaniu do ołowianki

pryczepiały się tylko pojedyncze glony, wyciągane z milczących głębin nie mających dna, tak jak nie miało końca niewidzialne niebo nad ich głowami.

Nagle z marsa dał się słyszeć przenikliwy okrzyk chłopca niewidocznego nawet z poziomu

pokładu. To Nick Syms ogłaszał nowinę nic nie widzącym marynarzom na dole, jakby oczy

miał osadzone na czułkach — i chyba miał je naprawdę!

— Widzę ląd! — wołał; a na zapytanie zastępcy kapitana, Jueta: — Gdzie? — odkrzyknął

natychmiast: — Z prawej burty dziobowej! Trzy mile albo dalej! — i zaraz dodał rzecz jeszcze dziwniejszą od swojej nowiny: — Tu, na marsie, jestem w słońcu! — Światło słoneczne...

prawie zapomnieli, co oznaczają te słowa... Ale wnet sobie przypomnieli, bo bez żadnych oznak mgła rozstała się i wpłynęli na wyraźnie widoczną wodę pod niebem z jasnego błękitu.

Henry Hudson i stojący przy nim Bylot patrzyli zdumieni na widok otwierający się przed

nimi. Niedaleko z prawej burty rozciągał się szary masyw lądu połyskujący i mieniący się w słońcu;



a dalej na południe ujrzeli zarys innego lądu, który mógł być wybrzeżem lądu stałego albo wyspy. Dzielił je od siebie niespokojny, rozfalowany szmat wody, kłębiącej się i wrzącej jak w gigantycznym kotle mieszanym potężną chochłą.

Hudson, potrzebujący czasu i przestrzeni morskiej, żeby rzecz przemyśleć, krzyknął do sternika Michaela Perse'a: — Ster na zawietrzną! Na południe! — i gdy dziób "Discovery" zaczął się odwracać od bliższego lądu, bosman Clemens pognał ze swoją wachtą na przód, żeby ustawić reje. Skierowany ostrzej na wiatr statek nabrał prędkości i ruszył przez rozhuśtaną wodę.

Jakby odkrywszy, że pomylił się wszechświat, nie zaś on sam, Robert Bylot rzekł: — Nocą we mgle przesunęliśmy się dalej, niż powinniśmy.

Hudson, zapatrzony, mruknął coś potakująco. Pełen napięcia wzrok utkwiał nie w lądzie leżącym najbliżej, lecz w odległym brzegu po drugiej stronie rozległej, bardzo wzburzonej zatoki. Krzyknął do Michaela Perse'a: — Obróć na lewą burtę! Steruj na południowy wschód!

— A potem do Francisa Clemensa: — Znowu brasuj reje wstecz! Najbliżej wiatru, jak się da.

Gdy rozkaz został wykonany i statek położony na nowy kurs, Hudson usiadł i w milczeniu obserwował cypel leżącego przed nimi lądu, nie spuszczać jednak wzroku z wód, przez które płynęli, dziwnie wzburzonych pod wpływem czegoś więcej niż wiatru, z wira mi wprost najeżonymi krą. Mimo to pierwszy zauważył, że płynąc szybko "Discovery", posuwa się bardziej na boki niż do przodu.

Stali się więźniami gwałtownego pływ. Statek nie poradzi sobie z ominięciem występu lądu na południu; a jeśli zawróci, żeby płynąć z powrotem, nie obejdzie widzianych wcześniej urwistych skalnych zboczy. Coś nieustannie ciągnęło ich na zachód, nie pozostawiając im żadnego wyboru.

Uprzytomniwszy to sobie, Hudson podjął decyzję. Słaby człowiek, znalazłszy się na łasce kotłujących się fal, mógł tylko im się poddać. Utkwiwszy wzrok w Michaelu Perse'em zatoczył ręką szeroki łuk, od lewej strony ku prawej.

— Zawracaj na zachód, tylko powoli, a my tymczasem poluzujemy brasy.

Kierowanie się na zachód odzwierciedlało jego zamiar czy nadzieję — ale nastąpiło za

późno, nie pozostawiając mu możliwości pełnej kontroli. Wcześniej, widać, musieli zostać wessani w nurt "wściekłej kipieli", którą John Davis zaznaczył na mapie i której jemu udało się uniknąć. Nie udało się to jednak "Discovery". Przez dzień i noc ogarnięci przymusową ślepotą, mogli się tylko poddać.

W szerokim wejściu, jak wzrok sięgał, kotłowała się taka sama spieniona woda. Ruszyli tamtędy i płynęli coraz szybciej, kierując się wciąż na zachód. Czy to może być ta sama straszna dziura w środku kuli ziemskiej, o której z taką grozą mówił Juet — zastanawiał się Mateusz, zdumiony i przerażony. — A może jest to faktycznie przejście do Chin i do Indii?

Jeśli tak, to czy uda im się żywym przedostać przez nie?

Wkrótce wślizgiwali się w nieznaną świat, mijając odległe zbocza, wysokie i urwiste, które najpierw zbliżyły się do siebie, a potem odsunęły, niesieni przez gwałtownie wzburzone wody o niezwyklej, niezaprzeczalnie gigantycznej sile.

Odpowiedź na jego pytania była śmiertelnie blisko.

#### IV

Odziany w swoje dziwaczne palto, nie zwracając uwagi na przenikliwe zimno, dokuczliwą zbitą falę i na wątpliwości dręczące go jako kapitana prowadzącego statek w okolice nie zaznaczone na żadnej z map morskich, znanych dotąd żeglarzom, Henry Hudson godzinami

tkwił na pokładzie, wykazując hart ducha, który mógłby zawstydzić jego dwudziestoletniego wnuka. Ogrzewało go jego marzenie, sił dodawała nadzieja, a do przodu pchało mocne

pragnienie ujrzenia, co

jest za następnym horyzontem i za następnym zakrętem tego dzikiego labiryntu.

Triumfalnie przeżywał kolejne chwile ukazujące szybko po sobie następujące obrazy, na

których widok z głębi duszy wyrywał mu się okrzyk: "Na rany Chrystusa, możemy być

pierwsi, którzy to oglądają!" Był jednak przy tym wszystkim rozważnym nawigatorem i podobnie jak Robert Bylot, pracowita myszka w ich pływającym biurze rachunkowości,

interesował się matematyczną stroną posuwania się statku do przodu.

Myśli koncentrował głównie na problemie wielkiego pływ. Jeśli to właśnie pływ niesie

tak bystro "Discovery", a nie słona rzeka wyrzucana wstecz z Oceanu Atlantyckiego, to ten pływ musi wkrótce ustać. Żaden przypływ ani odpływ nie trwa dłużej niż sześć godzin — czas dwunastu obrotów jego najnowszej półgodzinnej klepsydry. Jeśli ten pływ będzie trwał dalej bez zatrzymania

się, to znaczy, że bgnie do Kataju.

Hudson czekał, rozgrzewając się chodzeniem po pokładzie. Był na statku jedyną chyba

cierpliwą i pełną ufności istotą, a na pewno najbardziej zdecydowaną. I w końcu został za to nagrodzony — jeśli nie triumfalną nowiną, to przynajmniej jakąś odpowiedzią. Po czterech godzinach wściekle kotłowanie się fal osłabło i całkiem ustało, a po godzinie walki morza z samym sobą w pojedynku, którego gwałtowności nie dałoby się opisać, wielki pływ odwrócił

się i z tą samą furją ruszył na wschód.

Chociaż statek miał sprzyjający wiatr od rufy, zaczął się ślizgać w tył obok z trudem

ominiętych poprzednio urwistych cypli, teraz jakby z Boskiego rozkazu pochłanianych kolejno przez zachłanną czelusć morską.

Pchany w tył, zmuszany do szybkiego ruchu, Hudson obrócił "Discovery" i płynął, nie mając wyboru, z powrotem. Potrzebował pewnego czasu na rozwiązanie zagadki, mieszczącej w sobie i groźbę, i obietnicę; otwarte wrota i zatarasowane wejście, co mogło drażnić

człowieka opanowanego, a kogoś kąpanego w gorącej wodzie skłonić do niesławnego

odwrotu. Na krótko dobił do północnego brzegu zagadkowej cieśniny, lecz jej brzeg okazał się nagi i pusty, nie oferujący niczego, jak szafka wypełniona lodem. Skręciwszy w bok, a potem na południe, Hudson odkrył wejście do szerokiej zatoki. Woda była tu spokojniejsza, nie miotana tamtym pływem, więc odważył się wejść ze statkiem.

Nie poddawał się przygnębieniu. Jeśli wody na północy, nieustannie szarpane

przyływami i odpływami, zawiodły go donikąd, to ten spokojny obszar wodny, taki rozległy i majestatyczny, może być rzeczywistym wejściem na drogę północno-zachodnią, -której

znalezienie było jego celem.

Dokładne rozpoznanie zaczął w końcu czerwca, po pierwszym zepchnięciu "Discovery" na zachód. Niewiele dni minęło, a stało się rzeczą jasną, że statek, zamiast posuwać się do przodu, dostał się w kleszcze przeciwnego prądu. Doskonały kompas Hudsona przestał działać

prawidłowo i wychylał się lub obracał ze złośliwością szaleńca, jakby pod stępką działała czyjaś piekielna dłoń o monstrualnej sile. W którąkolwiek -stronę Hudson kierował statek, wszędzie witał go niezwykle ponury krajobraz i morze puste do granic wytrzymałości

szukającego drogi żeglarza. Żaden zwrot czy skręt nie był w stanie ich wyswobodzić.

— Ale nieszczęście! — powtarzał raz po raz Sylvanus Bond swoim skrzekliwym głosem

każdemu, kto chciał go słuchać; i ten mały bednarz o smutnych oczach miał rację. Przez dużą część

czasu wisiał nad nimi baldachim mgły, a gdy się z niej wynurzali, zamiast jakiegoś pocieszającego widoku, mieli przed oczyma tylko nagie góry, zasypane śniegiem doliny i

niebezpiecznie oblodzone zbocza — pozostawali zamknięci w więzieniu równie dokuczliwym i ponurym jak każde inne więzienie na świecie.

Jeśli nawet coś się poruszyło, to było to coś niecodziennego i budzącego przestрах.

Widzieli stado białych niedźwiedzi, pływających i nurkujących, i konie podobne do jeleni, z rozstawionymi rogami i grubymi nosami. To wystarczyło, żeby wzbudzić przesądny lęk w załodze nie scementowanej nadzieją, jaką żywił ich kapitan. Opadali na duchu; a gdy szukając wyjścia statek popłynął trochę dalej na południe i woda wokół "Discovery" znowu zawrzała, a fale i kry lodowe tłukły o burty, także odwaga zaczęła ich opuszczać.

Zdany na własne decyzje Henry Hudson uznał, że powinien działać odważnie i kierować

statek tam, gdzie lód jest wprawdzie najgrubszy, ale woda może być spokojniejsza. Jednakże któregoś dnia w środku lipca drogę zagroziła im naga ściana skalna. Przebywszy z trudem przeszło dwieście mil w kierunku południowym, dotarli donikąd.

Z bólem serca Hudson ponownie skierował statek na północ i tam, w pobliżu jakiejś

wyspy, zupełnie nagiej i budzącej przygnębiające wrażenie ostatniego znaku drogowego w ich wyprawie, po raz pierwszy odczuł przedsmak prawdziwych nastrojów załogi. Marynarze, szemrający i mocno narzekający od dłuższego czasu, teraz odmówili wykonywania swoich

obowiązków.

Wraz z "Discovery" zostali uwięzieni w lodach przy piekielnie zimnym wietrze i fali, padającym śniegu i fontannach mroźnych bryzgów — a był to środek lipca! Nigdzie dalej się nie ruszą, chyba że z powrotem do kraju!

Temu haniebnemu zachowaniu przewodził sam zastępca kapitana, Robert Juet, złą wolą i złośliwością przynosząc wstyd swemu stano

wisku. Ale za nim stał młody łotrzyk, Henry Greene, który spędzał z załogą więcej czasu, niżby wypadało człowiekowi z jego sfery.

Gdzie zebrało się dwóch albo trzech, o czym mowa w Piśmie Świętym, on był wśród nich;

ale "on" nie był litościwym Chrystusem, lecz łotrem, nade wszystko w życiu pasjonującym się sianiem niezgody. Zaczynał zwykle ładnie, jakimś starym dowcipem, który jednak zawsze

znajdował oddźwięk.

— Ale nieszczęście! — mówił, naśladowując skrzekliwy głos Sylvanusa Bonda. Ci, których mile łechtało takie zniżanie się do nich osoby stojącej wyżej, reagowali śmiechem; ale

Greene'owi chodziło o coś więcej niż śmiech, i starał się to osiągnąć. Cokolwiek mówił czy cokolwiek kwitował milczeniem, na co by nie wskazał, wszystko to nieustannie, dzień za

dniem, przypominało, jak bardzo doskwiera im niedola, chłód i rozpacz, przenikając do szpiku kości, a on dodawał, że czekają ich jeszcze gorsze rzeczy.

“Henry Hudson zabłądził i wie o tym!” — powtarzał ten łajdak. A gdy powodowany

podłym nastrojem Robert Juet publicznie zadrwił z kapitana, mówiąc, że wciąż tylko goni za cieniem i wlecze za sobą załogę, jak jakiś głupek, marząc o dotarciu do Kataju na Matkę Boską Gromniczną, wystarczyło to załodze, niezdolnej wybiec w przyszłość myślą dalej niż o

godzinę, aby poczuła, że ma dość otaczającej ją rzeczywistości.

W przeddzień buntu, głęboko pod pokładem, za łodzią będącą dalej domem Mateusza,

odbyła się narada. Kto jednak mógł odróżnić tam przyjaciół od wrogów? Wśród trzasków i

odgłosów tarcia lodu o kadłub marynarze przychodzili, mówili swoje i odchodzili w mrok, jakby zawstydzeni czy ogarnięci wątpliwościami.

Jak zwykle, obecny był Robert Juet, a także Sylvanus Bond, zwiastun wszelakich

nieszczęść. Abacuck Prickett przysłuchiwał się wypowiedziom, ale sam zauważył tylko, że wszystko, co się dzieje, dzieje się na chwałę Boga. Był też Henry Greene, wiecznie gotowy rzucić żart zawierający więcej jadu niż dowcipu. I Filip Staffe, który zawsze, kiedy mógł, mężnie opowiadał się za obowiązkowością i posłuszeństwem, tak że zaczęto mu już wymyślać od kapitańskiego faworyta. Mateusz w tej kompanii nie zabierał głosu.

On też wiedział, co jest jego obowiązkiem, lecz tej ciemnej nocy o obowiązkach nie wypadało mówić.

Wszyscy byli zgodni co do jednej łączącej ich sprawy — zimna trzymającego “Discovery”

w śmiertelnym uścisku. W piecu wygasało, lecz kucharz nie podsycił płomienia.

— Przynieś mi coś na ogień! — odburknął, gdy ktoś skarżył się na to. — Chcesz, żeby ci było ciepło? To łap za siekierę i zetnij jakieś drzewo! Drewno, co tu mam, jest tylko do gotowania. Możecie wszyscy zdychać z zimna, a ja nie dam ani szczapy.

W nagim pustkowiu powiedzenie: “Idź i zetnij jakieś drzewo” znaczyło to samo co “wdrap się schodami do nieba”. Jeszcze jeden dotkliwy brak dla uwięzionych w tak trudnych warunkach.

Z ciemności dobiegł głos Greene'a: — Bennett, możesz mieć sąg najlepszego drewna jabłoni, jak tylko zechcesz.

— Gdzie, na Boga?

— W Devon.

Wszyscy się roześmieli, ale potem zaczęli się zastanawiać i marzyć. Devon... Na tle odgłosów lodu szorującego o burty to słowo przywołało na myśl najdroższe miejsce na świecie i najbardziej odległe. Devon... Wino z jabłek. Lipcowe słońce w zachodniej Anglii. Przytulność i bezpieczeństwo. Dom i ciepły piec. Devon...

— Nie zobaczymy Devon po tej stronie grobu — zakrakał Sylvanus Bond.

— Możemy. Jeśli tylko zechcemy.

Wszyscy zaczęli mówić naraz. Niektóre słowa można było dopasować do czyjegoś nazwiska; to znów jakiś obcy głos, anielski czy diabelski, dobiegał z ponurej ciemności poprzez dzikie wycie wiatru.

— Jak możemy chcieć zobaczyć Devon, kiedy dowództwo jest w rękach kapitana?

— Trzeba mu je odebrać.

—

Oszalałeś! — krzyknął Filip Staffe. — Bez kapitana nie zobaczycie jutra!

— Możemy nie zobaczyć jutra, czy on będzie kapitanem, czy nie.

—

To wola Boga — powiedział Abacuck Prickett. 4% Szukajcie w Piśmie Świętym!

— Przeszukałbym raczej kajutę kapitana.

—

Co byś tam znalazł? — odezwał się któryś po dłuższej chwili milczenia.

—

Żarcie, lepsze od tego, jakie mamy w tej przeklętej dziurze. I mapę, żeby zaprowadziła nas do kraju.

Na to znów Filip Staffe: — Podpisaliśmy się na tę wyprawę. Nie minęły trzy miesiące, a już wszyscy okazaliście się tchórzami. Co wy wiecie o mapach morskich? Zużyjecie je do

wycierania nosów, zanim się w nich rozeznacie!

Na to Arnold Lodlo, ta podła kreatura: — Opowiedz nam, Filipie, jak podcierasz mu tyłek. I jak go potem wylizujesz, żeby cię chwalił.

Słowa Lodla, nikczemne ponad miarę, lecz nikczemność rosła w cenie, wywołały śmiech w tym małym piekle. Robert Juet dodał: — Jasne, że podpisaliśmy się na wyprawę. Ciebie podpisałem ja. Ale nie na pogrzeb.

— No to co robimy?

—

Odmawiamy wykonywania obowiązków. Powiemy mu wprost, że dalej nie popłyniemy.

— Przypuśćmy, że powie na to "nie".

— Na pewno nie powie — odezwał się nowy głos. — On nie jest mężczyzną.

Rozwścieczony Filip Staffe zawołał: — On to dziesięciu mężczyzn w porównaniu z bandą nędznych idiotów, takich jak wy! 6- Bezradnie wbijał wzrok w ciemność: — Kto wy jesteście?

— Chłopak Roztropek!

— Filip z Konopi!

— Jenny Laleczka!

Robert Juet jednak nie chciał dopuścić, żeby śmiech osłabił ich gniew. — Jesteście zdecydowani nie płynąć dalej?

— Tak.

— Nie. — To powiedział Filip Staffe.

— Tak! — zawołali głośnym chórem.

— Powiemy to kapitanowi jutro o pierwszym brzasku.

— Tak.

— Poprowadzę was i przemówię w waszym imieniu. Wtedy zobaczymy, kto tu rządzi.

A Prickett dodał swoje "amen": — Niech Bóg sprzyja nam wszystkim!

Był to najhaniebniejszy obrót rzeczy w tej wyprawie, a dla Mateusza Lawe'a także najsmutniejszy. Henry'ego Hudsona uważał za przyjaciela. Poznał go jako przyjaciela.

Jednakże chociaż ten ich kapitan potrafił zapalić do swego marzenia jednego czy dwóch

spośród nich, pozostawał nikim więcej, jak godnym szacunku człowiekiem, który znalazł się w potrzasku między swoją ukochaną wizją a tymi tchórzami, od których jedynie zależało

urzeczywistnienie tej wizji.

Wyglądało, że rano będzie musiał ustąpić.

Ale rano Henry Hudson wcale nie ustąpił i nawet nie pozwolił zatrzymać "Discovery" na postoju. Po nocy, podczas której wypowiedziano tyle chełpliwych słów i mocnych pogróżek, tak sprawnie pokierował dniem, że gdy malkontenci wciąż jeszcze zerkali jeden na drugiego, statek ruszył w dalszą drogę. Był to triumf ducha i dobroci serca; i jeśli nawet nie przysporzył

kapitanowi przyjaciół, to na pewno nie powiększył grona jego wrogów.

Gdy Henry Hudson zszedł na pokład główny, żeby się spotkać ze zbuntowaną załogą, miał

u swego boku syna Johna, nawigatora Roberta Bylota, lekarza okrętowego Edwarda Wilsona i bosmana Clemensa. Pogoda, szczęśliwie, sprzyjała mu tego ranka. Przenikliwy wiatr ucichł, zrobiło się ciepło i ostre lodowe soople nie zagrażały już pokładowi.

Nie ma na świecie marynarza, którego nie podniosłaby na duchu taka chwila wytchnienia

po burzliwych dniach zmieniających w koszmar życie na statku. Załogę "Discovery" przywitał

dzień obiecujący

spokój i nadzieję. Hudson musiał ich tylko przekonać, że tak jest naprawdę.

Zauważono, że za plecami Henry'ego Hudsona nie było Henry'ego Greene'a, który ubiegłej

nocy zjawiał się wszędzie, gdzie tylko Izaczynano wzburzone szepty. Ale nie było go także wśród marynarzy. [Wyczuwszy zmianę nastrojów, natychmiast zajął pozycję widza. Chwiejny jak trawa, pierwszy poddał się powiewowi wiatru.



Powiadomiony o żądaniach załogi, Henry Hudson nie wybuchnął gniewem i nie zmieszał

wszystkich z błotem, jak Jueta poprzedniego dnia. Zganił tylko marynarzy za ich zajęcie serca, przemawiając bardziej jak zatroskany ojciec niż kapitan w obliczu buntu. Na koniec w jednym zdaniu zamknął proste przesłanie:

— Nie zmarnujcie trudu, jaki już włożyliśmy w szlachetne przedsięwzięcie.

Robert Juet, zastępca kapitana, błyskawicznie zdecydował się mu odpowiedzieć, lecz szyderczy ton, kontrastujący ze spokojnym apelem kapitana, postawił go w sytuacji zdrajcy.

— Piękne słowa! — rzekł. — Ale jakież to szlachetne przedsięwzięcie, jeśli zagnało nas w tę okropną ślepią uliczkę? Skąd mamy wiedzieć, gdzie jesteśmy i dokąd nas pan powlecze?

— Pokażę wam.

I pokazał w sposób, który już na tym wczesnym etapie prawdopodobnie zdecydował o

wyniku sporu. Robert Bylot miał przygotowaną mapę. Hudson rozpostarł ją na pokładzie i

wezwał marynarzy, żeby podeszli bliżej. Pomagając sobie długą laską Jakuba, wyjaśniał

wszystko najprościej jak potrafił. Podczas gdy marynarze poklękali, żeby lepiej widzieć, kapitan został w pozycji stojącej, co robiło wrażenie, jakby się poddali, chociaż Henry Hudson bardzo uważał, żeby pozory koleżeństwa nadały tej scenie niewinny charakter.

— Możecie być dumni — mówił — bo ten świeży rysunek tutejszych wód jest jedyny na

całym świecie. Tkwimy tutaj — stuknął laską w mapę — lecz jest to tylko przeciwny prąd, uniemożliwiający przejście. My go odkryliśmy jako pierwsi, ku przestrodze tych, co zjawią się po nas! Popłyniemy więc znowu na północ, a potem przebijemy się w kierunku zachodnim.

Teraz wiecie, czego szukamy, i możemy być bliżej celu, niż nam się wydaje.

— Ale skąd wiemy? — Pytanie zadał Arnold Lodlo niepewnym tonem, mówiąc jak

marionetka, bardziej w imieniu Jueta niż własnym. — To wszystko jest na kawałku papieru, ale czy może pan przysiąc, że to prawda? Co jest wypisane na wodzie? Co jest przed nami?

Wtedy niespodziewanie zabrał głos cieśla Filip Staffe, później nazwany czule przez Hudsona

“moją podporą”\*. — Po to przecież

plyniemy! Żeby się przekonać! Nie odkrywamy nic stercząc tu jak nędzne psy gryzące każdą rękę, która się do nas wyciąga. To może być północno-zachodnie przejście! Któż nie pchałby

“Discovery” dalej, żeby się o tym przekonać?

— Ja. — Lecz w ustach Lodla to słowo nie zabrzmiało zuchwale; był jak rozzłoszczone dziecko nie chcące włożyć bucików. Przeszedł na argumentację handlarza-domokrąży: — Gdybym miał sto funtów, oddałbym dziewięćdziesiąt, żeby zdrowo i bezpiecznie wrócić do domu.

— A ja nie dałbym dziesięciu! — powiedział Filip Staffe i od razu zarysowała się jasno różnica między człowiekiem a myszą.

Juet próbował zebrać swoich zwolenników, ale stracili zapął.

O dziesiątej było po buncie; do południa załoga wróciła do swoich obowiązków przy uwalnianiu statku z lodowych okowów. Wydostawszy się na otwarte wody znów popłynęli na północ, a potem na zachód

1 tego dnia nikt z załogi nie wspomniał słowem o domu.

Tak więc pierwszy cios siekierą przeszedł jakby bokiem. Odniesiona rana nie była śmiertelna, lecz osłabiła drzewo i odsłoniła je na następne uderzenie.

Dobry los sprawił, że Mateusz Lawe stał u steru “Discovery”, gdy wyrwali się z cieśniny na wściekle huczącym płycie zachodnim i wpłynęli na wody wewnętrzne, tak niewiarygodnie, bezgranicznie rozległe, że można było nazwać je Morzem Środkowym Nowego Świata.

Walkę wygrano trudną metodą, podyktowaną pierwszą zasadą żeglarskiego elementarza:

nie rzucać nigdy wyzwania potędze morza, silniejszej od każdego statku, jaki człowiek potrafi zbudować, lecz wyzyskać ją chytrze dla swoich celów. Przez następne siedemnaście dni,

posuwając się ostrożnie na zachód, zrobili przeszło trzysta mil; płynęli naprzód na wysokim płycie, a gdy zmieniał się jego kierunek, stawali na kotwicy opodal brzegu zawietrznego, czekając z podjęciem podróży do chwili, aż gwałtowny prąd łagodniał.

Doczekali się rezultatu swoich wysiłków. Kończąc ten morderczy odcinek drogi,

przepełnęli między dwoma urwistymi skałami, wznoszącymi się na dwa tysiące stóp i

oddalonymi od siebie o dwie mile, i znaleźli się w najwspanialszej scenerii, jaką oglądały ich oczy. Cała załoga wyległa na pokład — malkontenci, tchórze, uczciwie pracujący i marzyciele

— aby powitać tę chwilę i wykrzyczeć radość z widoku szerokiego, otwartego morza,

zakreślonego zasięgiem słabego ludzkiego oka i mieniącego się jak odkryty skarb, którym też było.

Działo się to drugiego dnia sierpnia i Henry Hudson mógł go zapisać jako dzień triumfu, chociaż nie ostatniego, na który liczył. Miał nadzieję, że te wody stanowią właściwe wejście na Ocean Spokojny,

pokonany przez starego Drake'a, a więc i nową drogę do Indii. Dla Hudsona był to tylko jeden olbrzymi krok — w każdym razie przynajmniej odkrył, skąd słońcy pływ przybywał i dokąd

wracał!

Stał koło Mateusza, mając za plecami Roberta Byłota i Henry'ego Greene'a, i na cudowny

widok otwierający się nagle przed jego oczyma wykrzyknął z radości jak chłopak.

— To jest przejście — powiedział do stojących przy nim — i to wyjaśnia wszystko!

Mamy tu do czynienia z dwoma poziomami wody: wschodnim i zachodnim. Najpierw zdąża w

tym kierunku pływ atlantycki i przedziera się tędy. Potem się cofa, ustępując drogi wracającej fali zachodniej. Ale cóż to musiał być za moment!

— Jaki moment? — zapytał Henry Greene, raz chociaż zbity z tropu i gotów uczyć się od innych, zamiast ich pouczać albo nie dopuszczać do głosu.

— Kiedy ten pływ przebił się po raz pierwszy. — Hudsona irytował każdy, kto nie

pojmował jego marzenia na pierwszą o nim wzmiankę. — Tu jest źródło tego, co John Davis określił jako "wściekłą kipiela", którą my też tu zastaliśmy! Był jednak dzień, gdy ten pływ po raz pierwszy przedarł się przez ląd z towarzyszącym temu hukowi uderzenia gigantycznego młota. Gdzie coś takiego zdarzyło się przedtem, na Oceanie Atlantyckim?

— Tak się stało z Morzem Środkowym — odpowiedział Robert Byłot, dokładny, jak zawsze, i zainteresowany tym faktem.

— No właśnie! Tam pływ przedarł się między Słupami Herkulesa, między Europą i Afryką, i postawił otworem cały ocean. Tu znów mamy to samo. Ale tym razem to nasze odkrycie!

— Jak z niego skorzystamy? — zapytał Henry Greene.

— Popłyniemy dalej. Ale przedtem staniemy na kotwicy i podziękujemy Bogu. Potem

wyjdziemy na ląd i temu wszystkiemu — zatoczył ręką łuk w geście posiadania i dumy, jakby był samym Stwórcą — nadamy po raz pierwszy nazwy!

Wybrano je bez trudu — na cześć patronów wyprawy. Z lewej burty mieli teraz nowo

narodzony Przylądek Wolstenholme'a, a z prawej Wyspę Diggesa, ochrzczone nazwiskiem

zwierzchnika Abacucka Pricketta i reszty. Henry Greene utrzymujący, że ma szerokie znajomości wśród wielkich tego świata, pouczał każdego, kto chciał go słuchać: "Nieważne — jak się to pisze; nazwisko Wolstenholme należy wymawiać Worsnam". Słuchacze dziękowali mu uprzejmie, zbyt szczęśliwi w tej chwili, żeby się spierać z tak wykształconą osobą.

Postanowiwszy na samym początku sporządzać dokładne mapy wszystkich odkrytych

przez siebie miejsc, Henry Hudson wysłał marynarzy do zbadania Wyspy Diggesa. W tej

grupie znaleźli się Henry Greene, Bylot i Prickett. Po pewnych trudnościach z wylądowaniem pod wysokimi urwistymi skałami znaleźli obiecującą okolicę.

Były tam pasące się jelenie, obfitość zielonej trawy, mnogość ptactwa przypominającego tłuste pardwy ze szkockich kurników i atmosfera dobrobytu, czego się absolutnie nie spodziewali na dzikim pustkowiu tak daleko od kraju.

Abacuck Prickett był pod ogromnym wrażeniem. — Gdyby Sir Dudley Digges mógł

zobaczyć ten raj — oświadczył — chwaliłby Pana na kolanach, jak ja to czynię! — Nikt nie zaprzeczył jego słowom, podobnie jak gdy Henry Greene utrzymywał, że jedynie słuszna

wymowa to "Worsnam".

Zrobili jeszcze jedno dziwne odkrycie. Natrafiwszy na stosy kamieni ułożone w kształt

kopy siana, sforsowali wejście i wewnątrz znaleźli mnóstwo powieszzonego za szyje dzikiego ptactwa. Na ten widok Prickett, sługus wszędzie wścibiający nos, zawołał wielce uradowany:

— Spizarnia w takim pustkowiu! Prawdziwa manna z nieba! — Bylot za najważniejszą sprawę uznał znalezienie właściciela tej spizarni, a Greene jej splądrowanie.

Gdy wróciwszy na statek zdali sprawę z tego, co odkryli, każdy, kto ich słuchał, zapragnął

pozostać w tej miłej przystani. Ale Henry Hudson ani myślał o tym. Chciał tylko jednej jedynej rzeczy: płynąć dalej, korzystając z krótkiego lata, w poszukiwaniu zachodniego przejścia. Czuł

w głębi serca, że "Discovery" stoi u jego progu. Po tylko jednym dniu zwłoki — czy po dniu wypoczynku dla strudzonej załogi — ruszył na południe.

Nadając nazwy przylądkom i wyspom przepłynął dwieście mil, czterysta mil, sześćset mil, siedemset

mił, niby tropiący pies podchodząc do ładu raz z jednej, raz z drugiej strony w poszukiwaniu wyjścia z wielkiego morza śródlądowego na nowy świat. Nie słuchał szemrań

załogi, a kiedy zaczęło brakować żywności, karmił ich nadzieją, sprawiając, że zadowalali się zmniejszonymi racjami.

Nadszedł jednak dzień, gdy statek wysunąwszy się daleko na południe stanął przed ostatnią ścianą ze skał i lodu, ścianą nie do przebycia, i mógł już tylko zawrócić. Dla wszystkich stało się jasne, że i ten przestwór morski był, podobnie jak poprzedni, niczym innym jak olbrzymim zbiornikiem cichej wody.

Niezadowolenie osiągnęło punkt wybuchowy. Raz jeszcze załoga jasno wyraziła swój

zamiar. Nie wiedzieli, jaki ma plan dowódca, boby im tego nie powiedział, ale wiedzieli, czego chcą oni sami! Znów odmówili pełnienia obowiązków i na "Discovery" zapanowała ponura atmosfera nieposłuszeństwa.

Był to następny cios tej samej siekiery buntu. Poszedł bokiem, jak poprzedni, ale tym razem walka miała gwałtowniejszy przebieg.

Znów na przywódcę wybrano Roberta Jueta. Ledwie jednak zaczął wy łuszcząc swoje żale

i zuchwałym, chociaż jękliwym tonem niewolnika pragnącego zostać królem, zaczął stawiać żądania, a już dla

Stojących za nim marynarzy stało się oczywistością, że minął czas łagodnych perswazji.

Henry Hudson wpadł we wściekłość, nazwał swojego zastępcę buntowniczym psem i urządził publiczny sąd nad nim.

Wzmagający się gniew kapitana i opinia, jaką miał Juet, spowodowały przedziwny zwrot

sytuacji. Wielki spór zamienił się w amatorskie przedstawienie, w którym księżę traci

narzeczoną i otrzymuje za żonę kozę. Jeśli zaś idzie o marynarzy, pamiętających, jak

poprzednio wyszli na durni wskutek niepowodzenia Jueta, a może dlatego że faktycznie byli durniami czy z jakiegoś innego powodu, który jednego dnia mógł zrobić z mężczyzny lwa, a nazajutrz psa merdającego ogonem, teraz się zjednoczyli w dążeniu do doprowadzenia swego przywódcy do upadku.

Zaczęli z zajadłą lubością świadczyć przeciwko Robertowi Juetowi. Dowodzili, że

słyszano go grożącego "krwawym zabójstwem" i jeszcze w Islandii "przysięgającego, że ustawi statek dziobem do kraju". Arnold Lodlo i Filip Staffe, najdziwniejsza para ze wspólnej koi od czasu,

gdy w arce słoń był partnerem żmii, zaklinali się, że Robert Juet kazał im mieć w pogotowiu szpady i muszkiety, bo będą im potrzebne przed wypłynięciem w dalszą drogę.

Henry Greene, zmienny jak najłżejsza chorągiewka na dachu, i tym razem zachował milczenie.

Zanim minął ranek, towarzysze Roberta Jueta uznali go za winnego, a Hudson pośpiesznie orzekł, że za karę zostanie on zdjęty ze stanowiska zastępcy kapitana, a jego miejsce zajmie Robert Bylot. Odmierzając tą samą miarką, pozbawił też bosmana Francisa Clemensa, jedyne, który przemówił za nim, jego stanowiska na rzecz Williama Wilsona, prostego marynarza, bez specjalnych umiejętności lub dobrej opinii.

Wybór Wilsona na to stanowisko budził obawy; według Mateusza Lawe'a równie dobrze można było wyznaczyć na nie pierwszą lepszą mewę, co zanieczyściła pokład swoimi odchodami. Był znany na statku z najbardziej wulgarnego języka i był zawsze gotowy do bitki. Od początku podróży Mateusz omijał go wielkim łukiem.

Toteż Mateusz Lawe, ku swemu zdumieniu mianowany pomocnikiem bosmańskim, nie uznał tego za dar niebios.

Wykonawszy tę dzienną porcję dobrej i złej roboty, Henry Hudson z uporem płynął dalej.

Była połowa września, zaczynały się już przykre chłody i czas działał przeciwko niemu.

Hudson jednak pchał statek — bez celu, jak się wydawało załodze — raz na zachód, to znowu na północ albo na południe, ku zamykającej drogę skale.

Ta włóczęga dawała niewiele, a potem zupełnie nic. Raz natrafili na brzegu na ślad stopy, nie było jednak człowieka, do którego by pasowała. Władowali się na skałę i przez dwanaście godzin leżeli wyrzuceni na brzeg, jak ranny wieloryb. Wszystko to nie podnosiło autorytetu kapitana i znów na statku dały się słyszeć ponure szepty: "Zabłądziliśmy!"

Hudson tak nie uważał. Zawsze, w dzień lub w nocy, potrafił stuknąć palcem w mapę i powiedzieć z całą pewnością: "Jesteśmy tutaj". Lecz przegrywał wyścig z czasem. Wiedział

już, że będą musieli przezimować w tych stronach, ale przez zwykłą przezorność trzymał to w tajemnicy. Wszystko, co mógł robić, to wysłać załogę na łowienie ryb i polowanie na lądzie na dziką zwierzynę i ptactwo, aby zgromadzić zapasy żywności i opału na długi i okrutny okres

uwięzienia w lodach.

Minał październik, przyszły długie listopadowe noce, a kiedy śnieg spadł grubą warstwą, Hudson zaczął się rozglądać za miejscem na przezimowanie. Znalazł je w najbardziej na

południowy wschód wysuniętej części ogromnej zatoki, w której się znajdowali. W tym

odludnym zakątku stanęli na kotwicy i odholowawszy statek na mieliznę, zebrali tyle zapasów, ile się dało, aby mogli przetrwać, gromadząc je częściowo na statku, a częściowo na lądzie, okres, który mógł się przeciągnąć nawet do sześciu miesięcy.

Dziesiątego listopada, wśród śnieżycy i wycia wiatru wbijającego w płuca lodowate igły, statek stanął zamarły w lodach i straszna północna zima objęła nad nim bezlitosną władzę.

V

Jeden za drugim mijały ponure miesiące, jak liście opadające z obumierającego drzewa

świata. Słońce odeszło na nie wiadomo jak długo, a gdy któryś z marynarzy odważył się

wysadzić nos na przenikliwy ziąb, stwierdzał, że ich samotny statek przeważnie spowijała mgła. Kiedy wiatr ją odwiewał, oczom ukazywał się widok pełen melancholii: mile lądu

pokrytego śniegiem, z linią brzegową przypominającą wyszczerzone zęby w czaszce, i

zamarłe, skute lodem morze.

Wskutek ostrych północnych wiatrów cała roślinność skarłowa- ciała; z człowiekiem też

pewnie stałoby się to samo, gdyby przebywał tu zbyt długo na otwartym pokładzie czy polując na lądzie.

Ale chodząc stali na pustkowiu, nigdy nie panowała tu zupełna cisza. Kadłub uwięzionego

statku nieustannie trzeszczał i stękał, protestując przeciwko zadawanej mu torturze. Stąpnięcia nóg w ciężkich buciskach odbijały się echem głośnym jak grzmoty. Lodowaty wiatr zawodził

niby potępieniec albo kobieta odchodząca od zmysłów, a nocami podchodziły pod statek stada zgłodniałych szarych wilków, które wyły złaknione krwi — obojętnie czyjej.

Trudno sobie wyobrazić garść ludzi schwytych w bardziej odizolowaną i zimniejszą

pułapkę. Czasem myśleli, że może łatwiej byłoby założyć ręce i umrzeć. Jednakże człowiek zawsze woli życie, choćby najpodlejsze, od ponurej niewiadomej, jaką jest śmierć. A że nie mieli dosyć żywności na przetrwanie zimy, a tym bardziej na powrót do kraju, kiedy zima się skończy, musieli z konieczności rozprostowywać członki, wciągać na nie skąpą odzież i

wychodzić na poszukiwanie czegoś do jedzenia.

Na polowania byli wysyłani dwójkami dla własnego bezpieczeństwa i może też, żeby nie mogli czegoś ukryć. Za każde przyniesione na pokład zwierzę albo ptaka dawane były nagrody. Gdy brakło zwierzyny, żywili się spleśniałymi resztkami tego, co przed

dziewięcioma czy dziesięcioma miesiącami załadowali w londyńskim porcie. A gdy los się do nich uśmiechał, jedli pardwy, które udawało się podejść i zabić, i wszelkie ptaki wędrowne — łabędzie, gęsi, cyranki — schwytane w pobliżu statku.

W ostateczności nie gardzili żabami, chwytanymi w akcie kopulacji, a wreszcie zdrapywanym z dolnych partii drzew mchem, z którego gotowali najcieńszą zupę, jaką uboga sierota mogłaby poczęstować inną sierotę.

Z upływem miesięcy zaczęli chorować, słabnąć i umierać. Główną plagą był szkorbut

powodujący monstrualną opuchliznę kończyn. Do tego dziąsła wokół zębów czerniały i gniły, nie pozwalając ani pracować, ani jeść. Lekarz okrętowy Edward Wilson, prawdziwy anioł w porównaniu z innym Wilsonem, Williamem, bosmanem z pięściami zawsze gotowymi do

bicia, robił co mógł, żeby ulżyć chorym marynarzom. Sporządzany przez niego napar z pączków sosny, bogatych w olejek, łagodził skurcze pustych żołądków.

Mimo to chorzy zaczęli padać jeden po drugim, jakby od pierwszego zamachu kosa

Śmierci. Abacuck Prickett leżał przykuty do koi, klnąc się na Boga Wszechmocnego, że jest kulawy jak koń, któremu noga wpadła w zastawione sidła na niedźwiedzia. I chociaż raz mówił

prawdę... Francis Clemens, który popadłszy w głęboką niełaskę utracił stanowisko bosmana, miał stopy odmrożone do tego stopnia, że paznokcie zeszyły mu z palców. Syracke Fanner był

tylko unieruchomiony. ("Śmiertelnie chory od swego nazwiska\*" — kpił bezlitośnie Henry Greene). John Williams, główny artylerzysta, mający stosunkowo bezpieczne pomieszczenie pod pokładem, nie uniknął jednak śmierci wskutek zimnych dreszczy. Inni zaatakowani

chorobą tracili najpierw wzrok, a potem węch.

Nawet najsilniejsi chudli, zamieniając się w wynędzniałe ludzkie widma i nie mając niczego, co by ich podtrzymywało, oprócz smętnych

myśli. Jak dzieci trzymane w niewoli potrafili myśleć tylko o jednym: kiedy nadejdzie



wiosna... jeżeli w ogóle nadejdzie... i czy popłyną w drogę powrotną do kraju?

Odnosili się podejrzliwie do rozdziału żywności, uważając, że Henry Hudson może mieć

faworytów, którzy zakradają się chyłkiem do jego kajuty po dodatkowy kąsek, podczas gdy inni, nieszczęśnicy z końca stołu, ssący mech zdarty z pni drzew, są pozbawieni tego nędznego przywileju. Nie mieli jednak siły, żeby się o to upominać.

Wszystko to prowadziło do jednej i tej samej myśli: Czy Henry Hudson zabierze ich do

kraju? W kwietniu będzie rok, jak opuścili Anglię. Nie może być więcej takich strasznych zim!

Ani jednej! I ani jednej mili dalej na zachód!

Kapitan, na którym skupiały się wszystkie ich nadzieje, obawy i wątpliwości, również

tęsknił, lecz nie za krajem. Zamknięty w czterech ścianach swojej kajuty, głodny i

przemarznięty jak cała załoga, ten stary lew nie utracił bynajmniej przez zimę zapachu. Zdawał

sobie sprawę, że jest odosobniony w swoim marzeniu i prawie pozbawiony przyjaciół; że

otaczają go gniewni zbójce, patrzący spode łba i pragnący tylko jednego: przerwania tej

wyprawy. Wiedział lepiej od nich wszystkich, że "Discovery" jest w rozpaczliwej sytuacji i że w niej pozostanie — może tylko do wiosny, a może już na zawsze.

Przeciwstawiał jednak temu wszystkiemu tylko jedną myśl i jeden cel: odbyć podróż i

dobić do mety. Jeśli droga nie wiedzie na południe, to muszą płynąć na zachód. Gdy tylko puszcza lody, wyruszy, odwracając się plecami do kraju, a twarz zwracając ku nie odkrytej połowie świata, i żaden człowiek nie stanie mu na przeszkodzie!

Dla tego nieustraszonego marzyciela było rzeczą bez znaczenia, że przyjaciół mógł

policzyć na zgrabiących palcach jednej dłoni. Jego faworytem był dalej Henry Greene, ten łajdak i samochwał. Robert Bylot był tak samo żądny odkryć jak jego kapitan, i nigdy go nie opuści. John Hudson, najmłodszy syn — kapitan lubił czasem się pochwalić, że jest w wieku jego wnuka — jest krzepki i budzący zaufanie, jak dorodne drzewo. Mateusz Lawe to człowiek prosty i wiemy; a William Wilson jest mu winien lojalność za awans na bosmana. Natomiast Filip Staffe, jego "podpora", nie mógł już być zaliczany do przyjaciół.

Stało się tak z własnej winy Hudsona, czego teraz żałował, chociaż dalej upierał się przy swoim, co było powodem ich starcia. Po upływie dwóch miesięcy od uwięzienia "Discovery"

w lodach Hudson polecił nagle cieśli zbudować na brzegu chatę. Filip Staffe, który chciał to zrobić jeszcze w październiku i spotkał się wtedy z ostrą odmową, teraz sam odmówił

wykonania polecenia.

Jego argumentacja była bezsporna, podobnie jak odmowa. Oświadczył bardzo stanowczo, że już za późno na budowę i że należało to zrobić wcześniej. Teraz deski przymarzły do gruntu, a wargi kogoś,

kto ma zwyczaj trzymać gwoździe w ustach, jak to czynią cieśle, zostałyby przy ich wyjmowaniu odarte ze skóry. Nie ma zamiaru narażać się na odmrożenie twarzy, bo ktoś spóźnił się z decyzją. W końcu jest cieślą okrętowym, a nie lądowym.

Usłyszawszy odmowę, Henry Hudson ponownie wpadł w złość. Wyrzucił Filipa Staffe'a z jego koi, uderzył go w głowę, nawymyślał mu, nie przebierając w słowach, i zagroził, że go powiesi. Staffe, człowiek o podobnym charakterze i równie wybuchowy, gdy go podrażniono, odpowiedział dumnie, jak porządny, mocno dotknięty mężczyzna, że na swojej robocie zna się lepiej od kapitana. Nie jest ani budowniczym domów, ani niewolnikiem. Jego odpowiedź

brzmi "Nie" i niech diabli wezmą wszystkich tyranów!

Tak oto najlepszy przyjaciel Hudsona popadł na dobre w jego niełaskę.

Tygodniami, miesiącami Henry Hudson oddawał się marzeniom w swojej kajucie czekając, aż ziemia obróci się na osi i słońce uwolni ich z lodów. Nie pokazywał się załodze — nie widział przyjemności ani korzyści w kontakcie ze swymi ludźmi, nachmurzonymi, samolubnymi, skorymi do sporów, trudnymi do kierowania. Nie musi zatruwać się płynącym od nich jadem.

Na wiosnę wszystko się zmieni. Zrobi się ciepło, brzuchy napełnią się jedzeniem, zadziała magia pięknej pory roku. Wtedy zacznie rozmawiać z przyjaciółmi, a oni podadzą dalej to, co powie — o odwadze, która powiedzie ich statek naprzód.

Znał swoich przyjaciół, przynajmniej tak sądził. Nie znał jednak jeszcze swoich wrogów.

Niektóre dzieci niewoli od dawna trwały w grzechu, choć grzeszyły potajemnie i nosiły niesławne piętno łatwo zauważalne dla każdego przyzwoitego człowieka, równie silne jak zwierzę Marka\*. Jeden z nich, bosman William Wilson, zatrzymał Mateusza Lawe'a wracają-

cego z kapitańskiej kajuty, którą sprzątał pod obojętnym okiem Henry'ego Hudsona. Mateusz został przydzielony bosmanowi na pomocnika, chociaż rola pomocnika tego łajdaka byłaby

hańbą dla najnędniejszej istoty ludzkiej.

Bosman, którego zwałista postać wypełniła przejście ciasno jak szpunt w pękatej baryłce, obrzucił Mateusza swoim zwykłym spojrzeniem.

— Zrobiłeś, jak kazałem? — spytał. — Wszystko posprzątane?

— Tak.

— Kapitan zadowolony?

— Tak.

— Zaręczę, że tak. — Bosman Wilson miał tylko dwa oblicza: jedno gniewne, a drugie pogardliwe. Teraz była kolej na pogardę. — Do wykonania pieskiej roboty posłałem najwierniejszego psa!... Czy powiedział ci, jakie ma plany co do statku?

— Nie.

— Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

— Po co miałbym kłamać?

— Nie odpowiadaj zuchwale! — ryknął William Wilson wysuwając węzlastą pięść. — Ja zadaję pytania! Ty odpowiadasz, bo, na rany Chrystusa, zrobię ci rany podobne do Jego ran!

Mateusz, który nieraz miał okazję odczuć siłę bosmańskiej pięści, stał i milczał. Potulna odpowiedź wywołałaby atak niepohamowanej złości, a śmiała — karę wymierzoną najszybciej od czasu, gdy Kain dokonał pierwszego na świecie rozrachunku z bratem. Mateusz nauczył się więc uległości, chociaż była mu wstrętą. Chciał żyć, jak wszyscy inni na statku.

— Zapamiętaj to sobie! — warknął Wilson, dbały o to, żeby zdławić choćby najlżejszy bunt.—Albo wbiję ci to w łeb gwoździem za pomocą tego... — dodał zaciskając dłoń w kułak.

Spór zwabił trzeciego uczestnika. Serce zamarło w Mateuszu, gdy zobaczył, że był nim

Robert Juet, zdegradowany zastępca kapitana, karmiący się kłótniami jak krab padliną. Czy nie będzie końca poganianiu i tyranizowaniu w dniu, który już zaczął się bardzo przykro?

Odwrócił się ku Juetowi, który zbliżał się do nich starczym krokiem, szurając nogami.

Juet oczywiście słyszał ich rozmowę. Zapytał z błyskiem w starych, kaprawych oczach:

— Mateuszu Lawe, co dał ci do zjedzenia?

— Nic.

— Naprawdę? Nawet ładnego plasterka mięsa? — Jękliwy głos był jak zgrzyt zużytej piły z brakującymi zębami. — Ani miękkiego chleba? Pucharu wina? Albo okrawków sera z jego prywatnego zapasu?

— Jak wiem, nie ma żadnego zapasu.

— No to co ma takiego, co podtrzymuje jego siły? — naciskał Wilson.

— Nic, tak samo jak my. — Mateusz nie potrafił zmilczeć wobec tak niesłusznego oskarżenia. — Takie samo jedzenie i pusty brzuch. Ma tyle siły co my... zagłodzony, sama skóra i kości.

— Bronisz go?

— Jest kapitanem.

— Jest kapitanem dzisiaj — rzekł Juet znacząco.

Ta dyskusja jednak zaczynała być niebezpieczna dla Williama Wilsona, podejrzanego, po zajęciu stanowiska Jueta, o zachowywa

nie dawnej lojalności wobec dowódcy. Miał zresztą własne pytanie do Mateusza.

— Zauważyłeś jakieś ukryte przejście między kajutą kapitańską a ładownią z zapasami?

— Nie.

— Kazałem ci poszukać!

— Nie zauważyłem niczego takiego.

— No to jak to jest, że on żyje, a my umieramy z głodu? Skąd się biorą te dobre kolacje dla jego faworytów?

Było to stałe pytanie, stałe podejrzenie, ciągle krążąca plotka, domysł bardziej

niedorzeczny od wszelkich innych rozpuszczanych na statku. Mateusz nie odpowiedział.

— Jak zobaczę na twoich ustach choćby ślad jedzenia — ryczał Wilson — to ci je wepchnę do gardła trzonkiem wiosła!

I byłby zdolny to zrobić.

Wreszcie dali Mateuszowi przejść. Bosman poczęstował go jeszcze przekleństwem, a Juet

ostrzegł, żeby “trzymał palce z dala od takich drobnych kradzieży”. Odwróciwszy się od nich Mateusz wciągnął stęchłe powietrze statkowe, zdając sobie sprawę, że stał oko w oko z dwoma z trójki niegodziwców, jak określał ich w myślach. Ulgą była każda spędzona z dala od nich chwila.

Do tej trójki należeli: Henry Greene, William Wilson i Robert Juet, i nawet najgłupszy z załogi wiedział o tym. Ci trzej łotrzykowie mogli stanowić zarzewie buntu, gdyby miało dojść do czegoś takiego. Greene był urodzonym łajdakiem, Juet malkontentem, który popadłszy w niełaskę stał się nieprzejednanym wrogiem, Wilson zaś hultajem nie uznającym władzy nad sobą. W jego przekleństwach, okrutnych jak wiatr, krył się zdradziecki jad żmii.

Przygotowania do wiosny zbiegły się z ich powolnymi knowaniami. Nie działając jawnie,

korzystali z każdej sposobności do wypowiedania zawołanych zniewag, siania

wątpliwości albo wykpiwania dowódcy. Henry Hudson nic nie robił, żeby temu

przeciwdziałać. Czyżby niczego nie zauważał? Albo może zauważał i nie dbał o to? Bo chyba nie postradał zdolności rozumowania, która u innych bardzo się wyostrzyła?

Przyszła wiosna roku Pańskiego 1611. Nastawa wiosna! Ta cudowna pora roku nadchodziła

wolno i z ociąganiem. Słońce z trudem wspinało się nad posępny widnokrąg, jak stary

człowiek dźwigający się z łoża, i dopiero w końcu maja pokazało swoją siłę i współczucie dla uwięzionej załogi. Wreszcie kleszcze zimy straciły moc, lodowe okowy puściły. Na wychudłe, grzejące się w słońcu ciała rzuciły się chmary kąśliwych much, gwarantujących nadzieję.

Statek był wreszcie wolny, a wraz z nim cała jego załoga.

Gdy tylko można się było poruszać nie kuląc się jak kaleki pod przenikliwym wiatrem,

marynarze przystąpili do przepychania i przeciągania statku, aż udało im się wyrwać jego stępkę z morskiego dna i zakotwiczyć “Discovery” na otwartej wodzie. I wtedy statek zaczął

się kołysać i cuchnąć. Wiosna to ciepło, a ciepło ma swoje dobre i złe strony. Rozmarzniete wody zęzowe zaczęły wydzielać fetor. Śmierdzące odchody, zimą przymarzłe do burt, teraz pływały dookoła statku.

Po kilku dniach smród z “Discovery” bił pod niebiosa. Mimo odzyskanej swobody załoga była niespokojna. Ta zima okazała się najgorszą w ich dotychczasowym życiu. Czy wiosna też będzie taka? Napięciu towarzyszyła rosnąca nadzieja—ale była to nadzieja na jedno tylko zakończenie. Kapitan musi poprowadzić ich do kraju!

Uważali, że musi to zrobić, żeby oni mogli zostać przy życiu. Magazyn żywności wciąż był przerażająco pusty. Udało się wprawdzie upolować trochę ptactwa, ale niewiele, było bowiem płochliwe, a do tego chude, jak ci, co na nie polowali. Pierwszy wiosenny połów dał wspaniały rezultat — pięćset pstrągów i innych ryb wielkości śledzia. Ale po tym jednym szczęśliwym dniu łowili już tylko rybi drobiazg. Może ryby były mądrzejsze od marynarzy. One przynajmniej mogły swobodnie popłynąć gdzie indziej.

Statek, rojący się od robactwa, od młodych, żarłocznych szcurów, od much, kąsających jakby miały zęby, i obrzydliwie cuchnący, wprost huczał od plotek. Kiedy Henry Hudson zaczął wychodzić na pokład i rozmawiać z Bylotem, swoim nowym zastępcą, albo z lekarzem, Edwardem Wilsonem, a także oceniać szkody wyrządzone przez zimę w żaglach i drzewcach, jego twarz i zachowanie były bacznie obserwowane, a każde przypadkiem usłyszane słowo przekazywane pod pokład, gdzie roztrząsano je na różne sposoby, aby dociec jego znaczenia.

Domysły co do dalszego kursu statku były torturą, jedzenie zaś przedmiotem pożądania.

Oba tematy ściśle się ze sobą wiązały. Juet i Abacuck Prickett — ten ostami ciągle w koi z powodu chorej nogi

— dowodzili matematycznie, że wszyscy pomrą z głodu, jeżeli "Discovery" nie wróci na wyspę Diggesa, gdzie poprzednio splądrowali ubogie "spizarnie" i gdzie lęło się ptactwo, żeby zabrać stamtąd wszystko, co uda się schwytać w sidła albo upolować, i ruszyć prosto do kraju.

— Bo jak nie — skrzeczał Prickett ze swego łoża boleści — to wszyscy zdechniemy z głodu.

Henry Greene, zgadzający się z nim, zauważył: — Najlepiej, żeby zostało nas mniej, ale najsilniejszych.

Prickett, z oczyma rozognionymi nie tylko gorączką, odparł:

— Nikt nie może powiedzieć, kto się znajduje wśród wybrańców Boga!

— Czy byłbyś wśród nich?

— Tak, z Boską pomocą.

— Iz moją — dodał Henry Greene.

Któregoś dnia kapitan i jego zastępca Bylot usiedli na pokładzie rufy, rozpostarli mapy i zaczęli

rozmawiać. Mateusz Lawe znalazł się przypadkiem w ich pobliżu, zajęty naprawą

zużytego paduna, co od razu zauważyli jego zdesperowani towarzysze. Gdy wrócił pod pokład, otoczyli go i zasypali pytaniami.

— Co usłyszałeś? — zaczął Robert Juet.

— Niewiele — odparł Mateusz zgodnie z prawdą.

— Ale o czym rozmawiali?

— Chyba o tym, dokąd popłyniemy. Patrzyli na mapy i wskazywali ten i ów kierunek.

Niech pan sam spyta zastępcę kapitana.

— Byłot nic nie powie — mruknął Michael Perse. — Teraz to człowiek Hudsona... Co to były za mapy?

— Te same, których używaliśmy przedtem.

— Na miłość boską! — zawołał Arnold Lodlo. — Czy i ty jesteś człowiekiem kapitana? O czym była mowa?

Wszyscy stłoczyli się wokół Mateusza, a William Wilson patrzył na niego, jakby miał przed sobą swój następny posiłek.

— Myślę — odrzekł Mateusz — że zamierzają popłynąć kawałek na północ, żeby znaleźć jakąś żywność. A potem ruszyć dalej.

— Do Anglii?

— To nie było powiedziane. Myślę, że na zachód. Niezadowolenie i gniew widoczny na

wszystkich twarzach, szemrania i pogróżki dochodzące ze wszystkich stron nasilały się z każdym dniem spędzonym na przygotowywaniu "Discovery" do drogi. Zanim wyruszyli, w dniu dwunastego czerwca, Hudson zrobił trzy rzeczy, które — potwierdziwszy liczbę jego

wrogów — dodały do nich nowych.

Zwołał całą załogę i oznajmił, że dokona rozdziału żywności. — To jest wszystko, co mam dla was — rzekł, kiedy na jego polecenie przyniesiono zapasy. — Każdy musi zadbać, żeby mu to starczyło.

To, co każdy dostał, nasiliło tylko złe przeczucia i budzące lęk podejrzenia. Sam Hudson był bliski płaczu przy wręczaniu wszystkim po kolei zaledwie po funcie chleba. — I to jest wszystko! —

powiedział. Do tego doszło trzy i pół funta sera, co miało wystarczyć na siedem dni. Niektórzy od razu zjedli większą część racji w przekonaniu, że gdzieś jest jeszcze ukryta jakaś żywność. William Wilson, żarłoczny jak świnia, połknął wszystko jednego dnia, a potem na trzy dni położył się w koi.

Załoga nie ufała kapitanowi — znowu zaczęto mówić o sekretnym włazie między

kapitańską kajutą a zamkniętą na trzy spusty ładownią z zapasami; przez ten właz zapewne Hudson uzupełniał swoje racje.

Ale, jak się okazało, i on nie ufał załodze. Gdy szemrania dotarły do jego uszu, poczekał na odpowiednią chwilę i posłał chłopca okrętowego, go, Nicholasa Symsa, żeby przeszukał skrzynki z rzeczami marynarzy.

Nick Syms wrócił z łupem w postaci trzydziestu sucharów i (złapany) z ostrą odprawą.

Żeby chłopiec do posług przeszukiwał prywatne kufferki... Marynarze wpadli we wściekłość; a następny krok Henry'ego Hudsona, podobnie nierozsądny jak pomysł szperania w skrzynkach, dopełnił przeświadczenia, że kapitan postradał rozum.

W przeddzień wyruszenia w drogę, w rezultacie sporu z Robertem Bylotem, swoim fachowym i lojalnym zastępcą, natychmiast usunął go ze stanowiska, powierzając je sternikowi Johnowi Kingowi, ignorantowi i cholerykowi, nie umiejącemu ani czytać, ani pisać.

Wybór został najpierw przyjęty z niedowierzaniem, a potem wyśmiany, co znacznie podważyło autorytet kapitana.

Zamieniony w gniazdo podłych intryg, z załogą w złych nastrojach, statek wyruszył w

drogę dwunastego czerwca. Mateusz Lawe w głębi duszy był przerażony tą sytuacją, błędami w postępowaniu kapitana i zawziętością marynarzy. Wszystko to razem było niewiarygodnym szaleństwem!

A przecież "Discovery" to nie była wielka hiszpańska karaka, z ośmiusetosobową załogą, na której byłoby miejsce dla warcholskich poczynań, lecz małym angielskim barkiem z

dwudziestką załogi, którą ciężki los powinien jednoczyć. Nie mając prawie żywności i bez żadnych perspektyw na jej zdobycie przed dotarciem do Wyspy Diggesa, oddalonej o

siedemset mil na północ, zmierzali do katastrofy w sytuacji, gdy połowa załogi skakała sobie do gardeł, a druga połowa była chora i osłabła z głodu.

Jedenaście dni później, po przebyciu zaledwie stu mil, spotkał ich fatalny pech.



Zatrzymany przez ciszę morską statek, stanął wśród grubej kry lodowej, po zawietrznej stronie nagiej wyspy. Na pokładzie było dwudziestu dwóch mężczyzn, a żywności ledwie dosyć na bardzo krótką podróż dla połowy z nich.

Było to w przeddzień nocy świętojańskiej, dwudziestego trzeciego czerwca.

VI

Chociaż dochodziła północ, mdły blask latarni rozświecał kajutę, w której siedział czarnobrewy łotr, Henry Greene, w towarzystwie starego malkontenta, Roberta Juet, i ordynarnego draba, Williama Wilsona. Ten, siedząc po turecku na pokrywie beczki, uważnie obserwował wejście. Popijali kwaśne wino z pękatej flaszki, a najwięcej Henry Greene, bo wino pochodziło z jego prywatnego zapasu.

Nie rozmawiali o niczym nowym; teraz szło o dopasowanie ostatnich nici, żeby spleść z nich najpodlejszy spisek, jaki kiedykolwiek miał miejsce na morzu. Spotkali się wyłącznie w tym celu; a stół, za którym siedział Henry Greene, papier leżący przed nim i pióro w jego dłoni to była cała broń potrzebna przed nadejściem świtu.

Juet powiedział: — Przeszukałem każdy kąt i rozmawiałem z każdym, komu mogę zaufać.

Mamy zapasów najwyżej na trzy dni plus to, co kapitan ma schowane, ale razem nie będzie na dłużej niż na sześć dni.

— Na sześć dni dla wszystkich — zauważył Henry Greene. — To za mało, i wiemy o tym.

— Latarnia rzuciła migotliwy błysk na jego twarz, wyrażającą upór i zdecydowanie. —

Starczyłoby na dwanaście dni albo i więcej, gdyby zostało nas mniej. Więc żebyśmy mieli pewność, że przeżyjemy, najsłabsi muszą odejść. I każdy, kto nie myśli jak my.

Zdawali sobie z tego sprawę od wielu dni, ale nie zostało to powiedziane tak dobitnie.

— Jak postanawiamy? — zapytał stary Juet.

— Decydujemy teraz. — Greene już zachowywał się jak kapitan. Gdy przysunął się do

stołu i pociągnąwszy łyk wina usiadł, gotów do pisania, wyglądał tak władczo, że najsilniejszy członek załogi nie ośmieliłby się okazać mu sprzeciwu.— Teraz siedźcie cicho przez jakiś czas, a ja rozważę wszystko w myślach. Potem porozmawiamy. Potem zaczniemy działać.

Po upływie haniebnej godziny, dokładnie o północy, trzymał w ręku gotową haniebną listę załogi, składającą się tylko z dwóch grup — tej, która zostanie na pokładzie, i tej, która nie zostanie. Listę żywych i martwych.

CI, KTÓRYCH ZATRZYMUJEMY: — napisał dużymi literami u góry kartki. —

Ja...—zaczął, a potem, by zaznaczyć natychmiast swą władzę i zły humor, dodał: — Ze szpadą, dwoma pistoletami i sztyletem! — Pisał dalej, rzucając swoje opinie:

Robert Juet, zastępca kapitana. — Znowu na swoim należnym mu miejscu.

William Wilson, bosman. — Sprawdził się. Robert Bylot, wiodący marynarz. — Nasz pilot, potrzebny, żeby doprowadzić nas do kraju, i jedyny, który to potrafi.

Edward Wilson, lekarz okrętowy. — Musimy mieć doktora. Abacuck Prickett, szczur lądowy. — Załatwi wybaczenie u Sir Dudleya Diggesa.

Bennett Matheus, kucharz. — Musimy mieć kucharza! Filip Staffe, cieśla. — Znany jako przyjaciel i niezbędny.

Sylvanus Bond, bednarz. — Do pracy razem ze Staffem. I będzie nas rozweselał.

DO OBSŁUGI STATKU:

John Thomas, marynarz. — Silny i w dobrym stanie zdrowia.

Francis Clemens. — Jak wyżej.

Mateusz Lawe. — Jak wyżej.

Michael Perse. — Jak wyżej.

Nicholas Syms, chłopiec okrętowy.—Przydamy. Je mało. Drugiego nie możemy zabrać.

Na tym kończyła się lista szczęśliwych wybrańców. Henry Greene przeszedł teraz do zbędnej reszty.

CI, KTÓRYCH SIĘ POZBYWAMY: — Napisawszy ten nagłówek u góry nowej kartki papieru, znowu pociągnął łyk wina — jak się dało zauważyć, z większym apetytem niż poprzednio.

Henry Hudson, dowódca. — Nasz wielki kapitan!

John Hudson, chłopiec okrętowy. — To samo plemię.

John King, nowy zastępca kapitana. — Mamy swojego zastępcę.

Thomas Wydowse, uczonek. — Nie ma przyjaciół.

Arnold Lodlo, marynarz. — Ten mały gad przyprawia mnie o mdłości!

Michael Butt, marynarz. — Chory.

Adam Moore, marynarz. — Chory.

Syracke Fanner, marynarz. — Chory... od swego nazwiska!

Skończywszy pisać, Henry Greene posypał kartkę piaskiem, strząsnął go i przejrzał tekst.

A potem cichym, świadomie złośliwym głosem, odczytał listę towarzyszom spiskowcom.

— Jeżeli macie pytania — zakończył — zadajcie je teraz. Ale już długo gadaliśmy i nie może być wiele do powiedzenia.

Stary Robert Juet, człowiek słabego ducha, gdy trzeba było przechodzić od słów do czynu, zapytał bojaźliwie:

— Co pan miał na myśli pisząc, że mamy się ich “p o z b y ć”? Czy to ma być zamordowanie?

— Ależ nie! Odpłyną łodzią i sami zadbają o siebie.

— Przysięga pan?

— Tak, jeśli sobie tego życzysz.

William Wilson, mniej subtelny w swoich skrupułach, miał pytania bardziej szczegółowe.

— Czemu zatrzymujemy Mateusza Lawe'a? To człowiek kapitana!

— Należy do tych, co są nam potrzebni do obsługi statku — odrzekł Greene. — Jeżeli nie zabierzemy wystarczającej liczby najsilniejszych, nigdy nie dopłyniemy do Anglii. Myślę zresztą, że Mateusz przestanie być człowiekiem kapitana, jak zobaczy, dokąd go to prowadzi.

Juet zapytał: — Czy możemy być pewni Bylota? — On też był blisko kapitana.

— Teraz mu to przeszło. A ja bardziej potrzebuję jego wiedzy niż jego słabych popiskiwań na temat lojalności. Nie ma nikogo innego na “Discovery”, kto mógłby poprowadzić nas do kraju.

Jeszcze inną wątpliwość miał bosman: — Nie podoba mi się Francis Clemens — mruknął.

— Odkąd przejąłem po nim stanowisko, nie mogę mu ufać.

Henry Greene powiódł wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych w kajucie i powiedział spokojnym, lecz groźnym tonem:

— Jeśli pozbędziemy się wszystkich, do których nie mamy zaufania, łódź się zapełni, a statek zostanie pusty. — Odczekał, aż to ostrzeżenie dotrze do ich mózgów, a potem dodał energicznie: — Dosyć tego, koniec! Listy zostały sporządzone. — Jak będzie trzeba coś zmienić, usunę człowieka, a nie jego nazwisko z listy! — Uderzył dłonią w dębowy blat stołu. — Koniec gadania! Teraz do dzieła.

— Od czego zaczynamy? — zapytał William Wilson, człowiek czynu, a nie słów.

— Pójdziemy bez hałasu do kajuty starego Pricketta, upewnić się co do tej pobożnej kanalii.

Człowiek nazwany pobożną kanalią, leżący w koi w czarnej szlafmicy na głowie, wyglądającej jak mitra biskupa, który stracił wiarę, spojrział z przerażeniem na spiskowców wchodzących chyłkiem do jego pomieszczenia. Wiedział, co zamierzali, i aprobował ten zamiar pod warunkiem, że nie zaszkodzi jego reputacji; chodziło mu tylko

o takie połączenie zdrady z nakazami Pisma Świętego, żeby człowiek mógł zdradę usprawiedliwić, a Bóg przyjąć ją za dobrą monetę. Krótko mówiąc, żeby mógł zachować czyste ręce.

Pozostała sprawa przysięgi. Muszą przysiąc, że cokolwiek będą robić, nie dojdzie do rozlewu krwi. Puszczanie chorych wolno w otwartej łodzi, bez żywności i opieki, zdanych w arktycznym pustkowiu na samych sobie, nie było morderstwem—w każdym razie nie z całą pewnością. Kto jest w stanie powiedzieć, czego nie może sprawić łaska Boska? Ale wszyscy muszą przysiąc, że skazani na wygnanie opuszczą "Discovery" cało, nawet nie zadraśnięci.

O północy złożyli taką przysięgę, świętokradczą, wiarołomną

i fałszywą, jak wszystkie przysięgi na tym świecie, a prawy Abacuck Prickett zakończył ją słowami: — Niech się dzieje wola Boska!

Ciemnymi przejściami skradali się dalsi spiskowcy, żeby złożyć przysięgę na Biblię

Pricketta. Po Greene'ie, Wilsonie i Juecie przysiągł John Thomas i Michael Perse, i Bennett Matheus. Co do Byłota, uznano, że jest pewny, a lekarz obudzi się, gdy będzie już po wszystkim. Ranek ujawni resztę.

Wśród szeptów i szurania stóp Mateusz Lawe leżał cicho. Łódź, jego dawna zimna kołyska, wydzwignięta z nastaniem wiosny na pokład i tam zamocowana przez Filipa Staffe'a, teraz bujała się na wodzie, przycumowana do burty statku.

Zwinięty w kłębek w kącie dolnego pokładu Mateusz udawał, że śpi. Z uszami zamkniętymi na odgłosy i rozmowy, drżał nie tylko z zimna. Podobnie jak stary Abacuck Prickett, zdawał sobie sprawę, co się święci, ale nie bardzo wiedział, co ma o tym myśleć.

Bunt to podła, niehonorowa sprawa, za którą grozi powieszenie, jeśli na tym świecie jest jakaś sprawiedliwość. Z drugiej strony Henry Hudson postępował — łagodnie mówiąc — tak

nerozważnie, że właściwie nie zasługiwał na stanowisko dowódcy i zaczął tracić prawo do żądania lojalności.

Bywali żeglarze, poszukiwacze przygód, zbyt wcześnie pochyceni w szpony strachu — tych nazywano tchórzami; zdarzali się też tacy, co zaczęli bać się zbyt późno — ci umierali w opuszczeniu, bez dziedzictwa czy nagrobka. Między nimi można umieścić nielicznych

bohaterów, których przy życiu zachowała chłodna brawura i świadoma przezorność. Mateusz nie był pewien, czy do tych ostatnich można zaliczyć ich dowódcę.

Hudson zdawał się skazany na niepowodzenie—to, do czego dążył, wykraczało poza jego możliwości, a jego marzenie było zbyt szalone, żeby mogło pociągać innych. Wyglądało, że jest mu pisane doprowadzenie wszystkich do zguby. Jego załozde pozostał więc wybór między śmiercią przez powieszenie a śmiercią z głodu. Przez następną godzinę istniała jeszcze trzecia ostateczność — śmierć od sztyletu zdesperowanego zdrajcy.

On, Mateusz Lawe, pragnął tylko zamknąć na wszystko oczy i uszy i móc jakoś żyć dalej, kiedy to się skończy.

Między dnigą w nocy a świtem na statku zapanowała cisza jak w grobowcu, w który wnet miał się zamienić. Wszyscy pokładli się wreszcie na spoczynek. Nie spała jednak podłóść.

Czekając na letni poranek w tym roku, w którym zapomniano o Bogu, Henry Greene obmyślił

krok, jakiego nie powstydziliby się Judasz z Kariotu. Udając, że nie może zasnąć, spędził resztę ł nocy w kajucie Henry ego Hudsona na przyjacielskiej pogawędce i baczny czuwaniu.

Nic nie może ostrzec kapitana, że siekiera została uniesiona do ostatniego ciosu, który będzie zabójczy dla wszystkich; jedni tracą honor, a inni życie.

Wszystko dokonało się w szatańskim tempie.

Gdy tylko się rozwidniło, kucharz Bennett Matheus poszedł na przód statku, żeby napełnić kociołek ze zbiornika z wodą deszczową. Przechodząc obok miejsca, w którym łódź, nie budząc żadnych

podejrzeń, została przymocowana u burty po śnie zimowym, zaczął wesoło pogwizdywać. To, co mogło być powitaniem pięknego czerwcowego ranka, stało się sygnałem do zdrady.

W ciągu minut wyznaczeni marynarze zajęli stanowiska w wyznaczonych miejscach.

Henry Greene, przechodzący pokładem rufowym obok Filipa Staffe'a, który właśnie się obudził, przystanął i zajął go rozmową. Buntownicy chcieli zatrzymać Staffe'a na statku, ale bali się tego, co mógłby zrobić widząc, jaki los gotują kapitanowi.

Johna Kinga, nowego zastępcę kapitana, zwabiono pod jakimś pretekstem do ładowni i tam zamknięto. Abacuck Prickett, który mógłby wciąż mieć wyrzuty sumienia, został ostrzeżony przez Jueta, żeby troszczył się o siebie... w swojej kajucie. Teraz spiskowcy zaczęli czekać na główny łup.

O wschodzie słońca Henry Hudson wyszedł z kajuty i uśmiechem przywitał piękny Dzień Św. Jana, przypadający akurat w tę niedzielę. Była to jego ostamia niedziela. Na dany sygnał został pochwycony i skrępowany przez trójkę marynarzy: Bennetta Matheusa, Johna Thomasa i bosmana Wilsona, który związał mu ręce z tyłu. Hudson próbował wprawdzie stawiać opór, na miarę sił starego człowieka, ale — otoczony przez ludzi bez śladu współczucia czy żalu — został wnet zepchnięty do łodzi.

Za nim poszedł jego syn, John, i Matheus, i Thomas, którzy mieli ich pilnować. Wtedy zaczęto szukać pozostałych.

Głośne krzyki, wołania o pomoc i zamieszanie, towarzyszące brutalnemu zaganianiu w jedno miejsce skazanych na wygnanie, mogłyby wywołać śmiechy w jakimś teatrze, ale nie w tym krwawym cyrku. Kto ma odpłynąć, a kto zostać, wiedział z całą pewnością Henry Greene, ze szpadą

w rękę, ogarnięty, jak się wydawało, czarną pasją. Juet trzymał się z daleka, a William Wilson, który cały rozum miał w pięściach, ciągle o czymś zapominał. Przez pewien czas były trudności ze znalezieniem dwóch skazańców, Arnolda Lodla i Michaela Butta, więc Matheus i John Thomas stanęli przed groźbą pozostania w łodzi zamiast nich.

John King, wypuszczony z zamknięcia pod pokładem i popychany ku swemu

przeznaczeniu, stoczył prawdziwą walkę. Rzucił się ze szpadą na starego Jueta i byłby go zabił, lecz został obezwładniony i jak worek brutalnie wrzucony do łodzi. Wydowse, matematyk z Cambridge, prawie nieznanymi załódze, zorientował się, że jest w śmiertelnym

niebezpieczeństwie i zaczął błagać o życie, za wszelką cenę. Niech sobie wezmą jego

przrzędy naukowe i wszystko inne, co posiada... Nic to nie pomogło, i znalazł się w łodzi.

Z innymi skazanymi na zagładę sprawa była prostsza. Wzięci przez zaskoczenie,

zamroczeni snem lub osłabieni chorobą, stawiali słaby opór, gdy wleczono ich do burty i zrzucano na dół.

Po godzinie wszyscy siedzieli w łupince, która odtąd miała być ich okrętem flagowym.

Wszyscy, oprócz jednego człowieka, który wzbudził wstyd u niegodziwych zdrajców,

oświadczył, że chce dołączyć do skazanych.

Filip Staffe, cieśla, przewyciężył w swoim sumieniu zło na rzecz dobra. Teraz stał oko w oko z buntownikami i urągał im od szumowin, śmierdzących łotrów, złodziei, morderców i

zjadaczy łajna. Nie chce mieć nic wspólnego z buntem i podłymi psami, których dziełem jest bunt.

— Chcecie wisieć po powrocie do kraju? krzychał im prosto w twarz. — Wasza sprawa.

Ale ja nie chcę! I nie zostanę z wami, chyba że zatrzymacie mnie siłą.

-^r Nie ma sposobu, żeby cię zatrzymać — rzekł Henry Greene, wściekły, ale i

zmieszany.—Płyn z nimi, skoro chcesz. Ale schodząc na dół możesz wychodzić na spotkanie śmierci.

^^tDajcie mi moją skrzynkę z narzędziami i niech was diabli! Wolę znaleźć się w łodzi z sympatii do kapitana i ufać w miłosierdzie Boskie, niż skorzystać z lepszej szansy z takimi łajdakami jak wy!

Z ponurymi minami pozwolili mu przejść i — powodowani wyrzutami sumienia dodali

muszkiet, żelazny garnek i trochę grochowej mąki. Załadowawszy wszystko na plecy, Filip Staffe, samotny bohater, bez słowa i bez spojrzenia ruszył ku swemu przeznaczeniu.

W tej właśnie chwili Mateusz Lawe, kryjący się pod pokładem w obawie, że go wypędzą,

uznał, że poszukiwania dobiegły końca i wyszedł z kryjówki. Kołysząca się na wodzie,

niewielka łódź przedstawiała widok najżałośniejszy i najbardziej przerażający ze wszystkiego, co oglądał w życiu.

Była całkowicie wypełniona nieszczęśnikami. Henry Hudson siedział na rufie owinięty w

swój niegdyś świetny płaszcz. Syn obejmował go ramieniem. Na dnie, skurczeni, leżeli chorzy o bladych twarzach. Każdy zdolny do mówienia błagał o litość, lecz bezskutecznie. Nie było widać ani zapasów żywności, ani wody do picia, drewna opałowego lub odzieży. Filip Staffe siedział okrakiem na swojej skrzynce z narzędziami, patrząc w górę na buntowników jak na sforę śmierdzących psów pożerających martwą, nie nadającą się do pokrycia sukę.

— No, no! — usłyszał nagle Mateusz czyjś tubalny głos za plecami.

Odwrocił się, zaskoczony, i napotkał nieoczekiwane spojrzenie... mężczyzny stojącego tak blisko, że bez trudu mógłby go zabić. William Wilson, z toporem rzeźniczym w ręku, mierzył

go z góry wściekłym wzrokiem, jak obłąkany sługa znający jego życzenia.

— O co chodzi? — spytał Mateusz przerażony.

Wilson, jak oszalały, potrząsał swoją błyszczącą bronią.—To ty mi powiedz! Chciałbyś popłynąć z nimi?

Mateusz obrócił spojrzenie na wypełnioną łódź i z powrotem na Wilsona. — Nie ma tam dla mnie miejsca.

— Możemy je zrobić, jak zechcesz.

— Nie chcę.

— No dobra. — Obrzuciwszy go wzrokiem jeszcze raz, William Wilson przepuścił go. —

Idź do steru, a jak zrobisz coś nie tak, rozwalę ci czaszkę i rzucę na dół. Będą potrzebowali kolacji!

— Odwrócił się i wykrzyczał swój pierwszy rozkaz w roli pirackiego bosmana: —

Podnieść kotwicę! Stawiać żagle!

Statek nabrał prędkości i wyrwał się z grubej kry, holując za sobą łódź z ludźmi skazanymi na pewną śmierć. Na znak dany przez Henry'ego Greene'a odcięto hol i łódź została za rufą.

Z wysokości swojego stanowiska na pokładzie rufowym Mateusz Lawe patrzył na łódź

coraz bardziej zostającą w tyle. Hudson siedział wyprostowany pośród grupki nieszczęśników, ze



wzrokiem skierowanym przed siebie, jakby zastygły w koszmarnym śnie. Syn wciąż obejmował go ramieniem, chociaż Bóg jeden wie, kto był pocieszającym, a kto pocieszanym. Ale to oczy młodego Johna Hudsona podniosły się ku statkowi, a głos chłopca, niesiony wiatrem, przekazał jednemu jeszcze widocznemu tam człowiekowi ostatnie pozdrowienie skazanego:

— Mateuszu! Dlaczego?

## CZEŚĆ TRZECIA

### PIRAT 1670

Opowieści o okrucieństwie i rozlewie krwi, jakie trudno znaleźć w kronikach zbrodni.

Encyklopedia Chambersa, tom II, hasło "Bukanierzy"

r

JJHH

I

I

Gromadka nieszczęśliwców błagalnie wyciągała ręce mimo szybko rosnącego odstęp

między nimi a ich statkiem, zdając się wierzyć, że nawet w tej ostatniej godzinie ich usilne błagania, wyrażane gestami z powodu odległości, mogłyby zmiękczyć okrutne serca. Już

zmaleli do rozmiaru kropek, szkielety ludzi zostawionych na karaibskiej skale pod palącym słońcem, a jeszcze modlitewnie wzniesione drżące witki ich rąk chwiały się nad nimi jakby w oczekiwaniu, że będą w stanie wzbudzić litość w bezlitosnych.

Ben Pannikin, chłopaczyna zajmujący się roznoszeniem wody na brygantynie\*

"Cambridge", nie widział czegoś takiego przez całe osiemnaście lat swojego życia. Mateusz Lawe widział. Chociaż obaj oglądali tę samą scenę w tym samym jasnym słonecznym blasku, ich odczucia dzieliła przepaść. Ben patrzył z zachłannym zdumieniem młodości; Mateusz,

który wcześniej uczestniczył w zastawianiu takiej morderczej sieci, potrafił — nie

zastanawiając się nad oglądanym widokiem — skwitować go obojętnym splunięciem.

To była po prostu kara i szło jedynie o to, żeby być tym, kto ją wymierza, nie zaś

nie szczęśliwym, na którego ze świstem spadają razy. Jeśli zamiast na pomarszczoną twarz starca, pochłoniętą przez mgłę i bezlitosny chłód morza, patrzył teraz na pełnych wigoru młodych szaleńców, miotających przekleństwa ku swoim oprawcom do momentu, gdy

uświadomiwszy sobie, jaki los ich czeka, zaczęli błagać o litosc, nie było to niczym więcej, jak tylko zmianą ofiary.

Przestrzeń wodna między nimi poszerzała się jętaakowo, niezależnie od tego, czy miała szarobrudną barwę lodowe, kry, czy czarowny kolor błękitu i różu pożyczony mlecznokoralowymi smugami który mógł zmiękczyć wszystko, poza sercem człowieka.

Podłość i zdrada

zawsze pozostawały tym samym, a wynikała z nich tylko pierwsza lub ostatnia lekcja życiowej mądrości: należeć do zwycięzców.

Ben Pannikin, zamiast pomagać Mateuszowi w zamocowaniu barkasa, który po wykonaniu

okrutnego zadania przywiózł o pięciu ludzi mniej, niż zabrał na ląd, ciągle wpatrywał się w coś, daleko za rufą, co było teraz tylko rysującą się na widnokręgu urwistą skałą. Wyglądało, że nie potrafi zerwać więzów z wygnanymi, którzy byli jego towarzyszami na brygantynie

“Cambridge” jeszcze dwie godziny [temu.

Wpatrywał się tak długo, że Mateusz, mimo zrozumienia dla jego wrażliwości, ostrym

tonem przywołał go do jego obowiązków. Jest zastępcą kapitana, a nie niańką, a chłopak musi się uczyć, jeśli ma wyrosnąć na mężczyznę nadającego się do ich wilczego procederu.

— Pomóżcie mi — krzyknął. — I przestań się gapić! Ujrzysz ich znowu, dopiero gdy

wszyscy zostanieie wezwani na Sąd Ostateczny. A wtedy miej swój nóż dobrze naostrzony!

Szurając nogami Ben przywłókł się na śródkręcie. Przez ostami rok bardzo wyrósł i jego ręce i nogi przypominały teraz członki marnie wykonanej marionetki — poruszały się

niebornie, jakby każdy niezależnie od pozostałych. Tylko twarz miała twardy wyraz—steżały od żalu.

— Ale co będzie z nimi? — spytał, jakby nie mogąc uwierzyć w prawdziwość tego, co zrobili. — Wysadziliśmy ich bez łyka czegoś do picia.

— I dobrze im tak —r\*.odparł ostro Mateusz. — Wiedzieli, jaka będzie kara. Mielibyśmy

tamtą holenderską pinasę, gdyby nie stchórz yli i nie uciekli z podwiniętym ogonem.

— Ryzyko było za duże.

— To znaczy że byli tchórzami. Pokrzyżowali plany Henry'ego Morgana. Myślisz, że człowiek, który zrobi coś takiego, może żyć dalej? To jest bractwo z Wybrzeża, a nie szkółka dla płaskiwych dziewcząt! Znasz powiedzenie: "Nie ma łupu, nie ma zapłaty". Morgan chciał zdobyć ów ładunek srebra. A ja chciałem dostać swoją dolę! Ale te bałwany ociągały się, już będąc na wantach, i straciły łup. Mieli szczęście, że nie zostali pocięci na przynętę dla ryb!

— Przepraszam, Mateuszu — Ben Pannikin spokorniał w obliczu takiego oburzenia. — Do dzisiaj nie widziałem nigdy wysadzania na bezludne miejsce.

— Zobaczysz więcej, zanim stracisz ostatni ząb.

— Ale co z nimi będzie? — powtórzył Ben pytanie.

— Będą się żywić jajkami mew, wodorostami i rybami, jak uda im się je złowić. Jeśli spadnie deszcz, będą mieli wodę do picia. — Mateusz spojrzał znacząco na bezchmurne karaibskie niebo. — A jak nie spadnie, to będą cierpieć pragnienie. Mogą zacząć bić się między sobą.

I w końcu mogą się pozjadać nawzajem, jeżeli ptactwo morskie będzie płochliwe, a ryby ich przechytrzą. Jak ostami umrze z głodu, zostaną po nich zbielełe od słońca kości. Kiedy

pięćdziesiąt lat później będzie tamtędy przepływał jakiś statek, marynarze zaznaczą na swojej mapie: "W tym miejscu dużo kości" i odpłyną, ani mądrzejsi, ani smutniejsi.

— Niech Bóg ma litość nad nimi — szepnął strwożony Ben.

— Tylko On może... A teraz zwiń tę linę, bo zaraz zdzielę cię nią po plecach.

Po kilku minutach pracy Ben przerwał milczenie. — Kiedy widziałeś przedtem coś takiego? — zapytał.

— Tylko raz. Dawno temu.

— Opowiedz mi, Mateuszu. — Ben Pannikin zawsze domagał się opowieści i zawsze je zapominał, więc pytał znowu. Przez jego głowę, równie współczującą jak serce, to co słyszał, przelatywało jak przez sito. — Co się stało wtedy? I gdzie?

— Daleko na północy.

— Ilu ich było?

— Ośmiu. Starzec, chłopak... jak ty... i sześciu innych.

— Czy nie byli posłuszni kapitanowi?

— Pytasz i pytasz... Nie, to było coś w rodzaju buntu. Więc zostawiliśmy ich i popłynęliśmy swoją drogą.

— Czy pomarli?

— Do dziś na pewno.

— A wy... czy byliście ukarani?

— Tak, kilku z nas. Inni zostali zabici albo umarli. A niektórych nawet uhonorowano.

— A ty?

— Odszedłem... A teraz odejdz ty, Benie Pannikin, i przynieś mi kubek wody. To słońce w południe grzeje jak piec!

Upłynął już okres życia jednego pokolenia, ale według obłąkanej rachuby dni Mateusza

działo się to zaledwie wczoraj. Ich kara zaczęła się z chwilą, gdy odpłynęli, zostawiając za sobą łódź. W małej wojnie podjętej przez mściwych Indian, których spiżarnie udało im się obrabować jeden raz — i nigdy więcej — czterech spośród buntowników spotkała okrutna śmierć.

Na Wyspie Diggesa indiański nóż wypuścił wnętrzości z Johna Thomasa. Taki sam los

spotkał Michaela Perse'a. William Wilson skonał, miotając przekleństwa, od strzały, która trafiła go w pierś. Henry Greene, ich podły prowodyr, zakończył swój haniebny żywot dzielnie ginąc z okrzykiem "Coraggio!"-s jakby nawet w obliczu śmierci chciał pokazać, że wiele w życiu podróżował.

Ich statek wyrwał się z burzliwej cieśniny tylko dzięki umiejętnościom Roberta Bylota,

które, w połączeniu z jego odwagą, pozwoliły im wrócić do kraju. Ale z żywnością robiło się coraz gorzej, czy stali unieruchomieni ciszą morską, czy przewalali się w morskiej kipieli albo zbłądziwszy szukali na ślepo drogi.

Doszło do tego, że żywili się tylko wodorostami i kośćmi ptactwa wysmażanymi na łożu. Stary

Robert Juet zmarł na środku Atlantyku po prostu z braku jedzenia, bo nikt nie zadał sobie trudu, żeby go karmić. Dziewiętnastego dnia tej nieszczęsnej podróży zniszczone, poszarpane żagle przyniosły ich w końcu do zatoki Bantry, gdzie śmiejące się oczy Irlandczyków tak ciepło ich przywitały, że musieli pozbyć się łańcucha kotwicznego—ogniwo za ogniwo—

wymieniając je na wodę i suchary, żeby mogli płynąć dalej.

Gdy ich upiorny statek dotarł wreszcie do portu londyńskiego, po roku i pięciu miesiącach od jego opuszczenia, Abacuck Prickett, Robert Bylot i lekarz okrętowy Edward Wilson, którzy zostali zmuszeni do udziału w buncie z powodu ich przydatności zawodowej, udali się do

władz świeckich i boskich, aby przedstawić okoliczności morderstwa.

Pozostawiony sam do pilnowania ich haniebnego przybytku dla zapowietrzonych Mateusz

Lawe, obrzuciwszy spojrzeniem Ben- netta Matheusa, który leżał chory przy wystygłym

palenisku, wymknął się na brzeg i wmieszał w dum gapiów. Miał przy sobie parę pistoletów Henry'ego Hudsona i rzeźbiony naszyjnik z kłów morsa. To było wszystko, czym mógł się

pochwalić po wyprawie tak trudnej i niesławnej, że należał się za nią albo tytuł szlachecki, albo... stryczek.

Podczas gdy Robert Bylot, zbyt cenny, aby ponosił karę za mord, który nie został

udowodniony ponad wszelką wątpliwość, dostał korzystną posadę w służbie Korony, a po jego śmierci, dla uczczenia go, nazwana jego imieniem wyspa znalazła się na wszystkich mapach morskich rejonu północnego — Mateusz tylko wegetował. Ale wciąż żył. W ogromnym

kalejdoskopie świata zmieniały się wszystkie obrazy, nie zmieniał się tylko jeden przeklęty przez los człowiek.

Ben Pannikin wrócił z wiadrem wody i zaczął ją roznosić. Najpierw podał kubek

Mateuszowi, a potem reszcie spragnionych marynarzy, skupionych na śródokręciu

brygantyny. Nastął czas odpoczynku. Odbyli znowu pomyślną wyprawę, na północ od

przeklętej skały. Najbliższy nadający się do zamieszkania ląd leżał daleko za horyzontem, a była to holenderska dziura Curaçao.

“Cambridge”, mocny dwumasztowiec z furtami strzelniczymi w burtach, nie prezentował się elegancko, lecz był łatwy w obsłudze.

Jego załoga, złożona z bukanierów\*, nie traciła sił na utrzymywanie w czystości pokładów czy polerowanie elementów z mosiądzu, bo zarówno im, jak i Henry'emu Morganowi, ich

kapitanowi, wystarczało, żeby takielunek i żagle były w dobrym stanie, działa dawały się szybko wytaczać, a stojak z kordami, ustawiony pod każdym masztem, lśnił od stalowych ostrzy.

Gdyby pokłady były zmywane z krwi, nie czuliby się całkiem u siebie... Słoneczny żar lał się na wydęte żagle i wysmołowane liny, niebo było błękitne jak niewieści czepek, a pomyślny wiatr, który zamożni kupcy, mający kantory w Bristolu, Kadyksie lub Amsterdamie, zaczęli nazywać pasatem\*, wiał z północnego wschodu z taką samą stałością, z jaką wskazywała ten kierunek igła kompasu.

Po miesiącu zuchwałego buszowania na wodach holenderskich zebrali sporo dobra.

Zgodnie z prawem obowiązującym na Wybrzeżu wszyscy mieli w nim mieć udział, z wyjątkiem tych pięciu nieszczęsnych tchórzy, którzy w walce nie dali z siebie wszystkiego i musieli za to zapłacić. Był to — lub powinien być — moment wytchnienia.

A mimo to wśród zebranych na śródokręciu więcej było twarzy smutnych niż wesołych.

“Puszczanie krwi” stanowiło ich zwykłą zabawę, a normalnym łupem były statki handlowe, holenderskie, hiszpańskie czy należące do “mosje” Francuzów. Lecz skazanie pięciu

towarzyszy na taki marny koniec było dostatecznym powodem ogólnego milczenia. Jaka by

nie miała być ich śmierć, choćby zasłużona, ci co zostali, nie mogli pustych koi pod pokładem i brakujących towarzyszy puścić w niepamięć tak od razu, między jedną wachtą a drugą.

Młody Ben, który wypowiedział to, co mu dyktowało jego miękkie serce, został za to

zwymyślany i więcej się nie odezwał. Wydawanie werdyktów było sprawą marynarzy bardziej zaprawionych w okrucieństwie. Jeden z nich, zaufany przyjaciel Mateusza — jeśli w tej

profesji mogło się mieć zaufanego przyjaciela — wyłożył rzecz tak, jak on ją widział.

Był to John Flowerdewe\*. Trzeba się było strzec dowcipkowania na temat jego nazwiska,

bo ten niewysoki, barczysty osiłek gotów był

Hbić się z każdym i bronią każdego rodzaju — na pistolety, kordy, sztylety, bicz z wołowej skóry, klepki z beczek lub gołe pięści — nawet za taki drobiazg, jak dodatkowy łyk wina.

Mówiono, że kiedyś w czasie bójki w jakiejś tawernie, pozbawiony możliwości

zastosowania wszelkich innych środków perswazji, przegryzł przeciwnikowi gardło;

prawdziwa czy nie, taka opowieść wystarczała, żeby zapewnić mu posłuch, kiedy zaczynał mówić.

— Nie marnujcie łez na Parrisha i resztę — oświadczył, kiedy wyglądało, że ten i ów

opłakuje kolegów wysadzonych na bezludny ląd. — Abordażować przyz, a potem się cofnąć, bo kilku tłustych Holendrów stanęło ci na drodze — czy to jest sposób na zbijanie fortuny?

Gdybym był Morganem, przybiłbym ich za uszy do rei!

Słuchający go nie wątpili, że tak by postąpił. Lecz w głębi ducha dalej nie byli przekonani.

Mieli słabe szanse — odezwał się kucharz Berryman, lepszy zabijaka niż kucharz. Nic

dziwnego, że ci, co musieli jeść jego lury, byli gotowi mu przytaknąć. — Tych Holendrów musiało być dziesięciu na jednego.

— Ale to były szczury lądowe — upierał się Flowerdewe. — Albo niedzielni żeglarze.

Machnij im przed oczami ostrym końcem kordą, a będą zmiatać aż do Amsterdamu. W

zeszłym roku biliśmy się zemsto razy przy gorszym stosunku niż jeden do dziesięciu. Wysłać barkas z "Cambridge", żeby wrócił bez niczego — ładna historyjka do opowiadania w Port Royal!

— Któż będzie ją opowiadał? — padło pytanie.

— Na pewno nie ci, co podali tyły — odparł ostro Flowerdewe. — Mogą ją sobie sami opowiadać aż do końca życia i nikt, poza rybami, ich nie usłyszy.

—

A wszyscy w ciemnościach — odezwał się nagle czyjś głos. Był to młody Ben Pannikin, który wreszcie się pozbierał. Stał

osobno, ze wzrokiem opuszczonym na stopy i z przygnębionym wyrazem twarzy.

Podśmiewając się z niego koledzy otoczyli go, z Flowerdewe'em na czele.

— O czym mówiłeś, chłopcze? Kto jest w ciemnościach?

— Ludzie wysadzeni na skałę. Dziś będzie ciemna noc.

— Coś nadzwyczajnego!

— Chodzi mi o to, że to będzie ich pierwsza noc tam, na tej skale. I okropnie samotna.

— Nie będzie to Port Royal w noc noworoczną, z tawernami pękającymi w szwach od

klientów — zgodził się sarkastycznie kucharz Berryman. — Ale to ich nowy dom i muszą się w nim urządzić. Powiedz nam... myślisz, że zasłużyli na pałac?

— No więc... — zaczął Ben Pannikin, zbity z tropu.

— “No więc” w porządku — wtrącił się Mateusz Lawe, przy

chodząc chłopcu z pomocą, chociaż zbytnio go nie pocieszając. — To kapitan kazał wysadzić na ląd Parrisha i resztę. A kiedy Morgan mówi, że coś jest w porządku, to tak jest. Jak masz inne zdanie, to będziesz musiał poczekać dwadzieścia lat, aż staniesz się najsłynniejszym kapitanem w bractwie Wybrzeża. Wtedy będziesz mógł taką sprawę załatwić po swojemu.

Reprimenda uciszyła wszystkich, a o to Mateuszowi chodziło. Ben Pannikin zwiesił głowę

i więcej się nie odezwał. Brygantyna kołysała się na długich wodnych wałach nadbiegających od wschodu i jedynymi słyszalnymi odgłosami było skrzypienie drewnianej konstrukcji statku i poszept wiatru w żaglach. Nagle z góry usłyszeli dobrze wszystkim znany ostry, suchy kaszel.

Odwróciwszy się, ujrzeli kapitana przechylonego przez poręcz pokładu rufowego i

spoglądającego w dół wściekłym wzrokiem, który zdawał się przy- gwałdząć każdego do miejsca, w którym się właśnie znajdował.

Wybrawszy odpowiedni moment rzucił rozkaz swoim walijskim głosem, który mógł

równocześnie brzmieć śpiewnie i warkliwie:

— Żadnych smutnych min! Jeśli opłakujecie kogoś, to nie jest jeszcze za późno przyłączyć się do pogrzebu!

Żartował po swojemu, ale jego szeroko znana reputacja wystarczała, żeby zadrżeli ze

strachu. Z Henrym Morganem nic nigdy nie było wiadomo; mógł mieć ponury wyraz twarzy, a zamierzać dać wszystkim wolny czas i po garści gwinei na osłodę albo piastując na ustach uśmiech zastanawiać się, jaki sos byłby najlepszy do polania ich serc przed zjedzeniem. Gdy milczeli przezornie, kapitan zszedł do nich po krótkiej schodni rufowej.

Jego okazały wygląd niezmiennie porażał załogę, a wrażenie, jakie wywierał na obcych,

sprawiło, że robili się o wiele z niego dumniejsi. Szczupły, śniady Walijszyk, cały z ognia i mięśni, ubierał się na modłę nigdy dotąd nie widzianą na Wybrzeżu, a samo jej kopiowanie przez pirata czy człowieka wysokiego rodu jednakowo groziło natychmiastowym

niebezpieczeństwem.



Przed kilku laty Morgan ujrzał przypadkiem portret swego nowego monarchy, Karola II, przywróconego na należny mu tron po okresie rządów tych purytańskich nudziarzy, i teraz nic go nie mogło zadowolić, poza upodobnieniem się do tego króla. Można by nawet powiedzieć, że Morgan zdystansował królewski wzorzec o dobrą milę morską.

Jego czarna, skręcona w loki i opadająca na ramiona peruka wyglądała wspaniale; od stóp do głów przystrajał go jedwab, koronki i podwójne kokardy ze wstążek; spodnie lśniły, pończochy połyskiwały nawet w słabym świetle, na trzewikach jarzyły się olbrzymie srebrne klamry. Złoty krzyż, który mógłby oszołomić biskupa, zwisający z szyi na złotym łańcuchu zdolnym udźwignąć kotwicę, dobrze leżał na piersi. Jeśli wkładał na głowę kapelusz, to piętrzył się on nad nią jak katedra, równie hojnie ozdobiony piórami jak ogon pawia.

Nosił też inne ozdoby, które pewnie nie odpowiadałyby jego królowi Karolowi: parę pistoletów u pasa, sztylet zatknięty za podwiązkę i kord w pochwie wysadzanej drogimi kamieniami. Był tak I odrażająco okrutny, że żaden prawowity monarcha nie śmiałby mu w tym dorównać. Wielu piratów miało przezwiska, niekiedy przynoszące im hańbę. Jego przezwisko, "Morgan Straszliwy", było dobrze zasłużone, rzadko kwestionowane i nigdy nie utracone.

Nikt nie znał dziejów jego życia, dopóki — obmyślane co do szczegółu — nie zostały wypisane krwią i utrwalone drukiem na setkach skór ludzkich. Mówiono, że jako chłopiec został porwany i wysłany na morze; to znów, że sprzedano go pewnemu kupcowi z Bristolu, żeby się wyuczył na chłopca okrętowego; miał też jakoby uciec od dziewczyny z brzuchem i jej ojca z nabitym muszkietem i ukryć się na pierwszym statku, na jaki natrafił.

Wiadomo było z całą pewnością, że znalazł się na Barbados, wysadzony na brzeg czy może trafił tam jako rozbitek. Źle traktowany przez jakichś Hiszpanów, poprzysiął, że gdy dorośnie, dorówna im tak w sztuce żeglarskiej, jak i w okrucieństwie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że chłopak z Glamorgan rozbłysnął wśród pirackich dowódców Wybrzeża jak olśniewająca gwiazda. Teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, jaśniał silniej od nich wszystkich.

Nikt też nie wątpił w jego nienawiść do Hiszpanów, równie zapiekłą jak starego Francisa Drake'a. Mateusz Lawe słyszał go opowiadającego o wydarzeniu, które musiało zapaść mu głęboko w mózg, gdy był jeszcze wrażliwym młodzieńcem: o dziewczynie schwytej przez

Hiszpanów i okrutnie przez nich torturowanej; o tym, co ci sami łotrowie wyprawiali z jego kompanami-marynarzami, jak poobcinali im dłonie, stopy, nosy i uszy, a potem przywiązali ich do drzew, wysmarowali miodem i zostawili mrówkom.

W rezultacie w jego piersi zagnieździła się niewygasła do końca życia żądza krwi i

skarbów Hiszpanów. W donach widział zarówno publicznych wrogów Anglii, którą kochał,

jak i osobistych przeciwników swojego pięcia się w górę. W ten sposób patriotyczna służba krajowi stała się źródłem satysfakcji dla tego mężczyzny. Gdyby żył w czasach Sir Francis Drake'a, mógłby być bohaterem, oddającym usługi Koronie; sto lat po tamtych sławnych

czasach był tylko człowiekiem wyjętym spod prawa.

Ale nawet ludzie wyjęci spod prawa mogli stać się sprzymierzeńcami rządzących, jeśli ci ostatni mieli puste kieszenie — czego dowodem miał się okazać Henry Morgan, zanim jego

zbrodniczy żywot dobiegł końca.

Doskonały żeglarz, bezwzględny dla przeciwnika, nie pozwalający, aby ktokolwiek stanął

mu na drodze, jeśli tylko podstęp, zdrada, rzeka krwi, fałszywa przyjaźń, złodziejstwo czy jakikolwiek inny wysoce podły wyczyn mogły posłużyć do usunięcia przeszkody — Morgan

był teraz prawdziwym admirałem wśród piratów. Pod swoimi bezpośrednimi rozkazami miał

dziesięć statków i pięciuset ludzi; w Port Royal na Jamajce jego "flota" utrzymywała rodzaj bazy, równie dobrze wyposażonej w broń, jak każdy tego rodzaju arsenał w świecie

zachodnim. Tam trzymał swoje ogromne skarby i stamtąd wyruszał, gdy przyszła mu chęć

dodać coś do swego oszałamiającego bogactwa.

Pryzy i jeńców traktował jak odpadki z jatek. Rok po roku stosował tę samą łotrowską

sztuczkę o szczególnie haniebnym charakterze, która sprawiła, że przeklinano jego imię i bano się go bardziej niż diabła: swoje zwycięstwo sygnalizował przez wciągnięcie na reję, jako bitewnego trofeum, owiniętego w muślin i jedwab trupa (nazywano to "Morganowską

maskaradą") z odciętą głową uwiązaną do stóp.

Natomiast swoich ludzi hołubił, jak długo pozostawali lojalni, traktując ich jak

niezbędnych przyjaciół. Każda uncja zdobyczy, do garstki najdrobniejszych monet, szła do wspólnej kasy i była dzielona bardzo skrupulatnie, jakby wszyscy uczestniczyli w jakimś diabelskim obrzędzie. Tyle i tyle przypadło na kapitana, tyle na oficerów, tyle na przybory dla lekarza okrętowego, bo to mogło im uratować życie, tyle każdemu marynarzowi na statku, a tyle pewnym przekupnym

dżentelmenom na Jamajce, których "ślepotą" warta była takiej

"opaski na oczy".

Do tego zestawu uświęconych zasad Morgan dodał system ubezpieczeniowy,

zapewniający rekompensatę każdemu, kto został ranny lub okaleczony w pirackim wypadku.

Z tego ogromnie cenionego funduszu wypłacano za utratę prawej ręki 600 pesos\* lub sześciu niewolników; za lewą należało się 500 pesos lub pięciu niewolników; tyleż dostawano za prawą nogę, a 400 pesos za lewą; za oko zaś lub palec po 100 pesos.

Zapytany przez kogoś: "Co dostanę za utratę członka?" Henry Morgan odrzekł uprzejmie:

"W tym wypadku będę szczodry. Pięć niewolnic!" Takie żarty w połączeniu z całą resztą wiązały go nierozzerwalnie z jego ludźmi, z wyjątkiem dwóch ostateczności: śmierci lub

tchórzostwa.

Gdy Henry Morgan stanął pośród swojej załogi, jego bystry umysł był już zajęty sprawami dalekimi od niezbyt przyjemnego zadania

^t^T NICHOLAS MONSARRAT

wykonanego tego ranka. Miał wszelkie cechy wielkiego dowódcy, czy działałby na

wysokim szczeblu władzy, czy jako okrutny łotr, co dało się łatwo wyczuć w jego mowie do załogi.

— Słuchajcie no! — zaczął, a gdy Morgan powiedział "Słuchajcie", z walijskim śpiewnym akcentem w swym dobitnym głosie kapitańskim, nikt z obecnych nie pozwolił sobie na

słuchanie bez należytej uwagi. — W tym naszym małym wypadku poszło nam nieźle

—

nie tak dobrze, jak się spodziewałem, ale nawet ja nie mogłem przewidzieć, że

ludzie wysłani po łatwą zdobycz złączą krwawić przed odniesieniem ran... Nieważne... reszta z nas ma zapłatę za swój pot: trzy zdobyte przyzy, dziesięć skrzyń holenderskich guldenów, więci jeńcy, którzy mogą zapłacić okup równie duży jak ich brzuszyska. Ale nie będziemy więcej łowić na tych wodach. Za dużo tu teraz zamieszania; a naszym wrogiem jest Hiszpan, nie zaś Holender — ci są dla rozrywki. Obmyśliłem lepszy plan, największy plan w moim

życiu. Wracamy więc do domu, do Port Royal.

Te słowa zebrani skwitowali radosnym okrzykiem. Port Royal był rzeczywiście domem,

wizją, którą zabierali ze sobą na wszystkie wyprawy, obietnicą picia, kobiet i hulaszczych śpiewów w mieście, gdzie rządili na mocy podboju; gdzie nikt nie ośmielił się powiedzieć im

“nie” z obawy przed roztrzaskaniem głowy czy wypuszczeniem flaków z brzucha... Było im obojętne, jaki może być ten “największy plan” Morgana. Jeśli dla niego był dostatecznie wielki, to oni byli dostatecznie wielcy dla takiego planu.

—

A więc do Port Royal — ciągnął Henry Morgan. Potem nagle zwrócił się do

Mateusza Lawe'a z jednym z tych niespodziewanie rzucanych pytań, na które każdy będący w jego bezpośredniej służbie

—

i lepiej opłacany za ten przywilej — musiał umieć dać niezwłoczną odpowiedź. —

Mateuszu... jak to daleko od dzisiejszego zachodu słońca i ile czasu nam to zajmie?

—

Sześćset mil bez dwudziestu — odpowiedział Mateusz. Obaj mieli w głowach

dobrze zakodowany obraz wielkiego basenu Morza Karaibskiego. Znali go dokładnie, jak

rolnik zna granice swego pastwiska, a pytanie padło i Morgan otrzymał na nie odpowiedź

—

z kilku różnych powodów: bo słuchający mieli się czegoś dowiedzieć; bo powinni

zobaczyć, że ufa on swemu zastępcy; bo Mateusz Lawe musiał się wykazać, że na to zasługuje; bo był piękny, ciepły dzień, a oni wracali do domu; dla wszystkich w istocie powodów, które sprawiały, że ludzie woleli odzywać się miło do siebie, a nie skrzeczeć jak małpy. — Przy stałym półwietrze — ciągnął Mateusz — i sprzyjającej pogodzie powinniśmy znaleźć się w Port Royal za cztery dni od teraz.

—

Zrób, żeby tak było — odrzekł Henry Morgan — a Port Royal mile powita nawet

waszego wstrzemięźliwego kapitana. — Na te słowa

**ŻEGLARZ**

buchnął śmiech; Henry Morgan nie był człowiekiem wstrzemięźliwym. Pijąc zabawiał się z

kobietami, jednakowo gotów pokryć jakiś zgrabny kształt co wysuszyć inny.—Brak nam

dobrych trunków, brak towarzystwa niewiast... ale nie tych bab, obrzydliwych jak skopki z tłustymi pomyjami, które popadły do naszej niewoli. I na Boga — dodał nagle zniżając się do poziomu prostackich umysłów—więcej będziemy mieć przyjemności sprzedając te

holenderskie krowy na wagę niż... — nie musiał kończyć. Henry Morgan potrafił w jednej

chwili wyczuć nastrój; załoga już obejrzała nowo zdobyty ładunek i uznała, że bardziej nadaje się na sprzedaż niż do koi. — Więc tak... dopłynąwszy do domu, pohulamy przez trzy dni, a potem ja wezwę moją flotyllę i przedstawię swój plan.

John Flowerdewe, znany z niepohamowanego języka, pozwolił sobie na zadanie pytania:

— Kapitanie, jak już pohulamy, to czy będziemy się bić?

— Do upadłego — odpowiedział Morgan. — Albo aż wszyscy zejdziemy na ląd, każdy ze

skrzynką złota, żeby osiąść jako angielscy panowie; wtedy niejedyn, co się liczy, będzie zabiegał o nasze łaski, a ładacznicę będą się za nami uganiać jak wściekłe... — tymi kilkoma słowami odsłonił ich sekretne marzenia. A potem, żeby rzecz zakończyć, dorzucił jeszcze dwie uwagi zdradzające jego szczególny charakter. Jedna mówiła o przyjaźni, a druga o strachu.

— Powiedziałem wam to teraz w zaufaniu, bo jesteście moją załogą — pzałogą okrętu

flagowego! Ale jeśli któryś z was piśnie choćby słówko o jakimś wielkim planie, zanim ja sam to zrobię, utnę mu język, każę go ugotować Berrymanowi i potem zjeść t e m u, co pisnął!

Ten i ów oblizwał suche wargi jeszcze suchszym językiem, co świadczyło, że porządnie ich przeraził. Morgan byłby w stanie zrobić wszystko, co powiedział, bez brudzenia własnych rąk.

A potem: — Mateuszu!

— Sir?

— Poszukaj tego niebieskiego fokzągla z Genui. Niech nasz powrót do domu będzie szybki

i w naszym stylu!

Cztery dni później, co do godziny, "Cambridge" zacumował w przystani Port Royal i

okrzyk: "Morgan wrócił!" poniósł się na wszystkie cztery strony tego najgrzeszniejszego ze wszystkich miast świata.

II

Cromwell, zmarły lord protektor Anglii, którego Henry Morgan, jako człowiek króla,

darzył pogardą, zajął Jamajkę przed piętnastoma laty. Był to czas, kiedy ludzie szybkiej decyzji, i królowie, i lordowie-protektorzy, błyskawicznie obejmowali w posiadanie wolne terytoria, zanim jakiś chciwy sąsiad zdążył ich uprzedzić. Na tych wodach działali Hiszpanie, Francuzi i Holendrzy; kto mógłby kwestionować prawo Anglii do kładzenia podwalin swojej potęgi i korzystania z niej? Kto byłby w stanie się sprzeciwić, gdy to stało się faktem?

Wcześniej Anglicy odebrali Francuzom Tortugę i wygnali tamtejszych piratów, przekształcając tę wyspę w rodzaj kolonii. Tortuga, tak nazwana od hiszpańskiego słowa znaczącego "żółw", bo wyglądała jak monstrualnej wielkości żółw morski unoszący się na powierzchni fal — okazała się zbyt mało znaczącą zdobyczą, za małą, aby służyć za punkt oparcia dla handlu oceanicznego. Zatem Cromwell, w swoim dążeniu do opanowania handlu i równocześnie przewyciężenia bałwochwalczego uwielbienia dla papieżstwa, obrócił oczy na Jamajkę i siłą ośmiu tysięcy ludzi odebrał ją Hiszpanom.

Jamajka miała sto pięćdziesiąt mil szerokości, wystawała siedem tysięcy stóp nad poziom morza — nie była więc unoszącym się na wodzie żółwiem. Jej dogodne przystanie mogły

służyć różnym celom. Gdy wygnani z Tortugi piraci zaczęli się kierować w jej stronę, Anglia osadziła tu jako gubernatora silnego człowieka, żeby widzieć wszystko we właściwym świetle.

Tym człowiekiem był Sir Thomas Modyford, plantator z Barbados — z powodu posiadanego tytułu baroneta uznany w odległej Anglii za osobę odpowiednią do pełnienia ważnej funkcji.

Podstawowe instrukcje wysmażone dla niego w mrocznych zakamarkach Whitehall przez poważnych, oderwanych od życia urzędników mówiły, że z ważnych politycznych powodów ma on utrzymywać dobre stosunki z Hiszpanami, a w związku z tym prześladować korsarzy i piratów, których główną pastwą był handel hiszpański. Uznał on jednak za rzecz wskazaną realizować tę politykę "stopniowo", później "stopniowo, lecz bardzo powoli", a w końcu wcale.

Z upływem bowiem czasu gubernator Modyford stwierdził, że w swoim wyspowym królestwie ma dziwnych poddanych i jeszcze dziwniejszych przyjaciół. Jamajka stała się śmietnikiem, na który wyrzucano wszystko co najgorsze z angielskich więzień; taniej było wywieźć takich ludzi raz na zawsze, niż trzymać ich w zamknięciu na

koszt państwa. Trudno byłoby powywieszać ich wszystkich; natomiast wywieziony daleko, do miejsca odległego o cztery tysiące mil, człowiek przestawał być problemem i stawał się kimś całkiem nieszkodliwym.

Tak więc Jamajka, z Port Royal w szczególności, zaludniła się wagabundami, drobnymi

złodziejaskami, zbuntowanymi żołnierzami, irlandzkimi piratami, włóczęgami, osobnikami niebezpiecznymi i rozpustnikami, zbiegłymi czeladnikami, nierobami wstydzącymi się pracy, jak dziewczica spuszczonej spodni; buntującymi się politykierami, ludźmi beznadziejnie zadłużonymi i takimi, co musieli wyemigrować dla ratowania swoich głów.

Tutaj, pod niebiańskim słońcem, znaleźli łatwe życie i wyłącznie takie prawa, jakie sami stanowili dla siebie; ich potrzeby seksualne zaspokajali sutenerzy, dostarczając i po

pięćdziesiąt kobiet naraz

— może dla ich poślubienia, a z pewnością dla wykorzystania. Tak wyglądało życie w tym

upodlonym mieście, a do tego doszły później obyczaje piratów wygnanych z Tortugi, którzy zamiast zmieniać swój styl życia, chcieli raczej narzucać go innym.

Sir Thomas Modyford robił co mógł, żeby ukrócić poczynania tej bandy, ale bez

nadmiernej gorliwości, jaka mogłaby pobudzać kogoś mniej opieszałego. W razie schwytania bukanierów odbierał im stery i żagle — tworząc w ten sposób rynek dla używanych sterów i żagli, których, rzecz dziwna, nigdy nie brakowało. Lecz nawet oględne demonstrowanie

władzy czyniło go niepopularnym.

Obywatele Port Royal zdecydowanie darzyli sympatią swoich piratów. Kupcy bogacili się

skupując to, co piraci rabowali i odbijając sobie wydatki przez pośredniczenie w spełnianiu ich sprośnych zachcianek. Prosty lud kochał w nich bohaterów, a także tych, co chronili wyspę od strony morza swoją potężną flotyllą, dzięki czemu nie trzeba było podnosić podatków. Cieśle okrętowi i producenci lin mieli pełne ręce roboty, właściciele tawern ledwie nadążali z za-spokajaniem potrzeb klientów, dziewczyny uliczne zaś, jeśli w ogóle kładły się spać, śniły, że dzięki jakiejś lubieżnej alchemii mało szlachetny materiał ich obolałych tyłków zmienia się w złoto — co po przebudzeniu okazywało się prawdą.

Tak więc wszyscy odnosili jakieś korzyści. Czerpał z nich także

— o czym nie tylko szeptano, lecz mówiono coraz głośniejszym głosem — Sir Thomas Modyford... W

miarę rozrastania się korsarstwa i masowego, jak szarańcza, napływu piratów na Jamajkę, przybywających ze wszystkich zakątków morskiego świata, gubernator, raz stając na jednej, raz na drugiej nodze, doszedł do wniosku, że to, co jest dobre dla tak wielu, musi być bardzo dobre dla wszystkich.

W piątym roku sprawowania władzy posunął się tak daleko, że zaczął wydawać

bukanierom zezwolenia na działania przeciwko hand-

łowi hiszpańskiemu, z procentowym zyskiem idącym do jego państwowej i prywatnej

kasy. Na protesty z Anglii, będące echem żalów ambasady hiszpańskiej, wysyłał odpowiedzi tak długie, tak wykrętne i tak rozbijające, że zanim pojęto, o co w nich chodzi, jego

wykroczenie ulegało często zapomnieniu lub ustępowało miejsca następnemu.

Miasto, do którego Henry Morgan wracał teraz na swojej pięknej brygantynie było niczym

innym, jak pirackim imperium, a faktycznie prywatną warownią Morgana. Wyjątkowo zdolny

łajdak — czuły tylko dla kobiet i piesków salonowych — który ze swego przerażającego

okrucieństwa uczynił narzędzie polityki i w którym nienawiść do Hiszpanów zabarwiała krew na czarno — Henry Morgan szybko znalazł się na samym szczycie władzy.

Teraz rządził absolutnie, a gubernator Modyford tylko pobierał swoje honoraria. Podczas gdy świat hiszpański zrywał się na afronty, Port Royal stał się Port Pirate, gdzie bezczelność władzy, korupcja, chciwość i pogarda dla wszystkich poza silnymi zmieniły miasto w

odrażające miejsce krwawych porachunków, żądzy i pijackich wyczynów — w piekielne targowisko marności.

W ostrym świetle latarni zawieszanej na zardzewiałym wysięgniku nad szyldem tawerny

“Ucho Bukana” w Przystani Morgana przy falochronie, trójka mężczyzn wyglądała jak diabły wygnane z piekła i tak się też zachowywała. Mateusz Lawe, John Flowerdewe i młody Ben

Pannikin zafundowali sobie wszystko, czego ciało mogłoby pragnąć, a kieszeń wytrzymać.

Teraz byli trójką splukanych marynarzy, którzy dzięki litościwym oparom wina mogli jeszcze przetrwać miłą godzinkę przed całkowitym upadkiem.

Ubrania mieli poplamione, włosy jak wiechcie siana, a twarze złane potem w tę upalną noc.

Mateusz zgubił obcas buta, John Flowerdewe swój ukochany bandycki nóż (— To był prezent od mojej matki! — ryczał i wszyscy musieli mu wierzyć), a Ben Pannikin skórzaną sakiewkę z frędzlami — zapewniał, że była pełna, chociaż każdy wiedział, że nie było w niej ani

miedziaka. Siedzieli oparci plecami o wciąż jeszcze ciepłą ścianę falochronu z koralowego kamienia. Ziemia pod nimi kołysała się, a gwiazdy nad ich głowami wirowały. Byli pijani, ochrypli od śpiewów, członki mieli słabiutkie jak dzieci — i czuli się bardzo szczęśliwi.

Młody Ben Pannikin, który pił najmniej i najbardziej się mądrzył, zaczął się przechwalać ponad wszelką miarę. Wypił dziesięć wielkich kufli piwa! I mógł siedzieć wyprostowany jak grotmaszt, podczas gdy reszta marynarzy chrapała leżąc pod stołem! Odepchnął francuskiego pirata, ogromnego chłopca z dwoma pistoletami, i zmusił, by ustąpił mu z drogi. A co do



dziewcząt... jedna po drugiej padały i zasypiały chrapiąc, a on szedł do następnej! Prawdziwy tytan!

Dwaj towarzysze wtrącali swoje "Aha" do przemowy Bena, gdy wymagała tego sytuacja, albo mówili: "Naprawdę?" i "Dam głowę, żeś to zrobił!" Oni nie potrzebowali potwierdzenia swoich wyczynów, ale chłopak to chłopak, a dawanie wiary przyjacielowi nic przecież nie kosztuje.

Ben, zbawczo orzeźwiony świeżym powietrzem, spostrzegł szyld tawerny na przeciwległej stronie brukowanej ulicy. Nieznany artysta, który wymalował na nim emblemat "Ucha Bukana", musiał być człowiekiem o żywej wyobraźni lub rzetelnym pacykarzem nie biorącym pieniędzy za darmo.

Olbrzymie ucho piekące się na szpikulcu jaśniało jak w ogniu Hadesu; miejscami było przypalone na czarno, z innych, naderwanych części ciekła szkarłatna krew, jeszcze inne były dopiero lizane przez płomienie. Żaden widok palącego się ciała ludzkiego nie mógłby wywołać większego wrażenia.

— Co to oznacza, Mateuszu? — spytał Ben Pannikin po dłuższym przyglądaniu się szyldowi.

— Co oznacza co? — odpowiedział pytaniem Mateusz, niezbyt mądrze, i zaraz spróbował to naprawić. — Co znaczy: co to oznacza?

— To, co się smaży — odrzekł Ben wskazując na szyld tawerny.

— To ucho.

— Ale czemu? I co to ma znaczyć? Czemu się smaży?

Mateusz spojrzał na Bena osowiałym wzrokiem, myśląc, że żartuje,

ale chłopiec był naprawdę zaintrygowany. Wysiliwszy osłabły mózg zadał znów pytanie:

— Kto my jesteśmy, Ben?

—: Chodzi ci o nasze nazwiska?

— Nie... o to, czym się zajmujemy.

— Jak to... jesteśmy, rzecz jasna, piratami!

— Słusznie. Ale ten szyld nie mówi: "Ucho Pirata". Zastanów się.

— Korsarze — odpowiedział Ben po dłuższym namyśle.

John Flowerdewe, o którym myśleli, że śpi, ryknął głośnym śmiechem. — Dziewczynki bardzo by się zdziwiły, gdyby twój “korsarzyk” miał ucho.

—  
Mógłby wtedy posłuchać, czy zrobił bachora — dopowiedział Mateusz.

— Boże broń!

Teraz Ben Pannikin całkiem zgłupiał. — Nic z tego nie rozumiem.. — Wyglądało, że zaraz się rozplacze. Mateusz, jego mentor, znów przyszedł mu z pomocą.

— Pomyśl, jak jeszcze można nazwać nasz zawód?

—  
No, może być jeszcze bukanier... — Nagle twarz Bena rozjaśniła się jak latarnia nad drzwiami tawerny. Wskazał palcem na szyld i zawołał zdumiony: — Bukanier! Ucho

Bukaniera! Jak Boga kocham,

dobry żart! — Ale zaraz cała jego konstrukcja myślowa runęła.

— Tylko jaki w tym sens? Co to jest “bukan”?

Tu wtrącił się znowu John Flowerdewe. — Widzisz, chłopcze, to taki rodzaj pieca. Do wędzenia mięsa. Nigdy nie widziałem, jak się wędzi, ale kiedyś tubylcy tym się tutaj zajmowali.

— Ja raz widziałem — rzekł Mateusz. — Na Hispanioli. Nazywali siebie łowcami mięsa.

Brudasy, w szmatach przesiąkniętych krwią i tłuszczem. Upiekłbym i ch na ogniu równie chętnie jak mięso, które sprzedawali. Ale teraz ta nazwa przyłgnęła do nas. Bukanierzy. Rozumiesz, Ben?

— Przecież my nie pieczemy mięsa.

— Pożyjesz dłużej — westchnął Flowerdewe — a przekonasz się, że na Wybrzeżu wszystko jest możliwe.

Mateusz milczał. Widział już raz Henry'ego Morgana przypiekającego takie mięso: ciało

staruchy, która nie chciała zdradzić, gdzie ukrywa pieniądze: było to wtedy, gdy zdobyli Portobelo na wybrzeżu panamskim. Morgan posadził ją nago na kuchni i tak długo przypiekał, aż nie była w stanie powiedzieć cokolwiek. Tylko smród został po tym obrzydliwym

kuchennym wyczynie. Oszczędził jednak Benowi tej opowieści.

Zamiast tego dźwignął się z wysiłkiem na nogi i stanął kołysząc się na piętach jak łódź

okrętowa na wzburzonym płycie. — Brakuje nam ikry — i tó tak wcześniej! — powiedział. —

Który z was zatańczy?

Ponieważ żaden pirat nie dałby powiedzieć o sobie, że siedzi, kiedy może stać, albo że

siedzi spokojnie, kiedy może pobrykać, dwaj pozostali przyłączyli się do niego. Spróbowali horn-pipe'a\*, ale okazał się zbyt żwawy; a kiedy przyszło do wykonywania ruchów na-

śladujących ciągnięcie liny, ich kółeczko się rozpadło i każdy stał osobno chwiejąc się na nogach.

Nie lepiej poszło im z morrisem\*, który mógł być też zagranicznego pochodzenia, jak

poprzedni, tak obcy był im jego rytm. Ben Pannikin, zataczający się ze śmiechu, nagle

spoważniał i spytał:

— A znacie pawanę?

— Jasne — odparł John Flowerdewe prawie ze złością. — Znam pawanę tak dobrze jak

własną dłoń... Cóż to jest, u licha?... Imię dziewczyny czy coś do jedzenia?

— To taniec hiszpański, powolny... lepiej nam pójdzie.

— Jeśli donowie potrafią go tańczyć, to my też! Flowerdewe pochylił się w niskim ukłonie, co omal nie skończyło się pęknięciem spodni. — Madam Pannikin... proszę poprowadzić nas do pawany!

Ben, udzieliwszy dokładnych instrukcji, ustawił ich do majestatycznej hiszpańskiej

pawany, licząc: raz — dwa — trzy-hop!, jak sewilski nauczyciel tańca, którego matka na

chwile poddała się uściskom Kornwalijczyka. Trójka prostaków kręciła się po bruku nabrzeża, bardzo się starając, wykonując ukłony przypominające malaryczne drgawki dworzan, dygając jak dziewczuchy o drewnianych nogach. Przechodnie przystawali, żeby popatrzeć, pośmiać się i zachęcali do dalszych popisów.

Gdy Flowerdewe krzyknął: — Muzyka! Musimy mieć muzykę! Teraz ja będę seniorą! — z

podcieni "Ucha Bukana" wyszedł żebrak i zapiszczał na swoim nędznym instrumencie. Ale ten żebrak

znał cenę zaspokajania życzeń.

— Gwinea\*, panowie — zajęczał. — Gwinea za taką powolną pańską muzykę.

Mateusz bez słowa sięgnął do kieszeni i rzucił mu dwie sztuki złota. Piracka rozrzutność, jak piracka kłótność, nie czeka na argumenty. Wyszczrzywszy zęby żebrak podniósł datek i zaczął grać "My Lady Hawksbee's Round", lecz wolniutko, jakby stawy "mojej Lady

Hawksbee" nie reagowały ani na muzykę, ani na zabiegi medyczne. W świetle rozjarzonej latarni znowu ruszyli do pawany.

Dwie złote gwinee, niedbale rzucone przez Mateusza za granie na flecie, były ostatnimi, jakie mu zostały. Każdy członek załogi "Cambridge" zszedł na ląd z dwustoma hiszpańskimi ośmiorealówkami, wymienionymi przez miejscowe rekiny na pięćdziesiąt funtów angielskich.

Wydali wszystko w trzy dni.

To ta niepohamowana rozrzutność była tym, co wiązało ich wszystkich z Port Royal, gdzie nad żądzą krwi i skarbów, towarzyszącą im w morzu, brało górę pragnienie jak najszybszego wyrzucenia wszystkiego, co zdobyli odwagą i okrucieństwem, z chwilą gdy otwierał się przed nimi dostęp do dwóch równocześnie oferowanych towarów: alkoholu i kobiet. Młodszy

najpierw brali się za kobiety, jak byczki na pastwisku, potem pili wściekle, żeby znowu wrócić do rozpusty; starsi dłużej marudzili ciągnąc wino, żeby potem, z natury rzeczy, dłużej leżeć na dziewczynie.

Ale jedno łączyło ich wszystkich. Dawno temu Hiszpanie na Jamajce puścili wolno świnie

i konie, żeby zapewnić mięso dla swoich statków i zwierzęta pociągowe dla potrzeb transportu.

Teraz te zwierzęta, zdiczałe, grasowały po wyspie, kopulując jak króliki w szalonym tempie, a piraci szli za ich przykładem. Jeśli któregoś tak przypiliło, że musiał zrobić to na stojąco w rogu ulicy, mało kto zwracał na to uwagę — chociaż dobry przyjaciel mógł ta

kiemu potrzymać kord, gdy on zabierał się do roboty ze swoim sztyletem.

Tak więc na krótkie chwile burzliwej rozrywki z piekła rodem marynarze wydawali w

kilka godzin wszystko, co zarobili przez tygodnie i miesiące krwawej pracy i potu. Dla

Mateusza Lawe'a był to dobrze znany model życia ludzi morza, lecz apetyt piratów na takie życie zdumiewał go swoją zachłannością.

Na tej rozhuśtanej łodzi, którą można było abordażować natychmiast po powrocie, dniem

czy nocą, w tym gnieździe rozpusty mężczyźni niepohamowanie realizowali swoje marzenia, czy było to picie, czy dziewczęta, obżeranie się czy hazard, kupowanie błyskotek dla

dziewczyny ulicznej czy stawianie kolejki wszystkim obecnym w tawernie — i strzelanie do każdego, kto wzdragał się wypić do dna. Przesypiali się w brudzie i zaduchu, żeby zbudziwszy się, wygłodniali, wrócić do tych swoich rozrywek, aż zostawali bez grosza w kieszeni.

Na każdym kroku byli podle oszukiwani; pijanych można było obrabować w ciemnościach

tuż za drzwiami tawerny albo opróżnić kieszenie ich spodni, kiedy zdjawszy je zabawiali się na stryszku. Ale robiono to z umiarkowaniem. Piraci zdawali sobie sprawę ze swoich szaleństw i nawet się nimi pysznili, lecz potrafili zemścić się straszliwie, gdy uznali, że żądana od nich cena była zbyt wysoka.

Jawny rabunek był zastrzeżony dla piratów. Niech szczury lądowe mają się na bacności!

Pechowa grupka takich szczurów dostała lekcję na tydzień przed odpłynięciem

“Cambridge” na holenderskie wody w okolice Curaçao.

“Feniks”, tawerna na skraju Hiszpańskiego Miasteczka, gdzie kształtne Kreolki rozkładały swój towar szeroko jak sieć świętego Piotra, była od dawna przedmiotem mściwych

pomruków wśród piratów. Właściciele “Feniksa”, niezadowoleni z rozkwitu tawern w mieście, opracowali własne metody zaspokajania swojej sępiej żądzy łupów: legalne zyski powiększali nie domierzając wina, zatruwając jedzenie dodatkami powodującymi skurcze żołądka, stosując jawny rabunek na progu własnego lokalu i sprytnie oszukując przy hazardzie.

Protestująca ofiara mogła zostać wyrzucona za drzwi, uderzona w głowę albo

potraktowana jeszcze gorzej, jeśli tylko dała się zwabić w odosobnione miejsce. Młody

marynarz z brygu “Clementine”, ulubieniec swoich towarzyszy, skończył z poderżniętym gardłem w rysztołu, bo ośmielił się zakwestionować rachunek; słyszano, jak odrażająca

dziewucha, która doprowadziła do tego, że skończył w taki sposób, przechwalała się, że zarobiła gwineę nie zadawszy sobie nawet trudu zadarcia spódnicy.

Jakby jakaś tawerna w Port Royal nie zbierała i tak dość dużych zysków!... Uznano, że

“Feniks” przebrał miarkę. Szybko zawiązała się grupa mścicieli, idiotycznie nazwana — zgodnie ze swoim zadaniem

— Dobroczynną Piracką Brygadą Pożarną. Ich dobroczynność kończyła się na ich nazwie.

W ustaloną noc po dziesięciu marynarzy z pięciu statków Morgana zabrało się przebiegle do dzieła. Zbrojna straż skłoniła do opuszczenia tawerny wszystkich, z wyjątkiem dwóch

braci, którzy byli jej właścicielami, a także ich służby, ochrony, ich krewnych i tych, co — jak wiadano — z nimi trzymali. Następnie zamknięto i zabarykadowano drzwi, pod każdymi stawiając wartę z muszkietami, i podpalono cały burdel, od progu po strych.

Setka piratów tańczyła wokół wesoło trzaskających płomieni, za muzykę mając mrozące krew w żyłach krzyki i szalone walenie w drzwi i ściany, brzmiące jak pogrzebowe werble.

Nieszczęśników wyskakujących z wyżej położonych pokojów i z dachu zabijano w locie kulami muszkietów lub zarąbywano w trakcie ucieczki. A gdy wszystko ucichło i trzaskające płomienie odśpiewały swoje requiem, piraci zaczęli rzucać w tłum garście gwinei. Ich złoty deszcz mieszał się z wirującymi iskrami z pożaru.

Wydawało się, że każda moneta głośno i wyraźnie przekazuje posłanie: "Nie jesteśmy ludzie źli, a tylko sprawiedliwi. Pamiętajcie o tym!"

Rano nie było już "Feniksa" — nie zostało po nim nawet jedno przypalone piórko.

Dopalające się resztki drewna rozrzucono, zebrane kości powiązano w pięćdziesiąt wiązek i pogrzebano w zwykłym dole. Przeniósłszy się jako klienci gdzie indziej, piraci mogli być pewni, że dużo czasu upłynie, zanim ptak tego samego gatunku powstanie z popiołów, aby zająć miejsce poprzednika.

Na ten gwałt gubernator Thomas Modyford zareagował, czego się obawiano, surowo i szybko.

"Kaźda tawerna ma mieć w każdym z publicznych pomieszczeń napełnione wodą wiadro na wypadek pożaru. Kara — pięć szylingów!"

— Boże! — westchnął Henry Morgan. — Ten człowiek zabije nas swoją surowością!

Tańczący hiszpańską pawanę zaczęli słabnąć, nie tyle z powodu zmęczenia, co z nudy.

Początkowy entuzjizm musiał opaść po dwudziestu minutach podskakiwania w monotonnym rytmie, tym bardziej że i grający na flecie zamilkł między jednym trylem a drugim. Gdy zaczęli szukać go wzrokiem, ujrzeli tylko błysk latarki i puste po nim miejsce. Tłumek rozszedł się, zostawiając trzech tancerzy, którym przeszła ochota do tańca.

— Gdzie się podział ten przeklęty hultaj? — zapytał John Flower-dewe, nagle z dobrego nastroju wpadając w ponurą złość, co różniło pirata od trzeźwiejszego obywatela. —

Zapłaciliśmy mu złotem!... Jak

Boga kocham, niech no tylko go złapię, a wsadzę mu jego flet tam, gdzie będzie grał tylko dolne nuty!

Krzyczał groźnie, jakby abordażowa! statek, ale gdy towarzysze zaczęli się śmiać,

zapomniał o przyczynie gniewu i cieszył się tylko ze swego dowcipu. — Dolne nuty! —

powtórzył i mocno trzepnął się po biodrach. A potem dodał: — I co teraz? Jeszcze jeden

dzbanek wina za nasze trudy?

Taniec i chłodna bryza nocna, prezent od morza dla rozpalonego lądu, orzeźwiły całą

trójkę. Ale nie byli już marynarzami, co rzucają pieniędzmi i mają świat u stóp.

— Owszem, jak będzie za co — odparł Mateusz Lawe. — Ale to były dwie ostatnie gwinee

w mojej kieszeni. Który z was ma złoto?

— Wzruszył ramionami. — A może srebro? Albo sznurek muszli od dzikusów?

— Ja nie — rzekł Ben Pannikin. I pomyśleć, że miałem w sakiewce dwadzieścia funtów,

kiedy ktoś mi ją zwędził!

Flowerdewe wsunął dłoń do kieszeni spodni. — Mam gwineę

— oznajmił. — Ale chowałem ją na nowy nóż... Co tam! Wystarczą mi zęby i pazury, póki

nie zdobędę noża. — Podniósł wzrok na szeroki fronton "Ucha Bukana". Dolne okna jaśniały wesoło, a gwar głosów kazał się spodziewać dobrej kompanii w środku. — Kiedy wydamy

ostatnią gwineę, przekonamy się, jacy przyjaciele zostali nam na świecie!

W "Uchu Bukana" znaleźli tylu przyjaciół co pcheł, ale mało który był bogatszy od nich.

Marynarze z "Cambridge" i innych statków, które stały w porcie niecały tydzień, mogli się teraz tylko przyglądać temu, co niedawno sami robili z taką dumą. Siedzieli z opuszczonymi rękami w kącie knajpy, z lubością sącząc resztki piwa, którego tak niedawno pełne były ich kufle, podczas gdy inni marynarze, siedzący blisko kominka w jasnym świetle latarni, jeszcze będący przy pieniądzach, stawiali kolejki swoim towarzyszom.

Chociaż dziewcząt było do woli, nie kwapiły się siadać na kolana biedaków bez grosza i

nie głaskały ich po opróżnionych ze złota kieszeniach spodni. Dziewczyny doskonale wyczuły ich sytuację. Marynarze z "Cambridge" wypadli z ich rachuby.

I tak będzie, póki ich statek nie odpłynie. Gdy wróci, załoga będzie miała złoto na kupowanie ich fałszywych łask. Tak było z Mateuszem Lawe'em i Benem Pannikinem, i Johnem Flowerdewe'em, i kucharzem Berrymanem, i Jackmanem, i Pardewem z obsady śródokręcia, ze sternikiem kapitańskim Bracegirdle'em i z Oliphantem, słynnym mistrzem w mocowaniu się na rękę, i z Brantem, dokuczliwym członkiem obsady grotrei, i z pół tuzinem innych porządnych chłopaków —siedzieli, gapili się i daremnie pragnęli, aby to było wczoraj albo jutro.

W tym momencie zobaczyli coś, co bardziej było warte popatrzenia. Berryman szturchnął Mateusza Lawe'a i wskazał w tamtą stronę.

— Dobry Boże! Wzięli w obroty Mary Dziurkę!

— Co to znaczy mieć pieniądze!

Jeszcze wczoraj oni sami karmili Mary Dziurkę jej ulubioną strawą. Teraz, biedni jak myszy kościelne, musieli z daleka obserwować, jak demonstrowała swoje umiejętności przed innymi hojnymi patronami.

Mary Dziurka — to imię, brzmiące bluźnierczo\* w uszach Hiszpanów, wymyślił Henry Morgan, usłyszawszy o jej sztuczkach

— była rosłą i silną Mulatką o intensywnie żółtej skórze, podobnie zdradzającą swymi cechami mieszane pochodzenie jak muł hiszpański. Trudniła się nierządem, a do tego popisywała pewną specjalną sztuczką, pobudzającą wyobraźnię obserwatorów, tak jak śpiewak może na krótko zdobyć publiczność i mieć dobry sezon, a złośliwa zaraza zapełnić cmentarze.

Potrafiła podnieść ze stołu złotą monetę — innych nie uznawała

— bez pomocy rąk, nóg, palców dłoni i stóp, warg czy jakiegokolwiek innego sposobu chwytania, poza jedynym, który stosowała.

Miała to zrobić teraz, w jasnym świetle latarni, dla uciechy właściciela monety i zaprzątnięcia lubieżnych myśli wszystkich obecnych w tawernie. Odziana tylko w strój roboczy — zwykły fartuch noszony przez wszystkie obsługujące klientów dziewczyny—żeby nic poza nim nie skrywało jej talentów, podeszła do rogu stołu, gdzie położono sztukę złota.



Uniosła z szykiem fartuch i przykryła monetę. Jej usta rozciągnął uśmiech zadowolenia

komunikujący coś wszystkim, którzy ją obserwowali. Nastąpił moment oczekiwania, podczas którego jej zadek mocno przywarły do stołu wykonywał tajemniczy ruch chwytania. Potem

wydała okrzyk triumfu, a towarzyszyło mu dziwne klaśnięcie tych drugich, szczodrych warg, które dane było oglądać tylko kilku cieszącym się specjalnymi względami.

Zeskoczyła ze stołu. Fartuch znów opadł, ale moneta zniknęła

— zostało tylko dumne z siebie śniade ciało. Widzowie aż westchnęli z podziwu, a potem

rozległy się burzliwe okrzyki na cześć dziewczyny. Przedsiębiorcza Mary Dziurka

zainkasowała swoje honorarium.

Marynarze z "Cambridge" zareagowali w różny sposób. U większości oglądana scena

wybitnie pobudziła męskość. Inni, uznawszy to, co widzieli, tylko za sztuczkę, spierali się co do sposobu jej wykonania

— może dziewczyna posłużyła się sprytnie ukrytą pułapką na myszy; jeszcze inni żalowali złota, które powinno raczej pójść na zaspokojenie ich męskiego pragnienia, a nie kobiecej zachcianki Mary Dziurki.

Ben Pannikin zamruczał sennie: — Chciałbym, żeby takie jajka zносиła dla nas, zamiast

wysiadywać je dla siebie. — Zupełny brak pieniędzy zwarzył humory ich wszystkich, jak

nagły mróz rośliny... John Flowerdewe był najbardziej zdecydowany zaradzić tej niegodnej sytuacji.

— Do licha, chętnie poszukałbym tej sztuki złota!

— Za szukanie musiałbyś zapłacić tyle samo — zauważył kucharz Berryman — a wtedy

straciłbyś podwójnie.

— Mimo to... — John Flowerdewe potoczył po nich wzrokiem. — No dalej... czy jeszcze

ktoś coś ma? — zapytał.

Zwyczajem marynarzy w takich sytuacjach wywrócili kieszenie i ułożyli na stole stosik

monet. Był żałośnie mały, bardziej przypominający rezultat wielkopostnej zbiórki na Kościół

niż na noc w "Uchu Bukana". Mateusz Lawe policzył pieniądze.

Jedna gwinea. Pół gwinei. Sześć srebrnych pesos. Kilka czteropen- sówek niewiadomego

pochożenia. Holenderski gulden przestrzelony w środku. Zliczył to wszystko na palcach. —

Powiedzmy, trzy funty.

— Starczy na dziewczynę — orzekł Flowerdewe. — I to niezłą, silną sztukę.

— Ale kto ją dostanie? — zapytał podejrzliwie Oliphant i wskazując palcem dodał: — To moja gwinea! Czy ma pójść na kupienie przyjemności dla was?

— Jak się dobrze potargujemy, to wystarczy na przyjemność dla wszystkich.

— Co?... trzy funty na ośmiu chłopca — spytał ironicznie sternik Bracegirdle. — Za tyle nie kupilibyśmy nawet psiego ścierwa! A poza tym kto będzie pierwszy? Nie chcę po was mokrego pokładu!

— Moglibyśmy ciągnąć losy.

— Dziewczyna weźmie pieniądze i wyśmieje nas.

— Zobaczymy. — Flowerdewe, najbardziej z nich zdeterminowany, walnął w stół pustym kuflem po piwie. — Właścicielu, chodź no tu na słówko!

John Flowerdewe miał styl i potrafił wzniecać postrach, ale jedno i drugie na nic się nie zdało. Właściciel tawerny, usłyszawszy, że chcą, aby jedna dziewczyna obsłużyła ich

wszystkich za trzy funty angielskie, najpierw potraktował to jako żart. Potem próbował

przemówić im do rozumu, a gdy to się nie udało, odmówił rozdrażniony. Twierdził, że w

swoim personelu nie ma takiej dziewczyny. Nawet nie poprosi żadnej o to, żeby jej nie

obrazić... Za trzy funty jeden mógłby mieć dziewczynę, owszem, bardzo proszę. Może dwóch.

Ale ośmiu...

— Byliśmy dobrymi klientami—przypomniał mu Mateusz Lawe.

— Zgadza się, sir. Dziękuję. I przychodźcie znowu!

—

Ale dziś nie chce pan naszych pieniędzy? — zapytał wyniośle Flowerdewe.

— Chcę, sir. — Właściciel nie miał zamiaru spierać się z człowiekiem o reputacji zabijaki.

Nie chciał też wkroczenia Dobroczynej Pirackiej Brygady Pożarnej. — Bardzo proszę, wydajcie je tutaj.

— Skubiąc palcami podbródek ciągnął:—Ale na wino albo mięsiwo... Za trzy funty, powiedzmy, pięć butelek najlepszej madery. Albo, jeśli wolicie, rumu, który sam świeżo wyprodukowałem.

— Wybieramy dziewczynę.

■— Wino będzie lepsze dla szanownych panów.

— Kto tu ośmiela się mówić, co będzie dla nas lepsze?

Mateusz wtrącił się do sporu. — Osiem butelek mocnej madery

— rzekł. — Po jednej dla każdego.

— Chcecie mnie zrujnować? — jęknął właściciel.

— Tak! — zawołał nagle Ben Pannikin. Podniósł się, zachwiał i niechlubnie zwałił się pod stół.

Kr Siedem butelek — rzekł właściciel — zręcznie chwytając okazję do kompromisu.

— Niech będzie... Idź pan po nie.

— Pozwalasz mu nas oszukać? — zachnął się Flowerdewe, gdy właściciel się oddalił.

— Lepsza na koniec butelka dobrego wina — odparł Mateusz ■— niż dziewczyna, co zacznie się drzeć, że ją mordują, zanim połowa z nas zrobi swoje.

— Jak nie będzie najlepsze, jakie ma w tawernie...

Ale wino było dobre, a rząd siedmiu lśniących butelek, po jednej na głowę, nie licząc śpiącego chłopaka, wystarczył, żeby humory im się odmieniły i żeby po ich opróżnieniu opuścili lokal, wymachując przyjaźnie rękami w odpowiedzi na życzenia szczęśliwego

powrotu. Wytoczyli się w chłodne powietrze nocy i śpiewając pieśni o miłości i śmierci ruszyli ku "Cambridge". Jak przystało na przyjaciół, posuwali się w zwartym szyku i gdy któryś padał, dźwigali go na nogi, a kiedy Ben Pannikin nie był w stanie iść dalej, Flowerdewe wziął go na swoje szerokie plecy i poniósł triumfalnie.

Wróciwszy na statek bez złamanego grosza w kieszeniach musieli zadowalać się niewielką

ilością piwa i jeść suchary jeszcze przed wyjściem z portu. Pieniądze uzyskane za cerię ran i pogruchotanych kości, które mogły wystarczyć na kupno domku w Devon albo przyzwoitego flibota, będą musiały być zdobywane od nowa.

Taka to była noc w Port Royal.

Sternik kapitański Bracegirdle, z głową ciężką po nocnej pijatyce, czekał u dołu trapu wiodącego do przejścia burtowego na pojawienie się u końca nabrzeża zdobnego w herby powozu gubernatora Thomasa Modyforda. Dojrawszy go, odwrócił się i rzucił ostrzeżenie

Mateuszowi Lawe'owi, a potem obaj stali słuchając głośnego dzwonienia po kocich łbach

żelaznych obręczy czterech kół i stukotu kopyt czterech popędzanych batem koni. Spędziwszy trochę czasu na łądzie w towarzystwie wicekróla, Henry Morgan wracał objąć dowództwo, nie dbając, czy ktoś został powiadomiony o jego powrocie.

Wśród głośnych wołań służby w liberiach, strzelania z bata, szczekania i podskoków

łaciatych psów i przepychania się półnagich dzieciaków powóz stanął, drzwiczki się otworzyły i wysiadł z niego Morgan. W słońcu zaśnił jego strój, bogaty w ozdoby i barwny jak pióra rajskiego ptaka. Dobiegające z wnętrza powozu kobiece wołania, życzące szczęśliwej drogi, przełomy błysk jedwabnych falban i pocałunki składane przez niego na wyciągniętych

dłoniach świadczyły, że odeskortowano go jak należało. A potem Morgan ruszył ku swojej brygantynie i znowu był kapitanem.

Mateusz Lawe, jego zastępca, zasalutował i kazał Benowi Pan- nikinowi zabrać bagaże. W

kajucie dowódca usiadł w fotelu, wyciągnął długie nogi i odchylił głowę na wygięte oparcie.

Jego oliwkowa twarz była zmizerowana i Mateuszowi mógł powiedzieć, dlaczego.

— Zostań ze mną, Mateuszu — rozkazał. — Jesteś mi potrzebny. Ale jeszcze bardziej potrzeba mi wina! Gardło mam wyschnięte na wiór. — Wziął do ręki karafkę trzymaną w pogotowiu przez Mateusza i na pół ją opróżnił jednym potężnym haustem. — Uff, to mnie częściowo postawiło na nogi. Gdybyś tak miał lekarstwo na wykurowa- nie reszty.

Mateusz uśmiechnął się. — Czas jest na to jedynym lekiem. Kapitan przytaknął ruchem

głowy. — Jeszcze mnie nigdy nie zawiódł. Ale może nadejść dzień, kiedy nie potrafię już nadrobić całego straconego snu... ani znowu napełnić mojej studzienki.

Henry Morgan nie robił tajemnicy ze swoich amorów i załoga uwielbiała go za to.

Wiedzieli, że potrafi jednego dnia wziąć szturmem statek, a następnego wielką damę i

ciekawie byłoby wiedzieć, czyje żagle zostały szybciej opuszczone... Morgan nie zabawiał się z płatnymi dziewczuchami, lecz miłość uprawiał z rozmachem, a często z żarłocznym apetytem.

Połowa mężów dobrze urodzonych kobiet w Port Royal nie mogła być nigdy wolna od dręczących wątpliwości,

a druga połowa — oddając mu to co najlepsze w świecie rogaczy — mogła tylko pokaszliwać znacząco przechodząc w swoim domu z pokoju do pokoju.

Mateusz nie zdziwiłby się słysząc, że Morgan zdążył szybko się zabawić w kołyszącym się, zasłoniętym firankami powozie po drodze między rezydencją gubernatora a nabrzeżem.

Dziesiąta rano była godziną równie dobrą na to jak każda inna, a dziesięć minut nie za mało dla zdrowego mężczyzny i pięknej kobiety, obojga ogarniętych jednakowo wściekłym pożądaniem.

Morgan dopił wino w wolniejszym tempie i gestem odmówiwszy następnej karafki, gwałtownie wyprostował się w fotelu.

— No dobrze. Koniec zabawy. I wina też dosyć. Dziś rano muszę przemówić wyjątkowo sensownie. Czy wszystko gotowe do narady u mnie?

— Tak jest, sir. Osobiście przekazałem wiadomości i odczekałem na odpowiedzi. Kapitan Ladberry ma atak zimnicy, ale obiecał, że przybędzie.

— Jeśli o mnie idzie, to może mieć galopujący syfilis—powiedział szorstko Morgan — byle mnie nie zaraził i byle wypłynął swoim statkiem na czas.

Mateusz zapytał nieśmiało: — Czy to jest wielki plan, sir?

— Tak. — Morgan wstał nagle i przeciągnął się, dłońmi dotykając niemal desek pokładu nad głową. — Niedługo dowiesz się tyle, ile trzeba. Krótko mówiąc, skończyłem z zabawą w piratów. Wkrótce wyruszymy na podboje. — Przerwał na tym złowieszczym słowie. —

Teraz... przyślij tu Berrymana z gorącą wodą. Muszę pokazać się światu z umytą twarzą. I przyprowadź do mnie kapitanów, gdy tylko przybędą na pokład.

— Tak jest, sir... Czy będę mógł zostać na naradzie?

— Tak. — Morgan uśmiechnął się uśmiechem, który zjednywał mu marynarzy i stapiał

serca kobiet.—Mogę potrzebować przyjaciela, gdy do ich mózgów dotrze już to, co mam im do powiedzenia. Ale przełkną to wszyscy, co do jednego, nawet jeślibym musiał wbijać im to do łbów artyleryjskim stemplem!

Rzeczywiście, był znowu dowódcą.

Przybywali na statek pojedynczo i po dwóch: zagorzali żeglarze, buńczuczni tyrani,

dandysi w trzewikach z długimi noskami, chłopcy nie domyte, z jedną ręką obciętą i

pokiereszowanymi twarzami, mężczyźni o wściekłym spojrzeniu tygrysów lub łajdacy z

obłudnym uśmiechem na wargach. Kapitanowie Henry'ego Morgana, którzy doszli do swoich

stanowisk metodami zdolnymi wbić w dumę diabła, mieli różne pochodzenie, ale jedną

wspólną cechę.

pvxejr0&\*5 MONSARRAT

Nie było wśród nich ani jednego, który nie zabiłby bez chwili namysłu dla zysku czy

rozrywki; żadnego, który nie zdradziłby innych synów swojej matki albo jej samej dla

zaspokojenia własnej drobnej zachcianki.

Łączyło ich również to, że uznawali Henry'ego Morgana za swego admirała, polegali na

jego udowodnionych umiejętnościach, bali się jego krwiożerczego usposobienia i nie

odważyliby się wystąpić przeciw niemu, chyba żeby jakiś tchórz spoza ich grupy zadał mu wcześniej ciężką ranę. Do czasu takiej sprzyjającej chwili walczyli

o zachowanie swojej pozycji w zawodzie, któremu każdego dnia

1 każdej nocy towarzyszyła śmierć przez zaskoczenie, zdradę, z ran albo z choroby.

Usłyszawszy, po co zostali wezwani, i zapoznawszy się z planem admirała, poczuli, że

śmierć stanęła jakby bliżej każdego z nich.

Wystarczyło kilka mocnych słów Henry'ego Morgana, aby przewrócić do góry nogami

cały ich piracki świat. Siedząc w swobodnej pozycji u szczytu stołu, z kapitanami

usadowionymi po obu stronach, jak pilne uczniaki, zaproponował przedsięwzięcie tak odległe od ich ambicji, jak barkas różni się od flagowego okrętu Anglii. Powiedział, że jego plan polega na zgromadzeniu uzbrojonej floty — złożonej z ich statków — i wyruszeniu na

południe w celu dokonania napadu na przesmyk Darien i odebrania Hiszpanom miasta

Panama.

Stamtąd będą mogli robić wypady na Pacyfik i z pełną swobodą płądrować hiszpańskie statki handlowe.

Jeszcze nie zdążyli przełknąć pierwszego łyku tego zapierającego dech odwaru, a już

Morgan zaczął przekonywać ich gwałtownie do swego planu.

— To, co teraz robimy, to rzecz zbyt łatwa — zaczął. ||| Toczmy naturalnie ostre walki, tu i ówdzie zdobywamy jakiś statek. Czasem trafi nam się bogaty przyz, z którego żyjemy, aż jesteśmy zmuszeni znów wypłynąć. Ale to dziecinna zabawa w porównaniu z tym, co da się

osiągnąć dzięki mojemu wielkiemu planowi. Jeżeli zdobędziemy Panamę — a ja ją zdobędę!

— będziemy mogli atakować wszystko, co hiszpańskie, na tamtych wodach. Uderzył pięścią w mapę rozpostartą przed nim na stole. — Na Pacyfiku leży bogaty ośrodek hiszpańskiego

handlu—bogaty i słaby. Są tam kopalnie złota, kopalnie srebra, klejnoty ze wszystkich ich sprzedajnych katedr, podane jak na tacy; bydło, skóry, konie, niewolnicy, drogie kamienie, jakie trudno nam sobie wyobrazić. To nasz przyz i możemy mieć go na zawsze, jeżeli go

zdobędziemy. Popatrzcie na mapę! Darien to tylko wąska szyjka lądu, z jedynym miastem,

Panamą, leżącym na nim jak czyrak, jak pryszcz na skórze starca. Przydusimy tę szyjkę, przekłujemy czyrak, a potem zrobimy z trupem, co zechcemy. — Zrobił

ŻEGLARZ

przerwę na głęboki wdech. — Taka jest moja wola, wszyscy panowie kapitanowie, i tego

dokona nasza flotyła przed upływem dwóch miesięcy.

Zapadło milczenie. Morgan potoczył spojrzeniem po zebranych, a jego oczy zwięziły się do budzących strach szparek, jak groźne furty strzelnicze maskujące jaskrawe łotrństwo. Było dla niego jasne, że zaskoczył ich czymś, co nie wszystkim było w smak. Natomiast słuchający pojęli równie jasno, że kapitan Morgan uczynił coś więcej niż przedstawienie im swego planu.

Wydał im też rozkazy.

Trzeba byłoby człowieka wielkiej odwagi, żeby będąc przeciwny, dał temu głośny wyraz.

Lecz odwaga, choć swoiście pojmowana, cechowała wszystkich siedzących wokół stołu, i gdy Morgan powiedział: — Chcę usłyszeć waszą opinię — otrzymał bezzwłocznie odpowiedź.

Pierwszy odezwał się kapitan Ladberr, najstarszy w tym gronie, który, jak mówił

Mateusz, był chory na zimnicę. Mogło tak być, jeśli pożółkła twarz i drżące, pożyłkowane dłonie były wystarczającym świadectwem. Ale duch w nim nie zadrżał ani serce nie pożółkło, gdy zakwestionował plan Morgana.

— To odważny plan — zaczął swoim wątlym głosem, modulując go tak, aby słowo

“odważny” jakby raczej dotyczyło jakiejś głupiutkiej, odzianej w koronki kobiety lekkich obyczajów niż ataku na Panamę. — Ale czy to jest plan dla nas?... — kącikiem oka powiódł

znacząco po kręgu kolegów — to inna sprawa. Jesteśmy piratami i doskonale sobie radzimy na tutejszych wodach. Jesteśmy zdobywcami statków, a nie lądów. Co do mnie, ośmielam się

powiedzieć, że nie chcę ani Panamy, ani Darien, ani stopy tego śmierdzącego Wybrzeża

Moskitów. Wszyscy i tak pomrzemy dość wcześnie bez insektów wysysających z nas ostatek

krwi. Powiadam, niech sobie Hiszpanie mają Panamę. My, bractwo tego Wybrzeża, mamy

wszystkich potrzebnych nam wrogów tu, w naszym miejscu pracy.

Nawet jak na starszego kapitana Ladberr wygłosił odważną mowę przeciwko

“odważnemu planowi” Morgana. Ale jak wielu ludzi słabej postury, idąc przez życie narobił

sobie więcej wrogów niż przyjaciół i nie był typem rzecznika, który porwałby za sobą

towarzyszy. Któryś z kapitanów mruknął: — Wiemy, że jesteśmy piratami i nie potrzebujemy, żeby nam mówiono takie oczywiste rzeczy. Jeśli na Pacyfiku możemy mieć jakąś nową

zabawę, to pływamy tam, i do diabła z Hiszpanami!

Morgan, który marszczył brwi podczas przemowy Ladberr'ego, uśmiechnął się na te

zadziorne słowa. Ale zmarszczka powróciła, gdy inny kapitan, Prince z brygantyny “Charles”, też dał wyraz swoim wątpliwościom.

— W tym planie jest coś więcej niż nowa zabawa — zaczął

cierpko. Mamy w nim do czynienia z ludźmi biorącymi albo mającymi brać szturm miasta i oceany. Zabawa jest dla dzieci.



— Nie jestem dzieckiem! — zachnął się wykpiony w ten sposób kapitan, faktycznie

najmłodszy z zebranych.

— Więc nie gadaj o Pacyfiku tak, jakbyśmy mieli puszczać papierowe łódki na stawie.

Dowódcy z flotyli Morgana nie bardzo się lubili między sobą. Stary Ladberry uważał, że choćby ze względu na długi staż służbowy powinien zająć miejsce Morgana jako admirał;

natomiast Prince był I zdania, że Ladberry to żalosny stary dureń, któremu nie można by nawet powierzyć ęki na strudze poruszającej młyn wodny. Ale obaj byli gotowi zaatakować

kapitana Harrisona, tego, co wspomniał o "nowej zabawie", pijaczynę i młodego fanfarona, odważnego po alkoholu jak lew, a pustego jak dzban, gdy zostawał wystawiony na próbę.

Tylko dzięki swemu geniuszowi Morgan mógł rządzić takim gniazdem orłów, sikorek i kukulek.

— A więc plan przewiduje zdobycie miasta Panama — ciągnął Prince — czyli otwarcie

dostępu do drugiego oceanu i możliwości buszowania po nim. Po co nam takie plany? Mamy już swój ocean, a wciąż nie panujemy na nim tak, jak powinniśmy. — Spojrzał przebiegle na

Morgana. — Wiem nawet, że są Holendrzy, do których nie dotarły jeszcze wieści o naszych rządach. Po co mielibyśmy narażać nasze statki na nowe niebezpieczeństwa, przeobrażać

naszych marynarzy w oddziały oblężnicze, piechotę i załogi garnizonów o tysiące mil od

domu? Powiadają, że szewc powinien pilnować swojego kopyta. Nigdy nie słyszałem, żeby

pirat zamieniał się w żołnierza piechoty!

Morgan, którego nie cechowała zbytnia cierpliwość, poczuł się do tego stopnia dotknięty nawiązaniem do holenderskiej pinasy, która uszła przed nimi, że przerwał swe milczenie.

— Jeśli masz stracha, to uznamy "Charlesa" za jeden statek stracony dla flotyli, a kapitana Prince'a za nie wartego połowy swego nazwiska!

— Nie mam stracha. — Prince znał wartość zimnej krwi, gdy inni byli gotowi wybuchnąć.

— Popłynę do Panamy, jeżeli wszyscy przyjmimy ten plan. Popłynę do samego piekła, jak

potrafisz wykazać mi korzyść z tego. Czego n i e zrobię, to nie dopuszczę mojego statku do udziału w jakimś szalonym przedsięwzięciu, gdy każe nam się powiedzieć "tak", jak gromadce marionetek nie mających swojego zdania czy niezdolnych do samodzielnego myślenia.

Młody kapitan Harrison odezwał się gwałtownie: — Jeśli jest w nas zapał, to możemy powiedzieć “tak” bez liczenia się z kosztami.

Kapitan Prince miał dosyć Harrisona.—Niejedna dziewczyna dała posłuch takim odważnym zapewnieniom i skończyła mając w brzuchu coś więcej niż zapał!

Gruby żart wywołał śmiech i podziałał jak balsam na urazy utrudniające ich rozmowę.

Chociaż Henry Morgan wciąż się zżymał z powodu krytycznej uwagi na temat jego dowodzenia, w naradzie uczestniczyli inni pragnący, aby było w niej więcej rozsądku, a mniej wzajemnych pretensji. Każda pchła może ukąsić; każdy ukąszony będzie drapać. Ale rozmawiali albo powinni rozmawiać o największym przedsięwzięciu ich życia i najniebezpieczniejszym. A to zasługiwało na coś więcej niż bombastyczne piwiarniane przechwałki.

Jednym z takich umiarkowanych ludzi, myślących tymi kategoriami, był Davy Morris, ziomek Morgana, którego nie można było oskarżać o tchórzostwo czy brak lojalności. Kapitan Morris, którego chrzestne imię zdrabniano — choć nie w jego obecności — na Taffy\*, nie chciał wprowadzać nikogo w zakłopotanie ani komukolwiek się sprzeciwić. Chciał po prostu wiedzieć.

— Gdy napadniemy na Panamę — zaczął i był pierwszym, który powiedział “gdy”, zamiast “jeżeli” — jak zajmiemy to miasto? To jest tamtejsza hiszpańska stolica i musi być dobrze ufortyfikowana. Mówią, że to siedziba prezydenta prowincji, a prezydent ma wojsko pod swoimi rozkazami. Ile oddziałów? Jak je ominiemy? Jak wdrzemy się na mury? Czy zabierzemy działa ze statków? I co będziemy jeść maszerując? Czy planujesz tabor mułów z zaopatrzeniem? — Taffy Morris nagle się uśmiechnął. — Kapitan Ladberry od razu powiedział, że jesteśmy tylko marynarzami — i Bogu dzięki, że to prawda. Powiadam, Bogu dzięki za Marynarkę Wojenną! Bukanierzy potrafią zrobić wszystko! Ale jak my zabierzemy się do tego?

Kapitan Morgan drgnął, usłyszawszy ostatnie słowa, i wyglądało, że jest gotów dać na nie odpowiedź. Mateusz Lawe, obserwujący go uważnie, poznawał objawy i zastanawiał się, ku czemu skłoni się nastrój kapitana. Wywołane gniewem najgorsze zamiary walczyły w nim z chęcią zapanowania nad swoją trzódką w jakiś łagodniejszy sposób. Chociaż zgiętymi palcami

błądził po koronkowej kryzie u szyi, jakby spowijała gardło wroga, jeszcze nie składały się one ani w dłoń kata, ani kochanka.

W dusznej, nagrzanej kajucie "Cambridge" nie było nikogo, kto by sam nie miał okazji się przekonać albo nie słyszał o słynnej dwoistości charakteru Morgana, powodującej, że zależnie od przelotnego kaprysu jego jeńcy mogli zostać rzućeni rekinom na pożarcie, powieszeni na noku rei czy też oszczędzeni dla okupu albo nawet puszczeni wolno ze śmiechem

towarzyszącym dobremu humorowi.

Kostka została rzucona i kapitan Morgan przemówił.

— Dobrze jest usłyszeć w końcu kogoś z ikłą — zaczął swoim śpiewnym głosem — po tym żalonym biadoleniu... Jeśli idzie

o planowanie, inwazję i marsz—mniej niż czterdzieści mil spacerkiem w słońcu — możecie

zostawić to mnie. Zamierzam zgromadzić największą liczbę statków, jaka kiedykolwiek

wyłynęła z Port Royal — może czterdzieści, a ludzi jakieś dwa tysiące... Wy jesteście tylko wierzchnią śmietanką w tej maselnicy! Pamiętajcie o tym utyskując na niebezpieczeństwa i ryzyko... Co do opanowania miasta Panama, nie będziemy go ostrzeliwać z dział ani

szturmować bezpośrednio. Zamiast tego zastosujemy kilka forteli. — Potoczył wokół

spojrzeniem i, o dziwo, jego wzrok zatrzymał się na Mateuszu. — Pamiętajsz, Mateuszu, ten, któryśmy zastosowali w Portobelo? Jeszcze się nie zestarzał, co? Moglibyśmy użyć go raz jeszcze.

— Tak jest, sir. To był wspaniały podstęp.

Było to posunięcie haniebne; i chociaż Mateusz zaśmiał się ze wszystkimi na wzmiankę o

Portobelo, nie był dumny z tego śmiechu. Przypomniały mu się wszystkie dawne lęki o to, co może się stać, gdy dowódca powiedzie swoich ludzi za daleko lub wyjdzie poza świat sobie znany, żeby się zapuścić w inny; w ostrzejszym świetle zobaczył wszystkie nowe zagrożenia, zapowiedziane i postawione im teraz przed oczy. Podzielał cały strach, jaki wkradł się między nich w ciągu ubiegłej pół godziny, nie dzielając zaufania.

Henry Morgan był bukanierem z krwi i kości, zwierzęciem morskim, płynącym obok

swego łupu i zmagającym się z nim w śmiertelnej walce. Teraz zapragnął stać się zwierzęciem lądowym, posuwającym się wolno naprzód ciężkim krokiem, po pas umazanym w bagiennym

błocie. Ale przecież oni wszyscy są bukanierami! Po co im się zmieniać i dawać śmierci

dodatkowe dziesięć tysięcy szans?

“Trik z Portobelo” dotyczył szturm i zdobycia tego miasteczka położonego na

wewnętrznym wybrzeżu Darien, niecałe pięćdziesiąt mil od miejsca, gdzie Drake dokonał

swego ostatniego, długiego zanurzenia się pod wodę. Minęło ponad dwa lata, jak Morgan

poprowadził dziewięć statków i czterystu ludzi do szturm na tę hiszpańską twierdzę. Chociaż przeszli tylko przez mały skrawek lądu, a flotylla pozostała w pogotowiu, żeby mogli się wycofać, czekały ich jednak liczne niebezpieczeństwa, jak węże z sykiem atakujące pięty, i Hiszpanie w obliczu śmierci walczący z tygrysią zjadłością.

Jak się okazało, trzeba było zastosować terror tak straszliwy i podstęp tak zdradziecki, że właściwa dla nich była nazwa: “Droga krzyżowa Morgana”. W rezultacie jednak przyniosło to pełne zwycięstwo, które mogło nasunąć Morganowi pomysł “wielkiego planu” zdobycia

Panamy.

Po drodze od plaży do miasta posuwali się do na joho dnjej szych okrucieństw, aby

napotykanym wieśniaków zmusić do oddania ostatniego centavo i przekazania najdrobniejszej informacji mogącej przy

służyć się do powodzenia ataku. Palili ludzi żywcem — nazywali to hiszpańską kuchnią, jakby na cześć miejscowego obyczaju — cięli ich ciała na plastry, członek po członku, obwiązywali głowy sznurem i zaciskali go za pomocą patyka, aż oczy wychodziły z orbit—i czasem ci

męczennicy zdradzali miejsce ukrycia posiadanego złota.

Te metody podboju zastosowali do tysiąca nieszczęśników, dając im ostatnią lekcję w ich życiu, że Henry'emu Morganowi nie wolno się sprzeciwiać — ani słowem, ani spojrzeniem,

ani nawet bełkotem krwawiącego języka.

Gdy doszło do właściwego ataku na miasto, dobrze chronione wysokim murem, do tej

jawnej i systematycznie stosowanej rzezi dodano ohydny podstęp.

Zdobywszy fort zewnętrzny, napastnicy obiecali łaskę wszystkim, którzy się poddadzą, po czym resztę dzielnie się broniącego garnizonu zamknęli w lochu i założywszy ładunki prochu wysadzili w powietrze cały zamek. Stanąwszy następnie przed koniecznością zdobywania

wewnętrznej cytadeli, bronionej przez walecznego dowódcę, zrezygnowali z bezpośredniego ataku, a sprawę załatwili uciekając się do kpiny — jednej z najbardziej ponurych w życiu Morgana.

Jakaż broń będzie lepsza przeciwko papieskiemu łajdactwu w Hiszpanii od ich własnych

bałwochwalców? — powiedział Henry Morgan. I to właśnie Mateusz, dowodząc

rozwścieczoną gromadą piratów, upolował dużą grupę księży i zakonnic—“W liczbie tak skandalicznie dużej, że nie można było tego ścierpieć”, powiedział Morgan—i uformował z nich zawodzące jęklawie, ledwo trzymające się na nogach czoło ataku.

Pod grozą natychmiastowej śmierci ci skazani za wiarę—wysokiego czy niskiego stanu, mężczyźni, którzy złożyli śluby zakonne czy żyjące w cnocie mniszki, przyszli księży czy dzieci Maryi — zostali zmuszeni do niesienia drabin obłączniczych i ustawiania ich pod murami miasta. Wstrząśnięci tym widokiem żołnierze broniący garnizonu przeżyli chwilę wahania, a to wystarczyło, żeby wdarli się pierwsi napastnicy, i przymusowi pielgrzymi, krzycząc w śmiertelnym przerażeniu, pchnięci w roli osłony przodem na drabiny, padli zabici, gdy obrońcy dokonali okrutnego wyboru.

Postępujący za nimi piraci dostali się do miasta po tej przerażającej trampolinie i objęli je w posiadanie.

Pozostawszy w nim, z lubością oddawali się rozpuście, a swoimi okrutnymi metodami wyduszali najmniejsze okruchy szlachetnego kruszcu, każdy najdrobniejszy klejnocik i każdy kawałek mięsa nadający się do zjedzenia. Od prezydenta Panamy zażądali okupu w wysokości 100 tysięcy pesos. Jeśli go nie dostaniemy — oznajmił Morgan swoistym tonem perswazji — odbierzemy go sobie w postaci krwi liczonej po niższej cenie”.

Po zapłaceniu ogromnego okupu flotylla odplynęła do spokojnego zakątka na Kubie w celu podziału łupów. Zakątek był spokojny, bo się o to zatroszczyli. Zdobycz, w samych tylko pieniądzach, wyniosła 250 tysięcy pesos, a najlepszym sposobem ukrycia jej przed zawistnymi oczyma hiszpańskimi było pozbycie się tych oczu w taki czy inny sposób. Potem piraci wrócili do Port Royal i puścili w obieg opowieść

o skromnych łupach, wydając je przy tym mniej skromnie.

W przeciwieństwie do szczytowego oburzenia władz hiszpańskich

1 ostrych zapytań ze strony rządu Anglii wyjaśnienia Sir Thomasa Modyforda — a także jego sprawozdanie — były przykładem powściągliwości. Gubernator stwierdzał, że była to

zaledwie potyczka, którą trudno byłoby określić jako napaść, i żaden z jej uczestników nie zyskał na niej więcej niż 60 funtów. Przypadająca jemu część — przeznaczona na ulepszenie flotylli rybackiej — wyniosła zaledwie nieco ponad 20 funtów.

“Moje następne dziecko — powiedział podobno Henry Morgan

— otrzyma na chrzcie imię Zaledwie i wiem nawet, kto będzie ojcem chrzestnym!”

Ocknąwszy się ze wspomnień o hańbie i terrorze — tyle rzeczy mogło pójść nie tak:

napastnik mógł polec od kuli przeznaczonej dla zakonnicy! — Mateusz stwierdził, że pogodny nastrój kapitana uległ zmianie. Wciąż omawiano gorączkowo wszystkie za i przeciw, nie

stawiając jednak kropki nad "i" — lecz Henry Morgan miał już tego dość. Nagle zrobiło mu się niedobrze z powodu — jak to ocenił

— tchórzliwości zebranych, zmienił więc ton na odpowiadający jego szalonym zamysłom.

— Dosyć! — warknął chrapliwie. — Czy przez cały dzień mam wysłuchiwać historyjek o

tym i owym i dziecinnej gadaniny na temat, kto jest żeglarzem, a kto szcurem lądowym?

Jesteście tym, czym jawamkażębyć — i pierwszy, kto o tym zapomni, dostanie jako pierwszy nauczkę, nawet jeśli bym musiał obciąć mu nogi, żeby zrobić z niego rybę! — Odczekawszy, aż odczują efekt tego strzału, ciągnął:

— Odpłyniemy jako flotylla, gdy wydam rozkaz. Popłyniemy, pomaszerujemy, przypuścimy szturm do miasta i odpłyniemy z powrotem. Portobelo jest dowodem, że potrafimy to zrobić.

Teraz mam dla was tylko jedno hasło — na Panamę!

Swoim wystąpieniem jednak przerwał staremu kapitanowi Ladberry'emu w samym

środku jego wywodu i Ladberry poczuł się tym dotknięty. Gdy Morgan zagrał na swojej trąbce sygnał "Na Panamę!", starzec zamrugał kaprawymi oczyma, zmarszczył brwi, jakby karcąc niegrzeczne dziecko wnoszące zgrzyt w świat dorosłych, i powiedział: — Nie dostaniemy się do Panamy wykrzykując, nawet bardzo głośno, jej nazwę. Moim zdaniem, ryzyko jest za duże.

I co pomyśli

o tym gubernator Modyford? To byłoby wojenne wystąpienie przeciwko Hiszpanii! Czy może je zaaprobować? Byłby szaleńcem, gdyby tak zrobił:

— Tom Modyford pomyśli... — zaczął Morgan z twarzą jak chmura gradowa i urwał. Miał

już rzec: "Modyford pomyśli, co ja myślę", ale nie byłoby to rozsądne. Pozory, że gubernator reprezentuje władzę królewską, stanowiące osłonę dla nich wszystkich, muszą zostać

zachowane, z całą powagą i respektem. Powiedział więc: — Sir Thomas Modyford zna mój

plan i akceptuje go. Rozmawialiśmy o tym dziś rano i jego ostatnie słowa były: "Im wcześniej, tym lepiej". — Zbyt długo hamował Morgan wściekłość, i teraz wybuchnął, a każde jego słowo zionęło jadem. — Na rany Chrystusa! Chcę, żeby moi kapitanowie dorównywali mu odwagą!

Gubernator nie rozprawiał pięknie o szansach i niebezpieczeństwach. Nie dygotał i nie trząsał się ze strachu. Wysłuchał, zaaprobował i zakończył tymi słowami co ja: "Na Panamę!"

— Jego tam nie będzie — odrzekł kapitan Ladberry.

Morgan miał już dość. — Ciebie tam nie będzie! — zagrział.

— Wezmę ze sobą tylko tych, którym mogę ufać! Boże, chce mi się rzygać słuchając twojego biadolenia! Niech inni pójdą ze mną szturmować Panamę, a jeśli ktoś z tu obecnych podziela twoje wahanie, niech zabiera swój śmierdzący tyłek spod nosów porządnych marynarzy i

wróci, jak przestanie cuchnąć. A jeśli wy wszyscy nosicie tę chorobę w swoich zarobaczonych trzewiach, to Panamę zdobędę sam!

Jego napastliwe słowa i mordercze spojrzenia zdawały się być skierowane do wszystkich, i tych, co go poparli, i tych, co się z tym ociągali. Wśród milczenia urażonych kapitanów Morgan nalał sobie wina i siorbał je głośno, jakby chcąc powiedzieć: "Niech smak czegoś dobrego zabije ten obrzydliwy smród". Jeden za drugim zebrani opuścili kajutę, zostawiając go samego w pomieszczeniu, w którym zdawał się unosić siarczany odór nienawiści i pogardy.

Jak gospodarz po wyjściu męczących gości, Henry Morgan usadowił się z powrotem w

fotelu w swobodnej pozie i łyk po łyku pociągał wino nalewane mu przez Mateusza. Ale teraz się uśmiechał, jakby narada dowódców nie miała koniec końców przebiegu tak bardzo

niezgodnego z tym, jakiego sobie życzył; i nie po raz pierwszy zdumiały Mateusza

błyskawiczne zmiany nastrojów Morgana, a to zdumienie stało się jeszcze większe, gdy

Morgan rzekł, bez śladu rozgoryczenia: — Co za stadko płochliwych kurcząt! Przyjemnie

byłoby wpuścić między nie lisa.

Czyżby to wszystko, ten gniew i ta brew nachmurzona, było komedią? Rodzajem próby,

dla odróżnienia przyjaciół od wrogów, sprzymierzeńców zdecydowanych od chwiejnych? A

cała narada marionetkowym przedstawieniem? Byłaby żartem sama Panama?

Wnet miał się tego dowiedzieć. Ośmielony dobrym humorem Morgana, Mateusz rzekł:

— Nie wszyscy zachowali się płochliwie. Kapitan Harrison po męsku przemówił za

panem. Kapitan Prince chciał tylko poznać więcej szczegółów planu przed włączeniem się ze swoim statkiem. Kapitan Ladberry...

— A co ty byś powiedział, Mateuszu? — przerwał mu Henry Morgan niewinnym tonem.

— Sir, ja nie mogę mieć tu nic do powiedzenia.

— Ale gdybyś miał? Gdybyś był jednym z kapitanów flotylli, a nie moim zastępcą, co bym usłyszał od ciebie?

Mateusz Lawe nie wyczuł pułapki; pytanie Morgana było sensowne a wyraz jego twarzy wciąż przyjazny. Powiedział więc, co myślał naprawdę:

— Pomyślałbym, że plan zdobycia Panamy jest pod wielu względami ryzykowny.

Odważyłbym się to powiedzieć. Gdy kapitan Morris pytał, jakie nam grożą niebezpieczeństwa, jakie mamy szanse i czy zostało to wzięte pod uwagę, ja też się nad tym zastanawiałem. Kapitan Prince powiedział, że jesteśmy piratami, a nie żołnierzami piechoty...

— Więc to tak! — ryknął nagle Morgan z pociemniałą twarzą, jakby słońce zostało wessane przez morze. — Byłbyś jednym z tych zdrajców?

Mateusz zachwiał się pod tym okropnym oskarżeniem, wypowiedzianym głosem, w którym pobrzmiwał najbardziej lodowaty chłód zimy. — Ja... — zaczął, ale zaraz wycofał się ze świata dowódców.

— Sir, oni tylko chcieli wiedzieć i wesprzeć pana radą. Mieli obowiązek powiedzieć, co myślą.

— To nie był ich obowiązek! — huknął Morgan. Twarz miał wykrzywioną jakby w ataku śmiertelnej choroby. — Ich obowiązek to okazywać mi posłuszeństwo... słuchać, co mówię i robić, co każę. Ja zrobiłem z nich to, czym są, i, na Boga, zniszczę ich, jeśli ich odwaga tak zmarniała! Tak naprawdę to chcą tylko siedzieć w słońcu Port Royal, robić łatwe wypadki i umykać sromotnie, kiedy żądam, żeby byli odważniejsi. — Obrócił mordercze spojrzenie na swojego zastępcę.

— Czy i ty tego pragniesz?

Mateusz nie potrafił zdobyć się na odpowiedź, gdy rozmowa, zaczęta przyjaźnie, okazała

się groźną pułapką. Bardzo chciałby powiedzieć "Tak!" i położyć temu koniec. Bardzo chciałby móc powiedzieć, że plan jest szalony, że potrzeba do niego wojska, a my nie

żołnierze, lecz prości piraci. Bardzo chciałby powiedzieć: dobrze mi jest tak, jak jest teraz, niech pan sobie bierze "Cambridge" i szturmuj Panamę, a mnie pozwoli zostać w Port Royal i mieć oko na pańskie sprawy. Bardzo chciałby...



Czy Morgan czytał w jego skołowanym mózgu? Być może, bo patrzył na niego tak, jakby

wwiercając mu się pod czaszkę mógł spod niej wyrwać jakieś jego myśli, jak trujące rybki z sieci. Jakby, będąc w miłym nastroju, zobaczył w swoim kuflu ropuchę i zamierzał ją

uśmiercić, nawet gdyby miało to przyprawić go o mdłości... Tak nie postępują przyzwoici ludzie. Mateusz wystękał w końcu:

— Sir, zapytany powiedziałem tylko, o czym myślałem.

— Tak, powiedziałaś i okazało się, żeś nie mężczyzna, ale mięczak. — W jego głosie była czysta, jadowita pogarda; znów miało miejsce słynne morganowskie rozdwojenie,

sprawiające, że wyodrębnił Mateusza spośród braci żeglarskiej, jak ślad po ospie na zdrowej skórze. — Posłuchaj no, mój ty zaufany zastępcu... Jeśli naprawdę tak myślisz, to nie życzę sobie takich ludzi w moim otoczeniu... Jeśli tkwi w tobie choroba, wynoś się z nią sprzed moich oczu, spal ją, jak się spala ślady zarazy, nie zatrzymaj powietrza ani chwili dłużej. Nawet nie wciągaj go do płuc... A teraz wynoś się z kajuty. I przyślij mi tu Bracegirdle'a. Muszę wydać rozkazy, które nie będą kwestionowane.

I w ten sposób jedna chwila idiotycznej ufności i nagły atak ślepej furii ze strony

człowieka, który obmyślił "wielki plan"—a pochłaniała go diabelska chęć, żeby wcielić go w czyn — zrodziły nieszczęście, które rozplómiło się jak feniks. Zasalutowawszy, Mateusz Lawe uciekł szukać schronienia przed tym szalonym karaibskim huraganem, czując przy tym w głębi zbolełego serca, że kapitan Henry Morgan może już nigdy więcej mu nie zaufać.

#### IV

Nowy pan to dla zbiegłego niewolnika sprawa dobrej lub złej przyszłości; także biedak

może znaleźć ciepły kąć i dobrą pracę albo skończyć z pręgami na plecach gorszymi od tych, od których uciekł. Nowy kapitan dla zbiegłego zastępcy był równie wielkim zagrożeniem,

choć mniejszym od egipskiej niewoli, chłosty i skorpionów Wielkiego Faraona. Ale

zastępca kapitana musi znaleźć sobie pracę i statek i dokonać wyboru między diabłem a

błękitnymi wodami morza.

Nie minął miesiąc, a Mateusz doszedł do wniosku, że sam się skazał i na diabła, i na morze.

Z pieniędzmi skradzionymi ze skrzyni Morgana uciekł na Tortugę, starą piracką warownię leżącą niedaleko Santo Domingo\*. Na pokla-

dzie "Cambridge" bowiem bał się coraz bardziej, straciwszy nadzieję bezpiecznego pobytu na tej

brygantynie. Wypadł z łask i mógł tylko zostać dowieziony do Panamy, żeby znaleźć

śmierć w nierealnym przedsięwzięciu Morgana.

Zbiegł więc, jak każdy udręczony niewolnik, żeby szukać sobie lepszej doli. W najgorszym razie pozostanie piratem, zamiast być zdobywcą pod rozkazami obłąkanego naśladowcy

Aleksandra Wielkiego.

Jego nowym statkiem była francuska patache\*, mała, mocno uzbrojona i szybka jak wiatr,

choć z takielunkiem w arabskim stylu, z dwoma wielkimi żaglami łacińskimi. Jego nowym kapitanem był Simon Montbarre, o którym wystarczy powiedzieć, że nosił straszliwe

przezwisko "Eksterminator".\*

Morgan, sprytny Walińczyk, stosował terror celowo: chciał oddziaływać na ludzi strachem, tak aby samo jego nazwisko było bronią równie skuteczną, jak jego uzbrojenie. Simon

Montbarre był potworem stosującym terror dla przyjemności. Stał się przysłowiowy nawet

wśród francuskich piratów, spec'alistów w okrucieństwie.

Śniady Gaskończyk, podobno młodszy syn kogoś wysokiego rodu — kto mógł być rad, że

syn zniknął mu z oczu — był barczystym mężczyzną, budową przypominającym małpę, z

wąsami jak szarlatan, o niewiarygodnie silnych rękach, ramionach i lędźwiach. Przechwalał

się, że nie ma takiej roboty z zakresu podnoszenia, ciągnięcia, wspinania się czy rozłupywania, wymagającej do jej wykonania dwóch członków załogi, której nie potrafiłby wykonać w

pojedynek, i to w krótszym czasie.

Chętnie się też z innych powodów. Nie brał jeńców płci męskiej. "Okup jest dla

urzędników—mówił gardłową angielszczyzną, będącą jego własną wersją patois\*. |§| Ja nie sprzedaję krwi. Ja ją wypijam". Nigdy nie zabijał szybko, chyba że w gorączce bitewnej. Po bitwie mężczyzna, który dostał się w jego ręce, musiał umierać powoli. "Daje to przyjemność nam obu — mnie, bo mam rozrywkę, a jemu, bo dostaje jeszcze jeden długi dzień życia".

W szczególności nie pozwalał nikomu z załogi tknąć żadnej z kobiet, które wpadły w ich

ręce, zanim sam nie dokonał wyboru; wybranka stawała się potem jego zabawką. Gdy się nią nasycił, oddawał ją załodze, a w końcu, jako bezużyteczną gębę, rzucał rybom na pożarcie.

Jeśli mógł, wolał brać kobietę siłą. "Prawdziwa miłość nie płynie z serca — mawiał. —

Taka miłość jest dla poetów, dworaków,

mężczyzn o wrażliwych duszach. Nie jest mi wiadomo, żebym ja miał duszę. Moja miłość to wielkie rozprze, co sterczy mi między nogami; kiedy sięga między jej nogi, musi wdzierać się jak rozbójnik, a nie jak żebrak. Co za przyjemność wślizgiwać się przez otwarte drzwi? Tylko gdy kobieta wrzeszczy, drapie i broni się, uchylając swoich drzwi cał po calu, jej skarb jest wart zdobywania".

Mówiąc takie słowa — myślał czasem Mateusz — Montbarre ukazuje siebie jako swego rodzaju poetę — poetę terroru i męki, poetę gnojowiska, brudu, ludzkiego bagna. Ale przynajmniej nie ma ambicji bycia czymś więcej niż piratem.

Był zwykłym żarłocznym sępem nie myślącym o wielkich podbojach i nie mającym nawet odrobiny sumienia; wystarczało mu, że ze swojej patache uczynił drapieżne ptaszysko, sępa polującego na łup, jak on sam. Dowiedział tego w pełni, buszując na wschód i południe od Tortugi.

To Catouche, rosły Mulat z Basse Terre na Gwadelupie, pierwszy wyszedł ich łup.

Pochwycił wzrokiem krótkie mignięcie bieli po wschodniej stronie widnokręgu, nagły błysk, który tego pogodnego ranka nie mógł być załamującym się grzywaczem, i bez rozkazu

Montbarre'a skoczył na swoje stanowisko.

Gibki jak akrobata, zwinny jak małpa, Catouche wspiął się wysoko po rei głównego żagla

łacińskiego od punktu jej zamocowania w pokładzie na szczyt, sterczący wysoko nad stewą rufową, pomagając sobie dłońmi i stopami, jakby były wyposażone w pazury. Przypominał

ogromnego żółtego kota wdrapującego się na palmę kokosową.

Było to coś, co zawsze zdumiewało załogę, a zachwyciłoby akrobatę. W jednej chwili

Catouche był na pokładzie, a w następnej pięćdziesiąt stóp nad ich głowami i przysłaniając dłońią oczy wpatrywał się w niskie, jeszcze poranne słońce. Potem zza topu rei ukazała się jego głowa, jak blada bażka na wierzbowej gałęzi, i Catouche krzyknął w radosnym triumfie:

— Une voile\

Żagiel... Okrzyk został powtórzony przez marynarzy stłoczonych w dole przy poręczy

patache i wlepiających wzrok we wskazany kierunek. Był to pierwszy statek ujrzany przez nich od siedmiu długich dni, więc powitali go radośnie, jak znękani pragnieniem ludzie

mogłoby witać widok kępy zielonych drzew na pustyni.

W podróży trasą tak odległą od Tortugi, wiodącą opodal Puerto Rico i przez łańcuch Wysp Zawietrznych ku Martynice, zwierzyna okazała się równą rzadkością, co latające ryby zimą.

Podpłynęli blisko do hiszpańskiej galeasy\* ze skarbami gdzieś w okolicy Santo Domingo,

lecz wyglądała zbyt groźnie, jak dla patache — nawet patache z załogą złożoną z dwunastki zdeterminowanych morderców — więc pozdrowiwszy ją kurtuazyjnie, pozwolili popłynąć

dalej.

Na południe od Puerto Rico zdobyli przybrzeżną kar a we lę\*, której załoga, niczego złego się nie spodziewając, znalazła się nagle wobec zębów rekina. Poderżnęli kilka drżących ze strachu gardeł, zabrali trochę wina i wieprzowego mięsa oraz liny, zawsze mogące się przydać, skrzyneczkę miedziaków i ladacznicę o wyblakłej twarzy, która zdążyła zarazić syfilisem dwóch z załogi, zanim wyrzucono ją za burtę.

Ale to było wszystko. — Mielibyśmy się lepiej hodując kapustę na ugorze — burknął

Simon Montbarre i skierował haczykowaty dziób swego statku ku głębszym wodom, na południowywschód, w stronę Wysp Zawietrznych.

Przy pomyślnym wietrze patache mogła robić przeszło dwieście mil na dobę i docierać

wszędzie, dokąd kusiła ją jakaś obietnica. Nadzieja była zawsze — pojawiła się i teraz, gdy Montbarre ustawił kurs na odległy błysk topsli. U steru postawił Mateusza Lawe'a, sprawdzo-nego na tym stanowisku, i statek ruszył rażno po lśniącym morzu na wschód, ku

oczekiwanemu łupowi.

Spodziewając się rozlewu krwi, patache ożyła jak ogień pod działaniem dmuchawy. Cała

dwunastoosobowa załoga rozbiegła się bez poganiania na swoje pozycje: dwaj do działka na dziobie, dwaj inni do kolubryny na śródokręciu, strzelającej kulami łańcuchowymi\*, które —

wijąc się w locie jak smagający bicz — potrafiły zniszczyć żagiel albo rozerwać na pół

mocnego mężczyznę. Reszta stanęła na pozycjach abordażowych, uzbrojona w oręż, w którym nóż ogrodniczy z zębami jak u piły był bronią najmniej przerażającą.

Wysoko nad ich głowami, w swoim gnieździe na łacińskiej rei, siedział Catouche

uzbrojony w muszkiet i parę pistoletów; w dole na śródokręciu bosman Bonhomme

przygotował haczykowate żelazne bosaki zaczepne i zwój liny do nich. Mateusz trzymał ster, kiedy

podpływali do ofiary. Simon Montbarre stał obok niego, jak mściwy szatan, z kordem w jednej ręce i z siekierą o krótkim trzonku i zakrzywionym ostrzu w drugiej, czekając na moment, w którym poprowadzi atak. W uśmiechu obnażył żółte zęby przypominające wilcze kły.

Statek, który mógłby stać się ich łupem, nabierał szybko kształtu i materii. Najpierw był to jeden odległy topsel, potem dwa; wnet okazało się, że jest to bryg\* płynący na północ, doskonale ożaglowany,

## ŻEGLARZ

nie za wielki na ich możliwości i nie za marny, jeśli szło o zysk. Potem zobaczyli, że to bryg angielski, spokojnie (jak się domyślali) pływający między Martyniką i Santa Cruz lub

Wyspami Dziewiczymi, solidnie wyładowany, nie budzący wojowniczego wrażenia, może nawet nie mający się specjalnie na baczności przed innym statkiem po swojej zawietrznej.

Wreszcie stał się bliskim przeciwnikiem i wszyscy ruszyli do akcji.

Gdy dzieliła ich już tylko mila, Montbarre klepnął Mateusza po ramieniu i zakreślił trzymanym w dłoni kordem łuk od prawej strony do lewej, zakończony nagłym wysunięciem broni do przodu. Rozkaz był jasny. Mateusz miał zrobić zwrot pod samą rufą brygu i z wiatrem z trawersu stanąć pod jego burtą.

Patache wykonywała już przedtem ten manewr i teraz powtórzyła go bardzo zręcznie, co wywołało pomruk aprobaty ze strony Montbarre'a. Ale nie wszystko poszło zgodnie z obmyślonym przez nich planem. Bryg, przy swej pozornej mieszczańskiej nieruchawości, okazał się czujny; gdy patache błyskawicznie przecinała jego ślad torowy, rozległy się dwa szybkie wystrzały z dział. Mieli dwie rufowe pościgówki, które przez cały czas musiały być obsadzone załogą.

Pierwszy pocisk, wycelowany wysoko, uderzył w szczyt fokmasztu patache z ożaglowaniem łacińskim i zniszczył fokżagiel; drugi trafił w kadłub, wyszarpując w nim dziurę nad linią wodną.

Ale to było wszystko, co bryg mógł zdziałać, zanim patache runęła na niego, wbijając głęboko zęby.

Gdy ustawiła się do wiatru, huknęła jej dziobowa kolubryna, roztrzaskując trzon steru przeciwnika, którego sunący przez pokład rumpel zmiotł w morze pół tuzina ciał. Statki

zbliżyły się do siebie i działo strzelające kulami łańcuchowymi przejechało morderczą kosą po załodze brygu skupionej przy jego poręczy. Woda zawrzała i dwa kadłuby zwały się ze sobą.

Odczekawszy na właściwy moment, bosman dwakroć zakręcił nad głową pierwszym zaczepnym bosakiem i zahaczył nim o wyęokie nadburcie.

Żelazne pazury wczepiły się najpierw w szyję wyjącego z bólu człowieka, a potem, wlokąc tę krwawiącą poduszkę, zaczepiły się o nadburcie brygu. Statki zderzyły się z trzaskiem i Simon Montbarre z dzikim okrzykiem powiódł swoich ludzi. Jak rwąca krwawa rzeka przelali się przez burtę nieprzyjaciela i runęli na jego pokład.

Mateusz, zostawiwszy nie wymagający obsługi ster, ruszył za grupą abordażujących.

Catouche ze swojego gniazda w górze zdążył już zranić kogoś z obsady dział i zestrzelić na brygu doborowego strzelca, jak on, usadowionego na grotrei. Na pokładzie rufowym tamtego statku uśmiercił innego marynarza, z ubioru sądząc — kapitana.

Był to pomyślny początek krwawej obróbki ciała ofiary.

Rzucając się do walki, załoga patache swoim zwyczajem wyła i wrzeszczała jak szalona;

Montbarre miał głos jak ryk grzmotu, od którego góra mogła runąć, a bosman Bonhomme darł się przeraźliwie cienkim piskiem, jak pomyłony pastuch wściekający się na nieposłuszne stado bydła.

Inni bluzgali przekleństwami lub gromkim chórem odśpiewy- Iwali pieśń drwali; jeden z

nich, O'Hare, szalony irlandzki zabijaka, którego ulubioną bronią był rodzaj indiańskiego tomahawka z rękojeścią z czarnego kopalnego dębu, wydawał z głębi trzewi swój plemienny okrzyk; jakby wzywał krajanów poprzez całą przestrzeń Atlantyku.

Plugawy chór ryczał już na całe gardło, gdy Mateusz zeskakiwał na pokład. Z gołymi

stopami po kostki umazanymi we krwi ochoczo ruszył do dzieła.

W ręku miał dobry kord i przebijał się, siekąc nim i dźgając, w kierunku grotmasztu brygu, gdzie Montbarre i pozostali piraci osaczyli już większą część angielskiej załogi. Było ich tam jeszcze ze dwudziestu, lecz pozbawionych dowództwa wskutek śmierci kapitana, marynarzy o szerokich twarzach i potężnych barach, w granato- wo-białych ubraniach. Wśród nich stało dwóch oficerów w szkarłatnych wojskowych mundurach, z pistoletami, które po wystrzeleniu ostatnich nabojów odwrócili drugim końcem i używali jak maczug; i jacyś cywile w szarych ubraniach, ze strachu zbici w gromadkę i wyglądający jakby żałowali, że w ogóle wysadzili nosy ze swoich kantorów.

W tym momencie Montbarre niewątpliwie uratował życie Mateuszowi Lawe'owi. Mateusz

właśnie unieszkodliwił jednego z załogi brygu, który pośliznąwszy się na mokrym pokładzie podstawił szyję pod cios, i stał z opuszczonym kordem dysząc z wysiłku. W tej chwili

nieuwagi rozległ się ryk Montbarre'a. — Matthieul Prenez garde! Tourtiez!\*

Kapitan o sokolim wzroku, z trudem wydzwignąwszy głowę i ramiona ponad innych, nie

był aż tak zaabsorbowany, żeby nie dostrzec śmiertelnego niebezpieczeństwa grożącego

jednemu z jego ludzi. Gdy Mateusz gwałtownie się odwrócił, żeby stawić czoło temu, co

zagroziło mu za plecami, rapier, wycelowany w jego kręgosłup, przeszył mu tylko ramię. I jedynie krew zaczęła z niego uchodzić, a nie życie. Cofając się na chwiejnych nogach, mógł

przynajmniej stanąć twarzą w twarz z nieprzyjacielem.

Był nim trzeci wojskowy, o twarzy szkarłatnej jak jego mundur. Błysnął rapier gotowy do nowego ciosu w korzystnym momencie. Był dłuższy i poręczniejszy niż jakikolwiek kord, a żołnierz operował nim

ręką pojedyńkowicza z wielką zręcznością i elegancją i mierzył prosto w bijące serce...

Lśniące ostrze wyskoczyło do przodu. Mateusz ciął w nie ku dołowi, ale nie trafił, bo rapier został cofnięty. Jedno jego uderzenie mogłoby roztrzaskać tę kruchą zabawkę, lecz trafić w nią to jak

przeciąć komara na pół zapasową kotwicą... Jeśli ma ocalić życie, musi znaleźć coś długiego... Ciepła krew ściekała mu po ramieniu, w głowie zaczęło się kręcić. Rapier znowu mignął groźnie jak

stalowy bat. Cofając się przed nim, Mateusz uderzył mocno plecami o

zamocowaną do nadburcia łódź.

Odparował cios przeciwnika. Dwa nagie ostrza zderzyły się ze zgrzytem i odpadły od siebie. Lecz czubek rapiera o palec minął policzek Mateusza.

Musi mieć coś długiego... Ranna lewa ręka opadła do wnętrza łodzi i natrafiła na luźny

kawałek drewna, który łatwo dał się uchwycić. Teraz Mateusz miał coś długiego. Był to

najlepszy przyjaciel marynarza: wiosło.

Decydując się na desperacki krok, który mógł pozostawić go odsłoniętym, z całą siłą cisnął

kord prosto w żołnierza i trafił go w mostek. Żołnierz stracił dech i cofnął się, a wtedy Mateusz się schylił, złapał wiosło, zatoczył nim niebezpieczne półkole tuż nad pokładem i zdzielił

przeciwnika w nogi, pod samymi kolanami. Żołnierz krzyknął przeraźliwie, gdy masywne dębowe wiosło trafiło w goleń i roztrzaskało ją. Rapier wypadł mu z ręki, a on sam zwałił się na pokład.

Mateusz skoczył do przodu, prosto ku nienawistnemu gardłu. Mocne jak żelazo nadgarstki nie miały szans w zetknięciu ze stalowymi paluchami. Mateusz dźwignął się znad trupa uduszonego. Stał wyprostowany, zapomniawszy o bólu i krwi ciekącej z ramienia.

Skończyła się jego potyczka i — jak stwierdził — cała ich bitwa.

Dobiegła końca równie szybko, jak się zaczęła, pozostawiając tylko bezwładne ciała, zbitą grupkę jeńców, którzy wkrótce mogą żałować, że wciąż żyją, i odpływники burtowe spływające ciecżą raz czarną, raz szkarłatną, w zależności od kierunku przechyłu zdobytego brygu.

Doświadczywszy na sobie działania długich wałów wodnych Atlantyku, bryg musiał się teraz borykać z czymś gorszym: początkiem trzydniówki fatalnej pogody, nagłego ataku letniego sztormu, który wściekle rozhuśtał Morze Karaibskie. Pataches dokonawszy ledwie w połowie dzieła plądrowania, musiała odejść od niego z niechętnym pośpiechem i płynąć wyłącznie kursem wyznaczanym przez jej wroga — morze.

Gdy piraci obdzierali przyz ze wszystkich ruchomych przedmiotów mających jakąś wartość: dobrego płótna żaglowego i lin, drzewca na wymianę ich złamanego fokmasztu, wina i rumu, beczulek solonej wołowiny i wieprzowiny, owoców, wędzonych ryb, prochu, kul i upragnionych złotych monet — gdy ten radosny rabunek trwał w najlepsze, niebo na wschodzie pociemniało. Pod opadającą kurtyną chmur chłodniejszy wiatr zaczął spychać na siebie oba statki i bosman Bonhomme musiał ostrzec o tym kapitana.

Nie był to dobry moment; chociaż najcenniejsza część zdobyczy została zabrana, można było jeszcze wydusić coś z wziętych żywcem jeńców — sześciu ich czekało na przyjemności, jakie im gotował Eksterminator. Gdy jednak wiatr zaczął wyć, a woda ciemnieć, stało się rzeczą jasną, że z niektórych ulubionych zabaw trzeba będzie zrezygnować.

Według raportu Bonhomme'a tylko jeden z ich żagli był w stanie nadającym się do użytku.

Fokżagiel wymagał polatania i pozszywania, a jego maszt wymiany. Co gorsza, stan tylko



jednej połowy kadłuba nie I budził zastrzeżeń; lewą burtę, przedziurawioną pierwszym

strzałem \z brygu, należało zasmarować łożem, a po zaślepieniu dziury wzmocnić, zanim się zanurzy ponad linię wodną.

Z takimi uszkodzeniami i przy nie sprzyjającej pogodzie nie mogli płynąć w kierunkach

objętych co najmniej połową skali kompasu. Musieli iść na wschód albo na południe, aż znajdą jakieś miejsce umożliwiające położenie statku na burtę w celu naprawy, aby znowu z kulawej kury zrobić orła.

Montbarre zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze lub nawet lepiej niż Bonhomme, lecz

mimo rozczarowania jego silny charakter pozwolił mu zażartować z sytuacji. Zaklął krótko i rzekł:

— Trudna to chwila na rozstanie. Znalazłoby się więcej dobra, gdybyśmy mogli trochę mocniej wycisnąć bryg. I tych sześciu jeńców jeszcze trzymających się na nogach. Co za marnotrawstwo ludzi!

Bonhomme wyszczerzył zęby. — Znajdą się inni. Zresztą odłączając się od brygu nie

mamy miejsca, żeby ich zabrać. Już jesteśmy stłoczeni jak ryby w ładowni.

— Więc nie będzie... strappado?

— Nie mamy czasu, capitaine.

Montbarre udał, że bardzo go to zmartwiło. — Tak, na to potrzeba czasu. Jest tam jeden

tłuścioch, który tak ładnie by spadał...

Strappado było najbardziej odrażającą, a zatem najulubieńszą zabawą Montbarre'a. Ofiarę, z rękami skrepowanymi na plecach, wciągano na reję za pomocą liny przywiązanej do jej

nadgarstków. Potem linę nagle zluźniano i na dole sprawdzano efekt upadku. Wszystkie stawy powyżej pasa ulegały przemieszczeniu i tylko ktoś z wyrwanym językiem nie wył z bólu. Z

silnym jeńcem zabawę zawsze można było powtórzyć.

Takielunek zaczął wyc pod naporem wiatru. Patache obijała się o bryg, a wszystkie żagle, zbrasowane wstecz, łopotały gniewnie. Czas było odpływać.

— Trudno — rzekł Eksterminator. — Nie będzie strappado tego pechowego ranka. I nie

mamy na pokładzie ani jednej kobiety dla pocieszenia naszych zboliałych serc! — Spojrzał w niebo, a potem na bryg przewalający się na falach i poszturchujący patache jak stara gruba żona swojego

chłopa na jarmarku, Przywiążcie jeńców pod pokładem, a potem zróbcie ścieżkę prochową i niech bryg wyleci w powietrze. Nie chcemy żadnych dowodów, poza tym co ryby

opowiedzą ostrygom. Matthieu!

— Sir? — Mateusz poderwał się ze stosu zrabowanego płótna żaglowego.

— Czy twoja rana obeschła?

— Tak jest, sir. — W rozciętym ramieniu wciąż pulsowało, jakby tam uderzał jakiś diabelski młoteczek, a okrutna rozmówka o strappado, którego raz był świadkiem, nie

przyczyniła się bynajmniej do obniżenia gorączki. Ale nie o to go pytano. A ten człowiek uratował mu życie... — Czy mam coś zrobić?

— Stań u steru. Kiedy się odetniemy, połóż statek na prawy hals. A potem ustawimy go na najlepszym dla nas kursie. Może to być tylko wschód albo południe.

Wyspa pojawiła się jak złoty podarunek rajy — albo jak sam raj, który niewielu udaje się znaleźć, zanim nie jest za późno na łzy szczęścia. Nie wiedzieli, jak się nazywa, bo patache zabłądziła; po trzech dniach błąkania się w warunkach sztormowych i jeszcze dwóch kręcenia się na ślepo, bez słońca, mogła być gdziekolwiek między Martyniką a wybrzeżem Surinamu.

Montbarre nie miał przyrządów nawigacyjnych ani wiedzy w tych sprawach. Odróżniał

słońce od księżyca, bo słońce grzało mu twarz, a księżyc chłodził plecy, lecz gwiazdy nic mu nie mówiły. Zwykle pływał "na nos", od wyspy do wyspy, i teraz będzie tak samo szukał drogi powrotnej na Tortugę albo złapie jakiś statek, którego zorientowana załoga powie mu:

"Jesteśmy tutaj", zanim wyrwie im języki.

I jemu, i pozostałym piratom wystarczyło, że dotarli do wyspy, szerokiej na jakieś dwie mile i osłoniętej przez rafę koralową, którą musieli dobrze zbadać, zanim znaleźli wąskie wejście. Za rafą rozciągała się laguna ze spokojną, błękitną wodą i piękną piaszczystą plażą, na którą można było wyciągnąć patache i przechylić ją na nie uszkodzoną burtę; za laguną zaś rosły palmy kokosowe, była dobra słodka woda, jamsy i pawpawy oraz cicha, zielona gęstwina i ani śladu mieszkańców.

— Co to za wyspa, sir? — zapytał Mateusz Simona Montbarre'a, kiedy nasycili się tym, co znaleźli do jedzenia, i stanęli na kotwicy. Ci z załogi patache, którzy umieli pływać, pływali, a inni łowili ryby, obliczali swój udział w łupach z brygu albo pochlebstwami wyłudzali od bosmana Bonhomme'a miarki rumu przed zachodem słońca, po którym dopiero przychodziła

pora na wydawanie rumu.

— Bóg wie! — mruknął Montbarre. — Ale Bóg wie też, że to dobra przystań. Dobrze

posłuży nam jutro.

Ale pod dotknięciem Montbarre'a dobro zmieniało się w zło.

Po naprawieniu kadłuba, zamocowaniu i olinowaniu nowego fokmasztu patache została

znowu zepchnięta na wodę i zakotwiczona w lagunie. Lecz chociaż nic nie trzymało ich na wyspie, poza jej pięknem, spokojem i innymi obcymi im zaletami, Simon Montbarre zwlekał z odpłynięciem. Gdy zmierzch przeszedł w mrok i zanurzył się w ciemność nocy, dostrzegł z pokładu coś, z czego można byłoby wyciągnąć korzyść.

Były to koliście rosnące palmy kokosowe, które wyznaczały linię brzegową tuż nad granicą pływu. W czasie słabej widoczności wyglądały jak las masztów.

Czy inny kapitan, na innym statku, nie mógłby ulec takiemu samemu złudzeniu? Czy nie mógłby dać się zwabić do miejsca, które wydawało się przystanią? Dotknięte skutkami sztormu, zabłąkane albo uszkodzone, jak oni, inne żaglowce mogły desperacko poszukać schronienia tam, gdzie spokojnie stały na kotwicy jakieś wspaniałe statki, i podpłynawszy, pełne nadziei, mogły rozbić się na rafie.

Zwłaszcza nocą. Szczególnie gdyby latarnie zawieszane na palmach wyglądały jak światła kotwiczne, kołyszące się łagodnie pod wpływem nocnej bryzy na tle czarnego nieba.

— Mam, na Boga! — ryknął do załogi, która patrzyła na niego zaciekawiona. —

Bonhomme!

Wyjaśnił, o co mu szło, i ruszył do dzieła. Na brzeg popłynęła łódź z dwudziestoma

latarniami — tyle mieli na pokładzie. Zręcznie wspinając się na palmy Catouche porozwieszał

je i pozapalał. Wracając na statek, załoga łodzi zostawiła za sobą, po zapadnięciu nocy, przyjazną redę pełną kołyszących się i mrugających latarni masztowych.

Tej nocy przynęta nie dała rezultatu. Lecz następnej, gdy wiatr się nasilił, rafa huczała, a chwiejące się palmy-masztu zaczęły wysyłać sygnały w promieniu dziesięciu mil do statków, które mogły potrzebować schronienia, Simon Montbarre został nagrodzony ponad swoje

najśmielsze oczekiwania.

Podczas krótko trwającego karaibskiego świtu, gdy w ciągu pół godziny atramentowa

ciemność przechodziła w bladożółtą jasność, piraci w oczekiwaniu zalegli wśród drzew.

Pośpieszyli cichcem z patache na ląd, gdy tylko usłyszeli odgłosy wpadnięcia zabłąkanego statku na rafę zewnętrzną, a teraz z głębokim współczuciem słuchali krzyków i jęków

rozbitków, gorących modlitw tych, co utrzymywali się na wodzie, i zduszonych  
dziękczynnych łkań mężczyzn i kobiet, gdy z trudem docierali w bezpieczne miejsce.

Słuchając hamowali głośny śmiech, żeby nie ostrzec rozbitków, i przygotowywali swoją  
broń.

Mężczyźni i kobiety, zmalretowani oceanicznym pływem, gramolili się na brzeg po dwoje  
i troje, wyglądem przypominając poszarpane wodorosty. Niektórzy dzielnie posuwali się  
wplaw, inni chwyтали się beczek lub odłupanych kawałków desek, jeszcze inni pchali przed sobą, jak  
ofiara dla Neptuna, skrzynki, pudła i tobołki z dobytkiem. Byli też tacy, co pomagali swoim  
niewiastom wydostawać się na brzeg

— ich troskliwość najbardziej wzruszała piratów.

Były też niewielkie okrętowe łodzie wyładowane wszelkim dobrem. Wyrzucane z nich na  
piasek bagaże mężczyźni ostatkiem sił przeciągali w bezpieczne miejsce, tak że zaczęły  
tworzyć stosy miłe pirackim oczom.

— Pomożemy im? — zapytał szeptem bosman Bonhomme.

— Wolałbym, żeby fale przy boju nic nie zabrały.

— Nie, nie—sprzeciwił się Montbarre. — Są tam silni mężczyźni. Niech się trują, jak  
długo mogą.

Opodal wielkiej przyzmy rzeczy zgromadzonych powyżej granicy pływu stało jakieś  
dziewięćdziesiąt osób, którym udało się dotrzeć tu, gdzie poczuli się bezpieczni —  
dziewięćdziesiąt jagniąt na rzeź. Z ich krzyków, modłów, dziękowania Bogu i sobie nawzajem za  
miłosierne ocalenie można się było zorientować, że to hiszpańskie jagnięta.

— Teraz! — rzucił Montbarre bezlitosny rozkaz. — O'Hare, za chwilę podnieś alarm! A  
wy, reszta, niech każdy zastrzeli dwóch mężczyzn albo dwie kobiety, żeby było ich mniej.

Hiszpańskie śmieci nie mają żadnego prawa przebywać na tutejszych wodach i pierwszą naszą  
przyjemnością będzie wbić im to do łbów. Teraz, O'Hare! Wydadź swój cholerny plemienny

okrzyk!

O'Hare, z obłąkanym ogniem w oczach, wciągnął powietrze, jak nadciągający huragan, i

wściekle zawył po irlandzku. Nieszczęśnicy zgromadzeni na plaży odwrócili się w szalonym przerażeniu. Rozległa się seria strzałów z muszkietów, a za nią następna. Mężczyźni i kobiety padali bezgłośnie lub krzycząc z bólu. Piraci wyszli zza drzew i ruszyli ku lamentującej zdobyczy.

Nawet nie biegli; posuwali się naprzód równym krokiem, z bronią w pogotowiu. Noże i

kordy błyskały w słońcu. Śmieli się, krzyczeli

jeden do drugiego, wołali: — Buenos di as, Señora\ — z przesadą galantów rozsadzanych

pysznym humorem. Tych Hiszpanów, którzy próbowali uciekać, doganiali i zarąbywali;

nieliczni, co mieli broń i wolę walki, zostali otoczeni i z łatwością wycięci.

Tym, którzy dobiegli do wody, pozwalali mieć nadzieję — płynąć spory kawałek — a

potem rzucali w nich kamieniami, wykazując się zręcznością w tej rzadkiej zabawie. Celował

w niej strzelec wyborowy Catouche. Fale pociemniały od krwi i piany, a złoty piasek plaży miejscami zamienił się w krwawe błoto, tak grząskie, że stopy zapadały się w nie jak w gęsty miód w ulu.

W ciągu godziny około pięćdziesięciu jeńców, mężczyzn i kobiet, przywiązano do palm

lub powiązано razem i unieruchomiono, przy- duszając ich głazem ze skały koralowej jak

kotwicą. Ich prześladowcy z apetytem równie dobrym jak humory zabrali się do picia i

ucz towania w zielonym cieniu swych włości. Spożywali wymyślne rodzaje mięsiwa zabranego przez grzecznych donów na ląd, popijali rumem zwędzonym z własnego statku i wesoło

pogadywali o czekających ich jeszcze przyjemnościach. Byli kompletnie pijani, gdy zabierali się do tortur, lecz przy ich końcu wytrzeźwieli, jakby w to popołudnie rozlana krew i

niewypowiedziane męczarnie swoją tajemniczą świętą mocą przeistoczone w uzdrawiający

napar cierpienia splukały wstrętny trunek.

Przy takich okazjach Simon Montbarre nie działał pod wpływem chwilowego kaprysu.

Jeńcy zostali posegregowani jak bydło na targu. Kobiety, skazane tylko na gwałt i zniewagi, oddzielono od mężczyzn, jak jagnięta od tryków albo kotki od kotów; mężczyźni zostali

ustawieni według tuszy i sprężystości ciała.

Najsilniejsi zostali przeznaczeni do strappado — “zaszczytnej zabawy nie dla słabeuszy”, jak Montbarre to kiedyś określił — albo do innej ulubionej rozrywki nazwanej przez niego

“pływaniem na sucho”: ofiarę przywiązywano za stopy do dwóch pni palmowych, a za

rozpostarte ręce do kołowrotu, na brzuch kładziono głaz ważący czterysta albo i pięćset funtów i powoli napinano członki kołowrotem.

Ciało silnego mężczyzny mogło przez chwilę utrzymać na sobie ten ciężar, słabszy

śmiertelnik rozrywał się na pół, zanim zaczął “pływać”.

Tłustych, opasłych mężczyzn nasadzano na różna do pieczenia; kucharzowi oszczędzało to

fatygi z polewaniem pieczeni tłuszczem. Mężczyzn o wielkich zadach Montbarre wybierał do użycia swej ulubionej zabawki: monstrualnych rozmiarów byczej pyty, o długości jakichś

czterech stóp, stwardniałej na żelazo—“O szczęśliwe krowy!”, zawołał Montbarre znalazłszy ten łup w burdelu na Martynice — której teraz używał do okładania mniej szczęśliwych zadów.

Książ—jeden egzemplarz tej rzadkiej zdobyczy znalazł się wśród obecnych jeńców —

sam miał się bawić otrzymanym przyrzędem do

tortur, żelaznym kołnierzem z kolcami, zaciskanym za pomocą śruby. Montbarre zdjął go dawno temu z szyi martwego brata i zawsze woził ze sobą. Słudze Bożemu pozwolono przez chwilę obejrzeć i wypróbować instrument; potem musiał sam go sobie założyć i zaciskać własnoręcznie, aż kolce przebiją szyję i nastąpi śmierć.

Jeńców małego wzrostu skracano jeszcze bardziej.—Potrzeba nam przynęty na ryby — powiedział Montbarre — a po co marnować mężczyznę mając do dyspozycji karzełków? —

Na samym końcu kucharz miał z najmniejszego jeńca zedrzeć skórę, a wypchać ją i zaszyć żaglomistrz. Wciągnięta na dużą reję patache laleczka tańczyłaby w porcie na wietrze, a w morzu służyła za wiatrowskaz.

Na takiej zabawie, na odcinku brzegu uroczej wyspy wyznaczonym granicą pływów, minęło całe długie popołudnie przy akompaniamencie swoistej muzyki. Obląkane krzyki żywych, jęki umierających, rozdzierające błagania kolejnych ofiar, posuwających się "hiszpańskim krokiem" — na pół unoszonych, na pół popychanych na czubkach palców przez pełnych wigoru prześladowców ku swemu przeznaczeniu — przypominały nasilanie się i przycichanie jakiejś piekielnej melodii.

Wyżej, niżej i wszędzie wokoło słyhać było inną melodię, słabszą, subtelniejszą i dłużej się ciągnącą: zawodzenie kobiet patrzących spod drzew na tych, co byli ich ostatnią miłością na ziemi i ostatnią nadzieją na ocalenie, jednego za drugim patroszonych jak zwierzęta.

Mateusz Lawe, wciąż w gorączce z powodu rany, dawno stracił apetyt na takie zabawy. Za wiele ich widział. Nie było nic nowego w tej bezmyślnej rzezi ani najmniejszego powodu do takiego zachowania czy choćby cienia możliwości usprawiedliwienia go. Przyglądając się umieraniu księdza pomyślał, że to człowiek odważny — odważniejszy od tych, co śmiali się i tańczyli wokół niego, gdy kolce żelaznego kołnierza przebijały mu gardło i wypuszczały z niego strumienie krwi. Chociaż odrobił swoje przy kołowrocie, którym rozciągano ludzi, omal nie zwymiotował na widok rozrywanych na pół ciał.

Nie potrafiłby tak bardzo nienawidzić żadnego mężczyzny, żeby postąpić z nim w taki sposób. Ani żadnej kobiety.

Cienie padające na pole hańby wydłużyły się. Zapadł zmrok i piraci wrócili do picia. A

potem przyszła kolej na kobiety.

Leżały w przerażonej gromadce pod palmami; cichą muzykę łkań zastąpiło nikłe

popiskiwanie myszy — myszy porażonych widokiem spotkania z Przerazającym Potworem

uosabianym przez zwinnego kota. Jeśli zostały im jeszcze łyzy do wylania, musiały je zachować dla własnych cierpień.

Wśród niewiast był chłopiec, którego, jak się wydawało, hołubiły i ochraniały nawet w

swej krytycznej sytuacji; może księżę krwi lub ostami potomek szlchetnego rodu, urodziwy, opalony młodzieniec,

191

szczupły i gibki, w jasnoniebieskim kubraku i zrobionej z pończochy marynarskiej czapeczce na lokach.

— Ten ma w sobie dużo życia — zauważył Montbarre widząc chłopca po raz pierwszy.

Swoim zwyczajem mógłby kazać zagnać go na wysokie drzewo i rzucać w niego nożami, aż spadłby na ziemię, albo obciąć mu jedną stopę i zmusić do grania w klasy skacząc na drugiej.

Lecz Eksterminator zachował go na deser dla Catouche'a, którego sekretne skłonności i także okolice ciała silnie ciążyły w tym kierunku.

W przyjemnym nastroju, jaki wywołał ciepły zmierzch, gdy księżyc wschodził nad lagunę

jak ogromna rozjarzona kula, Montbarre wybrał sobie dwie najładniejsze kobiety, związał je plecami do siebie — tak że jedna mogła służyć za materac, gdy druga będzie pełnić

szlachetniejszą powinność — zagnał je w bujną trawę za palmami i tam zgwałcił obie wielce ochoczo — jeśli dobiegające stamtąd odgłosy mogły być właściwą miarą wyczynu.

Mulat Catouche upewniony co do swego pięknego chłopca — wystarczająco długo, nie

żałując razów, urabiał go na stronie do uległości —kazał mu biec w kierunku rosnących na brzegu palm, jakby dając mu szansę wolności i — odczekawszy dwie minuty, żeby pogoń była bardziej imponująca — zaczął go ścigać jak zwierzynę.

Inni dawali ujście mniej egzotycznym żądom — zwykłej kopulami. Nie musieli się

kłócić; kobieta przydzielona jednemu na tę noc dostanie się jutro następnemu — i nie będzie przez to



dużo gorsza. W tym dzikim rajy świń panowała zasada: żyj i daj żyć innym. Wkrótce brzeg ich rozkosznej wyspy znów rozbrzmiał głośnym lamentem, ale był to tylko lament

kobiet, najmniej cennej waluty na świecie, nie brano pod uwagę przez mężczyznę-władcę, mężczyznę-gwałtownego najeźdźcę, mężczyznę-wielkie narzędzie egzekucji.

Pływały szczęśliwe godziny. Gdy księżyc wzniósł się wysoko i zawisł nad palmami jak

dobrotliwa latarnia, piraci, jeden po drugim, zaczęli słabnąć w swych wyczynach, ale wciąż byli gotowi dalej pić i hulać. Ogniska rozpalone z drewna wyrzuconego przez fale, z łupin orzechów kokosowych i żywicznych palmowych gałęzi strzelały w niebo wzdłuż brzegu

odsłoniętego przez odpływ. Na jego dalszym końcu zgromadzono trupy, tę wcześniejszą

daninę dzielności piratów, aby je spalić lub pogrzebać następnego dnia ^m zadanie dla

lubiących porządek kobiet.

Ale będą musiały pośpieszyć się z tą robotą. Już bowiem dał się słyszeć ciągły szelest, tajemniczy i intensywny, szelest tysiąca żywiących się padliną krabów-wojowników,

formujących szyki i maszerujących ku najwspanialszemu bankietowi w ich życiu.

Catouche, wyborowy strzelec, Catouche, patentowany pederasta, wrócił ze swego bankietu

jako ostami. Wszedł nagle w blask ogniska zły i zbity z tropu, ciągnąc za sobą

z maltretowanego chłopca. Powitały

go głosy mężczyzn, którzy z najróżniejszych ludzkich powodów uważali się za coś lepszego od tego marudera, sodomity z domieszką krwi murzyńskiej.

— Catouche, co tak długo marudziłeś?

— Miałeś kłopot z trafieniem do celu?

— Następnym razem weź kobietę. Ona pokaże ci drogę.

— U nich ten cel leży na południe od Wzgórza Pępkowego.

— Tak. Nie trzeba okrążyć wielkiej kuli.

Catouche stał milcząc przed kpiarzami, a chłopak z głową opadłą na piersi i omdlałym od zmęczenia ciałem czekał w hańbie niewoli. Wreszcie Mulat powiedział ponurym tonem:

— Zwodziła mnie diabelnie długo. I nic z tego nie wyszło.

Montbarre, ogromny i zwalisty jak byczysko, królujący przy

ognisku jak bóg czekający na ofiary, pierwszy usłyszał go i pojął, co mówił.

— Ona? Catouche, co ty pleciesz?

Catouche, któremu teraz pozostało tylko obrócić wszystko w żart, odrzekł: ^ Kupiłem kurę, zamiast koguta, capitaine. Ce n'est pas un gamin. C'est une fille\\*

— Sans blaguel\*

Oczy wszystkich zwróciły się na szczupłą postać u boku Catouche^. Na Boga, to mogła być prawda: urodziwy chłopiec wyglądał teraz za urodziwie; plecy miał trochę zbyt zaokrąglone, jak na męskie, a pierś pod kurtką była łagodnie wybrzuszona w sposób bynajmniej nie przypominający męskich mięśni. Chociaż mężczyźni zbyt byli wyczerpani w tej chwili, żeby mieć chętkę na dalsze wyczyny, zawsze pozostawała wścibska ciekawość — i zawsze było jutro.

— Catouche, zdejm mu czapkę! s\*- zawołał któryś i po chwili czapka leżała na ziemi.

Ciemne, przedtem schowane pod nią włosy opadły, okalając twarz tak samo jasną jak twarze innych oglądanych przez nich dziewcząt; ta miała wielkie brązowe oczy, skórę jak

dojrzewająca brzoskwinia i wargi, które w migotliwym blasku ognia przypominały świeże

wiśnie. Nic dziwnego, że Catouche'a odrzuciło od jego skarbu! Nie wiedziałby nawet, jak z niego skorzystać!

W oczach Montbarre'a pojawił się pożądliwy błysk. Chociaż pijany i wyczerpany, od razu przejął przywództwo. Spocona twarz zmieniła się w odrażającą lubieżną maskę.

— Chcę lepszego dowodu — rzekł. — W dzisiejszych zniewieś- ciałych czasach nawet urodziwi chłopcy mogą mieć długie włosy w lokach... Niech pokaże swoje kształty.

Dziewczyna, już oszalała z wściekłości i wstydu, wbiła paznokcie w twarz Catouche'a

ściągającego z niej ubranie. Stłumiwszy silnym uderzeniem jej opór, zerwał z niej niebieski kubrak, a wraz z nim wcale nie męski stanik. Stała teraz przed nimi wszystkimi półnaga, z dłońmi związanymi na plecach, tak że nie mogła nawet użyć tych dwóch miseczek dla

osłonięcia swoich wspaniałości.

Piękność dziewczyny wprowadziła wszystkich w osłupienie. Była młodziutka, najwyżej

szesnastoletnia, lecz jej ciało, wchodzące właśnie w okres wstydlivej, cudownej kobiecości, jaśniało jak księżyc, który je oświetlał. Jej szczupła talia była jak łodyga kwiatu, a sam kwiat, z delikatnymi wypukłościami różowymi na czubkach, był godny jedynie ołtarza miłości. Poniżej tego szczytu doskonałości łagodnie zaokrąglone biodra obiecywały żyzną grządkę dla korzenia prawdziwego mężczyzny.

Świadoma namiętnie pożerających ją oczu, dziewczyna dalej wyginała się i skręcała to w jedną, to w drugą stronę, usiłując uciekać przed znieważającymi ją spojrzeniami. Lecz jej ruchy tylko rozpalały patrzących. Próbowali wyobrażać sobie, jak wymuszone takie ruchy będą pobudzać ich męskość do najwyższych granic.

Wyciem wyrazili pożądanie. Wśród gwaru głosów tylko jeden odezwał się krytycznie o stojącym przed nimi ideale.

— Za małe piersi!

Ale natychmiast padła odpowiedź: — Montbarre sprawi, że napęcznieją!

— Jak nie on, to dawajcie ją mnie!

Simon Montbarre, który nie był aż tak pijany, żeby nie mieć na nią chętki, stanowczo pokazał, kto tu rządzi. To będzie on i tylko on.

— Na własny organ Pana Boga — rzucił bluźnierczo — po cóż marnowałem mój cenny

płyn na wszystkie te brudne flądry! Ta tutaj mogłaby wessać cały, aż po gardło! — Pochylił do przodu swe zwaliste ciało przypominające groźny nawis skalny. — Chodź tu, mała.— Gdy

dziewczyna nie zareagowała ani na jego głos, ani na przyzywający gest, polecił: — Catouche, podprowadź ją do mnie i trzymaj te jej cholerne szpony z dala od mojej twarzy!

Catouche popchnął dziewczynę do przodu, tak że znalazła się w zasięgu chwytu ręki

Montbarre'a. I wtedy kapitan zaskoczył wszystkich.

— Może jeszcze za wcześnie — powiedział lekkim tonem, jakby mówił o tym, czy będzie padać. — Zobaczmy... — Wstał, rozpiął pas i opuścił spodnie. Potem pochylił się ku nagiej dziewczynie.

Cofnęła się z przerażenia i wstrętu, lecz na dany znak Catouche przytrzymał ich blisko

siebie. Montbarre odczekał chwilę na swoją reakcję, po czym cofnął się i spojrział w dół.

Nic nie drgnęło. Jego członek zwisał wiotki jak koniec liny.

Ze śmiechem zapiął pas i usadowił się z powrotem na krześle. Był na tyle mężczyzną i na tyle dowódcą, żeby bez skrępowania, na oczach wszystkich, przyznać się do porażki i uczynił to teraz. Z wymuszonym uśmiechem oznajmił:

— Za wcześnie. — Udawane obrzydzenie na jego twarzy znalazło odbicie w przerażeniu i odrazie na licu dziewczyny, co wzbudziło ogólną wesołość. — Moje rozprze się wypaczyło, a do tego jestem za bardzo pijany... Odłóżmy nasze rendez-vous na później. Ona dojrzeje i ja też!

Matthieu!

Dziewczynie pozwolono odsunąć się. Mateusz Lawe postąpił do przodu. Nie patrzył na nią. Ohydna scena i zapowiedziana przez nią jeszcze gorsza przyszłość sprawiły, że zrobiło mu się niedobrze.

Zostawiam cię na straży — rzekł do niego Montbarre. — Tylko rannego chłopca mogę spokojnie zostawić przy tej małej gazeli. — Nie była to prawda. Wystarczyło, że wzrok Montbarre'a zatrzymał się na jakiejś kobiecie, a wszyscy się wycofywali. Chociaż wielokrotnie mogliby dowieść swej męskości, mogliby ją również stracić — niepo- wrotnie — na ostrzu noża. — Zostawiam cię na straży — powtórzył Montbarre. — Zabierz ją pod drzewa i tam przywiąż. Zobaczymy, ile będę miał siły o świcie.

Na długo przed tym zapowiedzianym groźnym świtem Mateusz i dziewczyna siedzieli przykucnięci w barkasie z patache i delikatnymi, pojedynczymi uderzeniami wiosła wyślizgiwali się z laguny na otwarte morze.

Mateusz nie wiedział, czemu dokonał w ten sposób zdrady jako strażnik i przyszedł dziewczynie z pomocą; może współczucie dla tego udręczonego dziecka pomogło mu przemóc strach. Nawet nie wiedział, jak zdobył jej zaufanie. Porozumiewali się z wielką trudnością — ona umiała tyle po angielsku co on po hiszpańsku — może razem wszystkiego ze sto słów.

Kiedy pierwszy raz chwycił ją za ramię, żeby odprowadzić z plaży do bardziej odosobnionego miejsca niewoli, na jej twarzy odmalował się krańcowy strach i nienawiść.

Ale potem zmiękła, podobnie jak on. Może dlatego, że gdy tylko dotarli pod drzewa i

znaleźli się daleko od ogniska i pożądliwych oczu, Mateusz zdjął koszulę i dał jej, żeby okryła swą nagość.

Ta nędzna szmata cuchnęła wszystkim, od ryb do potu, od uczciwego piwka do haniebnego odoru krwi; były na niej okropne plamy, owoc popołudniowej jatki. Lecz dziewczyna przyjęła ją, jakby to był Święty Całun, i owinęła się nią jak zbroją. Od tego momentu jej straszne drżenie zaczęło ustawać.

Potem, gdy powiedział: — Chodź ze mną... — i przywołał ją gestem, poszła za nim głębiej między drzewa i aż na dalszy koniec plaży, gdzie leżał nie strzeżony barkas. Księżyc zaszedł, dalekie ogniska rzucały słaby blask. Ułożone w stos ciała — jedno z nich mogło być ciałem jej ojca albo matki — nie były widoczne w ciemności.

Wiosłując przepłynęli lagunę, dotarli do rafy koralowej, a stamtąd5 ukradkiem, jak złodzieje, przez zanurzony płytko odcinek rafy, szorując spodem łodzi, przedostali się na swobodę. Znajdowali się teraz na otwartym morzu, w otwartej łodzi, wystawieni na pościg, gdy tylko ich ucieczka zostanie odkryta. Trzeba było się zatrzymać, zastanowić i wybrać najlepszy plan.

Dziewczyna leżała cicho na dziobie, a Mateusz badał spojrzeniem odległą linię brzegową i zastanawiał się nad straszliwym dylematem, przed którym teraz stanęli. Jaki wybrać kurs? —

bo jeśli wybierze źle, krańcowo rozwścieczony Montbarre postara się, żeby Mateusz, żywcem obdarty ze skóry, stał się wypchaną trocinami lalką zawieszoną na topie masztu, a dziewczyna chorym zwierzętkiem zadrażnionym powolnym przechodzeniem przez wiele rąk.

Nie przysięgał, że ją uratuje, ale ucieczka związała ich na śmierć i życie. Oboje byli w najwyższym niebezpieczeństwie, zagrożeni tym samym biczem. Musi znaleźć sposób na uratowanie i jej, i siebie.

Simon Montbarre... co zrobi? Najpierw stwierdzi, że Mateusz zniknął, potem, że nie ma dziewczyny i również barkasa. Ponieważ w grę wchodziła tylko ucieczka morzem, natychmiast zarządzi pościg.

Wie, że jego szybka patache zawsze prześcignie łódź, słabo wspomaganą zwykłym małym żaglem. Przerażony zbieg popłynie z wiatrem, a doświadczony marynarz skieruje się przeciw wiatrowi — i mimo to zostanie schwytyany.

Bo Montbarre wyśle pogoń obydwoma kursami,

Mateusz więc musi udać się tam, gdzie według Montbarre'a nie będzie po co go szukać.

Barkas musi zniknąć. Montbarre musi stracić czas na daremne poszukiwanie. Muszą zatem przeczekać tu, gdzie są, aż zostaną uznani za zaginionych na morzu, a pogoń osłabnie i całkiem ustanie.

Barkas, obciążony koralowymi głazami i przeciągnięty za dziób, został łagodnie odepchnięty, by dryfował od miejsca ich lądowania na drugim krańcu wyspy, z dala od przeklętej plaży. Przepłynie jakieś trzy mile i zniknie. Mateusz zabrał z łodzi całe jej skąpe wyposażenie: dwie linki rybackie, pustą baryłkę na wodę, siekierę, małą lunetę i dwa wiosła.

Oprócz tego miał swój nóż i pistolet z prochem oraz dwadzieścia kul.

Na tym musieli oprzeć swoje gospodarstwo i jakoś utrzymać się przy życiu.

W niebezpiecznych ciemnościach nie padło ani jedno słowo. Dziewczyna, jakby desperacko postanowiwszy mu zaufać, robiła to co on, bez zadawania pytań. Obładowani swoim skromnym dobytkiem

weszli z plaży i poprzez labirynt skał i niskie zarośla zaczęli trwożliwie przedzierać się w głąb lądu, jak ścigana nocna zwierzyna.

Kiedy im się wydawało, że weszli dość wysoko i oddalili się od plaży dostatecznie daleko, zatrzymali się, położyli pod wysoką palmą i wyczerpani zasnęli. Nawet gdyby dziewczyna

była Wenus, Mateusz nie miałby siły jej tknąć, a jeśli by on był Zeusem, najgroźniejszy jego piorun nie przebiłby jej dziewiczej zbroi.

O świcie zbudziły Mateusza głośnie krzyki w pobliżu. Żaden hałas w życiu nie przeraził go bardziej. Zerwał się, gotowy w równym stopniu sam paść zabity, jak i zabijać. Okazało się jednak, że głosy dochodzą nie od osłoniętej strony ich rajy, lecz z za szczytu wzgórza. Z

największą ostrożnością i strachem poczołgał się w tamtym kierunku. Wkrótce ujrzał plażę w dole i patache na kotwicy.

Na plaży wrzało, lecz było to wrzenie towarzyszące nie poszukiwaniom, lecz odpływaniu.

Zdobycze, zapasy i kilka kobiet zniesiono nad wodę i załadowano na drugą łódź z patache.

Montbarre zabrał przynętę i wyruszył w pościg.

Mateusz usłyszał szmer obok siebie — to dziewczyna dołączyła do niego. Zaczęła

popłakiwać, przerażona widokiem mężczyzn biegających tam i z powrotem po wybrzeżu

śmierci i kobiet płaczących z powodu dalszej niewoli. Gdy wyciągnął rękę, żeby ją uspokoić, trzepnęła w nią i cofnęła się skurczona. Był jednym z tamtych potworów!

W śmiertelnej ciszy patrzyli, jak patache wybiera kotwicę, wyciągając ją z piaszczystego dna, i przeprowia się przez lukę w rafie. Przez cały ranek pływała na wschód i pod wiatr, to w jedną, to w drugą stronę, jak tropiący pies. W końcu, kiedy już prawie zniknęła z pola widzenia, zawróciła i skierowała się ku wyspie. Z zaschniętym gardłem i walącym jak młot sercem

Mateusz śledził jej bezlitosne posuwanie się w tym kierunku. Czy koniec końców znowu się tu zatrzyma i zacznie właściwe poszukiwania?

Na szczęście odpowiedź brzmiała: nie. Chociaż patache przepłynęła wolno wzdłuż

zewnątrznej strony rafy, i Mateusz z dziewczyną schowali głowy w obawie przed czymś

byстрыm wzrokiem, nie zatrzymała się. Montbarre ponownie zawrócił, ustawiając statek tępiej do wiatru, i ruszył ostatecznie na południe i zachód, ku otwartym wodom Morza Karaibskiego.

O zachodzie słońca przestali widzieć łopot łacińskiego żagla i zostali sami.

Przez dłuższy czas dziewczyna bała się Mateusza. Jedno krótkie zetknięcie się z tymi

podłymi ludźmi wystarczyło, żeby na całe życie zatruć jej myśli i odczucia. Nigdy więcej nie zaufa. Nawet jeśli ten człowiek matował jej życie, zrobił to na pewno w niecznym celu, w odrażających zamiarach.

Często kryła się przed nim od jednego zachodu słońca do drugiego, aż głód przyganiał ją z powrotem. Wracała drżąc do ich obozowiska wśród skał, zjadała, co jej dawał, a potem znów się chowała, jak najdziksze zwierzątko, żeby ponownie nie trafić w sidła.

W końcu, gdy nie doznawała nic złego, najpierw nabrała zaufania, a potem zaczęła

zachowywać się wyniośle i władczo, jak dziewczyna świadomie chcąc doprowadzić

mężczyznę do szaleństwa. Domyślała się, że chociaż przystojny, o silnym ciele i charakterze, Mateusz Lawe był niskiego pochodzenia. Jako córka wysokiego rodu — tak sądził Mateusz — mogła tylko pogardzać kimś z rynsztoka, jak on.

Nigdy nie powiedziała mu, jak się nazywa, w ten sposób zaznaczając dzielący ich dystans i ustanawiając go raz na zawsze. Wyśługiwała się nim natomiast jak niewolnikiem. Fakt, że ten silny i rozgarnięty mężczyzna był jej potrzebny do utrzymania ich obojga przy życiu, nie liczył

się — chyba że w głębi jej duszy.

Mateusz nie robił z tego problemu. Przypadł mu w udziale trud tak wspaniały, jak nigdy

dotąd w jego życiu, i było rzeczą bez znaczenia w ogólnym rachunku szczęścia, że musiał go dzielić z dumną, gardzącą nim panią. Może przyjdzie dzień, kiedy ona zmięknie, gdy

rozkoszne młode ciało i krew zapragną tego, na co przysłała pora. A może na zawsze zostanie Królową Śniegu.

Na razie musieli jakoś urządzić sobie życie. Mateusz zabrał się do tego, nastawiając się na odmienny mozolny trud w związku z postanowieniem uczynienia rajy z tego małego,

przyjaznego zakątka w dzikim pustkowiu.

Ustawił dwa namioty — daleko jeden od drugiego, rzecz jasna — zrobione z płótna

żaglowego, wyrzuconego na brzeg z hiszpańskiego wraka, i przykrył je palmowymi liśćmi dla zamaskowania przed nieprzyjawnymi oczyma. Między namiotami urządził ogródek, gdzie

rosła obfitość jamsów, pawpawy o lśniącym, różowym mięszu, mogącym zwracać myśli

mężczyzny ku innym rzeczom, a także dzikie figi i żółte korzenie o nie znanej mu nazwie, smakujące jak

rzepa z zachodniej Anglii — można było ugotować z nich uczciwą zupę.

Codziennie rozpalał ognisko za pomocą szkiełka lunety i wysuszonej hubki z łupin

orzechów kokosowych, żeby przygotować wieczorny posiłek.

Mięsa nie mieli wcale i przez długi czas tylko o nim marzyli. Gdyby udało mu się wytropić dzikie świnie, najpierw oddałby im cześć, potem by je podchowwał i wypełnił spizarnię ich delikatnym, tłustym mięsem. Na razie spizarnią musiało być zasobne morze, z którego

pochodziły młodziutkie delfiny, mięsiste latające ryby, łososie i makrele; czasem trafił się wędrujący żółw, odpowiedni na bankiet u burmistrza Londynu — i u nich.

Zrobił więcierz na ryby i basenik, do którego z przyływem wpadały małe kraby, białawe

kwetki i drobiazg bonito i zostawały tam po odpływie. Ograbiał gniazda mew z niebiesko nakrapianych jajek. Zbudował drewnianą szopę ze strzechą z palmowych liści dla osłony przed zimowymi wichurami i ustawił w niej proste półki, na których trzymał suszoną rybę, nasiona na zasiewy, drewno na opał i mleczone orzechy kokosowe.

Zmienił bieg strumyka wypływającego ze źródła w górze nad nimi, tak aby przepływał

przez ich ogródek. Zrobił dziewczynie łożo, na którym zmieściłyby się trzy takie jak ona. Za swe trudy nie otrzymał nic, poza pogardą.

Dla spokoju jej duszy oczyścił tamtą plażę z pozostałych na niej trupów.



Większą część tej odrażającej roboty wykonały już za niego regimenty krabiego wojska i żarłoczne ptactwo morskie oraz zbawienne działanie słońca. Nie mogli jednak żyć w pobliżu wciąż widocznych szkieletów sponiewieranych ludzi. Powiązał je więc pasami z płótna żaglowego, sporządził tratwę z wyrzuconego na brzeg drewna i pomagając sobie wiosłami wywiózł te biedne pozostałości po ludziach — jak stary Charon za Styks — poza rafę koralową, skąd zabrał je ostatni dla nich odpływ.

Ale dziewczyna ani razu nie poszła na ową plażę, nawet gdy Mateusz zakończył jej uprzątnięcie, tak że wyglądała jak ich własna. Dla niej był to wciąż najciemniejszy zakątek piekła, nad którym unosił się cień rozbitego hiszpańskiego statku, chociaż spoczywał on już w głębokiej wodzie i był tylko wspomnieniem bezdenne go smutku i bólu. Dla niej jedynie ich maleńki raj był nie splamiony i zapewniał błogosławiony spokój.

Tak mijał miesiąc za miesiącem. Pory roku przychodziły i odchodziły. Posługując się prymitywnym zegarem słonecznym, który sporządził z pnia drzewa i ustawionego za nim płaskiego głązu, mógł się orientować, kiedy przypadał środek lata, a kiedy zimowe przesilenie dnia z nocą. Ten zegar pozwalał liczyć upływ okresów dwunastomiesięcznych, a nawet dłuższych. To im wystarczało, nic więcej nie chcieli wiedzieć.

Ich samotne bytowanie bywało zakłócone, a czasem wręcz zagrożone. Raz lub dwa razy w roku rybacy — Indianie karaibscy — przepływali tędy na swoich czółnach i wychodzili na brzeg, żeby ucztować, tańczyć, zaopatrzyć się w wodę i pawpawy, a potem odpłynąć w dalszą drogę. Mateusz był pewien, że tak jak on wie o ich obecności, oni ^wiedzą o jego. Z natury rzeczy i dzięki swym umiejętnościom byli chyba najmądrzejszymi ludźmi, jacy żeglowali po tych tajemniczych wodach.

Ale zawsze trzymali się z dala. Ci ubodzy, niewinni i spokojni

I \_\_\_\_\_ ludzie uważali pewnie, że rozbitkowie muszą być tak samo biedni jak

oni, nie było więc czego rabować ani kogo zabijać czy zakłócać spokój. Cały świat powinien się opierać na takiej wyrozumiałej tolerancji!

Do wyspy podeszły też trzy statki, duże i groźniejsze od innych przybyszów, przedostały się na lagunę i pozostawały na niej, aż zaspokoili potrzeby załóg. Mateusz i dziewczyna leżeli przez ten czas w ukryciu, jak myszy, świadome, że milczenie i bezruch mogą przechytrzyć kota.

Nie poruszył się żaden cień, nie drgnął nawet listek, gdy zbierając zapasy rabusie przechodzili jak ślepi opodal ich obozowiska i nie zauważywszy go, szli dalej. Mateusz przejmował wtedy kierownictwo i udowadniał, że to było konieczne—jego doświadczenie kierowało ich zachowaniem i we dnie, i w nocy.

Wróg, którego najbardziej się obawiali, patache, nigdy nie spluga- wiła ich raj. Jeśli Montbarre'a nie napotkała śmierć, o co wszyscy chrześcijanie musieli gorąco się modlić, to jego żeglarski nos zawiódł, nie przyprawiając go z powrotem na wyspę.

Fakt, że potrzebowali się wzajemnie, chociaż nigdy nie potwierdzony słowami, dominował w każdym momencie ich życia, zarówno w okresach niebezpieczeństwa, jak i w długich miesiącach samotności, nie zwalnijacej ich jednak od walki o przeżycie w ich małym królestwie. Niewinność też ustalała reguły. Żyli osobno, krzepki mężczyzna i promienna dziewczyna, jak klasztorni nowicjusze, co ślubowali zapomnieć, że mają ciała.

Nadszedł jednak czas, gdy bez żadnego innego powodu, poza tymi tajemniczymi zjawiskami, które przytaczał niekiedy z Pisma Świętego Henry Morgan w momentach między pobożnością i rozpustą—“Droga orła w powietrzu, droga węża na skale, droga okrętu na morzu i droga mężczyzny z kobietą” — bez powodu możliwego do zgłębienia sondą zwykłej logiki wszystko, czego im brakowało, zostało przydane.

I

I

Może przyczyniła się do tego zdarta odzież, która zaczęła z nich spadać jak zwiędłe, zwarzone chłodem liście. Nadszedł dzień, kiedy dziewczyna nie była już w stanie zszyć koszuli danej jej kiedyś przez Mateusza. Z najlepszych skrawków tego, co z niej zostało, zrobiła stanik, którym osłaniała swe wspaniałe piersi. Ale stanik też wkrótce się rozpadł i musiała chodzić z odkrytymi piersiami — i pozwalać mu pożerać je wzrokiem.

Jego odzienie również się rozpadło, odsłaniając to i owo, co zrazu ich krępowało, aby w końcu zubożnąć. Niewiele zasłaniające krótkie portki—wszystko co zostało ze spodni ze sztywnego żaglowego płótna — wkrótce przestały spełniać swoją rolę. No to co? Jest

mężczyzną i może tego dowieść; ona jest kobietą, i on wie o tym. I tylko jakiś ślepy proboszcz

mógłby zaprzeczyć temu, co ujawnił pierwszy promień słońca...

W końcu mieli tylko, jak przed nimi Adam i Ewa, fartuszki zasłaniające wstydlive okolice ciała — jeśli wstydlivość jeszcze coś znaczyła w ich życiu, a tak już raczej nie było.

Któryś ranek zastał ich oboje nagimi; niespodziewanie oboje naraz wybuchnęli śmiechem i tak zaczęła się ich wiosna.

Jak tyle dni przedtem, i teraz spędzili czas osobno, ona w ogródku zajęta uzupełnianiem zapasu wody w beczce i splataniem lian potrzebnych do naprawy dachu jej namiotu, a on na plaży, gdzie wybierał ryby z więcierzy i zbierał drewno wyrzucane przez fale, nieustannie obserwując morze, żeby ich nie zaskoczono.

Gdy wrócił, była pogrążona w myślach — nie do tego jednak stopnia, aby nie wykrzyknąć na widok wielkiej kłody wyciągniętej z morza i przepięknej ryby papuziej o złocistym pyszczku, która mogła —r ale nie musiała — nadawać się do ugotowania.

To była swego rodzaju pochwała, pierwsza, jaką usłyszał od czasu, gdy Montbarre pochwalił go za manipulowanie liną przy ostatnim strappado.

— Tak gorąco — powiedziała. — Idę popływać.

Po raz pierwszy odniósł wrażenie, że ma iść za nią. Zaczął się nad tym zastanawiać, a potem przestał się zastanawiać.

Pływali, stawali w wodzie i znów pływali, zanurzając się po uda, do pasa i po piersi w ciepłą, spokojną wodę ich małej laguny, ich koralowej fortecy. Pod pierwszą pieszczotą morza jej szczupłe, nagie, opalone ciało załśniło jak drobny żółty piasek, który, spragniony przyplýwu teraz nie musiał już go pragnąć. Jego szeroki tors i muskularne członki przybrały tę samą barwę — i nabrały tej samej dumy.

Była to chwila, przed zapadnięciem zmroku, kiedy mężczyzna mógł być rad, że jest zbudowany inaczej niż dziewczyna; ona to wiedziała i — zawstydzona — podzielała jego zadowolenie. Tak więc oboje zdali sobie z tego sprawę.

Strząsnęła lśniące krople wody z włosów i twarzy i stojąc spokojnie przed nim na płytkim brzegu rafy powiedziała swoją staranną angielszczyzną, brzmiącą nie mniej absurdalnie niż jego słaby kastylijski:

— Czas, żebym ci podziękowała.

Mateusz, niezdolny pojąć tej zmiany nastroju, mógł go tylko zaakceptować i patrzeć, patrzeć, patrzeć na jej poważną, rozjaśnioną twarz, na całą resztę i znowu na twarz.

— Nie musisz dziękować — odparł. — Trzeba było jakoś przeżyć i przeżyliśmy.

—

Ale ty tak ciężko pracujesz. A ja nie mam nic, żeby ci odpłacić. Byli razem i sami w świecie barw i ciepła. Ostatnie promienie

zachodzącego słońca ożywiły rafę. Purpurowe wachlarzowate koralowce chwiały się zachęcająco, morskie anemony z szerokimi otworami gębowymi o delikatnym odcieniu ciała otwierały się i zamykały pod działaniem pływu. Inne koralowce, grube, o strukturze przypominającej mózg, miały różową barwę, a koralowce palczaste delikatną, bladożółtą, jak szczupłe dłonie dziewczyny.

Leniwym ruchem zerwała jeden, odwróciła go i w nagłym rozbawieniu podała

Mateuszowi. Miał niezwykle zmysłowy kształt: dwie okrągłe różowawe kulki, a między nimi mocny brązowy kolec. Włożony w jego dłoń kolec zwisał w dół; w końcu dziewczyna

odwróciła go w górę, demonstrując pełny obraz wyprężonej męskości.

Potem, jakby się chwiejąc, oparła się o niego. Jego zgłodniałe dłonie objęły jej piersi.

Złapała gwałtownie oddech, jakby Mateusz dotknął samego rdzenia jej namiętności. Zwarli się w pocałunku i palec koralowca stał się żalostną miniaturą przy prawdziwej męskości.

Poszli szybkim krokiem wzdłuż brzegu, a potem plażą do pierwszego osłoniętego miejsca pod palmami. Gdy legli na posłaniu z wysuszonych słońcem traw, Mateusz, chociaż pod gwałtownym naporem pożądania, próbowałby pewnie pieszczotami przygotować jej wspaniałe, uległe ciało, lecz jej było pilno z innego powodu.

Drżąc, ze strachu, wstydlivości, przerażających wspomnień czy może z namiętności, zdolnej stłumić każdą inną myśl, szepnęła gorączkowo:

— Zrób to szybko! Nie przejmuj się, gdybym krzyczała. Teraz! Już! Weź mnie teraz!

Tylko raz krzyknęła zduszonym głosem: — Mądre! Mądre! — ale niebo jedynie mogło

powiedzieć, czy wzywała swoją matkę, czy Nieśmiertelną Matkę Boską. Jej ból trwał równie krótko jak jego ekstaza, wzniecona długim głodem rozsadzającym mu lędźwie, jak stopiona lava rozsadza wierzchołek wulkanicznej góry.

Zadrzał. Między jednym okrzykiem radości i drugim wylał się z niego strumień i pozostał palec koralowca.

Ale tak było najlepiej... Gdy zsunął z niej swe rosłe ciało, dziewczyna, leżąca nago na plecach — sama rozkosz dla zmysłów i niebiańska obietnica jutra — oznajmiła pierwszym

gwiazdom, które pojawiły się na wieczornym niebie:

— Teraz jesteśmy wolni!

Miłość nadeszła powoli, lecz nigdy ich już nie opuszczała. Mówiąc, że są wolni,

dziewczyna wypowiedziała największą prawdę ich życia: swoim przyzwoleniem zamieniła ich więzienie w raj, od niepamiętnych czasów zaplanowany przez Boga i naturę. Teraz wszelki trud przestał być trudem, a stał się dawaniem i braniem, przyływem i odpływem potężnej fali, jaką stają się kobieta i mężczyzna, gdy prawdziwie złączą się w jedno.

Było to mieszanie się żywiołów tak różnych, jak ogień i woda, morze i niebo, ziemską

rzeczywistość i cuda bajkowej krainy. Na wspólnym posłaniu miękkie czarne loki splatały się ze szczeciniastą czupryną koloru blond; szczupłe palce poddawały się twardym rękom

zaprawionego w pracy marynarza; gorąca krew hiszpańska w zetknięciu z angielską męską siłą ujarzmiła ją delikatnością dziewczyny, której piersi dopiero nabrzmiewały mlekiem.

Przeżywali swoją idyllę w przyjaznym blasku słońca i pod ciepłą osłoną nocy. Nikt ich nie oglądał; oni zaś widzieli tylko siebie, nagie dzieci na koralowym brzegu. Wydawało się, że miłość i dobry los nigdy ich nie opuszczą.

Tej okropnej nocy, która dla obojga stała się zaczątkiem piekła, Mateusz Lawe stracił

przytomność połknąwszy truciznę, sok z owocu wilczomleczu, który skapnął na suszącą się na słońcu rybę i wraz z nią dostał się do jego żołądka. Gdy wysoka gorączka ustąpiła, wypił trochę sfermentowanego mleczka kokosowego, z którego przyrządzali sobie prawdziwy kordiał,

osładzający ich już i tak słodkie życie.

Pod jego wpływem zaczął mówić dużo i beładnie, snując szalone, mroczne sny na jawie,

pełne niepohamowanego pragnienia miłości. Leżał z nią po raz tysięczny, jak podczas tysiąca takich

chwil, kiedy musiał albo natychmiast wejść w jej królestwo, maleńkie, zasługujące na nazwę boskiego, albo zginąć z nienasycenia. Ale tym razem długo zwlekał ze zsunieniem się z jej uległego ciała i w pijanym uniesieniu wykrzyknął:

— Żebyś wiedziała, co to znaczy być przez ciebie oczyszczonym! Choćby raz na sto lat!

Słuchała go raczej ciałem niż rozumem; jej intymne okolice stały się . chętnym uchem

miłości. Lecz Mateusz mówił z takim żarliwym podnieceniem, że — nie odsuwając się od

niego — spytała:

— O co ci chodzi? O czym mówisz? Jakie sto lat?

Nie ściemniło się jeszcze na tyle, żeby nic nie było widać, i nagle Mateusz poczuł, że nie może dłużej tajić przed ukochaną swą okropną tajemnicą. Obrócił się ku niej, utkwiał w niej wzrok i powiedział:

— Patrz, najdroższa, patrz! Powiedz mi... co widzisz we mnie?

Przez długą, okropną chwilę nie odpowiadała. Patrząc mu w oczy,

a więc i w głąb jego duszy, wchłonęła jego opowieść — a przynajmniej tyle z niej, ile była w stanie bez utracenia wiary, a później rozsądku. Może pojęła jej fragment, może mglistą całość, a może jej okropną stronę: upiorny los wiecznego więźnia, trud stu lat życia w fałszu, trwania w świadomości, że jest skazany.

Wyobrażenia podsuwała jej przerażające obrazy bez żadnego z nich wyjścia, ale nie widząc żadnego grzechu w miłości — taka dziewczyna jak ona, dumnie poddana niewoli uczucia —

niczego się nie lękała. Patrzyła na życie praktycznie, jak dojrzałe kobiety, i chciała z niego korzystać.

Ich czas był t e r a z; nie sto lat wcześniej ani sto lat później i żadna gra słów, żadna wizja nie z tej ziemi nie mogła zeszpecić wizji innego rodzaju—jego na niej, jego w niej, jego dającego z siebie wszystko i jej chłonącej to jak wyschła gleba gwałtowny deszcz.

Powiedziała: — Nic nie wiem. Albo wiem wszystko. Wejdz teraz we mnie. Głębiej niż

kiedykolwiek przedtem.

— Dziękuję ci, na wieki.

Teraz ona się odezwała, uległym głosem: — Na Chrystusa, nie wiem, w co wierzyć! Ale

wiem, co czuję! — Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy poza modlitwą usłyszał ją wymawiającą imię Zbawiciela. Lecz w tym samym momencie wlał w nią taki wiosennie burzliwy strumień

życia, stary jak Bóg lub nowo narodzony jak Jego Syn, że jeden kaprys wieczności nie mógł

uczynić go bezwocnym.

Rano, po głębokim śnie bogów i ospałym budzeniu się śmiertelników, dziewczyna w nagiej glorii swej urody usiadła na posłaniu, które dzielili ze sobą, i powiedziała:

— Może czas, żebyś zaczął nazywać mnie po imieniu.

Mateusz leniwie otworzył oczy i ujrawszy nad sobą jej wspaniałe,

dumnie sterczące piersi, zanurzył między nie twarz. Trwając w tej pozycji, w tym świętym punkcie widokowym, szepnął:

— Ale ja nie znam twojego imienia.

Poczuł, że dziewczyna drży lekko, ale to było drzenie ze śmiechu.

— Nie będziesz stroił ze mnie żartów?

— Czemu miałbym to robić? Cóż to za imię?

Jej piersi drgnęły rozkosznie, gdy odpowiadała: — Conception\*!

Nie rozmawiali więcej na temat tamtej nocy ani niczego, co się wtedy zdarzyło. Jego

tajemnica, dzięki podzieleniu się nią z dziewczyną, jakby się rozplynęła w miłości, a tamten wspaniały akt miłości wszedł do kalendarza podobnych uniesień i znalazł tam swoje

uświęcone miejsce. Jego rzeczywista uczuciowa cena potwierdziła się, gdy w miesiąc później Conception stwierdziła, że nosi w sobie dziecko; i po okresie ciąży, kiedy umierała w czasie porodu.

Mateusz nie wiedział nic o tych sprawach i nie umiał jej pomóc; wyglądało, że jej

umęczone, spływające bolesnym potem ciało nie potrafi wydać na świat uwięzionego w nim

dziecka. Połóg ciągnął się przez dwa okropne dni, w czasie których wskutek piekielnych

cierpień straciła wszystkie siły fizyczne i duchowe.

Obmywał delikatnie jej twarz i trzymał ją za rękę, kiedy wiła się i skręcała w bólach. Gdy krzycząc i krwawiąc urodziła wreszcie w straszliwych mękach, przyszło zapłacić ostatnią cenę.

Dziecko krzyknęło i zaczęło żyć; Conception westchnęła z ulgą, dotknęła przerażonymi palcami swego rozdartego ciała i zaczęła umierać.

On dalej zwilżał jej twarz, trzymał za rękę, poił wodą i błagał nieprzytomnie: —

Najdroższa, nie zostawiaj mnie!

Ale widać musiała go zostawić. Przed nadejściem południa zaciśnięte usta odmówiły przyjęcia ostatniego łyku, wyczerpana głowa osunęła się na bok i samotna podróż dobiegła końca.

Mateusz zapłakał. Jej ciało stygło, a on urągał niebu i wszystkim wrogim siłom i znowu płakał. A potem zamienił się w grabarza i pogrzebał obydwie ciała, martwe i żywe, w tym samym okrutnym łożu pod palmami, w małym ogródku, który oboje zakładali. Uśmiercił chłopczyka z zemsty i współczucia; po co miałby, opiekując się nim, dać światu jeszcze jednego naznaczonego przekleństwem tułacza? Dziewczynę układał na spoczynek z dojmującym bólem i rozpaczą. Jak będzie mógł teraz żyć dalej?

Tak zostało postanowione... Następnego dnia Mateusz wspiał się na wzgórze nad swoim cmentarzykiem i ujrzał to, co pragnął zobaczyć. Bez oglądania się za siebie zszedł wolno, nie kryjąc się, na starą, zhańbioną plażę w stronę, czołen wyciągniętych na brzeg przez Indian karaibskich. Zbliżył się spokojny, choć udręczony, pokazując zdumionym dzikusom, że ręce ma puste.

## VI

Na Barbados, błyszczącym klejnocie Wysp Nawietrznych, Mateusz kolejny raz spotkał się ze światem; Barbados — wyspie upojnej i sennej, śmiejącej się do słońca; Barbados — źródle trzciny cukrowej i ognistego rumu; Barbados — gdzie ci sami szlachetni Indianie zostawili go na brzegu u skłonu nocy i umknęli, zanim świt mógł uczynić z nich niewolników — na

Barbados zaczął się bać.

Kręcił się po wewnętrznym porcie zwanym Careenage, dokąd Iprzyholowywano statki dla oczyszczenia i uszczelniania. Przebywanie w tłumie budziło w nim lęk; za dużo tłoczących się ciał, zbyt wiele nieznanymi twarzami i kierujących się na niego oczu. Dostatecznym ciężarem kładła się na nim utrata, w tak okrutny sposób, cudownej samotni, w której przebywał tak długo. Znalezienie się w tłumie potracających go ludzi mogło być tylko karą.

Niemniej jednak musiał włączyć się w ten świat. Skromny zapasik gwinei, noszony przez lata w zawiniątku ze skrawka żaglowego płótna z hiszpańskiego wraka, szybko topniał. Musiał wrócić w odpychające objęcia kolegów-marynarzy. Musiał znowu pływać.

Aż któregoś dnia, gdy patrzył na obsługujący wyspy statek przygotowujący się do wyjścia w morze i



zastanawiał, czy nie znalazłby na nim miejsca dla siebie, natknął się na przyjaciela, wielce zdumionego jego widokiem. Był to John Flowerdewe z dawnej załogi Morgana.

— Mateusz! — krzyknął Flowerdewe z niedowierzaniem. — Czy to naprawdę ty?

Myślałem, że nie żyjesz od pięciu lat, a może i dłużej! — Ponownie przyjrzał się twarzy przyjaciela, a potem walnął go w plecy niezapomnianą, budzącą strach pięścią.

— Rany boskie, to on! I nic a nic nie zmieniony! Gdzie się podziewałeś?

— Tu i ówdzie. — Mateusz ucieszył się ze spotkania, chociaż bał się wpaść w matnię nieszczęsnej przeszłości. — Nigdy nie miałem kłopotu ze znalezieniem statku.

— W tej samej branży?

— Nie. Skończyłem z piratami.

— A czy oni skończyli z tobą? — Flowerdewe jakby chciał dodać coś jeszcze, ale zmienił zamiar. — Czy stać cię na kufel piwa?

— Tak.

Usiana bliznami twarz łotra rozjaśniła się. — No to na co czekamy.

W tawernie długo gadali. Mateusz ostrożnie posuwał się po swoich kłamstwach, jak

linoskoczek po linie. Gdy jednak doszli do wspólnej

przeszłości, Flowerdewe powiedział mu zdumiewającą nowinę. Na pytanie Mateusza: "Co się stało z kapitanem Morganem?" jego towarzysz opowiedział mu najdziwniejszą w świecie historię.

— To nie wiesz? — Udał, że przygląda się uważnie głowie Mateusza. — Wciąż masz oba uszy? Czy zatkały się rybimi flakami? Morgan jest najważniejszym człowiekiem na Jamajce!

Na całym Morzu Karaibskim!

— Co... ten łotr?

— Już nie jest łotrem. Uważaj, co mówisz, Mat! Mówisz o Sir Henrym Morganie.

— Co? To nie może być!

— To może być i jest. W końcu popadli w niełaskę, on i stary Tom Modyford. Król miał

dosyć ich pirackich kłamstw i oszustw. Zostali odesłani pod strażą na fregacie do Anglii i tam

zamknięci w więzieniu. I zgadnij, kto po dwóch latach pozostał w londyńskiej Tower\*, a kto wyszedł na wolność?

Mateusz musiał przerwać ten potok słów, bo zupełnie przestał rozumieć. — Skąd tamta niełaska? Myślałem, że Morgan był ponad prawem.

— I ja też. Ale posunął się za daleko. Czyżbyś nie wiedział? Morgan zdobył Panamę!

Potem wypuścił się na Pacyfik i łupił Hiszpanów, doprowadzając ich do rozpacz. Większą część swojej załogi wysadził wtedy na bezludną wyspę, żeby było mniej ludzi do podziału łupów. Zostawił ich tam, zaskoczonych, przeklinających, i wrócił do kraju z pół milionem sztuk złota!

— Ale Tower w Londynie... Jak on...

Flowerdewe pociągnął łyk piwa. — Wiesz, jak Morgan potrafił gadać. Ptaki z drzew

zlatywałyby się, żeby go słuchać, nie mówiąc o kobietach. Jakoś uzyskał posłuchanie u króla, był sądzony i puszczony wolno. Potem wszystko mu wybaczone, a jeszcze później został Sir Henrym Morganem i porucznikiem-gubernatorem Jamajki. A co miał robić według

królewskich instrukcji? Polować na piratów!

Mateusz roześmiał się mimo wątpliwości i swego niepewnego położenia. — To on potrafi!

— Jasne. Mówią, że w Port Royal nie usłyszysz się ani jednego brzydkiego słowa. —

Flowerdewe przyjrzał się bliżej kompanowi spojrzeniem pirata, chytrym i złowieszczym. —

On ci nigdy nie wybaczy, Mat. W życiu nie widziałem bardziej rozwścieczonego człowieka.

On nie darowuje dezterterom. Gdyby wiedział, że żyjesz... Mówi się też... ten stary Francuz Montbarre ciągle podobno ciebie szuka. Co za wrogów sobie narobiłeś! Morgana i Montbarre'ego. To tak jakby samego diabła i jego bękarta!

— Nie znajdą mnie.

—

Głupie gadanie. Gdybym nie był takim przyjacielem, sam bym cię sprzedał!

— A jesteś przyjacielem?

— Tak.—Pirat znowu bez wahania wyszczerzył zęby. — Na jeden dzień i noc. I za następny kufel piwa.

— Co mam robić?

Flowerdewe wzruszył ramionami i pstryknięciem palców dał znak chłopcu roznoszącemu piwo. — Zamustruj na jakiś statek. Postaraj się na początek, żeby dzieliło was od siebie pół świata. Ale zostaw mi na zapłacenienie za piwo. Człowiek samotny odczuwa pragnienie.

CZEŚĆ CZWARTA

URZĘDNIK ADMIRALICJI

Swoimi naukami i przykładem miał przekształcić tworzoną dopiero i źle kierowaną Marynarkę Wojenną w najbardziej trwałą, wymagającą i skuteczny instrument siły, jaki był znany na tej niespokojnej planecie od czasów Cesarstwa Rzymskiego.

Arthur Bryant, Samuel Pepys: "The Years of Peril" (Niebezpieczne lata), o mianowaniu Pepysa Sekretarzem Marynarki Wojennej w czerwcu roku 1673, w wieku lat 40.

Był piękny, bezchmurny angielski dzień i wszyscy w Portsmouth bardzo się z tego cieszyli.

Słońce świeciło jakby na królewski rozkaz, flagi i proporce powiewały z łopotem

przypominającym oklaski. Obecny był król i jego urodziwa dama serca, księżna Portsmouth, jego mniej skłonny do alkoholu brat Jakub książę Yorku oraz całe mnóstwo ludzi z wyższych sfer, zgromadzonych wzdłuż nabrzeża.

Wodowany miał być królewski jacht, co było okazją do nałopiania się piwa do woli za

darmo, i pospólstwo, gapiąc się i weseląc, mogło popijać, przyjmując ten dar królewskiej szczodrości ze swobodą ludzi, którzy nie muszą płacić. Było to święto Portsmouth, a umiała je dobrze znana, miła woń słonej morskiej wody i wspaniała świadomość, że wszyscy obecni tu mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy wydadzą następne pokolenie żeglarzy, świętują w samym morskim sercu kraju, najświetniejszym morskim porcie Anglii.

Że jednak była to wolna Anglia i wolne Portsmouth, a marynarze — nawet ci złopiący

darmowe piwo — nie pozwalali zamykać sobie ust taką marną łapówką, tu i ówdzie można

było usłyszeć wulgarne uwagi, trochę zatruwające święty zapach dymów pochlebstwa.

Mateusz Lawe, który niecałe sześć godzin temu zszedł z nędznej barca-longa, uprawiającej handel z Gwineą, i niewątpliwie odczuwałby pragnienie, gdyby przebiegający mimo pomocnik karczmarza nie wcisnął mu w biegu kufła piwa w zdumione dłonie—Mateusz Lawe słuchał

pilnie, nadstawiając uszu.

Nie wiedział nic poza tym, że coś tu świętują i że piękny statek stoi, jak na tronie, na wpzku pochylni, a panowie i damy zajęli najlepsze miejsca widokowe, odcinając się od portowej hałastry. Ale to mu zupełnie wystarczało, zwłaszcza że mógł, nie płacąc, raczyć się do woli dobrym piwem. Początkowo tylko słuchał; ci, co najmniej mówią, słyszą najwięcej, a w tłoku panującym wokół niego wiele można było

usłyszeć. Po takim długim pobycie w swojej afrykańskiej dziczcy bardzo tego potrzebował.

Nawet po godzinie wspólnego popijania nie poznał jeszcze nazwisk nowych przyjaciół, a

tylko ich wulgarne przezwiska. Byli to obywatele Portsmouth z kół niskich i wysokich, a Mateusz został dopuszczony do ich towarzystwa dzięki przykremu wypadkowi. Chłopiec

roznoszący piwo potrafił w biegu wysokiego mężczyznę o twarzy zatwardziałego pijaka, a ten z kolei oblał obficie Mateusza spienionym piwem ze swego kufla. Osuszany i ocierany,

Mateusz poczuł się adoptowanym synem miasta.

Jego nowi przyjaciele zwracali się do siebie: Moczymorda, Szpila, Biskup, Wielki Zad i

Baletnica. To właśnie Moczymorda, którego czerwony nos zdradzał długotrwałą skłonność do alkoholu, był jego bilettem wstępu.

— Nie gniewaj się, chłopie! — przeproszał po raz trzeci lub czwarty, wycierając kubrak Mateusza wielką czerwoną chustką. — Nie zrobiłbym tego mojemu najdroższemu wrogowi. I

jaka szkoda dobrego piwa!

— To przez tego dryblasa — odezwał się Szpila, zwykły szczur portowy, rad ze

znalezienia nędzniej szego od siebie przedmiotu dla swojej chęci dokuczania. — Dostałby ode mnie, żeby nie uciekł! Pokazałbym mu, gdzie jego miejsce!

— No już, spokój! — skarcił ich Biskup, ktoś przy pieniądzech, znaczny dość

mieszczanin, jeśli można było sądzić po jego porządnym odzieniu i wyniosłej minie. — Nawet najlepszemu z nas może się coś przytrafić. — Było to bardzo eleganckie usprawiedliwienie.

Obrzucił spojrzeniem twarz Mateusza i obcy tu strój, jakby chcąc osądzić, czy taki

przebieraniec może zostać przyjęty do jego parafii. W końcu skierował wzrok na oblane

spodnie, pochodzące wprost z magazynu statkowego, workowate jak krowie wymiona przed

dojeniem. — Co za hajdawery! — zawołał. — Nieczęsto widzujemy tu coś takiego... Jesteś z Portsmouth?

— Nie. Z Barnstaple.

— I przeszedłeś taki szmat drogi dla tego święta?

— Nie — zaprzeczył ponownie Mateusz. Był zły, że się tu znalazł, a jeszcze bardziej z

powodu zniszczonego przydziewku. Było to wszystko, co posiadał. A teraz wyglądał jak

żebrak w łachmanach odpowiednich do odstraszenia wron w dzień deszczowy. — Zszedłem

dziś rano na ląd. Przybyłem z Morza Zachodniego. Handel z Gwineą. Ostatnim portem

zawinięcia była Lizbona.

Wzmianka o pływaniu po oceanicznych wodach stała się jego paszportem i postawiła go w korzystnej sytuacji.

— Marynarz! — wykrzyknął Baletnica, kpiarz w tym towarzystwie, chłop trochę niespełna rozumu, o twarzy pooranej zmarszcz

kami jak dojrzały orzech włoski. — Witaj na lądzie! Czy spodziewałeś się znaleźć tu suchą koję? Trzeba ci było zostać w suchym kąciku na statku!

— Mniej zmokłem podczas sztormu w Zatoce Gwinejskiej—rzekł Mateusz szczerząc zęby.

— Co do mnie, to znowu mnie suszy — oznajmił Moczymorda. Skończywszy się wycierać, wyjął chustkę. — Czemu mamy konać z pragnienia w taki dzień jak dzisiaj?

— Idzie następne piwo — zawołał Wielki Zad, tłusty mieszczanin, okrągły jak beczka reńskiego wina. — Przytrzymajmy chłopca, zanim je zmarnuje na innych. — Chociaż dyszał jak wieloryb, a jego monstrualne cielsko mogłoby posłużyć statkowi za kotwicę, potrafił

ruszać się żwawo, jeśli potrzeba zmuszała go do tego. Jego gruba prawa ręka wysunęła się nagle i chwyciła za ramię chłopaka, który chciał ich ominąć. — Co, młodzieńcze! — ryknął

Wielki Zad. — Nie potrafisz odróżnić człowieka spragnionego?

— -A jacyż inni są tutaj? — odrzekł bezczelnie chłopiec. — Już swoje dostaliście. Inni czekają...

— Lepsi od nas? — wtrącił groźnie Szpila.

Roznoszący piwo spojrział na niego. Dałby sobie z nim radę bez trudu i już otworzył usta, żeby się odciąć, ale zastanowił się. Nie był wśród przyjaciół. Tęgie ramię Wielkiego Zada trzymało go mocno. Moczymorda był znany we wszystkich tawernach miasta jako ten, co się nie waha. Biskup wyglądał na kogoś zasobnego w pieniądze, dzięki którym potrafiłby

spowodować wyrzucenie z pracy takiego biedaka jak on. Bez słowa wcisnął w ręce Szpili tackę z sześcioma kuflami piwa, zawrócił i pobiegł po nowy zapas.

Hultaje wybuchnęli śmiechem, pociągnęli z kufli i znowu byli w dobrych humorach.

Mateusz, z zamętem w głowie z powodu piwa wypitego na pusty żołądek, ale i bardzo

zadowolony, pogodnie rozejrzał się dokoła. Żeglarskie szczęście rzuciło go na chwilę do przytulnej koi i będzie dobrze, jeśli w niej pozostanie, a jak nie, to jutro może się trafić nowa szansa. W tym miłym marynarzowi stanie podchmielenia dotrwa z pewnością do końca dnia.

Tym, co skupiało na sobie radosne zaciekawienie, był jacht ustawiony na wózku pochylni do wodowania. Był piękny; wszystkie łagodnie wygięte powierzchnie i stożkowate drzewca, pokryte farbą, lśniły jak hiszpański pancerz. Z gotowym takielunkiem, z podniesionymi

żaglami, lekko wydętymi przez wiatr, z królewskimi proporcami, łaskawie powiewającymi w powietrzu przepełnionym wulgarną atmosferą portu, wyglądał, jakby nie mógł się doczekać, kiedy rzuci się w objęcia morza. Co to musi być za wspaniała rzecz dowodzić takim statkiem!

I mieć władzę nad złotem, co poszło na jego budowę! Mateusz wskazał kuflem na to cudo i powiedział:

— Jak ma się nazywać ten jachcik?

Odpowiedział naturalnie Baletnica, z szelmowskim uśmiechem: —“Fubbs”, rzecz jasna.

Nie słyszałeś? Jak by inaczej miał się nazywać statek królewskiej faworyty?

— “Fubbs”? — Mateusz powtórzył dziwne słowo. Uśmieшки otaczających go mówiły, że jest ono częścią składową niezrozumiałego dlań żartu. — To z pewnością przezwisko! Co ono znaczy?

Teraz przyszła kolej na Szpilę. — Gdzieżeś przebywał, na miłość boską? Tak król nazywa

pieszczotliwie swoją kochanicę. Nie znasz tego dowcipu? Mówią, że dzieciaki w szkole

stworzyły dla tego słowa nową koniugację: “Ja fibbsam, ty fubbsasz, on fubbsa”. Ale jedno jest pewne: my nie fubbsamy!

Inni roześmiali się, chociaż we wzroku Biskupa nie było aprobaty. Mateusz jednak dalej

nic nie rozumiał i nie zawahał się przyznać do tego. Zorientował się, że Szpila nie byłby zadowolony, nawet gdyby on sam był królem Jakubem, i że gorzki okrzyk “My nie fubbsamy”

był zawoalowanym wyrazem zawiści. Mimo to Mateusz wciąż był ciemny jak tabaka w rogu.

— Która to kochanica? Nie było mnie pięć lat. Człowiek może stracić rachubę.

— Księżna Portsmouth — wyjaśnił Moczymorda. — A ja piję jej zdrowie! Wypiłbym za

każdego, kto by nas uraczył takim dobrym piwem.—Podniósł w górę kufel i oznajmił z pijacką powagą barmana: — Słuchajcie wszyscy! Oddaję wam księżnę Portsmouth i jego królewską

mość, i “Fubbsa”, i wszystkich, co będą na nim pływać, i tych, co nie będą, i niech Bóg błogosławi

Sama Pepysa, który daje nam okręty, i gospodarza, co funduje nam piwo, i ...

W tym momencie stracił równowagę i osunął się na ziemię. Siedząc ą w kucki jak kura na pisklętach — cały czerwony — wysuszył kufel do końca.

Mogli się tylko roześmiać, tak jak śmiali się wszyscy wokoło, a potem dokończyć piwo i podnieść upadłego wojownika. Lecz Biskup, który ledwie dotknął wargami kufła, jak młoda dama po raz pierwszy zabłąkana w pijackie towarzystwo, zmierzył Moczymordę bardzo chłodnym wzrokiem.

— Możecie sobie pokpiwać — zwrócił się do zebranych, jakby wszyscy powinni być mu wdzięczni za tę dyspensę. — Lecz jawny grzech to jawny grzech, nawet jeśli sam król na niego przyzwala. Gorzej, gdy boski pomazaniec sam uczy swoich poddanych takiej rozpusty, wywołując tym głośny skandal. Może ją sobie nazywać Fubbs, jeśli chce. Albo nawet

Kukuryku! Nic mnie to nie obchodzi. Ale ja nazwałbym ją Batszebą\*.

To oświadczenie wzbudziło mniej zamieszania, niż należało się spodziewać, i Mateusz pomyślał, że powinien poprzeć proroka.

— Batszeba? Czyżby król wysłał jej męża na wojnę, żeby z nią zostać, jak Uriasz Hetyta?

Po raz pierwszy Biskup popatrzył na niego z uznaniem.

— Znasz swoją Biblię, chłopcze, chociaż nie znasz może swojego krawca! Nie, dla popełnienia cudzołóstwa morderstwo nie jest konieczne. Może król posunąłby się do tego, gdyby szło o księcia Portsmouth, żądającego zwrotu swego stanu posiadania. Ale taki odważny rogacz nie istnieje. Pani Fubbs wzniosła się do kręgów arystokracji dzięki własnym zabiegom.

— To król się wzniosł — szczerząc zęby zauważył Baletnica.

— Ona legła na łopatkach.

— Babsko nie jest ważne — odezwał się pogardliwie Szpila wybuchając śmiechem. —

Gdyby jej nie było, znalazłaby się inna dziwka. Drażni mnie sam jacht. Jeszcze jeden

królewski jacht! Po co królowi jeszcze jeden? Ma już ich piętnaście, a wszystkie tylko po to, żeby się ścigać ze swoim bratem, księciem Yorku! Czy na to płacimy podatki? — Szpila,

szczur portowy, nie wyglądający na kogoś płacącego wysokie podatki, miał minę człowieka podle oszukanego. — Królewskie jachty! Takie niegodziwe marnotrawstwo! Ja to nazywam



królewskimi zabaweczkami!

Ale król znalazł nieoczekiwanego sprzymierzeńca w osobie Wielkiego Zada, który musiał być widocznie lojalnym marynarzem, zanim zamienił się w ogromny wór z wnętrznościami, tkwiący teraz wśród nich.

— Niech sobie będzie królewski jacht — ale to jeszcze nie wszystko. Zaprojektowała go i zbudowała Marynarka Wojenna. A oni nie budowali zabaweczek, nawet dla króla. To dla nich okazja do wypróbowania nowych rozwiązań, nowych statków. Ten tam... — podobnie jak Mateusz wskazał kuflem na "Fubbsa" — jest nowym pomysłem Phineasa Petta. Takielunek jak na keczu\* — pierwszy tego rodzaju. Czy będzie lepiej pływał? Tego musimy się dowiedzieć i może później go skopiować. W razie potrzeby pójdzie na służbę do Floty, jak "Henrietta" i

"Katherine" w ostatniej bitwie z Holendrami, albo będzie pływać wzdłuż wybrzeży i zaznaczać pływy i mielizny. Nie gadaj więc o królewskich zabawkach! — warknął w końcu do Szpili.

— Żaden taki wartościowy statek nigdy się nie zmarnował!

Mateusz, którego piwo i pogwarka na morskie tematy pozbawiły

ostrożności, pochwycił znane nazwisko.—Phineas Pett? Czy to ten, co zbudował starego

"Beara"? Dla Sir Waltera?

— "Beara"? — powtórzył zaskoczony Wielki Zad. — Co to za "Bear"? I który Sir Walter?

— Jak to który? Oczywiście Raleigh — odrzekł Mateusz i urwał, przerażony otwierającą

się przed nim przepaścią. Potem udało mu się wywołać na usta głupawy uśmiech. — Nie, to niemożliwe! Coś mi się pokręciło...

Spośród zdumionych spojrzeń słuchających go ludzi wzrok Biskupa był najbardziej

badawczy. On też wyglądał tu na najważniejszego.

— Co wiesz o Sir Phineasie Petcie, który zbudował "Beara"?

— Chyba usłyszałem gdzieś to nazwisko — odparł Mateusz nieprzekonująco.

— A więc masz długie uszy. To jego wnuk.

Była to dla Mateusza bardzo niebezpieczna chwila. Uratował go przypadek i czas, w

którym to wszystko miało miejsce. Na dalszym końcu nabrzeża powstało nagle wielkie

zamieszanie. Chwiejny tłum napierał to w jedną stronę, to w drugą. Stał błysnęła na piersiach żołnierzy, a wysoko nad głowami zaślniły halabardy. W tyle w słońcu zajaśniały nowe barwy: połyskliwe jedwabie, kapelusze strojne w puszyste pióra i, najwspanialsze ze wszystkiego, koronkowe kryzy.

Z tysiąca gardeł wydarł się ryk: wiernopoddaricze wiwaty, okrzyki kobiet na cześć wysokiego, przystojnego mężczyzny kroczącego przez rozstępujący się tłum. Biskup, zapomniawszy wszystkich wypowiedzianych wcześniej słów krytyki i zmieniając kurs równie szybko jak wędrowny aktor stroje, szepnął z oddaniem: — Oto idzie jego królewska mość!

Niech Bóg go błogosławi — gdy orszak wchodził na przystrojone sztandarami podium przed jachtem.

Nadeszła wielka chwila, a pierwszy człowiek w królestwie był jej centralnym punktem.

Jeśli nawet król, który przez dwadzieścia dwa lata dzierżył władzę nad życiem ich wszystkich, mając pięćdziesiąt dwa lata przekroczył już, jak niektórzy szeptali, szczytowy punkt swoich możliwości, wciąż pozostawał w każdym calu mężczyzną i monarchą o

najbystrzejszym umyśle, jaki kiedykolwiek zasiadał na tronie. Gdy tak stał przed nimi

uśmiechając się, jego ogromna peruka w lokach i wyfiokowany strój, włożone na jakiegokolwiek innego mężczyznę, mogłyby uczynić go przedmiotem kpín, a skandaliczne w

kroju, przypominające kobiecą halkę spodnie — obcisłe do kolan, wyżej poszerzone falbanami pienistej koronki o całe dwanaście cali — zdawałyby się odpowiednie tylko dla jakiegoś

bezwstydnika. Ale te wszystkie zagraniczne frymuś-ności Karola, ich niekwestionowanego władcy, będąc jego własnym wyborem, były także wyborem ich.

Kochali go, kiedy tak stał przed nimi, i z głębi serc wznosili, najgłośniejszym jak mogli, okrzyki na jego cześć. Przez blisko ćwierć

stulecia prowadził ich jak pasterz przez niezliczone niebezpieczeństwa: plagę ognia,

spustoszenia spowodowane przez zarazę, wojny i wojenne zagrożenia, spiski i intrygi, swary i zamieszki, zdolne doprowadzić do ruiny całą królewską dynastię, a z nią jej poddanych.

Lecz król Karol przeżywał i przetrzymywał to wszystko nie bez powodzenia i

przekształcił—rzecz wprost nie do wiary—kraj ponurej tyranii Cromwella, lorda protektora, w

“Wesołą Anglię”\*. Król, który potrafił tego dokonać, odbudować z popiołów wielkie miasto, odpędzić Holendrów spod samych jego wodnych wrót, mógł sypiać z dziesięcioma

kochanicami, spłodzić dwudziestu królewskich bękartów i nosić takie szatki w babskim stylu, jakie mu się podobało, jeśli pomagało mu to tak dobrze się trzymać, tak kochać i tak być kochanym.

Portsmouth kochało go szczególnie za to, że był orędownikiem ludzi morza. Z tego, co

docierało do ludności, było wiadomo, że król i jego “mały adwokat” z Marynarki Wojennej, pan sekretarz Pepys, przez trudne lata czynili ręką w rękę wszelkie wysiłki, żeby dać Anglii flotę, a jej marynarzom chleb. Nade wszystko cieszył obecnych fakt, że przy tej wielkiej okazji ten niski, gruby zrzęda, odziany w wyszukany strój, stał ramię w ramię z wysokiego wzrostu monarchą.

Zasłużył na swój dzień chwały w blasku słońca. Obaj, król i jego poddany, zasłużyli na to i dostaną to od Portsmouth — i niech diabli porwą każdego, kto myśli inaczej!

Może tylko Mateusz, którego Biskup chciał zorientować w sytuacji, wskazując obecnych

dygnitarzy, nie mógł zostać jeszcze zaliczony do rozentuzjasmowanego tłumu wielbicieli.

Wszystko mieszało mu się w głowie. Król, oglądany przez niego po raz pierwszy na własne oczy, wzbudził w nim wciąż dobrze pamiętany strach; w swoim bowiem wymyślnym stroju

był niewątpliwie od stóp do głów wizerunkiem Henry'ego Morgana czy też, formułując rzecz bardziej lojalnie, Henry Morgan był wizerunkiem króla.

Gdyby Mateusz nie wlał w siebie tyle piwa, ten widok mógłby odebrać mu całą odwagę.

Czy po to zawędrował tak daleko, żeby ledwie odetchnąwszy wolnością stanąć oko w oko ze swoim śmiertelnym wrogiem? Chociaż zdawał sobie sprawę, że jego skojarzenie jest fałszywe i niemądre, okropne wspomnienia wywołane tym widokiem sprawiły, że serce wciąż waliło w nim jak młotem.

Biskup dalej cytował swój katalog wielkich, w miarę jak jeden po drugim zajmowali swe uprzywilejowane miejsca na podium.

— Tam masz swoją panią Fubbs — mruknął pogardliwie, kiedy drobna postać w

najbarwniejszym ze wszystkich stroju skierowała kroki do pierwszego rzędu. Chociaż była za daleko, aby mógł ją prawdziwie ocenić nawet mężczyzna o jastrzębim wzroku, Mateusz

poczuł się wstrząśnięty tym nawet przelotnym widokiem żywego przybytku grzechu. Czy

trzeba być aż królem, żeby mieć taką wesołutką partnerkę?... — Przez dwanaście lat gziła się z nim w łóżku, a teraz księżna! A na dwór przybyła jako dama dworu — honorowa dziewczica.

— I dziewictwo, i honor szybko się ulotniły — zauważył lubieżnie Baletnica, oblizując

wargi. — Za jednym wejściem króla.

, Ten dżentelmen w czarnym kapeluszu i płaszczu — ciągnął Biskup, ignorując niestosowny żart—to główny budowniczy okrętów, Sir Phineas Pett. — Spojrzał na Mateusza jak dyrektor szkoły, którym pewnie był. — Twój stary przyjaciel.

— Przysięgłbym, że najstarszy.

— Teraz masz lepszy widok na Samuela Pepysa — mówił dalej Biskup, sam go

pozbawiony. I rzeczywiście drobna postać w błyszczącym jasnoniebieskim ubiorze stała się akurat dobrze widoczna w drodze do pierwszego rzędu na podium. Ale ten widok nagle

przestał być "lepszy". Pepys potknął się i byłby padł jak długi, gdyby nie podtrzymało go ramię królewskie. Tłum się poruszył, a szmer niezadowolenia dotarł aż do grupy wokół Mateusza.

!— Na Boga, ten człowiek jest pijany! — powiedział Szpila z tą szczególną satysfakcją, która zazdrośnika mogła zmienić w usatysfakcjonowanego hipokrytę. ' Akurat w taki dzień!

— Miejże trochę litości, na litość boską! — odrzekł Moczymorda, fachowy sędzia w takich sprawach, z współczującym sercem skłaniającym go do łagodniejszego wyroku. — Przecież

wszyscy wiemy, że jest prawie ślepy. Zwyczajnie się potknął.

Ale Szpila nie miał zamiaru współczuć nikomu, a już szczególnie człowiekowi z lepszego towarzystwa.

v Pan Pepys nie jest ślepy tak bardzo, kiedy zapuszcza ż u r a w i a\* do państwowej kiesy.

Popatrzcie na jego wspaniałe ubranie! Najpierw jest sekretarzem biura Marynarki Wojennej.

Potem nagle okazuje się zdrajcą i zamyka się go w londyńskiej Tower. A wkrótce wraca na prawie ten sam urząd. Raz tu, raz tam, jak wiatrowskaz! Ale czy głoduje? Nigdy! Teraz jeździ złoconym powozem zaprzężonym w piękne czarne konie. W domu ma skarby... — Szpila

prawie się dławiał ze słusznego oburzenia. — Skąd bierze taką górę pieniędzy? Wszyscy znamy smród korupcji towarzyszący każdemu spuszczanemu na wodę okrętowi Marynarki Wojennej.

Zawsze ktoś macza w tym palce i sięga do każdej sakiewki z gwineami. Samuel Pepys może

być ślepy, ale nochal ma długi jak słoń! Wywacha zysk, kiedy tylko zobaczy zwój lin albo stos drewna. Nie mówcie mi...

— Nie mówimy do ciebie — przerwał mu bezceremonialnie Moczymorda — bo nie

dajesz nam mówić. Przestań, na litość boską! Jesteśmy tu, żeby się weselić. Jeśli zwój lin

wystarczył, żeby dobrze skrępować ci jęzor, sam bym za niego zapłacił, dając ładny zysk panu Pepysowi. Założę się, że nie jest w połowie taki pazerny jak inni.

— Popatrzyl na Szpilę z dobrotliwą satysfakcją. — Czyż nie widzieliśmy, jak myszkowałeś ostatnio w stertach rzepy w dniu Św. Michała? Trochę jej wyparowało...

— Ktoś to wyssał z palca! — zachnął się Szpila.

— Aha... tak jak rzepę!

Śmiech załagodził sprawę, a Biskup, któremu to gadanie o stertach rzepy i kradzieży sprawiało prawie taki sam ból jak królewskie cudzołożenie, podjął swój przyzwoitszy wątek.

— Burmistrz Portsmouth — oznajmił — tam, na drugim końcu. Możesz obejrzeć jego złoty urzędowy łańcuch... To mój znajomy

— poczuł się zmuszony dodać. — Starszy brat jego żony poślubił kuzynkę przyrodniej siostry mojej matki. — Swym tonem nie dopuszczał żadnej uwagi z ich strony, że mogą istnieć bliższe lub bardziej imponujące powiązania. — A tam idzie ostatni z królewskiego towarzystwa,

książę Yorku, brat króla!

- Papieski pies! — zawołał Baletnica ze szczerym oburzeniem, gdy Mateusz obserwował drugiego wysokiego mężczyznę o szarej, ponurej twarzy i w szarym ubraniu, zajmującego miejsce obok pana Pepysa. — Widzisz tę wypukłość nad jego brzuchem. Nosi tam krucyfiks dany mu przez papieża! Zarobił na niego pocałunkiem.

Pocałunkiem? — powtórzył Mateusz zdumiony.

— Tak. Uczestniczył we Mszy Świętej i pocałował Święty Tyłek!

Ordynarny żart nie dotknął nawet Biskupa. Wobec gwałtownego

przeciwstawiania się Anglii Rzymowi nawet najlżejsze tchnienie papiestwa przyjmowano z równym obrzydzeniem jak fetor ze ścieków. Tylko Wielki Zad, były marynarz, zbyt spasiony, żeby się nadawał do pracy na morzu, wyraził przeciwną opinię.

— Papistą może być. I jest, i ani się tego nie wstydy, ani nie robi z tego tajemnicy. Ale psem nie jest. To dobry przyjaciel Marynarki Wojennej, tak jak król albo jak Sam Pepys. Nie powinienes nazywać psem Wysokiego Lorda Admirała Anglii.

Baletnica nie dał sobie zepsuć dobrego nastroju. — No to niech będzie księciem kotów.

Mnie tam wszystko jedno. Założę się, że potrafi w ciemnościach podrapać zakonnicę.

— Dla ścisłości — przerwał Biskup, zanim rozmowa nie zeszła na pożałowania godny tor

— księżę nie jest Wysokim Lordem Admirałem Anglii. Był nim, ale został usunięty z tego

stanowiska właśnie za papizm. Teraz kieruje sprawami naszej Marynarki Wojennej, ale urząd przestał istnieć.

— I ten łotr ciągle tam jest! — znów odezwał się Szpila; pokonany na jednym polu, z

uporem przeszedł na inne.—Powiedz mi, jak to tak? Chyba tylko dlatego, że jest bratem króla.

Nie wygrał dla nas tak wielu wojen! Wspomnijcie nazwy dawnych pól bitewnych, a okaże się, że były to same klęski. Texel, Bitwa Czterodniowa, Solebay—za każdym razem dostawaliśmy lanie od Holendrów. Tak więc Wysoki Lord Admirał...

— Bitwę Czterodniową wygraliśmy — przerwał Wielki Zad. — Byłem tam, a ty nie, więc

mogę ci powiedzieć. Straciliśmy dwadzieścia okrętów, ale Holendrzy opuścili Downs przed nami. Gdyby eskadra księcia Ruperta nie została od nas zabrana dla pilnowania Francuzów...

— Dosyć! Dosyć! — zawołał Szpila ze złością. — Zgoda co do Bitwy Czterodniowej. Ale

po roku holenderska flota pojawiła się na Medway, może nie? Dopłynęli aż do Gravesend, z miotłą na topie każdego masztu. Przerwali nawet Wielki Łańcuch w Chatham! Gdzie był

wtenczas nasz Wysoki Lord Admirał? Mówię wam, papiści nie potrafią się bić. Albo nie chcą!

— Masz na myśli zdradę?

— Mam na myśli...

Cokolwiek jednak miał Szpila na myśli na tym niebezpiecznym gruncie, wciąż mogącym

kosztować czyjąś głowę, świat nie zdążył usłyszeć o tym. Nagle z bastionów w górze huknął

strzał armatni, jakby dla uciszenia i małostkowych krytyków, i zdrajców, a specjalnie dobrany chłopiec, przybrany wstążkami, jak majowa tyczka<sup>1</sup>", podszedł do wózka pochylni z

drewnianym młotem tej samej co on wielkości w ręku, gotowym do uderzenia.

Nastąpiła chwila, w której wszystko inne wydało się nieważne, puste jak słowa, jak

przełomy podmuch wiatru.

Wszyscy w oczekiwaniu wstrzymali dech. Król podniósł rękę, młot opadł i jednym

skutecznym uderzeniem wybił klin spod tylnego koła. Dobrze nasmarowany wózek

podskakując potoczył się po pochylni i z radosnym pluskiem zsunął się do wody. Najpierw zanurzyła się stewa dziobowa jachtu, potem cały zgrabny kadłub i "Fubbs", jakby sfrunawszy z wózka, spłynął na wodę!

Wyglądał na niej pięknie, jak każda rzecz, co się unosi na powierzchni. Okrzyki i wyrazy podziwu powitały marynarzy, którzy —ukryci na dole jak w wielkim koniu

trojańskim—wyroili się teraz na pokład i zabrali się do trymowania rei i obsługi steru. W ciągu jednej chwili wszystkie żagle złapały wiatr. "Fubbs" obrócił się dziobem do

brzegu, na wprost podium, jakby składając królowi ukłon, a potem zaczął pięknie sunąć

wzdłuż nabrzeża. Wszystkie manewry były wykonywane zgodnie ze sztuką żeglarską, czemu

tłum przyglądał się z niezmiennym zachwytem.

— Teraz go ochrzczą — oznajmił Biskup, uradowany i gapiący się z otwartymi ustami, jak każdy zwykły śmiertelnik. — Patrzcie... teraz kolej na puchar!

Z podium załśniło złotem, gdy puchar o pięknym kształcie zaczął wędrować z rąk do rąk,

podany przez króla księżnej, przez księżną księciu Yorku, przez niego Phineasowi Pettowi i dalej do następnych członków królewskiego orszaku.

— Na rany Chrystusa! — zawołał nagle Moczymorda obserwując ceremonię. —

Zanurkowałbym po niego, jakbym był młodszy rok albo dwa.

— Nurkować? — zdziwił się Mateusz. — Po co?

. — Nie oglądałeś ceremonii chrztu? Kiedy złoty puchar wróci do króla, on go wypije i

ciśnie do wody. Wszystkie chłopaki, co myślą, że umieją pływać, i durnie, gotowi się utopić, będą nurkowali i próbowali wyłowić puchar.

— A co potem? Czy mogą go zatrzymać?

— Jak zechcą. Ale co prostemu człowiekowi po złotym pucharze? Za wysoki, żeby go

stawiać pod łóżkiem! Nie, oni go odprzedadzą Głównemu Budowniczemu Okrętów.

— Za ile? — pytał Mateusz.

— Za tyle, ile stary rekin zapłaci. Może za dwadzieścia gwinei.

To była niewyobrażalnie duża suma. — Do licha! Sam spróbuję!

ih zawołał Mateusz. Poza wszystkim innym czuł parcie w pęcherzu i jeśli oddając mocz mógłby zarobić przy tym dwadzieścia gwinei, to będzie sikał, aż woda w porcie Portsmouth wystąpi z brzegów. — Co mam zrobić?

Dobrze pływasz? — spytał powątpiewająco Wielki Zad. — Są tu tacy, co na tę szansę czekali od chwili położenia stępki. Za dwadzieścia gwinei gotowi rozedrzeć cię na strzępy, jak zobaczą, że zbliżasz się do pucharu.

— Umiem pływać — odrzekł Mateusz. — A co do reszty, już przedtem zabawiałem się w wodzie.

— W porządku, chłopie—powiedział Wielki Zad. — Idź na tamte schody. Uważaj, gdzie upadnie puchar, i skacz tam od razu, zanim nie znącą wody. Jak będziesz miał szczęście i dasz nurka, to go znajdziesz.

— Wolisz być pochowany tu czy w Barnstaple? — spytał Baletnica. Ale Mateusza już nie było.

Rozepchnąwszy się łokciami przez dum dołączył do grupy podejrzliwie spoglądających na niego mężczyzn o zbójckim wyglądzie, poza kilkoma wesołkami stojącymi u szczytu schodów. Zapytany,

czego tu szuka, nie odpowiedział. Nie patrząc na nikogo obserwował podium i wędrowkę pucharu, który obszedłszy krąg rozbawionych notabli właśnie wrócił do rąk króla.

Radując się wielką chwilą, jego królewska mość nie śpieszył się z jej zakończeniem.

Łaskawie odegrał małą scenkę: zajrzawszy do pucharu potrząsnął głową, jakby rozczarowany tym, co tam zostało dla niego, a potem wolno sączył resztę wina. Dostarczył zabawy tłumowi, jak każdy wielki człowiek — na tyle wielki, żeby zrobić z siebie błazna nie tracąc szacunku, a później w przyjaznej ciszy czekać na koniec przedstawienia.

Nie przeciągnął scenki ani o chwilę dłużej, niż pozwalała cierpliwość publiczności.

Opuścił pusty puchar, a potem podniósł w górę i cisnął go, zamachnąwszy się szeroko mocnym męskim ramieniem. W tym momencie Mateusz Lawe zrzucił z siebie kubrak i skoczył głową w dół. Wynurzył się, gdy złoty cel plusnął w wodę pięć jardów za nim.



Nastąpiło kilka chwil burzliwego zamieszania. Wściekłe wołania, wybuchy pijackiego śmiechu i wesołe okrzyki poprzedziły chlupnięcia, gniewne bryzgi wody, bicie w nią ramion i nóg; głowy wyskakiwały na powierzchnię pokrywaną się bąbelkami od młócących w nią członków, ciała zapadały się w głębię i wystrzelały jak wulkany; to gromada ambitnych, żądnych zdobyczy zdesperowanych lub lekkomyślnych mężczyzn rzuciła się wydobywać puchar.

Zanurzywszy się, z płucami dobrze wypełnionymi powietrzem, pod tę wodną lawinę, Mateusz odczuł jej ciężar i złośliwość. Czyjaś dłoń wyciągnęła się, żeby złapać go za włosy. Uwolnił się od niej, używszy bez skrpułów paznokci, które upuściły komuś krwi. Wciąż widział puchar wolno osuwający się w mętną toń i już prawie miał go w rękę, gdy jakieś dłonie chwyciły go za gardło.

Tym razem uwolnił się kopnięciem do tyłu w czyjś bezbronny brzuch.

Złapał puchar, wsunął go w spodnie, wynurzył się i jakby rezygnując z zadania, zostawił za sobą gromadę objających się o siebie pływaków i spokojnie "po piasku" dopłynął do brzegu.

Godzina jego triumfu zaczęła się, gdy dotarł do szczytu schodów, nagi do pasa obdartus w wykpionych przez Biskupa, monstrualnie wydętych hajdawerach. Odebrał kubrak z rąk

współczującego widza, a że wracał jako pierwszy z pola bitwy, jego ruchy były obserwowane nawet z królewskiego podium.

Gdy zszedł w dół i mocno trzymając wydobyty z ukrycia w spodniach złoty puchar uniósł go w górę i potrząsnął nim, żaden wędrowny aktor po nagłym przeblysku talentu nie dostałby większego aplauzu.

— Na Boga Żywego, on go ma! — krzyknął ten, co trzymał mu kubrak. Gdy puchar rozbłysnął w słońcu, jego okrzyk został podjęty

przez wszystkich. Tłumowi spodobał się sprytny zwycięzca i echo szeroko rozniosło wiwaty na jego cześć. Stojący opodal świeżo zyskani przyjaciele skakali w górę z radości. Nawet Biskup powiewał czarnym kapeluszem, jak chorągwią pogrzebową. Tępych przeciwników

Mateusza, ciągle jeszcze walczących ze sobą o łup, którego już nie było, wprost zatkało na widok klęski, ale i oni, przerwawszy daremnie wysiłki, uznali w nim zwycięzcę.

W swoim życiu Mateusz nie pamiętał chwili, w której liczba jego przyjaciół tak bardzo przewyższałaby szeregi wrogów.

Jednakże niezwykle punkt kulminacyjny tego dnia miał dopiero nadejść. W obliczu szczęśliwego dla Mateusza obrotu rzeczy wszystkie kufle piwa, nowo poznani przyjaciele, współzawodniczący z nim pływacy z mordem w oczach, ba, nawet złote puchary mogły się wydać prawie nic niewarte. Ale nie dotyczyło to głównych budowniczych okrętów, mogołów Marynarki Wojennej, księżnych i książąt krwi królewskiej, nie mówiąc już o królach... W następnej godzinie Mateusz uczynił ogromny krok do przodu. Nie mogło to trwać długo, lecz póki trwało, rozświetlało jego prywatne niebo, jak niegdyś zorza polarna potrafiła rozjarzyć ogniem cały skutny lodem świat.

Już wchodząc ze swoim przyzem schodami na podium, wspomagany przez nieznanomych sprzymierzeńców, zostawiając za sobą strumyczek, jak dziecko mokre ślady swego nieszczęścia, pomyślał: Nie mogą teraz mnie zabić, żebym zrobił nie wiem co. — Ale po godzinie już myślał: Na Boga, nie mogliby mnie bardziej hołubić, niż gdybym był którymś ze spanieli króla Karola!

Pierwszy powitał go burmistrz Portsmouth we własnej osobie, odpowiedzialny za całą uroczystość. Jego czcigodność z bliska prezentował się mniej okazale, niżby można było sądzić po wspaniałości urzędowego łańcucha: mały pękaty cebrzyk, pokorny karzełek porzucony na Grobli Wielkoluda, czerwony i spocony wskutek napięć dnia, które musiały postawić przed nim wyzwania i obawy, jakich nie mógł przewidzieć w dniu wyboru na swój urząd. Ale przynajmniej wobec Mateusza mógł okazać swoją władzę.

— Dobra robota, młody człowieku — tylko tyle raczył rzec, spoglądając z niesmakiem na tego intruza o wyglądzie stracha na wróble. — Zostań tam, gdzie stoisz, tylko podaj mi puchar — dodał wyciągając pulchne dłonie — a ja dopilnuję, żebyś został odpowiednio nagrodzony.

Każdego innego dnia Mateusz zgodziłby się na wszystko, lecz w żołądku miał dużo piwa, a w duszy uczucie olbrzymiego triumfu. I to dodało mu bodźca. Między zgromadzonymi na podium otworzyło się przejście, kiedy się odwrócili, żeby popatrzeć na zwycięzcę. I w jego głowie

też coś się otwarło. Błyskawiczny rzut oka powiedział mu, że ma przed sobą samych wielkich, z prawdziwym królem na czele. Postąpi

po swojemu i niech diabli porwą wszystkich lizusów stojących mu na drodze.

— Sam podam — odrzekł twardo.

— Co! Główny Budowniczy Okrętów... — z naciskiem zaczął mówić burmistrz

przerażonym szeptem.

Ale mimo szeptu został dosłyszany.—Proszę dać mu przejść, panie burmistrzu—odezwał

się król. — Zarobił sobie na to — a potem dodał jowialnym tonem: — Pett, zapnij swą zasobną sakiewkę i przygotuj się na abordaż!

Ale Mateusz nie ruszył w stronę Phineasa Petta. Wzięła w nim górę jakaś przekora, a także niezachwiane przekonanie, że w tym dniu, który zaczął się skromnym sukcesem, najlepsze jest jeszcze przed nim i tylko czeka, żeby po nie sięgnąć. I tym razem nie zabiją przecież go za to, że spróbuje... Przelotnym spojrzeniem obrzucił wysoką postać króla; szukał wzrokiem

uroczego stworzenia, które król obejmował ramie-

B

i

Bez wahania postąpił do przodu, skłonił się tak nisko jak, pamiętał, zwykł to czynić Henry Morgan w obliczu podobnego skarbu, i wręczył złoty puchar "Fubbsa" samej Fubbs.

Louise de Keroualle, księżna Portsmouth, nie należała do świętych niewiniątek tego

świata; każda kobieta, która przeszła drogę od damy do towarzystwa do królewskiej metresy, od francuskiego szpiega do faworyty angielskiego króla, od omdlewającego dziewczęcia do dojrzałej dziwki, zda egzamin we wszelkich sytuacjach, z wyjątkiem gwałtu. Na wyboistej drodze poznała wszystkie sposoby podchodzenia, od śliskiej obłudy jezuitów do mętnej piany dworskich intryg, od nieśmiałego wdzięczenia się do świadomego pobudzenia partnera, i

dokonała akuratannej oceny Mateusza Lawe'a, jeszcze zanim wyprostował się z ukłonu.

Silni, dobrze zbudowani młodzi mężczyźni, ale zbyt pewni siebie, jak na swoją pozycję,

byli roztapiani do miękkości kruszcu każdego dnia i, jak nowe monety, stwarzani co godzina.

Wystarczał słabiutki płomień.

Odpowiedź dana przez nią intruzowi była jednocześnie francuska, angielska, kobieca i

mądra. Z promiennym wyrazem twarzy wzięła puchar, a potem — dziw nad dziwy — dygnęła

przed tym, który jej go wręczył. Królewskie uśmiechy, pełen zachęty chichot, głośne okrzyki i lubieżne pomruki aprobaty ze strony pospólstwa dowiodły, że sprawiła się doskonale.

Silny młody człowiek, ale zbyt pewny siebie, jak na swoją pozycję, stracił całe swoje  
zuchwalstwo i od tego momentu stał się znowu uległym niewolnikiem.

Był jednak na tyle przytomny, żeby zapamiętać jeszcze jedną lekcję daną mu przez życie, że oglądani  
z bliska ludzie zarówno wysokiego,

jak i niskiego stanu mało co odpowiadają swojemu publicznemu wizerunkowi. Promienna

Fubbs, zalotna i elegancka, okazała się przywiedłą pięknnością; jeśli ciągle jeszcze królowała jako  
metresa, zawdzięczała to raczej niebezpiecznej ciętości swego języka niż upojnej urodzie kurtyzany.  
Wszedłszy w wiek średni przestała być smakowitym kąskiem dla pełnego wigoru

mężczyzny.

A i sam pełen wigoru mężczyzna, który utkwiał w Mateuszu przenikliwe spojrzenie, nie był

już królem w tej dziedzinie; w wieku pięćdziesięciu dwóch lat tak był zużyty swoimi

wyczynami, że z błyskotliwego monarchy, uznawanego przez długi czas za przykład

niepohamowanego ulegania kapryśnym wybrykom, stał się rośliną, wyschniętą wewnątrz

skorupą; jedynym zaś polem dla jego rozrzutności było strojenie się do roli, której już nie odgrywał.

Mógł być kochany za to, że sam gorąco kochał swój kraj, ale jak każde stworzenie ludzkie musiał,  
kulejąc, posuwać się ku swemu grobowi, szczytowe chwile życia piastując już tylko we  
wspomnieniach. Żaden najbardziej wyszukany pawie strój nie był w stanie zamaskować

skrywanego pod nim wynędzniałego kogucika.

Wciąż jednak mógł odgrywać rolę króla wobec wszystkich uwielbiających go poddanych i

tak właśnie czynił teraz. Jak przedtem księżna, badawczym okiem zmierzył Mateusza Lawe'a i  
potraktował go z całą monarszą łaskawością.

— Pływasz jak wydra — rzekł z uśmiechem. — Gdzieżeś się tego nauczył?

— Jako marynarz, sir — odrzekł speszony Mateusz.

Ktoś syknął za jego plecami. To był burmistrz Portsmouth, pilnujący swoich urzędowych

powinności. — Powiedz: s i r e!

— Marynarze to krew tego kraju. — Król uśmiechnął się znowu, lecz jakby lekko przedrzeźniając samego siebie. — Czy mógłbym wyrazić się mniej pochlebnie tu, w Portsmouth?... Twoje nazwisko?

— Mateusz Lawe, sire.

— Widzisz, Mateuszu Lawe, podbiłeś dzisiaj coś więcej niż morze. — Rzucił czułe spojrzenie na księżnę. — Nigdy nie byłem świadkiem większej galanterii, z jednej i z drugiej strony.

— On tylko idzie śladem swego króla, sire — odpowiedziała natychmiast księżna.

— Czyżby? Mam nadzieję, że nie. Byłaby to najgorsza lese majeste\* w całym tym królestwie.

Ta słowna gierka, zupełnie niezrozumiała, przynajmniej dla zwykłych śmiertelników, chociaż wyglądało, że nawet dla księcia Yorku, siwowłosego mężczyzny bez uśmiechu, trzymającego się na uboczu

od wszystkiego i wszystkich, od króla-brata, od królewskiej metresy i, rzecz jasna, od

obdartego marynarza, omal nie topielca, który wdarł się na ważną uroczystość. Mówił o tym wyniosły wyraz księżęcej twarzy. Nastąpiła pauza, moment leciutkiego zakłopotania wielkich tego świata, którzy uznawszy, że dosyć się już znizyli, pragnęli teraz

\_ |z powrotem zewrzeć szeregi na znak, że każdy wraca na właściwą dla niego pozycję.

I znowu Fubbs wzięła sprawę w kobiece ręce. Odwróciła się i szepnęła coś królowi. Jego oblicze natychmiast się rozjaśniło.

— Ależ tak! — wykrzyknął. — Dama ma puchar, a marynarz nie dostał nic za swoje

rycerskie poczynania. Zasłużył na więcej niż dyg... — Uśmiechy znów opromieniły twarze na widok króla Karola przejmującego sprawę w swoje nawykłe do tego ręce. — Panie burmistrzu!

Burmistrz Portsmouth, zawieszony między niebem królewskiej gali i piekłem publicznej kompromitacji, stanął, trzęsąc się, na baczość.

— Wasza królewska mość!

— Zdejmij służbowy kapelusz i zrób z niego użytek. — Żartując lub mówiąc poważnie,

król Karol potrafił najlżejszemu słowu nadać wagę rozkazu. To, co powiedział w tej chwili, było właśnie rozkazem. — Naszym zaszczytnym obowiązkiem jest dać za ten puchar taki

okup, żeby nie było nam wstyd. Panie burmistrzu, niech się pan przejdzie wzdłuż podium i ze słowami... — nie tracąc powagi majestatu potrafił mimiką wyrazić zachowanie burmistrza

Portsmouth zwracającego się do możnych — “Proszę wrzucić gwineę, łaskawy panie —

gwineę albo coś około tego — dla pływaka" obejść kolejno wszystkich. Kieruję pańskie wysiłki do mego królewskiego brata, do Głównego Budowniczego Okrętów, który jak dotąd

umknął uwadze, do pana Pepysa i wszystkich takich wielkich dobroczyńców... Ja będę

pierwszy.

I był, w pewnym sensie. Przywołał kiwnięciem palca stojącego blisko dworaka, a ten podał

mu jedwabną sakiewkę. Wysypane z niej pięć złotych gwinei wpadło do cylindra burmistrza, jak kanarki sfruwające na wyschły, pożółkły trawnik. Inni poszli za tym przykładem —jakiż bowiem mieli wybór w rządzonej przez króla świecie? — gdy burmistrz rozpoczął obchód.

Po zakończeniu zbiórki złoto wrzucone do jego głębokiego kapelusza ważyło więcej niż

mózg, jaki się pod nim ukrywał. Wśród uśmiechów należnych zwycięzcy wysypano je w

podstawione dłonie Mateusza. Na chwilę znów stał się ośrodkiem uwagi, królewskim

faworytem, w świecie, w którym odpowiednia szansa mogła stworzyć człowieka lub go

złamać, a z kobietą zrobić jeszcze dużo gorsze lub lepsze rzeczy.

Mateusz otrzymał nawet chłodne słowo uznania od księcia Yotku i łaskawą,

protekcjonalną uwagę ze strony Sir Phineasa Petta, któremu udało się wykręcić z

dwudziestogwineowego okupu dwoma gwineami, pańskim gestem rzuconymi do kapelusza.

Bohater tej krótkiej godziny, Mateusz Lawe, czuł w głowie kompletny zamęt; nigdy, przez wszystkie lata głodowania, nie został potraktowany tak ciepło i serdecznie.

Właśnie ukazał się jacht “Fubbs” wracający z przejażdżki wzdłuż wybrzeża portu

Portsmouth. Oczy i uwaga wszystkich przeniosły się z jednej nowej zabawki na drugą.

Mateusz, ze skarbem bezpiecznie ukrytym w spodniach, nie bardzo wiedział, jak się wycofać.

Minęła jego godzina i on wraz z nią. Czy powinien zwyczajnie odejść?

Odpowiedź na to pytanie przyniósł następny szczęśliwy zbieg okoliczności. Na widok powracającego jachciku o cudownych liniach nawet wysokie osobistości zgromadzone na podium zapomniały

o dworskich manierach i zaczęły tłoczyć się bezładnie, jak zwykle pospólstwo, żeby zająć najlepsze miejsca widokowe. Silniejszy napór ludzi odepchnął właśnie małą, dziwną postać.

Był to Samuel Pepys—i byłby upadł, gdyby Mateusz nie podbiegł

i nie podtrzymał go. Chociaż dzięki tej szybkiej pomocy Pepys utrzymał równowagę i godność, dał mimo to wyraz swemu niezadowoleniu.

— Ta tłocząca się ciżba! Zupełnie jak wypuszczeni na wolność lokatorzy Bedlamu\*. —

Obrócił twarz ku nieznanemu wybawcy i popatrzył na niego zamglonym wzrokiem. —

Dziękuję za wsparcie mocnym ramieniem... Kim jesteś, chłopcze?

— Mateusz Lawe, sir. To ja wyłowiłem puchar.

— Aha. Marynarz, co umie pływać. To naprawdę wielka rzadkość!

Dotychczas Mateusz nie miał pojęcia, jak powinna wyglądać taka

ważna osoba, jak sekretarz Zarządu Marynarki Wojennej. Wiedział tylko, że musi to być

wyniosły tyran, który jednym spojrzeniem strzelającym jak wulkan spod groźnych brwi

decydował o życiu lub śmierci prostych marynarzy. Ale pan Samuel Pepys wcale tak nie

wyglądał. Wzrostem sięgał Mateuszowi ledwo do ramion, był otyły i przesadnie wystrojony, jak brzuchata marionetka, której właściciel może sobie pozwolić na jedwabne sznurki.

Twarz miał mądrą, ale nie władczą. Gdyby go rozebrać, pomyślał Mateusz, i pozbawić

wysokiego stanowiska, wyglądałby na starzejącego się urzędnika biura adwokackiego, który stracił wzrok ślęcząc nad zbutwiałymi pergaminami pokrytymi drobnym pismem.

Ale jak by pan Pepys nie wyglądał, niewątpliwie posiadał władzę, i teraz okazał ją mówiąc lekkim tonem:

— Dobrze się sprawiłeś, Mateuszu Lawe. Słyszałem, jak król mówił o tobie, że jesteś marynarzem.

— Tak, sir.

— No i wżeglowałeś tu między nas jak prawdziwy okręt wojenny. Abordażowanie pani Fubbs było aktem wielkiej odwagi... Za dużo mniej spędziłem dwanaście miesięcy w mrokach Tower... Mam nadzieję, że dobrze zarobiłeś.

— Sir, jeszcze nie policzyłem.

— Musisz więc rzeczywiście być marynarzem! Jak już zabierzesz się do liczenia, znajdziesz tam sztukę złota ode mnie—a w dzisiejszych czasach złoto jest równie rzadkie, jak pióra na jajku.

Mateusz nie mógł nie odpowiedzieć: — Dziękuję uprzejmie, sir. — Chociaż dar był mniej pański niż sposób, w jaki mówił o nim pan Pepys.

— To był dla mnie obowiązek i przyjemność — ciągnął wyniośle pan Pepys. — Najlepiej jest przestrzegać dawnych obyczajów, nawet w dzisiejszych libertyńskich czasach...—Na moment skierował wzrok na jacht, który mijając koniec podium podskoczył na fali pod silniejszym powiewem jak młody żrebak. — Mamy t u o t o najpiękniejszy pływający obiekt wszechczasów! — zawołał. — Kiedy król przestanie się tak bardzo nim cieszyć, będzie mógł nam służyć za okręt strażniczy w Chatham albo Sheerness... Czy pływałeś kiedykolwiek na jakichś królewskich okrętach?

— Ja... nie, sir.

Pepys przyjrzał mu się uważniej. — Zawahałeś się. Dlaczego?... czyżbyś zbiegł? Teraz, kiedy mamy pokój, nie musisz bać się przymusowej branki.

— Nie, sir. Chodziło mi tylko o to, że nie znam innej służby, poza królewską. Wszystkie okręty w kraju są króla.

— Amen! Czy w czas wojny, czy pokoju służą wspólnej sprawie. Musimy tak wszystko powiązać ze sobą, żeby stworzyć jedną łączną broń... — Wygładził jasnoniebieskie rękawy z koronkowymi mankietami, żeby się dobrze ułożyły, a potem zatarł pulchne dłonie. — No cóż...



ja do mego biurka, ty do marynarskiej roboty. Czeka na ciebie jakaś koja?

— Nie, sir. Bierzemy to, co jest do wzięcia, albo chodzimy głodni.

Pan Pepys znów popatrzył uważnie na Mateusza, zadając kłam

temu, co mówiono o jego krótkowzroczności. — Ty, jako marynarz, co byś zrobił, żeby to zmienić na lepsze?

Zachęcony jego łaskawością, Mateusz odrzekł: — Sir, traktujcie nas jak ludzi, co mają swoją wartość, których nie bierze się i nie wyrzuca dla kaprysu.

— A jeśli nie ma okrętów i miejsc pracy?

— Nie ma dziś, ale jutro może być inaczej.

— Dobrze mówisz! Jesteś starszy, niż wskazywałyby na to twój wiek. Wierz mi jednak i niech to będzie dla ciebie pociechą: są ludzie, co pracują nad tymi sprawami. I ja należę do nich.

Zostawszy sam, Mateusz policzył swoją nagrodę. Było tego czterdzieści cztery złote

gwinee i trochę drobnych monet, pewnie z przeznaczonych na kościelną tacę—razem dało to niezły przyz. Był teraz, na jakiś czas, bogaty w ziemskie dobra — najbogatszy na świecie. Tak myślał, nie pamiętając ani o królu, ani o jego kapryśnej księżnej, ani nawet o Biskupie i błazeńskim chórze jego kompanów.

Z całego wytwornego świata i wesołego motłochu najlepiej zapamiętał samotnego,

śmiesznego człowieczka z wielkimi — jak się wydawało — nowymi myślami dotyczącymi

morza: pana sekretarza Królewskiej Marynarki Wojennej, Pepysa, a także ówczesnego siebie

— Mateusza Lawe'a.

## II

Gdy pod naporem legionu przyjaciół od kołyski, spotykanych w każdej tawernie miasta,

zapas gwinei stopniał do dziesięciu, Mateusz Lawe położył kres głupocie i wypłynął z

Portsmouth na "Grace and Favour"\*, marnym węglowcu krążącym między Londynem a

zachodnią Anglią, który tak długo płynął Kanałem, aż sprzedał cały swój zapas czarnego złota, do ostatnich resztek miału z ładowni. Wtedy ruszali w drogę powrotną.

Wracając "Grace and Favour" wiozła wszystko, co samo nie było w stanie unosić się na wodzie: kornwalijski ser, żywe byki, owoce — dojrzałe albo zgniłe — gęsi nawóz lub same gęsi, cefale\* w zalewie, solone sardele, ubogich pasażerów i beczki plymouckiego piwa.

Statek był więc nie tylko nędzny, prawie bez gracji i bez żadnych faworów, ale w dodatku brudny — prawdziwy włóczęga kanałowy. Na tym właśnie cuchnącym stateczku ponad rok

później Mateusz opłynął Przylądek Północny w Kent i dotarł do portu londyńskiego.

Nie widział go od dawnych czasów Henry'ego Hudsona i teraz, wiosną 1684 roku, oglądał ze zdumieniem.

Miał przed sobą wielki nowy Londyn, który prześcignął Feniksa w dźwiganiu się z popiołów przeszłości. Po straszliwej zarazie, co w ciągu tygodnia skazała siedem tysięcy mieszkańców na najokropniejszą śmierć, po wygaśnięciu największego z pożarów, jakie dotknęły

Anglię, nadzieja mogła umrzeć, a miasto wraz z nią. Ale król Karol i doskonały architekt Christopher Wren mieli swoje marzenia i dosyć siły ducha, aby je zrealizować.

Wspaniała rzeczywistość radowała teraz oko widokiem szeregów świetnych budowli, piękniejszych od wszystkich dotąd oglądanych, a koroną tego wszystkiego był wyniosły szczyt nowej katedry Św. Pawła po wschodniej stronie miasta, wznoszący serce każdego bliżej ku niebu.

Dalej nad wielkim zakolem rzeki, jak kotwica rufowa bezpiecznie mocująca miasto, zwieńczony wieżami pałac Whitehall królewskim stemplem potwierdzał, że marzenia stały się rzeczywistością.

Ale w tej rozległej metropolii, wybrukowanej takimi złotymi obietnicami, Mateusz poczuł się znowu sierotą, zwykłym włóczęgą portowym. Dobrych miejsc na statkach było niewiele, a złe nie były lepsze od niewolniczej harówki za głodową płacę. Było tak, jak ośmielił się powiedzieć panu sekretarzowi Pepysowi na podstawie wiekowego doświadczenia, jakiego nie mógł posiadać żaden inny człowiek, wielki czy mały: jak marynarz raz wyleci z roboty, to żeby nie wiem co, może zgnieć jak hulk na bagnistym brzegu.

I wtedy szansa, ta najcenniejsza przyprawa smaku życia, przysłała mu z pomocą i postawiła go na szerokiej drodze, może już na zawsze.

W kwietniowy poranek, na tyle ciepły, żeby kości człowieka uwierzyły, iż w końcu nadeszła angielska wiosna, Mateusz, objijając się po nabrzeżach wokół śluzy Somerset House, natknął

się na scenę rozpacz i zdesperowania. Głównym aktorem był przewoźnik w liberii, o cholerycznej twarzy, czerwonej jak jego płaszcz. Rozglądał się gwałtownie po nabrzeżu, swą powierzchownością sprowadzając obawę, by nie pękł za chwilę z wściekłości.

Gniewnie spojrział na zbliżającego się Mateusza i odwrócił się z przekleństwem. Nie trzeba było jasnowidza, żeby odgadnąć, że czeka na kogoś i jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Stojąca w dole łódka, właściwie mała barka, ozdobiona złoceniami jak karetka, z dwiema ławkami dla wiosłarzy, a na rufie z miękkimi siedzeniami dla sześciu pasażerów, kołysała się łagodnie na chlupocącym płynie.

W łodzi z dwoma nie obsadzonymi wiosłami i pustym miejscem u steru stał mężczyzna w takiej samej czerwonej liberii i patrzył ponuro przed siebie — zupełne przeciwieństwo rozgorączkowanego przewoźnika na nabrzeżu. On też czekał, ale nie był pod presją czasu. Jeśli był pod jakąś presją, to tylko zmęczenia beczynnością. Przygarbione plecy i obojętne spojrzenie zdawały się mówić: Jeśli muszę wiosłować, to będę. Jak każą mi siedzieć, to chętnie usiądę.

Może miał umowę o pracę na cały rok. Może był w niewoli do końca życia. Tak czy owak, zupełnie go nie obchodziło, co się działo wokół niego.

Przewoźnik na nabrzeżu tupnął i znowu zaklął. Gdy Mateusz był blisko, podjął decyzję.

— Ty! — warknął. — Potrafisz ciągnąć wiosła?

Mateusz, w dobrym humorze, pozwolił sobie zakpić ze stojącego mu na drodze człowieka.

— Tak, kapitanie — odrzekł, udając nieokrzesanego prostaka.

— Dokąd mam je ciągnąć?

Przewoźnik spurpurowiał jeszcze bardziej i wznosił ku niebu zaciśnięte pięści. Widząc jego rozpacz i nabrzmiałe żyły Mateusz złagodniał.

— Tak, umiem wiosłować — powiedział. — Kogo pan potrzebuje? Bosakowego czy kogoś do utrzymywania tempa? I o co ten wielki szum?

Przewoźnik zmierzył go wzrokiem i nagle odetchnął z ulgą.

— Mówisz jak marynarz, Bogu dzięki! Zostałem wezwany pod Prywatne Schody — wskazał

szlachetną sylwetkę pałacu Whitehall.

— Mam czekać tam j u ź! A brak mi obsady drugiego wiosła. Mój drań zastępca zachorował albo się upił! Ktoś inny zgarnie zapłatę za przewóz, a ja stracę sztukę srebra... i klienta!

— Ile dostanę? — spytał Mateusz.

Przewoźnik odparł chytrze: — Dopilnuję, żebyś był zadowolony.

— Ja dopilnuję — rzekł Mateusz widząc, że ma do czynienia z człowiekiem przypartym do muru. — Może mnie pan wynająć na jeden przejazd, na godzinę albo na cały dzień. Ale chcę wiedzieć za ile. Na kolację muszę zjeść coś więcej niż obietnicę.

— Ty przeklęty psie! — warknął przewoźnik. Ale zegar w jakimś pobliskim kościele wybił właśnie godzinę i przewoźnik podskoczył, jakby sznur dzwonu szarpnął go za genitalia.

—Trudno... dniówka za czas, jaki przepracujesz. — Mateusz kiwnął głową, że się zgadza.

Przewoźnik wskoczył do swojej małej barki i przywołał go gestem. —Prędzej!—krzyknął. — I włóż na siebie liberię, bo przestraszysz nie tylko jego wielmożność, ale i kruki.

Gdy szybko przebili się przez pływ i podeszli do Prywatnych Schodów pałacu Whitehall, "jego wielmożnością" okazał się pan Samuel Pepys.

Tego ranka mały człowieczek nie wydawał się mały; gdy wychodził za pałacową służę, odprowadzający go dworacy gięli się w ukłonach, służący pomagali wchodzić po drewnianym trapie, a sekretarze pobiegli przed nim ze skrzynką papierów i pilnowali, żeby została bezpiecznie ulokowana w barce. Pojawił się nawet na chwilę książę Yorku, zegnając go z wewnętrznego dziedzińca. Było rzeczą jasną, że pan Pepys urósł w oczach świata, być może w ciągu ubiegłej pół godziny.

Był w świetnym humorze; śmiał się wchodząc do barki i bardzo łaskawym gestem pozdrowił jej obsadę. Dalszym dowodem był sposób, w jaki zwrócił się do przewoźnika, gdy po odrzuceniu cumy łódź skręciła w nurt pływu.

— Spóźniłeś się, Jemie Belcher! — rzekł z udawaną surowością.

— Proszę o wybaczenie, sir. Wioślarz mi zaniemógł.

— Dla mnie mógłby nawet zostać powieszony dziś rano! Kiedy ty opóźniasz mój odjazd,

ja zatrzymuję służbę obsługującą mnie w poczekalni, oni sprawiają, że król się spóźnia i tak się wali królestwo...—Nie wyglądało jednak, żeby naprawdę przywiązywał do tego jakąś wagę.

To coś, co wywołało w nim zmianę, zmieniło cały świat i nic nie mogło tego zepsuć. Siedząc na swym wyścielonym poduszkami tronie, jakieś trzy stopy od Mateusza Lawe'a, którego nie zauważył, był sam dla siebie królem i mógł rządzić wszystkim, co było w polu widzenia.

Jem Belcher zwolnił ster, gdy barka zaczęła schodzić z nurtu pływów. — Do bramy

Westminsteru, wasza wielmożność?

;— Nie. Dziś rano mam dwie godziny wolne. Powieź mnie w dół, do schodów Tower.

Wrócę stamtąd wynajętym powozem. I nie męczcie się za bardzo. Chcę nacieszyć się tą przejażdżką.

W jasnym blasku słońca, lekko pracując wiosłami, wspomagany prądem pływowym,

ruszyli w dół Tamizy, wielkiej krwionośnej arterii miasta. Tyle było do podziwiania: piękne budowle po lewej rzece, a zielone łąki i strumyki z bagien Lambeth na brzegu południowym.

Mieli czym oddychać i znajdowali się z dala od wąskich uliczek i tłumów tłoczących się w mieście. Tak najlepiej oglądać Londyn —z oddalenia, gdy rzeka niosła swą czarodziejską mocą — pozwalając miastu przesuwać się przed ich oczyma.

— Lepiej niż powozem — zawołał pan Pepys. — Lepiej niż w mojej karecie. Tylko tak można podróżować przez to miasto.

— A potem, jakby chcąc dać do zrozumienia, że potrafi myśleć nie tylko o wielkich sprawach, ale i o drobiazgach, zapytał przewoźnika:

— Mówiłeś, że ktoś ci zachorował?

— Tak, sir. Doggett zrobił mi zawód. Ale znalazłem zastępcę.

Pan Pepys odwrócił się i po raz pierwszy spojrział prosto na

Mateusza. Nie wiadomo, ile zobaczyły te wyblakłe oczy, ale chyba dostatecznie dużo.

Zaintrygowany, zmarszczył brwi. — Znam ciebie

— powiedział.

Mateusz, wiosłujący bez wysiłku, podniósł oczy znad wiosła i kiwnął głową. — To było w

Portsmouth, sir — rzekł. — Wodowanie jachtu "Fubbs". Jestem...

— Mateusz Lawe, ten pływak! — zawołał pan Pepys. — I marynarz... Czy chodzisz,

Mateuszu, moimi śladami?

Mateusz wyszczerzył zęby. — Nie, sir. Ale chciałbym.

Nieprzyjaźnie zmarszczywszy brwi zgorzony Jem Belcher dał do zrozumienia, że słowa Mateusza były zbyt śmiałe. Wyszły jakby znikąd i mogły, nie zauważone, wrócić donikąd, pozostawiając jedyny ślad w postaci milczącej dezaprobaty. Ale w ten szczęśliwy dzień zostały zauważone.

—

Chciałbyś już teraz!... — Nieskłonny tracić czasu na głupstwa w każdy inny poranek, tego dnia pan Pepys zachowywał się tak, jakby serce miał wypełnione wyłącznie braterskimi uczuciami dla ludzi.

—

A więc... pierwszy z nowej fali szukających miejsc pracy! — Ale, jak dowiodło następne zdanie, nie było w tych słowach złośliwości.

—

Możesz mieć szczęście, Mateuszu Lawe... w taki ranek mam chęć mówić "tak" całemu światu.

Na dłuższą chwilę w łodzi zapadło milczenie. Słyszać było tylko ciężki oddech Jema Belchera, a za plecami Mateusza postękiwania mężczyzny — bosakowego z cierniem rezygnacji w duszy, dla którego

I \_\_ ten dzień nie był szczęśliwszy od poprzedniego i tak będzie przez sto

■ następnym poranków. Rzeka i miasto otwierały się przed nimi; barka zakołysała się i

zachwiała niepewnie na przypadkowym wirze. Skrzypiały wiosła, ptaki słodko śpiewały, a słońce rzucało blask na błogą, radosną scenerię.

Przeplłynawszy dwie mile z prądem wpadli w skłębiony nurt przy Moście Londyńskim o piętnastu smukłych łukach, z podwójnym rzędem domów i sklepów przypominających szanice osadzone na kamiennej opoce. Podeszli do schodów Tower i przejażdżka dobiegła końca.

Pan Pepys ocknął się z jakichś swoich marzeń o sławie czy o zrzędzeniach losu i gdy łódź zacumowała, podniósł się z miejsca.

—

Mam tu skrzynkę — rzekł patrząc na Mateusza. — Pełną urzędowych papierów, a to znaczy, że stracę głowę, jeśli upuścisz ją do rzeki; a jak coś się z nią stanie po drodze, ty stracisz swoją... Możesz przenieść mi tę skrzynkę i znaleźć powóz? Jesteś wolny?

—

Tak, sir.

Bosakowy przytrzymał łódź przy nabrzeżu. Pan Pepys wysiadł, a za nim Mateusz ze skrzynką na ramieniu. Z tej sceny niezadowolony był tylko Jem Belcher. Nachmurzony, pociągnął Mateusza za rękaw.

—

Do czego zmierzasz, obdartusie? — powiedział ze złością.

—

Będiesz lizał mu tyłek?... pierwszemu ważnemu panu, jakiego spotykasz. Będziesz skakał jak piesek salonowy, kiedy zawoła "hop"? Masz umowę ze mną. Nie zapłacę...

Mateusz odwrócił się i spojrzał mu prosto w twarz. Nie pierwszy raz w życiu stał oko w oko z rozgniewanym człowiekiem i wcale się tym nie przejął. — Nie musisz płacić — rzekł wyniośle. Żeby mu dokuczyć, dodał jeszcze: — Dziękuję ci, przewoźniku, dobrze się sprawiłeś

— i odszedł, a Jem Belcher został, piniąc się ze złości, jak wtedy, gdy Mateusz natknął się po raz pierwszy na niego.

Podczas dłuższej jazdy klekocącym wehikułem przez nowe centrum miasta wszystko

zdawało się pana Pepysa cieszyć — czy to widok strzelającej w niebo wspaniałej budowli, czy rybaka stentorowym głosem zachwalającego swój towar, czy urodziwej dziewczyny wdzię-

cznie wystawiającej biust na wiosenne słońce. Przez całą drogę do domu wielki człowiek, który siedział tak milcząco w barce, teraz gadał jak świeżo wykluta sroka.

Mateusz Lawe, słuchający go uważnie, przyczynę tego swobodnego nastroju uzmysłowił

sobie dopiero, gdy powiązał wszystkie nici, które się na to złożyły, co mu zajęło kilka dni.

Krótko mówiąc, między jednym wschodem słońca a następnym pan Samuel Pepys w pełni

wrócił nie tylko do łask, lecz i do najświetniejszego punktu w swoim życiu; wrócił świeżo z zamku Windsor, gdzie całował ręce dam, zaproszonych przez króla.

Poczynając od tego ranka, po okresie łaski i niełaski, sławy, ale i jadowitych ataków, mógł

się podpisywać jako sekretarz Admiralicji

— faktyczny Pan Morza, z prawem przeorganizowywania, według własnych wyobrażeń,

swojej ukochanej Marynarki Wojennej, od kapitanów do chłopców donoszących pociski

obsłudze dział; od dziewiczej stępki po strzelisty top masztu. Przejazdkę z pałacu Whitehall do Tower odbył dla zaczerpnięcia powietrza i pooddychania najczystsza radością przed

zapięciem zbroi i przystąpieniem do przetwarzania marzeń w fakty.

Będąc śmiertelnikiem, będąc panem Pepysem — zaprawionym w grzeszeniu, ale

nowicjuszem w dziedzinie władzy — mógł też kącikiem oka zerknąć na swoją iście książęcą pensję: ze dwa tysiące funtów rocznie, do tego bezpłatne mieszkanie, fundusze na koszty podróży i wszelkie inne uboczne korzyści związane z urzędem; a na dodatek wielkie

znaczenie, jakiego dotąd nie osiągnął żaden człowiek w służbie Korony.

Tego dnia jednak mówił o przeszłości. Miał pięćdziesiąt jeden lat, był znany szeroko, jutro zaś rysowało się wielce obiecująco. A przejażdżkę rzeką odbył, żeby znów, chwilami z

uczuciem żalu, dotknąć swoich korzeni. Mateusz znalazł powóz pod zachodnią ścianą Tower i ruszyli na północ w górę Seething Lane. Wyglądało, że tu wspomnienia były żywe, a w



wypadku pana Pepysa nałożyły się na jeszcze nie zagojone rany.

— Seething Lane—oznajmił Pepys wyglądając przez grzechoczące okienko. —

Zamieszkałem tu w roku 1660 jako świeżo zatrudniony urzędnik Biura Dokumentów. Dawne Biuro Marynarki Wojennej znajdowało się pod tym samym dachem. Miałem dwadzieścia siedem

lat i od lat pięciu byłem żonaty. Żona miała zaledwie lat dwadzieścia... W tym domu —

wskazał — mieszkaliśmy czternaście lat. Byliśmy tu szczęśliwi... mieliśmy dziewięć pokoi i bawiliśmy się w prowadzenie gospodarstwa domowego — a potem ona zmarła i przestałem być szczęśliwy. W każdym razie były to okrutne czasy.

Mateusz mógł tylko zaryzykować pytanie: — Jak bardzo okrutne, sir?

— Musiałeś być wtedy chłopcem — odrzekł pan Pepys — i nie londyńczykiem. Z tego

domu oglądaliśmy Wielką Zarazę w sześćdziesiątym piątym, która nas ominęła, chociaż była najstraszniejsza ze wszystkich, jakie nawiedziły nasz kraj. Z tygodnia na tydzień rosła liczba zgonów o dziesiątki, setki, tysiące... Ale najgorszą stroną zarazy — jeśli się zapomni o niebezpieczeństwie, o jamach, do których ludzie się dowlekali, żeby tam skonać, i bijącym z nich fetorze, a także

o straszliwych widokach i odgłosach — było to, co zrobiła z tymi, co przeżyli... Uczyniła nas okrutniejszymi wobec siebie od psów... Gdy padła na czyjś dom, dziękowaliśmy Bogu, że nie na nasz. Zamykaliśmy szczelnie okna i modliliśmy się, żeby nas oszczędziła, podczas gdy godni litości nieszczęśnicy stukali do naszych drzwi błagając o pomoc... Dwór wyjechał z Londynu, moja żona też. Zostałem sam na Seething Lane i pracowałem, a na ulicach było tak cicho, jakby jeszcze nie wynaleziono koła. Kiedy wszystko się skończyło i ludzie zaczęli wracać do miasta, odgrywałem bohaterskiego archanioła! Ale prawdę mówiąc, mimo że bez

przerwy pracowałem, nigdy nie żyłem tak wesoło

i nie zyskałem tyle, co w okresie zarazy.

— “Zyskałem tyle”? — powtórzył zdziwiony Mateusz. — W złocie?

— Kobiety. Wszystkie, od uczciwych żon do dziewczyn ulicznych uznały, że słyszą trąby

Sądu Ostatecznego i było to najbardziej zdesperowane wezwanie pod broń, jakie odebrałem w życiu.

Mateusz, który z wiejskiego chłopaka stał się skromnym marynarzem, był po prostu

wstrząśnięty. A więc taki był pan Samuel Pepys, wysoki urzędnik państwowy... Nie lepszy od byle obleśnego szubrawca z rynsztoka, w dziurawych portkach... Łajdaczyć się podczas

zarazy, odesławszy żonę w bezpieczne miejsce... Siedział milcząc w powozie trzęsącym się na kocich łbach Cheapside. Wjechali w cień katedry Św. Pawła, a on wciąż się zastanawiał, jak darzyć szacunkiem ludzi z wyższych sfer, skoro wszyscy tak samo nurzają się w pomyjach.

I wtedy pan Pepys, czy to szturchnięty Ręką Wszechmocnego, czy też domyślając się dezaprobaty ze strony tego prostaczka, spróbował jakoś się usprawiedliwić, wzorem przezornego ambasadora, który napisawszy "Ustęp pierwszy. Punkty na niekorzyść", dodałby po nim "Ustęp drugi. Pewne punkty na korzyść".

— No cóż, winien czy nie, zostałem ukarany, i to nie tylko

wymówkami żony, kiedy wróciwszy usłyszała, co mówiono na mieście

— a może też z a c z ł e m ponosić karę, albowiem jest to długi proces i żaden człowiek nie uwalnia się od niej, póki żyje... Od zbyt długiego czytania małych liter mój wzrok zaczął się psuć. Ciągle jeszcze widziałem krajobraz, ludzi na ulicy, mężczyzn w pomieszczeniu

— a kobiety wszędzie! — lecz czytanie i pisanie stało się prawdziwą torturą. Żeby zrozumieć znaczenie tekstu, musiałem wpatrywać się w stronicę i dzięki skórzanej tubie odczytywać literę po literze. Gdy kończył się dzień pracy, wychodziłem z Biura Marynarki Wojennej po omacku, umęczony, bliski wymiotów od bólu głowy... Nie mogłem nawet kontynuować

mojego cennego diariusza, z obawy że oślepnę. W pracy musiano mi odczytywać wszystkie

dłuższe informacje, a moi urzędnicy mieli pozwolenie na podpisywanie się moim nazwiskiem pod dyktowaną przeze mnie odpowiedź.

Mateusza znowu rozczulił ten dzielny człowiek. — Ale, sir, czemu pan nie zrezygnował z tego? Tyle pracy pan zrobił.

— Praca nigdy się nie kończy! — Oczy pana Pepysa, przedmiot takiej troski, spojrzały

bystro na Mateusza. — Musiałem zakończyć czy też zacząć sprawy Marynarki Wojennej i

dalej muszę. Myślałem zresztą, że wzrok mi się poprawi, jak będę go oszczędzał. — Potem uśmiechnął się, człowiek pragnący stać się wzorem obowiązkowości.

— Któż rezygnuje z urzędu, póki może jeszcze dowlec się do pracy? Trudno było iść w ślad za taką zmiennością nastroju albo odpowiedzieć coś sensownie. Czy wszyscy ludzie tego kalibru są gotowi pokpiwać z siebie i wygrywać wyścig, zanim tłum zacznie wyc? Mateusz nie

wiedział i pewnie nigdy się nie dowie. Mógł tylko słuchać w nadziei, że się czegoś nauczy.

— Ale wcześniej, rok po zarazie, wszyscy zostaliśmy ukarani

— ciągnął pan Pepys. Powóz zjeżdżał teraz w dół Ludgate Hill, nędznej uliczki wybrukowanej kocimi łbami, pełnej dziur i wyboi, więc dla zachowania pulchnego ciała w równowadze Pepys trzymał się skórzanego uchwytu przy swym boku. — Gdzie byłeś, gdy w Londynie wybuchł pożar?

— Na zachodzie, sir.

— Ale w morzu?

— Tak. Przypadkowo.

— O Fortunatus!\* Dopiero po fakcie mówi się: "Za nic w świecie nie chciałbym, żeby

mnie to ominęło!" Wtedy każdy tylko myślał albo mówił: "Dałbym wszystko, żeby się znaleźć o tysiąc mil stąd!" Miałem nadzieję, że nigdy nie zobaczę nic gorszego od zarazy. Ale pożar Londynu przewyższył wszystko pod względem wyrządzonego zła i nieszczęść.

— Czy dotarł aż tu? — spytał Mateusz patrząc na prowadzącą pod górę Fleet Street i wytworne domy po obu jej stronach.

— Czy dotarł? Jedziemy przez prawdziwy cmentarz! Pamiętasz, skąd wzięliśmy powóz?

— Spod Tower, sir.

— Właśnie. Moim niedawnym wspaniałym lokum! Ale teraz dojeżdżamy do Tempie Bar,

gdzie pożar został w końcu opanowany. Za nami mamy ponad milę, i to była mila ruin, tu ogień szalał najbardziej. W obrębie tej mili nie ostał się żaden dom. Od Tower do Tempie, od High Holborn do rzeki wszystko spłonęło doszczętnie.

— Ile czasu trwał pożar?

— Sześć dni. Tyle potrzebował Bóg na stworzenie wielkiego świata i w takim samym czasie zniszczył ten mały światek.

Zaczęło się, opowiadał pan Pepys w trakcie dalszej jazdy, w piękną wrześnieową noc.

Wyrwano go wtedy z łóżka w koszuli nocnej, żeby popatrzył "na mały pożar w mieście". Paliło się wprawdzie dość blisko, na sąsiedniej Mark Lane, ale wiał silny wiatr od wschodu, i Pepys pomyślał, że taki mały pożar zostanie zdmuchnięty albo się wypali. Wrócił do łóżka — a

potem więcej już się nie kładł przez następne cztery noce.

Późnym rankiem płomienie przerzuciły się na niezliczone drewniane domki ze smołowanymi dachami, a wśród nich magazyny oliwy do lamp, łoju i spirytualiów — materiałów równie łatwych do zapalenia się jak szybkoopalny lont. W południe płonęły wszystkie budynki po północnej stronie Mostu Londyńskiego. Ludzie mieszkający nad rzeką ładowali dobytek na barki i lichtugi i uciekali.

Pierwszymi ofiarami, którym nie udało się uciec, były londyńskie gołębie. Nie mogąc uwierzyć w nieszczęście siedziały na dachach i parapetach okien, aż z opalonymi skrzydłami pospadały w dół.

Nie tylko one nie wierzyły w to, co widziały. Nikt nie ruszył palcem, żeby przeciwstawić się zagrożeniu. Pan Pepys, obywatel trzeźwo patrzący, odważniejszy od innych i mający

łatwiejszy dostęp do władz, kazał zawieźć się łodzią do Whitehall, przerwał królowi

konferencję i przekazał wiadomość. Został odesłany do burmistrza z królewskim rozkazem:

“Burzyć domy. Utworzyć blokadę dla ognia”.

— Znalazłem burmistrza — ciągnął Pepys — i przekazałem mu rozkaz. Ale mógłbym

przemawiać do ognia. Burmistrz zupełnie stracił głowę i załamywał ręce jak dziewczyna w napadzie hysterii. “Co ja mogę zrobić? — pytał. — Nikt mnie nie posłucha!”

Mówił prawdę. Ci, których dotknął pożar, uciekali w popłochu. Wyładowane wozy

wpadały na siebie. Przy brzegu łodzie i barki zderzały się, gdy zdesperowani ludzie próbowali odpłynąć od objętego płomieniami lądu. Reszta siedziała i czekała na swoje przeznaczenie, mimo że powietrze wokół robiło się gorące od języków ognia, a trzaski i rumor budziły

przerażenie, odbierały przytomność umysłu.

Uciekwszy przed żarem Pepys ze swymi domownikami obserwował pożar z południowej strony rzeki. O zmroku widok mógł już przerazić każdego mniej wrażliwego niż kamień.

— Znasz morze — mówił w zamyśleniu do Mateusza, jakby na zielonych terenach

Lincoln's Inn wciąż widział to co wtedy. — To było morze zamienione w piec. Ale morze nie zwykłego ognia, lecz straszliwych, krwawych płomieni. Pożar objął łukiem blisko milę... I mógł się tylko nasilać... Gdy następnego dnia zbliżył się do mojego domu, odesłałem większą część dobyteku

na wieś powozem albo barką z Tower Dock. Wszyscy rzucili się do ucieczki —

walczyliśmy

0 miejsca jak zwierzęta.

Potem wrócił na Seething Lane i do swoich obowiązków w Biurze Marynarki Wojennej.

Czwarty dzień był najgorszy. Chociaż bezpośrednie kierownictwo objął król, z księciem

Yorku u boku i całym legionem żołnierzy do wykonywania poleceń, ogień rozszerzał się

jeszcze gwałtowniej i coraz dalej na zachód. Spłonęła stara katedra Św. Pawła. Gdy się waliła, rzeka stopionego ołowiu spłynęła z jej dachu. Płomienie przeskoczyły przez wolną przestrzeń i omal nie zamknęły w kręgu ognia księcia i jego żołnierzy wysadzających w powietrze domy na wzgórzu Ludgate.

Ale głównym ich zmartwieniem była zachodnia strona miasta. Po stronie wschodniej

bardzo zagrożone było Biuro Marynarki Wojennej, miejsce pracy pana Pepysa, toteż zostało opuszczone przez wszystkich w szalonym pośpiechu.

Na własną odpowiedzialność Pepys wezwał marynarzy i robotników ze stoczni w

Woolwich i Deptford do burzenia domów w pobliżu Seething Lane. Nawet w tym okresie

chaosu mogło to oznaczać zakładanie sobie pętli na szyję, według bowiem starego prawa ten, kto by zniszczył domy w londyńskim City, musiałby z własnej kieszeni pokryć koszty ich

odbudowy.

— Przekazałem jednak królowi memorandum na ten temat — powiedział Mateuszowi ten

przezorny urzędnik — i dostałem od niego podpis, który mnie chronił... Marynarze, niech ich Bóg błogosławi, zjawili się z linami i siekierami do ratowania serca swojej Marynarki

Wojennej, mimo że od dawna zalegała ona z wypłatą ich poborów. Ale chyba za późno

zabrałem się do tego. O drugiej, w trakcie kolejnej bezsennej nocy, ogień dosięgnął! dolnej partii Seething Lane i strawił wszystko. Poprzez trzask płomieni przebijał się huk potężnych wybuchów. To żołnierze wysadzali w powietrze całą Tower Street, żeby uratować mieszczący się tam magazyn prochu. Nie było słychać żadnych głosów ludzkich... Tak więc zabrałem

resztę złota — mojego

1 Marynarki — zamknąłem za sobą drzwi i odpłynąłem do Woolwich

z żoną i moim pracownikiem, Willem Hewerem. Padaliśmy wprost ze zmęczenia... Do rana nie byłoby już czego ratować.

Ale rano, gdy o pierwszym brzasku wrócił, żeby obejrzeć ruiny swego domu, zobaczył cud.

Ogień zatrzymał się w dolnym końcu Seething Lane. Dzięki ofiarnym marynarzom i dom, i budynek Marynarki Wojennej stały nietknięte. Faktycznie ogień został już opanowany w całym mieście. Z pomocą króla i księcia, lin i prochu, żołnierzy i marynarzy potwór został poskromiony.

Gdy później przechodził ulicami pilnie notując — i oplakując — zyski i straty, nastąpił na potwornie zwęglony szkielet, tak jeszcze gorący, że sparzył mu stopy przez podeszwy butów.

Przy resztkach ognia dopalającego się w podziemiach dokonano obliczeń. Okazało się, że spłonęło około 13 tysięcy domów, a 100 tysięcy ludzi straciło dach nad głową.

— Lecz tego dnia byłem dumny z Anglii—powiedział pan Pepys, kiedy powóz, chybcząc

się, zjeżdżał w kierunku Charing Cross i pałacu Whitehall.—Czy gdzieś na świecie król wraz ze swoim bratem własnymi rękami, stojąc na własnych nogach i dowodząc swoimi ludźmi

ocaliliby od ruiny tak wielką część stolicy?—Przez pewien czas panowało milczenie. Mając w polu widzenia pałac, Pepys dodał:—Nie wszystko było przekleństwem w sześćdziesiątym

szóstym. Płomienie przynajmniej oczyściły miasto z zakażenia. Może oczyściły nas... I dały nam to odrodzone miasto... Mój przyjaciel, pan Evelyn, mawiał, że po pożarze najbardziej cieszył oko widok króla siedzącego w otworze strzelniczym z wielkim arkuszem papieru na kolanach i szkicującego nowy Londyn.

Pan Pepys zatrzymał powóz na skraju parku Św. Jakuba, najpierw żeby odwzajemnić

pozdrowienie eleganckiego dżentelmena, z wielkim zainteresowaniem przyglądającego się

przejeżdżającym karetom, a potem żeby się nacieszyć widokiem łąk z sadzawkami dla kaczek, równie sielankowym jak widoki ogrodów Edenu.

Dżentelmen, ubrany bardzo modnie, w wysokiej peruce przypominającej piramidę z

Pashas, zaczął od rzuconej bez żenady szyderczej uwagi, by zakończyć najuniżeńszą supliką od czasu, kiedy Mojżesz upokorzył Egipcjan.

— Wynajęty powóz, panie Pepys? — wycedził. — To tak krucho z Biurem Marynarki

Wojennej?

Samuel Pepys błyskawicznie zamienił się w indora.

— Jeśli o to chodzi, to nie mam pojęcia — odparował. — Może duch Marynarki Wojennej

niecو wychudł. Nowa Admiralicja, w której od dziś jestem sekretarzem generalnym, ma się nie najgorzej... albo będzie się miała nie najgorzej, gdy tylko zabiorę się za nią. Tymczasem jeżdżę sobie wynajętym powozem, bo tak mi się podoba. Przejadę się

na świni, jak zechcę, a... — dodał z promiennym wyrazem twarzy i maksymalnie dobrą wolą

— cóż za piękny dzień mamy dzisiaj, sir!

Mateusz nigdy nie widział, żeby ktoś podobnie zdeprimowany równie szybko przyszedł

do siebie. Rozkoszą było widzieć, jak płaszczy się w unizonej uprzejmości. Po wymianie pytań i komplementów, tak przesadnych jak te pochodzące od kochanka oblegającego bogatą

wdowę, dżentelmen wyjąkał na pożegnanie:

— Czy mogę mieć zaszczyt ofiarować panu jutro moje usługi?

— i skłoniwszy się ponownie, cofnął się, jakby oślepiiony blaskiem wschodzącego słońca, zbyt wspaniałego dla oczu zwykłego śmiertelnika.

— Cóż to za kreatura! — powiedział pan Pepys, gdy tylko zostali sami.—Ale trzeba

przyznać, że potrafi wyczuć, skąd wieje wiatr! “Czy mogę mieć zaszczyt ofiarować panu jutro moje usługi?” Niedoczekanie! Kiedy byłem na dnie, ten człowiek był gotów swoją małą piastką rozgnieść mi genitalia. A teraz widzisz, jak chce się przyssać do cycka! — Ostra pogarda w jego głosie odnosiła się do wszystkich tego rodzaju oportunistów. — No cóż, on pewnie o tym nie wie, ale dziś nie dałbym za niego złamanego szeląga, czy występowałby jako przyjaciel, czy wróg!

— Sir, myślę, że wie.

— Bardzo mi ulżyłeś. Pomyśleć, że mógłby mieć wątpliwości!

— Ale człowiek tego pokroju co Pepys nie musiał dawać wyrazu niechęci dłużej, niż było

warto. Zrobiwszy z dłoni daszek dla osłony słabych oczu przed słońcem i lśniącymi

zmarszczkami na wodzie, objął spojrzeniem urocze połączenie parku Św. Jakuba. — Kiedyś co

dzień rano spacerowałem tu z królem lub księciem, jego bratem, i da Bóg, znowu będę! Jak dawniej, będziemy rozmawiali o Marynarce Wojennej—nic innego się nie liczy... —

Ponownie zwrócił się do Mateusza. — Nigdy nie zapomnij... w okresie, o którym ci

opowiadałem, w roku zarazy i roku pożaru, Holendrzy nieustannie skakali nam bezlitośnie do gardła. Nadzwyczajni żeglarze... i bezwzględni, gdy atakują, właśnie tak jak powinni, jeśli tylko mają ogień w pękatyh brzuchach swoich kadłubów! A my mogliśmy im przeciwstawić

jedynie marny cień Marynarki Wojennej... — Pan Pepys sięgnął do swej niezawodnej

pamięci... — Mówiłeś coś o tym, kiedy spotkaliśmy się w Portsmouth. Odniosłem wtedy

wrażenie, że słucham starej historii z młodych ust. Głodzimy naszych marynarzy, pozwalamy, żeby nasze okręty mur- szały, a potem, gdy stajemy w obliczu zagrożenia, jesteście

zaskoczeni. I znów budujemy na gwałt, aż trzeszczą grzbiety, trując się jak tytani, a rozumu mając mniej od myszy. Lecz to, o czym nie możesz wiedzieć, to wróg wewnętrzny.

To rzekłszy zamilkł i zagłębił się w myślach. Mateusz jednak odważył się zadać pytanie:

— Co to za wróg, sir?

— Złodzieje! — odrzekł natychmiast pan Pepys. — Nie nazwę ich gorzej, ale i nie

pochlebię im, mówiąc o nich lepiej. Marynarka jest polem dla korupcji od czasu, gdy

dwadzieścia pięć lat temu przyszedłem pracować jako młody urzędnik. Stwierdziłem to wtedy i to samo stwierdzą jutro rano. Na Boga, gdybym brał wszystkie łapówki, którymi chciano smarować mi dłoń, stać by mnie było na zbudowanie własnego okrętu liniowego. A nawet

własnej floty! Byliśmy pożądaną zwierzyną dla każdego oszusta, któremu udało się zdobyć kontrakt, dla każdej świni, której zapachniało państwowe koryto, bo my musieliśmy mieć

okręty. Sprzedawano nam mokre drewno, zardzewiałe żelazo, zepsute mięso, chleb nie

nadający się nawet na karmę dla trzody. Oficerowie wykradali z królewskich okrętów liny i płótno żaglowe i sprzedawali z powrotem stocziom jako nowe. Płatnicy trzymali rękę w

kieszoni każdego biednego marynarza. Moich ludzi, próbujących odbierać ukradzione rzeczy, bito albo grożono im nożem w najbliższą ciemną noc. Co robi człowiek bity za uczciwość?

Płynie z nurtem śmierdzącego pływu albo głoduje czy wręcz umiera... Sprawą, która leżała mi na sercu, była możliwość zrobienia dużych pieniędzy na kontraktach uczciwą drogą. Ale nie... te świny muszą ryc, żeby mieć jeszcze więcej zarcia, a jeśli marynarze płacą za to życiem, to są głupcami i dobrze im tak.

Problemy, o których mówił Pepys, były zupełnie obce Mateuszowi Lawe'owi. Myślał, że

wie dużo więcej niż inni o sprawach morza. Teraz jednak się przekonał, że z całego oceanu



kłopotów, jakie mogły doskwierać marynarzowi, dojrzał zaledwie odrobinę. Istniały gorsze przykłady podłości niż stosowanie kul łańcuchowych, gorsze kary niż gotowa do bicia pięść bosmana; więcej było przebiegłych wrogów niż rekinów... Piraci byli na lądzie, w Anglii...

Wielce zdumiony, powiedział w swej prostocie:

— Aż dziw, że okręty były budowane i obsadzone załogami.

— Wciąż się je buduje i obsadza załogami, chociaż opóźnienia mogą przyprawić

człowieka o ból serca... Och, pozbywałem się jakoś mnóstwa łajdaków i dzięki temu udawało mi się sklejać wszystko na czas. Król był bezcennym sprzymierzeńcem, księżę zaś pod maską obojętności ukrywa troskę o morze... Ale po drodze narobiłem sobie zbyt wielu wrogów i ja z kolei zostałem odsunięty. Przez człowieka, którego sam król nazwał najpodlejszym psem w Anglii.

— Kto to był, sir?

— Nie kto inny jak milord Shaftesbury, lord kanclerz królestwa! Potrzebował kija, żeby

uderzyć króla, i miałem ten zaszczyt, że wybór padł na mnie... Ale ten pies nie żyje od roku, a ja wróciłem do życia. Lecz gdy byłem na dnie, Marynarka Wojenna też się pogrzyżyła. — Bez zbytecznej skromności pan Pepys dodał: — Czegóż innego można się było spodziewać?

Parlament przyznawał miliony, a wciąż było za mało.

Dziś nie ma floty wartej tego miana. Zwolnili wszystkich starych kapitanów twardej szkoły, ludzi gburowatych, lecz umiejących żeglować i bić się, a na ich miejsce dali dżentelmenów...

Tak więc zostałem znów powołany i powiedziano mi, że mam budować od nowa. — Lecz

smętny wyraz jego twarzy mówił, że pewność siebie nie dorównuje jego odważnym słowom.

— To największa szansa w moim życiu. Ale nie jestem już młody.

Bardzo mu współczując Mateusz zdołał tylko wydusić z siebie, że to się zdarza

najlepszym.

— Co? — Pan Pepys zachnął się. — Myślisz, że król zaproponowałby pracę jakiemuś staremu ramolowi z otępiałym mózgiem?

— Energicznie stuknął laską w dach powozu i zawołał: — Do mojego domu! — Gdy powóz

zawracał, pan Pepys dodał cierpko: — Jeśli takie myśli lęgną ci się w głowie, to trzymaj je dla siebie, bo możemy wypaść... A teraz odpowiedz mi na następujące pytania.

Zadawał je gęsto i szybko, raz w formie przyjaznej, to znów napastliwie. Pytania mogły sprawić kłopot urzędnikowi albo zbić z tropu zespół śledczy. Czy Mateusz potrafi dość płynnie czytać i pisać? Czy jest zbiegiem? Gdzie są jego rzeczy, jeśli w ogóle ma jakieś? (— “Pod Kogutem”, przy schodach Wapping — musiał przyznać się pokornie). Chociaż przyuczony do pracy na morzu, czy trudnił się kiedykolwiek pracą papierkową, pomagając kapitanowi?...

Albo jako magazynier?... W ogóle czy zajmował się jakąś lepszą pracą niż prostego marynarza? Czy jest żonaty? Skoro nie, to czy lubi kobiety? (—Nie miałbym zaufania do mężczyzny odpowiadającego “nie” na to pytanie, czy mówiłby prawdę, czy kłamał).

Czy zna się na drewnie? Czy kiedykolwiek chorował? Czy jest papistą? (— Mam dosyć smrodu w tym gnieździe). Jaka byłaby przyzwoita cena za sto beczek wędzonego śledzia złowionego w Yar- mouth i dostarczonego do Chatham? (Kiedy Mateusz odpowiedział zmartwiony: — Nie wiem, sir — pan Pepys zamknął sprawę mówiąc:

— Ani ja. Cena się waha i zawsze jest za wysoka).

Gdyby wdowa po jakimś biedaku przyszła do biura z kwitem na jego zaległą zapłatę, czy Mateusz by go uznał albo odkupił za znacznie zmniejszoną sumę, czy też odesłałby ją do

Żyda? A może podarłby kwit, a kobietę wykorzystał? Jeśli jakiś okręt ciągle nie jest gotowy do służby, czy należałoby zwolnić kapitana, prywatnie przepytać jego oficerów o przyczynę lub zatrzymać mu pensję do czasu odpłynięcia?

— No widzę, że nosisz morze w sercu — powiedział w końcu Samuel Pepys, gdy powóz

zwolnił, żeby skręcić w Buckingham Street, do celu ich jazdy. — Ja również. Jak długo nie będziemy umieli machać skrzydłami i latać, marynarze będą tworzyć świat... Teraz potrzeba mi jeszcze jednej pary młodych oczu. I dwóch silnych ramion. A przede wszystkim muszę

mieć przy sobie oddanych ludzi. Jak wszyscy inni

w moim domu, mam dość zdrajców, wielkich i małych. — Gdy powóz stanął przed okazałymi drzwiami frontowymi Numeru Dwanaście, pan Pepys powiedział niezobowiązująco, ale przyjaźnie: — Zobaczymy... Teraz pomóż mi wysiąść.

Wykonując polecenie Mateusz mógł tylko czuć się zaszczycony. Wszystkie znaki

wskazywały, że na drodze od Tower of London do Whitehall Pałace został zaaprobowany

dwukrotnie: raz przez morze i raz przez ląd. Pod londyńskim słońcem, trzymając czapkę w ręku, przysiągł sobie na wszystko, że zapracuje na takie zaufanie i będzie uczciwie z niego korzystał dla własnego powodzenia.

### III

Po pełnym wydarzeń ranku nastąpił wieczór dziwniejszy od wszystkich przeżytych przez Mateusza Lawe'a przez wiele lat.

Dom pod numerem dwunastym przy Buckingham Street, który Samuel Pepys dzielił z Willem Howerem, swoim wiernym pracownikiem i przyjacielem od dwudziestu czterech lat, nie przypominał żadnego widzianego dotychczas przez Mateusza. Był bogaty, elegancki, zawsze pełen ludzi i miał dobrą reputację. O jego bogactwie świadczyło wszystko: meble, srebra, szafy i bieliźniarki z polerowanego drewna, kredensy i komody, lśniące świeczniki, wino gotowe do podania i sam zapach oleju lnianego, wcieranego cierpliwie w pielęgnowane powierzchnie.

Nawet lustra, odbijające te wspaniałości, dumnie świadczyły o swoim renomowanym pochodzeniu.

Samuel Pepys mógł oczywiście mieć trudne dni. Ale miał też okresy powodzenia. Fakt, że teraz był u szczytu swoich możliwości, dowodził, że nie zdarzyło mu się stracić wszystkiego ani przeliczyć się ze swoimi siłami. Po prostu skromnie i przezornie czekał, aż przyjdą lepsze czasy. Mateusz, przyglądając się ze zdumieniem nobliwemu mieszkaniu, przypomniał sobie

słowa wypowiedziane przez jego właściciela w powozie: "Gdybym brał wszystkie łapówki, którymi próbowano smarować mi dłoń..." Trudno byłoby zaprzeczyć, że trochę tego smaru znajdowało czasem drogę do ustępliwej dłoni.

Lecz nie pozostawiło to plamy na jego honorze i nie przyćmiło jego zasług. Uśmiechnięte twarze służby potwierdzały inną wypowiedź pana Pepysa: że ma wiernych ludzi wokół siebie.

Will Hower był kotwicą tej domowej przystani. Mężczyzna czterdziestoletni, o dobrej prezencji, mocno zbudowany, jasnowłosy, zdecydowany dobrze służyć swemu panu i sobie, był tą osobą, do

której wszyscy się zwracali, gdy pan Pepys był zajęty, zmęczony lub nieobecny. Nie zaskoczył go ani nie krępował widok nowego domownika przybywającego bez uprzedzenia pod

opiekuńczym skrzydłem sekretarza. Może było wielu takich; on sam mógł być jednym z nich ćwierć wieku wcześniej.

Wszystko zostało załatwione przez Willa Hewera w ciągu jednego długiego dnia jego pracy: omówienie sprawy w cztery oczy z panem Pepysem, szczegółowe przeegzaminowanie Mateusza i wydanie dyspozycji, czemu towarzyszył dobry humor. Hewan wydał Mateuszowi zwięzłe instrukcje.

— Zamieszkaś w jednym z pokojów na mansardzie i w dzień będziesz, jak my wszyscy, pracował w Derby House. Na początku powinieneś robić tam tylko to, coci każą. Ale tutaj, w tym domu, masz być gotów robić wszystko, co będzie trzeba: przynosić krzesła dla towarzystwa, podawać wino, gdy służba nie nadaży, odprowadzić damę do wyjścia, odczytywać to, czego pan Pepys nie będzie mógł odcyfrować, odwracać strony z nutami. Wszyscy stanowimy jedną rodzinę i wszyscy służyliśmy jednemu wielkiemu człowiekowi—za wolą Boską od dziś jeszcze większemu! — i jeśli trzeba będzie ponieść mu wiolonczelę, wprowadzić królewskiego posłańca o północy do jego pokoju albo przepędzić kota-włóczęgę z jego ogrodu, zrobi to ten, kto będzie najbliższej pod ręką.

Wyglądało to jak prawdziwa służba u króla... Ale mowa o stronicach nut i królewskich posłańcach nie podniosła pewności siebie w Mateuszu, już i tak przytłoczonym nowym otoczeniem, tak różnym od tego, do jakiego przywykł.

— Będę robił, co w mojej mocy — powiedział. — Z kotem dam sobie radę. Ale boję się, że będę robił błędy.

Will Hewan przyjrzał mu się uważnie i, o dziwo, wyglądało, że nie znalazł żadnego braku.

— Bój się tak dalej, a będzie ci dobrze. Masz szansę. Skorzystaj z niej! Jak zrobisz coś nie tak, zostanie ci to wytknięte, i będziesz się uczył w ten sposób. Jeżeli błąd się powtórzy, zajrzę ci w uszy, żeby sprawdzić, dlaczego zachowałeś się jak głupiec. Co do reszty, patrz na mnie, rób to co ja i nigdy nie działaj pochopnie. — Potem przeszedł do spraw praktycznych. — Ktoś

pójdzie po twoje rzeczy, skrzynkę czy worek, co tam masz. A na razie, mamy podobne figury, i moje zapasowe porządne szare ubranie może ci posłużyć na dzisiejszy wieczór, kiedy będzie wiele gości. Nie zrobisz w nim furory, ale pan Pepys nie lubi, jak jego pracownicy za bardzo się wyróżniają. W

parlamencie są tacy, co tylko czekają, żeby zadać pytanie, czemu urzędnik Korony trzyma kanarka, zamiast wróbla!

Tak się złożyło, że w tej właśnie chwili sam pan Pepys pojawił się na końcu długiej galerii, gdzie obaj stali, wspaniale odziany w strój obszyty galonem, świeżo kupiony i włożony na wieczorne przyjęcie.

Mimo niepozornej figury ten mały mężczyzna wyglądał okazale i tak bardzo na miejscu w swoim eleganckim domu, jakby i dom, i on zostali zaprojektowani równocześnie.

Mateusz westchnął zrezygnowany. W tej złotej klatce nie było szarych wróbli.—Wszystko tu takie bogate—powiedział cicho. — Co trzeba robić, żeby zdobyć taki raj?

Will Hower, wierny obrońca, wybrał tylko jeden aspekt tego pytania i dał na niego

odpowiedź. — Pracować — odrzekł krótko. — Jak ten, który napracował się więcej, a

otrzymał mniej niż ktokolwiek w służbie angielskiej Korony. To, co widzisz wokół siebie, pochodzi nie z przypadku, kradzieży czy spiskowania w jakimś ciemnym kącie. To nagroda za nieustanną służbę. Jutro znów na nią zasłuży... Teraz potrzebuje stołeczka pod nogi. Podasz mu?

— Tak.

— Stoi tam w kącie. Potem włóż to szare ubranie i przygotuj się do pełnienia obowiązków.

Kolacja, na której Mateusz Lawe siedział ledwie widoczny przy słabo oświetlonym końcu stołu, była wystawna. Gospodarz postanowił uhonorować składających mu życzenia, a domownicy dobrze się natrudzili, żeby go wesprzeć w tym zamiarze. Mateusz nigdy nie widział takiej ilości jedzenia i nie rozkoszował się nim bardziej.

Na stole w jednym końcu ustawiono ćwiartkę baranią z karczkiem przybraną

marchewkami, a w drugim udziec barani z kalafiolem w doskonałym sosie cheddar; między

nimi zaś dalsze skazane na pożarcie ofiary: dwa króliki, mostek cielęcy w winie, szpikowany słoniną, i sześć małych kurcząt obłożonych karczochami i groszkiem. Dla tych, co mogli

jeszcze coś zjeść, były owoce i sery.

Butelki bordo dla znacznych gości i piwo dla mniej znacznych uzupełniały posiłek, o jakim admirał uczujący w swojej kajucie, nie mówiąc o zwykłym marynarzu, z wyobraźnią nie

sięgającą poza soloną wieprzowinę i suchary, mógłby tylko marzyć w jakimś marynarskim niebie.

Mateusz siedział odprężony wśród mało znaczącego towarzystwa: dwóch innych

urzędników, mierzących go uważnymi spojrzeniami, lecz nie zdradzających ciekawości; jakichś kuzynów Willa Hewera, onieśmielonych, milczących i wiecznie głodnych, jak wszędzie ubodzy krewni, i poważnego mężczyzny, który powiedziawszy:—Jestem Sam Stallybrass ze stoczni Deptford — i jakby uznawszy, że zrobił wszystko, aby stać się nieśmiertelnym, nie odezwał się więcej ani słowem.

Mateuszowi przeznaczono miejsce między starszą, przywiędłą damą, która nie wiedząc, koło kogo przypadło jej siedzieć, zachowywała się frywolnie, jakby w przekonaniu, że jej najlżejsze spojrzenie może

247

rozpłomienić cały męski świat, a chłopaczkiem, poważnym jak pan Stallybrass z Deptford, sięgającym tak zachłannie po jedzenie, że mógłby nim wypełnić grotzagiel, zanim bosman zdążyłby ryknąć: “Sprzątnąć!”

Lecz Mateusz był bardzo zadowolony. Jedzenia było dużo, a do obserwowania nie tylko pracujące żuchwy sąsiadów.

U szczytu stołu, w najjaśniejszym blasku świec, pan Pepys królował wśród znakomitych gości. Był tam co najmniej jeden lord, ponieważ nieustannie, między jednym oddechem a drugim, zwracano się do niego “milordzie”, a jego małżonkę komplementowano, jakby miała parę dziesiątek lat mniej niż faktycznie. Przyozdabiały ją jednak klejnoty, czyniące godną zabiegów... Były też inne, hojniej obdarzone

\_ (przez naturę urocze młode stworzenia, którym pan Pepys poświęcał wiele uwagi.

Gdy Mateusz spostrzegł, że ta jego uwaga była odwzajemniana bardzo ciepłymi spojrzeniami, rzucanymi spod trzepocących rzęs, pomyślał z zazdrością, jak taki mężczyzna — utalentowany, lecz tęgi i o pospolitej powierzchowności — może podbić takie ślicznotki. Tak w każdym razie było tego wieczoru i nawet mężowie wyrugowani ze swoich miejsc zdawali się nie znajdować w tym nic niewłaściwego.

Obecny był jakiś bardzo ważny admirał, przy którego głośnych odezwaniach milkli

wszyscy, poza panem Pepysem; wyglądało, że jednakowo dobrze radzi on sobie z admirałami, jak z ich żonami, a nawet z córkami.

W chwili ogólnej ciszy dał się słyszeć głos gospodarza zapytującego: — Co pan sądzi o moim planie ustawienia latarni morskiej na Eddystone Rock? Czy pieczę nad tymi znakami nawigacyjnymi należy powierzyć Trinity House\*? — Na co admirał odrzekł z całym szacunkiem: — Mój drogi panie, jestem tego samego zdania co pan. Nie ma człowieka z lepszymi kwalifikacjami do wydawania sądów, co dziś potwierdził jego królewska mość. — Dziw nad dziwy...

Był też okrągły dżentelmen, na pewno członek parlamentu, bo tak okrągło wyraził swoją dezaprobatę: — Jako ten, który został powołany na strażnika państwowej kiesy, panie Pepys!... — Żadnych wydatków, poza koniecznymi, mówił, równocześnie ciągnąc wyborne wino, jakby lało się gratis z rzymskich fontann. Zawsze jednak znalazły się niewiasty do gaszenia najłżejszego zarzewia sporu, wprowadzania elementu pożądania do ciętej rywalizacji, zmiękczenia dyskursu, a utwardzania innych rzeczy.

Towarzystwo zaczęła ogarniać wesołość. Co chwila ktoś podnosił sukces pana Pepysa.

Świece rzucały ciepły, miękki blask na jedwabie

i satynę, na koronki i galony, na męskie krzaczaste brwi i delikatne zarysy pleców i piersi obok nich. Mateusz siedział oczarowany i zapominał o swoich najbliższych sąsiadach, obserwując, jak bawią się wielcy. To było życie, dla którego został stworzony mężczyzna... Gdyby tylko mógł przesunąć się o dwadzieścia stóp ku szczytowi stołu i dorwać się do takiego życia.

Potrafił nawet zapomnieć na chwilę o innym, płynącym pod schodami, gdzie było jego właściwsze miejsce. Wysłany przedtem do kuchni po gwinejski pieprz do wazy ponczu — same nowe słowa, pierwsze z wielu — tam, pod pokładem, ujrzał mroczny, zapracowany ul.

Kucharz miał zły humor — ale kto by nie miał, skazany na przygotowanie takiej uczyty?

Poza nim było dwóch służących, którzy o Mateuszu nie wiedzieli nic poza tym, że nie zostali przed nim ostrzeżeni i którzy bez niego mieli dosyć roboty. I trzy służące, którymi dyrygowano jak bojaźliwymi żołnierzami wysyłanymi na skraj linii ognia, traktowane jak niewolnice przez kucharza, a jak łakome kąski o ptasich mózdkach przez mężczyzn.



Jedna z nich, dziecinnie wesoła, była młodziutka jak wiosna, uroczą jak rozbrykane jagnię i niewinna jak śnieg na piersi Wezuwiusza. Wymienili spojrzenia jak dwoje młodych

spiskowców. Powiedziała, że ma na imię Lucy. Jej na pewno nie zapomni!

Nie zapomni też ponurej obecności innych: tłustej Trott, Kobiety Niezastąpionej, o każdej porze majestatycznie krążącej po domu, równie brudnej i nieapetycznej jak jej życiowe

zadanie—opróżnianie, a potem sprzątanie kilku ustępów w domu przy Buckingham Street 12.

W jej władzy był prawdziwy tron, na którym doznawał ulgi jego wielmożność. Może

najlepiej zapomnieć o wszystkim, poza gwiazdami lśniącymi u szczytu stołu, i dobrze się bawić.

Po kolacji i spacerze po dachu z ołowianej blachy, dla odetchnięcia powietrzem wieczoru i podziwiania świateł Londynu, zapanowała Muzyka. Wcześniej pan Pepys zapytał Mateusza,

czy umie grać na czymś albo śpiewać.

— Jak byłem chłopcem, potrafiłem dąć w irlandzkie dudy — odparł Mateusz.

Pan Pepys wydał wargi. — Miałem na myśli muzykę — rzekł wyniośle—a nie jakieś

pogańskie wycie na kartoflisku... Zapomnijmy o twojej odpowiedzi i o moim pytaniu... Jak przyjdzie pora na granie, pamiętaj o podaniu krzeseł i pulpików do nut. Będziemy też potrzebowali blisko ustawionych świec.

Tak więc Mateusz, otrzymawszy zadanie mieszczące się w granicach możliwości

marynarza, nie szkodzi, że bardziej nawykłego do pijackich wrzasków w powrotnej drodze z piwiarni, trzymając się

w cieniu, napawał się magią wieczoru. Wyglądało, że Samuel Pepys był znany jako muzyk i chętny do pokazywania się światu z tej strony. Z jednakową wprawą grał na fletach, lutni i wiolonczeli i nieźle śpiewał barytonem. Jego przyjaciółom nie wypadało nie przyłączyć się do niego, tak jak umieli.

Ucichły przytłumione głosy i w łagodnym blasku świec władzę objęła muzyka. Można się

było rozczulić do łez patrząc na ten rozkoszny obrazek, nie zapominając przy tym, z jakiej to jest okazji — że tego dnia człowiekowi honoru został przywrócony honor, że był on

bezpieczny wśród przyjaciół i że jedynym sposobem, w jaki pragnął uczcić ten dzień, było muzykowanie w miłym towarzystwie.

Każda nuta, każda śpiewna melodia, każda opadająca kadencja frazy były czułym aktem

hołdu dla człowieka, dla muzyki, dla cnotliwych i dzielnych, dla bogatych i biednych i dla nocy.

— I jak, czy dobrze się bawiliśmy? — zawołał pan Pepys, gdy w końcu wszyscy się rozeszli. Zadał to pytanie, jak je zadaje niejeden gospodarz, jakby to on wymyślił całą tę uciechę — co w swej istocie mogło być prawdą, lecz dla człowieka rzeczowego było tylko czezą zarozumiałością. Było już po długich pożegnaniach, ze strony pana Pepysa uprzejmych wobec panów i czarująco miłych wobec pań. Will Hower pozamykał i zarygłował wszystkie drzwi i powiedziawszy z uśmiechem dobranoc, zostawił Mateusza sam na sam z jego nowym panem.

— I jak, czy dobrze się bawiliśmy? — powtórzył Pepys. Opadł na fotel, rozluźnił trzewiki i szalik zamotany na szyi i skinął na Mateusza, żeby mu nalał wina. Już podchmielony, był rad całemu światu. — Nie widziałem tego roku stołu piękniej nakrytego do kolacji! A muzyka była rozkoszna. — Podniósł wzrok na Mateusza podającego mu kielich. — A może tęskno ci za twoim irlandzkim świńskim pęcherzem albo cokolwiek to jest, co wdmuchuje wiatr do twoich dud?... Napijesz się wina, Mateuszu?

Mateusz wciąż był spragniony napitku. — Ale sir, ja...

— Jesteś mądry — rzekł pan Pepys. — Bardzo dobrze jest wiedzieć, kiedy się ma dość. —

Wypił wino łapczywie i usiadł wygodniej. — Muzyka, moja miłość!... Przez całe życie dziękuję za nią Bogu. Bywało, że tylko pieśń mogła odegnać niesmak wzbudzany przez ludzi.

Gdy jeszcze żyła moja żona, mieliśmy zwyczaj...

Jakiś cień pojawił się na jego pulchnej twarzy. Nie dokończył zdania. Mateusz pomyślał, że mimo towarzystwa i wesołości, mimo wszelkich przyjemności, jakie dawał wspaniały dom, ten człowiek może czuć się osamotniony.

— Musiało być panu bardzo smutno — zaryzykował.

— Ona działała mi na nerwy! — odparł pan Pepys, nagle znów ożywiony. — Chociaż zawsze ją kochałem i kocham do dziś, potrafiła

doprowadzić mnie do wściekłości. Pieniądze na to, na tamto, na owamto. Kapelusze, wstążki, jedwabne pończochy, buciki ze sprzączkami!... Ale gdy jej wyrzucałem, że wpędzi nas do

więzienia za długi, odpowiadała: "A twoje nowe ubranie? Czy kupiłeś je za sześć pensów?" Na co ja mówiłem: "Przecież muszę bywać na królewskim dworze. Nie mogę iść tam jak żebrak".

Wtedy ona na to: "Czy ja muszę chodzić ubrana jak żebraczka, żebyś ty mógł błyszczeć wśród tych królewskich ladacznic?" Taka kłótnia mogła się ciągnąć do świtu. Jak zauważyła, że obejrzałem się za kobietą, darła się, aż uszy pękały! Była Francuzką — zakończył pan Pepys

— a Francuzi to rasa zazdrośników.

— A pan nie był zazdrosny, sir? — spytał Mateusz.

— Byłem. Czemuż bym nie miał być? Nie była brzydka, a wśród mężczyzn zdarzają się

gorsi od bestii... — Uśmiechnął się do jakiegoś wspomnienia, popatrzył na Mateusza, jakby oceniając jego dyskrecję, i rzekł: — Czy wiesz, co robiłem niekiedy, jak szła na wizyty?

— Nie, sir.

— Zakradałem się do jej szafy i sporządzałem spis jej rzeczy, żeby się przekonać, czy nosi majtki. Wiedziałem, że ma czternaście par... Masz więc zazdrość! Niemniej jednak jest ona winem dodającym małżeństwu smaku. Mężczyzna niezazdrosny nie kocha — a ja nigdy nie

przestałem jej kochać, nawet podczas najgwałtowniejszych kłótni.

Znowu zapadło milczenie. Wokół nich i w niższej partii domu skrzypiały drewniane części, jakby i one układały się do snu. Pan Pepys zdjął z pasa swoją najnowszą zabawkę, piękny szwajcarski zegarek, pokryty niebiesko-złotą emalią. Zaczął manipulować kluczykiem, lecz oczy go zawiodły, więc podał zegarek i kluczyk Mateuszowi.

— Nakręć go — polecił. — Ale delikatnie i przerwij, gdy poczujesz opór. Sprężyna jest

cienka jak włos. — Gdy Mateusz zrobił, co mu kazano, pan Pepys zawiesił zegarek z

powrotem na łańcuszku i oznajmił: — Dziesiąta. Czas kończyć... Dziś bawiliśmy się, jutro zabierzemy się do pracy. Spodziewam się góry papierów, więc i ty spodziewaj się tego.

— Mam nadzieję, że będę panu przydany, sir — odparł Mateusz. — Będę musiał dostać instrukcje.

— Dostaniesz, nie bój się!... Powiedziałeś w łodzi: "Pójdę za panem" — i to mi się podobało, bo lubię ludzi dobrej woli. Iść za kimś to służba, a służba to życie. Ja idę za królem...

Za kim szedłeś dawniej?

— Za nikim specjalnym, sir. Za dobrymi kapitanami i za mniej dobrymi.

Pan Pepys uśmiechnął się do niego. — Co sprawia, że ktoś jest dobrym kapitanem?

Było późno, ale Mateusz stanął na wysokości zadania. — Silna wola, dobre serce i odwaga w każdej

sytuacji.

— Niewielu jest takich. Na pewno Will Hewer należy do nich. Idź za nim na początku...

naśladowaj go... nic lepszego nie mógłbyś zrobić. Był siedemnastoletnim szalawią, kiedy

wziąłem go do siebie, ale zerwał ze złym towarzystwem, pracował i powiodło mu się. Blisko dwadzieścia lat później on mnie przyjął... do tego prawdziwego domu... kiedy byłem na dnie.

Pierwszy zaoferował pomoc, i nigdy mu [tego nie zapomniałem! Takiego człowieka nie kupisz za złoto, ale można zjednać go uśmiechem.

Mateusz Lawe, postawiony wobec perspektywy takich szczytowych osiągnięć, poczuł, że

musi wyrazić swoje wątpliwości. — Ale jak ja mógłbym pójść tą drogą? Pragnąłbym tego nade wszystko, tylko jak się to robi? Jak postawić pierwszy krok?

— Postawiłeś go dziś rano... — Pan Pepys, szykujący się już do łóżka, zmienił decyzję, co było wyrazem wielkiej sympatii. Wskazał na stolik pod ścianą, na którym stało wino.—Nalej sobie ostatni kieliszek bordo — jak dotąd Mateusz nie próbował tego nektaru — i słuchaj, co ci powiem. — Odczekał, aż Mateusz usiadł, i ciągnął: — Nigdy nie wolno ci wątpić, że człowiek może zajść wyżej na tym świecie. W przeciwnym razie nie byłibyśmy lepsi od pełzających i rojących się mrówek; jeśli taka jest wola Boska, to Bóg jest najmniejszą mrówką ze

wszystkich.

To bluźnierstwo było straszne i zarazem pocieszające. Popijając wino Mateusz czekał.

— I ty możesz zajść wysoko — powiedział Samuel Pepys — tak samo jak ja. Ja, syn

krawca, zaszedłem wysoko, potem straciłem znaczenie, i znów je odzyskałem... Dziś

mijaliśmy Tower. Czasem chodzę tamtędy, tylko po to, żeby się uśmiechnąć. Byłem tam

więziony po spisku papieskim i zostałbym powieszony, gdyby niektórym udało się do tego

doprowadzić. Byłem obrzucany obelgami—niekiedy przez największych łajdaków w

królestwie. Samych kłamców! Gdzie są teraz? Nie ma po nich śladu. A gdzie jestem ja? W

Admiralicji, jej sekretarzem. I nie osiągnąłem tego przez intrygi. Pracowałem! Raz na wozie, raz pod wozem i znów na wozie.

Trudno było nie dać się porwać tak płomiennej przemowie. Ale kończył się też długi dzień.

Jak wypadało, Mateusz rzekł:

— Robiłbym absolutnie tak samo, gdybym mógł.

— Więc wykreśl sobie kurs i trzymaj się go. §H Pan Pepys przystąpił do podsumowania, jak musiał to czynić przedtem tysiąc razy piórem lub słowem. — Nie kradnij. Nie płaszcz się.

Nie przechwalaj się. Nie lekceważ wielkich, ale nie sprzedawaj im swojej duszy. I nigdy nie zapominał, że istnieje większa scena niż nasze małe, ujęte w klamry własne życie. Dla

szczęśliwców tą sceną jest cały świat; dla nas jest nią morze i jego sprawie służymy. Jesteśmy sługami Korony, ani mniej, ani więcej, i jutro damy tego dowód. — Odstawił kielich i wstał, żeby się rozprostować. — Śpij dobrze, Mateuszu. Ale zanim się położysz, zjedź na dół i przyslij Lucy, żeby pomogła mi się rozebrać.

Wśród nici, z których był utkany ten dziwny dzień i ta noc, była jeszcze jedna i Mateusz zasypiając, nie umiał się zdecydować, czy potwierdzała wszystko, czy negowała, czy też może sama się ułożyła w jakiś zwariowany wzór. A natknął się na tę nić, gdy przekazawszy

polecenie do kuchni szukał na dole ustępu, a potem wśliznął się cicho na górę, żeby nie pobudzić domowników. I właśnie dzięki temu skradaniu się ujrzał jeszcze raz sekretarza

Admiralicji szykującego się do snu.

Przyciągnięty widokiem smugi światła świecy padającej przez półotwarte drzwi, z czystej ciekawości podszedł bliżej. W pokoju siedział na fotelu pan Pepys, na pół rozebrany, w

wygodnej pozie, z wyciągniętymi nogami, a piękna Lucy chesała mu włosy.

Z niemal ojcowskim uśmiechem pan Pepys sięgnął w górę i rozpiął jej staniczek.

Uwolnione z niego delikatne białe ciało ukazało się w całej swej krasie. Zaczął łagodnie pieścić jej piersi, drobne i spiczaste, równie piękne jak jej uległa twarzyczka.

Wtedy Lucy, jak dobrze wyuczone dziecko, odłożyła grzebień, rozluźniła pasek jego

bieliznianych spodni, pochyliła się i wsunęła w nie pieszczące dłonie.

Z tego wynikało, że mimo swoich pięćdziesięciu jeden lat pan Pepys był niepoprawny — jego ukochana żona byłaby chętnie mu to wytknęła.

#### IV

Praca ich, bardzo skrupulatna, często bywała nudna, czasem niebezpieczna, ale zawsze

przynosiła wyniki. W ciągu pięciu lat pan Pepys — zanim znów został odstawiony na bok, tym razem

na dobre — osiągnął najwspanialsze rezultaty swoich życiowych trudów. Walczył, zawsze w interesie Marynarki Wojennej, z korupcją, a z parlamentem o pieniądze, przemawiał odważnie, pisał nie mające końca sprawozdania na tysiące tematów, schlebiał, groził, zabiegał o względy dwóch królów, żonglował niewiarygodnymi długami — i stawiał na swoim, w każdym razie o tyle, o ile dawało mu to radość, Anglii zaś flotę, z której mogła być dumna.

On i jego oddany personel, z Mateuszem Lawe'em na końcu, miewali w pracy okresy bardzo dobre i bardzo złe. Na zewnątrz szalały burze równie gwałtowne, jak sztormy na oceanie. Karol, ich król,

zakończył życie; jego brat, Jakub, objął tron i został z niego strącony. Na ulicach miasta panowały zamieszki, powstania przeciwko papieżowi, skryte mordy, szerzyły się plotki o irlandzkich bandach pod- i cinaaczy gardeł, zabijających każdego wyznawcę niewłaściwej wiary; i zawsze był strach.

W zachodniej Anglii wybuchła rewolta zakończona "krwawymi represjami, a także rewolucja, która, ku zdumieniu wszystkich, sprowadziła holenderskiego króla na angielski tron. Lecz oni wszyscy do samego końca siedzieli pochyleni nad pracą i dawali z siebie wszystko.

Nie istniało nic ważniejszego niż Marynarka Wojenna, a jedynym ich hasłem było to, którym Samuel Pepys nieustannie ich pobudzał: "Jeśli nam się nie powiedzie, znów będziemy mieli Holendrów na rzece!"

Gdy Mateusz zgłosił się do pracy w Derby House i otrzymał biurko od Willa Hewera, kierownik biura powitał go bardzo radośnie: — Witaj w pełnej kurzu koi. Zajmujemy się okrętami, ale żyjemy w suchym świecie. — Chociaż niewątpliwie był to świat uporządkowany, nigdy jednak nie był suchy.

Od pierwszej godziny stopniowo zaczynając orientować się w biurze, badając księgi i dokumenty i zapoznając się z całą biblioteką oprawionych tomów — listów, sprawozdań, rachunków, planów z przeszłości i szkiców na przyszłość — Mateusz zdumiewał się zakresem tej gałęzi gospodarki i jej różnorodnością.

Wyglądało na to, że nic nie zostało zaniedbane przez pana Pepysa, że nie było nic, czego by nie próbował, nic, w stosunku do czego nie żywiłby nadziei. \*

Wiele rzeczy z przeszłości zadziwiało, a jego wizja przyszłości była czarodziejska. Przed laty ustanowił egzamin na poruczników Marynarki Wojennej w celu upowszechnienia wiedzy nawigacyjnej i dla zyskania pewności, że okręty nie będą powierzane niefachowym rękóm latorośli arystokratycznych rodów. Pomagał w zakładaniu Kompanii Zatoki Hudsona, dzięki której wędrowni poszukiwacze przygód, wciąż mający nadzieję znaleźć przejście północno-zachodnie, zostali zachęcani do osiedlania się na bajecznie bogatym kontynencie dla prowadzenia handlu.

Królewskie Obserwatorium w Greenwich — znowu nastawione na polepszanie warunków nawigacji—wiele zawdzięczało jego wysiłkom. Jako brat starszy Trinity House, mający wkrótce zostać mistrzem tej instytucji, zdołał zastąpić wysiłki chrześcijańskiej dobroczynności w dziedzinie oświetlenia brzegowego — niekiedy ograniczonego do latarni na wieży kościelnej — oznaczaniem kanałów pławami torowymi, kontrolowaniem pilotażu i oparciem go na bezpieczniejszych podstawach.

Został prezesem Królewskiego Towarzystwa, tego gniazda "eksperymentalnego nauczania fizykomatematycznego", w tym samym roku, w którym powołano go na stanowisko sekretarza Admiralicji. Interesowało go zwłaszcza budownictwo okrętowe i projektowanie okrętów.

Znajdował wielką przyjemność w studiowaniu starych i nowych map. Przez lata pracował nad poprawieniem sytuacji zwykłego marynarza, aby człowiek, który wiernie służył krajowi, nie był odprawiany po zakończeniu rejsu z "biletem" prawie bezwartościowym, chyba że udało się coś za niego dostać od bezlitosnego portowego handlarza-krwiopijcy.

Wróciwszy do władzy, tego ranka kiedy spotkał Mateusza, pan Pepys stwierdził, że nadal istniały wszystkie dawne problemy: jak budować okręty bez pieniędzy czy kredytu; jak rekrutować do służby na nich opornych, oszukiwanych marynarzy; jak chronić butwiejące okręty przed całkowitym rozpadnięciem; jak znajdować przedsiębiorców budowlanych, nie dostarczających trocin zamiast obiecanego drewna; jak — bez huku dział — przekonać złożony z oportunistów parlament, że fundusze przyznane Marynarce Wojennej nie są

nieuzasadnionym luksusem.

Był jednak gorszy nieprzyjaciel od tego niemrawego zgromadzenia głupców. Pod nieobecność Pepysa rozkład i korupcja znowu wzięły górę; bez przesady można by powiedzieć, że cała gospodarka w Marynarce Wojennej, od kładzenia stępki do rozpuszczania załóg, była teraz jednym wielkim szwindlem, i albo brało się w nim udział, albo traciło pracę.

Z tym jednak również Samuel Pepys dał sobie radę. Po kilku tygodniach znów trzymał wszystko w garści, a po sześciu miesiącach, przeniósłszy samą Admiralicję pod numer 12 przy Buckingham Street, miał ją u siebie w domu.

Szczęśny ten król i szczęśny kraj, w którym ten niepokorny człowiek mógł zostać wyniesiony na takie wyżyny władzy i szczerze się odwdzięczyć za to wyniesienie.

Przez otwarte drzwi swego gabinetu pan Pepys miał oko na Długą Salę, gdzie siedzieli kopiści na swoich wysokich stołkach. Nawet dyktując Mateuszowi Lawe'owi z tej wielkiej maszyny, którą miał w głowie, uważał na wszystko, co się działo wokół niego. Wszyscy o tym wiedzieli i zachowywali się z należytą ostrożnością.

Mateusz, niewolnik dopuszczony do większej bliskości, ze znużonym mózgiem siedział przy stoliku naprzeciwko sekretarza i trzecią już godzinę zdrętwiałymi palcami wykonywał wyczerpującą porcję swojej porannej pracy. Sztuka szybkiego notowania, którą już opanował, ledwie pozwalała dotrzymywać kroku giętkiemu językowi i sprawnemu umysłowi człowieka, który nigdy nie odpoczywał, nigdy nie

\_\_\_ | tracił sił i nie zapominał o zadaniach postawionych samemu sobie

i tym, którymi kierował.

— Ustęp trzydziesty czwarty i ostatni — oznajmił pan Pepys swoim wolnym, równym, bezlitosnym głosem. — W konkluzji trzeba powiedzieć, że żywot prawego oficera w Marynarce Wojennej jest nieustanną wojenną defensywą, mianowicie przeciwko ministrom stanu, w szczególności ministrowi skarbu w czasie pokoju, i wszelkim nieprzychylnie nastawionym sędziom śledczym i malkontentom z władz Marynarki Wojennej w czasie wojny;



ci pierwsi mają za złe prawie każdy wydany pens, toteż skąpią pieniędzy i odkładają ich wydawanie sine die\*3 czy chodzi o naprawę starych okrętów, czy o budowę nowych albo

gromadzenie zapasów. Natomiast w czasie wojny oficerowie nie tylko muszą sami sobie

radzić, lecz oczekuje się od nich, że znajdą sposoby narzucenia światu przekonania, iż w Marynarce Wojennej wszystko idzie dobrze, że pieniędzy nie brakuje, a zadania są wykonywane.

Pan Pepys poprawił się w fotelu, przez chwilę obserwował urzędnika, który pozwolił sobie przerwać pracę, żeby wyrzeć przez okno, a potem znowu zwrócił się do Mateusza.

— Zostaw miejsce na dole w notatniku. Może, po odczytaniu, dodam jeszcze jedną myśl

albo dwie. Bóg wie, żeśmy już słyszeli tę piosenkę, a ta zwrotka może nigdy nie ujrzeć światła dziennego, chyba że kiedyś napiszę moją wielką książkę. Ale powinna zostać utrwalona...

Mam na głowie jeszcze jedną sprawę, a potem możemy zrobić przerwę.

Mateusz opanował ziewnięcie, chociaż wiedział, że pan Pepys nie zwróciłby na to uwagi.

Wziął świeżą kartkę i czekał.

— Nowy regulamin statków strażniczych — oznajmił pan Pepys. — Tylko nagłówki, rozumiesz. Zapisuj je kolejno, jeden za drugim, a ja jutro rano wypełnię je treścią. —

Zebrawszy myśli zaczął: — Jeden. Takielunek, stały czy ruchomy, ma być zawsze w dobrym

stanie. Dwa. Należy zawsze mieć przygotowane zaopatrzenie na sześć miesięcy. Trzy. Statki należy raz na rok wprowadzać do doku i opalać z zewnątrz. Cztery. Kapitan ma zawsze

nocować na statku. Pięć. W nocy na statku ma pełnić wachtę nie mniej niż jedna czwarta

załogi. Sześć. Wszelki otwarty ogień, nie wyłączając świec, ma być wygaszany o ósmej

wieczorem. Siedem. W Chatham i Portsmouth statki strażnicze mają wysyłać łodzie —

nazwijmy je zwiadowczymi — w pełnym uzbrojeniu, aby jako nocne patrole opływały każdy

okręt w porcie. Osiem. Mają one wzywać do zatrzymania się każdy przepływający okręt.

Dziewięć. Mają abordażować każdy okręt, który nie odwzajemni obwołania. Dziesięć. W

otwartym porcie muszą przeszukiwać każdy strumyk i każdy zbiornik stojącej wody.

Jedenaście. Statek strażniczy musi prowadzić dziennik tych patroli i przedstawiać raporty rewidentowi cztery razy w roku.

Pan Pepys zastanawiał się przez chwilę, a potem, jak to często czynił, zapytał Mateusza, marynarza słonych wód:

— Możesz coś dodać?

Pytanie zawsze padało niespodziewanie, lecz Mateusz był przygotowany.

— Łodzie patrolujące w porcie powinny mieć pióra wiosel owinięte szmatami i żadnych świateł ani rozmawiania.

— Dlaczegoż to?

— Sir, chodzi o to, żeby istniała obawa, że nieprzyjaciel może wejść do portu. W

przeciwnym razie załoga łodzi zwiadowczej będzie robić hałas, żeby ostrzec, że nadpływa, tak aby nie złapać kolegów z okrętów na drzemce.

— Czy tak zachowaliby się przyzwoici marynarze?

— Tak, sir. Żeby nie było chłosty.

— Powód godny szacunku! Musimy temu zapobiec!... Dobrze, dodaj to, co powiedziałeś, jako punkt jedenasty, a ostami zmień na dwunasty.

Mateusz dokonał poprawki i sprawiło mu to przyjemność. Rzadko mały może pomóc

wielkiemu; kiedy taka pomoc zostaje zapisana czarnym atramentem na białym papierze,

człowiek może poczuć przyjemne ciepło skromnej satysfakcji... Nastąpiła cisza, tylko z pokoju kopistów dochodziło odległe skrzypienie piór, i Mateusz zapadł w sen na jawie, w którym życie na morzu, praca na lądzie, ciągnięcie wiosła i prowadzenie piórem po papierze zlały się w jedno. Ocknąwszy się z poczuciem winy, ujrzał utkwione w sobie oczy sekretarza.

Spojrzenie jednak nie było gniewne. — Mateuszu, wyglądasz na przygnębionego.

— Nie, sir.

— No więc dobrze, wyglądasz na nieobecnego. — Z rzadką wyrozumiałością pan Pepys zatrzymał się nad tym. — Czy, po dwóch latach, znów tęsknisz za morzem?

— Tak, sir, w niektóre dni. Myślałem o pływaniu nocą w łodzi patrolowej, o służbie na statku strażniczym czy o stawianiu żagli... o rzeczach, z którymi sam potrafię sobie poradzić.

Ruchem ręki pan Pepys wskazał na to, co widział znad swego biurka. — Opanowałeś to. I

radzisz sobie z tym bardzo dobrze.

Mateusz poczuł się podniesiony na duchu tą pochwałą. — Sir, jestem dumny, że tak jest.

Ale... — Przypomniawszy sobie słowa Willa "Hewera, gdy po raz pierwszy zjawił się w Admiralicji — ... to sucha koja. Tylko tyle.

— Wolałbyś raczej żyć w mokrej?

— W niektóre dni — powtórzył Mateusz.

— Kto wie... Takie dni mogą przyjść. Ale nie myśl, że sucha koja, jak ty nazywasz, to miejsce, którego trzeba się wstydzić. Żeglarze lądowi są potrzebni i myślę, że już się o tym przekonałeś.

Na każdego człowieka morza przypada jeden szczer lądowy. Albo nawet dwóch, ale nigdy więcej, bo w przeciwnym razie tracilibyśmy to, co zyskujemy. Tego człowieka na morzu musimy karmić, płacić mu, dbać

o niego i opiekować się nim w chorobie. To samo musimy robić dla jego okrętu — a przedtem trzeba go zbudować, i to porządnie,

i utrzymywać w dobrym stanie, w gotowości do pływania, walki i znoszenia prób.

Była to stara śpiewka—choć prawdziwa w tym wypadku, lecz stara i znana jak chleb i ser, co podtrzymują życie, ale nie dodają mu sławy. Mateusz był naprawdę dumny z pracy w

Admiralicji i z zaufania, jakim darzył go sekretarz. Pozostawały te dni — dni wiosenne, dni wabiącego słońca i słonej obietnicy Sjd|dy pióro nie wytrzymało porównania ze | zwojem lin, a stabilna podłoga w biurze z rozhuśtanym pokładem rufowym.

Okręty pływały, podskakiwały na falach, żyły. Biurka tylko niszczały w kurzu.

Pan Pepys znowu się odezwał: — Głowa do góry... i zabierz te notatki. Będzie mi potrzebny mój rachunek aktywów i pasywów na przyszły poniedziałek, do dyskusji nad budżetem w parlamencie... Płatnik ze "Swallow" wystawił rachunek za siedem nowych kotwic. Żadna fregata nie jest w stanie zużyć siedmiu kotwic, chyba że karmi nimi ryby.

Quaere\\*... I wyślij ekspres do kapitana Banninga z jachtu "Pluto". Ma czekać na mnie we wtorek o ósmej rano.

Przy słowie "ósma" pióro Mateusza zatrzymało się. — Sir, on musi jechać z Chatham.

— Więc będzie musiał wstać wcześniej, jak dobry kapitan — i mieć dobre wyjaśnienie,

czemu spał w swojej kajucie, kiedy jego statek wszedł na mieliznę koło Sheerness... Ja na służbie nie śpię! Dlaczego więc miałby spać kapitan Banning, syn baroneta spłodzony na

brudnym kocu nie wiadomo z kim... Jutro więc ty i ja zrobimy sobie wolne.

— Wolne? — powtórzył Mateusz ze zdziwieniem.

— No, przejedziemy się wynajętym powozem. Pojedziemy na inspekcję stoczni i ja wyrzucę z pracy pewnego hultaja. A potem spełnię obietnicę i pokażę ci Bedlam.

Ani stocznia w Deptford, jakieś siedem mil w dół rzeki, ani hultaj przeznaczony do zwolnienia, którym okazał się Sam Stallybrass,

spotkany na kolacji u pana Pepysa, nie byli przygotowani na najazd sekretarza Admiralicji.

— Zaabordażujemy ich, jak będą spali — rzekł surowo pan Pepys w powozie, ze stukotem kół toczącym się na wschód. — To najlepszy sposób na łotrów... Uważałem, że Sam

Stallybrass to człowiek uczciwy i pomyliłem się. Czy sądzi, że skoro siedział u mnie za stołem, to może kraść z kiesy króla? Co za dużo, to za dużo!

Na pewno za dużo było dla Sama Stallybrassa, który najpierw uśmiechał się łobuzersko,

potem się odgrażał i zachowywał gburowato, aż w końcu zrobił się malutki ze strachu i zaczął

błagać o litość. Była to głównie sprawa tysiąca funtów... — Duża suma — powiedział pan

Pepys. — Nawet złodzieje powinni okazywać jakiś umiar. — Tysiąca funtów wydanych na

drewno, które w tajemniczy sposób zniknęło w dogodnie ciemną noc, a potem zostało

odsprzedane Koronie za następne tysiąc, a wtedy okazało się, że było takie mokre, że każdy szanujący się przedstawiciel stoczni odrzuciłby je po pierwszym rzucie oka.

— Zrobiłem błąd — przyznał w końcu Sam Stallybrass. Znaleźli go w pogrążonej w

nieróbstwie stoczni, gdzie najwyraźniej nikt nie pracował tak, jak by należało za otrzymywaną płacę. Stallybrass, najleniwszy ze wszystkich — nogi na biurku, kufel w ręku — dał się złapać, najpierw przez zaskoczenie, potem przez sieć faktów i liczb, pokwitowań odbioru i kwitów wypłat, które wykazały jaskrawą winę.

Przyjemnie było widzieć pana Pepysa, mistrza w żeglarstwie lądowym, który

zaangażowawszy Stallybrassa, jak admirał w morzu, wyrzucił go z gołym tyłkiem i koszulą

wystającą ze zszarganych spodni.

— Zrobiłem błąd — powtarzał Stallybrass. — Każdemu można to wybążyć... — Na tłustej, spoczonej twarzy pojawił się przebiegły wyraz osoby powołującej się na koleżeństwo.

— Daj mi, Sam, jeszcze jedną szansę. Drugi raz nie zrobię zawodu.

— Proszę nie nazywać mnie Samem — rzekł pogardliwie zjeżony pan Samuel Pepys. —

Kalasz porządne imię... To był o jeden błąd za dużo. Czy myślisz, że nikt ciebie nie obserwuje?

Myślisz, że nie potrafię czytać bilansu i wykrywać w nim kłamstw? W tym jednym papierku jest rok kręctw i złodziejstwa! A takich jak ten jest ze dwadzieścia! Czy uważasz nas wszystkich za głupców?

— Niektórzy z was to więcej niż głupcy — odciął się Stallybrass. W końcu został przyparty do muru. Jego apel o łaskę padł na kamienny grunt. Zostały mu tylko zniewagi. —

Umiesz odczytać bilans, bo sam wysmażyłeś ich tysiąc. Czy mam powiedzieć o...

— Nie życzę sobie, żebyś mówił w ogóle — zagrzmiał nagle pan Pepys. — Ostrzegalem cię już dwukrotnie. Teraz jesteś zwolniony, z tą chwilą.

— Kto mi to oznajmia?

— Ja. Na rozkaz jego królewskiej mości.

Mateusz, trzymający się w tyle, niemniej jednak chciwy usłyszenia, co się mówi w tej sprawie, rozpoznał słowa równie mu znajome jak własne nazwisko. Sekretarz zawsze mówił lub pisał "na rozkaz jego królewskiej mości". Czasem była to prawda, a czasem jego słowa wyprzedzały ją o dzień albo o tydzień. Ale nigdy nie kwestionowano jego słów ani ich nie zmieniano. Mały człowiek z sercem i żołądkiem króla nie musiał uzurpować sobie tego, co mu się prawnie należało.

— Kto przyjdzie na moje miejsce?—spytał Sam Stallybrass. Swój ostatni strzał oddał nie celując, z czystej urazy. — Masz kuzyna potrzebującego awansu?

— Nikt nie zajmie twojego miejsca przez miesiąc albo dłużej. — Pan Pepys naprawdę był w świetnej formie. — Nie wystawiłbym w ten sposób na ryzyko żadnego uczciwego człowieka. Przed awansowaniem kogoś musimy wykadzić to miejsce dymem... Ale ty

opuścisz stocznę dziś wieczorem z pustymi rękoma, jeśli łaska, a nowe rozkazy przyjdą, gdy jego królewska mość da poznać swoją wolę. Do tego czasu rządzić tu będzie kapitan Lysart ze statku strażniczego.

— Nie będzie rządził mną!

— To prawda — rzekł pan Pepys. — Bo ciebie tu nie będzie.

Mateusz Lawe nie był jedynym człowiekiem w stoczni Deptford,

który pilnie nadstawiał uszu. Gdy obaj z panem Pepysem udali się najpierw na statek

strażniczy, gdzie kapitan Lysart, otrzymawszy rozkaz, powiedział tylko: "Tak jest, sir" i wysłał

swego porucznika, żeby objął nadzór nad Biurem Robót, a następnie do powozu czekającego przy głównej bramie, praca rozkwitła jak skromny kwiatek wiosną.

Mężczyźni grający w karty zaczęli nagle walić młotami w Bogu ducha winne żelazo. Inni,

potykając się z pośpiechu, przenosili zwoje lin z jednego zapomnianego kąta w drugi. Młodzi praktykanci biegali tam i z powrotem na ociążałych, nienawykłych do wysiłku nogach. Jeden z robotników, złapany bez zajęcia, pięć razy zdejmował czapkę. Ostrzono siekiery na trawie, wbijano gwoździe w stoczone przez robaki drewno, płótno żaglowe składano i rozkładano

troskliwie jak panna młoda wyprawę. Wszędzie panował ruch.

— Och, przez jakiś czas będą pracować jak anioły — powiedział pan Pepys wychodząc z

Mateuszem z głównej bramy stoczni. Załatwiwszy krótko sprawę z jednym ważnym łajdakiem

wpadł w doskonały humor widząc, ilu mniej ważnych wyciągnęło z tego naukę. — Potem

trucizna znów zacznie się wsączać i będę musiał ponownie złożyć wizytę jako lekarz, żeby im upuścić trochę krwi. I tak będzie to szło, aż wszyscy obrócimy się w proch. Są przyływy i odpływy trudu, przyływy i odpływy uczciwości, podobnie jak słonych wód... Ale

teraz zapomnijmy o wszystkim i podążmy do innego Bedlamu — do prawdziwego domu

wariatów!

Przedtem jednak musieli zajść do kawiarni Lloyda, gdzie sekretarz chciał załatwić jakąś prywatną sprawę i zjeść skromny obiad, złożony z kurczęcia na zimno, sera i reńskiego wina dla uprzyjemnienia posiłku. Świeżo otwarta przy Lombard Street przez Edwarda Lloyda,

drukarza lubiącego towarzystwo, szybko stała się miejscem spotkań panów z City, których interesy wiązały się z morzem, i wszystkich innych mogących w nich uczestniczyć. Wszyscy byli ryzykantami, czy pachnieli kantorem, czy kapitańską kajutą.

Byli wśród nich właściciele statków, ciągnący zyski z niebezpiecznych podróży na odległość dziesięciu tysięcy mil, budowniczości okrętów, marzący o mocnych kadłubach, dla których zwodowania musieliby mieć najpierw przyływ złota, kapitanowie nęcący opowieściami o dawnych wyprawach czy obiecujący nowe. Zachodzili solidni kupcy, żeby omawiać sprzedaż statków lub ładunków, żeby snuć nowe plany, mogące przynieść dużą fortunę albo zakończyć się rozbitiem na pierwszej skale w Kanale Angielskim.

Byli maklerzy okrętowi — pośrednicy robiący interesy na cenie towaru, czy to było wino, czy jadalne małże, złotogłów czy perkal, i na umiejętnościach żeglarzy, którzy ten towar przewozili.

Przychodzili też inni zamożni ludzie, legitymujący się listami zastawnymi\*, gotowi ubezpieczyć statek na całą jego wartość i cały okres pływania czy też na pojedyncze rejsy — jego wartość jako pełnowartościowego statku handlowego albo wraka do odpisania na straty.

Wystawiali polisę na uzgodnioną sumę i kładli podpisy, jeden pod drugim, aż suma została w pełni zagwarantowana.

Ci "ubezpieczyciele" mieli się dobrze w dobrych okresach, a w złych stawali w obliczu ruiny. Mimo to nie brakło takich ryzykantów. W tej grze stawką była wartość statków i ludzi, co było rajem dla graczy w porównaniu z zakładami o szybkość konia czy cnotę kobiety.

W tych strzeżonych oazach stojących wód oceanu pan Pepys był przyjmowany jak książę — którym zresztą był w świecie ludzi morza. Panowie czekali na swoją kolej, żeby podejść do jego stolika, wyrazić uszanowanie i nadzieję, że gdyby w jakiejś sprawie potrzebował pomocy, dużej czy małej, przypomni sobie ich nazwiska; odchodząc, ustępowali miejsca kolejnym petentom.

Kupiec-bankier, z którym pan Pepys miał jakąś specjalną sprawę do załatwienia, stał się przedmiotem zazdrości innych, będących świadkami, jak pan Pepys przebiegał wzrokiem podsunięty mu papier,

podpisywał go i załatwiwszy interes wymienił z kupcem uścisk dłoni. Mateusz wiedział, co to był za interes: pożyczka ośmiuset funtów od pana Pepysa, po pół per centum miesięcznie, płatna na każde żądanie pożyczkodawcy.

Pan Pepys, posiadacz nieruchomości, już nie pożyczał od bankiera, lecz sam udzielał kredytu ze swoich prywatnych zasobów.

Wysoki mężczyzna, dobrotliwy z natury, lecz nie tracący z oka żadnego interesu, pan

Edward Lloyd, obsługiwał ich osobiście, a gdy ruch przy stolikach osłabł, przysiadł się na pogawędkę. Miał głowę pełną pomysłów i cieszył się, że może wyłożyć je przed kimś tak znakomitym.

— Planuję założyć tu klub — powiedział — dla ludzi o podobnym sposobie myślenia, zainteresowanych handlem morskim. Będę zbierał wszelkie nowiny z dziedziny żeglugi, dane o codziennych wejściach i wyjściach statków oraz najświeższych cenach towarów i prezentować je w miejscu, gdzie — przechodząc — będzie można zerknąć na nie. Myślę nawet o gazecie, panie Pepys, nawet o gazecie! Co by pan powiedział na “Wiadomości Żeglugowe Lloyda”?

Trudno było oprzeć się temu gejzerowi energii, mimo że pobudzanego własnym interesem.

— Zaprenumerowałbym je — odparł pan Pepys — i czytałbym! Ale musiałby pan pilnować zachowywania rzetelności. W przeciwnym razie pańskie “Wiadomości Żeglugowe” mogłyby stać się tylko jeszcze jedną fałszywą salwą burtową, a pański klub jaskinią oszustów.

— Nigdy do tego nie dojdzie — odparł bez wahania pan Lloyd. — Będę uważał, zapewniam pana — potrafię odróżnić uczciwego człowieka od oszusta po sposobie, w jaki wiesza kapelusz... — Spojrzał bystro na pana Pepysa. — Sir, czy mogę mówić, że mam pańskie poparcie?

Pan Pepys odwzajemnił się równie bystrym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się. — Nie wątpię, że b e d z i e pan to mówił, Lloyd, lecz zaprzeczanie uznałbym za nietakt.

Powiedziawszy to wstał, ukłonił się jakimś znajomym i wyszedł. Wsiadając do powozu zwierzył się Mateuszowi:

— Lloyd jest na właściwym kursie... Przyzwoite miejsce i porządne towarzystwo... Listem zastawnym człowieka jest jego słowo... inaczej jego dobra passa nie trwałaby dłużej niż para ulatująca z dzbanka z kawą... Teraz to miejsce przeciwstawię najpodlejszemu w Londynie.

To najpodlejsze miejsce w Londynie dawało znać o sobie ulicą, przy której się znajdowało, ulicą Moorfields\*; smrody i odgłosy mówiące o tutejszej nędzy buchnęły na Mateusza i pana Pepysa, gdy po zapłaceniu przez każdego z nich dwóch pensów za wstęp przeszli przez bramę Bedlamu.



Z korytarzy bliskich i dalekich dobiegały dzikie wybuchy śmiechu, jęki bólu, wściekłe

wycia, zlewające się w piekielną symfonię. W tej obłąkanej muzyce czy błagalnym szepcie dziecka dobiegającym gdzieś z czeluści piekiel trudno było odróżnić pojedyncze słowa lub pochwycić łagodniejszą nutę. Nieopisana wrzawa potępieńców przypominała ryki dzikich

zwierząt.

Tuż obok jednak słychać było mieszające się ze sobą szczególnego rodzaju nawoływania:

to bedlamscy handlarze oferowali swój towar.

— Kije do szturchania! Kije do szturchania! Poruszcie ich!

— Butelki ze śmierdzącą wodą! Oblejcie ich! Sprawcie im kąpiel!

— Trąbki cynowe! Małe cynowe trąbki! Niech pograją!

— Żelazne szczypce! Szczypcie ich, jak będą wyciągać ręce!

— Święte opłatki! Nakarmcie ich Boskim miłosierdziem!

Chociaż świętymi opłatkami handlarze nazywali słomiane krzyżyki, co budziło wielką

wesołość, to kije do szturchania lepiej się sprzedawały... Lecz Mateusz już przestał cokolwiek rozumieć.

— Sir, co oni sprzedają? — zapytał pana Pepysa. — Do czego to służy?

— Do przynęcania wariatów — wyjaśniał pan Pepys jak dziecku. — Do czegoż by

innego? — Tu się odbywa największe widowisko w Londynie, ale byłoby nudne bez odrobiny

zabawy... Nie przyszło ci do głowy, że to miejsce ma nazwę od Betlejem.

Posuwali się ku miejscu zwanemu "kołyską Zbawiciela".

Obłąkani leżeli w żelaznych klatkach, po dziesięciu i dwudziestu w jednej, na słomie

zbrudzonej jak przez bydło; inni stali trzymając się za pręty lub szarpiąc je. Jeszcze inni walczyli ze sobą do krwi, skazani nawet w tym piekle na pastwienie się nawzajem. Między klatkami przechadzali się pijacy i całe rodziny, śmiejąc się, naigrawając się z tych ludzi, dręcząc ich i przywołując się nawzajem do jakiejś nowej uciechy.

— Zastanawiam się — powiedział pan Pepys — po której stronie krat są wariaci. —

Mówił to obserwując otyłą, brudną babę, uzbrojoną w kij do szturchania i kłującą nim

wychudłego młodzieńca o pustych oczach tkwiących w najbardziej napiętnowanej cierpieniem twarzy, jaką można zobaczyć po tej stronie czyśćca. Biedny młodzieniec stał nawet nie drgnąwszy, a kocmołuch, zachęcany chichotem kompanów, nie przestawał go poszturchiwać.

Nagle, z szybkością błyskawicy, młodzieniec wysunął rękę, wyrwał kij prześladowczym, przystawił szpicem do piersi i wbił go, jakby mówiąc: "No... włąźże!"

Krew chlusnęła naraz z przebitej piersi młodzieńca i z jego ust; on sam skłonił głowę nad głęboką raną i powoli upadł bez zmysłów. Tłum, widząc, że nic się tu więcej nie dzieje, ruszył dalej.

— Niech Bóg pomoże nam wszystkim — westchnął pan Pepys współczującym tonem.

Mateuszowi zrobiło się niedobrze na ten widok, ale nie mógł zapomnieć faktu, że i on, i jego pan znaleźli się tu z własnej woli jako widzowie i że ta okropna przynęta była "odrobiną zabawy", o której mówił sekretarz. Rzeczywiście, po której stronie są tu wariaci?

Wiele innych udręczonych istot ściągnęło na siebie jego spojrzenie w trakcie wędrówki po Bedlam. Jedną z nich był siwobrody starzec odziany w brudne szmaty. Gorejący wzrok

nieszczęśnika mówił o gwałtowności jego choroby. Przywarł krzycząc do prętów i targał nimi, jakby brał się za bary z całym szaleństwem świata, wołając: "Jestem Jan Chrzciciel!"

Wysłuchajcie mnie, zanim sześcniecie! — Po każdym szaleńczym zawołaniu z jego warg ciekła spieniona ślina.

— Prorokuj! Prorokuj! — wrzeszczał tłum zgodnym chórem. To obłąkane przedstawienie wydawało się tu nie być niczym nowym. Gdy starzec milczał, szturchali kijami w jego

wychudłe członki i chlustali mu wodą prosto w twarz, trąbiąc przy tym głośno, jakby byli pod murami Jerycha. Ale śmiertelnie udręczony starzec był tylko w stanie powtarzać: "Jestem Jan Chrzciciel! Pokajajcie się, póki nie jest za późno!"

Tłum chciał nie tego. Domagał się wizji, szaleńczych przekleństw, skandalicznych wyrazów. Żądali czegoś w rodzaju krwi.

Wołanie: „Jestem Jan Chrzciciel” niosło się dzikim echem za Pepysem i Mateuszem, kiedy odeszli z tego miejsca. Ten człowiek był naprawdę obłąkany. Co byłoby jednak, gdyby to, co głosił, było prawdą?

Ujrzeli inną osobę w zamknięciu, nie wyglądającą bardziej na obłąkaną niż Święta Matka

Boża; wynędniałą dziewczynę, potulną mimo niedoli, w jakiej się znajdowała, z trójką bladych dzieci uczepionych jej spódnicy. Obserwowała twarz przechodzących ludzi, desperacko wypatrując pomocy. Swój ostatni apel skierowała do miło wyglądającego pana Pepysa i zatroskanego Mateusza Lawe'a.

— Dobrzy panowie — zawołała podchodząc do prętów klatki i wlokąc dzieci za sobą — czy możecie mi pomóc? Nie jestem obłąkana!

Pan Pepys, co dobrze o nim świadczyło, przystanął, żeby jej wysłuchać. Dzieci, kwiląc, gapiły się na nich. Młoda matka zalała ich potokiem słów.

2\*4

Powtarzała, że nie jest obłąkana i można było jej wierzyć, mimo że gdy mówiła, jej usta drżały. Jej mąż, próżniak, porzucił ją, zostawił bez pensa z trójką dzieci do wykarmienia. Gdy zgłodniałe domagały się pokarmu, ukradła trochę chleba. Złapano ją i chociaż się opierała, zawleczono do izby na tyłach piekarni. Tam piekarz powiedział, że puści ją wolno, jeżeli...

jeżeli... Rzucił się na nią, wtedy znowu stawiała opór, krzyczała, próbowała uderzyć go w głowę, kopiała w sterczące przyrodzenie, robiła wszystko, żeby się obronić.

“Musisz być obłąkana” — zawołał rozzłoszczony piekarz, opatrując swoje rany — i od tamtej chwili uznano ją za obłąkaną, niebezpieczną dla siebie samej i wszystkich prawowitych obywateli.

Surowa sprawiedliwość, stanąwszy wobec takiego zagrożenia samej istoty społeczeństwa,

skazała ją na Bedlam za jej niegodziwość, uznając, że skoro—jak się okazało — ma dzieci, byłoby wbrew naturze odrywać je od matki. Tak to nieszczęsna rodzina trafiła tutaj. Brakuje im chleba, a zaraz po chlebie wolności. Czy szanowni panowie nie mogliby pomóc?

Skończyła swoją opowieść. Czy była prawdziwa, czy też zrodziła się w chorym umyśle? A może było to tylko kłamliwe skomlenie?

— Zbadam sprawę—powiedział pan Pepys i Mateusz wiedział, że to zrobi. Moneta

przeszła z ręki do ręki, chociaż zbyt wiele zazdrosnych oczu pochwyciło błysk złota, aby nic jej nie groziło. Na razie obaj mogli swobodnie pójść dalej, a kobieta nie mogła — i dzieci też nie

— iw tym rozróżnieniu mieścił się cały kwaśny odór zła tkwiącego w rodzaju ludzkim.

Doszli do miejsca nieokielznanej rozpusty. Ostatnią parą istot ludzkich oglądaną podczas zwiedzania

Bedlam byli mężczyzna i kobieta szepieni ze sobą w desperackim akcie kopulacji, jedynym przynoszącym ulgę w ich rozpacz. Obserwowały ich pożądlive oczy, a ochryply śmiech towarzyszył wyczynom dwojga niesamowitych kochanków, walczących ze sobą, jęczących i gryzących — mimo to więcej tu było miłości niż w okrutnym świecie zewnętrznym.

Poza śmiechem, obrzydliwymi żartami i okrzykami zachęty najwięcej bezlitosnej złościwości okazywał pijany mężczyzna usiłujący podpalić łóżko, na którym ci dwoje leżeli. Chociaż zgniła słoma nie chciała się dobrze zająć, pijak z uporem wpychał przez pręty rozżarzoną hubkę, póki jej zapas mu się nie skończył.

Tak oto temu aktowi kopulacji towarzyszyło święte kadzidło wiejskiego dymu, a hymnem ślubnym były: wycia, wrzaski, przekleństwa i jęki, śmiech i łkanie, piskliwy głos trąbek i zgrzyt żelaznych prętów, wciąż rozbrzmiewające w całym Bedlam, jak w piekle podczas najbardziej diabelskiej nocy w roku.

To wszystko za dwa pensy.

2«5

Byli tacy, co umieli wyciągnąć korzyści z tych dwóch pensów. Mateusz zauważył podejrzanych łazików kręcących się wokół nich, obojętnym spojrzeniem obrzucających klatki, pochłoniętych jakimiś innymi sprawami. To byli handlarze seksem w jego najbardziej bezwstydney postaci.

— Och, Bedlam daje dużo więcej niż to, do czego został powołany

— potwierdził pan Pepys, gdy Mateusz zadał mu swoje pytanie.

— Możesz schronić się tu przed deszczem i odbyć spacer suchą nogą. Są tu również, jak widzisz, damulki z miasta pilnujące swoich interesów, alfonsi prezentujący swój towar i całe mnóstwo klientów. To niezawodny rynek dla rozpustników.

W tym momencie pochwycił spojrzenie jednej z takich czatujących damulek, urodziwej ładaczniczki, mniej wynędzniałej niż inne, z piersiami tak dobrze eksponowanymi i tak pełnymi, że obiecywały rozkoszną ucztę. Rzecz możliwa — z panem Pypsem wszystko było możliwe

— że ukradkiem dał jej znak.

Czy było tak, czy nie, następnie pan Pepys rzucił okiem na kieszonkowy zegarek i spytał

Mateusza: — Chcesz zaczekać, żeby zobaczyć karmienie obłąkańców? Mówiono mi, że to

rzadka scena batalistyczna. — Gdy Mateusz odpowiedział, że nie, że ma dość Bedlam, pan

Pepys rzekł: — Dobrze, człowieku o miękkim sercu... a więc do domu. — Wyszli za bramę,

gdzie w gęstniejącym mroku czekał ich powóz, a w nim dziewczyna.

Jej obiecujące piersi zdawały się wypełniać pół powozu, a pan Pepys i jego wzbierające

pożądanie — drugą połowę. Z długiego doświadczenia Mateusz znał te objawy. Coś wpłynęło pobudzająco na jego pana: może para kochanków tarzających się w klatce, może nieszczęsna matka ze śladami urody czy wielka parada uliczny albo sama ta dziewczyna, wyglądająca na tak gotową i chętną jak młoda klacz brykająca na pastwisku—trudno to było orzec z całą

pewnością.

Cokolwiek stanowiło bodziec, panu Pepysowi nie można było odmówić. Ma chętkę na

rozpusztę t e r a z i zaspokoi ją t e r a z i na tym rzecz się zakończy, akuratnie, przyjemnie i ostatecznie, jak zgadzające się co do joty sumowanie liczb.

Mając wejść do powozu Mateusz spytał szeptem: — Sir, czy zostawić pana i znaleźć sobie

dorożkę? — Pan Pepys, już ciężko dyszący, odparł: — Myślę, że jest tu dosyć miejsca dla mego zaufanego urzędnika. Ale jeśli wolisz, możesz popodziwiać widoki na zewnątrz.

Mateusz tak uczynił. Wbił zdeterminowane spojrzenie w londyński zmierzch, podczas gdy

tuż za jego plecami zaczęła się miłosna zabawa. Była to tylko zabawa, choć miała ustalony zakres: pieścić i być pieszczonym — tego chciał pan Pepys. Dziewczyna chyba wiedziała o tym lub usłyszała wypowiedziane szeptem życzenie i dostosowała się.

Siadła panu Pepysowi na kolanach i — Mateusz nie patrząc wiedział, co będzie dalej —

swoje wspaniałe piersi, uwolnione ze sznurówek, poddała pieszczotom rąk i warg. Potem było dalsze pocieranie, głaskanie i ściskanie, aż do zakończenia.

Powóz się zakołysał, dziewczyna zapiszczała, kochanek ciężko sapnął i to było wszystko.

Po długiej chwili ciszy pan Pepys stuknął hebanową laską w dach powozu.

Stanęli na rogu ulicy. — Poczciwa z ciebie dziewczyna — powiedział pan Pepys — co było oczywistą nieprawdą. — Tu masz za swój trud.

— To już cała robota? — spytała dziewczyna. — A co z twoim przyjacielem? — Na co pan Pepys odrzekł: — Mój przyjaciel nosi duchowną sukienkę — ona zaś na to z najlubieźniejszym chichotem: — Może potrzeba mu innej sukienki!

Nie nalegała jednak. Po otwarciu drzwi powozu wyskoczyła i znikła w zmierzchu. Samuel Pepys i jego zaufany urzędnik zostali sami.

, .— Czy nie za ciemno, żeby pisać? — spytał pan Pepys prawie natychmiast.

— Nie, sir. — Mateusz znał to zachowanie. Po takim odprężeniu sekretarz od razu stawał się usposobiony do myślenia i działania. Rządy obejmował intelekt, a mózg Pepysa, wolny od pożądanego, był tak szybki i jasny jak pojedyncze uderzenie kościelnego dzwonu. Mateusz przestał się zastanawiać nad taką ruchliwością umysłu, takim błyskawicznym przystępowaniem do pracy, i tylko mówił sobie: Gdybyśmy mieli oceniać po wynikach, potrzebowalibyśmy w Marynarce więcej grzeszników, a mniej świętych.

— Kilka notatek na jutro rano. — Pan Pepys już dyktował, a jego język był równie sprawny jak jego mózg. — Do załatwienia: Zanieść dokumenty do notariusza. Zwrócić się do króla o zatwierdzenie zwolnienia Sama Stallybrassa. Potwierdzić powierzenie kapitanowi

Lysartowi nadzoru nad stoczną Deptford przez trzydzieści dni. Quaere: Sir John Haydon, dyrektor szpitala Bedlam — niech będzie łaskaw sporządzić raport o tej kobiecie i jej

dzieciach... Mam nadzieję, że mnie nie nabrano — dodał pan Pepys — że nie była to historyjka

przygotowana... A teraz sprawy na przyszłość. Za bramami stoczni wciąż jeszcze marynarze, którzy nie dostali zapłaty, marynarze chorzy i umierający. Musimy dotrzymać obietnic!

Moja propozycja dla Zarządu Admiralicji to...

Powóz podskakiwał i turkotał tocząc się przez ulice Londynu, lecz sprawy Marynarki

Wojennej spokojnie posuwały się naprzód. Samuel Pepys nie wypuścił z rąk steru nawet na jedną chwilę nieuwagi.

Ten dzień pozostał dniem wolnym do końca i okazał się bardzo niezwykłym. W domu przy Buckingham Street pan Pepys, zmę-

czony swymi wyczynami, poszedł wcześniej do łóżka, nie wezwawszy nawet do pomocy małej Lucy. Wchodząc schodami na górę dziewczyna natknęła się na schodzącego Mateusza, który — podniecony tym co widział i słyszał w ciągu dnia — trochę się przyczynił do ich spotkania.

—  
Czy wielmożny pan mnie potrzebuje? — spytała szeptem. Pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się do niej w przyćmionym

świecie. Patrząc na dziewczynę powiedział: — On już śpi, ale ja jeszcze nie.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, które nabrało zadziwiającej miękkości. — To widzę...

Czy nigdy nie dasz sobie z tym spokoju?

— Nie po tej stronie twojego łóżka.

Mówił śmiało, bo ta miękkość, która go zaskoczyła, była pierwszym objawem jej gotowości. Mała Lucy nie była już trzpiotowatym dzieckiem, lecz dojrzałą kobietą, w pełni rozkwitłą pod tym dachem. [Przez lata jednak trzymała go z dala od siebie, czasem żartami, czasem złością, a czasem wstydlivością, pozbawiając w ten sposób znaczenia pieszczoty,

przyjmowane i odwzajemniane, które podpatrzył pierwszej nocy swego pobytu w tym domu.

Często protestowała: “Trzymaj ręce przy sobie! Jesteś tak samo niedobry jak twój pan!” A gdy odpowiadał, że jest całkiem gotów dorównać panu Pepysowi we wszystkim, co mógłby

robić albo czego ona mogłaby pragnąć, zawsze mówiła: “N i e pragnę niczego. Za kogo mnie bierzesz? Za marynarską dziwkę?”

Tej nocy była inna. Patrzyła na niego z dołu, z niższego stopnia schodów, oczyma

jaśniejącymi jak gwiazdy o zmierzchu. On, stojąc na wyższym stopniu, z przyspieszonym

biciem serca pożerał wzrokiem jej piersi, które z dziewczęcych nabrały mlecznej barwy i kobiecej pełności. Wyobraził sobie swoje dłonie błędzące po tych cudownościach i jej ręce nie wzbraniające się przed dotykiem wszystkiego, co dotykać miałyby ochotę. Wyglądało, że ocenia jego męskość wzbierającą z każdą mijającą chwilą.

— Trudno — rzekła — skoro ty nie chcesz zrezygnować z polowania to chyba ja muszę



spasować, choćby tylko ze zmęczenia... I nie zmarnuję okazji, że mnie tu wysłano. — Posunęła się o stopień wyżej, zetknęli się ze sobą i oboje w tym samym momencie wyciągnęli do siebie ramiona. Jego wargi owionął jej ciepły oddech. Jej ciało było tak samo gorące i spragnione jak jego. — Powiedziałaś: "Nie po tej stronie twojego łóżka" — szepnęła. — Ale ja cię oszukam.

To nie będzie moje łóżko, lecz twoje.

Mateusz się wahał, chociaż pożądanie doszło w nim do szczytu.

— Co to znaczy, Lucy? — spytał szeptem, zbliżając się do poddasza.

— Dlaczego ta zmiana?

— Co do dlaczego, to sama nie wiem. Chyba z powodu koniugacji planety Wenus z

Marsem. — Powtarzała zasłyszane gdzieś,

niezrozumiałe dla niej zdanie, bo wydało jej się śmieszne.— A jak pytasz: co znaczy, to nie jesteś marynarzem, jeśli nie wiesz.

Czyżby więc koniec końców była rozpustnicą?...

Nie była wcale rozpustnicą, była dziewicą. Mateusz nigdy w życiu nie był bardziej zdumiony, niż gdy to odkrył. Chociaż była szybka, zwawa i chętna, to on pozbawił ją

dziewictwa, czemu towarzyszyło pokonywanie dziewiczej wąskości, szybki oddech,

spowodowany zaskoczeniem, i ból. Gdy było już po wszystkim, gdy jej słodkim ciałem

wstrząsnął ostatni dreszcz, a jego męskość spłynęła potokiem, gdy leżeli obok siebie w łóżku na strychu, Mateusza przeppełniła czułość.

— Nie wiedziałem — rzekł. — Myślałem, że jesteś...

— Gotową na wszystko nierządnicą.

— Nie to, broń Boże. Ale kobietą. Prawdziwą kobietą. — Nie mógł zapomnieć, że gdy

minął pierwszy wstrząs po jego wtargnięciu w nią, uwięziła go swymi szczupłymi nogami jak więziennymi prętami i poruszała się jak rtęć, żeby dać mu rozkosz. — Lucy, gdzie się tego nauczyłaś?

— Z opowiadań.

— A wielmożny pan?

— Co wielmożny pan?

— Czy nigdy nie chciał więcej?

— Dawałam, czego chciał. Wyglądało, że ma stracha przed czymś więcej. To miły człowiek i dobry. Ale chciał ode mnie tylko pieszczot.

Mateusz pochylił się, żeby pogłodzić jej piersi i biodra. — A t y czego chcesz?

— Wtedy chciałam czegoś innego niż teraz.

— Teraz? Mężczyzna musi spać!

— Mężczyzna musi na to zapracować... Jak będziesz, Mateuszu, jeszcze raz mężczyzną, ja będę kobietą. Tą prawdziwą kobietą. — Roześmiała się z wargami przy jego uchu. — I ten twój luby dziobek, co mnie napełnia.

Znów więc robili to, z wielką zachłannością. Słodkie zło dnia osiągnęło szczyt i obiecywało wieczne więcej i wyglądało, że miłość objęła nad nimi władzę. Jak długo dziewczyna czeka ze swoim dzbanuszkim na miód, a mężczyzna ma siły go napełniać, te błogosławione chwile szczęścia na stryszku muszą szczęśliwie trwać dalej.

A potem wokół nich świat zaczął się rozpadać od więźby dachowej w dół.

V

Rok 1688 przyniósł Anglii najgorsze zaburzenia od czasu "ostatnich zamieszek", jak pan Pepys określił kiedyś brutalną wojnę domową i ścięcie króla. Tym razem była to rewolta

przeciwko innemu królowi, Jakubowi, który oszalał na punkcie papieżstwa, gdy tymczasem

jego poddani tak samo szaleńczo przeciwstawiali się papieżowi, a więc i swemu władcy. Tak długo był przedmiotem oszczerstw, obelg, oporu i gróźb, aż królestwem nie dało się już rządzić i kraj znalazł się w niebezpieczeństwie.

Grupa rozumnych, wybitnych ludzi, posiadających dość władzy dla podjęcia takiej decyzji, postanowiła, że król musi ustąpić. Posłali po Holendra, żeby zastąpił angielskiego Jakuba, jak mąż posłałby po godną zaufania niańkę, gdyby żona zmarła mu w obłąkaniu, pozostawiając go z potomstwem zbyt kłótliwym, aby było mu pociechą.

Wilhelm książę Orański był dobrym, spokojnym człowiekiem, z rodowodem

roziewającym wszelkie wątpliwości: wnuk Karola I, mąż córki króla Jakuba i dzielny

obrońca protestantyzmu. Otrzymałszy sekretne zaproszenie, wylądował na czele sił

złożonych z czterestu tysięcy żołnierzy, przechytrzywszy przedtem całą angielską flotę — przekształconą przez pana Pepysa w groźną siłę morską, a teraz odsuniętą na boczny tor przez naczelnego admirała lorda Dartmoutha, tak tchórzliwego i niezdecydowanego, że jego eskadry, nie mające sobie równych, wciąż jeszcze stały schwywane w pułapkę mielizn przy ujściu Tamizy, gdy najeźdźca lądował w odległości trzystu mil, w Torbay w hrabstwie Devon.

Gdy z sennego, wziętego przez zaskoczenie portu holenderski Wilhelm runął na wschód w kierunku Londynu, mężczyźni pośpieszyli pod jego sztandar, jakby już byli posłusznymi poddanymi. Król Jakub, stawivszy mu krótki opór pod Salisbury, położył się do łóżka z gwałtownym krwawieniem z nosa, a potem wycofał do Londynu, w przejeździe wrzuciwszy do Tamizy Wielką Pieczęć Królestwa.

Został, w przebraniu, schwytyany przez rybaków w Kent, gdy ugrzązł w uczciwym kentyjskim błocie, zrewidowany brutalnie, aż do bielizny, w nadziei znalezienia złota, i wzięty do niewoli. Po czym pozwolono mu uciec do Francji — iw zapomnienie, gdy tymczasem

Wilhelm Orański wjeżdżał ulicą Piccadilly do pałacu Whitehall i na tron. ■■

Jakub zgotował prawdziwie błazeński koniec swemu bezmyślnemu panowaniu. Tego było dość dla Anglii: król Wiluś to był swój człowiek!

Tego było też dość dla pogrążonego w gorzkiej udręce ducha pana sekretarza Pepysa.

Zachowywał się najlojalniej, jak potrafił, ale teraz wiatr i pływ, zbyt silne jak na najlepszego nawet pływaka, musiały obrócić się przeciwko niemu. Kiedyś tak się wyraził o kimś ze świeżo wylęgłych poszukiwaczy posad: "Na Boga! Ten umie wyczuć wiatr!" Pan Pepys też to potrafił, równie dobrze jak wszyscy inni w kraju. Przyjaciel i sługa dwóch królów, wiedział, że nie będzie odpowiadał trzeciemu, nawet gdyby pozwolono mu spróbować, co było rzeczą wątpliwą.

Jego los był przesądzony mimo wszystkich dokonań; wicher zmiany go nie zaskoczył, lecz będąc lojalnym i oddanym sługą Korony nigdy na ten wicher nie zareagował, i nie widział nawet dylematu wierności.

Wszyscy wiedzieli, że był blisko z królem Jakubem, najgorętszym przyjacielem Marynarki Wojennej; było też rzeczą wiadomą, że związany honorem i obowiązkiem z prawowitym

władcą, dokładał trudu, aby zmobilizować flotę przeciwko holenderskiej inwazji; że próbował tchnąć ducha walki w nie kwapiącego się do niej lorda Dartmoutha i że wspierał króla Jakuba aż do końca, jak mu nakazywała urzędnicza przysięga.

Teraz był wystawiony na ten kąśliwy wiatr i zupełnie bezbronny. Podczas gdy inni zwijali żagle lub je opuszczali, albo — jak dowódca armii lord Churchill — posuwali się do

potajemnej zdrady, żeby wesprzeć najeźdźcę, Pepys zdecydowanie trwał za swoim biurkiem.

Dłużej nie mógł tam pozostawać. Złamawszy prawo psalmisty: “Nie pokładaj swej ufności w książętach, u których nie masz pomocy”, musiał za to zapłacić.

Jeśli rzeczą możliwą było obalenie króla, to każdy mniejszy człowiek mógł zostać wdeptany w błoto.

Nadszedł okropny dzień, gdy — po chłodnej audiencji u nowego monarchy, z której

wyszedł zmęczony i w złym samopoczuciu — wezwał Mateusza do swego sanktuarium i kazał

mu zamknąć drzwi między jego pokojem a Długą Salą, gdzie siedzieli urzędnicy. Mateusz

czekał, a pan Pepys pogrążył się na dłuższą chwilę w ponure zamyślenie. Potem, bez żadnego wstępu, zaczął:

— List do lorda Dartmoutha. Wielce Szanowny Lordzie Dartmouth, et cetera. Mój Drogi

Milordzie, w tym okresie niepewności nie jestem w stanie przewidzieć, jakie dalsze listy będę miał zaszczyt kierować do Waszej Lordowskiej Wysokości. Niniejszym polecam Pańskim

łaskawym względom wszystkim, którzy obecnie służą Koronie pracując w Biurze Admiralicji, w szczególności jednego, znanego Panu, Mateusza Lawe'a, mojego zaufanego urzędnika,

służącego z zapałem i pracowitością nie mniejszą od tej, z jaką ja sam starałem się

służyć Waszej Lordowskiej Wysokości i Jego Królewskiej Mości. Gdy Iznajdzie Pan czas na rozważenie sprawy, upraszam, aby zechciał Pan przypomnieć sobie to nazwisko. Mam

zaszczyt pozostać, Drogi | Milordzie, z całym oddaniem i szacunkiem, najuniżeńszym i

posłusznym sługą Waszej Lordowskiej Wysokości.

W taki oto sposób — wielce wzruszający — Samuel Pepys przekazał nowinę swemu przyjacielowi.

Mateusz stał jak rażony gromem. Z trudem dokończył pisanie, pod koniec gryzmołąc

niepewnie jak dziecko.

— Na litość boską, sir... co to znaczy?

— Nie muszę mówić ci nic więcej... Nie wiem, czy to się na coś przyda.

— Ale dlaczego? Czy wszyscy powariowali?

— Oni są nowi i silni. A ja nie.

I rzeczywiście, nie wyglądał na silnego w tej smutnej chwili. Mateusz nie widział nigdy wielkiego sekretarza tak bardzo przygnębionego ani tak się nie krępującego ukazywać swoich ran. W bladym świede lutowego dnia jego twarz wyglądała szaro, jak londyńskie niebo, i tak samo była gotowa do zalania się zamglonymi łzami. Mateusz, już pogrążony w dojmującym

żału, mógł tylko pomyśleć: Koniec świata następuje nie wtedy, gdy uderza straszliwy grom, lecz gdy usta dorosłego mężczyzny drżą w dziecinnym płaczu.

— Musi pan odejść, sir? — zapytał pokornie.

Pan Pepys poruszył się, jednakowo gotów udzielić odpowiedzi na to pytanie jak i na tysiące innych, od podania ceny żelaznych zaczepów do honorów, jakie należy oddawać szerokiemu

proporcowi w odróżnieniu od jakiegoś mniejszego kawałka flagi.

— Jeśli chodzi o to, jeszcze mi nie wymówiono. Ale dziś ogłoszono zawieszenie pracy

wszystkich urzędów państwowych — wypowiedział to zdanie z subtelną ironią — do czasu, aż ci, co zajmują w nich stanowiska, otrzymają nowe pełnomocnictwa... Jestem przekonany, że mi ich nie dadzą.

— W takim razie są niespełna rozumu!

— Nie denerwuj się, Mateuszu — zganiał go pan Pepys. — Świat się toczy, a niektórzy pozostają w tyle. Lepiej odejść, niż być wyprowadzonym w kajdanach.

— Kajdany? Na miłość boską...

Lecz gdy Mateusz Lawe rozpaczał, dzielny pan Pepys odzyskiwał ducha. Nagle z kieszeni na piersiach wyjął jakiś papier i swoją kłopotliwą tubę do czytania.

— Nie myśl o kajdanach — rzekł. — Myśl o wolności i miłości. — Stuknął palcem w

trzymaną przed oczyma kartkę papieru. — To jest coś, co nosiłem na sercu przez ostatnie dwa miesiące. List od Willa Hewera, napisany jak tylko zaczął się obawiać mego upadku. Proszę, żebyś

go zapamiętał — przemawia tu wrażliwy człowiek w chwili próby. Pochylił się nad swą lupą w skórzanej oprawie i czytał wolno:

“Może Pan być pewien, że jestem całkowicie Panu oddany, że nigdy nie zabraknie Panu

moich stałych, wiernych i osobistych usług, a wszystko, co będę mógł zrobić, będzie nie do porównania z tym, do czego zobowiązuje mnie Pańska dobroć i łaskawość. Dlatego wszystko, co dostałem od Pana, wszystko, co mam, ze mną włącznie, jest i będzie na Pańskie usługi”. —

Pan Pepys podniósł głowę; jego oczy zwilgotniały nie tylko z wysiłku czytania. — Gdy się ma takich przyjaciół

— powiedział cicho — cóż znaczą wrogowie?

Teraz obaj byli bliscy łez. — Zaraz napiszę panu taki sam list

— rzekł Mateusz.

— Wiem. I dlatego napisałem ci ten mój. — Pan Pepys zebrał się w sobie i znowu objął

dowództwo. — Głowa do góry, Mateuszu! Nasza sprawa przetrwa. Zrób ostatnią uwagę pod:

Dlaczego. — Zaczął dyktować suchym, rzeczowym głosem. — Summa magna\* tonażu

Królewskiej Marynarki Wojennej w czasie mego urzędowania. Na początku 62 600. Na końcu

101000. — Odetchnął i wyprostował się w krześle. — Niech spróbują mi to odebrać!

Pierwszy sekretarz Admiralicji zrobił porządek na swoim biurku i — człowiek bez skazy, o szlachetnym sercu, które stało się oschłe, odszedł na ład na zawsze.

CZEŚĆ PIĄTA

RYBAK

Zaprzestaniecie połowów, a straciecie swoją wylęgarnię marynarzy

Admirał Sir Charles Saunders w Izbie Gmin, Londyn 1774

i

I

Mateusz, budząc się po raz sto dwudziesty pierwszy w cuchnącym brudzie Więzienia

Floty\*, nie musiał zastanawiać się, gdzie się znajduje. W odróżnieniu od bujających w

obłokach marzycieli miał co do tego pewność; i właśnie ta pewność pozwalała odróżnić jedno plugawe miejsce, Bedlam, od drugiego, jeszcze plugawszego. Większość pensjonariuszy

więzienia, będąc całkiem zdrowa na umyśle, odczuwała swą niedolę do ostatniej gorzkiej

kropki rozpacz.

Tutaj nikt nie był lepszy od swego sąsiada; chociaż jeden mógł być nikczemnikiem, a drugi pechowcem, obaj byli skazanymi. Męty przestępczego Londynu mogły dzielić nary z

przyzwoitymi ludźmi, którym nie powiodło się przez przypadek czy głupotę. Cóż ich różniło?

Krój kaftana? Wysokość zadzierania nosa?

Zasypiali razem w nowym Więzieniu Floty — dłużnicy, złodzieje, zbiegowie, mordercy,

żebracy, kieszonkowcy, sprzedawcy fałszywego złota i handlarze mięsem — i razem się

budzili do tego samego beznadziejnego świtu.

Mateusz zastanawiał się czasem, czy lepiej było być dłużnikiem, czy którymś z

więziennych sprzeniewierców Chrystusowi, naznaczonych za swój grzech rozpalonym

żelazem posiniałymi literami: "O" — oszust — na barku, "M" — morderca — na prawej ręce,

"Z" — złodziej — na lewej ręce, "P" — przestępca — na policzku? Gdyby musiał mieć wypaloną jakąś literę, wybrałby "G", znaczącą głupiec...

Naznaczeni literami czy nie, wszyscy byli trzymeni w tej samej klatce; niemiłosiernie

głodujący, bici przez tych, co ich zamknęli, zatruwani wyziewami własnych odchodów,

czekający na wyzwolenie przez śmierć albo na koniec surowego wyroku, a — w wypadku

dłużników — na chwilę, w której jakiś tajemniczy przyjaciel machnie złotą różdżką i zapewni im zwolnienie.

Taki był los tego, kogo opuścił jego Anioł Stróż.

Gdy Samuel Pepys, ten dumny i unижony sługa, który nie ugiął się przed najsilniejszym

wiatrem i nie ulegał najsubtelniejszym pokusom, opuścił swój urząd w Admiralicji, znikło wraz z nim wiele z tego, co stanowiło sekret jego sukcesu. Gospodarstwo przy Buckingham Street przestało istnieć zarówno w sensie rodzinnym, jak i materialnym. Miara siły, z jaką trzymała wszystko jego aksamitna dłoń, był fakt, że z chwilą gdy ta mocna dłoń została

cofnięta, pozostały tylko marionetki zamarłe w swoich pozach z wybiciem zimnej godziny północy.

Opuściwszy swą siedzibę, pan Pepys osiadł na wsi; służba rozeszła się do innych

chlebodawców, do innych miejsc. Mała Lucy dziś była tu, jutro gdzie indziej; a Mateusz nie miał ani swego łóżka, ani kogokolwiek, żeby je z nim dzielił. Znalazłszy mieszkanie w

pobliżu, pracował dalej w Admiralicji, podlegając człowiekowi, którego nie był w stanie polubić, i nie było to już to samo i nigdy nie miało być.

Pozostanie w pracy zawdzięczał łaskawej interwencji pana Pepysa, ale z tego powodu

znalazł się w kręgu podejrzeń ze strony wszystkich nowych urzędników. Chociaż spadek

zaufania następował powoli, był wyczuwalny w każdym oddechu, w każdym spojrzeniu z

ukosa. Nie musiał wypaść z łask tak szybko, jak Adam w raju, lecz wypadł na dobre.

Lata więdły jak Uście, a z nimi ludzie. Henry Morgan, król piratów, zmarł w roku

rewolucji, w blasku zaszczytów i w aurze zła; w jakieś cztery lata później Port Royal, gniazdo wszelkiego bezceństwa, zniknął całkowicie z powierzchni wskutek trzęsienia ziemi i

Boskiego gniewu. Tak więc jedna czarna stronica została odwrócona i świat stał się czystszy, chociaż wcale nie przychylniejszy dla tych, którzy pozostali.

Stary Sam Pepys udał się na zasłużony odpoczynek w roku 1703, przeżywszy

siedemdziesiąt lat. Legenda za życia, odcisnął trwałe ślad na całości spraw służby morskiej, dając powody, by opłakiwał go każdy marynarz — a także każdy król. John Evelyn, jego



gorący admirator, z którym przyjaźnił się przez całe życie, tak napisał w swoim słynnym Dzienniku na użytek przyszłych pokoleń:

“Dziś zmarł pan Samuel Pepys, człowiek wielce wartościowy, pracowity i interesujący; nikt w Anglii nie był w stanie prześcignąć go w znajomości spraw Marynarki Wojennej”.

Tak więc zabrakło roku Pepysowi, tej tarczy osłaniającej Anglię i bardzo wielu ludzi mniejszego kalibru, aby stać się świadkiem czegoś, co uradowałoby jego serce marynarza — zdobycia Gibraltaru, jednego z owych Słupów Herkulesa, strzegących zachodniego krańca Morza Środkowego przed połączonymi siłami Francji i Hiszpanii. Jednakże gdy gigantycznych rozmiarów flaga została wciągnięta na maszt, niepozorny proporzec zatrzepotał trwożnie i opadł. Urzędnik Lawe,

“uznany za zbędnego w obecnym stanie służb Admiralicji”, otrzymał wymówienie.

Mateusz nie mógł protestować. “Tarcza Anglii” była również jego osłoną. Bez niej

Mateusz nie znaczył nic.

Ostatnim echem przeszłości była pomoc okazana mu przez Edwarda Lloyda, właściciela kawiarni, u którego podjął pracę jako księgowy

— czy też piwniczny?... albo bufetowy? Nie miało to większego znaczenia; ważne było, że znalazł przyzwoitą koję w czas groźnej dla życia burzy.

“U Lloyda”... — ta nazwa była teraz w powszechnym obiegu

— panował ruch i o każdej godzinie pełno tam było ludzi dzierżących w swoich rękach wielki handel morski Anglii i takich, co mieli nadzieję na udział w zdobyczach, i jeszcze innych —

szczurów i myszy portowych, rzucających się na okruszyny spadłe ze stołu lub usiłujących skubnąć coś niecoś z pękających worków i umykających, gdy zostali zauważeni.

Mateusz ciężko pracował, robiąc wszystko, co było do zrobienia, czy to było zapisywanie dziennych zysków, czy zbieranie informacji dla “Wiadomości Lloyda” lub ścieranie ze stolików mokrych śladów po kubkach z kawą.

Mógłby tak egzystować, gdyby nie dał się zarazić powszechną chciwością. Raz jeszcze przesunęło się potężne wahadło i zmiotło go z miejsca, gdzie się zakotwiczył.

Oszukańcza bajka o bogactwach Morza Południowego — ten gigantyczny balon

nadmuchany zbiorowym szaleństwem, zatruwający Anglię przez dziesięć rozgorączkowanych

lat, aby potem pęknąć jak cuchnący wrzód, czym był faktycznie — miała swój początek w drugim przekleństwie ludzkości, którym jest zadłużanie się. Nie chodziło jednak o zwykłe

zmartwienie małżonka obciążonego długiem w tawernie, zapisanym na tabliczce łupkowej,

albo nie zapłaconym w porę rachunkiem za wstążki. Chodziło o Wielki Dług Narodowy, do

którego podstępnie wciągano naród, przekonywany przez tępogłowych władców, że

najlepszym sposobem oszczędzania jest wydawanie.

Każdy przezorny ojciec rodziny wiedział, że to nie może być prawdą. Własne doświadczenie nauczyło go ponad wszelką wątpliwość, że jeśli przekroczy swój dochód, musi mu wystarczyć mniej —mniej wszystkiego, poczynając od placka i piwa, aż po nowy powóz, dopóki równowaga nie zostanie przywrócona. Ta zasada jednak uległa w sposób magiczny całkowitej zmianie, z chwilą gdy głupcy lub oszuści wywabili sześć milionów takich przezornych obywateli z ich domowego zacisza w miejsca publicznych spotkań, gdzie mogli ich omamić mirażem możliwości zdobycia majątku przez zaciąganie długów.

281

Tak powstał Dług Narodowy. Gdy pan Pepys opuszczał swoje biuro, ten dług wynosił 700 tysięcy funtów — sumę kompromitująco wysoką, jeśliby się myślało kategoriami uczciwego gospodarowania. Do roku 1714, w ciągu zaledwie dwudziestu pięciu lat, wskutek plagi wojen, na które nikogo nie było stać, dług wzrósł do przerażającej wysokości trzydziestu sześciu milionów funtów.

Zaczęto go już traktować niemal z dumą, jakby oznaką wielkości narodu było produkowanie dzieci z dwoma głowami lub czterema stopami czy dwudziestoma palcami u nóg — albo zawieszanie na szyjach trzydziestu sześciu milionów kamieni młyńskich.

Wtedy właśnie idiota, będący akurat ministrem finansów i mający wkrótce otrzymać tytuł para, wystąpił z genialnym pomysłem. Skoro naród jest tak bardzo zadłużony, to dług powinien być spłacony przez publiczną subskrypcję. Pieniądze — powiedzmy, okrągłe pięćdziesiąt milionów funtów — zostaną pożyczone za obietnicę jakiegoś zysku właśnie od tegoż narodu, czyli od ludzi, których już obciążał Dług Narodowy.

W ten sposób wszystko znajdzie się znowu w doskonałej równowadze; lew legnie obok owieczki i nikt nie będzie winien ani pensa.

Tak narodziła się Kompania Morza Południowego. Zaczawszy skromnie, rozrosła się do ogromnych rozmiarów i spłodziła monstrualną liczbę dzieci, do których wszyscy biegli z garściami pełnymi pieniędzy, żądni inwestowania w cokolwiek. A potem uschła w jedną noc, pociągając za sobą połowę rodzin Anglii, zachwiawszy tronem (bo król Jerzy I był dostojnym przewodniczącym zarządu tego przedsięwzięcia), doprowadzając rząd do upadku i okrywając hańbą

nieuczciwych ministrów, którzy za łapówkę dali koncesję na prowadzenie kompanii.

Lew istotnie leżał wraz z owieczką, lecz tylko jedno z nich dźwignęło się, aby powitać świt.

Zacząto skromnie, lecz obiecująco, od powołania państwowej kompanii handlowej, mającej wyłączność sprzedaży pozwoleń na handel w rejonie Morza Południowego — tej części Ameryki Południowej, która faktycznie była prowincją Hiszpanii. Kompania miała mieć za to zapewniony po wieczne czasy dochód z opłat importowych, pobieranych od wszystkiego, od octu po płetwy wielorybie. Miała ona również wziąć na siebie ciężar Długu Narodowego.

Kompania weszła w okres rozwoju opartego na puszczaniu w obieg zmyślonych, kłamliwych informacji o pomyślnej koniunkturze, co sprawiło, że cena akcji skoczyła ze 100 do 500 funtów. Autorem tego oszukańczego projektu był niejaki John Blount, Wielki

Pomysłodawca, najbardziej energiczny i najpłodniejszy członek Rady Nadzorczej. Syn szewca z Rochester, z pisarczyka, produkującego listy miłosne

po sześć pensów za stronę, wyrósł na znanego właściciela kantoru wymiany pieniędzy, a potem na najzuchwalszego oszusta w Królestwie.

Mimo groźnych pomruków ze strony Hiszpanii, utrzymującej że Morze Południowe wraz ze wszystkimi jego bogactwami należy do niej, łatwowierni ludzie przyjmowali za dobrą monetę wszelkie oszukańcze opowieści. Wraz ze wzrostem cen akcji kompanii rosło też znaczenie jej dyrektorów. John Blount otrzymał tytuł baroneta, a jego koledzy z Rady

Nadzorczej z wyniosłą pogardą odnosili się do głosów krytyki. Było ich zresztą niewiele, bo cena akcji Morza Południowego podskoczyła do 850 funtów, bo rodziły się fortuny, bo cała Anglia, od książąt do portierów, dawała posłuch entuzjastycznym pogłoskom i tłoczyła się w kolejkach, żeby kupować akcje.

Potem zaroilo się od dalszych efemerycznych przedsięwzięć, gdy nowi ludzie weszli na obłąkany rynek, który rozognił cały kraj.

Pojawili się maklerzy, pierwsi w tym zawodzie, i założyli biuro przy Change Alley, blisko Lombard

Street\* i Banku Anglii, żeby nadać myląco solidne pozory swoim przedsięwzięciom, nieuczciwym i oszukańczym ponad wszelkie wyobrażenie.

Ich ulubionym terenem polowania były dwie kawiarnie, Jonathana i Garrawaya. Tam

ustawiali na chodniku swoje stoliki. Wkrótce, gdy cały kraj popadł w obłąd i ludzie obciążali hipoteką wielkie majątki albo zastawiali buty w lombardach dla zebrania pieniędzy na zakup akcji, można było czekać godzinami w napierającym tłumie, żeby znalazłszy się dostatecznie blisko tych sideł na łatwowiernych ludzi, wciskać maklerom pieniądze i błagać, by je przyjęto.

W szczytowym okresie tego zbiorowego szału, kiedy wartość 100-funtowej akcji Morza

Południowego doszła do 1050 funtów, inne banieczki mydlane również rozdeły się do

monstrualnych rozmiarów. Trzeźwo osądzane, te wszystkie propozycje przekraczały granice wiarygodności, ale nie granice chciwości głupców.

Maklerzy namawiali ludzi — dorosłych ludzi, a nie dzieci czy miejscowych

półgłówków—do kupowania akcji takich przedsięwzięć, jak produkcja oleju z rzodkiewek,

masła z orzeszków bukowych, słodkiej wody z soli i płytek srebra z ciekłej rtęci.

Wielkim powodzeniem cieszyły się oferty w rodzaju perpetuum mobile\*y połowu koralu w

Morzu Środkowym, handlu grubą sierścią zagranicznego pochodzenia, leczenia zakażenia

wenerycznego u jego źródła oraz sprowadzania wielkich hiszpańskich osłów dla poprawy rasy muła brytyjskiego.

Powodzeniem cieszyły się takie pomysły, jak wykup wszystkich zapasów z londyńskich

domów towarowych, pogrzeby z zastosowaniem nowej, sekretnej metody pozbywania się

zwłok, dostarczanie pojemników z żywymi rybami do każdej wioski angielskiej czy produkcja karabinu maszynowego Puckle'a na pociski i okrągłe, i kwadratowe.

Każdy pomysł, najbardziej zwariowany lub cyniczny, był natychmiast kupowany.

Przeważnie subskrypcja wymagała łącznej wpłaty w wysokości dwóch milionów funtów, a

mimo to wystarczało niewiele godzin, aby zebrał się komplet nabywców. W ciągu ostatnich kilku miesięcy tego Okresu Baniek Mydlanych ogólna suma wyciągnięta od wszystkich ryb

żyjących w tym odmiecie osiągnęła trzysta milionów funtów. Chociaż w całej Europie nie było takiej ilości sztucznego złota, to jakaś niewrażliwa na nic angielska alchemia wynalazła je na Change Alley.

Kawiarnia Lloyd'a, a z nią Mateusz Lawe, długo opierała się pokusom baniek mydlanych, małych czy dużych. Mężczyźni zbierający się tam każdego ranka mieli trzeźwiejsze umysły.

Nic, co miało ułomy charakter i posmak hazardu, co było wulgarnie lub stało na granicy prawa, nie zyskiwało uwagi ani posłuchu w tym czystym, pracowitym i cieszącym się szacunkiem ulu.

Nie dla nich było inwestowanie w zagraniczną sierść albo w okrągłe i kwadratowe pociski Puckle'a. Dla nich statek z solidnym dnem był tą fortecą, którą darzyli swoim zaufaniem.

Pewien człowiek, makler, zwariowany osobnik, mielący językiem w tempie wypływu ścieków z Więzienia Floty, który próbował ustawić stolik na zewnątrz kawiarni Lloyd'a i sprzedawać akcje kompanii "barwienia perkalu, tak aby przypominał najlepszemu gatunkowi jedwab", został przewrócony razem ze stolikiem i wygnany poza nieskażony rejon Lombard Street. Na Mateusza wypadło zajęcie się jego ręką i nogą i obydwie te członki potraktował jak należało, nie szczędząc swoich paznokci.

Jednakże przez cały dzień rozbrzmiewał wokoło syreni śpiew i trudno było go nie słyszeć nawet mając ucho nieczułe na takie głosy. Panowie, starannie podkreślający, że oni sami nigdy nie ulegną temu bańkowemu nonsensowi, wciąż słyszeli, że ten czy tamten, żona kuzyna czy osobisty sługa księcia albo zaufany urzędnik lorda burmistrza Londynu — czy nawet sam lord burmistrz — zrobił fortunę na akcjach Morza Południowego, zainwestował zyski w następnym przedsięwzięciu i zrobił drugą fortunę, tak wielką, że mógł całą służbę, w liczbie trzydziestu osób, odziać w liberie ze złotogłowiu.

Mateusz, nastawiający uszu podczas nakrywania stolików, usłyszał o kilku niezłych kąskach, co sprawiło, że uczciwy trud wydał mu się tak nudny jak stojąca woda w rowie.

— Mówią, że akcje Morza Południowego dojdą do dwóch tysięcy, a potem będzie następna subskrypcja.

— U Garrawaya jest ktoś, kto zagwarantuje ci sto tysięcy funtów rocznie do końca życia za każde sto subskrybowanych funtów.

— Podobno niemieckie metresy wysłały pół miliona funtów za granicę — wszystko z królewskich dochodów z akcji.

— Powiadają, że sprzedawca Biblii, Thomas Guy, będzie budował szpital ze swych zysków.

— Sir John Blount jada ze złotego talerza — i co rano wydała z siebie gwinee!

— U Jonathana pewna kobieta z dobrej rodziny zdjęła z szyi diamentowy naszyjnik i zamieniła go na akcje giełdy rybnej.

— A dziedzic Boone, który nakupił magicznej maści Marvella ni mniej, ni więcej tylko za sześć tysięcy funtów, w następnym tygodniu sprzedał ją za jedenaście tysięcy i pojechał z powrotem do zachodniej Anglii z posagiem córki wystarczającym, żeby kupić za zięcia

hrabiego!

— Zamówiono ponad tysiąc nowych powozów. Niech Bóg nas strzeże przy przechodzeniu przez Piccadilly!

— Mówią, że tak będzie trwało, aż wszyscy będziemy mieli po milionie funtów...

— Co wtedy?

Rzeczywiście, co wtedy... Mateusz, słuchając chciwie, wystawiony na potężną pokusę,

zestawiając swe nędzne zarobki z blaskiem bogactwa czekającego na każdego, kto wyciągnie po nie rękę, nic nie widział, jak tylko milion funtów. Słowo: "Powiadają" brzmiało dla niego równie prawdziwie jak dźwięk złotej gwinei. Zdarzało mu się, że stawiając dzbanek z kawą nie czuł zapachu palonego ziarna z dalekiej Arabii, lecz woń świeżo wybitej monety z Change Alley, odległej ledwie o pięćdziesiąt kroków.

Milion funtów na każdego? Jak tu nie skorzystać z tej jedynej, ogromnej okazji, pozwalającej mu zmienić całe swoje życie?

W końcu, w spokojniejszej chwili, gdy ruch się zmniejszył, poprosił o radę człowieka, któremu mógł zaufać. Był nim Meyer Mond, młody syn bankiera Samuela Pepysa. Mond, zaczynający już tracić czarne włosy nad oliwkową twarzą—zgodnie z powiedzeniem, że

"trawa nie rośnie na ruchliwej ulicy" — siedział sam przy swoim stałym stoliku. Palcami lewej, wolnej dłoni wystukiwał jakiś rytm; prawa była zajęta piórem, atramentem i papierem oraz kolumną liczb, trzykrotnie dłuższą od jego nosa.

— Czy przeszkadzam, panie Mond?

r

v

r

NICHOLAS MONSARRAT

•

—

Tak — odrzekł natychmiast Meyer Mond, po czym spojrzał w górę i uśmiechnąwszy się z odwiecznym urokiem jego rasy dodał:

—

Nie, Mat, ty nie. Właściwie w tej chwili skończyłem obliczenia. Chcesz mnie o coś zapytać? Powiem ci, o co, i od razu dam odpowiedź. Chcesz wiedzieć, czy te opowieści o dobrej koniunkturze są prawdziwe i jak ty mógłbyś wyzyskać tę okazję?

—

Tak, sir. — Zdumiony, lecz nieskrępowany, Mateusz odważnie zatrzymał się obok niego. — Byłbym wdzięczny za radę.

—

Quaere — powiedział Mond; mówił jak stary pan Pepys, co było równocześnie i

pocieszające, i wzruszające — czy te opowieści są prawdziwe? Odpowiedź: Tak. Quaere<sup>3</sup> czy dobra koniunktura jest prawdziwa? Odpowiedź: Nie, nie w świetle surowych faktów. Za-sadziliśmy jedynie drzewo rodzące pieniądze. Teraz rozkwita wprost niewiarygodnie, ale

przyjdzie jesień albo drwał z siekierą... Jednakże kiedyś pewien francuski filozof powiedział: Cogito, ergo sum — myślę, więc jestem — w tym znaczeniu, że jeśli jakaś myśl jest obecna w mózgu człowieka, to jest ona faktem. Tak więc dobra koniunktura jest prawdziwa, jak długo uważamy ją za taką. Quaere<sup>3</sup> jak możesz wyzyskać ten obłąd? Odpowiedź: Strać sam głowę.

— Mond siadł głębiej na ławie, trzymając rękę na leżącym przed nim kawałku papieru i

gładząc go czule, jakby to było upragnione złoto. Potem znów się uśmiechnąwszy uśmiechem człowieka wiedzącego wszystko o sobie, o swoich słabościach i o sile i mogącego żyć dalej z taką wiedzą, dodał:

—

Tak jak ja.



Mateusz zdumiał się. Sądził, że młody Meyer Mond, Żyd o równie dobrej reputacji jak jego ojciec, nie zanurzyłby w tych wodach nawet palca nogi. — Sir, pan sam zaryzykował?

Pan Mond spojrzał na niego i uśmiechnął się. — Jak wszyscy, których tu widzisz.

—  
A zatem to musi być bezpieczne!

—  
To jest ryzykowne — odparł Mond — jakbyś tego nie nazwał. Ryzykowne nawet

dla ludzi znających cenę walki. — Wciąż patrzył uważnie na Mateusza. — Zacytuję ci jeszcze, Mat, innego filozofa, być może równie mądrego jak stary mistrz Descartes. Pana Williama Shakespeare'a, który nam powiedział: "Biedny i zadowolony jest wystarczająco bogaty".

Zastanów się nad tym.

Mateusz jednak był zbyt rozgorączkowany, aby wziąć pod uwagę taką niejasną radę. Jeśli

ludzie tacy jak Meyer Mond i inni zamożni bywający u Lloyd'a włączyli się w tę grę, tylko głupiec lub tchórz trzymałby się na uboczu. Powiedział: — Dziękuję, sir. — A pan Mond

odrzekł znacząco: — Podziękuj mi za rok od dziś — i wielka pułapka zaufania zaczęła działać.

---

Wieczorem, gdy tylko skończył pracę, udał się na Change Alley

— i prosto w ramiona łajdaka.

Z nadejściem zmierzchu gwar w wąskiej uliczce nieco przycichł. Migotliwe światła latarni rzucały dziwaczne cienie podskakujących głów i chciwie wyciągających się rąk. Tu i ówdzie zaśniło złoto, zaszeleścił papier... Mężczyźni i kobiety kręcili się, szukając zysku lub rozrywki czy ulgi od troski o swoje pieniądze. Pełno też było ladacznic bezczelnie się narzucających, lecz Mateusz nie ich pragnął. Chciał najpierw zainwestować, a potem szybko się wzbogacić.

Nie myślał o niczym i nic nie pamiętał, poza wrażeniem, jakie wyniósł ze swojej rozmowy z Mondem—że wszyscy uczestniczą w tej grze i że ta gra jest ryzykowna. Umierał wprost z chęci zaryzykowania, nie chciał pozostać w tyle w tym największym na świecie wyścigu po złoto.

Nieco z dala od tłumu, w kąciku między dwoma domami, siedział mężczyzna jakby

bezczyinnie i obojętnie; wyglądało, że wystarczy mu stolik zasłany papierami i jedna paląca się świeca. Lecz jego oczy, osadzone w ciemnej, jastrzębiej twarzy, wciąż były w ruchu. Po-chwyciwszy spojrzenie Mateusza uśmiechnął się i uprzejmie przywołał go ruchem głowy.

Zwabiony Mateusz podszedł do niego. Z bliska zobaczył, że mężczyzna jest bogato

odziany, na palcach ma złote pierścienie, a sakiewka leżąca na stoliku jest tłusciutka jak pularda. Bez słowa mężczyzna podsunął stół. Mateusz usiadł, a on czekał w milczeniu.

— Co pan robi w tej chwili? — zapytał Mateusz.

— Nic — odrzekł mężczyzna lekkim tonem. — Skończyłem na dziś... a był to dzień wprost wspaniały! Teraz oddycham powietrzem nocy, zanim zabiorę się do obliczeń. — Spojrzał na Mateusza.

— Chyba widziałem pana u Garrawaya.

— Nie. Może u Lloyda. Nazywam się Mateusz Lawe.

— Oczywiście! Wiem doskonale! — Faktycznie nigdy się nie spotkali ani widzieli choćby przelotnie, lecz ciepłe powitanie zawsze robi miłe wrażenie. — Jestem Finger, makler z Cheapside. Z pewnością słyszał pan o mnie. Co pana sprowadza na Change Alley?

Mateusz odrzekł: — Chcę zainwestować.

— Bardzo mądrze — powiedział pan Finger. — Nie mógłby pan wybrać lepszej chwili.

Jesteśmy dopiero na początku wspaniałej koniunktury. Chciałbym, jako przyjaciel, coś panu zaoferować. Gdyby pan tu był godzinę wcześniej! Założyłem kompanię, przy której

wszystkie inne przypominają dziecinne zabawianie się jednopensowymi kulkami. — Świeca między nimi migotała tajemniczym blaskiem, z panującego wokół gęstego mroku

wyczarowując marzenia o zysku. — Niestety, moje księgi są zapełnione. Przez cały dzień

byłem naciskany przez ludzi błagających o możliwość zainwestowania. To

bardzo duże przedsięwzięcie. — Pokręcił głową z prawdziwym żalem.

— Trzeba chwycić fortunę w locie, panie Lawe.

— Czy jest za późno?

— Mógłbym powiedzieć, że tak i mógłbym powiedzieć, że nie

— odparł pan Finger bardzo mądrze i rozważnie. — Mam jeden plik akcyjnych certyfikatów, numerowanych... — spojrzął na leżący przed nim papier — numerowanych od tysięcy

dziwiećset jednego do dwóch tysięcy. Obiecałem je milordowi... nie, lepiej nie wymieniamy nazwisk. Ale musiał mieć coś innego do załatwienia, bo nie pojawił się do dzisiejszego wieczora. Jednakże, jako człowiek słowny, muszę panu odpowiedzieć: nie.

— Ale jak go tu nie ma — odrzekł Mateusz, już zrozpaczony — to musiał zmienić zamiar.

— To prawda — zgodził się pan Finger. — To rzeczywiście prawda. Widzę, że jest pan spostrzegawczy. Gdybym tylko mógł mieć pewność. Jaką sumę zamierza pan zainwestować?

— Tysiąc dwieście funtów. — To było całe jego bogactwo, uciulane i zaoszczędzone w ciągu ponad dwudziestu lat. Suma, gdy ją wymieniał, wydawała się duża. Ale pan Finger ściągnął usta.

— Rzadko obracam tak niewielkimi pieniędzmi — rzekł. — Takie duże przedsięwzięcie

jak to moje... Nie mógłby pan tej kwoty powiększyć? Cena tych ostatnich stu certyfikatów wynosi dwadzieścia funtów za jeden. Muszę panu powiedzieć, że mogłem je sprzedać dziesięć razy w ciągu ubiegłej godziny.

— Czy nie mogę kupić mniej niż sto?

— Nie. Nie u mnie.

— A więc razem wyniosłoby to dwa tysiące funtów.

— Dwa tysiące. Nie mogę panu obiecać — pan Finger zniżył konfidencjonalnie głos — że w ciągu miesiąca sprzeda pan swoje akcje za dwadzieścia tysięcy funtów, ale mam swoją opinię na ten temat.

— Mam tylko tysiąc dwieście funtów.

— No cóż... — Pan Finger zaczął składać papiery.

— Może mógłbym pożyczyć — powiedział zaniepokojony Mateusz.

— Człowiek zamożny zawsze może pożyczyć.

— Co to za przedsięwzięcie?

Pan Finger zniżył głos: — To wielka tajemnica — rzekł — i pańska największa szansa na

fortunę. — Wziął ze stolika kartkę, tak pięknie wydrukowaną, że mogła być aktem nadania obywatelstwa miasta, i podał ją Mateuszowi. — Niech pan czyta — polecił. — Ale nikomu ani słowa!

Mateusz z rozognioną głową czytał: “Kompania do przewozu czegoś Bardzo Korzystnego, lecz nikt nie ma wiedzieć, co to jest”.

Po dłuższej chwili milczenia pan Finger rzekł: — Nie sądzi pan, że to wystarczy komuś odważnemu?

— Ale co to jest? — pytał zdezorientowany Mateusz.

— Wielki Boże! Czy spodziewa się pan, że powiem, zanim pan kupi?

— Przepraszam — odparł pokornie Mateusz. — Nie znam się na tym. Ale czy... czy ma to związek z morzem?

Pan Finger popatrzył w jedną stronę i w drugą, jakby bojąc się być podsłuchanym. Potem wolno mrugnął okiem i wyszeptał: — Wszystkie odważne sprawy wiążą się z morzem.

To wystarczyło Mateuszowi Lawełowi. — Nie zdążę zebrać teraz całej sumy — powiedział i spostrzegł, że i on mówił szeptem. — Czy sprawa może zaczekać do jutrzejszego popołudnia?

— Tego panu nie obiecuję — odrzekł pan Finger. — Jeśli milord przyjdzie przed południem, co mu powiem? Że oddałem jego udział komuś, kto nawet jeszcze mi nie zapłacił? Pomyślałby, że zwariowałem. Podoba mi się jednak pana stosunek do sprawy, panie Lawe — ciągnął łaskawie. — Proszę przyjść najwcześniej, jak pan będzie mógł, z pańskimi dwoma tysiącami funtów, i jeśli ktoś pana nie uprzedzi, zostanie pan partnerem w naszym przedsięwzięciu. Ale ani słowa nikomu. To musi mi pan przyrzec.

— Przyrzekam — odparł Mateusz.

Pan Finger pochylił się do przodu i jakby kończąc jakiś święty obrzęd zdmuchnął świecę.

W nagłej ciemności jego głos, głos spiskowca, zabrzmiał niby echo Wyroczni Delfickiej: —

Przysięgam... jeśli pochwyci pan swoją szansę t e r a z, do Bożego Narodzenia będzie pan jeździł złotą karetą!

Tamto teraz było sześć miesięcy temu, a.. teraz leżał w wysłanej gnojem złotej karecie

wykonanej ze słomy i żelaznych prętów, leżał nieruchomo na prowadzącej w dół drodze swego życia. Został oszukany, obrabowany i skazany na więzienie za dług.

Gdy wrócił do stolika pana Fingera ze swymi dwoma tysiącami funtów — tak łatwo było

pożyczyć pieniądze w owych fatalnych dniach, wprowadzie na zwariowany procent — makler,

cały w uśmiechach, najpierw wziął od niego gotówkę, przeliczył i zamknął bezpiecznie w

skrzynce, a potem kazał mu przyjść wieczorem po odbiór akcyjnych certyfikatów.

Gdy Mateusz wrócił pełen nadziei i dumy, nie mógł nigdzie znaleźć pana Fingera, a jego

wąski kącik między domami był zajęty przez jakiegoś nie znanego mu gbura, zdolnego tylko śmiać się z cudzego nieszczęścia.

Ich rozmowa była gorzkim preludium do jego ruiny.

— Pracuje pan z Fingerem\*?

— Nie. Ani z Tomciem Paluchem.

— Pan Finger, makler. Zna go pan?

— Znam dziesięć palców. Pięć na każdej dłoni. — Mężczyzna [podniósł dwa palce

wobraźliwym geście. — A tu są dwa dla ciebie, jak

nie przestajesz przeszkadzać mi w pracy.

— Ale ja miałem się spotkać z nim tutaj! Miał mi wręczyć moje certyfikaty akcyjne!

— Co to ma wspólnego ze mną?

— Gdzie on może być?

— Może we Francji. Albo w Holandii, jeżeli dostał od ciebie dosyć złota... Chcesz

zainwestować?

— Nie.

— To ustąp miejsca tym, co chcą.

I tak między jednym zachodem słońca a drugim Mateusz został zrujnowany; jeden mały głupiec pośród stu tysięcy innych. Nie był bowiem sam, a jego ruina była tylko plamką brudu na górze gnoju.

Druzgocącą klęskę zapoczątkowała największa bańka mydlana ze wszystkich, Kompania

Morza Południowego, której akcje w ciągu ostatnich sześciu miesięcy jej istnienia spadły z 1050 do 150 funtów. Zacni członkowie Rady Nadzorczej pierwsi się ich pozbyli, co prawda w tajemnicy; w ślad za nimi, już w jawnej panice, poszły mniej znaczne ofiary oszustwa. Okazało się, że dla Anglii nie było żadnych bogactw na Morzu Południowym, żadnego cudownego

sposobu spłaty Wielkiego Długu Narodowego. Pozostały tylko puste kasy i niesmak po gigantycznym szwindlu.

W ślad za tą kompanią w zapomnienie poszły wszelkie pozostałe przedsięwzięcia.

Rodziny, duże i małe, tysiącami zostały doszczętnie oskubane. Szlachetnie urodzeni ronili łzy, a motłoch się burzył. Samobójstwa były na porządku dziennym. Chociaż głównym

łajdakom, a wśród nich ministrom Korony, odebrano ich zyski, większa część pieniędzy

przepadła, a Dług Narodowy, pomnik dla narodu, który w swej chciwości i głupocie szybciej od ryb rzucił się na głębiny w pożądlivej pogoni za przynętą — pozostał większy i bardziej jaskrawy niż kiedykolwiek przedtem.

O dziesiątej, połknąwszy żarłocznie czarny chleb i stęchlą wodę, jakby to był pokarm

bogów, Mateusz wciąż jeszcze czekał na poranne wyjście. W tym korytarzu skazańców

nachmurzony dozorca więzienny zawsze opóźniał swoje zjawienie się; obojętny mu był i

Mateusz, i jego towarzysze niedoli, bo nie mając pieniędzy nawet na najmniejsze łapówki, byli ciężarem, zamiast źródłem dochodu.

W piekle więzienia biedny ciągnął z najbiedniejszych — pariasów, dla których tylko

śmierć mogła być wyzwoleniem.

Ale nie miało to większego znaczenia — tak podszeptowała Czarna Rozpacz zżerająca

wyschłe serca. Rano wychodzili tylko na ogólny dziedziniec, którego Mateusz nie znosił tak samo jak swojej celi.

Zamek zgrzytnął, jęknęły zawiasy i wreszcie drzwi klitki zostały otwarte. — Wychodzić!

— krzyknął dozorca, jak zawsze w podłym humorze. Popatrzył na Mateusza, jakby był jednym ze szczurów, które dzieliły z nim ten raj. — I masz tu być, jak wrócę, bo zostaniesz

wychłostany za ucieczkę!

Mateusz już przeszedł chłostę, jak wszyscy biedacy, za coś czy za nic, żeby wbić im w głowy znaczenie wypłacalności. Bez słowa, bo mogło być ono poczytane za zuchwałość, powlókł się korytarzem i wyszedł na dziedziniec.

Słońce nie świeciło tu ani teraz, ani nigdy; może zasłaniało sobie twarz ze wstydu. Mały skrawek ziemi wypełniali drepcący nieszczęśnicy, wzniecając hałas i wydzielając odór zdolny przewiercić nos. Jedni kłócili się, inni wygłaszali przemówienia, jeszcze inni skamlali albo podskakiwali i wyczyniali różne wygibasy, żeby się rozgrzać po więziennym chłodzie; jeszcze inni wyli z wściekłości albo wyśpiewywali o radościach niebios lub leżeli w łańcuchach, niemi i niepotrzebni jak porzucone kłody drewna.

Wszystkich nazywano więźniami, co niektórzy z trudem znosili, nękani żalem, gniewem czy rozpaczą.

Były tu też kobiety, megiery trzymające się razem dla własnego bezpieczeństwa i warczące jak wściekłe psy, gdy zbliżał się do nich mężczyzna. Mogły poorać mu twarz paznokciami

albo, gdy były w lepszym nastroju, utworzyć kurtynę Wenus wokół niego, podczas gdy jedna z nich pożądliwie syciła się jego męskością. Ale musiałby to być odważny mężczyzna, żeby

spróbować szczęścia w tej loterii.

Mateusz zamienił słówko z przyjazną duszą w niedoli, jedną z ofiar Szacownej Kompanii

Pękających Baniek Mydlanych, niejakim Natanem, ostatnio z Corn Hill — jeśli Żyd mógł

popaść w tę niewolę, to jakąż nadzieję mogli mieć zwykli goje? Natan zaangażował swój

majątek w bardzo obiecujące przedsięwzięcie: udział w zaprawionym w bojach angielskim

statku korsarskim, który miał buszować po Oceanie Hiszpańskim\* i wrócić z łupem tak

ogromnym, że trzeba by sześciu miesięcy, aby go policzyć.

Zaprawiony w bojach statek w drodze na Ocean Hiszpański dotarł zaledwie do Rotherhithe

Reach\*, gdzie po odpadnięciu z niego farby

— jedyne spoiwa łączące elementy spróchniałej drewnianej konstrukcji kadłuba —

bezczelnie zatonął, pociągając za sobą na dno pewnego Natana.

Nagle Mateusz usłyszał, jak ktoś wykrzyknął jego imię, i odwrócił się w tamtą stronę.

Wymachując wyciągniętymi rękami szła ku niemu jedna z kobiet uformowanych w obronną grupę.

Cofnął się w obawie, że mogła to być przywódczyni napastniczek. Przeworniejszy Natan

umknął jak mała rybka w zatoce na widok rekina. Kobieta, przysadzisty kocmołuch o śniadych ramionach i włosach skręconych jak węże, zdążająca w stronę Mateusza z szerokim

powitalnym uśmiechem, powtórzyła słowa, które wstrzymały jego odwrót.

— Mateuszu, czy to ty?

Zdumiony wbił w nią wzrok. Czy mógłby zapomnieć takiego brudnego stracha na wróble?

Spytał niepewnie:

— Znasz mnie?

— Lepiej niż twoja matka — odparła kobieta z lubieżnym śmiechem. — Chyba że robiłeś to samo z nią. Jestem Lucy! Jakaż by inna? A ty nic się nie zmieniłeś!

Mała Lucy... Mateusz doznał okropnego wstrząsu. Już nie była mała. Nie była też

właściwie Lucy, tak spotężniała jej figura po dwudziestu pięciu latach. Śliczna kiedyś, pociągająca twarzyczka wyglądała teraz odrażająco, jak przejrzały owoc, z obwisłymi policzkami i ostrzegawczymi krostami wokół ust. Piersi, które pieścił z rozkoszą, zwisały jak monstrualne worki juczne, nogi, które go kiedyś obejmowały, były tak potężne, że mogłyby objąć beczułkę z piwem.

Wyglądała na to, czym była: wdzięczącą się starą ladacnicą, dawno wypadłą z obiegu,

która, odrzucona, mogła zmienić się w Furię. I pomyśleć, że on sam mógł przyłożyć do tego ręki.

Oślupiały, ale łagodniejący przez tę myśl, pociągnął ją na bok, do kąta, w którym mogli poczuć się sami. Kobiety obserwowały ich chciwie, a mężczyźni chętnie dali miejsce takiej zdumiewającej parze. Znalazłszy się tam, uczepiła się jego ramienia pazurami tłustej,

pożyłkowanej dłoni.

— Mateuszu! Wyglądasz tak młodo. Chciałabym znać twój sekret! Czy naprawdę mnie zapomniałeś?



Jej kokietyjne słowa wzbudziły w nim odrazę — ale i rozczulenie. — Żartowałem —

odparł. — Albo słońce oślepiło mi oczy. Taki rażący blask! Jasne, że cię pamiętam. Jak ci się wiedzie, Lucy?

— Jak widzisz.—A potem uprzedziła jego pytanie. — Dlaczego tu jesteś?

— Długi — odparł, rad, że weszli na neutralny grunt. — Oszuści wystrychnęli mnie na dudka. Jestem dłużny ponad tysiąc funtów i nie spłacę ich, choćbym żył tysiąc lat. A ty tu czemu?

— To samo — odparła Lucy z charczącym śmiechem. — Ale inną drogą. Niepoprawna ladaczniczka, tak mówią tu o mnie. — Pierwsze słowo wypowiedziała z trudem, drugie z łatwością. — Czy słyszałeś kiedyś takie paskudne słowo? Niepoprawna? — Trudno mi nawet je wymówić! Popadłam w długi — bo jako przynęta nie byłam już taka świeża — aż w końcu

przyszli zabrać moje graty. Kilka garnków i misek i dobre, szerokie łóżko... Mogłam się z tego wyplątać, ale zaraziłam zastępcę szeryfa! — zachichotała, ukazując zęby tak zepsute, że trudno było powiedzieć, gdzie kończyły się dziąsła. Jej obwisłe piersi zatrzęsły się jak maselnice przy końcu ubijania masła.—No więc jestem tu, na zawsze, chyba że jakoś się stąd wydobędę. Ale kto ma pieniądze w takim bajzlu?

Mała Lucy... Chciało mu się zapłakać nad losem wszystkich kobiet. W jego wzroku było poczucie winy i wstyd, gdy zapytał: — Czy to ja doprowadziłem cię do tego?

— Nie, nie martw się. — Szorstka dłoń znów ścisnęła go za ramię. — Jeśli nie ty, to ktoś inny... Przeżyliśmy miłe chwile, Mateuszu. Nie miałam lepszych w życiu. Moja pierwsza

miłość... Może ja mogłabym ci pomóc. Czy wiesz, że są sposoby wydostania się z tej nory?

— Jakie?

— Poszedłbyś na morze?

Mateusz wbił w nią wzrok, serce w nim podskoczyło. — Chryste, popłynąłbym na morze w sicie młynarza!

Nagle nad ich głowami ostrzegawczy dzwon wybił ponury sygnał, i Mateusz, na zawsze w poczuciu winy, zerwał się na nogi. Miał trzy minuty na dostanie się do celi. — Muszę iść—powiedział. — Zrób, co możesz, na litość boską!

— Spotkaj się tu ze mną jutro — odparła Lucy.—Nic ci nie mogę przyrzec i możesz

znaleźć się w niebezpieczeństwie, ale spróbuję. I, Mateuszu...

— Co jeszcze?

— Myśl dobrze o mnie.

Nie mógł się zdobyć na ucałowanie odrażających ust, lecz dotknął jej ramienia i skłamał:

— Nie mógłbym myśleć lepiej, niż gdybyśmy wchodzili na górę schodami Sama Pepysa.

Natan przyłączył się do niego, gdy wmieszali się w stado bydła zaganianego do

przegródek. — Zawsze wiedziałem, że odważny z ciebie człowiek — rzekł. — Ale nie aż tak!

Któż to był, na miłość boską?

— Przyjaciółka... — Ufając temu przyjacielowi rozejrzał się na boki i szepnął: — Czy to prawda, że można się stąd wydostać zaciągając się jako marynarz?

Natan spojrział na niego uważnie. — Tak. Słyszałem o tym. Ale to mogłaby być zamiana jednego więzienia na inne.

Lucy nie wyszła do niego następnego dnia i nigdy potem. Lecz wieczorem do jego celi

przyszedł mężczyzna wpuszczony przez dozorcę, który zdawał się być w znacznie lepszym

humorze i nawet przed wyjściem postawił między nimi świeczkę z knotem z sitowia — rzecz nie widywaną przez ubogich dłużników.

Zostawieni sami, otwarcie zmierzyli się wzrokiem. W migotliwym mroku celi Mateusz

zobaczył małego, tłustego mężczyznę o cerze oliwkowej, ubranego po pańsku, lecz nerwowo czujnego. Włosy na jego głowie poruszały się, w miarę jak ukryty pod nimi mózg zastanawiał się i planował.

Był to człowiek zarówno budzący zaufanie, jak i lęk, ktoś o ograniczonym zakresie władzy

— chociaż Bóg wie, że wystarczającym w korytarzu dłużników Więzienia Floty — kto

mógłby zostać zniweczony przez silniejszego, z czego zdawał on sobie sprawę w każdym dniu swego życia.

Nie wiadomo, co taki admirał łodzi zaopatrzeniowej zobaczył w Mateuszu, ale to, co

widział, musiało go zasadniczo zadowolić, gdyż od razu przybrał ton wyższości.

— Nie marnuj mojego czasu — rzekł — gdy Mateusz szykował się do dłuższej przemowy. — Jesteś marynarzem?

— Tak.

— Bez pieniędzy?

— Tak.

— Nie ma nic nowego na świecie... Słuchaj i nie przerywaj mi. Nie spłacę twoich długów.

Ale mogę dać ci wolność i koję na morzu. Na twoje ryzyko. Zgoda?

— Jak się pan nazywa?

— Dostyc pytań! — warknął admirał o oliwkowej cerze.

— Ale co to za koja? — nalegał Mateusz. — Nie mogę się zgodzić na rejs do Chin w kojcu!

Gość westchnął, ustępując głupiemu. — Są tu portugalskie szku- nery\* z Wielkich Ławic

Nowofundlandzkich, które schroniły się w zachodniej Anglii. Łowią dorsza. Brakuje im załóg na powrót na łowiska. Podpiszesz kontrakt na pięć lat. W razie uchylania się od roboty czy zuchwalstwa zaczniesz danego dnia służbę od nowa. Przez dwa lata mnie będziesz oddawał

swoje zarobki i udział w zyskach. Kapitan ma już na pokładzie podpisany papier. — Wyjął zwitek z rękawa. — Ty podpiszesz ten.

— Zarobki za dwa lata? Czym będę żył przez dwa lata?

— Dorszem — odrzekł dobroczyńca.

— To jest niewolnictwo!

Mężczyzna potoczył wzrokiem po celi. — A co to jest?

Mateusz przełknął ślinę. Na tym surowym świecie nie było odpowiedzi. — Jak się stąd wydostanę?

— Wrócę za dwie noce od dziś i ty wyjdiesz ze mną. Tylna brama będzie otwarta i

człowiek przy niej będzie odwrócony plecami. Po drodze nie odezwiesz się. Ani słowem!

Zgoda?

— Tak.

— W porządku. — Potem, w słabym świetle świecy, mężczyzna pochylił się, a w jego oczach pojawił się ponury błysk. Nie był to błysk przyjazny. — Zapamiętaj sobie jedno. Do tego czasu będę musiał zapłacić pewne kwoty pewnym ludziom, żeby uznali cię za wolnego.

Ale twoje długi nie zostaną spłacone. Od tamtej chwili będziesz zbiegiem. Jeśli zdarzy się nieszczęście, że cię złapią, zostaniesz dostarczony z powrotem tutaj, z wypalonym piętnem oszusta i będziesz bity tak, że już nigdy nie będziesz mógł chodzić. Gdybyś mnie oszukał, możesz uważać się za trupa. Mam długie ramię, z hakiem rybackim na końcu... Będziesz

bezpieczny tylko w jednym miejscu, na pokładzie szkunera "Consuela" w basenie portu Bristol.

Po chwili Mateusz, rozważywszy szanse, zapytał:—Jak dostanę się do Bristolu?

— Wiejską furmanką. Zamknięty w klatce z innymi. Zgoda?

— Tak.

— Więc podpisuj. I trzymaj gębę na kłódkę. — Po raz pierwszy mężczyzna o cerze oliwkowej, mający moc dawania życia i śmierci

— tak to przynajmniej wyglądało — pozwolił sobie na skromny żart.

— Nawet się nie uśmiechaj!

Jadąc na zachód w klatce na kołyszącym się wiejskim wozie wespół z ordynusami, którzy

jeśli nie byli otepiali od alkoholu, klęli i jęczeli bez przerwy, Mateusz dokonał przeglądu swego losu i uznał, że jest okrutny. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ucieknie z łądu, który okazał

się odrażający, i znowu znajdzie się na morzu. Ale jaki będzie koniec? Uwolnił go łądowy rekin, by wciąż trzymać w swoich zębach.

Zrozpaczony, odsunął kopnięciem oplatające go nogi sąsiada, co w tym więzieniu dla

zwierząt wydawało się świadczyć o chęci na amory, i zaczął przeklinać wszystko, od dawno minionej przeszłości do niezachęcającej przyszłości:

Portugalski poławiacz dorsza! Płacz, śmierdząca rybo! A miałem być dżentelmenem!

Raz jeszcze czas spędzony na morzu był okresem szczęśliwym. Łowienie ryb zawsze dawało nadzieję, a sen po trudach był przyjemnością.

Na Wielkich Ławicach, płytkich wodach na południe od Nowej Fundlandii, obfitych w rybę, błogosławionych przez letnie słońce, prześladowanych przez mgły i sztormy na początku i na końcu każdego sezonu, rozmaite flotylle zbierały się i rozchodziły wachlarzowato, wykonując swoje sekretne zadania.

Byli tu Anglicy, władcy tego cesarstwa, często nawet dysponujący flotyllą dwustu statków; Portugalczycy, sprytni żeglarze, o wiele chytrzejsi przy uzyskiwaniu dobrego dochodu choćby ze sprzedaży ostatniej suszonej rybiej głowy; statki francuskie, uznawane za pełne szpiegów z ich pięknej prowincji Quebec; małe bretońskie pinąques, bardziej odpowiednie do pływania po zakolach zatoki St Mało; Hiszpanie, wciąż jeszcze śniący o dawnej imperialnej przeszłości, ale teraz zadowolający się tuzinem szkunerów zapełnionych solonym dorszem.

Był to świat ryb i hartu ducha, handlu i odwagi, rzadkich umiejętności i pecha, żeglowania, polegającego na wyczuciu i opiece Boskiej; świat burz na zamówienie, bogatych połowów,

spełniających wielkie nadzieje, gorzkiego marnotrawienia czasu zatruwającego miłe

wspomnienia przeszłości. Ten świat wychowywał żeglarzy i łamał ich — odwieczna lekcja

morza, rządzącego wszystkim i obojętnego na wszystko, poza jego dwoma władcami: wiatrem w górze i wściekłymi pływami w dole.

Zająwszy pozycję powyżej łowisk, unieruchomione przez ożaglowanie sztormowe lub

behradny łopot żagli, szkunery opuszczały na wodę barkasy, żeby pełniły swoje zadanie.

Łodzie rozchodziły się ukradkiem, jak czyhające palce, pozorując niezdecydowanie albo brak rozeznania, a przez cały czas szukając przypadkowego znaku, mogącego być zapowiedzią

ławicy ryb: nagłego wzburzenia powierzchni, jak gdyby zaczynającej się gotować, pisku

obserwującej mewy, zmiany barwy wody, co zdradzało wielki ruch pod jej powierzchnią.

Łowili na linę ręczną, używając jako przynęty kapelinu, drobnej rybki bardzo lubianej

przez dorsza, aż do wypełnienia łodzi. Jeśli danego dnia lub nocy mieli szczęście, mogło to im zająć dwie godziny; w pechowych okresach biedacy pozostawali na morzu przez tydzień, w

odległości pięćdziesięciu mil od macierzystego statku. Istniał tylko jeden rozkaz: "Nie wracać bez pełnej łodzi!" i ten rozkaz pozostawał

w mocy, nawet gdy pogoda zmieniała się drastycznie na gorszą albo gdy ryby zachowywały się jak dziewczęta wstydzące się pokazywać z wiosennymi piegami.

Wszyscy byli partnerami w tym samym przedsięwzięciu, a tchórze, bojaźliwi, głupcy czy obiboki nie mieli po co wracać na statek, dopóki nie zarobili na swój partnerski udział.

Mateusz, przykucnięty na dziobie barkasa "Numer Sześć" z "Con-sueli", myślał tylko o jednym: żeby zbytnio nie przemarznąć i nie przestać czuwać, zanim świt czwartego dnia

łowienia nie przyniesie im słońca na pociechę. Ciągłe zabijał ręce i rozcierał raz jedną dłoń, raz drugą, trzymając przy tym w zębach dwie długie liny dorszowe, przerzucone przez burtę i głęboko opuszczone w wodę.

Zmarznięte dłonie piekielnie bolały od soli przenikającej przez skaleczenia, zadrapania i pęcherze, będące skutkiem pracy i pokryte jątrzącą się skorupą. Nogi, zdrętwiałe i niezdolne do ruchu, były jak z ołowiu; włosy i broda ociekały lodowatymi kroplami. W słabym blasku

światła kotwicznego mgła, która przyniosła ten szczypiący ziąb, to przygniatała ich, to dryfowała nad ich głowami jak całun czekający na trupa.

Miał wachtę, samotną wachtę w środku nocy. Jego pięciu towarzyszy — trzech, jak on,

odpowiedzialnych za liny dorszowe, gruby chłopak od krajania przynęty i starzec

odczepiający, gdy dopisało im szczęście, złowione ryby z haków, wrzucający je do beczek i przysypujący je solą — spało.

Nie widział żadnego z nich w wilgotnych, chłodnych ciemnościach, chociaż o ich

obecności świadczył odór, który po trzech dniach na ławicy nauczył się odróżniać, podobnie jak inne zapachy: świeżej ryby, której mieli za mało; moczu i ekskrementów, których zebrało się zbyt dużo pod cuchnącymi deskami pokładu; rozkładającej się przynęty i gnijących rybich łbów, których było dosyć, żeby poruszyć żołądek najodporniejszego rybaka; i zapach potu, na tyle silny, żeby świadczyć o ich wciąż żywej męskości.

W głębokiej nocy pod koniec września, przy wszelkich oznakach już osaczającej ich zimy

— tu i ówdzie trochę lodu, mały opad śniegu — gdy zaledwie dwie szerokie beczki z dziesięciu zostały napełnione rybą i przysypane na wierzchu solą, a reszta, pusta, jakby kpiła z nich, z perspektywą jeszcze jednego przekłętego dnia na lodowatej wodzie chlustającej o kadłub — w obliczu wszystkich tych przeciwności tylko ta męskość mogła podtrzymywać upadającego

ducha.

Stanowiło to jego jedyny powód do dumy. Świt był jeszcze daleko, a będą musieli

przetrzymać czwarty dzień i czwartą noc, a może i piąty świt, nim wykonają swoje zadanie.

Było ich czterech z ośmioma ręcznymi linami, zaopatrzonymi w trzydzieści haków z umocowaną do

NICHOLAS MONSARRAT

każdego przynętą, które dozorował stary, sterany wilk morski, co przeżył zbyt wiele sezonów na ławicach, i wiecznie głodny chłopak, nie chodzący, choć powinien, do szkoły, i wszyscy zmagali się ze złościwością morza, bezlitosnego wroga, nieuchronnego zwycięzcy, Wszechmocnego.

Od czasu do czasu tłusty chłopak, leżący najbliżej Mateusza, pojękiwał przez sen, śniąc o swobodzie i jedzeniu. Mateusz to zapadał w drzemkę, to się budził, szarpał liny, żeby uwolnić haki, i znów przysypiał. W nieziemskich ciemnościach odgłosy niesione przez wiatr mieszały się z pluskiem wznoszących się i opadających fal; lecz w tym marynarskim labiryncie, we mgle nad Wielką Ławicą trudno było określić, czy przybywały z bliska, czy z daleka, ze

wschodu czy z zachodu, od przyjaciela czy od wroga.

Jak podczas tysiąca innych wacht środkowych w czarnej jaskini nocy jedyną muzyką były ponure myśli i niesamowite odgłosy.

Lecz gdy znowu ocknął się z drzemki, odczuł zmianę i unióśł głowę, żeby się w niej rozeznąć. Na wschodzie pojawiła się słabiutka jasność, pełznąca po wodzie jak duch nawiedzający pola bitewne; był to jednak duch przyjazny, najulubieńszy ze wszystkich — świt na morzu.

W miarę zmieniania się jego upragnionej barwy z bladoszarej na białą, z białej na żółtą, z żółtej w obietnicę błękitu, nadzieja wkradała się, jak zawsze, w stęsknione serce. Światło dzienne było tuż-tuż; od wschodu słońca dzieliła ich niecała godzina.

Zgasiwszy latarnię kotwiczną, Mateusz poruszył się niezdarnie, nie dbając o to, że

hałasuje. Jego myśli były takie same jak wszystkich odbywających środkowe wachty\*. Nocne czuwanie skończyło się i śpiący wygodnie koledzy muszą się o tym dowiedzieć. Dosyć mieli czasu na świńskie wysypianie się.

Budzili się kolejno w różnych humorach i w różnym stylu. Najpierw ocknął się

Portugalczyk Carlo, ten od haków, zgrzybiały charczący staruch, mający dawno za sobą

wiosnę życia, umiejętności i w ogóle wszystko. Zbyt leniwy, żeby wysunąć swój opasty tyłek za ławkę rufową, oddał mocz prosto na deski pokładu, pierdnął, jakby robił światu łaskę, i w ten

sposób rozpoczął podarowany im nowy dzień.

Po nim kolejno budzili się trzej od trzymania lin dorszowych: Manoel, pomocnik kapitana z "Consueli" — jeszcze jeden Portugalczyk władający ich małym królestwem i nigdy o tym nie zapominający, nie odzywający się inaczej jak krzykiem, używający kilku zaledwie słów nie będących przekleństwami; Duńczyk Jorgensen, silny, zwinny, urodzony marynarz, najlepszy w obsłudze takielunku i steru, z nosem najlepiej wyczuwającym rybę, zmianę pogody czy —

gdy byli na łądzie — kobietę, która będzie gładzić jego jasne włosy, aż nastroszą się jak grzebień koguci; i jeszcze jeden, Anglik, nazwiskiem Trail, niewolnik jak Mateusz, mały, oślizły jak piskorz, który nakłamawszy o swoich żeglarskich umiejętnościach okazał się

równie złym nabytkiem na morzu, jak i na łądzie.

Ostatni obudził się chłopak, tłuścioch od krojenia przynęty, o krótkim imieniu Bac.

Ziewnął, jakby trzymał na plecach ciężar całego świata, podrapał się jak mężczyzna, splunął

jak niemądry dzieciak — na wiatr, tak że ślina wylądowała mu na gołych kolanach — a potem wyjąwszy z kieszeni spodni kawałek solonego dorsza, zaczął go ssać jak niemowlę.

Bac miał dwanaście lat i musiał się jeszcze dużo nauczyć, co mu nieustannie wypominano.

Mateusz, wyciągając swoje liny, żeby sprawdzić przynętę, przyglądał się kolegom, jak to robił przez niezliczone dni długiego sezonu, stwierdzając, że marni z nich kompani. Tylko chłopak, który zgłosił się dobrowolnie, i Duńczyk Jorgensen, który wiedział wszystko i hojnie dzielił się swoją wiedzą, zasługiwali na chwilowe zaufanie albo przyjaźń; reszta to morskie odpadki, którym nie można było powierzyć niczego więcej niż ich własne cenne skóry. Manoel był...

Manoel już ryczał, jeszcze zapinając spodnie. — Mateus! — tak nazywano Mateusza w tym wielojęzycznym świecie. — Ile ryb złapaliśmy tej nocy?

— Ani jednej — odparł Mateusz oglądający uważnie swoje dziewicze haki.

— Senhor! — krzyknął pomocnik kapitana.

— Senhor,

— Spałeś, ty draniu!

— Ryby spały -w, odparł Mateusz, którego świt uczynił nieostrożnym. — Im niech pan wymyśla.

Jorgensen roześmiał się. Chociaż każdy inny naraziłby się przez to na gniew Manoela,



Jorgensen miał dla niego zbyt dużą wartość, zarówno ze względu na charakter, jak i na umiejętności, z czego Manoel zdawał sobie sprawę od wielu miesięcy. Swoje przekleństwa skierował więc na kogoś innego. Skwitował Mateusza pogardliwie: — Ryby nie śpią. Śpią tylko leniwi Anglicy! — i wybrał sobie łatwiejszy cel, starego Carla, który był najbliższym niego. — Obudź się, porcol\* — warknął. — Czy płacę ci za spanie przez cały dzień?

Prawdę mówiąc, Manoel nie płacił nic Carlowi za zakładanie przynęty na haki, nawet w dniach najobfitszych połowów. Ale Carlo, bojąc się stracić swoją koję, służył mu niewolniczo. — Jestem gotów, senhor — zamamrotal. — Niech tylko dostanę ryby w moje ręce, a zasolę je w beczce jeszcze pływające.

— Kiedyś ciebie zasolę — rzekł Manoel nieubłaganie. — Stara kupa gnoju... — Był to dalszy ciąg dokuczliwego czepiania się, trwającego bez przerwy przez trzy jałowe dni. Teraz zwrócił się do Anglika Traila. — Czemu szczerzysz zęby, Ingles\*?

Trail, pochlebca i skarżypyta, dzięki długiej praktyce zawsze potrafił odwrócić gniew Manoela jakąś dowcipną uwagą. — Myślałem o Carlu z łbem w beczce i z porcją soli na ogniu. Ale gdzie by ktoś chciał zjeść taką potrawę?

— Nie w przytułku dla ślepców! — Rad ze swego dowcipu Manoel ryknął śmiechem. Ale musiał mieć swoje ofiary. — Bac! — krzyknął. — Usiądź prosto! Nie udawaj trupa! Czy znowu zachciewa ci się chłosty? Na to masz apetyt, tłusty wieprzu? Na pasztecik z razów? Nie, senhor — odparł pokornie chłopiec.

— Ale spróbujesz go, czy chcesz, czy nie... Masz już gotową świeżą przynętę?

• i— Tak, senhor.

— I coś do jedzenia?

— Nie ma nic, senhor. No, jest surowa ryba.

— Chcę zupy, do cholery!

— Ale skończyło się drewno.

— Nie jem drewna, durniu! Z wczorajszego wieczora została zupa. Czy ją ukradłeś, mały złodziejaszku?

— Nie, senhor. — Bac pogmerał koło stóp i podał miskę zaskorupiałej zimnej zupy, właściwie wody z olejem wyciśniętym z oliwek i kilkoma rybimi skórami pływającymi na wierzchu. — Tego pan sobie życzył, senhor?

— Nie zadawaj pytań! Rozdaj ją. A mnie podaj pierwszą chochlę i najlepszą, bo sam skończysz w tej zupie!

Zjedli więc ten śniadaniowy speq'ał, żując do tego spleśniałe skórki chleba. Potem wciągnęli liny, pozakładali na haki świeżą przynętę i opuściwszy z powrotem liny do wody, zapadli w milczenie: sześciu zmarzniętych i głodnych mężczyzn w cuchnącym barkasie, z dwoma beczkami pełnymi dorsza i ośmioma wciąż pustymi, czekający w przenikliwie zimnej mgłę na długiej martwej fali w świetle dnia nadchodzącego w ślimaczym tempie, bez nadziei na rozgrzanie kości po tej stronie odległego lata.

Siedzieli w trzech parach, jak szczęśliwa szóstka na kostce do gry: Manoel i Trail na ławce rufowej, Mateusz i Jorgensen na zagraconym dziobie, a w brzuchatym środku barkasa Carlo, wśród swoich beczek i worka soli, i Bac przykucnięty nad obrzydliwym wiadrem z przynętą.

Jorgensen, niezrównany marynarz, pierwszy obudził ich czujność.

— Słuchajcie! — zawołał nagle. — Nadpływają!

Znając jego reputację, posłuchali go i nastawili uszu. Ale nic nie usłyszeli i nie wiedzieli, czy Duńczyk mówił o rybach, czy o jakiejś przeklętej bandzie wikingów, mogącej wynurzyć się z mgły. Po chwili Manoel zapytał ze złością:

— Czego słuchamy, kwadratowy łbie? Nic nie ma!

— Jest wszystko! — odparł sucho Jorgensen. — Słuchajcie teraz.

I wtedy wszyscy usłyszeli: dziwny dźwięk, jakby czajnika tuż przed

zagotowaniem; jakby młócki, gdy zaczynają odpadać łuski ziarna kukurydzy; jakby

ochryplego westchnienia gigantycznej gardzieli. Skonsternowani, rozejrzeli się niepewnie wokoło, a potem wszyscy zobaczyli, co niosło ze sobą to nieziemskie posłanie.

Na granicy widoczności, na jaką pozwalała mgła, w odległości nie większej niż trzydziestu jardów

powierzchnia morza zaczęła się poruszać, zabulgotała i zakipiała. Fale zmieniały barwę z czarnej na szarą i z szarej na kremowobiałą. Przyczyną było to, co budziło czujność każdego rybaka: mnóstwo drobnych rybek tłoczących się i wyskakujących w górę przy przebijaniu

sklepienia ich świata; milion rybnego drobiazgu w desperackim strachu wypychany ze swego żywiołu przez jakiegoś okrutnego wroga w dole.

Tumult zbliżał się: za chwilę ogarnie barkas i będą mieli odpowiedź na swoje pytanie.

— Liczcie do dziesięciu! — zawołał w uniesieniu Jorgensen. Od razu stał się ich

naturalnym przywódcą, o władczym głosie, wartym tuzina wrzaskliwych, klepiących głupstwa Manoelów. — A potem wyłapiemy całą rybę w morzu.

Mateusz, wierzący bez zastrzeżeń w taką żeglarską magię, zaczął liczyć poruszając

wargami jak dziecko. Wokół nich roiło się już od przerażonych małych rybek miotających się w spienionej wodzie. Ale nim doliczył do sześciu, wraz z innymi został zaskoczony przez inny niezwykle widok.

Coś zaatakowało nagle wszystkie osiem lin dorszowych, powodując gwałtowne

zakołysanie się całego barkasa. Mocne liny zanurzyły się i napięły, powodując okrutny ból w trzymających je palcach i ciągnąc ramiona w dół. O wczesnym poranku nastąpiło gwałtowne uderzenie olbrzymiej ławicy dorszy, drapieźniej szych od wszelkich głodnych zbiorowisk na świecie.

— Wciągać! — krzyknął Manoel, jakby on jeden dyrygował całą tą inwazją. Ale żaden

głupi rozkaz nie był potrzebny. Po pierwszym szoku wszyscy stali się znowu wytrawnymi

rybakami, zaskoczonymi wprawdzie szczęśliwym obrotem losu, lecz przygotowanymi do

wyzyskania go, póki trwał ten potop.

A był to prawdziwy potop, szalona lawina, wielokrotnie zagrażająca im zmieceniem.

Jorgensen, dzięki swej wiedzy i umiejętnościom, zdawszy sobie sprawę z sytuacji, pierwszy wciągnął swoją linę. Z trzydziestu haków na dwudziestu pięciu tkwiły tłuste dorsze. Manoel, który był następny, miał ich dwadzieścia. Mateusz, wolniejszy od nich — “Jeszcze liczyłem do dziesięciu — wyznał później Jorgensenowi. — Ufałem ci!” — naliczył dwadzieścia dwa dorsze, a jego towarzysz wciągał już, ręka za ręką, następną linę, krzykiem oznajmiając o jej niezwykle ciężarze.

Trail, którego słabe ramiona bardziej nadawały się do podnoszenia półlitrowego kufla,

ostatni wciągnął swój połów do barkasa. Ku zazdrości wszystkich, na każdym haku jego liny tkwił dorsz. Trzydzieści sztuk za jednym wyciągnięciem... Bóg bywa czasem dobry dla tych, co na to nie zasługują.

Później nie mieli już głowy do liczenia ani sił na obsługę więcej niż jednej liny naraz.

Natychmiast po nasadzeniu przynęty na haki i opuszczeniu do wody lina była atakowana przez rybę i pociągana w dół, i trzeba było wciągać ją z powrotem.

Szarobiała kaskada nie przestawała wlewać się do łodzi. Białe słońce rzucało blask na

srebrne łuski; ryby podskakujące, ryby miotające się, ryby chwytające z trudem powietrze; wszystkie dostawały się do łodzi w takim tempie, w jakim silne ramiona były w stanie

wyciągać liny i przeciągać je przez burtę. Carlo, ten od haków, nie nadążał z zakładaniem przynęty.

— Na rany Chrystusa — wołał — odczepiajcie swoje ryby i wrzucajcie je do beczek! Nie mogę nadążyć z soleniem.

Była to najwspanialsza skarga w tej podróży i w chwili szalonych wysiłków została mu wybaczona.

Wołania: — Bac! Chodźże zakładać przynętę! — sprawiały, że chłopak też był u kresu sił.

Ale nawet Manoel, pomocnik kapitana, nie zdobył się na to, żeby mu wymyślać. Bo Bac robił, co mógł, tak zresztą jak wszyscy w godzinie obfitości ryby, jakiej żaden z nich nie pamiętał.

Mateusz był w swoim prywatnym niebie. Chociaż dłonie krwawiły mu od tuzina otwartych na nowo skaleczeń i zadrapań, ból, głód i zimno poszły w zapomnienie wraz ze wszystkim

innym, co go dręczyło. Uwielbiał tę robotę i zapłatę za nią. Pracował na szczycie góry ryb—a z tego mogło być złoto, karetą pełną kobiet, a jeśli nie—to jakaś niebiańska tawerna, ze

wszystkim, co będzie tam do wypicia, albo spotkanie z Chrystusem i jego boskim ciałem.

Czy można się upić wyciąganiem lin z dorszami na każdym haku?

Jorgensen był człowiekiem najbardziej praktycznym. Wkrótce po załadowaniu prawie do

pełna wszystkich pustych beczek zabrakło przynęty na haki. Ale któż zaprzestałby zbierania tego plonu, aż zima nie położy mu kresu? Na pewno nie Duńczyk Jorgensen.

Ramiona miał oślizłe po łokcie od połyskliwych rybich łusek, a jasne włosy ociekały

słonym potem. — Nie ma przynęty? — huknął. — No to co? Będą brały na cokolwiek.

Zupełnie poszalały! Sprawdźmy, czy są kanibalami.

Wydobył zza pasa nóż, chwycił najbliższego dorsza miotającego się u jego stóp i okrutnie pociął go

na płaty, które pozakładał na swoje haki. Mateusz zrobił to samo. Obaj opuścili swe liny i razem je wyciągnęli. Rybożercze hordy wciąż były żarłoczne i ciągle nieprzeliczone.

Manoel i Trail poszli za ich przykładem i wynik był ten sam. Nawet Bac porwał zapasową linę i za jednym razem zdobył swoją pierwszą rybę — swoje pierwsze dziesięć ryb. Beczki zostały napełnione po brzegi; wysypujące się z nich dorsze kłębiły się u ich stóp. Już i łódź napełniała się rybą — do kostek, po kolana, na wysokość ławek wioślarskich i wyżej.

W końcu łódź była pełna — nie mogła zabrać więcej bez obawy zatonięcia. —

Dosyć! — krzyknął Manoel i po raz pierwszy powiedział coś rozsądnego. Odpoczywali po wysiłku; w panującym wokół spokoju wzeszło zdumiewająco wspaniałe słońce.

Ucichły kłótnie i przyszła pora na przechwałki.

Pierwszy odezwał się Trail: — Widzieliście? Trzydzieści ryb na trzydziestu hakach! Nigdy się nie zdarzyło coś takiego!

Na to młodziutki Bac: — Ja złapałem dziesięć! Ale największych!

Z kolei pomocnik kapitana Manoel: — Wiedziałem, że to odpowiednie miejsce. Wyczułem to nosem!

A Mateusz: — Czy nie mówiłem, że śpią? Musiały im się śnić koszmary!

Jorgensen odezwał się rozsądniej: Jeśli inni mają podobne szczęście, to "Consuela" będzie pełna.

Łódź siedziała nisko w wodzie i czasem jakaś mała fala przelała się do środka przez burłę.

Tymczasem słońce rozjarzyło się i mgła zaczęła ustępować, ukazując to, na co najbardziej czekali. Jedynymi innymi barkasami, które miały udział w bogatej zdobyczy tego ranka, były barkasy "Consueli". Trzy z nich znalazły się w odległości pół mili.

Załogi machały do siebie, powiadamiając się nawzajem o szczęśliwym trafie. Wszyscy byli zadowoleni i dumni. Consuela contra mundum! Ich statek przeciwko światu!

— Dulki na zewnątrz! — rzucił rozkaz pomocnik kapitana, gdy nacieszyli się półgodzinnym odpoczynkiem. — Wracajmy, zanim zatoniemy.

Odpowiedzią był chóralny jęk załogi, chociaż w tym radosnym dniu dobry humor wciąż im dopisywał. Sprawa powrotów na statek

macierzysty była zawsze na Wielkich Ławicach przedmiotem sporów, doprowadzając

rybaków na skraj buntu, powodując wymierzanie im chłosty i wywołując łyzy nieutulonego żalu u wielu wdów — ostatnich w łańcuchu z tych, którzy mogli mieć korzyść z połowów.

Załogi barkasów zawsze się upierały, że skoro zostały wypełnione rybą do granic

możliwości dzięki wykonaniu przez nich zadania, to macierzyste szkunery powinny podpłynąć do nich i odebrać połów. Natomiast szkunery, z załogami ograniczonymi do kapitana,

kucharza, cieśli i kilku wałkoni oraz obsady śródokręcia, ustaliły, że statek macierzysty ma pozostać tam, gdzie był, a odnalezienie go to zadanie dla barkasów.

Ten spór nigdy nie miał być rozwiązany, a najbardziej na tym cierpieli ci z barkasów. W

ich obecnym wypadku, po trzech poprzednich dniach rozstania, będą musieli wiosłować może i dwadzieścia mil, a jeśli "Consuela" się przesunęła, to nawet pięćdziesiąt.

— Niech przy płyną po nas — powiedział Mateusz, wyrażając pogląd wszystkich. — Z takim ładunkiem zasługujemy na to. Kto napocił się najbardziej?

— Trzydzieści ryb na trzydziestu hakach — powtarzał swoje Trail, który po krótkim zrywie męskości znowu zaczął jęczeć. — Zasługuję na więcej niż przy płynięcie po mnie.

Powinni dostarczyć mnie do portu St John's w lektyce!

— Oby tak się stało — mruknął Jorgensen do Mateusza. — Jeśli byłaby to trumna, sam bym ją zaniósł!

Obaj roześmiali się, a pomocnik kapitana, Manoel, węsząc bunt, znów stał się sobą.

— Do wiosła! — wrzasnął. — Dostaliście rozkaz: dulki na zewnątrz!

Ale oni wciąż myśleli o tym, że spośród całej załogi wyładowanego barkasa tylko Manoel nie będzie wiosłował.

— Daj nam jeszcze trochę odpocząć, na miłość boską — zaprotestował stary Carlo. Od

wysiłku wciąż jeszcze dyszał jak orka. — Szkuner mógłby dopłynąć do nas w godzinę. Kto da radę ciągnąć na wiosłach tę kłodę drewna?

— Wy — odrzekł natychmiast pomocnik kapitana. — Mateus, włóż swoje wiosło w

dulkę! Obsadź dziób! Ty, kwadratowy łbie, jesteś następny. Trail na środku. Bac! Jak staruch

zdechnie, o co modłę się każdego dnia, ty zajmiesz jego miejsce. Teraz dosyć gadania o trzydziestu dorszach na trzydziestu hakach albo dziesięciu na jednym. Macie milczeć i zginać plecy! Co będzie, jak wiatr się nasili w czasie waszego gadania? Nie zmartwiłbym się, jakby się wszystkie sukinsyny potopiły. Ale nie chcę stracić ryby!

Powiedział, co do niego należało. Wnet każdy zajął swoje miejsce i łódź ruszyła. Manoel ze swobodą, lecz pieczołowicie zajmował się

wiosłem sterowym. Nic go nie obchodziło, że czteroosobowa obsada musiała wiosłować poranionymi dłońmi, spływającymi krwią z pękających pęcherzy.

Ale wiosłarze — jak się zdarza niejednemu na tym świecie — byli również sprytnymi

aktorami i potrafili, wiosłując bez wysiłku, nie trując się bardziej niż dziewczęta kręcące się wokół umajonej tyczki, stwarzać wrażenie, że pracują jak tytani — tak aby zadowolić widzów i zachować siły na późniejszą zabawę.

Niemniej jednak barkas "Numer Sześć" z "Consueli", wiozący więcej ryb niż domokrążca pełen w swoim tobołku, posuwał się do przodu, nie chwalony za tempo, ale i nie ganiony. Za nim płynęły następne barkasy, rade, że prowadzenie mogły zostawić pomocnikowi kapitana. < Sterowali ostro pod wiatr, przez trzy dni niezmiennie wiejący z południowego zachodu;

zgodnie z morskimi regułami, taki wiatr będzie kierował lekkie łodzie w określoną stronę, podczas gdy szkuner pozostanie spokojnie na kotwicy. Załadowani jednak do sześciu cali

ponad linię wodną, posuwali się niemrawo, niby meduza na rok przed okresem kopulacji.

Manoel zaś oszczędzał swe siły, nie wysilając się przy wiosle sterowym.

Chwilami z ukośnej fali wlewało się do łodzi trochę wody. Wtedy mały Bac wybierał ją co do kropli gąbką, szmatą lub dłońmi złożonymi w miseczkę i wylewał tam, skąd przyszła.

Nie trzeba było go poganiać; przy całym udawaniu wysiłku bezpieczne posuwanie się łodzi po bezlitosnym morskim przestworzu wciąż było dla nich sprawą życia i śmierci. Chłopiec wiedział — jak wszyscy pozostali — że siedzą w kruchej forteczce, w małej pływającej

łupinie; jeśli ona zatoni, pójdą na dno razem z nią. Żadne chwytywanie ustami powietrza, bicie rękami czy wołanie do niebios nie sprawią, że znowu zaczną unosić się na wodzie.

Wiosłowali zatem wszyscy cały ranek mimo obolałych pleców, krwawiących dłoni i bólu

w płucach. Płynęli wciąż przed siebie, w bezbrzeżną pustkę morza, ku horyzontowi, który musi przecież gdzieś być. Samotni jak mewy u schyłku jesieni, nie mając w polu widzenia nikogo, kto mógłby przyjść im z pomocą, mieli tylko wiarę, nadzieję i ufność.

Tę ufność pokładali w innych marynarzach, którzy — jeśli tylko będzie to w granicach

ludzkich możliwości — nie zostawią ich na pewną śmierć.

— Potem znów wpłynęli we mgłę.

Jak to się często zdarzało w tym rejonie, spadła na nich zniecka, okradając ich ze zdolności widzenia. Nie była jednolita — złożona z cienkich pasemek, chorobliwych włókien ślepoty, wlokła za sobą strzepy układające się w całe płachty mroku, zdradliwe jak kapryśna

"W

kobieta, w której raz miłość bierze górę, raz nienawiść, w zależności od tego, czy jest w dobrym, czy w złym nastroju.

Raz widzieli słońce i czuli je na sobie, to znów — po chwili — chłód i szarość otoczenia odbierały im poczucie bezpieczeństwa, jak dzieciom, gdy po zgaśnięciu mrugającej nocnej lampki nadzieja zamienia się w lęk. Rozejrzawszy się wokoło upewnili się co do jednej rzeczy: mgła, ta zmora marynarza, była gęstsza w przodzie, przed nimi.

Bluznęli przekleństwami, wciągnęli do płuc chłodne powietrze i zgodnie przestali wiosłować.

Mateusz był gotów pójść o zakład, kto pierwszy przełamie ponurą ścianę milczenia. Był nim Trail.

— Co to znaczy? — jęknął. — Czy nie potrafimy dowieźć naszego ładunku na miejsce?

Trzy dni harowaliśmy jak woły...

— Wszyscy harowaliśmy trzy dni jak woły — przerwał mu ostro Mateusz. Wstyd mu było za Traila, wstyd za Anglika miauczącego jak kociak, gdy pierwszy raz nie dostał mleka.—Niektórzy z nas harują jak woły, a inni jak iskające się szczeniaki.

— Ja tylko...

— "Trzydzieści dorszy na trzydziestu hakach" — nielitościwie przedrzeźnił go Jorgensen.

Otoczająca ich mgła działała na nerwy wszystkim, nawet temu zaprawionemu w bojach marynarzowi. — Chcesz mieć to wypisane na nagrobku? Powiedz słowo, a ja ci to wyrzeźbię!

— Cisza! — krzyknął Manoel, pomocnik kapitana. — Jak mogę w tym hałasie obmyślać plany? — Często się nad tym zastanawiali, teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ale wtedy



właśnie nieoczekiwanie dmuchnął wiatr i strzępiasta mgła znikła, ukazując bladą tarczę słońca i kawałek otwartego morza. — Naprzód! — rozkazał. — Nie możemy siedzieć

bezczyinnie. Musimy posuwać się naprzód.

Pomocnik kapitański był jedynym wśród nich, który siedział bezczynnie; przypomniały im

o tym pocierane ręce, gdy znowu pochyłili się nad wiosłami. Ale nie można było mieć za złe jego rozkazu. Działanie było jedyną odpowiedzią na niepewność i jedynym na nią lekarstwem.

Gdzieś przed nimi, jeśli się nie mylili, stał szkuner, czekając na nich. Teraz nie mógłby podплыnąć do nich. We mgle miałyby nawet większe trudności z poruszaniem się niż barkasy.

Pchali się znowu ostrzej pod wiatr, lecz ostrożnie, węsząc drogę, nasłuchując zagrożeń, ale i wszystkiego, co mogło przynieść nadzieję. Byli dziećmi w ogromnym, bezkresnym świecie, mogącym zadać cios bez ostrzeżenia lub pieścić bez ograniczenia. I właśnie wtedy, gdy już mieli zabrać się do wiosła, horyzont znikł, a przed sobą ujrzeli następną ławicę mgły, grubą jak welon najbogatszej i zarazem najbrzydszej kobiety na świecie.

Znów, jak ostrożne zwierzęta, zatrzymali się na jej skraju i czekali. Lepiej było stanąć, niż pchać się w nieznaną. Woda wsysała się chciwie w cienki kadłub łodzi. Zdychająca ryba

rzuciła się w ostatnich bólach, drwiąc z tych, co ją złapali. “Dołączcie do mnie, dołączcie do mnie!” — zapraszał słabo bijący ogon, a wiatr zdawał się wtórować: “Dołączą, dołączą”.

Jorgensen położył koniec tej nonsensownej sytuacji. — Słuchajcie! Oni są o milę od nas!

Nie oznajmiał nadejścia śmierci, obiecywał życie. Niesiony słabym wiatrem, jak boskie wezwanie, nadleciał cichy dźwięk sygnałów mgłowych, to wysokich, to niskich, odgłosy trąbek, gwizdków, głęboki ton dzwonu, zawodzenie konch muszli — prawdziwa muzyka morskiego polowania.

Barkasy nie były już samotne. Ich wierni towarzysze wzywali ich do domu.

Nareszcie mieli łączność, lecz opartą tylko na niekonkretnym powietrzu, gdy dźwięk

przybywał znikąd — z leżącej nisko grubej ławicy mgły, która mogła się rozciągać na

pięćdziesiąt mil. Pochyleni nad wiosłami marynarze z barkasa “Numer Sześć” wbijali w nią wzrok i zastanawiali się, gdzie zaatakować? Którędy wejść? Naprowadzające sygnały mogły być mylące, odbite echem w ślepej jaskini, która i ich oślepi, gdy tylko w nią wejdą.

A potem Bóg, dla nich tylko, uczynił mały cud.

Jakiś przygodny powiew wiatru podniósł nieco partię mgły czy też przydusił ją do

powierzchni morza. Obdarzony wzrokiem orła Jorgensen pierwszy wyciągnął z tego korzyść.

Podskoczył w górę, oparł się o ramię Mateusza i wbił wzrok prosto przed siebie. A potem krzyknął triumfalnie:

— Topsisle!

Mgła znowu opadła, jeszcze gdy to mówił, i wszyscy zobaczyli cel swojej podróży.

Rzeczywiście to były topsle, mały ich szwadron zawisły w powietrzu jak niebiańskie pranie.

Topsisle bez statków, dziwne i cudowne, lśniące w słońcu jak chorągwie odległej fortecy. To, co było pod nimi, skrywała świetlista, nieprzenikniona szarość.

Ale to wystarczyło załodze barkasa. Wiedzieli swoje: połatane żagle, dzięki którym

zarabiali na chleb, wyróżniały się jak rzut chorągiewek sygnałowych, i można je było od razu rozpoznać. Pokryte smugami, zniszczone przez złą pogodę żagle "Consueli", niechący zachlapane czerwoną farbą z puski — "Wyglądają jak jakiś cholerny kawałek boczku", orzeciono gremialnie — były wyraźnie widoczne, jak palec przyzywający ich dokładnie z

kierunku wiejącego wiatru.

Krzyknęli do innych łodzi, żeby płynęły za nimi, i dali nura w mrok. Gwałtowny napór fal na dziób ich łodzi dostatecznie wskazywał drogę. Wreszcie szkuner zamajaczył nad nimi, jak czarny

duch spowity w szary całun. Podeszli blisko, znów go obwołali i — pękający od ryb i ludzi —

zostali zahaczeni bosakiem i przyciągnięci pod brudną burtę, a więc — wśród okrzyków

uznania dla ich wspaniałego połowu — do drewnianych ścian domu.

Jeśli szkuner "Consuela" nie był najbrudniejszym ze wszystkich statków pływających po morzach, miał niewielką szansę napotkać podobny sobie podczas pięciu lat pływania w

poszukiwaniu ryby. Szkunery na Wielkich Ławicach były statkami roboczymi i trudniły się połowem ryb, czuć więc je było rybą, były oślisze od ryb, ryby parowały na nich w słońcu, a na mrozie produkowały rybnie sople.

Ładownie "Consueli" cuchnęły rybą i nigdy cuchnąć nie przestawały. Gnijące rybnie skóry zatruwały żęzy; łuski zaśmiecały pokłady, zapychały odpływники, oblepiały żagle, takielunek i urządzenia nawigacyjne. Do tego śmierdzącego koktajlu załoga dodawała zapachy z własnego wyboru: zjełczanego oleju z oliwek, surowego czosnku, pośledniego wina, potu nie mytych ciał

i wszystkiego, co zostawiali po sobie leniwi — i zdrowi — mężczyźni, którym nie chciało się iść do

ustępu, jeśli mogli się załatwić w kącie pokładu.

“Consuela” postawiła Mateusza Lawe'a twarzą w twarz z wieloma rzeczami, z którymi

dotąd się nie spotkał: statek cuchnący, a równocześnie niezrównany w pływaniu po morzu; ożaglowanie, choć postrzępione i ponaprawiane, zdolne przetrzymać najgwałtowniejszą burzę; a do tego portugalscy żeglarze—najlepsi, jakich można spotkać na wszystkich pięciu oceanach

— cuchnący jak żebrak z rynsztoka, który by się nie zawahał splunąć komuś pod stopy, stąpać po nieczystościach, jakby to była kosztowna puchowa kołdra, i spać obok lochy, żeby ogrzać sobie tyłek.

Na morzu “Consuela” była dumą portugalskiej flotyli z powodu prędkości pływania i sprytu w połowach, a w porcie powodem do rozpaczony dla każdego, kto pociągnąwszy nosem

wyczuł idącą od niej smugę smrodu i zwracał śniadanie między jednym łykiem a drugim.

Mimo to, wszedłszy na pokład tego morskiego śmietnika z trofeum w postaci olbrzymiego

dorsza, obwodem równego obwodowi brzucha młodego Baca, i dołączywszy do załogi, która

się zbiegła zobaczyć połów przywieziony przez barkasy, Mateusz był gotów wybaczyć

“Consueli” jej wszystkie braki. Był to w ciągu sześciomiesięcznego sezonu najlepszy dzień, mogący spowodować jego uwolnienie na okres zimy; i chociaż szkuner wciąż był dla niego

rodzajem więzienia, w to radosne południe potrafił o tym zapomnieć.

Dłużnicy więzi na statek z więzienia byli przeważnie obiektem pogardy, bo nie mogli

uciec, a wystarczyło jedno zuchwałe słowo czy protest, by okres niewoli musieli zaczynać od nowa. W dodatku byli bez grosza i najędźniejszy portugalski amator łowienia ryb w mętnej wodzie był ich panem. Ale był też inny powód zły o nich opinii. Wielu z nich to byli

niepoprawni łgarze i nieroby, zwykłe szczury lądowe zagubione w świecie żeglarzy,

pasażerowie dźwigani na plecach lepszych od nich marynarzy. Wielu, którzy tak jak Trail przechwalali się umiejętnością unikania więzienia, w surowych warunkach uzupełniało swoje braki. Wielu, będąc — jak Mateusz — Anglikami, stawało się przedmiotem nienawiści, bo na lądzie Anglia zaprowadzała kolonijne rządy i traktowała wszystkich z królewską wyniosłością.

Tu, na pokładzie, sprawiedliwość mogła ich w końcu zrównać z innymi... Jednakże

przynajmniej Mateusz zdobył sobie jakiś szacunek w okresie swej niewoli. Umiał łowić rybę i walczyć. Potrafił też skracać i zwijać żagle oraz sterować nie gorzej niż najlepsi wśród nich.

Przebywanie w ciasnych pomieszczeniach rodziło jednakowo płomienną przyjaźń lub

wrogość. Zdarzały się kłótnie. Czasem błysnął nóż. Panowała surowa sprawiedliwość i jeszcze surowsza tyrania. Najlepsze, co mógł zrobić marynarz, to albo ostro się postawić, albo siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą; odpowiadać potulnie czy

— w ostateczności — użyć twardej pięści; zaprzyjaźnić się z kimś takim jak Jorgensen i unikać wrogów, takich jak pomocnik kapitana, Manoel.

Takie wyrzutki społeczeństwa nigdy nie będą mieć powodzenia w życiu, chociaż przy pewnej dozie szczęścia będą egzystować.

Ale w tej radosnej godzinie nikt nie był wyrzutkiem. Załoga stanowiła jedno. Czuli się szczęśliwi, bo pracowali, bo mogli oglądać bogaty rezultat swoich trudów i mieć nadzieję na dowiezienie go do kraju. Nigdy jeszcze nie złowili tyle, toteż nigdy nie żywili uczucia takiej dumy i koleżeństwa.

Złowione ryby, przysypane solą, już wrzucano do ładowni łopatami, żeby zostały dobrze upakowane i zakonserwowane. Kapitan Coleiro przyszedł ze swej kajuty na rufie popatrzeć na załadunek z opróżnianych trzech wypełnionych barkasów i trzech innych, którym połów nie pęwiódł się tak dobrze. Coleiro, twardy mężczyzna z krogulczym nosem, o ciele gęściej pokrytym szczeciniastym owłosieniem niż rozdrażniony jeżozwierz, przechadzał się bosy i obdarty, jak reszta jego załogi. Nie potrzebował jednak złotych chwastów ani srebrnych gwizdków dla zaznaczenia swej władzy.

Dwadzieścia pięć lat spędził na Wielkich Ławicach. "Consuela" była jego własnym statkiem. Jego rozkazy obowiązywały niezależnie od tego, czy towarzyszyło im przekleństwo, czy uśmiech. Rządził umiejętnie, mądrze, z dobrym skutkiem i nikt tego nie kwestionował — albo nie było teraz nikogo na statku, kto by się na to ośmielił.

Przyglądając się w tej chwili pracy załogi miał na ustach uśmiech, i nie bez powodu. Po zsunieniu reszty trzepocących się dorszy i przysypaniu ich solą ładownia wypełniła się po wierzch. Wreszcie

"Consuela" była pełna, maleńki triumf w skali światowej, lecz olbrzymi dla jego załogi.

Oznaczało to nie tylko zyskowną wyprawę, lecz tak oczekiwane zakończenie połowów; za tydzień mogą wracać w konwoju do Europy z ładunkiem godnym statku wiozącego skarb.

Kapitan Coleiro przeszedł ku przodowi, żeby dokładniej obejrzeć ładownię, a załoga

patrzyła na niego i czekała. Wciąż jeszcze nie była rozwiązana poważna wątpliwość: chciwy kapitan czy surowy tyran mogliby przecież znaleźć na pokładzie miejsce na więcej ryby. Czy będą musieli spędzić jeszcze jedną noc na Ławicy? Boże broń!

Coleiro spojrział w dół na swój ładunek, potem podniósł wzrok na niebo, popatrzył w kierunku południowym, skąd wiał nasilający się wiatr, a spienione fale marszczyły powierzchnię niebieskoszarego morza. Załoga wciąż go obserwowała. Trzymał ich wszystkich w swym ręku i bardzo to lubił, chociaż nie przywiązywał do tego większego znaczenia.

Jedynym jego kryterium było spełnianie swoich obowiązków.

Wreszcie rzucił swemu zastępcy najbardziej upragniony rozkaz:

— Manoel, zakryjcie wodoszczelnie luki! A potem stawiać żagle!

Wiatr, teraz dość silny, żeby zdmuchiwać mgłę z tafli morza, był pomyślny dla kursu na St John's, odległy o dwieście pięćdziesiąt mil w kierunku północno-zachodnim. Rozwinąwszy

żagle, mknęli jak strzała przez cały wieczór, noc i dzień. Następny zmierzch zastał ich wchodzących trudnym wejściem do portu obok wzgórza, na którym suszyła się ryba — na

obszarze mili wypatroszone i rozwieszane wysoko dorsze schły na mdłym zachodzącym słońcu, kurcząc się do małych rozmiarów, jak niegdyś powieszoni rozbójnicy. I tak dotarli wreszcie do spokojnego miejsca postoju.

### III

| Przedostawszy się przez bardzo niebezpieczne wejście, słusznie nazwane Przesmykiem,

wijące się wokół skalistych zakrętów, wysepek mających wygląd obnażonych kłów,

prowadzące przez nieoczekiwane wiry i bystre fale pływowe, zdolne przerazić dorosłego

kraba, a tym bardziej statek zdany dodatkowo na łaskę wiatru — i znalazłszy się u celu, uznali St John's za dobry port.

Rozłożony na długości pełnej mili, szeroki, głęboki i bezpiecznie odgradzony od wszelkich gwałtownych sił, jakie słały Ocean Atlantycki z zadaniem jego zniszczenia, stanowił cenne kotwicowisko dla

najstarszej angielskiej kolonii, Nowej Fundlandii. Chociaż na starych mapach oznaczano ją przerażającym napisem: "Kraina pełna demonów", jej portowa osada okazała się, teraz przynajmniej, bezpiecznym od nich schronieniem.

Czy "demonami" były zawrodozenia lodowatego wiatru wiejącego od Bieguna Północnego, czy głosy drapieżnych wilków i niedźwiedzi lub ryki Indian, teraz odgradzonych od zatoki palisadą, żeglujący latem nie musieli się tym przejmować.

Anglicy otworzyli drogę do tego bogatego dominium, którego pierwszym odkrywcą był stary John Cabot przeszło dwieście lat temu a które obecnie w oczach świata było własnością Anglii. Byli jednak tacy, co wciąż kwestionowali to prawo: rybacy z Bretanii i Normandii, przechwalający się, że przyplwawali tu co roku, zanim pojawił się tutaj pierwszy statek

angielski; Francuzi panujący w Quebecu, którzy, jak się wydawało, na zawsze już mieli pozostać cierniem dla Anglii; Portugalczycy, mówiący o sobie "pierwsi na każdym oceanie", i Holendrzy, nazywający swoim wszystko, do czego umieli wskazać choćby najmniejszy tytuł.

Nawet przepływający tędy marynarze z Morza Środkowego nie mogli darować sobie wzmianki, że John Cabot to w istocie Giovanni Caboto z Genui i Wenecji i że dlatego...

Ta rywalizacja bywała częstą przyczyną sporów na lądzie w sytuacji, gdy wszystkie floty rybackie znalazły się pod dominacją Anglików. Zaraził się nią nawet człowiek tak

zrównoważony jak Duńczyk Jorgensen.

— Głupie dzieciaki! — powiedział kiedyś do Mateusza, gdy wrócili z tawerny po takim sporze. — "Byliśmy tu przed wami". Takie kłamstwo! Na Boga, my byliśmy tutaj na naszych statkach, zanim ci portugalscy wieśniacy postawili w ogóle stopę na wodzie!

— Na jak długo przed nimi? — spytał Mateusz.

— Pięćset lat. Może tysiąc.

Mateusz roześmiał się. — Masz chyba na myśli dnie?

Jorgensen odwrócił się do niego z taką samą gwałtownością jak w tawernie. — Nie śmieję się ze mnie, ty angielski obdartusie! Bo się pokłócimy!

"Obdartus" to było jego zwykłe pieszczotliwe słówko — ale nie tego wieczora. Mateusz odparł dyplomatycznie:

— No to mi opowiedz!

— Tyle ci tylko mogę powiedzieć — rzekł Jorgensen, jeszcze rozzłoszczony — że mieliśmy żeglarzy, co przepływając Adantyk w łodziach nie większych od tych, jakie mamy dzisiaj,

odkryli ład, na którym stoimy, i sprawili, że się rozwijał, zanim jeszcze ludzie nauczyli się pisać. Więc śpiewaliśmy o tym pieśni... Również my odkryliśmy Amerykę. Rządziliśmy

kiedyś całą Anglią...

— Co?

— Niczego cię nie uczyli? Nigdy nie słyszałeś o danegold\*?

— Owszem. To podatek nakładany kiedyś na utrzymanie sprawnego wojska przeciwko

Duńczykom.

Jorgensen roześmiał się. — Co za bajka dla małych chłopców!... To były pieniądze, które płaciliście wy n a m, żebyśmy się trzymali od was z dala. Ale my braliśmy pieniądze i wciąż przybywaliśmy... Przed angielskimi królami w waszym kraju byli królowie duńscy!

Wyglądało, że Duńczycy byli wszędzie... Mateusz, nie czując się pewnie na tym gruncie, szybko zmienił temat.

— No dobrze, mamy teraz Anglię i mamy teraz Nową Fund- landię, objęliśmy ją w

posiadanie w imieniu królowej. Sir Humphrey Gilbert zostawił tu naszą banderę. I powiem ci, w którym to było roku, bo uczyłem się tego w szkole. To był rok 1583.

— Kto, powiadasz, umieścił tu waszą banderę?

— Sir Humphrey Gilbert.

— A jaki był jego następny wielki wyczyn?

— Utonął w drodze powrotnej do kraju. Po rozbiciu się statku na Azorach.

— Angielskie żeglowanie!...

W tym sporze żadna ze stron nie mogła wygrać; obaj wiedzieli

o tym i kontynuowali go przyjaźnie. Mateusz jednak wolał swoją, angielską wersję od

fantastycznej opowieści o Duńczykach sprzed tysiąca lat. Nowa Fundlandia była ziemią

angielską, objętą na podstawie poważnego traktatu, w którym francuscy parweniuse zrzekli się swych praw i wycofali do swojego legowiska w Quebecu. Niech spróbują wrócić... Nowa Fundlandia pozostała; pierwsza trwała kolonia angielska — a rządziła się jak zwariowany cyrk.

Było to imperium rybackie, którego monarchą był "rybacki admirał" — dziwny i

niecodzienny stwór, a to z tego powodu, że zostawał nim drogą przypadku pierwszy angielski kapitan, który przybywał na to wybrzeże na początku każdego sezonu. Z tą chwilą jego słowo stawało się prawem, a władza była niekwestionowana, niezależnie od tego, czy zachowywał się jak okrutny łotr, czy łagodny znawca spraw morskich; nałogowy pijak czy surowy purytanin, kokieteryjny elegancik czy ktoś ospały jak spuchnięta żaba.

Mógł trzymać wszystko w ręku luźniej niż żołnierz broń lub ciaśniej niż skóra obejmująca bęben, ale nie miało to znaczenia; był tu



siedział — jak na tronie—na beczce albo w wyścielonym poduszkami fotelu — admirał całej Nowej Fundlandii. Jego obowiązkiem było utrzymywanie porządku, stosowanie sprawiedliwości tak, jak on ją pojmował, i prowadzenie dziennika, później przedstawianego lordom Admiralicji, a potem, jeśli był napisany czytelnie i zadowalająco od strony informacyjnej, także królowi.

Zdarzało się, że wybrani ludzie byli niezdolni sprostać tym wszystkim zadaniom; w najgorszym wypadku bywali niezdolni do niczego, i w ciągu takiego sezonu St John's marniał albo stawał się norą morderców czy wylęgarnią złodziei przynoszących wstyd jego świetliwej nazwie. Ten rok jednak był pomyślniejszy; panujący był człowiekiem łagodnym—z solidnym poczuciem obowiązku—i nie za bardzo chciwym.

Powiesił tylko dwóch łotrów, którzy na to zasłużyli — i umiał czytać i pisać.

Nadszedł tydzień, a potem dzień spodziewanego powrotu flotylli rybackiej w bezpiecznym konwoju ponad czterystu statków. Zrobiono wszystko, co możliwe, żeby zakończyć pomyślnie rok. Przez czternaście dni dziecięco radośnie nastawieni na pakowanie się i powrót do domu rybacy tyrali jak niewolnicy, żeby wybrać, załadować i zabezpieczyć owoc wyczerpującej pracy całego sezonu.

Wszystko przeładowano na szkunery i mniejsze statki rybackie oraz inne, o wielkim tonażu, które miały stanowić ich konwój. Góry solonej ryby, spłaszczone przyciskającymi ją głazami, znikły w przepełnionych ładowniach; załadowano też wielką różnorodność takich towarów, jak tran wielorybi, klepki do beczek, suche drewno, baryłki piwa warzonego na świerkowych pędach, worki igieł sosnowych, indiańskie tkaniny, skóry lisów polarnych, futra fok, piżmoszczurów, bobrów, białych niedźwiedzi i skóry karibu.

Zbocza wzgórz St John's, szopy magazynowe nad wodą i domy mieszkalne były, jak przez szarańczę, opróżniane ze wszystkiego, co dało się unieść, wszystkiego, co służyło przez krótki sezon, wszystkiego, co miało jakąś wartość i co warto było zabrać z nowego świata do tego, który teraz był starym.

Konwój wracający do kraju pozostawiał za sobą ledwie ślady pobytu, które wkrótce znikną pod śniegiem, aby odżyć dopiero następnej wiosny, w następnym roku, w innej trudnej

wyprawie. Do tego czasu St John's może sobie wrócić—z podziękowaniem—do Ery

Lodowcowej, niezależnie od tego, czego się dowiedzieli ciepłokrwisci ludzie Europy, o co dbali i co zapamiętają.

Lecz przed tym zmasowanym wycofaniem się kapitan Coleiro z "Consueli" odbył rozmowę z jednym z niewolniczo zależnych od niego członków załogi.

Wzywając Mateusza do swej kajuty, Coleiro był w doskonałym humorze — i czemu by nie miał być? Miał za sobą królewski sezon i czekał tylko na pomyślny wiatr, żeby go zaniósł do kraju. W dodatku rozmawiał z marynarzem, który służył mu dobrze i uczciwie, nie dostawszy za to ani pensa, a miał przed sobą jeszcze rok tej samej

(niewolniczej pracy. Ale to, co mu powiedział Coleiro, było dla niego [prawdziwym zaskoczeniem.

— Usiądź, Mateuszu<sup>^</sup> zaczął kapitan i przez stół kajuty pchnął w jego stronę szklanekę swego najlepszego portugalskiego wina. — Pij — rozkazał. — Rozgrzej sobie serce i słuchaj!... Dobrze mi służyłeś, chciałbym, żeby było więcej Anglików takich jak ty i wolałbym, żebyś ty wziął swój udział z tego sezonu niż ten łotr Da Costa.

— Kto? — spytał Mateusz, oszołomiony tą nagłą łaskawością. Ze zdziwieniem pomyślał też, że od przeszło roku nie siedział na krześle.

— Da Costa. Twój dozorca więzienny. Nie znałeś jego nazwiska?

— Nie, comandante.

— Nic nie straciłeś... Ale ja muszę płacić jemu. Tak jest w kontrakcie. Lecz nie ma tam mowy o przewożeniu ciebie do kraju. Jeśli zostawię cię na tutejszym wybrzeżu na zimę, czy obiecasz — mnie czy obiecasz — że będziesz tu, kiedy wrócę?

— Ale...—wyjąkał Mateusz jeszcze bardziej zbity z tropu i urwał.

— Nie możesz uciec — ciągnął otwarcie Coleiro. — Gdybyś spróbował, zamarzniesz, utopisz się albo Indianie oddadzą twój skalp kobietom, a resztę z ciebie psom... Chcę od ciebie przyrzeczenia, że wrócisz wiosną na "Consuelę".

— Mam tu zostać sam?

— Nie. Zostawię stu ludzi, z ich własnej chęci. Czterech z tego statku, a ja — zaśmiał się

— oszczędzę w ten sposób na ich utrzymaniu przez zimę. Jorgensen zostaje, bo chce

handlować futrami. Trail, bo jest dłużnikiem, a zresztą ja i tak nie chciałbym go zabrać ze sobą.

Bac, chłopak okrętowy, bo nie ma rodziny ani powodu, żeby wracać — a jak dla mnie, je za dużo.

— Jak będziemy żyć?

Jest suszony dorsz, jeżeli jeszcze możesz go jeść. Zostawię dość zboża na chleb i tyle

słodkich kartofli, żeby starczyło do Bożego Narodzenia. Będzie też sarnina — przyniosą ją Indianie na wymianę za ... za co zechcecie.^- Spojrzał porozumiewawczo na Mateusza. —

Indianin wiele zrobi za butelkę czy dwie, a za dziesięć naboju do muszkietu możesz zabawiać się z jego żoną, aż się oboje pochorujecie... Zostawimy wam broń i siekiery. Jest drewno do rąbania i dostateczne schronienie dla wszystkich, a także beczułka porto dla kurowania was z zimna. Przeżyjecie.

— A kto będzie rządził?

Kapitan Coleiro znowu się zaśmiał. — Nikt nie rządzi zimą. Oddacie wszystkie siły, żeby się utrzymać przy życiu. A jeśli będziecie się kłócić i bić między sobą, Indianie was

pogrzebią... I co? Zostaniesz i dasz słowo?

Z gardłem przepłukanym szklanką dobrego wina — pierwszą, jak krzesło, przyjemnością

w tym pozbawionym ich roku — Mateusz nie

wahał się długo. Coleiro namalował niewesoły obraz, nie gorszy jednak od każdego innego, jaki mógłby mu się przedstawić. Rozstać się z "Consuelą" i kapitańskim pomocnikiem Manoelem... Być panem siebie przez pewien czas... Jeżeli będą ciężko pracować, zachowywać ostrożność i podtrzymywać porządną ogień przez dwieście dni i nocy, to nie będzie im

najgorzej.

Najlepszą nowiną było obiecane towarzystwo Jorgensena. Najgorszą — jęczący Trail, ale i o n może się nauczyć rąbać drwa do pieca nie obcinając sobie kawałka ucha.

Powiedział: — Tak, comandante, zostanę i spotkamy się w następnym roku. Przysięgam. I

dziękuję panu.

— No to va com Deus\ —| rzekł kapitan Coleiro i wysączył resztę rozgrzewającego wina.

— Miałem na myśli: podziękuj Bogu, jeśli się znów spotkamy, a mnie — jeśli nie.

Czterej zostawieni na wyspie — Jorgensen, Mateusz, Trail i Bac — rzucili cumy

“Consueli”, żegnani sprośnymi gestami załogi na pokładzie, udającej, że silny mróz zaatakował najważniejsze organy ich ciał, i końcowym błogosławieństwem dla z góry

skazanych na zły los. Potem, gdy szkuner został przeciągnięty ręcznie wzdłuż nabrzeża, aż fokżagiel mógł złapać tyle wiatru, żeby ustawić statek na kursie do Przesmyku, ostatecznie się rozstali, a szkuner ruszył za gromadą odpływających statków.

Wyglądało, jakby cały port St John's odrywał się od lądu. Żagle rozwijały się jak olbrzymie kwiaty; liny po raz ostami uderzały z pluskiem o wodę, zanim wciągnięto je na pokład;

bandery żwawo windowały się w górę; statki trącały się o siebie i rozchodziły, a ludzie przeklinali i śmieli się; niezgrana muzyka tysiąca głosów sygnalizowała szczęśliwą godzinę odjazdu w powrotną drogę do kraju.

Po tym zamieszaniu nie nacechowanym pośpiechem, po przepisowym tańcu ze stawianiem

żagli ci, co zostali na lądzie, wspięli się na szczyt wzgórza, jak forteca oddzielającego port od oceanu, żeby obserwować formowanie się konwoju do odpłynięcia. Ze swej pozycji w Nowym

Jorku przybyła fregata, żeby ich pilotować; wyglądała jak pani wśród obdartych strachów na wróble, elegancka jak marzenie każdego żeglarza.

Będzie dowodziła całym tym stadem — szkunerami, mniejszymi statkami rybackimi,

transportowcami wyładowanymi całym ich wspólnym dobrem — w drodze do kraju pod

uderzeniami odwiecznych zachodnich wichur.

Był pierwszy tydzień października i ci, co zostali, przez całe sześć miesięcy nie ujrzą skrawka żagla i nie usłyszą głosu nowo przybyłego marynarza.

Mimo to stanowili wesołą kompanię, dzielącą uczucie zadowolenia nawet w dotkliwym

zimnie początku nowofundlandzkiej zimy. Wreszcie byli wolni, wolni w surowej krainie i w strasznej porze roku, ale wolni! Wzrok Mateusza przyciągała szczególnie fregata Marynarki Wojennej.

— To dopiero okręt! — zawołał z podziwem. — Dwadzieścia osiem dział i robota

malarska jak z obrazka! Przy niej reszta wygląda jak byle jakie łódeczki.

— Jak z obrazka — powtórzył Jorgensen z lekką pogardą. — Malowanie nie tworzy

okrętu. Ich topsle już pracują wstecz.

— Czeka na maruderów.

— Powinna iść na czele, a nie marudzić. — Jorgensen był wciąż w dobrym nastroju. —

Chyba bezpieczniej będę się czuł tutaj, na suchym lądzie, niż stawiając żagle w tym zimnie w drodze ku Portugalii. Mogą upłynąć dwa miesiące, nim ujrzą brzeg... Miałem dosyć morza w tym roku. Dosyć też "Consueli".

— Ja mam dość St John's — odezwał się Trail, jedyny narzekający. Dyszał ciężko po wejściu na wzgórze i rozgrzewał się zabijaniem rąk. — Boże, kiedy znowu zobaczymy słońce?

— Za sześć miesięcy — odpowiedział Mateusz. — Jak dożyjesz. I jeśli nie dostaniesz śnieżnej ślepoty. I jeżeli Indianie nie wpakują ci strzały między żebra. Jeśli będziesz pracował.

— Konwój zaczął się wreszcie oddalać, pogrążając się w mroku jak szary duch zimy. — A teraz... na dół, na pierwszy nasz gorący obiad! Trail narąbie drewna. Bac zajmie się ogniem i lampą. Ja gotowaniem, Jorgensen czyszczeniem garnków.

— Ale co będziemy jedli? ^t- zapytał mały, tłusciutki Bac.

— Nie twoje zmartwienie — odrzekł Jorgensen. — Będziemy cię karmić do końca.

W tej ostatniej godzinie pierwszej zimowej nocy w chatce, w której krew ścinała się z zimna a która miała być ich domem, Duńczyk Jorgensen, za wcześnie odszpuntowawszy pękata

baryłkę mocnego wina i za dużo z niej pociągnawszy, ujrzał wielkie światło. Ostrze prawdy, jakie czasem dociera przez mgłę.

— Mateus!

— Co?

— Jesteś ze mną?

— Nie z zamiarem ożenku.

—

Zaczekaj, aż zostaniesz zapytany... Stoi przed nami wielkie zadanie. Co mówisz?

— Nic nie mówiłem.

— Nie utracić życia przez sześć miesięcy.

Mateusz rozejrzał się po ich mrocznym schronieniu. Ogień zamierał, a z nim zadymiona lampa tranowa. Traila nie było widać spod stosu nie nadających się do handlu skór. Bac chrapał. Wiatr wzdychał i wydawał odgłosy ssania, jak jakiś wrogi duch. Takie towarzystwo...  
Lecz Mateusz też wypił swoją porcję wina i także doznał olśnienia.

— Mam dla ciebie doskonałą nowinę. Przeżyjemy!

— Jak?

— Będziemy podtrzymywać słabych, a — w razie konieczności — zabijać silnych.

— Czy ty jesteś słaby? — wymamrotał Jorgensen po dłuższym milczeniu.

— Nie jutro.

— Ani ja.

#### IV

Było ich dziewięćdziesięciu ośmiu w piętnastu chatach i szopach rozrzuconych wzdłuż krawędzi portu. Od tyłu ich bezpieczeństwa broniła palisada, od przodu mieli lodową wodę obejmującą ich skurczony świat; do Bożego Narodzenia zasiedlili chaty w rozsądnej kolejności i doprowadzili do powstania zimowej wioski.

Śnieg leżał już grubą pokrywą na zboczu wzgórza i na dachach ich domostw, a także na nabrzeżu, które było ich progiem; lodowa obwódka na skraju zasięgu pływów zadawała kłam bajeczce o tym, że woda morska nie zamarza.

Śnieg i gryzący chłód rozdzieliły wszystkich na dobre, jak dzieci, które żenią się i przenoszą do różnych miast albo jak rozstających się przyjaciół, tak że w końcu nie byli zdolni przejść mili pod górę, żeby odnowić więzy. Wraz z upływem zimy coraz bardziej odcinały się od siebie ich odmienne gospodarstwa, odróżniające się nazwami statków, ojczystym językiem, wiekiem, gustowaniem w winie czy niewinnej wodzie, skłonnością do spokojnego spędzania czasu czy do hulank.

Okazało się prawdą, że w zimie nikt nie rządzi w St John's. Każdy rządził sam sobą, a wszyscy mieli dosyć zajęć z utrzymywaniem dachu nad głową, ciepła w domowym ognisku,

zapasu żywności, ze stawianiem czoła wiatrowi od zatoki. Nie zwalczali się nawzajem;

pilnowali każdy swoich spraw. W jednym takim domostwie — tak nędznym jak chatka z darni na pół zapadła w trzęsawiska Irlandii, a zarazem tak cennym jak najwspanialszy dom w jakimś królestwie — mieszkali czterej wyrzutkowie z “Consueli”.

Z jednej strony sąsiadowali z małą kolonią Portugalczyków, a z drugiej — z jakimiś zuchowatymi Francuzami z Gaskonii, których zuchowatość malała, w miarę jak mróz zatykał im usta. Wkrótce dni, w których widywali się nawzajem, stały się rzadkością.

Ludzie z “Consueli” byli nieźle wyekwipowani. Chata, która służyła za magazyn

zapasowych beczek, stała się solidniejsza, kiedy pozatykali wodorostami szpary w ścianach, na przeciekający dach przybili płótno żaglowe, a ze śniegu uformowali osłaniający od wiatru wał.

Przy drzwiach stała na straży dobrze zamknięta skrzynka z podręczną bronią, kolejny szaniec przeciwko niegodziwemu światu zewnętrznemu.

Wewnątrz zgromadzili górę narąbanych szczap do pieca, zapas ryb, wody i wina, a także

beczkę twardych sucharów, zostawionych szczodrobliwą ręką kapitana Coleiro, w których

robaki wyginęły z zimna. Było też sześć sarnich udźców, kupionych od półkrwi

Francuza—coureur de bois\*—z zarobków Jorgensena, i szkarłatny ser edamski, wygrany od

pewnego Holendra przez Traila, któremu udało się go oszwabić w jego własnej grze w trek.

To miało wystarczyć do czasu, kiedy demony tej ziemi, świadome swojego obowiązku,

zabiorą się do dzieła.

Indianie zjawiali się stopniowo, najpierw jak myszy badające nastrój kota, potem jak

skradający się złodzieje, ograbiając zbocze wzgórza ze wszystkiego, co pozostawiła

flotylla—resztek sieci i płótna żaglowego, przetartych lin dorszowych, szpuntów do beczek, gwoździ, zardzewiałych łap kotwicznych, butelek, złachmanionych kaftanów i spodni. Dla

takich nieśmiałych, chytrych gości, co przybywali pojedynczo lub we dwóch, uśmiechając się w dzień, skradając się nocą jak cienie, palisada nie była przeszkodą.

Właściwym jej zadaniem było zatrzymanie silnego, uzbrojonego ataku, i nikt się na nią nie wspinał od czasu głodu w roku 1700, gdy szalały wygłodzone demony, a obrońcy byli na pół

martwi z tej samej przyczyny.

Były też inne sposoby czerpania korzyści z zimowej ofiary, której kolędy chóralnym

wyciem śpiewały wilki, gnane głodem w dół zbocza — wychudłe jak duch Cezara i żądniejsze pokarmu od wygłodzonego chórzysty. Połyskując oczyma, włączyły się na skraju ciemności, gotowe rzucić się na byle strzęp skóry czy kość doszczętnie obraną z mięsa.

Ludzie w chatach nie byli w nastroju do dzielenia się czymkolwiek, poza takimi

zebraczymi odpadkami. Czasem zabijali wilka, ze strachu czy dla zabawy — a wtedy jego

towarzysze rzucali się żarłocznie na ścierwo, wydzierając z niego wnętrzności i obżerając się z rozkoszą

kanibala. Tak więc pies pożerał psa z pomocą ludzi, którzy sprawili mu ucztę w ten święty czas narodzin Zbawcy.

Pewnego ranka pod koniec stycznia, gdy wiatr wył nieustannie, a słońce nie wychodziło

nad wzgórze za ich plecami, i gdy zjedli resztkę sarniego mięsa, ubitego w kwaskowatą miazgę razem z ostatnim spleśniałym sucharem, usłyszeli za drzwiami szmer.

Był cichszy od pukania, lecz głośniejszy od zgrzytliwego odgłosu wichury. Gdy Mateusz

zaalarmował towarzyszy — z przyzwyczajenia czuwali na zmiany, a to była jego wachta —

wszyscy zamienili się w słuch. Dźwięk się powtórzył, a wraz z nim usłyszeli jakby jękliwe pozdrowienie wystękanie przez psa mówiącego bardzo pokornie ludzkim głosem: "Jestem tu.

Wpuśćcie mnie".

Co by to nie było, wilk, człowiek czy nieznany demon, to coś znajdowało się pod ich

drzwiami.

Gdy Mateusz wstał i zaczął się wpatrywać w miejsce, skąd dolatywał dźwięk, wszyscy się

ożywili, lecz na różny sposób, jak to bywało w barkasie "Numer Sześć". Jorgensen, leżący przy piecu na posłaniu ze skór, był czujny, podobnie jak Mateusz; że jednak ufał koledze bez zastrzeżeń, powiedział tylko:

— Weź lepiej pistolet. Jeżeli to któryś z tych Francuzów, to nie pozwolimy na żadne ich sztuczki! Jesteśmy tak samo głodni jak oni.

Mały Bac — już nie tłuścioch, lecz wychudły relikwiarz lepszych dni — był jak zawsze pełen

dobrej woli i gotów ryzykować. — Mateuszu, mam otworzyć? — zapytał. — Potem ty



wycelujesz w nich i odstrzelisz im łby, jak zaczną wchodzić!

Tylko leniwy Trail nie uwierzył w niebezpieczeństwo, bo nie chciał wierzyć. Od tak dawna żyli odizolowani, że żaden inny stan nie był do przyjęcia. Ze swego punktu obserwacyjnego między piecem a stosem drewna — tak aby mógł dorzucać do ognia angażując tylko jedną rękę i pół nogi — rzekł:

— Nic ważnego. Jakiś łobuz chce, żeby mu dać szczap do ognia. Niech zamarznie!

Stukanie, szmer i ciche pomrukiwanie powtórzyło się. Mateusz, stanąwszy przy drzwiach z pistoletem w pogotowiu, zawołał: — Kto tam? — A potem dodał: Qui va la? Sprechen Siei

Quem e?

Całą odpowiedzią było kompletne milczenie; tylko wiatr wył urągliwie. Potem znów zaczęło się stłumione pomrukiwanie.

Zdecydował, że nie ma się czego obawiać. Jeśli to wilk, to niepłochliwy albo chory; a jeśli człowiek, to nie próbuje ich zaskoczyć. Swobodną ręką odciągnął zatrask i otworzył drzwi.

Zamiast nacierających hord wilków ze śliną ciekącą z pysków zobaczył tylko jednego

Indianina małego wzrostu, przykucniętego na

brudnym udeptanym śniegu przed progiem i squaw za jego plecami. Jedynym zagrożeniem był podmuch lodowatego wiatru.

Obaj wlepili w siebie oczy. Ludzie indiańskiej rasy nie są skłonni do uśmiechania się i ten nie był inny pod tym względem. Chociaż spojrzenie miał czujne, brązowa kamienna twarz nie zdradzała żadnego uczucia, ani przyjaznego, ani wrogiego. Nie można było nawet poznać po nim jego wieku — mógł mieć trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat albo mniej lub więcej. Z

kobietą było tak samo; gapiła się bez wyrazu. Była w nieokreślonym wieku, miała ciemną cerę i nie była ładna — chyba tylko w oczach męża.

Oboje byli odziani w podarte skóry, na głowach mieli czapy obszyte bobrowym futrem, a na nogach zaśnieżone mokasyny. Mieli jednak rzeczy, które mogły przemawiać za nimi: na plecach ciężkie toboły, każde z nich sanki niezwykle wyładowane, a mężczyzna niósł ponadto zamazłą ćwiartkę chudej sarny.

Mateusz opuścił pistolet i w dalszym pokojowym geście wsunął go za pas. — Czy

przyszliście zahandlować? — zapytał. Indianin bez słowa podsunął mu sarninę, podchodząc tak

blisko, że prawie dotknął nią brzucha Mateusza. Na ćwiartce było dużo mięsa i

Mateuszowi, a także kolegom za jego plecami, wydała się prawdziwym darem niebios. Lecz

spojrzenie Indianina mówiło wyraźniej niż słowa, że to nie miał być żaden dar.

— Wejdźcie — rzekł Mateusz, robiąc zapraszający gest. Indianin dał znak kobiecie, która usiadła na swoich sankach. Gdy wszedł ostrożnie do chaty, Mateusz zamknął drzwi, odcinając dostęp mroźnemu wiatrowi, cierplivej kobiecie i każdemu innemu —| przyjacielowi czy

wrogowi.

Teraz Jorgensen objął przewodzenie. Zwróciwszy się do gościa we wszystkich znanych

sobie językach i nie dostawszy słowa odpowiedzi, przeszedł na język znaków. Kontrast między wielkim jasnobrodym Duńczykiem ze zmierzwioną grzywą włosów, poruszającym się majestatycznie po chacie, jak lew po leśnej przecince, i drobnym Indianinem, który siedział cichutko jak mysz — i tylko przenosił spojrzenie z twarzy na twarz, z kąta do kąta izby — mógł

wzbudzić wesołość.

Lecz im nie było do śmiechu. Byli głodni i obie zainteresowane transakcją strony zdawały sobie z tego sprawę.

Jorgensen, który musiał już kiedyś prowadzić taki handel, podszedł do sprawy

zdecydowanie. Jedną ręką łagodnie wyjął mięso z rąk właściciela i odłożył na bok, drugą wydobył z kieszeni jspodni srebrną monetę i położył ją na podłodze w zasięgu dłoni Indianina. Nie stanowiła faktycznie skarbu Krezusa ani nawet jego części, toteż nikt się nie zdziwił, gdy Indianin pokręcił przecząco głową.

Jorgensen dołożył drugą monetę, z tym samym skutkiem: sprzedawca spojrział na nią,

potem na nabywcę i odwrócił głowę.

Trail, któremu na widok mięsa zaczęła płynąć ślinka, powiedział zniecierpliwiony: —

Czemu nie bierzemy towaru? On nie jest uzbrojony. Możemy, jak nam się spodoba, wrzucić go w porcie do wody!

Jorgensen popatrzył na niego pogardliwie. — Pomyśl, zanim zaczniesz wygadywać takie

okropieństwa! Po pierwsze, nie jesteśmy ani złodziejami, ani mordercami. Po drugie, potrzeba nam więcej niż jednej łopatki, żeby się wyżywić przez pozostałe dwa miesiące zimy. Czy nie możesz spojrzeć poza czubek swojego zatabaczonego nosa? I ostatnia sprawa — ten człowiek może być przyjacielem.

— Ładny mi przyjaciel! Sam wygląda na złodzieja!

— I ty też... — Niewiele było sympatii między nimi, a Trail, który w ciągu minionych

trzech miesięcy okazał się najgorszym spośród nich, wcale sobie na nią nie zarabiał. Jorgensen wyjął trzecią monetę, położył ją na poprzednich dwóch i mocno stuknął w nią palcem. "To wszystko" — wyraził tym gestem, a jego wygląd to potwierdził.

Indianin westchnął z głębokim smutkiem, ale wyciągnął rękę i wziął monety. Wielki przyz w postaci mięsa był ich.

Cały ranek minął na takim spokojnym, rozważnym i krok po kroku prowadzonym handlu.

Za butelkę wina dostali pięknego, świeżo złowionego pod lodem pstrąga; za haki do ryb —

dzbany syropu klonowego, a znowu za pieniądze — drugą ćwiartkę sarniny; worek zboża

przyniesionego z sanek stojących na dworze dostali za siekiere bez styliska, a kukurydzę za zwój liny dorszowej.

Potem Jorgensen wziął jedną ze swoich skór bobrowych i dał do zrozumienia, że kupiłby

ich więcej. Ale towar, załadowany na sankach squaw, był lichej jakości — spleśniała skóra karibu, futro lisa arktycznego poszarpane przez wnyki, pół skóry białego niedźwiedzia

porządnie sfatygowanej i wytłuszczonej przez używanie jej jako posłania. Gdy Jorgensen

odsunął skóry odmownym ruchem, Indianin powiedział mu gestami, że wróci z innymi. Potem zapakował swój towar, pozdrowił ich podniesieniem dłoni i wyszedł, zostawiając ich z

nabytymi skarbami.

Tylko Trail był niezadowolony. — Daliśmy za dużo — jęczał, wciąż zły. — Czemu mamy

dać się oszukiwać przez jednego człowieka, kiedy nas jest czterech? Moglibyśmy

przynajmniej mieć korzyść z kobiety, żeby lepiej wyjść na tym interesie. Znam te indiańskie psy! Wydoją nas doszczętnie!

— Taka kobieta nie wyciśnie ze mnie nawet kropli potu!—odrzekł Jorgensen.

Odsunąwszy troski na wiele dni, był w doskonałym humorze — Czy zauważyliście jej rzadką urodę?

— Aha.

— No to może wam się nada. Co do mnie, nie jestem ani w kwiecie

wieku, ani tak bardzo spragniony niewiasty. Teraz... przynieś więcej szczap do pieca albo ciebie wrzucę do wody!

Tej nocy i przez szereg następnych ucztowali jak królowie. Ryby i dziczyzna były istną ambrozją. Pod ręką Mateusza zboże zamieniło się w bochny gruboziarnistego chleba, a kukurydza, utłuczona kamieniami i doprawiona do smaku melasą, w rodzaj kaszki, której żaden Szkot nie użyłby nawet na karmę dla drobiu. Niemniej jednak rozgrzewała i faszrowała żołądek. Wiatr nie był taki ostry ani mróz tak nie szczypał — a Trail nie był taki odpychający — gdy brzuchy mieli pełne, a jutro zapewnione.

Dziesięć dni później Indianin wrócił ze świeżą żywnością i ładunkiem skór. Jorgensen wziął sześć za proch, naboje do muszkietu i wino, chociaż nie były takiej jakości, jakiej sobie życzył. Młodziutkiego bobra, piżmoszczura, nie znamionowanego lisa i królika, lśniącego futro foki i białego niedźwiedzia, grube i miękkie jak wschodnie poduszki — takiego towaru pożądał potomek wikingów... Ale Indianin został ich oddanym przyjacielem. Między sobą nazywali go Siedzącą Myszą, bo kucanie było jego stałą pozycją.

Z upływem tygodni Siedząca Mysz, który stał się ich ulubieńcem, okazał się ich zgubą.

Drugi obcy, który zastukał do nich na początku marca, był — jak się okazało po otwarciu drzwi przez Jorgensena, akurat trzymającego straż — żywym obrazem coureur de bois, jednym z Francuzów o mieszanej krwi, jakich wielu zatrudniało się jako traperzy, przewodnicy,

wioślarze kanu, zwiadowcy i handlowi posłańcy na całym obszarze Wschodniej Kanady.

Ubrany był, zgodnie z mądrym zwyczajem, jak Indianin, chociaż, czując się kimś lepszym, przydał swej odzieży pewnych cech wyrafinowania. Skórzany kaftan przyozdobił frędzlami i chwastami; na głowie nie miał zdobnego w pióra plemiennego nakrycia, lecz czapkę z futra szopa z ogonem zwisającym na plecy. Barwny pas z koralików i kolców jeżozwierza służył do przytrzymywania zakrzywionego sztyletu. Raki\* z pasów bobrowego futra na szerokiej ramie z drewna świerkowego uzupełniały ubiór świadczący o pewnym lokalnym splendorze.

Wszedł grzecznie po otwarciu drzwi przez Jorgensena i odezwał się z pewnym siebie uśmiechem:

— Bon jou'. Jestem Pierre Dulac, coureur de bois| a vot' service\

Twarz czujna i zuchwała, a równocześnie przebiegła, jak u Cyga- na-domokrażcy, zawsze

gotowego coś zyskać za nic, była chyba bardziej pospolita niż strój. Smagłe policzki wciąż nosiły ślady tłustego smarowidła, odstraszaającego latem czarne muchy. Mieli przed sobą

człowieka mogącego odegrać każdą rolę dla dogodzenia swojej kompanii.

Przyglądając mu się ostrożnie Jorgensen zapytał: — Jakież to usługi?

Jak zrobiłby to każdy przyzwoity człowiek, Dulac odparł wprost:

— Szukacie skór i futer? Mam najładniejsze!

Było to całkiem prawdopodobne i Jorgensen, wciąż żądny zdobycia tego towaru, stał się mniej ostrożny. — Wejdz — odparł. — Nie zaszkodzi pogadać.

Pierre Dulac wmaszerował do chaty uśmiechnięty i pewny siebie.

— Bon jou\* la compagniel — zawołał dźwięcznym głosem, oczyma już lustrując każdą nową twarz, każdy kąt izby, każdą obietnicę zysku lub jej brak. — Pierre Dulac, coureur de bois. —

Od razu jednak zwrócił się do Jorgensena, jak wędrowny domokrążca zwraca się do karczmarza, człowieka z pieniędzmi i władzą. — Co do skór i futer, to mam najlepsze — powtórzył. — Czego ci trzeba?

Jorgensen nie chciał być poganiany. — Skąd się dowiedziałeś, że szukam czegoś?

Dulac wzruszył ramionami i rozłożył ręce. — Jak człowiek dowiaduje się o czymś?

Słówko par ci et par la... Jeśli rzecz traktujesz poważnie, to chodź do mego magazynu. Za jednym zamachem możesz stracić fortunę — i zrobić drugą.

Mateusz, obserwujący tę scenę, zapytał: — Nie możesz dostarczyć ich tu?

— Jest tego za dużo. — Dulac nie ośmielił się zachowywać pogardliwie, lecz jego ton

wykluczał Mateusza z tej transakcji. — Mówimy o... być może pięciuset, a nawet o tysiącu waszych funtów. Musisz przyjść i wybrać — rzekł do Jorgensena. MjNiemniej jednak

przyniosłem coś dla pokazania.

Zza pazuchy wydobył wspaniałą skórę białego lisa, gładką i lśniącą jak księżyc w pełni.

Przyciągnęła wzrok wszystkich, a Jorgensen z trudem ukrył zainteresowanie. Pochylił się do przodu i dotknął futra. Było niezrównane i od razu zdał sobie sprawę, że to jest to, czego szukał.

— Jeśli masz więcej takich Ilj rzekł — możemy zahandlować.

— Bien\ — Dulac zwinął futro, schował je pod kaftan i przeszedł do sprawy trudniejszej.

— Co możesz zaoferować?

— Pieniądze, rzecz jasna.

— Ile? Jeśli mogę zapytać.

Jorgensen zbył temat krótkim: — Wystarczy.

— Mais naturellement.... Ale... złote monety?

— Jak będzie trzeba.

— Mógłbym też wziąć pod uwagę — Dulac ciągnął tonem lekkiej wyższości — naboje do muszkietów, proch, strzelby albo pistolety,

wino, haki na ryby i skrawki żelaza. Ale ważne jest złoto. Chociaż nie powiem “nie” na srebro... Idziesz ze mną?

Mimo pokusy Jorgensen uznał tempo tego handlu za zbyt szybkie. — Zastanowię się...

Wróc w południe, otrzymasz odpowiedź.

Dulac, człowiek z ręką do interesów tak lekką jak skrzydło motyla, zamiast odpowiedzi pozwolił sobie na wypowiedziane szeptem dwie zachęcające aluzje:

— Entendu... Tak czy owak mam się tu spotkać z kimś jeszcze... Powinienem ci także

powiedzieć, że w magazynie mam dziewczynę, też wartą obejrzenia... Może raczej należałoby rzec: dotykania?

— Jak daleko stąd jest ten skład? — zapytał Jorgensen.

. — Deux milles. Przechadzka, une petite promenade\*, nic więcej. A więc do południa.

Gdy wyszedł, żegnając wszystkich uśmiechem szerokim jak tęcza, zaczęli dyskutować o gościu i o jego ofercie. Jorgensen był bardzo podniecony, Mateusz doradzał ostrożność;

według Traila był to łotrzyk “chytry jak małpa”, a mały Bac chciał od jutra być coureur de bois

— i koniecznie w takim samym ubraniu.

— Widzieliście jego sztylet? — wołał z błyszczącymi oczyma. — Może obdarł nim ze skóry białego niedźwiedzia!

— Albo białego człowieka—odezwał się zgryźliwie Trail.—Wcale nie miałbym do niego zaufania.

Mateusz uznał, że musi poważniej ostrzec przyjaciela. — Ci coureurs—rzekł—wiemy, jaką mają opinię. Niektórzy są dobrzy, inni źli. A jeszcze inni i tacy, i tacy. Sprytny traper albo doświadczony przewodnik może okazać się złodziejem albo zdrajcą, jak mu się nadarzy okazja. Więc... nie trzeba im ufać. Powiadam, idź i obejrzyj skóry. Idź dobrze uzbrojony. Kłóć się o cenę. Potem wróć i przemyśl sprawę.

— Nie mogę powiedzieć — odparł Jorgensen — czy ufam temu człowiekowi, czy nie. Nie znam go! Znam tylko kogoś innego... tego, co przyszedł tu pierwszy i sprzedał nam mięso sarny, sześć ćwiartek, po przyzwoitej cenie. Co do tego nie ma wątpliwości.

Na to Trail: — Może nastreczałby je właściciel.

Jorgensen odwrócił się do niego. — Nie wszyscy są tacy jak ty, ty... ty brudny pokurczu!

Jeśliby mięso było kradzione, to byśmy nie dostali go więcej. Czyli że handel był uczciwy. I ten będzie taki. Widziałeś tę skórę, co miał ze sobą? Zupełnie jak aksamit! Jeżeli ma więcej takich, to je kupię.

— A co z dziewczyną?

— Jaką dziewczyną?

— Tą, co ci proponował.

— Co ma być? Jeżeli osłodzi transakcję, czemu miałbym powiedzieć nie? Ja chcę futer.

Trail zachichotał. — Założę się, że ona ma też ładne futerko.

— Dosyć tego! — przerwał Mateusz. Zaczęli zachowywać się dziecinnie, a tu nie chodziło o dzieciadę. Zwrócił się znowu do Jorgensena: — Jest inny sposób. Nie bierz ze sobą pieniędzy. Obejrzyj skóry i wybierz. Potem każ mu, żeby przyniósł je tutaj i wtedy mu zapłacisz.

Ale Jorgensen był zbyt rozgorączkowany, żeby zwlekać. — Nie, chcę mieć je bezpiecznie

tu, pod naszym dachem, zanim sprzeda je komu innemu. Zapłacę od razu i zabiorę je ze sobą.

— Jeden dzień to niewielka strata.

Jorgensen odparł: — To mój interes i załatwię go po swojemu.

Na tym dyskusja się skończyła.

W południe nadszedł Pierre Dulac i czekał u bramy palisady. Mateusz pożegnał przyjaciela. Po jakiejś godzinie doszedł do wniosku, że Jorgensen rozumował słusznie.

Widzieli niebezpieczeństwa tam, gdzie ich wcale nie było. Duńczyk mógł zabrać ze sobą worek złota albo toból z rzeczami na handel. Ale miał też parę pistoletów i umiał się nimi posługiwać.

— Bądź ostrożny — przestrzegł go Mateusz. W mroźnym powietrzu ich chłodne oddechy mieszały się i zamieniały w małe chmurki. Chociaż słońce już się pokazało nad szczytem wzgórza, nie było jeszcze w stanie ogrzać i ożywić tego świata. — Masz w zapasie trochę snu.

Czasem ogłuszałeś nas chrapaniem. Wyciągnij teraz z tego korzyść.

Jorgensen był w doskonałym humorze. — Nie będę ani spał, ani chrapał — obiecał. — Ta dziewczyna nie da mi zasnąć... Ale jak nie wrócę jutro do południa, idź mnie szukać.

Obiecujesz?

Mateusz kiwnął potakująco głową i tak się rozstali. Patrzył za dwoma postaciami, wysoką i małą, kroczącymi po leśnej drodze między nagimi, obciążonymi śniegiem srebrzystymi

brzozami. Potem znikli, zostawiając za sobą zimną ciszę i załogę pomniejszoną o dużo więcej niż jednego człowieka.

Chociaż Mateusz nie obawiał się o przyjaciela, poczuł się osierocony. Obaj się polubili; nie jak bracia syjamscy, lecz jak mężczyźni absolutnie sobie ufający, scementowani koleżeństwem i pogodnym usposobieniem.

Jorgensen nie wrócił przed nocą, ale Mateusz jeszcze się nie zmartwił. Zima to zły okres do wędrówki zarówno dla myszy, jak i dla ludzi. Jeśli handel przebiegał wolno, a potem

dziewczyna była żwawa jak rtęć, to nikogo by nie zdziwiło, że dzień przeciągnął się do nocy.

Spał spokojnie i nawet gdy się obudził o szóstej, ze wschodem słońca,



a w chacie wciąż brakowało człowieka, którego pragnął widzieć, zamiast obaw, odczuł tylko samotność.

W miarę posuwania się dnia zaczął się niepokoić. Ze dwanaście razy wychodził z chaty obserwować słońce nad grzbietem wzgórza—ale nic nie zobaczył. Na zewnątrz mieli wiosło zatknięte w śniegu na sztorc i głąz umieszczony od strony północnej dla oznaczania pory południa. Gdy blade cienie zaczęły pełznąć ku szczytowi tej dziecinnej tarczy zegara słonecznego, Mateusza zaczął nękać strach.

Jorgensen powiedział “południe” i miał na myśli południe. Wiedział lepiej od wielu innych, jak rządzi marynarzem zdecydowany upływ czasu — czasu zegarowego, czasu wyznaczonego, czasu zmarnowanego, czasu, który mija bezpowrotnie. Słowo “południe” z pewnością utkwilo w jego mózgu, tak samo jak w Mateusza, i nie omieszka przyjść na umówiony czas.

Gdy nadeszło południe i cień przeszedł nad gładem i musnął poza nim zdeптany śnieg, Mateusz wiedział, że musi wyruszyć.

Wrócił do chaty, gdzie siedział Trail ze wzrokiem utkwionym w piec, jakby się buntował, że pochłania więcej drewna, sprawiając, że on, Trail, będzie musiał ciężiej pracować; a Bac, ten dzieciuch, rozpuszczał śnieg w żelaznym kociołku na codzienną porcję wody. Rozcierając dłonie dla rozgrzewki Mateusz czekał. Nikt nie podzielał jego obaw i to go rozgniewało.

Powiedział:

— Już jest po południu, a on nie wrócił.

Trail przesunął wolno spojrzenie na niego. — Czy spodziewałeś się go co do minuty? Ma coś lepszego do roboty.

— Spodziewałem się, bo obiecał. Musimy iść go poszukać.

— T y idź — odrzekł Trail. — Ja mogę czekać. Albo handel szedł wolno, albo kobieta nie była szybka. Tak czy owak, ma swoje przyjemności. Nie będę stawał mu na drodze.

Bac przerwał swoją robotę i słuchał patrząc na nich. Mateusz próbował opanować złość, która jednak nasiliła się po tej nieczułej odpowiedzi.

— Mimo wszystko musimy iść go szukać. Obiecałem.

— Ty obiecałeś.

— Nie pójdziesz ze mną?

— Jak dasz mi dobry powód.

— Jest naszym towarzyszem!

Trail zaśmiał się szyderczo. — Pomocnik kapitana, Manoel, też był. Poszedłbyś go szukać?

Ja nie zrobiłbym dwóch kroków, gdyby padł trupem na kupie gnoju!

— Jorgensen jest naszym kompanem tutaj. Jest w kłopotach.

— Albo w gorączce. Może dziewczyna była warta więcej niż jednej nocy i on opóźnia powrót, żeby znowu sobie użyć.

— Mówisz jak handlarz żywym towarem.

Trail spojrział na niego świńskimi oczkami.

— Jesteś o nią zazdrosny?

Mateusz nie posiadał się z wściekłości.—Jeszcze jedno takie słowo, a jesteś trupem!

Bac, pchnięty strachem czy odwagą, odezwał się nagle:

— Ja pójdę z tobą, Mateus!

Mateusz odetchnął z ulgą, — Proszę bardzo. Przynajmniej będziemy mieli jednego mężczyznę.

Zapadło zapiekłe milczenie, w którym konflikt wrzał zduszony jak potrawa na wolnym ogniu. Lecz Mateusz, choć ogarnięty gniewem, był jednocześnie pełen wątpliwości. —

Musimy go poszukać — rzekł. I nalegał na to, ale gdzie mają go szukać? Jorgensen poszedł ścieżką w górę po zboczu wzgórza i znikł. W jakim kierunku? Dulac mówił, że skład jest w odległości dwóch mil. Ale czy naprawdę? Czy to były dwie mile, czy dwadzieścia? I czy ten skład istniał rzeczywiście? Kto będzie wiedział albo kto zgadnie?

W świecie pytań bez odpowiedzi milczenie trwało dalej. Ale potem zostało przerwane przez ten sam świat zewnętrzny. Rozległo się stukanie w drzwi, delikatne, lecz alarmujące.

Bac zawołał: — To on! Wrócił!

Mateusz podbiegł szybko do drzwi i otworzył je. Ale nie był to Jorgensen ani nikt jego wzrostu. To był ich mały indiański sprzymierzeniec, Siedząca Mysz.

Siedząca Mysz, we własnej osobie, stał przed nimi milcząco, z twarzą pozbawioną wyrazu.

Jeśli przynosił wiadomość, nie dawał tego po sobie poznać. Jeżeli przyszedł pohandlować, to przyszedł z pustymi rękami. Mateusz, wiedząc, że słowa na nic się nie zdadzą, rozłożył pytająco ramiona.

Siedząca Mysz odpowiedział w jedynym wspólnym języku. Wskazał palcem na Mateusza, potem na siebie, odwrócił się i pokazał na wzgórze za ich chatą. Mogło to tylko znaczyć: “Chodź ze mną”.

Mateusz kiwnął głową, że się zgadza. A wtedy nastąpiła największa niespodzianka, jaka ich spotkała tej zimy. Po raz pierwszy usłyszeli Siedzącą Mysza mówiącego:

— Chodź z sankami.

Zdumiony Mateusz zapytał: — Czemu? Po skóry?

Indianin nie odpowiedział wprost. Nie było wiadomo, czy zrozumiał pytanie. Po chwili powtórzył: — Chodź z sankami.

Nie było wiadomo, ale — znów po raz pierwszy — na jego twarzy pojawił się cień mówiący, że wie wszystko.

Zanim odszedł z chłopcem i Myszą, Mateusz podszedł do Traila i kopnął go mocno w tyłek. Gdy Trail zwrócił na niego zdumione oczy, Mateusz obrzucił tchórza piorunującym spojrzeniem.

— To żebyś pamiętał — rzekł chrapliwym głosem. — Gdyby brakowało czegokolwiek, kiedy wrócę, wyrzucę cię żywego lub martwego. Tego możesz być pewny!

Mateusz Lawe czuł, że nigdy nie zapomni tej drogi ani jej przerażającego końca; jednego razu, opowiadając o tym później, dodał: “Nawet gdybym dożył stu lat”, i w tym samym momencie uprzytomnił sobie gigantyczny, ohydny żart, który uczynił z niego podwójną igraszkę losu.

Jedni bogowie musieli się śmiać, podczas gdy inni kontynuowali swoją czujną zemstę i będą to czynić wiecznie. Jeśli miał dożyć stu lat, to teraz był jakby jeszcze nie narodzony.

Siedząca Mysz, ich zaufany przewodnik, szedł przodem; za nim kroczył mały Bac z całą energią młodości i niewinnością, która jeszcze nie zgłębiła groteskowego zła świata dorosłych; Mateusz ciągnący sanki był ich tylną strażą: uzbrojoną, gniewną i czujną.

Była to najdłuższa droga przebyta w minionych sześciu miesiącach, przez lasy, które stały milczące i apatyczne pod ciężarem lodu w oczekiwaniu na wiosnę. Stąpając po skrzypiącym śniegu posuwali się z trudem przez dwie godziny albo dłużej. Nic się nie zmieniało, nic się nie poruszało, nic ich nie witało ani nie zamykało im drogi; a jeśli byli obserwowani, przez wilki albo ludzi, demony czy anioły, to te oczy były niewidoczne, a oddech niesłyszalny.

Zauważył, że Siedząca Mysz nie rozglądał się wokoło ani nie pilnował się przed wrogami.

Szedł znaną mu ścieżką i cierpliwość, z jaką posuwał się przez milczący las, zdawała się mówić: "Nie bójcie się niczego. Jesteśmy sami". Mateusz mógł obawiać się tylko pułapki, toteż starał się być czujny. Lecz wewnątrz coś mu mówiło: "Jestem dzieckiem w tych lasach, jak Bac, jak świeżo opierzone ptaszę, jak najmłodszy, nowo narodzony lis, zając albo jelen".

Jeśli będzie to pułapka, to musi okazać się mocniejsza ode mnie".

Martwy las zamykający się wokół nich, jakby dla sprawdzenia ich odwagi, wreszcie otworzył się polaną. Na jej przeciwległym końcu, obwałowany śniegiem, stał indiański wigwam, największy, jaki Mateusz oglądał, wykonany z kory brzozonej i skór rozpiętych na szkielecie z pali. Gdy dotarli bliżej i przystanęli, Siedząca Mysz gestem zaprosił ich do wejścia.

Mateusz rzekł do Baca: — Wejdz ze mną — i odsunawszy na bok zasłonę schylił głowę, żeby wejść. Trzymał w pogotowiu swój pistolet, ale ani ciało, ani dusza nie mogły być przygotowane na to, co ujrzał, gdy tylko oczy przywykły do panującego wewnątrz mroku.

Wigwam, o podłodze z ubitej ziemi, był pusty jak jaskinia, bez śladu sprzętów. Jeśli używano go jako składu, to teraz był obrabowany albo padł ofiarą bankructwa. Była tam tylko jedna rzecz, i to

była rzecz — rzecz straszna. Przed oczyma mieli ładunek dla ich sanek.

Duńczyk Jorgensen leżał w śmiertelnym pohańbieniu na legowisku poczerniałym od jego zakrzepłej krwi. Leżał na plecach, w ostatniej pozycji pokonanego, nagi i wystawiony na zimno i

łaskę swych nieobecnych w tej chwili wrogów. Był pocięty, pokrajany czy porąbany siekierą, z tysiącem ran dużych i małych — wymierzono rytualną śmierć białemu

człowiekowi, który wpadł w ręce demonów tego kraju.

Złamał ich prawa, toteż połamały jego ciało i wypłyły jego krew.

Mateusz, z drżącym dzieciakiem u boku, z trudem mógł znieść widok człowieka w jego

ostatniej męce. Rozcięty nos, zdarty skalp, wyszarpnięte mięśnie klatki piersiowej, żarłocznie pogryzione genitalia — wszystko to mówiło o świadomym akcie zemsty. Jego kaci musieli

mieć dobrą zabawę, wykonując swe zadanie, i spełnili je z najwyższą satysfakcją.

Jak dzieci obrywające muchom skrzydełka dla zabawy, tak dzielni Indianie wyrywali życie z tego żywego człowieka, a ich kobiety szarpały i niszczyły znieawidzone przez nie dominia.

Z jego intymnych części ostała się tylko krwawa pyta.

Patrząc na zmaltretowane szczątki swego przyjaciela Mateusz zawołał: — Dobry Jezu! —

Mały Bac poczuł mdłości i odwrócił się, wymiotując na okrutną ziemię. Mateusz, w lęku i furii, chciał krzykiem wzywać pomocy, ale co mógł zdziałać krzyk człowieka w bezludnym

lesie w obecności jednego słuchacza — indiańskiego przewodnika,, który nie mógł albo nie chciał zrozumieć?

Gdy znalazł się na zewnątrz wigwamu, rzutem oka wokoło stwierdził, że i jego pytania, i cel, dla którego wyszedł, były daremne. Nie zobaczył niczego, poza dziewiczo białym

śniegiem, oblodzonymi drzewami i pełną winy ciszą.

Siedząca Mysz znikł. Był i już go nie ma. On także był Indianinem.

Wróciwszy do kłującego chłodu tego namiotu śmierci Mateusz zastał Baca przykucniętego

i roztrzęsionego. Lecz w chłopcu był duch, który odżył w tym bolesnym momencie.

— Przepraszam, Mateus — rzekł pokornie. — Nie potrafiłem się opanować.

— Nie myśl o tym, chłopcze — odrzekł Mateusz. — Nie możesz mieć jeszcze żołądka

mężczyzny. Cóż mężczyzna mógłby począć wobec takiej masakry?

— Ale co my zrobimy?

— Wrócimy do domu. I zabijemy każdego, kto stanie nam na drodze.

Bac spojrział w ciemny kąt, gdzie leżało straszliwe brzemię. — Co z nim?

— Zabierzemy go ze sobą i pogrzebiemy. Nic innego nie można zrobić. On odszedł.

Trzeci głos rzekł: — Ty psie... kłamiesz!

To z krainy śmierci przemówił Jorgensen albo jego dzielny duch. Żywy głos powinien być radosny, ten jednak był okropniejszy od wszystkiego, co tu zobaczyli. Ich twardy towarzysz, o głębokim głosie, odarty z człowieczeństwa, mógł teraz tylko skrzeczeć.

Mateusz, bliski płaczu, uklęknął i pochylił się nad przyjacielem. — Na Boga, ty żyjesz! —

szeptnął. Blade powieki zamrugały, lecz i one były pocięte, jak inne części ciała Jorgensena, a nieznośny ból wydarł z niego ten sam straszny pisk nietoperza.

Mateusz uspokajał go łagodnie jak niemowlę, którym się stał. Było rzeczą jasną, że musi umrzeć, ale mógł przynajmniej umierać w domu, w ciepłe własnego ogniska, jeśli ruszą zaraz.

Krzyknął na Baca: — Przynieś sanki. Potem zerwij trochę skór, żeby go przykryć. Musimy

szybko ruszać. — Gdy Bac rzucił się śpiesznie wykonać polecenie, Mateusz rozejrzał się za tobołkiem Jorgensena i woreczkiem złota, ale wszystko znikło, jak Siedząca Mysz, jak

obiecane futra i sam przeklęty Dulac. Głosem wezbrany gniewem zawołał: — I spodziewam

się, że spotkam kogoś, kogo będę mógł zabić! — nim zaczął delikatnie przygotowywać

przyjaciela do ostatniej ciężkiej próby.

Gdy o zmroku przybyli do chaty w przystani, po wędrownie nierówną drogą tak ciężkiej, że Jorgensen nie miał nawet siły skrzeczeć z bólu, zastali lodowatą pustkę, jak w leśnym

wigwamie. W chacie było ciemno, w piecu leżał wygasły popiół i panował większy ziąb niż na zewnątrz, w zimowym wietrze.

— Trail! Gdzie jesteś? — zawołał Mateusz, rozglądając się w mroku. Nie było

odpowiedzi, a jedno spojrzenie wystarczyło do odkrycia, że ich zapas żywności się skurczył.

— Przeklęty pies! — warknął Mateusz, do głębi rozwścieczony. — Uciekł! — Potem

opanował gniew. Będzie dosyć czasu na sprawdzenie, co stracili, gdy ogrzeją Jorgensena i otoczą go opieką. Na razie wiadomo było, że żyje, bo strasznie dygotał z zimna.

Leżał na swym wyrku, a oni długo próbowali rozpalić ogień. Trzęsącymi się rękami Bac

ustawił stosik z drewna w wyziębionym piecu. Iskra z krzesiwa skoczyła na suchą hubkę z kory, z

hubki ogień ogarnął nasyconą olejem perkalową szmatę, szmata została

rozdmuchana w płomynek, a z płomyczka w liżący drewno płomień — mozolne zadanie,

które wydawało się wyścigiem z samą śmiercią, powoli, jak zimowa noc, posuwało się

naprzód.

Ale przed świtem mieli rozżarzony piec, przytulną izbę i cienką zupkę ze skrawków mięsa i skórek chleba, którą można było delikatnie podać do odrażających ust. Umierający człowiek przy

najmniej się rozgrzeje, zanim wpadnie w najostatniejszy lodowaty uścisk.

Jorgensen ociągał się z odejściem trzy dni. Ale nie cierpiał coraz bardziej; przekroczywszy próg bólu, zsuwał się wolno w dół ku Boskiemu dobrodziejstwu niepamięci. Stracił całą krew, jaką miał. Zniósł całe zimno, wytrzymał wszystkie rany, na których wytworzyły się strupy, dzięki czemu w sposób tajemniczy ciało ludzkie potrafi się pozrastać.

Już się poddawał, ale po chwili, urywanym szeptem, którym, zawstydzony, maskował jęki

i piski, ciągnął dalej swoją opowieść.

To był podstęp, zwykły podstęp. Pierre Dulac rzeczywiście miał skład futer, ale dalekich od jakości tych, jakimi się przechwalał. Gdy Jorgensen zażądał innych, Dulac zapewnił, że będą następnego ranka. Ale tymczasem...

Tymczasem dostarczono obiecaną dziewczynę i po zapadnięciu zmroku zaczął się inny

handel. Była to Indianka, młoda, silna, uległa i ładna — przynajmniej w oczach mężczyzny, który nie oglądał kobiecych kształtów od pół roku. Położyła się z uśmiechem; Jorgensen

pośpiesznie się rozebrał. Ledwie wszedł w nią, gdy ktoś wkroczył do ich schronienia.

Nagle wigwam wypełnił się mężczyznami, krzyczącymi, śpiewającymi monotonie,

podsycającymi w sobie odwagę. Tłoczyli się mając w pogotowiu noże, siekiery i gołe pazury; gdy Jorgensen chciał się podnieść, dziewczyna złapała go za szyję i udaremniła jego zamiar.

Skrepowano mu nogi, potem ręce; Dulac pojawił się raz jeszcze, żeby zabrać swą żalosną

przynętę i ukraść wszystko, co Jorgensen przyniósł na handel; a potem zaczęła się śmiertelna uczta.

Wieczorem trzeciego dnia to, co zostało z jego biednego ciała, zaczęło stygnąć i ani ogień, ani łagodne słowa, ani miłość i żal nie mogły przywrócić mu życia.

Gdy nadszedł koniec, mały Bac zalał się łzami, a Mateusz stwierdził, że i dorosły

mężczyzna może płakać — a potem zbudzić się do gniewnego działania. Z klepek i drewna

wyrzuconego na brzeg zrobili prostą trumnę. Lecz udreżone ciało nie mogło mieć grobu;

ziemia była jeszcze twarda jak skała i nigdy nie ustąpiłaby przed jedynym ich narzędziem do kopania — łopata do solenia z "Consueli".

Zresztą w ostatniej chwili Jorgensen szepnął o pochowaniu go w morzu. Można to było

zrobić — dla oddania mu honoru.

Wywlekli więc trumnę, ustawili u węgła chaty, nagarnęli na nią dużo śniegu, dla ochrony przed wilkami, lisami i... Bóg wie jeszcze czym apetytem w tej dzikiej, głodującej krainie?

Może nawet ludzi? Tam Jorgensen musi spać aż do wiosny.

— Gdybyśmy mieli księdza — szepnął Bac, gdy znów zostali sami. Księdza.

V

Tego smutnego roku wiosna przyszła późno i powoli. Minęło jeszcze siedem tygodni,

zanim bezlitosna zima zluźniła swój uścisk i późne kwietniowe słońce mogło ogrzać i ziemię, i krew. W ciągu tych siedmiu tygodni skurczone gospodarstwo mężczyzny i chłopca musiało

przetrzymać uwięzienie, niedostatek i strach; a nękający ich okrutny głód i chłód sprawiał, że mieli wrażenie, iż Bóg powstrzymał nadejście wiosny do czasu, aż w Jego trzodzie pozostaną sami święci — którzy też musieli być tytanami mocy.

Głodowali i żyli. Zdrajca Trail ograbił ich ze wszystkiego, co było najlepsze z zapasów, lecz istniała granica ciężaru, jaki złodziejaszek mógł unieść w jednej potajemnej podróży, toteż to co zostało, wystarczyło na dziesięć dni skąpego jedzenia.

W ciągu tych dni skończyło się pół worka kukurydzy; jedyny udziec sarni został objedzony z mięsa do nagiej kości, z której wyssali szpik; ryba o białym mięsie, przyniesiona przez Siedzącą Mysz w zwykłych dniach przyjaźni, chociaż podgniła, została też zjedzona; potem wyjedli, co miała w brzuchu, aż został sam smród, gdy z ościstego kręgosłupa gotowali zupę.

— Co teraz, Mateus? — spytał Bac, gdy podgrzali jej resztkę na śniadanie następnego

dnia. Wysoki i chudy, z wynędzniałą twarzą, ten tłusty kiedyś chłopak zmienił się w stracha na wróble z rozdziawionymi ustami. — Jak znajdziemy jedzenie?

— Nie wiem — odparł Mateusz i jeśli mówienie prawdy mogłoby zrobić z niego jednego

z bożych pomazańców, to zasłużył na miejsce wśród wybranych. — Będziemy myśleć o tym.



Ale niewiele było do myślenia ani do robienia. Miał pistolet i muszkiet zamknięty przed Trailem, nie było jednak do czego mierzyć; jeśli na wzgórzach wokół portu żyła jeszcze jakaś zwierzyna, była pogrążona we śnie albo, zakopana w śniegu, czekała na jego stopnienie. Od zamordowania Jorgensena nie było żadnego handlu z Indianami, może z powodu ich poczucia winy czy może dlatego, że wędrowną banda, przeżywszy swój krótki triumf, przezornie

przeniosła się gdzie indziej.

Nie było też sensu apelować do innych. W tym osiedlu wyrzutków głodowali wszyscy i

kryli się jak jelenie i lisy, aż miną udręki zimy. Nic by im też nie dała desperacka kradzież albo szturm na inną chatę;

mężczyzna z chłopcem nie dali by rady większej grupie, a gdyby cudem zwyciężyli w walce, nie mieliby czym się cieszyć.

Głodowali więc przez trzy dni, żując skrawki brzozonej kory, ssąc mech zebrany z pni

drzew i przygotowując wieczorny posiłek z wodorostów i wody ze stopionego śniegu. Obaj, mężczyzna i chłopiec, wychudli; oczy mieli wpadnięte, głodni byli jak wilki, a przy życiu trzymała ich tylko wzajemna obecność i ciepło pieca. Potem Mateusz, wyszedłszy o

zmierzchu, zauważył i zastrzelił zająca, też zgłodniałego, który zabłąkał się w ich zagrodę; i znowu mogli się najeść.

Ucztowali jednak po trochu, zjadając mięso z tego zagłodzonego stworzenia przez sześć

dni, z kaszą kukurydzianą, gotując zupę z krwią i bez krwi. Z kości utłuczonych na miazgę między dwoma kamieniami otrzymywali najnudniejszy posiłek biedaka.

Potem znowu głodowali, aż któregoś ranka, gdy Mateusz, zrozpaczony brakiem jedzenia,

postanowił wyruszyć z chaty, aby zabić człowieka dla zdobycia mięsa z jego pośladek,

wychodząc znalazł na progu cudowny dar nocy — wielki płat mięsa z wieloryba, morsa albo foki, długości czterech stóp i szerokości stopy, zmrożony, tłusty i nic nie kosztujący.

Obok tej cudownej niespodzianki leżało coś, co dawno temu Jorgensen pod wpływem

dobrego humoru dał Siedzącej Myszy, dla przypieczętowania transakcji: miedziana moneta z wyłoczonym na niej wizerunkiem świętego Anskara.

— Wielki duński święty — pysznił się Jorgensen przed niewierzącymi przyjaciółmi. —

Jeśli nie słyszeliście o świętym Anskarze, to wam współczuję.

Współczucie, moc i miłość tego wielkiego świętego nie zostały wykazane bardziej

wzruszająco w ciągu tysiąca lat pobożności.

Pewnego radosnego ranka, w dniu świętego Jerzego, patrona Anglii — o czym nie wiedzieli biedni wygnańcy — Mateusza i chłopca obudził dźwięk, drażniący i zagadkowy, który zamienił się w wezwanie tak głośnie, jakby nad ich głowami rozdzwonił się jakiś wielki dzwon. A przecież była to najłagodniejsza melodia w przyrodzie. Obudziła ich bowiem pierwotna pieśń ziemi, pierwsze nieśmiałe nuty muzyki wiosny, melodia topniejącego śniegu, ściekającego wreszcie z okapu ich chaty na uległy grunt.

Dożyli, żeby ją usłyszeć! Nie mogła jeszcze napełnić im brzuchów, lecz sprawiła, że ich serca zaczęły bić jak oszalałe. Jeśli pokonali zimę, to pokonali wszystko.

Po trzech dniach znaleźli się już w nowym świecie ciepła i nadziei. W miarę jak słońce wspinało się po nieboskłonie niby budzący się gigant, resztki lodu znikwały z powierzchni wód portowych, a tuman

mgły, która zajęła jego miejsce, wessało ciepło późnego poranka. Ludzie przez długi czas obcy sobie nawzajem, zaczęli wychodzić albo siadać w słońcu i wygrzewać swe kruche kości.

Ciurkający strumyk stał się potoczkiem, nad którym mały, nastroszony ptaszek — szalony, gdy go brać osobno, a mądry w skali świata — przysiadł na nagiej gałązce i śpiewał pochwalną pieśń.

W chacie Mateusz wyjął nóż, żeby odciąć kilka skrawków z resztki wielorybiego mięsa, daru świętego Anskara i jego sługi, Siedzącej Myszy, do garnka trzymanego w pogotowiu przez Baca. Ciął ostrożnie cienkie kawałeczki, bo za wcześnie było jeszcze na rozrzutne szafowanie tym zapasem, ale nie musi się iść do więzienia, żeby marzyć o wolności.

Teraz czekali tylko na powrót flotyli rybackiej i na niesioną przez nią obietnicę wspaniałej solonej wieprzowiny, smakowitych, oblaźłych robactwem sucharów, sera, wina i małych

pomarańczy... Zanim jednak spadnie z nieba ta manna, mają do spełnienia obowiązki, smutny obrządek, pożegnalny rytuał.

Odczekali do chwili, łatwej do określenia przez oko marynarza, gdy odpływ nasilił się dostatecznie, żeby trzymać z dala wielką zachodnią falę atlantycką i oprzeć się wiatrowi od morza. Wtedy pchnęli w nurt Przesmyku zrobioną z bali tratwę, z umieszczoną na niej obciążoną kamieniami trumną, i zeskoczyli na brzeg, zrywając w ten sposób ostatnią więź

między żywymi i zmarłym.

Tratwa z uroczystym ładunkiem, wolno porywana przez prąd, zaczęła dryfować ku morzu.

Zaczepiła o skałę i przystanęła niezdecydowanie, przytrzymywana przez wodorosty, lecz po chwili uwolniła się, aby kontynuować spokojną podróż — najmniejszy na świecie wikingowy pogrzeb i najsmutniejszy.

Bac, obserwujący z Mateuszem posuwanie się tratwy, zaniepokoił się.

— Mateus, jak ona spłynie?

— Z odpływem.

— Nie, chodzi mi o...

Mateusz wiedział, o co chodziło chłopcu i dzieląc jego żal, wyjaśnił mu dokładnie:

— Jak tratwa znajdzie się na otwartym morzu, zacznie się kiwać. Tutejsze wody są burzliwe; sam to widzisz. Trumna przechyli się, ześlizgnie i zatoni i na tym będzie koniec.

— Biedny Jorgensen.

Mateusz westchnął. Rzeczywiście, biedny Jorgensen... Ale prawdziwe łzy zostały wylane, żałoba minęła i przyszła wiosna, nawet jeśli utrata przyjaciela sprawiła, że mniej się nią cieszyli.

— Chodź, chłopcze. Wejdziemy wyżej i popatrzymy.

Zeszli ze skalistego brzegu Przesmyku i zaczęli się wspinać zboczem wzgórza po płatach ziemi ukazujących się spod topniejącego śniegu. Posuwając się w górę, wciąż oglądali się na tratwę, aż otworzył się przed nimi rozległy ocean, toczący szarozielone, upstrzone białą pianą wody przez trzy tysiące mil swego majestatycznego królestwa.

Wkrótce mieli przed sobą tylko szeroki widnokrąg, największy na świecie, i drobny ciężar właśnie tam wpływający, a potem tuż pod stopami ujrzeni mały wianuszek żółtych krokusów przebijających się przez śnieg, aby przyspieszyć rozstanie z zimą i powitanie wiosny.

W tym korzystnym punkcie obserwacyjnym było jeszcze więcej znaków nadziei, więcej

dowodów magii nowej pory roku. St John's obrzeżała brunatna ziemia, która właśnie ukazała się spod stopionego słońcem śniegu. W miejscach wyżej położonych drzewa uwalniały się od zimowego ciężaru; port był wyraźną plamą spokojnej wody, oczekującą na tłumne przybycie statków. Będzie się

radowała każda dolina, jak obiecywała ta Dobra Księga...

Mateusz patrzył i zastanawiał się. Teraz pokazało się więcej ludzi, dużo ludzi, kręcących się nad wodą. Czy Trail, ten zdradziecki kwiat wiosny, był wśród nich? Czy patrzył na n i c h?

Jeśli tak, to niech będzie przeklęty przez Boga, jako złodziejski szczur, i niech mu Bóg wybaczy jego słabość. Ale jeśli się kiedyś spotkają...

Odwrócił się ku wikingowskiej tratwie, ale jej nie zobaczył. A później na wzburzonych

falach dojrzał tylko plamkę, która wnet znikła na zawsze, i cała ceremonia zakończyła się wraz z ostatnim zanurzeniem się żeglarza w wodę, a milczenie żywych zharmonizowało się z

wiecznym milczeniem umarłych.

Co by to była za radość z przetrzymania zimy i witania budzącego się świata, gdyby

towarzysz rejsu i przyjaciel żył jeszcze.

Bac, któremu często udawało się szybko odgadnąć jego myśli, zapytał: — Mateus, czemu

go zabili?

— Francuska zdradliwość — odburknął Mateusz. — Ci mosje obdarliby własną babkę ze skóry, żeby zrobić z niej dywanik przed łóżko.

— Ale to Indianie go zabili. Czemu?

— Bo nas nienawidzą.

— Dlaczego?

Bac zawsze pytał "dlaczego". — Bo uważają, że to była ich ziemia. Według nich, cała Kanada należała do nich. I cała Ameryka. A potem wszystko zabrał biały człowiek.

Oczywiście mieliśmy prawo, skoro byliśmy silniejsi! Ale oni mówią, że zniszczyliśmy ich łowiska. I ich życie.

— Ale ci są Indianami!

— Nawet jeśli tak.

— Czy zawsze tak będzie?

— Tak. Póki nie stracą ducha... albo w ogóle nie wyginą. Bac zadumał się nad tym i na

zboczu wzgórza zapanowało milczenie. A potem wszystkie ich myśli i wszystkie pozostałe

godziny tego dnia przerwał bardzo dziwny dźwięk. Doleciał skądś z nieba nad nimi i mógł być zagniewanym głosem Boga. Bóg jednak — jeśli nie miał śmiertelnej gorączki — nie przemawiałby tak nieziemskim językiem.

Był to nadlatujący z dala krzyk, niemelodyjne krakanie, szept, który przeszedł w hałas.

Mateusz popatrzył w górę i wokół siebie i z drżeniem serca dojrzał przyczynę. Mogła to być chmura albo kłęby i wstęgi dymu na lazurowym niebie. Lecz chmura ta żyła i posuwała się z własnej, zdecydowanej woli.

Była to niezliczona chmara zimowych wygnańców, tysiące gęsi wracających do północnej krainy.

Leciały setkami, tysiącami, w wielkich kluczach i w bajecznym porządku, pewnie kierując się ku stałemu miejscu gniazdowania. Ich klangor wypełnił powietrze. Silni przewodnicy —

kto ich wybierał? — szybowali rzędem po dziesięć lub dwadzieścia ptaków; za nimi stado gęstniało i ciemniało, to rozchodząc się, to schodząc na powrót.

Przeleciały górą; biły powietrze skrzydłami od wielu godzin, dni, tygodni; na północ, wciąż na północ, aż głosy ich ucichły. Niebo znów stało się czyste, tylko cud ich przelotu został zapamiętany.

— Rany boskie! — Bac czasem wyrzucał z siebie męskie słowa, i to był taki moment.—Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Mateus, skąd one lecą?

Mateusz sam był zdumiony. — Mówią, że z Afryki.

— Gdzie jest Afryka?

Mateusz wskazał na południe i wschód, r— Tam.

— Jak daleko?

— Może trzy tysiące mil.

— Jak one to przetrzymują? Skąd wiedzą? Czym się kierują?

Z całą powagą, pokrywając własne zdumienie, Mateusz odparł:

— Mają w głowach kawałek magnetytu, a nad tym malutki kompas i lecą za jego wskazaniem.

— Co? — Oczy Baca rozbłysły w szalonym zdziwieniu. — Widziałeś go? Jak jest

wyważony? Jak... — Potem zorientował się, że Mateusz żartuje z niego, i zdał się na starszych i lepszych. — Chciałem się dowiedzieć — dokończył z cieniem smutku w głosie.

— I dowiesz się, chłopcze. Ja też, jak będę żył... Wiem tylko, że te gęsi lecą jesienią na południe, zimują w Afryce, a wiosną wracają do domu. A skoro ich domem jest północ, to teraz musi być wiosna i Bogu dzięki za to.

Bac, na serio pragnący wiedzieć, wciąż był zdezorientowany, i gniewnie spoglądał ku morzu, jak obrażony marynarz. Może tak było

lepiej; może to wszystko Bóg zrządził, a więc i gęsi, i rozmowa o nich były częścią jakiegoś głównego planu, który teraz zbliżał się do wyznaczonego końca. Bo nagle chłopiec wyteżył wzrok, zmrużył oczy i wskazał w podnieceniu:

— Mateus! Patrz!

— Gdzie?

Jednakże nim Bac zdążył odpowiedzieć, Mateusz już sam zobaczył. Daleko, po wschodniej stronie widnokręgu, błysnął skrawek bieli. Nie był to spieniony grzebień fali, znikający po jej załamaniu się, lecz coś trwałego, nie zmieniającego się. Mateusz wyteżał oczy jak mógł i wciąż widział połyskującą biel.

Gęsi były prawdziwymi posłańcami... Mateusz odetchnął głębiej niż kiedykolwiek w ciągu siedmiu długich miesięcy i rzekł: — Na miłość boską! Statek!

Ich oblężenie dobiegło końca.

## CZEŚĆ SZÓSTA

### NAWIGATOR 1759

Nuże| moje chłopaki| posterujmy ku chwale, Żeby po nas coś więcej w ten rok sławny zostało.

Pieśń Heart of Oak (Mężne serce, słowa David Garrick, muzyka William Boyce z Drury Lane)  
Pantomima, 1759

Wolałbym raczej napisać Elegię Graya.

Generał Wolfe przed swą śmiercią podczas zdobywania Quebecu, wrzesień 1759.

Pamięci Kapitana Jamesa Cooka z Królewskiej Marynarki Wojennej, jednego z

najsławniejszych natmgatorów, którymi ten wiek i przeszłe mogą się szczycić, zabitego przez tubylców na Owyhee na Oceanie Spokojnym w dniu 14 lutego 1779, w pięćdziesiątym pierwszym roku swego życia.

Napis na tabliczce umieszczonej na balaskach w kościele Św. Andrzeja Wielkiego w Cambridge.

I

w roku Pańskim 1759 do wybrzeża Nowej Fundlandii dotarł najosobliwszy potwór, jaki

kiedykolwiek rządził w St John's jako "rybacki admirał". Ponieważ kapitan Jasper Bunce przybył tu jako pierwszy z całej angielskiej flotylli, zyskał sobie prawo, którego nie można było podważyć. Lecz Jasper Bunce okazał się tak straszliwym nieszczęściem, że jego rządy przyczyniły się do zarzucenia systemu "rybackich admirałów".

Ten fakt jedynie mógłby dostarczyć godnego wzmianki tytułu do roszczenia o jego prawo wejścia do historii. Natomiast nękanie przez niego ludzi w owym roku pięćdziesiątym dziewiątym głęboko wraziło się w ludzką pamięć i zapisało się trwale w księdze historii ich życia.

Admirał Bunce wprowadzał w czyn swoje zasady postępowania, nie troszcząc się, czy ktoś

je zna, czy nie. Był to mężczyzna porywczy, niskiego wzrostu, a tak tęgi, że aż wychodził ze swoich wyszukanych ubiorów, lubujący się w piórach i pasach ze sprzączkami, większymi od jego brzucha, i w lśniących skórzanych butach z zadartymi noskami. Wychodził też z siebie, gdy coś nie szło po jego myśli i wtedy dążąc do postawienia na swoim, buchał płomieniami zjadliwej złości.

Wulgarny z wyglądu, brutalny w zachowaniu, zachłannie ambitny, był niesamowicie przebiegły.

Tę przebiegłość objawił od samego początku. Ostatnio dla nowo- fundlandzkiego

rybołówstwa ustanowiono nową zasadę, według której po przybyciu pierwszego kapitana

obejmującego z tej racji funkcję "rybackiego admirała", ten, kto przybył do Przesmyku jako drugi i trzeci, miał się zwać "wiceadmirałem" i "kontradmirałem", otrzymując uprawnienia należne tym rangom.

Bunce urządził się tak, że od razu podpłynął do brzegu w towarzystwie dwóch

zaprzyjaźnionych kapitanów o podobnej mentalności. Wpłynęli jako eskadra, dobijając

kolejno do nabrzeża jako pierwszy,

drugi i trzeci, zupełnie jak konie na wyścigu, którego wynik został ustalony przed startem, i razem utworzyli rządzącą trójkę.

W ten sposób zyskał podpory dla swego królestwa, jeszcze zanim powstało ono na dobre.

Jednakże wśród tej trójki tylko słowo Jaspera Bunce'a było prawem. Przez cały sezon rybacki nie znalazł się nikt, kto powiedziałby mu "nie" — chociaż żył taki jeden, który mógłby to zrobić.

W tym czasie Nowa Fundlandia, rozwinięta w kolonię, szczyła się posiadaniem gubernatora mianowanego przez Koronę. Wedle zwyczaju był nim oficer Marynarki Wojennej w randze komodora\*. Zgodnie z innym zwyczajem, satysfakcjonującym prawników oddalonych o trzy tysiące mil, był on człowiekiem króla i dlatego jego rządy nie mogły być kwestionowane. Lecz dla kogoś szukającego sprawiedliwości mógł być tylko przyjacielem w biedzie.

Gubernator przybył w sierpniu, a odpłynął w październiku. Rządził więc krótko, czysto formalnie i do tego niedołężnie. Nie mógł sprawować rzeczywistego nadzoru nad kimś takim, jak admirał Bunce, który przebywał tu sześć miesięcy, od początku uzurpując sobie całą władzę, i poza jednym krótkim, dworskim, podszytym kpina ukłonem przed przybyłym z wizytą nababem, zachował ją do końca.

Bunce mógł też opierać się na innym przepisie: jeżeli jakiś spór został uznany za dotyczący "spraw rybackich", załatwiał go "rybacki admirał" i nikt poza nim. Że zaś ten tyran miał tyle władzy, iż mógł paraliżować działania dwumiesięcznej marionetki, każda sprawa godna uwagi stawała się "sprawą rybacką", i nierówna rywalizacja była wygrywana, zanim się zaczęła.

Nowa Fundlandia, ze wszystkim co obiecywała, czego żądała i jakich trudów wymagała, była rządzona przez pirata z krwi i kości, który siedząc na beczce z butelką świerkowego piwa w jednej ręce, a z pistoletem w drugiej, handlował sprawiedliwością lub narzucał ją wedle swego kaprysu i co dzień folgował swojej żądzy władzy, doprowadzając ludzi do rozpacz albo uciszając ich na zawsze.

Pierwszy "sąd" Jaspera Bunce'a stał się wzorem dla wszystkich, które miały miejsce później.

Zwołał go na pokładzie rufowym swojego zaświnionego statku, małego barku o



wdzięcznej nazwie "Lass of Devon"\*, który — w sytuacji gdy można było zdobywać pieniądze nie wychodząc w morze — dłużej stał zacumowany w St John's, niż przebywał na Wielkich Ławicach. Ludzie nauczyli się bać samej nazwy "Lass", wymawianej szeptem, gdyż znaczyła wszystko co okrutne i skorumpowane. Jednakże początkowo oznaczała tylko wdzięczne imię, admirał Bunce zaś był tylko wstrętnym cielskiem z odrażającą gębą.

Nazwa, tak jak i admirał, dała znać o sobie na sądzie zwołanym przez Bunce'a. Miał on mętne pojęcie o zawiłym bełkocie prawniczym, co od razu zademonstrował.

— Słuchajcie no wy! — zaczął, gdy tylko na pokładzie "Lass of Devon" zebrała się załoga jego statku oraz przebywający tu chwilowo marynarze, petenci, więźniowie, świadkowie i

przyjaciele ich wszystkich.— To jest sąd karny i ostateczny \*, prawnie ustanowiony przez parlament. Jeśli ktoś nie wie, co to znaczy, wyjaśnię mu jeden raz! — Rozejrzał się wokół

siebie, żeby sprawdzić siłę swego autorytetu, zanim pozwoli mu kasać. — Sąd karny jest po to, żeby słuchać, a ostateczny, żeby kończyć. I to właśnie będę robił, nie bojąc się nikogo i nikogo nie darząc względami. Wysłucham i zakończę —a jak ktoś mi się w t y m sprzeciwi, wykończę jego. Tym oto w razie potrzeby!

Machnął lśniącym pistoletem, spojrział w górę i oddał strzał między schnące żagle "Lass of Devon". Odgłos poniósł się po statku i porcie, wywołując wstrząs u ludzi, płosząc mewy i otwierając okres rządów Bunce'a w sposób, w jaki zamierzał on je zamknąć.

Z pewnością zaplanował z góry ten strzał, żeby zwabić na miejsce akcji więcej gapiów i wałkoni. I faktycznie zaczęli się schodzić, a wśród nich Mateusz Lawe, którego statek akurat zakotwiczył w porcie po pierwszej wyprawie połowowej. Ze smutkiem w sercu słuchał znajomego gadania, które teraz wróżyło równie źle jak kiedyś.

Jasper Bunce znowu zaczął mówić, snując absurdalny wywód na temat sądowych konsekwencji, które wciąż mogły mu służyć do skutecznego zadawania ran.

— Ustawa wydana za miłościwego króla Wilhelma Trzeciego, Capitulum 25, paragrafy 10 i 11, daje mi niepodważalne prawo, potestas contra mundum, jak mówimy, zabrania lub zniszczenia każdej chaty, pomostu rybackiego czy budynku postawionego na brzegu lub w

jego bliskości podczas ubiegłej zimy.

I tak było rzeczywiście, co Mateusz mógł potwierdzić na podstawie długiego

doświadczenia. Byli w Anglii ludzie, wpływowi kupcy z zachodniej części kraju, którzy dalej mocno się sprzeciwiali uczynieniu z Nowej Fundlandii kolonii, bo chcieli, żeby była bazą rybołówczą dla ich własnego użytku i zysku, pozostając przy tym niczym pustkowiem.

Ponieważ mieli posłuch w parlamencie i dosyć pieniędzy, by ten organ liczył się z nimi, trwali przy swoim przywileju przez ponad pół wieku. Chociaż twardzi osadnicy przybywali tu ukradkiem pełni

nadziei, każdej wiosny byli wyrzucani z wybrzeża. Nie wolno im było budować czegokolwiek w St John's, dopóki odbywały się połowy. Monopol rybny mógł, jeśli uznał to za konieczne, zabrać im budynki albo zrównać je z ziemią i zbudować nowe pomieszczenia, wyłącznie dla użytku flotyli połowowej.

Wspaniała ustawa Wilhelma III, o której mówił Bunce, weszła w życie przed

sześćdziesięciu jeden laty i ciągle obowiązywała w tej sennej krainie, mogąc być bronią w rękach Bunce'a, który właśnie krzyknął rozkazującym tonem: — Richard Bannister, wystąp!

Wśród zamieszania nieszczęsny Bannister postąpił do przodu. W porównaniu z admirałem

Bunce'em był po prostu niczym, nędznym chłopem ze wzgórz w wyświechtanym szarym

ubraniu z samodziału; pełen nadziei zasiał jesienią kukurydzę, przetrwał ciężką zimę, wiosną zebrał skąpy plon i — z wielką odwagą, czy raczej desperacją — postawił magazyn rybny

przed przybyciem angielskiej flotyli.

Taka przedsiębiorczość musiała zostać ukarana z całym rygorem prawa.

Bunce spojrzał groźnie. — Richardzie Bannister, wdarłeś się na plażę nad Przesmykiem,

zbudowałeś tam magazyn rybny i utrzymywałeś cumowisko, a wszystko to ku obrazie i na

szkodę lojalnych poddanych jego królewskiej mości; prowadziłeś też handel zarezerwowany dla rybackiej flotyli z Anglii. Co masz do powiedzenia?

Osamotniony Bannister, na pół zagłodzony i całkowicie na łasce sądu, zachował jeszcze trochę odwagi.

— Czemu miałbym nie łowić ryb? Bez tego głodujemy! Co to za ustawa? Jestem

Anglikiem, tak samo jak pan. Bóg wpuścił ryby do morza...

— A król orzeka, kto może je stamtąd wybierać — zagrzmiał Bunce. — Przeciwstawiłbyś

się królowi? Kim ty jesteś? Próbujesz zdrady? Nauczę ja cię zdrady, psie jeden! Winien!

Wyrok tego sądu...—zaczął klepać we wściekłym tempie—brzmi: magazyn rybny ma być zniszczony, znajdująca się w nim ryba przepada na rzecz sądu, twoja łódź będzie służyć rybołówstwu, a ty — znów spiorunował go wzrokiem sięgając po swój ostami grom — pójdziesz na miesiąc do patroszenia ryb, jeśli do zachodu słońca nie wyniesiesz się z portu!

Przysłuchujący się tłum, wraz z Mateuszem, wstrzymał dech, słysząc surowy wyrok.

Richard Bannister, zrujnowany za jednym pociągnięciem, odezwał się drżącym głosem:

— Sir, nie mógłbym zapłacić grzywny?

Jasper Bunce złagodził głos, nadając mu obrzydliwie miłosierne brzmienie. — Pewno że możesz zapłacić grzywnę za twoje wielkie wykroczenia. Ten sąd jest litościwy, jak Bóg, przeciw któremu bluźniłeś. Pięćdziesiąt funtów angielskich!

Mógłby powiedzieć nawet tysiąc. — Nie mogę zapłacić takiej sumy — rzekł osłupiały

Bannister.

— To po co udajesz? Kpisz z sądu, oszuscie? Ile możesz zapłacić?

— Pięć funtów, to wszystko, co mam na tym świecie.

— Nie będziesz ich potrzebował na innym!... No, niech będzie... pięć funtów, twoja łódź i ryby. Co ty na to?

Bannister zwiesił głowę. Bez pieniędzy nic nie kupi. Bez łodzi nic nie złowi. Bez ryb

zostanie z pustym magazynem. Spojrzawszy jednak na bezlitosnego sędziego pojął, że i tak miał szczęście.

— Zgoda.

— Mądrze mówisz. Ale nie zrób błędu! Zapamiętam ciebie i wszystkich innych podobnych do ciebie.

Takich spraw o "naruszenie" było pięć; niektórzy oskarżeni w desperacji zapłacili

grzywny, które poszły do Bóg wie jakich sekretnych kuferków; inni nie mogli; ci, wyzuci z własności, wrócili zrozpaczeni do kraju. Potem przysłała kolej na przestępców z flotyli.

Byli to pijacy, złodziejaszki, burzyciele spokoju, hulaki, maruderzy, zuchwalcy skorzy do zwady i tacy, co lubią długo spać; wszyscy, zgodnie z wyrokiem "rybackiego admirała", musieli zostać wyjęci spod władzy swoich dowódców i wpaść w jego szpony. Uzasadniając to uprawnienie, Bunce potrafił zacytować inny rozdział z owej słynnej ustawy, wydanej dawno temu przez Wilhelma III, a tak oto postanawiającej:

"Masz prawo wymierzać karę cielesną wszystkim osobom profanującym Dzień Pański i wszystkim pospolitym pijakom, tym, co przeklinają i lubieżnikom".

Jaki marynarz wymknie się z tej sieci? Jaki mężczyzna? Wnet mieli się dowiedzieć, że mają do wyboru grzywnę, chłostę na kabestanie albo po trochu jednego i drugiego.

Wśród widzów podniósł się pomruk, gdy najpierw jeden, a potem drugi spośród ich

towarzyszy okrętowych został schwyty w żelazną pułapkę, z której mógł zostać uwolniony po zapłaceniu pieniędzmi albo krwią. Marynarz, który wytoczywszy się z piwiarni swobodnie oddawał mocz do wód przystani — jego własnej przystani! — został uznany za obrażającego zasady przyzwoitości i ukarany grzywną w wysokości dwóch funtów. Ale nie mógł czy może nie chciał ich zapłacić.

— Dwa smagnięcia batem! — ryknął admirał Bunce i dwa smagnięcia spadły tu i teraz na obnażone plecy, które ściemniały po pierwszym chłaśnięciu, a spłynęły krwią, jak podcięte gardło prosięcia, po drugim.

Przezorni płacili wyznaczone grzywny lub przyrzekali zapłacić; oporni byli poddawani

chłości. Pod koniec programu tego przedstawienia, gdy jakiś nieszczęśnik albo — zdaniem sądu — niegodziwy

przestępca miał otrzymać pięć uderzeń biczem za "zwiększoną bezczelność, polegającą na

tym, że puścił wiatry w obecności starszego rangą oficera", pomruk wzmógł się i stał się groźniejszy.

Los osadników nie miał większego znaczenia. Znali prawo i naruszyli je na własne ryzyko.

Lecz ci inni byli marynarzami! To był ich własny świat, rządzący się według własnych zasad, oddzielony od szcurów lądowych; świat bezpieczny, tolerancyjny, działający na zasadzie: mało dawać — mało dostawać, wolny od węszącej i nachalnej pobożności. Puszczenie

wiatrów przy zastępcy kapitana? Miał szczęście, że to były tylko wiatry!

"Rybacki admirał" był aż za dobrze przygotowany na ich reakcję. Rzucał groźne

spojrzenia, ogłaszając wyrok, i z wielką satysfakcją obserwował, gdy podawano go dalej; teraz znowu spojrzął wilkiem, gotów zamienić spojrzenie w cios, gdyby znalazła się ofiara. Rozglądając się wokół w niebezpiecznym gniewie przeniósł wzrok poza burtę "Lass of Devon".

Pech sprawił, że jego spojrzenie padło na Mateusza. Stojąc na skraju nabrzeża, wychylony przez poręcz, żeby lepiej obserwować ów akt sprawiedliwości, Mateusz szepnął właśnie do sąsiada: — Na Boga, ten człowiek to największy łotr ze wszystkich! — gdy stwierdził, że wściekłe oczy Bunce'a spoczywają właśnie na nim.

Ty! -^ krzyknął Bunce. — Po co tu przyszedłeś?

Czas i okoliczności wymagały potulnej odpowiedzi: — Popatrzeć, wasza wielmożność.

Marynarze stojący najbliżej Mateusza odsunęli się od niego, widząc, w jaki sposób został wyróżniony. Za to bliżej podszedł admirał Bunce i ze świadomie pobudzaną wściekłością rzucił:

— Mówiłeś coś!

— Nie, sir.

Ruszałeś wargami. Nie kłam, łajdaku! Sam to widziałem.

— Żułem tylko ikrę wieloryba, wasza wielmożność.

Ikrę wieloryba? Na moim sądzie? Dam ci ikrę wieloryba, aż się udławisz. Wejdz na pokład!

Potem wszystko potoczyło się bystro, jak rzeka w czas rozszalałej powodzi.

— Nazwisko — zażądał Bunce, gdy Mateusz stanął przed nim.

— Lawe, sir.

Bunce obdarzył go złym uśmiechem. — Ja tu jestem jedynym prawe m\*... Ty mówisz, że żułeś ikrę wielorybią. Ja, że powiedziałeś coś zuchwałego albo gorzej. W obu wypadkach naruszyłeś spokój i okazałeś pogardę sądowi. Winien! Zapłaci grzywnę... Ile masz pieniędzy?

— Nie mam wcale, sir.

— Więc wybierasz chłostę?

—Co? — w Mateuszu wzburzenie wzięło górę nad zwykłą ostrożnością. — Chłosta za to,

że ruszałem wargami?

— Chłosta za mrugnięcie okiem, jeśli tak każe!... A więc jeden bat za żucie, jeden za gadanie i jeden za okazanie pogardy. Co na to powiesz?

Mateusz nie posiadał się z wściekłości. — I jeden za nazwanie pana synem ladacznicy.

Tłum widzów skwitował te słowa nagłym wybuchem śmiechu, będącego ciepłą reakcją na ten przejaw odwagi.

— I p i ę ć batów za nazwanie mnie synem ladacznicy. Kładź się!

Gdy po chłości przez plecy Mateusza przebiegał to dreszcz, to

płomień bólu, Jasper Bunce wydał swój końcowy sędziowski dekret:

— Następny taki wypadek potraktuję jako bunt i następny pies, którego schwytam, zostanie powieszony.

Jednakże w owym roku pięćdziesiątym dziewiątym więcej spraw wywoływało poruszenie,

niż taki oszust był w stanie pojąć. Oba światy, Stary i Nowy, przeżywały ferment przechodzący wszelką wyobraźnię; były wojny i pogłoski o wojnach; "Cudowny Rok" zyskiwał taką o sobie opinię. Ze wschodu na zachód pływały okręty, grzmiały działa, błyskały kordy i szpady — a zwykła skała i darń stały się ziemią angielską.

Francuzi zostali już wygnani z Cape Breton\*, ich wschodniej twierdzy w Kanadzie, żeby

tam nigdy nie powrócić. Bliżej kraju, gdzie człowieka albo naród można zranić najciężej, ich silna flota z Brestu miała wnet dostać największe w jej życiu cięgi z rąk admirała Hawke'a w zatoce Quiberon, tracąc sześć okrętów liniowych, spalonych lub rozbitych, i dziewiętnaście innych zapędzonych na brzeg, w strumień czy rzekę, gdzie mogły się ukryć z podkulonymi ogonami — albo złamać sobie kark.

Na ruinach cesarstwa Mogołów w Indiach, w połowie drogi naokoło świata, Francja

próbowała utworzyć własne imperium. Została jednak wyrwana z korzeniami i odesłana do

domu przez żołnierza-męża stanu, który naprawdę zasłużył sobie na przydomek "Clive'a z

Indii"\*.

Ten sam los spotkał Francję na Karaibach, gdzie straciła Gwadelupę, najbogatszy klejnot Wysp Zawietrznych, odebraną jej orężem brytyjskim.

Francja wybrała rolę wroga. Teraz wróg był w odwrocie i tak miało być dalej.

Cały ten wzrost potęgi był dziełem umysłu jednego Anglika, Williama Pitta\*, Wielkiego

Członka Izby Gmin i pierwszego ministra parlamentu; a w jego marzeniu o imperium jednym ze składników olbrzymiej układanki była Kanada, z której należało wygnać Francuzów raz na zawsze, zanim zdążą związać te surowe północne posiadłości z ospałymi terenami w Luizjanie.

Niewątpliwie w oczach Anglików kolonie w Ameryce, rozrastające się z dala od kraju

macierzystego, były zrewoltowane i powinny zostać wzięte w ryzy. Na tę przyjemność trzeba było jeszcze poczekać. Ale najpierw była tam francuska forteca Quebec, cień, który musiał

zostać wyrwany.

Tej sprawie pan Pitt poświęcał teraz uwagę.

Z wysokiego miejsca na zboczu wzgórza nad Przesmykiem, skąd obserwował śmiertelną

podróż Jorgensena przed tylu laty, Mateusz patrzył długo na miasto w dole i na morze. I morze, i miasto były niespokojne i znękanе, ale nie miał wątpliwości, które z nich woli. W tej chwili samotności opłakiwał nie tylko przeszłość.

Mimo przemijania miesięcy i lat, przelatujących swobodnie jak rozwijająca się linka logu, po pierwszej ciężkiej zimie na wybrzeżu nie przestał czuć się związany z tym przygranicznym portem, który — wydawało się — przyłgnął do Kanady jak skorupiak do wieloryba.

Przepędził tu kolejne zimy, głodował i trwał; w pomyślniej szych latach zostawiał krainę mrożonego mięsa z wieloryba i żeglował na południe ku Florydzie, na sezon nagranych

słońcem pomarańczy, lub wędrował jeszcze dalej, do wysepek Bahamów, gdzie człowiek jest tak blisko natury, gdzie tęcza, delfin i latająca ryba wskakują do łódki wędkarza.

Zawsze jednak wiosenną porą wracał na Wielkie Ławice Nowej Fundlandii i całym sercem

poświęcał się łowieniu dorsza. Uwolniony z "Consueli", której wręgi bieleły teraz na Wyspie Sobolowej\*, wstąpił do służby brytyjskiej i w niej pozostał; dyscyplina nie była lżejsza, ale jedzenie przyzwoitsze i nie tak bałwochwalczo oparte na oleju. I tu przynajmniej marynarz odlewał się za burtę, a nie na pokład.

W tym sezonie pływał na ładnym nowym szkunerze "Barnabas", prosto z jankeskiej

stoczni, zakupionym przez Anglików i obsadzonym

angielską załogą; wdzięcznym jak mewa w locie, mocnym jak człowiek walczący na gołe

pięści, zbudowanym do przetrwania wszystkich szaleństw Atlantyku. Ale tego właśnie ranka

“Barnabas” odpłynął bez niego i to był powód jego smutku.

“Cudowny Rok” 59 nie został tak ochrzczony na wybrzeżu Nowej Fundlandii i nigdy nie będzie. Pod batem “rybackiego admirała” Bunce’a stawał się przykry i z każdym tygodniem okrutniejszy.

Bunce ochoczo sprawował swoje twarde rządy, bez ograniczeń i bez litości. Zebrał ładną

fortunę z grzywien, ze ściągania rat z zarobków ludzi, z ogłaszania przepadku połowy ładunku ryb za każde naruszenie przepisów obowiązujących we flotyli, jakie przyszło mu do głowy zastosować; ze sprzedaży zezwoleń na handel, z nakładania podatku “na konserwację nabrzeży i znaków nawigacyjnych”— które nigdy nie były w gorszym stanie.

To wszystko robił dla swojej korzyści, lecz nie dla korzyści była zabawa w okrucieństwo.

Zdażył już powiesić swoje “zbuntowane psy” — siedmiu, każdego oddzielnie, na podstawie wyspanych z palca dowodów.

Zamykał ludzi w miejskie dyby na cały tydzień bez żadnej przerwy i dla rozrywki

wynajętych przez siebie zbirów zarządzał “południowe grzmocenie”. Bił ich nahajem ponad granice wytrzymałości, tak że “Lass of Devon” przemianowano teraz na “Lash”\*, a samego Bunce’a na “Bosuna”\* — tego, co chłoczce we flocie.

Załogi rybackie spodziewały się ulgi wraz z przybyciem z Anglii gubernatora dla objęcia

— jak co roku — swego stanowiska, lecz nadaremnie. Nowy władca przybył wcześniej, a

opuścił ich jeszcze wcześniej i we wszystkich sprawach występował o zaniechanie jurysdykcji; cokolwiek dotyczyło zachowania flotyli, było “sprawą rybacką”, poza jego kompetencją.

Niech się dzieje sprawiedliwość—i do widzenia państwu!

Mateuszowi pozostała jedna smutna myśl: że już kiedyś odwracał tę stronicę. Byli to

znowu Henry Morgan i gubernator Modyford, prawdziwe duchy podłości. Jak kiedyś na

Jamajce, gubernator sprawował sądy na swoim urzędowym tronie, ale więcej by załatwił

siedząc na desce ustępowej. Całą władzę zagarnął pirat.

Ludzie szemrali przeciwko takiej surowości, lecz byli zmuszani do milczenia. Mateusz

szemrał i ponownie wpadł prosto w ramiona Buites-a, który nie wybaczył mu jego zuchwałości podczas pierwszej sesji sądowej. Zwykle prześladowanie urosło do wiszącego nad Mateuszem przez cały czas zagrożenia śmiercią z rąk despoty. Teraz było bliżej do tego niż kiedykolwiek dotąd, bo następnego ranka Mateusz,



oskarżony o "niechęć", miał znowu przejść przez ciężką próbę, stając przed tym samym sądem, uzbrojonym w ten sam rzeźniczy topór.

I wobec tego że według systemu tyranii Bunce'a został określony jako "podlegający oskarżeniu", z jego rozkazu dowódca "Barnabasa" zostawił go na lądzie, aby stanął przed sądem.

"Niechęć" — po prostu uskarżanie się na niesprawiedliwe traktowanie w zasięgu uszu szpiega i lizusa, doniesione Bunce'owi — taka "niechęć" mogła być naciągnięta do rozmiarów buntu.

Oskubany już z pieniędzy, na pewno dostanie chłostę, ale przy użyciu linki ze

szczególnego rodzaju zakończeniem, jeśli wielki "rybacki admirał" pofolguje złości na swój sposób.

W takim wypadku następny zachód słońca może ujrzeć Mateusza dyndającego w

powietrzu.

Nie było żadnej nadziei na ratunek, chyba że ze strony zmanierowanego gubernatora, który jednak był tylko głuchym na wszystko pajacem w olśniewającym wspaniałością mundurze;

mimo to na ten właśnie ratunek czekał Mateusz i wyglądał go z zalanego słońcem zbocza

wzgórza nad St John's.

Pogłoski o wojnie nie ominęły Nowej Fundlandii leżącej na skrzyżowaniu tras

Zachodniego Atlantyku, na którym tyle się działo. Wśród załóg szkunerów i na pokładach

statków handlowych przybywających z południa mówiło się o wielkiej flocie angielskiej,

wiozącej pięć tysięcy żołnierzy — a według niektórych dziesięć tysięcy — która gromadziła się w Halifax, najświetniejszym porcie Nowej Szkocji.

Dokąd miały płynąć te okręty, nikt nie wiedział, lecz nie znalazły się w Halifax ze względu na swój stan.

Czy któryś z tych okrętów, pływających pod prawdziwą brytyjską banderą, a nie pod

splamionym proporcem "rybackiego admirała", zajdzie do St John's po wodę albo żeby wysłać na ląd oddział w celu znalezienia przydatnych marynarzy i ich przymusowej rekrutacji? Tyle razy już to robiono — a teraz przybyliby w sam czas, jeśli idzie o pewnych udręczonych

żeglarzy i osadników. Lepiej pracować w ramach uczciwej dyscypliny w Marynarce

Wojennej, niż być zależnym od złego spojrzenia Bunce'a.

Wkrótce ta wypatrywana flota przestała być tylko przedmiotem pogłosek. Daleko na

wschodnim widnokregu dojrzano jej małe eskadry. Sam Mateusz, pełniąc nocną wachtę na

“Barnabasi”, gdy statek płynął w kierunku łowisk, widział całą gromadę tych okrętów, zdążających na południowy zachód pod słabym wiatrem. Przemknęły jak duchy — zapamiętał

tylko skupisko latarni rufowych migocących jak gigantyczna bożonarodzeniowa choinka. Ale były realne!

Może jest ich więcej, tych zajadłych najeźdźców. Zawsze można mieć nadzieję na lepszy

los. Któregoś szczęśliwego dnia okręt bojowy — fregata albo coś jeszcze wspanialszego — zawinie do St John's

w poszukiwaniu wody, mięsa czy mężczyzn zdolnych do służby. Będzie gorąco powitana, przynajmniej przez jedno pełne łęku serce.

Teraz Mateusz był przekonany, że to wielkie błogosławieństwo może być tuż-tuż.

Ujrzał jakiś okręt ponad godzinę temu i sądził, że minie ich w pośpiechu jak inne. Nawet gdy znalazł się bliżej brzegu, wyglądało, że ustawia kurs na południowy zachód, żeby obejść dolne wybrzeże ich wyspy i popłynąć dalej, do Halifax. Sądząc po rzędach furt strzelniczych, był to okręt wojenny, nastawiony na bojowe zadania.

Teraz stwierdził, że kurs południowy miał na celu ustawienie się na pływie, tak żeby na szczytowej fali przyływu skierować się ku północy i ku wejściu do portu.

Obserwował to wchodzenie z wielkim podziwem i jeszcze większą nadzieją. Był to duży

okręt, większy od fregaty; jego szerokie dno było pod działaniem prądu, natomiast wyniosłe żagle, od bombramsli do najniższych, były tak ustawione, że pchały okręt w przeciwnym

kierunku. Wszystkie manewry wykonywano perfekcyjnie i nie za wolno, jak przy

przechodzeniu przez Przesmyk czynili to niektórzy kapitanowie, bardziej zasługujący na nazwę żółwi.

W momencie równowagi przełożono ster do zwrotu przez rufę, wykonanego prawie w

miejscu, zwinięto bombramzagle i topsle i okręt jak strzała skoczył do wejścia. W chwili gdy pływ stracił siłę, dziób był ustawiony prosto na jedynym bezpiecznym torze wodnym, a okręt wytracił prędkość i sunął w stronę portu jak pływak rozgarniający rękami wodę, świadom, że jest dla niego sprzymierzeńcem, nie wrogiem.

Teraz przybysz zaczął lawirować przez Przesmyk. Mateusz, znający jego

niebezpieczeństwa tak dobrze jak blizny na swoich poranionych przez morze rękach, mógł

tylko mówić do siebie i do świata: "Klnę się na Boga, ten człowiek swoim okrętem potrafiłby nawlec igłę!"

I W<sup>^^^</sup>K<sup>^</sup>M

Przybysz nawłókł igłę, czyniąc zwroty i manewrując między skałami, małymi i dużymi, i

wpłynął gładko i swobodnie do rozległego portu St John's. Działa okrętowe huknęły salutem z dziewięciu luf, chociaż nie wiadomo było, czy żeby podnieść z letargu szczury lądowe czy oznajmić, iż ma nadmiar prochu i kul dla oddania czci jego królewskiej mości lub wystraszenia wron. Potem wszystkie żagle zapracowały wstecz, okręt rzucił kotwicę i stanął spokojnie, ostatnim wystrzałem oznajmiając: "Jestem tu".

W porcie St John's nie było nikogo, kto by o tym nie wiedział. Echo wystrzałów rozniosło się po wyżynach i dolinach i ludzie zaczęli się zbierać na nabrzeżach. Inni zaś ruszyli pędem z portu w kierunku wzgórz; nie wszyscy byli gotowi witać okręt radośnie i woleli gdzieś

wyżej poczekać, aż wyjaśni się cel jego przybycia. Jednakże Mateusz Lawe nie poszedł ich śladem.

Obrócił się zdecydowanym ruchem i zaczął schodzić w dół, w ramiona przyjaciela, jeszcze nie znanego, a już serdecznie witanego, dowódcy oddziału przymusowo wcielającego

mężczyzn do Marynarki Wojennej.

II

Okręt o nazwie "Pembroke" został odkomenderowany z głównej eskadry brytyjskiej w

Halifax z zadaniem szybkiego oczyszczenia wybrzeża z francuskich konwojów

zaopatrzeniowych przed rozpoczęciem ataku na Quebec. Wracając na południe miał zabrać

siłą wszystkich wyglądających na marynarzy mężczyzn z ich wielkiej "wylęgarni" na terenach Nowej Fundlandii.

„Pembroke" był sześćdziesięcioczerdziałowym liniowcem trzeciej klasy, o pojemności 1250 ton, prawie prosto ze stoczni w Plymouth, dowodzonym przez kapitana Johna Simcoe'a.

Utalentowanym nawigatorem, który tak szybko i sprawnie przeprowadził okręt przez

Przesmyk, był niejaki James Cook.

Na takich okrętach wojennych jak ten ciężar nawigacji, pilotowania i wszelkich

koniecznych obserwacji wód nie oznaczonych na mapach morskich dźwigał zastępca kapitana.

To on, pod kierunkiem kapitana, ustalał kurs i prowadził okręt; zajmował się też zaopatrzeniem, masztami i drzewcami, żaglami i takielunkiem, pracą kadłuba okrętu i kierowaniem załogą. Dobry zastępca kapitana był więc bezcenny.

Nie mając patentu oficerskiego, Cook nie nosił munduru. Zawsze otaczali go świetnie odziani oficerowie wyższej rangi i sfery: porucznicy, podoficerowie, nawet midszypmeni\*.

Lecz on był wśród nich wszystkich jedynym, który posiadał wystawione na pergaminie świadectwo swych kompetencji, a potwierdzał to dniem i nocą zakres jego odpowiedzialności.

Miejsce jego zakwaterowania, znajdujące się na rufie tuż przed kapitańską kajutą, dowodziło jego prawdziwej rangi.

Tam był zawsze pod prawą ręką kapitana; faktycznie był jego prawą ręką; i szczęśny był kapitan mogący pokładać pełne zaufanie w kimś takim.

Historia osiągnięcia przez Jamesa Cooka w wieku trzydziestu lat takiego szczytu zaufania była prosta — sprawiła to pracowitość i uczciwość. Mateusz poznawał ją bardzo wolno;

najpierw z rozmów

towarzyszy na „Pembroku”, później od samego Cooka, gdy zdobył jego przyjaźń. Były w tej historii elementy przypominające mu własne życie — skromny początek, pragnienie pływania po morzu biorące górę nad wszelkimi innymi marzeniami, miłość najdłużej trwająca ze

wszystkich miłości, i nienawiść najgwałtowniejsza ze wszystkich nienawiści, rządząca krwią płynącą przez serce marynarza.

Ale na tym kończyło się podobieństwo między tymi dwoma mężczyznami. Temu

wiejskiemu chłopcu, synowi dniówkowego wyrobnika z Yorkshire, powiodło się.

Z wiejskiego chłopca stał się pomocnikiem w sklepie, terminującym do roli sklepikarza

handlującego towarami spożywczymi i pasmanterią — ale na wybrzeżu, w Staithes, rybackim porcie mającym związek z handlem. Tu morze zaczęło swe przyciągające działanie, jak pływ w szczycie nasilenia. W ciągu roku osiemnastolatek ze sklepu spożywczego związał się z

armatorem z Whitby, zajmującym się transportem kabotażowym węgla będącego podstawą

ówczesnego życia Anglii. Tu Cook znalazł swoją umiłowaną przystań i stał się na zawsze jej niewolnikiem.

Tu również poznawał tajniki nawigacji i sztuki żeglarskiej, pływając tam i z powrotem wzdłuż wschodniego wybrzeża od Tamizy do Tyne i dalej do portów bałtyckich. Tu była szkółka marynarska, lecz nauka była równie ciężka jak wszędzie. Trasy w górę wschodniego wybrzeża, bez świateł, znaków nawigacyjnych czy godnych zaufania map morskich, były zdradliwe, usiane wędrującymi piaskami, z gwałtownymi pływami, nagłymi wichurami, mgłami, które oślepiały, i z dnem zawsze podnoszącym się stromo to z jednej, to drugiej strony, co mogło przemienić pojedynczą dźwigającą się ku górze falę w diabelsko dokuczliwe wiry. Uczeń awansował do rangi pomocnika nawigacyjnego, sprawdzwszy się na większych statkach i szerszych wodach: na Kanale i na Morzu Irlandzkim, u wybrzeża Flandrii i w portach Liverpoolu i Dublina; od mroźnych wód Norwegii do łagodniejszych u wybrzeży wysp Scilly. Wspinał się krok po kroku po drabinie stanowisk i w wieku dwudziestu siedmiu lat otrzymał propozycję samodzielnego dowodzenia statkiem.

Jego odpowiedź brzmiała "Nie" lub raczej, jako że był człowiekiem miłym i okazującym ludziom szacunek: "Nie, dziękuję uprzejmie".

Zamiast tego podjął ważką decyzję i uczynił decydujący krok. Podobnie jak Mateusz, chociaż z powodów wyższej natury, odwrócił się plecami do przeszłości, zszedł na nabrzeże przy schodach Wapping i stanąwszy przed oddziałem werbunkowym dobrowolnie zgłosił się do Królewskiej Marynarki Wojennej jako zdolny do służby marynarz.

Zdumiony dowódca oddziału werbunkowego przyjął Jamesa Cooka jak jakiś cenny przyz.

Zamiast pijaków zbieranych w londyńskich

dokach, wyrzutków z więzień czy niezdarnych szczurów lądowych, z których nigdy nie

udałoby się zrobić marynarzy, choćby się ich chłostało przez dwadzieścia lat, miał oto przed sobą wyszkolonego i chętnego mężczyznę, który rzeczywiście pragnął wstąpić do Marynarki.

Ktoś taki mógł tylko piąć się w górę. Po czterech tygodniach na pierwszym okręcie dostał

stanowisko pomocnika nawigatora; po dwóch latach zrobiono go nawigatorem jego drugiego

okrętu, fregaty "Solebay". A dwa miesiące później został nawigatorem swego trzeciego okrętu.

Tym trzecim był "Pembroke", a "Pembroke", podobnie jak sam James Cook, był przeznaczony do wielkiego przedsięwzięcia.

Pierwszą zimę, przed wypłynięciem do St John's, okręt spędził w Halifax, przygotowując się do postawionego przed nim zadania. Był to trudny okres, jeden z najgorętszych w stuleciu; marynarze nie schodzili ze swoich okrętów i siedzieli w zatłoczonych pomieszczeniach

między pokładami, a oficerowie przebywali w swoich kajutach. Ale kapitan John Simcoe i jego zastępca, nawigator James Cook, nie stracili ani minuty z tego okresu.

Simcoe, człowiek o badawczym, otwartym umyśle, od dawna był przekonany, że wiedza i matematyka to podstawy nawigacji, czy się miało do czynienia z żeglowaniem po rozległym oceanie, czy po strumieniach i dopływach takiej arterii wodnej, jak Rzeka Św. Wawrzyńca.

Pomiary — to było dla niego wielkie słowo i jego wielkie marzenie: pomiar momentów czasu, pomiar nieustannie obracających się ciał niebieskich i niezawodnego słońca; pomiar odległości, głębokości, prądu, wysokości pływów, kątów widzenia, długości cienia — a wszystko to zamknięte w innym, niezwykle cennym, pomierzalnym elemencie, samym czasie.

W swojej kajucie, tuż obok pomieszczenia Cooka, urządził mały pałac nawigacji i przez całą zimę obaj, kapitan i jego zastępca, trudzili się nad doskonaleniem planu — najpierw wyobrazonego w głowie, potem przedstawionego na mapie wyrysowanej na papierze — który miał przeprowadzić "Pembroke" i całą flotę Rzeką Św. Wawrzyńca do ich celu, Quebecu.

Było to tylko drobne zadanie na ogromnej powierzchni kuli ziemskiej, do rozegrania na przestrzeni pięciuset mil, ale można je było rozciągnąć na cały świat... John Simcoe był nauczycielem i prorokiem, a James Cook pilnym uczniem z wyobraźnią rozpaloną nowymi wizjami, tak bardzo wykraczającymi poza ołowiankę do sondowania, obliczanie pozycji

okrętu według kursu i logu i poza zmęczone oczy marynarza "na oku", że otwierały cały nowy wszechświat. W tym roku będzie Quebec; w następnym... kto, poza Wszechmogącym Bogiem, może postawić temu granice?

Dla Jamesa Cooka to poszerzanie umysłu było najwspanialszym darem jego kapitana i, niestety, ostatnim. Wiosną "Pembroke" otrzymał zadanie dopłynięcia do Quebecu w

towarzystwie flotyli okrętów i zdobycia miasta. Nie tylko wszyscy inni, ale i sam dowódca stanął przed największym zadaniem swego życia.

Poznawszy lepiej jego zastępcę na "Pembroke" Mateusz Lawe pewnego razu odważył się zapytać go, jak człowiek może zejść tak wysoko na tym świecie. Jak się to udało Jamesowi Cookowi, który był świetnym tego przykładem?

Przypadkowo trafił na dobry nastrój Cooka, co było rzadkością. Był to wysoki, szczupły, kościsty mężczyzna o niezgrabnych ruchach, lecz wciąż jeszcze silny. Jego przenikliwe oczy, tkwiące w czujnej, sokolej twarzy, zdolne zapłonąć gniewem na widok byle jak wykonanej

pracy, którą on sam potrafiłby zrobić lepiej przez sen, też były spokojne.

— Szedłem za moją gwiazdą — odparł James Cook. Jego zwykle ponury uśmiech

złagodniał. — Może nadejść dzień, gdy potrafię pójść za każdą gwiazdą widoczną na nocnym niebie. Lecz jest to sprawa przyszłości. Zadanie zaś mamy nateraz — na dziś i na jutro. Życie jest podzielone na małe cząstki — na raz jedna godzina, na raz jedna minuta. Wypełnij je wszystkie i połącz ze sobą, a będziesz miał całe życie. Ale zapomnij jednej godziny, zapomnij jednej minuty i możesz nie mieć nic. Możesz mieć fiasko! — To ostatnie słowo wymówił tak, jakby było najgorszym słowem w jego leksykonie. — Zastanów się nad tym! Jeśli jutro

wpadniemy na skałę, stracimy wszystko. Może nawet aż dwadzieścia lat pracy. Jeśli skałę ominie, zyskamy dziewiętnaście lat. Nie wpadnij na tę skałę!

Nie wpadnij na tę skałę... Mateusz zawsze był rad, że te proste słowa przestrogi, jednakowo przydatne marynarzom na wysokich okrętach, nie dbającym o kurs, jak i dzieciom bawiącym się w budowanie na brzegu morskim piaskowych zamków, miały coś wspólnego z pierwszą

nicją porozumienia z Jamesem Cookiem, z pierwszym zetknięciem się z tym wielkim człowiekiem i z pierwszym jego stopniem w nowym świecie morskiej nawigacji.

Owa nić zadzierzgnęła się w tak krótkim momencie czasu, tego pomierzalnego daru Boga, i była taką ulotną szansą wśród szans życiowych, że odczuł to w pełni dopiero później.

Zdarzyło się to podczas podróży na południe ze St John's do Halifax, gdy Mateusz odbywał swoją pierwszą wachtę u steru "Pembroke", który zbliżał się do Wyspy Sobolowej.

Z dawniejszego doświadczenia Mateusz znał tę wyspę i miał powód, żeby ją przeklinać.

Znał opinię o niej, znał jej zdradliwość. Odczuł dotkliwie na sobie jej moc wabienia i

zdradzania. Pewnej straszliwej nocy leżał tam bez sił na plaży, wokół mając ciała martwych towarzyszy i szczątki martwego okrętu, starej "Consueli". Wciąż czuł lęk przed tą wyspą, jak wszyscy marynarze, którzy kiedykolwiek uprawiali żeglugę przybrzeżną na południe od

Nowej Fundlandii; omijający ją szerokim łukiem.

Teraz, stojąc przy sterze, pod spiętrzonymi żaglami, Mateusz wiedział, że pchają się w niebezpieczeństwo.

Zastępca kapitana James Cook był zajęty przy stole z mapami. Zawsze pracował przy tym stole, mierząc to i owo, powierzając historii owoce długich i żmudnych badań. Tymczasem "Pembroke" pruł wodę mając z prawej burty wolną przestrzeń, a z lewej tylko równą płaszczyznę Wyspy Sobolowej. Lecz ta wyspa była bliżej, niż powinna.

Chociaż kurs wyznaczono tak, aby ominąć ją bezpiecznym łukiem, istniały inne niebezpieczeństwa związane z Wyspą Sobolową, które schwytały w pułapkę moc okrętów.

Wzięto pod uwagę ciągnący ich teraz ku wschodowi wielki pływ atlantycki, lecz pod tym pływem leżały ławice piasku, mułu i odłamków skalnych, zmieniające położenie z sezonu na sezon, w jednym miejscu cofając się, w innym wysuwając pazury i w ciągu tygodnia stwarzając nowe niebezpieczeństwa. Kurs "Pembroke" prowadził zbyt blisko wyspy.

Mateusz nie wiedział, co powiedzieć i czy w ogóle coś mówić. Kapitański zastępca był dla niego najbardziej liczącą się osobą na pokładzie; Mateusz był niczym—parą muskularnych

rąk, parą bosych stóp, kimś mówiącym wyłącznie "Tak jest, sir" i znającym się tylko na prostych aspektach żeglowania. Takie dwunożne stworzenia nie odzywały się do

zwierzchników inaczej niż "Tak jest, sir". Ale nade wszystko nie korygowały ich nawigacji.

Mateusz jednak wiedział, że musi to zrobić. Wiedziały o tym jego dłonie na sterze i jego stopy na pokładzie okrętu płynącego pod wiatr i trzymającego się swego kursu. Przypadkowo w tym momencie James Cook wstał od stołu z mapami i swoim zwyczajem stanął za plecami

sternika. Mateusz zebrał się na odwagę i powiedział przez ramię:

— Sir, znosi nas w lewo.

Cook, którego myśli były skupione na większych sprawach, odrzekł: — Tak. Ciągnie nas

pływ. — Obrócił krótką lunetę na Wyspę Sobolową, niewinnie płaską, leżącą w odległości

około dwóch mil przed nimi po lewej burcie, i przyjrząwszy się jej uważnie dodał: — Nasz kurs pozwoli obejść ją w odległości dobrej mili.

Ale to nie była prawda. Idąc wytyczonym kursem obeszliby bez szwanku to, co było widać, ale nie to, co mogło znajdować się pod wodą. Mateusz wziął jeden z najgłębszych oddechów w życiu i



rzekł:

— Sir, mogę coś powiedzieć?

James Cook, zaskoczony, podszedł bliżej, tak że stanął przy boku Mateusza i mógł spojrzeć mu w twarz.

— Powiedzieć? Pewnie że możesz! Oddychamy tym samym powietrzem... O co chodzi?

Mateusz przestał się wahać. — Sir, znam tę wyspę. Zostałem tam wyrzucony na ląd pewnej

letniej nocy, kiedy też szliśmy kursem, żeby ją obejść. Ale trafiliśmy na długą niewidoczną mieliznę, dotknęliśmy dna i fokmaszt poszedł za burtę. Było to nowe ramię lądu.

Cook spojrział na niego z zaciekawiony. — Nowe ramię?

— Tak, sir. To się robi o każdej porze roku. A nawet, z tego co wiem, po każdym pływie.

Mówiliśmy na burcie: "Sobolowa jest zła!" Złapała w śmiertelną pułapkę więcej statków niż...

Nawigator przerwał mu: — Więc jak?

Mateusz stracił pewność siebie, sam znalazłszy się na nowej dla siebie mieliznie. — Ma

pan na myśli, jaki kurs?

— Tak. I mów szybko.

— Jakies dwa rumby w prawo. Albo lepiej zbliżyć się do wiatru i zostawić ją po prawej

burcie. Mamy dość przestrzeni morskiej, a pływ jest dla nas korzystny.

James Cook, gdy się już ruszył, ruszał się szybko. — Ster na zawietrzną! — rozkazał. —

Okręt w lewo. — A potem krzyknął: — Wachta na pokład! Brasować reje na pracę wstecz —

w skok!

Skoczyli, będąc posłusznymi marynarzami, ochoczo spełniającymi rozkazy zastępcy

kapitana, któremu ufali; "Pembroke" odszedł dalej w morze od mrocznej Sobolowej Wyspy i minął ją bezpiecznie. Gdy wszystko się wyjaśniło i okręt wrócił na swój kurs do Halifax, Cook rzucił do bosmana: — Przejmij ster — a do Mateusza ostrzejszym tonem: — Chodź ze mną.

Ale ten ton nie wypływał z gniewu, lecz z chęci natychmiastowego uzupełnienia wiedzy i

zanotowania niezbędnych rzeczy. Przy stole nawigacyjnym nakreślił śpiesznie rysunek Wyspy Sobolowej, mającej kształt strąka fasoli dojrzałego do zerwania, zwróconego wybrzuszeniem na południowy wschód. Potem strzelił palcami, przywołując Mateusza, i przystąpił do

wypytywania.

Pytania były, jak cięcia noża chirurgicznego, szybkie, jasne, dokładne, dogłębnie drążące sprawę.

— Gdzie wpadł twój statek na mieliznę? Od strony oceanu czy lądu?

Od strony lądu, sir. Tej, po której mieliśmy dziś przepływać.

— Gdzie dokładnie? Pokaż.

Mateusz pokazał. — Na północnym końcu. Nowa mielizna biegła na północny zachód.

Przechodziliśmy tamtędy miesiąc wcześniej i nie było tam nic, co mogłoby nam przeszkadzać.

— W jakiej odległości płynęliście?

— Pół mili.

James Cook zrobił znak na swoim rysunku. — Co to był za statek?

359

—

Szkuner rybacki. Portugalski.

—

Jakie miał zanurzenie? — Jakieś piętnaście stóp. Nie więcej. Cook zrobił dalszy znaczek. — Co potem?

— Poszedł fokmaszt, jak powiedziałem. Potem dmuchnął gwałtowny wiatr i zaczął nami rzucać i pchać w stronę lądu. Więc wyskoczyliśmy i popłynęliśmy do brzegu. Ośmiu nas. Ośmiu z trzydziestu.

—

A wyspa? Czy coś na niej rośnie?

Mateusz pokręcił głową na wspomnienie dzikiej pustki, nagiego miejsca ucieczki dla marynarzy, zdumionych, że jeszcze żyją. — Nagi grunt. Trochę morskiego mchu. Kępki trawy. Dziki groch. Kilka mewich gniazd.

—

Żadnych żywych stworzeń?

—

Były. Dzikie konie.

Cook utkwił w Mateuszu groźne spojrzenie. — Opowiadasz mi bajkę?

— Ależ nie, sir. Wypadły na nas, jakby chciały nas pożreć. Zaczęliśmy krzyczeć i podskakiwać, więc uciekły. Mówiono o hiszpańskim statku, który dawno temu rozbił się u brzegów Wyspy Sobolowej. Wiózł do Peru konie. I te konie wciąż żyją na wyspie.

— To znaczy, że radzą sobie lepiej niż ludzie... — Na chłodnej twarzy Jamesa Cooka

pojawił się uśmiech. — No dobrze... zanotuję na mojej mapie: "Tu dzikie konie", a jeśli mnie okłamujesz, to okłamujesz świat, i dzikie konie zawłoką cię do grobu... Jak długo pozostawałeś na wyspie?

— Nie więcej niż trzy dni. Wiatr przycichł, więc koledzy wysłali skif i zabrali nas.

— Niech Bóg błogosławi wszystkich marynarzy — rzekł James Cook. — Troszczą się o swoich. — Potem błyskawicznie zrobił zwrot w rozmowie, gdy przyszła mu do głowy nowa myśl: — Ile masz lat?

— Trzydzieści, sir.

— Ile z tego spędziłeś na łodzi?

— Dziesięć.

— Gdzie pływałeś w tej okolicy?

—

Na łowiskach. Nowa Anglia. I na południe od Florydy i Bahamów.

— Nigdy w Zatoce Św. Wawrzyńca?

— Nie, sir.

—

Ja też nie dalej niż cypel Gaspe. I nikt inny. Ale popłyniemy... No dobrze, dziękuję ci.

— Znów się uśmiechnął. — Gdy następnym razem będziemy wpadać na skałę, nie bój się powiedzieć o tym.

Mateusz poszedł na dziób z podniesioną głową. Oddział tak śpiesznie łapiący ludzi w St John's do przymusowej służby morskiej nie schwytał nigdy szczęśliwszego człowieka.

Wspaniała straż przednia wyszła z początkiem maja z Halifax, okrążyła wyspę Cape

Breton i popłynęła przez Cieśninę Cabota do ujścia Rzeki Św. Wawrzyńca. Trzynaście

okrętów liniowych, z których się składała, miało do wykonania jedno proste zadanie, będące faktycznie istotnym punktem ataku na Quebec: wspólnym wysiłkiem znaleźć drogę,

niezależnie od trudności i niebezpieczeństw; oznaczyć ją jak najprościej i czekać, aż

przybędzie główna flota i brytyjskie wojska, aby wziąć miasto szturmem.

Na czele szedł "Pembroke", James Cook bowiem dotarł najdalej w zatokę i z kapitanem Simcoe'em opracowywali ten zimowy plan. Wraz z dzielną załogą, porządnie odzianą w

powlekane smołą bluzy z płótna żaglowego i usztywnione spodnie, kamizelki do pasa i słomiane kapelusze, również nasmołowane dla ochrony przed deszczem, okręt wiozł straż przednią innego rodzaju: około stu wojskowych i żołnierzy piechoty morskiej, stanowiących jego

zbrojne ramię, umożliwiające przepłynięcie obok wroga, który obsadził oba brzegi rzeki.

Ci żołnierze, dumni jak szatani, nosili szkarłatno-złote mundury, sprawiające, że wyglądali jeszcze dumniej. Tych z piechoty morskiej traktowali lekceważąco, nazywając ich

"gotowanymi królewskimi homarami", a do marynarzy nie raczyli się prawie odzywać.

Przedmiotem największej dumy był ich pułk — 47 Piechoty. Pytani o to, odpowiadali z całą arogancją uznanych bohaterów: "Jesteśmy od Wolfe'a".

Generał James Wolfe, ulubieniec armii brytyjskiej, miał dowodzić całością, z chwilą gdy zacznie się bitwa.

Przedtem jednak "Pembroke" musiał złożyć smutną ofiarę bogom wojny.

Kapitan John Simcoe po ciężkiej zimie spędzonej na pracy bez wytchnienia nad planem

podejścia pod Quebec był wyczerpany, gdy nadszedł czas na wprowadzanie go w czyn. Od

chwili wyjścia "Pembroke" z portu Halifax wciąż przebywał w swojej kajucie, zostawiając wszystko na głowach porucznika i swojego zastępcy. Nie mógł jeść ani wrócić do sił i po dziesięciu

dniach pożegnał się z życiem.

Był to wstrząs, który wywołał nadszpiewanie głęboki żal. Chirurg mówił o “gorączce

okrętowej”, której źródłem miały być cuchnące zęzy, nie oczyszczane od dnia wodowania okrętu. Oplakując prawdziwego przyjaciela, który otworzył mu nowe, ogromne okno na świat, James Cook mówił sobie: “Troska zabija”. Lecz jeśli żywot

człowieka dobiegł końca, to zrobił on swoje i teraz inni muszą podjąć jego morderczą pracę.

Rozdzierającym serce marynarskim ceremoniałem pogrzebowym, który zawsze wzruszał,

“Pembroke” pożegnał swojego kapitana po zawietrznej stronie wyspy Anticosti. Żołnierze piechoty morskiej uderzyli w przygłuszone werble, a na wszystkich towarzyszących okrętach opuszczono topsle. Działa oddały żałobne saluty — dwadzieścia wystrzałów następujących po sobie co pół minuty. Potem owinięte w żaglowe płótno ciało zanurzyło się w wodę i o

zmierzchu nowy kapitan — Wheelock — z małej “Squirrel” objął dowództwo.

Oto morska historia, stara jak pierwszy okręt, który odważył się wypłynąć na ocean. Umarł

człowiek, a wystąpił inny, żeby zająć jego miejsce. Umiejętności Jamesa Cooka stały się teraz cenniejsze niż dotąd, gdyż “Pembroke” przedzierał się przez przewalającą się krę, która utrudniając flocie życie, niosła przynajmniej dobrą nowinę o nadchodzącej wiosnie. Rzeka Św.

Wawrzyńca otwierała się przed nimi.

Lecz, podobnie jak utracony dowódca, dobra nowina szybko zatarła się w pamięci.

Chociaż szeroka rzeka istotnie otwierała się jako strumień chłodnej słodkiej wody, zamykała się zarazem jako bezpieczny gościniec. Cook nie miał żadnych wiadomości z pierwszej ręki, co ich czeka za cyplem Gaspe, i musiał posuwać się po omacku, jak każdy inny odkrywca.

Mapy morskie sporządzone przez niego i Johna Simcoe'a opierały się na tym, co słyszeli o wybrzeżu, na domysłach tych dwóch uzdolnionych żeglarzy lub na zdobytych mapach

francuskich, które były nisko oceniane — a nawet mogły być specjalnie sporządzone dla wyprowadzenia w pole przyszłych najeźdźców.

Przez następne dwieście mil rzeka zwężała się nieubłaganie i podróż niosła mnóstwo

zagadek, a każdą należało rozwiązać przed przystąpieniem do badania następnej. Rzeka Św.

Wawrzyńca zaczęła przechodzić w prawdziwy potok młyński, z nurtami biegnącymi w

różnych kierunkach naraz, z nagłymi, złośliwymi przeciwnymi prądami i wirami zasilanymi przez

wodospady lejące się z urwistych zboczy po obu brzegach. "Pembroke" mógł posuwać się naprzód tylko przy dość silnym wschodnim wietrze od rufy.

Towarzyszył im ostrzał armatni z brzegów rzeki. Zobaczyli algonkińskich\* zwiadowców, którzy także ich wypatrzyli i szli brzegiem obok nich mila za milą, a nocami w miarę posuwania się palili ogniska dające przedsmak piekła i będące zarazem sygnałem dla ich zwierzchników w Quebec. Ponieważ "Pembroke" stawał na kotwicy

od zmierzchu do świtu i był w zasięgu tych dzikusów, żołnierze trzymali straż, zmieniającą się co godzina z wielką pompą i hałasem. Na pokładzie było wielu chętnych do wystawienia się przy tej okazji na ryzyko ataku.

Monstrualne wojskowe buciska dudniły jak grzmot i wachta odpoczywająca pod pokładem przeklinała tych, co je nosili, życząc żeby wypadli z okrętu. Czemu nie mogli, jak chrześcijanie, chodzić boso?

Zastosowawszy najstarszy fortel wojenny — wciągnięcie fałszywej bandery—"Pembroke" schwytał francuskiego pilota, lecz było więcej kłopotów niż korzyści z jego obecności na pokładzie. Był to pogodny osobnik niskiego wzrostu, zdolny kupić ich żart i może nawet dać rewanz. Trudno, zmyliła go francuska bandera, ale teraz może być jego kolej...

Przez cały czas pilnował go uzbrojony żołnierz piechoty morskiej. James Cook przesłuchiwał go z uporem. Nawet Mateusz Lawe, gdy jego wzrok napotykał oczy jeńca, przeciągał palcem po szyi, pragnąc, jak wszyscy inni, aby był im powolny. Lecz francuski pilot, uśmiechający się jak szelma—a może prawdziwy patriota—nigdy nie okazywał lęku i nigdy też nie wzbudził do siebie najmniejszego zaufania.

Mimo wszystko posuwali się wolno w górę rzeki, sondując głębie i płycizny i oznaczając przebyty tor wodny, aż nadszedł dzień — dwudziesty trzeci dzień podróży — gdy James Cook mógł powiedzieć kapitanowi Wheelockowi, w obecności stojącego w pobliżu Mateusza:

— Jutro Trawers!

III

Ten Trawers już stał się legendarny — nigdy bardziej, niż gdy Mateusz opowiadał o nim swemu nowemu przyjacielowi na "Pembroke", który, dziw nad dziwy, był żołnierzem armii lądowej.

Mateusz zyskał przyjaźń kaprala Neda Pyma, przedstawiając się z najlepszej strony przez uratowanie mu życia. Jak zauważyła załoga w drodze w górę rzeki, żołnierze mieli skłonność do wpadania do wody. W ten sposób "Pembroke" stracił czterech, cztery stworzenia lądowe, niezdolne pojąć, że okręty to co innego niż domy i ulice. Płatając się zuchwale pod nogami, zataczali się zgodnie z ruchem fal i ztracali zdolność spokojnego stania.

Kapral Pym, duże, czerstwe chłopisko z ramionami byka, który — podobnie jak byk — nie umiał pływać, omal nie powiększył do

pięciu liczby nieostrożnych topielców. Któregoś wieczora, kiedy stali na kotwicy, a mimo to kołysali się na rozhuśtanej martwej fali, przysiadł na relingu. W chwili gdy obu rękami podnosił do ust potężną porcję chleba z wołowiną, poleciał w dół do Sw. Wawrzyńca.

Jego tylna część była tak ciężka, że pociągnęła za sobą resztę, i na powierzchni już się ukazały bąbelki, gdy Mateusz dał nurka głową w dół w ciemną rzekę, znalazł go, wyciągnął na powierzchnię i obwiązał rzuconą z góry liną.

Kapral Pym po wciągnięciu na pokład — do czego potrzeba było trzech silnych marynarzy — tak długo był kolebany na beczce, aż wytrzesiono z niego ostatni galon wody. Wtedy otworzył oczy na świat, którego o mało nie opuścił — i stał się przyjacielem do końca życia.

Ned Pym był prostaczkiem i dlatego żyjącym w bliskości Boga. Gdy miał powód do wdzięczności, okazywał ją, a niezadowolony potrafił ostro natrzeć na winnego obraży. Poszedł do wojska, bo lubił sławę, a kapralem został, gdyż miał sześć stóp wzrostu; teraz stał się przyjacielem, ponieważ nauczono go, jako chłopca, odpłacać życzliwością za życzliwość.

Mateuszowi, swemu dobroczyńcy, był gotów zwierzać się ze wszystkiego, czy to była duma z wojennego fachu, czy wątpliwości w sprawach, których nie potrafił zrozumieć.

Ich zwyczajem stały się rozmowy, gdy dzień pracy marynarza i żołnierza kończył się i jedynie pozostawała jednemu wachta kotwiczna, a drugiemu zbrojne czuwanie. Kapral Pym, grenadier, nigdy nie miał dość chwaleń swym uzbrojeniem i zręcznością niezbędną do posługiwania się nim.

Oprócz muszkietu z błyszczącym bagnetem, ładownicy wypełnionej kulami i woreczkiem z prochem i krzesiwem był obwieszony specjalnymi przedmiotami niezbędnymi dla grenadiera: małymi bombkami z zapalnikami do zapalania i rzucania przed siebie, gdy szedł do ataku.



Demonstrował taki atak z wielką energią, mocno przy tym stąpając i krzycząc. RAZ!  
Przyłożyć ogień do granatu; DWA! Rzucić go na nieprzyjaciela; TRZY! Oddać strzał z  
muszkietu; CZTERY! Do ataku!—celując bagnetem gdziekolwiek między mostkiem a  
genitaliami; PIĘĆ! Krzyknąć: "Hurrra!", załadować ponownie i powtórzyć wszystkie  
czynności.

Mając w ręku tylko broń w postaci wiosła, marszpiłka i noża, nadającego się wyłącznie do odcinania  
solonej wołowiny od kości, Mateusz odczuwał zazdrość. Ale tego wieczora, gdy

James Cook oznajmił: "Jutro Trawers", kapral Pym potrzebował wyjaśnień, a Mateusz Lawe mógł  
mu ich udzielić.

Siedzieli odprężeni w magicznym czerwcowym zmierzchu, ciepłym jak gniazdo  
wymoszczone ptasim puchem i rajsko spokojnym.

"Pembroke" stał cicho na kotwicy, jakby ją kochał; wokoło pluskała woda, błyskały światła  
kotwiczne innych okrętów, a w dali, na drugim brzegu rzeki, coraz mniej wyraźnie rysowały się  
wzgórza, jakby trzymające w swych dłoniach miękkie łono rzeki. Tylko brzegowe ogniska Indian,  
mrugające zazdrosnymi oczyma, mąciły tę niosącą ukontentowanie scenerię.

Lecz żołnierz, już nie siadając ryzykownie na relingu, lecz bezpiecznie przykucnąwszy na pokładzie,  
nie myślał o pokoju, który w jego zawodowym podręczniku nie był słowem

stojącym na pierwszym miejscu. Od razu wystąpił z pytaniem, które musiało obieć okręt,  
zanim dotarło do uszu wojaka.

— Co to jest ten Trawers? — zapytał, gdy tylko oparł się bezpiecznie o drewnianą ścianę  
nadbudówki. — Wszyscy o tym mówią. Co to znaczy?

— To jest następny odcinek rzeki i ostatni — Mateusz mógł odpowiedzieć z całą

pewnością, bo obsługując zastępcę kapitana widział dużą mapę, która mogła — chociaż

niekoniecznie — dać klucz do tego, co ich czekało. — Stąd dzieli nas od Quebecu jedna mila, nie  
więcej, lecz jest to najgorsza mila ze wszystkich. Żaden duży okręt jeszcze tędy nie przepłynął.  
Chodzi o to, że trzeba przejść w poprzek od jednego brzegu do drugiego, a potem osiągnąć basen  
portowy pod cytadelą. Były tam znaki nawigacyjne, ustawione przez

Francuzów, lecz zostały usunięte. Teraz sami musimy znaleźć drogę.

Z tych wyjaśnień żeglarza kapral Pym ledwie co rozumiał. Z pewnością tej zagadki nie da się

rozwiązać bagnetem ani ręcznymi granatami i okrzykiem "Hurrra!"

— Jak więc ją znajdziemy?

— Popłyniemy na wiosłach — odparł Mateusz tonem tego, kto będzie ciągnął te wiosła.

— Weźmiemy sześć barkasów i sześciu ludzi z ołowiankami do sondowania głębokości, dwadzieścia pław z chorągiewkami i grupkę żołnierzy do odpędzania Indian, gdy będziemy zajęci. Wyszukamy przejście, oznaczymy je tak, żeby mogła tamtędy przepłynąć flotylla, i wrócimy.

— Ale czy jest tam przejście?

— To właśnie musimy odkryć.

— A jak nie ma?

Mateusz stał się ostrożny. Powierzono mu tajemnice i musi o tym pamiętać. — Wtedy obmyślimy inny plan.

Kapral Pym, którego organizm wciąż domagał się jedzenia, przez dłuższą chwilę pochłaniał wołowinę, chleb i surową cebulę. Potem zapytał:

— Ile czasu może to zabrać?

— Nawigator mówi, że trzy dni.

— A jak tam będzie bezpieczne przejście, to co wtedy?

— "Pembroke" i reszta naszych okrętów przepłyną nim i staną na kotwicach. Potem damy sygnał do głównej floty, która ruszy w górę rzeki. Połączymy się i będziemy gotowi do ataku.

Ned Pym zapytał: — Jak przekazujecie sygnał?

— Bardzo prosto. Przesyłamy go przez ryby.

— Ryby?

[ i — Tak. Szepczemy im do małych uszek, a one płyną w dół rzeki i powtarzają go admirałowi.

— Co? — kapral niezbyt znał się na żartach. — Jak... — Potem dłoń wielkości małej szynki opadła z dużą siłą na ramię Mateusza.

— Ty cholerny psie! Robisz sobie ze mnie śmichy! Gadaj prawdę.

— Wysyłamy pinasę i ona wystrzałem działa albo chorągiewką przekazuje sygnał

“Wszystko w porządku”. — Mateusz potarł ramię.

— I nie wal mnie więcej, bo mój przyjaciel nawigator wyśle ciebie w tej pinasie ze skwierczącą bombą przymocowaną do twojego tyłka.

— Czy cię zabolalo? — spytał ze skruchą Pym.

— Tylko tam, gdzie uderzyłeś. Zachowaj więc swoją pięść dla zabojadów i obyś prędko spotkał się z nimi!

— Dla mnie nigdy nie będzie za prędko! — Kapral Pym znów był pełen zapału. — Ale jak zaczniemy walkę?

— Wylądujemy na łodziach. Są już przygotowane w ładowniach, w kawałkach.

— W kawałkach?

— Tak. Ale nic się nie bój. Cieśla je poskłada, zanim wystawimy na ryzyko wasze cenne życie... A więc wylądujemy. Nad nami będzie wzgórze albo urwisko. Wdrapiemy się na nie.

Albo lepiej, ty się wdrapiesz, a my potrzymamy ci twoje rzeczy. Potem zejdziesz na dół i oznajmisz nam: “Hurrra! Zdobyliśmy Quebec”.

— Zrobimy to... nie bój się! Pod generałem Wolfe'em możemy zrobić wszystko.

Mateusz słyszał już przedtem te przechwałki i nie potrafił kpić z nich. W jego własnym życiu zagrzewały go te same uczucia i ta sama pewność. Jedyłą niezbitą oznaką przywództwa była możliwość podsunięcia takich słów: Dajcie nam człowieka, którego znamy i któremu ufamy, a pójdziemy za nim do piekła i z powrotem z wielką dumą i zapałem. Lecz sławny generał Wolfe wciąż był dla marynarzy tajemniczą postacią.

— Zetknąłeś się z tym Wolfe'em? — zapytał Mateusz.

— Tak. No... widziałem go i szedłem za nim w Louisburgu zeszłego roku, kiedy wygnaliśmy Francuzów ze wschodniej Kanady. Wiemy, że jest tu. Wiemy, że zdobył podziw

króla. Wiemy, że nie został pobity w polu. Więc... — prosty Ned Pym nie potrafił wyrażać się właściwie, lecz biła z niego gorąca wiara. — Tak, spotkałem go. Jak spotykałem Chrystusa przy komunijnych blaskach.

Była to długa przemowa i po niej mogło tylko zapaść dłuższe milczenie. "Pembroke" kołysał się łagodnie na rzece. Zapadała noc, kurtyna świata. Na śródokręciu żołnierze maszerowali, dzwoniąc uzbrojeniem i mocno tupiąc butami, gotowi do pierwszej godziny czuwania.

Dzień jutrzejszy mógł być dniem próby zarówno dla marynarza, jak i dla żołnierza.

Kapral Pym odezwał się nagle: — Czyta wiersze swoim oficerom.

Nie była to rekomendacja łatwa do przełknięcia. — Po co?

, — Rany boskie, skąd mam wiedzieć? Nigdy nie słyszałem wiersza i nie usłyszę. Ale wygląda, że lubią go za to.

— Czy będzie czytał wiersze Francuzom? Będzie im czytał do snu?

Kapral Pym z Własnego Pułku Wolfe'a wrócił do prawdziwie pułkowej dumy. Zrobi, co zechce, a my pójdziemy za nim.

Kończyła się godzina czuwania. Mateusz wyciągnął i zgiął ręce wyczuwając spływającą po nich pierwszą rzeczną rosę nocy. —No, idę do koi. Wypływam jutro z nawigatorem pierwszą łodzią.

— Mówiłeś, że zabieracie ze sobą żołnierzy na ten Trawers?

— Tak. Będziemy wszyscy razem.—Mateusz wstał i przygotował się do ostrożnego odejścia.—Jak moglibyśmy zostawić was samych na okręcie? Jeśli nie powpadacie do wody...

— To co? — zapytał groźnie Ned Pym.

— To będziecie wołać Wolfe'a — odparł Mateusz i zniknął w bezpiecznych ciemnościach.

Dwa następne dni były okresem wyczerpującej harówki dla zwykłych marynarzy, ale nie dla Mateusza, który nie musiał harować. O brzasku pierwszego dnia forsowania Trawersu został promowany do stanowiska pomocnika nawigatora i mógł usiąść obok Jamesa Cooka na ławce rufowej barkasa, by z zadowoleniem obserwować swoich niedawnych towarzyszy,

k którzy jak niewolnicy na galerach wytężali ramiona i wycierali sobie spodnie na siedzeniach, podczas gdy on musiał wytężać tylko mózg.

Zdarzyło się to w chwili, gdy mieli opuszczać na wodę pierwszy barkas, nawigatora, przez szerokie nadburcie "Pembroke". Cook strzelił palcami, żeby zwrócić uwagę bosmana, i wskazując na Mateusza powiedział: — Chcę, żeby ten marynarz siedział przy mnie. Znajdź

innego wiosłarza na jego miejsce. — Do Mateusza zaś rzekł: — Zanieś mi to do łodzi, ale nie upuść niczego, bo zmarnujemy nasz trud.

"To" obejmowało krótką lunetę, cenną mapę, komplet rysików z czarnego ołowiu i miękkiego łupka i starą „krzyżowaną laskę"\*,

szczególny skarb nawigatora — przyrząd tak sprytnie przerobiony, żeby wskazywał odległość od lądu. Gdy Mateusz pozbierał te przedmioty i starannie zawinął je w płótno żaglowe, James Cook oświadczył:

— Po powrocie zostaniesz mianowany pomocnikiem nawigatora. Jeśli nie wpadniemy na skałę!

Nie spotkali się z żadnym takim nieszczęściem, choć nie z powodu braku skał.

Gdy tylko sześć barkasów wyroiło się z okrętów flotyllii i ruszyło na wiosłach w górę rzeki, zaraz wpadło w rwący nurt, który rzucał nimi do końca dnia. Plan Jamesa Cooka, prowadzącego procesję, przewidywał sondowanie ołowianką w miarę posuwania się naprzód;

w wybranych momentach, gdy woda stawała się płytsza i mogła zajść konieczność zmiany

kursu, pierwsza łódź za rufą łodzi sondującej wyrzucała natychmiast pławę z chorągiewką, oznaczającą tor wodny, a pozostałe przeskakiwały przez nią, jak uczniowie skaczący przez plecy pochylonego kolegi, i szły dalej, kontynuując swój kurs.

Było to jakby nawlekanie jednej igły sześcioma nitkami o dziwacznych skrętach. Szeroka

rzeka swoją siłą zdawała się stanowczo nie pozwalać, żeby się posuwali: małe wiry stawały się rwącymi pływami; między dwoma pociągnięciami wiosła łódź mogła zostać pchnięta w bok,

zmuszona do zejścia z kursu i rzucona na brzeg, podczas gdy sternik darł się: — Wiosłować, do diabła! Zginać plecy!

— i wiosłarze, sposepniali od mozołu, jak kobieta rodząca siódme dziecko, wznosili oczy ku niebu i przeklinali dzień, w którym wyrazili zgodę, rzecz obojętna, przed księdzem czy wobec dowódcy oddziału branki.

Wszystko trzeba było robić pośpiesznie; mieli innych wrogów poza złośliwym prądem i

nie znanym kursem. Łodzie, sunące jedna za drugą, jak żuki-gnojaki, i dźwigające na sobie ciężar świata, były łatwym celem dla tych na brzegu. Ogień z muszkietów szedł z tuzina

dogodnych miejsc, a czasem salwa pocisków armatnich, wycelowana za daleko, przelatowała z sykiem nad ich głowami i z pluskiem wpadała w wodę.

Na razie artylerzystom na pochyłych brzegach rzeki nie udawało się dostatecznie zniżyć

swoich luf, żeby wymacać cel. Ale mógł nadejść moment, gdy głowy wioślarzy zaczną syczeć i wpadać z pluskiem do wody.

Na dziobie barkasa Mateusza, ostrzu włóczni całego przedsięwzięcia, sondujący wołał

śpiewnie za każdym razem, gdy udało mu się rzucić ołowiankę i zwinąć z powrotem linkę: —

Trzy sążnie i coraz głębiej! Równo cztery! Nie ma dna! Sucha skała z prawej burty!

— Sterował sam James Cook, obejmując czule rumpel, jak ramię ulubionego dziecka, a

Mateusz u jego boku robił znaki na mapie, zgodnie z rzucanymi mu poleceniami, i zastanawiał

się nad skom

plikowanymi tajemnicami świata i zdolnościami ludzi, którzy je pokonywali.

Marynarze, zgięci u wiosł pod żarem słońca, dysząc ciężko pracowali bez przerwy. Nie

byli nawet w stanie oglądać trasy, którą płynęli. Byli zwyczajnie pozbawionymi oczu

mięśniami, podczas gdy inni składali się z mózgów i wzroku. Przeklinali różnicę — modląc się o tolerancję w niej i mądrość.

Tak upłynął cały dzień, bez ulgi w wiosłowaniu i holowaniu, w dokładnym pobieraniu

próbek sondą, zadowalającym Jamesa Cooka przy jego umiłowaniu doskonałości, w

wyrzucaniu za burtę kotwic mocujących pławy i w upewnianiu się, że będą siedziały

swobodnie w wodzie na możliwie najkrótszych łańcuchach.

Ogromną ulgą dla wyczerpanych marynarzy była wreszcie zmiana kursu na powrotny i

posuwanie się z prądem prawie bez dotykania wiosł, a zwłaszcza mijanie, o chłodnym

zmierzchu, dowodów ich długotrwałego trudu — piętnastu pław na uwięzi, oznaczonych

kolorowymi chorągiewkami bezpiecznie rozmieszczonych na głębokim torze wodnym prowadzącym przez Trawers.

Nawet nawigator, przeżywając na nowo dokonania dnia, które dały taki owoc, wyraził swoje zadowolenie. — Zrobiliśmy dobrą robotę

— powiedział do Mateusza, sprawdzając mapę przy każdej mijanej pławie.—Mamy naniesioną ponad połowę naszego kursu... — Iz dbałością gospodyni domowej dodał:—Zwiń mapę i starannie ją przykryj. Admirałowie nie lubią oślich uszu.

Następnego dnia nowi ludzie zmienili załogi łodzi, ustawiono dalsze pławy wyznaczające resztę kursu, mając — na żądanie Cooka

— więcej żołnierzy dla ochrony. Rano Francuzi obudzą się i zobaczą, do czego zmierzamy — powiedział kapitanowi Wheelockowi z "Pembroke". — Nie będą zdejmować kapeluszy i witać naszych przepływających obok nich łodzi.

I rzeczywiście; zamiast uchylać kapeluszy, podnieśli nieziemski tumult. Ostrzał z brzegów rzeki nasilił się i ustawiacze pław płynący w górę rzeki z zamiarem dokończenia zadania spotkali się z bardziej intensywnym ogniem muszkietów, salwa za salwą, raniącym ludzi i roztrzaskującym wiosła. Któryś francuski kanonier wymacał wreszcie zasięg i trafił w barkas.

Woda wciągnęła jego załogę z rozbitej rufy. Przy pewnej dozie szczęścia mogła ich

uratować płynąca za nimi następna łódź. W południe kruchy konwój wszedł na zawietrzną Ile d'Orleans, ostatniej wyspy, którą musieli minąć przed dotarciem do celu — basenu portowego Quebec, gdzie bezpiecznie ustawiono ostatnie znaki nawigacyjne. Droga wodna stanęła otworem.

Mogli odczuwać zadowolenie, przygotowując się do odpoczynku na plaży wyspy przed wyruszeniem w drogę powrotną; tam też zostali

zaskoczeni. Uważano, że Wyspa Orleańska jest opuszczona i faktycznie Francuzi opuścili ją.

Jej mieszkańcy pochodzenia francuskiego wycofali się za rzekę pod osłonę wzgórz Quebec.

Teraz się okazało, że zostawili za sobą wojowników, bojową tylną straż, złożoną z ich sprzymierzeńców, Algonkinów.

Cios padł w chwili, gdy łódź Mateusza i dwie inne wraz z nią ledwie zdążyły osiąść na

plycźnie. Stłumiony wrzask dotarł do nich i prze- Irwał koleżeńskie milczenie; dotarł też do sondującego z ich łodzi, który przez cały dzień tak dzielnie pełnił swoje zadanie, a dotarłszy, przyniósł mu śmierć, gdyż biedak padł z gardłem przebitym strzałą.

Cook, zajęty mapą, podniósł głowę i widząc, że mordują jego człowieka w odległości mniejszej niż sześć stóp, krzyknął: — Uwaga!

— Kapral piechoty morskiej, dowodzący sześcioma strzelcami wyborowymi, ryknął: —

Ładować! Ładować i przygotować się do strzału!

— A potem wszyscy obrócili się ku lądowi, skąd do ich uszu dobiegło nagle wycie. Gromada Indian wymalowanych najjaskrawszymi farbami wojennymi, przebiegłszy plażę, rzuciła się w płytką wodę rzeki.

Byli szybcy, brutalni i gwałtowni. Chociaż żołnierze piechoty morskiej stali na pewnych nogach i oddali salwę do następującego wroga, nie mogła ona zatrzymać tak silnego ataku.

Ręce chwytające się burt łodzi marynarze cięli nożami, a żołnierze bili kolbami muszkietów; tomahawki i maczugi waliły w odkryte głowy i ramiona; na całej długości wypełnionej zgiełkiem plaży przybyłym zagroziło pochłonięcie ich przez falę wściekłości i krwi.

Mateusz wywijając ciężkim wiosłem rufowym, swoją jedyną bronią, pomyślał: Czy tak mamy umierać? Czy tak ma umrzeć nawigator?

A potem wszystko ustało równie nagle, jak się zaczęło. Kapral piechoty morskiej, który

miał pistolet, strzelił do wojownika w przo- dzie, a że uczynił to z bliska, rozniósł połowę\$ego klatki piersiowej. Musiał to być wódz, gdyż jego ludzie zatrzymali się, przerażeni; ten okropny widok odebrał im odwagę. Kapral, jak zawsze z zimną krwią, przyłożył ogień do dwóch

granatów, ędliczył do pięciu i rzucił je w środek tłumu. Wybuchom towarzyszyły krzyki bólu, które wznieciły panikę, a panika spowodowała ucieczkę.

Po minucie łodzie znów stały same, a jedynymi dźwiękami były jęki rannych i pękanie

bąbelków wydobywających się z płytkiej wody mielizny tam, gdzie tonęli atakujący.

— Wycofać się! — rozkazał Cook. Dyszał ciężko, otrzymawszy mocny cios maczugą w

ramię. Wiosła wgryzły się w wodę pokrytą krwawą pianą, mała flotylla oddaliła się od



zdradliwego ładu i ruszyła z prądem ku bezpiecznemu schronieniu.

Tak więc o zmierzchu tego drugiego morderczego dnia wieźli ze sobą swoich zabitych i rannych. Mimo wszystko jednak nie mógł to

być dzień żałoby. Wykonali swoje zadanie, a wielki Trawers został ujarzmiony.

Rzeczywiście ujarzmiony, z punktu widzenia żeglarzy. Następnego ranka, a był to

dziesiąty dzień czerwca, "Pembroke" ruszył majestatycznie ze swoją eskadrą, pchany pomyślnym wschodnim wiatrem przez wszystkie ryzykowne miejsca do cumowiska poniżej

Quebecu. Mała, szepcząca rybka, o której mówił Mateusz, została wysłana, aby wezwać

główną flotę. Po dwóch tygodniach wszystkie okręty były razem, bez straty żadnego z nich, bez zadraśnięcia farby czy śladu mułu na stępce.

Reszta przybyłych też prezentowała się wspaniale: dziewięć okrętów liniowych,

prowadzonych przez "Neptuna" uzbrojonego w dziewięćdziesiąt dział; trzynaście fregat i sto dziewiętnaście transportowców wiozących wojsko i zaopatrzenie. Wraz z okrętami zwiadowczymi, które miały powody do dumy ze swoich umiejętności, wszystkie stały na kotwicach w basenie portowym pod Quebec lub za zachodnim koniuszkiem Wyspy Orleańskiej.

Tam czekali. Ludzi i zapasy wyładowano na wyspę; artyleria ustawiła swoje baterie; obozy pod namiotami rozrosły się jak grzyby. Z ładowni wydobyto części łodzi desantowych i cieśle okrętowi składali je, psiocząc na zadanie odpowiednie dla wędrownego druciarza. Wszystko było wreszcie gotowe i ogromne przedsięwzięcie oczekiwało w napięciu na znak rozpoczęcia.

Wciąż jednak czekali, jak panny u drzwi kościoła, jak ślepiec na skrzyżowaniu dróg, jak martwe noworodki. Stało się bowiem jasne, że przy całym tym wielkim wiwatowaniu miasto

Quebec było nie do zdobycia.

Był to problem dla wojskowych, na co szybko wskazali sceptyczni marynarze. Oni zrobili

wszystko, czego od nich zażądano, a nawet więcej. Wojsko zostało zawiezione do Quebecu z wielką troskliwością, jakby wieziono dzieci do ochronki. Tam ustawiono żołnierzy na brzegu.

Odkurzono ich piękne szkarłatne mundury, otarto pot z ich czoł. Obsłużono ich we wszystkim, poza wydmuchaniem nosów.

Czego im teraz brakowało? Zmiany pieluszek? Gdzie był ich sławny generał Wolfe i co robił? Ssał cycek?

Kapral Ned Pym spotkany na brzegu, gdzie pilnował grupy wyładowującej zapasy z

“Pembrok”, i zapytany, odparł krótko: — Nie śpieszy się. Bo i po co? Nie chce tracić ludzi.

Więc robi plany. Ruszy, gdy wszystko będzie gotowe.

Mateusz, z całym zaufaniem przyjaciela, zapytał: — Czy dużo tam się czyta poezji?

Ned Pym zawył. Chociaż żołnierze znosili mnóstwo kpin ze stoickim męstwem, duma

ludzi z Własnego Pułku Wolfe'a stawała się coraz drażliwsza. — Mat! Nie prowokuj mnie! Bo cię zgniotę!

— Nie śpiesz się, błagam.

Nie śpieszył się z pewnością generał James Wolfe. A czas był cenny i uciekał jak piasek w klepsydrze wraz z upływem i znikaniem lata, jego jedynego sprzymierzeńca. Mijały tygodnie i miesiące. Czerwiec przeszedł w lipiec, lipiec w sierpień i w pierwszy tydzień września. Pora na atak zbliżała się ku końcowi, a korzystne uderzenie nie następowało. Wkrótce lód zacznie wykonywać pracę za ludzi i zdławi najeźdźcę w miejscu, gdzie będzie siedział bezsilny.

Wolfe zwlekał — najgorsza rzecz u dowódcy stojącego na czele masy wzburzonych,

żądnych działania ludzi — nie mógł bowiem znaleźć rozwiązania wojskowej zagadki, która

nękała go przez jedenaście pełnych udręki tygodni. Cytadela Quebec usadowiła się na skalnym parapecie i została ufortyfikowana przez przebiegłych francuskich inżynierów, którzy mogliby uczyć Troję, jak wytrzymywać oblężenie, nim uderzy grom.

Na liniach obronnych roilo się od wojska; działa były nakierowane na wschód i zachód, na północ i południe; mieli mnóstwo jedzenia i czystej wody źródlanej, a także podziemne jej zbiorniki, wystarczające do następnych opadów śniegu. Cytadela miała też świetnego

dowódcę, markiza Louisa Josepha de Montcalm Gezan de Saint-Veran\*, który — jako

gubernator francuskiej Kanady — oburzony znieważeniem jego imperium, nie poddałby się

anglosaksońskiemu motłochowi, póki jego głowa nie spadłaby pod ciosem topora.

James Wolfe nie widział sposobu wdarcia się na te odpychające, wyniosłe wysokości.

Mógł rzucić swoje oddziały przodem, jako burzący taran, lecz skończyłoby się to taką jatką, że potrzebowaliby rzeźników dla oddzielania mięsa od kości. Nie mógł skazać ludzi na taki los...

A potem, w dniu dziesiątego września — przeraźliwie późno, w okresie śmiertelnego

zwątpienia — generał Wolfe, postać odległą, przybliżył się na wyciągnięcie ręki i tak pozostał

na zawsze.

Grupa piętnastu mężczyzn, ostrożnie przechodzących, jeden za drugim, między drzewami na wzgórza opodal Cypla Lewisa, po drugiej stronie rzeki, naprzeciwko zachodnich przedmieść Quebecu, była ubrana jednakowo, w ciemnoszare robocze ubiory szeregowców, aby w razie wypatrzenia jej przez szpiegujące oczy przeciwnika mogła uchodzić za patrol czy grupę zbierającą drewno.

Lecz pod tym zgrzebnym przebraniem kryły się zupełnie inne, wyszukane ubiory, a w nich bynajmniej nie szeregowcy, lecz: generał

James Wolfe i pięciu jego adiutantów, admirał Saunders, dowódca floty brytyjskiej, z pięcioma adiutantami, i kapitan Wheelock z "Pembroke", pierwszego okrętu, który wdarł się po tej wodnej drabinie. Wheelock zabrał swojego zastępcę, Jamesa Cooka, a ten swego pomocnika.

Nie było wątpliwości, kto spośród tej piętnastki jest jej przywódcą.

Wolfe, trzydziestodwuletni mężczyzna, drobny, mizerny i niezaprzeczalnie wąty, miał chyba najdziwniejszą twarz, jak na generała-majora: bez podbródka, z niskim czołem, przechodzącym w mały, myszkujący, spiczasty nos. Przez tygodnie ciężko chorował i jeszcze nie wrócił do zdrowia. Sam mógłby z powodzeniem być bladym poetą, trawionym bólami tworzenia i suchotami. Ale to wszystko nie miało żadnego znaczenia.

Był odważnym przywódcą i ktokolwiek go spotkał, kto pod nim służył, a także każdy, kto się z niego naśmiewał, przyznawał to w głębi serca. W którejś magicznej chwili Bóg położył palec na jego czole i oznajmił: "Oto mój ukochany wojownik, z którego jestem bardzo zadowolony". Nigdy tego nie kwestionowano — ani w przeszłości, ani teraz, gdy jako głównodowodzący generał stał bez ruchu w obliczu nieprzyjaciela, do którego nie mógł się dobrać.

Był dowódcą oplecionym legendami jak tyczka majowa wstążkami. Ostatnia wciąż jeszcze krążyła w pułkach, obozach wojskowych i na okrętach. Jego sztabowi oficerowie twierdzili, że zakochał się w kolejnym utworze poetyckim niejakiego Thomasa Graya, zatytułowanym żalobnie: "Elegia napisana na wiejskim cmentarzu", świeżo opublikowanym, od razu podziwianym przez Wolfe'a i czytowanym przez niego wszędzie, gdzie nadarzyła się okazja.

Jak głosiła ta legenda, któregoś wieczora w trakcie podróży na zachód Wolfe przeczytał

stancę kończącą się słowami: "Ścieżki sławy prowadzą tylko do grobu". Zamknął książkę, potoczył wzrokiem po milczącym towarzystwie i powiedział:

"Panowie, wolałbym napisać coś takiego, niż zdobywać Quebec".

Nie tego spodziewali się oficerowie i nie to chcieli usłyszeć. Przebyli prawie cztery tysiące mil, zdążając właśnie do owego Quebecu, i wiersz, nawet najlepszy, lecz obiecujący na końcu pochówek, nie wydał się pociągającą alternatywą dla żołnierzy mających w perspektywie

walkę. Młody podporucznik, zasługujący niewątpliwie na awans, przerwał kłopotliwe

milczenie:

"Sir — przemówił odważnie — jesteśmy pewni, że potrafi pan dokonać jednego i drugiego".

Na chwilę wszystkim zaparło dech w piersi, lecz Wolfe uśmiechnął się, czym bardzo

odprężył słuchaczy, i rzekł: "Taki jest mój zamiar, młody człowieku".

Teraz stał na wietrznej wyżynie, mała kruszyna ludzka, patrząc na ten sam Quebec, tak

bliski zdobycia i zarazem tak daleki. Wszyscy obserwowali go i wszyscy słuchali, gdy się odezwał.

Mówił, jak bardzo często, o czasie, miejscu i akcji.

— Jesteśmy tu — rzekł, tak aby usłyszeli go wszyscy\* od wyniosłego admirała do

młodziutkiego żołnierza czy choćby Mateusza Lawe'a, świeżo wywindowanego z wioślarza

do stanowiska pisarczyka — jesteśmy tu, bo jest dziś dziesiąty dzień września, bo zostało nam tylko to miejsce dla podjęcia próby, bo tam — wskazał na drugą stronę rzeki — jest miasto, które musimy zdobyć, jeśli nie mamy wracać niesławnie, nie spełniwszy naszego obowiązku.

Proszę was wszystkich o zastanowienie się, co to oznacza... szczególnie słowo "niesławnie", które nie występuje w moim słowniku, a którego tak samo nie lubi nasz admirał.

Co powiedziawszy, obdarzył admirała Saundersa przelotnym uśmiechem. Na tym

wysokim poziomie uraza między tymi dwoma rodzajami służby, marynarką wojenną i armią,

nie wchodziła w grę; był tylko wzajemny szacunek i wzajemne zaufanie. Wolfe mówił o

naszym admirałom, bo to było sedno braterstwa i wiary w nie. Potem ciągnął dalej: — Jesteśmy tu, aby znaleźć ostatnią drogę do Quebecu. Wypróbowaliśmy wszystkie inne miejsca i

dostaliśmy odprawę. Jeśli nie znajdziemy tej drogi tutaj, nie ma jej nigdzie. Popatrzmy.

Zamieniając słowa w czyn, podniósł do oka lunetę i skierował ją za rzekę. Wszyscy poszli za jego przykładem, zarówno ci zorientowani, jak i ci, co pragnęli się uczyć. Nie było wśród nich nikogo, kto by nie zasłużył na to, że się tu znalazł. Wolfe nie awansował dworaków; admirał Saunders nie przepadał za młodymi oficerami mówiącymi "Tak jest, sir", bo uważali, że droga do awansu wiedzie przez czołobitność. Nie wiodła.

To, czemu się przyglądali, było urwiskiem, stromą, porośłą zielenią skałą prowadzącą na wyżynę w pobliżu Quebecu, zwaną, jak się już dowiedzieli, Równiną Abrahama. W oczach

wojskowych był to nagi płaskowyż lub, dla kogoś patrzącego na to inaczej, przyjemny park dla przyzwoitych bourgeois, miejsce nocnych spotkań zakochanych i dzika pustka zimą. Za nim leżało miasto, a poniżej niego te gigantyczne schody. Czy da się je sforsować?

Wszyscy wiedzieli, że aby się o tym przekonać, muszą przekroczyć rzekę i spróbować.

Przybyli tu, żeby stwierdzić, czy to szalone przedsięwzięcie jest możliwe. W ten piękny wrześniowy ranek, wśród ludzi darzących się wzajemnie zaufaniem, mogło się wydawać, że

projekt zostanie zaaprobowany, lecz w tym doborowym towarzystwie obserwatorów nie było

ani jednego, kto by nie znał różnicy między odwagą pobudzoną blaskiem słońca a posępną, brutalną, krwawą

wytrwałością, która to dopiero może przekształcić marzenie w rzeczywistość.

Przejście nie byłoby łatwe dla nikogo. Przywódcy, oficerowie sztabowi, generałowie

mogliby zginąć jako pierwsi.

Generał Wolfe rzekł nagle: — Panowie, chyba jest droga. — Powiedział to bez

podniecenia, tym samym spokojnym tonem, jakim mógłby rzec: "Chyba nadchodzi chmura".

Ale potem bez wahania objął przywództwo, a inni mu się podporządkowali. Rzucił rozkaz

zwiadowcom: — Kierujcie wzrok na iglicę kościoła na widnokręgu. Patrzcie na skraj urwiska.

Trochę na lewo, tam jest kępa drzew. ||g| Zwrócili na nią spojrzenia. — Otóż niżej jest tam droga albo coś, co wygląda na drogę, a przynajmniej coś odkrytego, wydeptanego, co było używane przez ludzi. Nie widzicie? Prowadzi w dół do skraju wody! — Opuścił lunetę i

popatrzył wokół siebie. — Jeśli ta ścieżka była używana przez ludzi, choćby zwinnych Indian, to może być użyta przez nas.

Odezwał się jeden z jego adiutantów, z tego cennego gatunku ludzi, co chodzą po ziemi i nie mają

głowy w chmurach: — Sir, może to wyschły potok.

— Nie — zaprzeczył generał. — Ma za dużo zakrętów. To ścieżka wydeptana przez ludzi, a nie uformowana przez spływającą wodę. Ci ludzie wchodzili nią od skraju wody na górę.

— Trudna wspinaczka — zauważył admirał. — Czy wiemy, jak wysoko?

Jego brat w żeglarstwie, kapitan Wheelock, odparł: — Możemy zaraz zmierzyć to stąd.

Panie Cook!

James Cook, który był obecny nie dla przyjemności zażywania słońca, skinął na Mateusza, żeby mu podał jego cenną krzyżowaną laskę i namierzył ją, nastawiając jedno ramię na dół

urwiska, a drugie na jego szczyt. Znał już dokładną szerokość rzeki. Błyskawicznie wyjął

ekierkę i dokonał obliczenia. Potem powiedział do Wheelocka i przysłuchującego się admirała:

— Sir, jakieś trzysta czterdzieści stóp. Nie więcej.

Zebrani w milczeniu przetrawiali ten przykry fakt. Trzysta czterdzieści stóp w górę po

zboczu kozią ścieżką mogło nie stanowić przeszkody dla zwinnego Indianina, o którym mówił

generał Wolfe. Lecz dla ciężko stąpającej piechoty z plecakami i muszkietami? Dla amunicji i zapasów? Dla działa osłaniającego ich wspinaczkę?

Tylko głos jednego człowieka mógł przerwać milczenie. Ten człowiek odezwał się

chłodnym rozkazującym tonem: — Zamierzam pokonać to urwisko.

Tylko głos jednego człowieka odważył się próbować odwieść go od tego zamiaru. Admirał

Saunders powiedział: — To straszliwe ryzyko.

— Zgadzam się. — Wolfe miał zawsze w sobie siłę wysłuchania innych, a zdolność

szerszego widzenia pozwalała mu dać odpowiedź. — Ale stanie w miejscu jest jeszcze

większym ryzykiem... przegrywamy całe przedsięwzięcie! Spójrzmy jeszcze raz na pustą

równinę i kępę drzew. Gdzie jest ich obrona? Drzewa mogą osłaniać budkę strażniczą i jeden czy dwa namioty, ale poza tym nie ma tam nic. Gdy znajdziemy się na urwisku, możemy iść do Quebecu na niedzielny spacer!

— Gdy znajdziemy się na urwisku. — Admirał Saunders nie Isprzeciwiał się bez powodu:

robił swoje obliczenia równie rozważnie, [jak James Cook zrobił dla nich swoje. — W ilu ludzi?

— Jakieś pięć tysięcy — odparł Wolfe. — Musimy mieć tyle co Francuzi.

— Pięć tysięcy to znaczy sto moich łodzi desantowych. Będą też działa?

— Dwie baterie. Powiedzmy, dwadzieścia dział.

— Dalsze dziesięć łodzi. A zaopatrzenie?

— Może poczekać. Nie zakładamy siedliska na zimę... atakujemy! — Błada twarz Wolfe'a

nagle rozgorzała — odbił się na niej jego prawdziwy, głęboko skrywany duch. — Sir

Charlesie, znam tok pańskich myśli — przemówił do Saundersa — proszę jednak uczciwie

rozważyć perspektywę. Jest to dla nas jedyna droga. Na wszystkich innych nie posunęliśmy się naprzód. Najdalej za miesiąc musimy odpłynąć albo staniemy w lodach i wymrzemy z głodu.

Mówię panu jasno: skoro pan musi odpłynąć w ciągu miesiąca, ja muszę wspiąć się teraz!

— Jaki jest plan?

— Nocą przekroczymy rzekę dużymi siłami. Wedrzemy się na urwisko. Wciągniemy

działa. O świcie zaatakujemy. Zwycięzimy lub zginiemy!

Każde słowo gromkiego wyzwania Wolfe'a miało się sprawdzić, z wyjątkiem ostatniego, w

którym "Zwycięzimy lub zginiemy" złośliwy los przetłumaczył na "Zwycięzimy i zginiemy".

Powiedział: "Nocą przekroczymy rzekę dużymi siłami .

Armada małych łodzi desantowych, która w pogłębiającym się mroku nocy wyruszyła 13

września, nie tłoczyła się jak stado owiec przed przypadkową dziurą w żywopłocie.

Dzięki umiejętnościom marynarzy i zdyscyplinowaniu wojska zarówno ludzie, jak i łodzie

— pięć tysięcy tych pierwszych i sto dwadzieścia pięć drugich — zostały w ciemnościach

przetransportowane w odpowiednim porządku i o świcie ukryte za Wyspą Orleańską na trzy

następne dni.

Każda łódź miała dziesięć par wioseł, dla cichszej pracy okręconych bawełnianymi,

nasyconymi łożem szmatami. Każda wiozła dwa działa z wypolerowanymi lufami

przyciemnionymi sadzą albo pięćdziesięciu żołnierzy usadowionych w rzędy, jak do zabawy, z muszkietami, które trzymali mocno między kolanami.

Teraz miała się zacząć ich zabawa. Ale najpierw musiała być czerń nocy i cisza jak w teatrze. Od ciszy zależało wszystko, zachowanie tajemnicy było sprawą fundamentalną. Jeśli jedna lub druga zostałaby naruszona, ten jeżący włosy na głowie atak, jakiego nigdy dotąd nie przedsiębrała brytyjska armia, o świcie zakończyłby się morzem krwi, katastrofą i druzgocącą klęską.

W pierwszej łodzi, dumnie oznaczonej "Pembroke" Numer Jeden, płynął równie okazały ładunek: James Cook, pilot cieszący się najwyższym zaufaniem, pułkownik Howard z

Własnego Pułku Wolfe'a, kapitan Wheelock, który miał sprawować nadzór nad lądowaniem

wojska, gdy już dojdzie do tego, i blada postać w płaszczu łodziowym, wstrząsana dreszczami gorączki, bóg całego przedsięwzięcia.

Wolfe będzie ich prowadził, chory czy zdrowy, w ciemnościach czy w świetle dnia, w

chwilach okrutnych cierpień czy łatwego triumfu; jego zbrojna straż, złożona z czterdziestu doborowych żołnierzy, kochała go za to i nie chciała żadnego innego przywódcy.

Skulony na ławce rufowej, Mateusz sterował — ku sławie czy klęsce — pod spojrzeniem

zwężonych oczu nawigatora; na dziobie przykucnęła wielka postać kaprała Neda Pyma,

pieczołowicie dzierżącego swój muszkiet. Będzie pierwszy na brzegu; pierwszy sprawdzi, czy nad wodą są rozstawione straże, pierwszy stanie oko w oko z nieznanym.

Za "Pembroke" Numer Jeden płynął długi rząd łodzi, wychodząc z płycizn i rozciągając się przez rzekę, jak wąż gotujący się do napaści; wszyscy wiosłowali w absolutnej ciszy w

kierunku ciemnego masywu urwiska. Nie było głosów, świateł, szorowania stali o stal,

żadnego takiego prezentu dla nieprzyjaciela. Księżyc zaszedł i tylko czarna rzeka wiedziała, że płyną skradając się w cieniu wyniosłej Równiny Abrahama.

Powiedział: "Wedrzemy się".

W chwili gdy łódź dotknęła dna, Ned Pym wyskoczył na brzeg — w pustą ciemność. Jego

kroki na piasku były jedynym odgłosem, a szybkie posuwanie się — jedynym ruchem. Po

trwającym długą minutę zmaganiu się z demonami zwątpienia kapral — a z nim całe

wojsko — otrzymali odpowiedź. Plaża nie była strzeżona i urwisko nad nią czekało na nich.



Wrócił do łodzi i powiedział szeptem: —Wychodź! Za mną! I ani mru-mru! — Gdy

czterdziestu żołnierzy generalskiej straży ześliznęło

się przez okrężnicę łodzi i przeszło kilka kroków po plaży, druga łódź ich armady zatrzymała się obok pierwszej. Wnet wzdłuż całej plaży stało mnóstwo łodzi desantowych. Poruszające się cienie dobrze wyszkolonych ludzi formowały się w plutony. Po ustawieniu pierwszych

pięciuset żołnierzy i załóg z dziesięciu łodzi, dźwigających liny do wciągania dział, zaczęło się wspinanie.

Straszliwe ryzyko, o którym mówił admirał Saunders, stało się faktem, i to straszliwszym niż jakiegokolwiek dotąd.

Na przodzie szedł kapral Pym z dziesięcioma ludźmi i z generałem Wolfe'em tuż za

plecami, wypatrującym czujnymi oczyma ścieżki. Był to bezlitosny trud, dla niektórych

najcięższy w życiu. Mozolnie, krok za krokiem, wspinali się ku niebu jakby po sznurowadłach własnych butów.

Był jednak hałas, którego nie dało się uniknąć. Poruszone kamienie staczały się w dół

spadając na inne, a czasem na głowy ludzi, którzy mimo najlepszej woli nie byli w stanie stłumić syku bólu. Ciężki oddech obładowanych żołnierzy i marynarzy często przechodził w jęk. Naradzanie się szeptem zaznaczało chwilowe wątpliwości, gdy ścieżka się gubiła, a trzeba było skrócić.

Jedynym ich przewodnikiem było mrugające światło gwiazd, a jedynym celem niebo i

ciemna krawędź wzgórza, tak wysoko nad nimi, że mogłaby się złączyć z niebem.

Sto stóp, dwieście, trzysta; wciąż w górę — trudzili się w pocie czoła, jak ludzie skazani na nie kończąca się pracę Herkulesa, jak akrobaci, jak lunatycy, jak kozy. Każdy był narażony na takie samo ryzyko, czy był tępy jak wół grenadierem, czy wątłym generałem, piastującym marzenie o podboju w swym gwałtownie bijącym sercu. Męczył się i Mateusz Lawe; na szyi

dźwigał zwój dziesięciu sążni liny, a w każdej ręce parę żelaznych zaczepów. Był to ciężar dla giganta — albo pomocnika nawigatora.

Dotarłszy na szczyt, tuż za awangardą, czuł się bezgranicznie wyczerpany. Przerzywany

oddech uniemożliwiłby mu nawet wypowiedzenie słabego wikariuszowego "Amen". Gdy

jednak stanął wreszcie na podniebnej Równinie Abrahama, wśród drzew, na które się kierowali podczas wspinaczki, stwierdził, że jedna mała bitwa została podjęta i już wygrana.

Zwycięzcą był kapral Pym i jego dziesięcioosobowy oddział. Odpoczywali chwilę po

swych trudach, ale u ich stóp, w wiecznym spoczynku, leżało trzech francuskich żołnierzy z załogi strażnicy, zaskoczonych, napadniętych, zabitych kijem lub uduszonych, martwych dla tej nocy i wszystkich następnych.

W ciemnościach triumfujący Ned Pym w pierwszym odruchu powitania potężnie klepnął Mateusza w ramię i szepnął: — Dobra robota, Mateuszu! Teraz my wam pokażemy drogę!

Mateusz zerknął na przyjaciela, a potem na skurczone ciała wpatrzone nie widzącymi oczyma w nocne niebo, gdzie już znalazły się ich dusze. — Jak wam poszło?

— Jak po maśle. — Kapral Pym jednym ciosem rozgromił całą francuską armię i nie

omieszkał tego powiedzieć. — Dwaj spali w namiocie. Jeden jadł kolację na zewnątrz. Jakieś żabie flaki. Był odwrócony plecami do rzeki i do mnie. Zazdrosna kobieta nie mogłaby marzyć o lepszym celu! Potem zaszuraliśmy po ścianie namiotu, wołając “£« gardę!”, co po francusku znaczy “Na wartę!”, więc ci dwaj wybiegli i zamienili się w żabie flaki, zanim zdążyli powiedzieć “Bon dzu!”

Ned Pym wyraźnie upajał się swoim triumfem i mógłby tak gadać bez końca. Lecz jakiś przesadnie ostrożny oficer syknął: — Cisza!

— i dodał ku ich wielkiej uciechu: — Kapralu! Zapiszcie ich nazwiska!

— Potem coraz więcej żołnierzy zaczęło iść, dziesiątkami i setkami, ku drzewom, w milczeniu potykając się, aż ludzie z Własnego Pułku Wolfe'a, wspinający się na oślep, jeden za drugim, przeobrazili się w armię gromadzącą się na polu bitwy.

“Wciągniemy działa”.

To było zadanie dla marynarzy lepiej przygotowanych do podnoszenia rzeczy w górę niż

do stąpania po ziemi w buciskach zgniatających robaki. Tych dział było dwadzieścia i trzeba było wciągnąć je trzysta stóp w górę od skraju wody na płaskowyż ścieżką, którą kozy

wdrapywały się przez zarośla i drzewa, przez kamieniste zakręty, pod skalnymi nawisami, naprzód i wyżej, jakby w jakimś obłądnym terenowym biegu z przeszkodami ku dachowi

świata, zwieńczonemu ostatnią przeszkodą.

Mateusz Lawe, niosący żelazne zaczepy i zwoje lin, miał je zakotwiczyć na szczycie; idący za nim James Cook — specjalista od takielunku, umiejący także rozwiązywać zagadki ciał

niebieskich

— przewidywał zakręty, zwroty i skręty ścieżki, brał w rachubę urządzenia mechaniczne

zdatne do ryzykownego wciągnięcia działa i nadające się do spuszczenia po następne.

Znaczna część tej pracy polegała na zastosowaniu lin, pracy osłów, na ciągnięciu i

wciąganiu w pocie czoła. Przez cały czas wszyscy musieli trudzić się ponad siły, gdy obolałe mięśnie walczyły z opornymi ciężarami, gdy wola przeciwstawiała się prawu ciężenia, a

niewolnicy stawali przeciw faraonom. Działa miały koła, lecz te nie chciały się toczyć na tym skalnym trawersie; koła miały szprychy i te przynajmniej można było obracać—dłońmi i

ramionami, przeklinając dzień, w którym wymyślono koło.

Mimo to działa, jedno za drugim, wjeżdżały na górę, docierały na grzbiet urwiska i były tam ustawiane w bliźniacze baterie, mające za cel fortecę Quebec i zewnętrzne linie obronne nieprzyjaciela. Do Mateusza należało ostatnie trzydzieści stóp trasy wciągania dział, dające się pokonać tylko z zastosowaniem żelaznych, wbijanych w drzewa pazurów, i lin z krążkami. Od nich zależało życie ludzi trudzących się na dole oraz końcowa siła ciągu w górę, która dowiodła — musiała dowieść—że mięśnie człowieka są silniejsze od urządzeń wykonanych z ich użyciem i że ślepy wysiłek weźmie górę nad odpychającymi, opornymi i nieruchawymi bryłami żelaza.

Na dwie godziny przed świtem zadanie zostało wykonane. Działa stały w szyku, jak niemi

żołnierze, czekając na owo magiczne dotknięcie czarodziejską różdżką słońca — które je

ożywi. Mateusz, zrobiwszy swoje, zwinął liny, pozbierał haki zaczepowe od wszystkich grup trudzących się wciąganiem, zliczył je i odłożył na bok. Dawniej był zawsze ktoś zajmujący się takim sprzętem; teraz musiał robić to sam.

Był zmęczony jak pies, i to podwójnie: najpierw wspinaniem się, a później wciąganiem

dział. Chciałby zasnąć na wieki, któż jednak mógłby zasnąć tuż przed taką bitwą i tuż przed świtem? Zamroczony, wyczerpany, powlókł się w stronę baterii dział i w rozświetlonym

gwiazdami mroku znalazł się twarzą w twarz z kimś, kto, sądząc po zachowaniu i słabo

widocznym ubiorze oraz po zaafierowaniu, mógł być tylko oficerem.

— Sir — odezwał się, gdy mężczyzna znalazł chwilę dla niego — kto ma ciągnąć działa przez otwarte pole?

Oficer był zmęczony i rozdrażniony i nie miał czasu na głupie pytania marynarzy. —

Kto... konie! Cóż by innego?

— Dziękuję, sir.

W obozie zapadła cisza. Nie można było rozpalić ognia. Ludzie drzemali, leżąc

zmarzniętymi brzuchami wprost na twardej ziemi albo nie mogąc zasnąć, patrzyli w gwiazdy i rozmyślali o bitwie, tak bardzo już bliskiej. Wszyscy, żołnierze i marynarze, przebyli dotąd trzy tysiące mil po słonych wodach oceanu, dwieście mil rzeką, milę w poprzek rzeki i trzysta stóp w górę po urwisku Abrahama.

Teraz wszyscy byli tutaj. Ale to teraz było tylko dla żołnierzy. "O świcie zaatakujemy".

O pierwszym brzasku żołnierze poruszyli się, czy to z krótkiego snu, czy przez robaka

bezsensowności. Usłużne słońce, jeszcze o całe sążnie poniżej wschodniego widnokregu, ukazało im ich cel, odległe, wyniosłe wieże miasta Quebec. Nad ziemią, między tym celem a nimi, unosiła się mgiełka, mgiełka wczesnego jesiennego poranka; wstając znad rzeki w dole

obiecywała maskującą ich obecność osłonę do chwili absolutnej konieczności.

Pod jej okryciem przesunęli się do przodu o całe pół mili, a wraz z nimi działa, teraz nie wleczone przez konie albo marynarzy, lecz przez potężnych dragonów, którzy musieli tylko trzymać się kolein,

przeciągając kolejno swój ciężar. Zatrzymawszy się, ustawili baterie i uformowali szyki.

Generał Wolfe, blady jak świt, lecz żwawy i pełen energii, niby młodziutki rekrut, który nie zdążył powąchać krwi, był w tej chwili człowiekiem, którego najbardziej chciano widzieć i poddawać się jego rozkazom. Miał nowy plan bitwy, który pod jego fachowym dowództwem

przybierał właśnie kształt. Chodziło mu, jak większości prawdziwych generałów, o

zwiększenie siły ataku przy równoczesnym oszczędzaniu życia ludzi.

Zamiast zwartej masy piechoty, w którą celując żaden wyborowy strzelec wroga nie mógł

chybić, uformowano tylko dwa szeregi: pierwszy ramię przy ramieniu, a drugi rozstawiony tak, żeby strzelał między głowami towarzyszy.

Oficerom powiedział, że to będzie jego "cienka czerwona linia" i teraz, na Równinie Abrahama, plan dowódcy był wcielany w czyn.

Podczas gdy sześć batalionów formowało się w takie szeregi, przesuwało i nieruchomiło, światło dzienne nasiliło się, jeszcze zamglone, wciąż tajemnicze, lecz już wyraźnie

zapowiadające nowy dzień. Nastąpił chłodny wschód słońca, najtrudniejszy moment dla

odwagi w całym świecie lęku. Gdy zatriumfowało światło dnia i mgła ustąpiła, artylerzyści wycelowali swoje działa w linie nieprzyjaciela na przedpolu miasta.

James Wolfe, mistrz cierpliwości i perfekcji, czekał, aż w pełni zadowoliło go nasilenie światła i

wydane dyspozycje. Potem, jak przystało walczącemu generałowi, stanął z prawej strony linii, przed frontem swoich oddziałów. Gdy znikła resztką mgły, dał sygnał.

Dowódca baterii ryknął: — Ognia! — a sam Wolfe, wznosząc szpadę w górę, zawołał: —

Do ataku!

Przy huku i ryku dział, zapowiadających straszliwe odwiedziny, cienka czerwona linia

zaczęła posuwać się zwykłym krokiem, a potem ruszyła truchtem. Miasto Quebec zbudziło się do przerażającego świtu: ujrzało pięć tysięcy ludzi w czerwonych mundurach, zdążających ku niemu z miejsca, gdzie nie powinno być żadnych ludzi.

Dzieliła ich jedna krótka mila.

“Zwyciężymy lub zginieemy!”

Zaczęli padać żołnierze, i to byli żołnierze z Własnego Pułku Wolfe'a; natomiast masa

innych, w odmiennego koloru mundurach, ruszyła pędem, i to byli Francuzi, zaskoczeni,

przerażeni niebezpieczeństwem, gotowi do poniesienia druzgocącej klęski. Pod zmasowanym naporem wojsk brytyjskich cofnęli się z linii obronnych i popędzili do jedynej otwartej bramy, zachodniego portalu cytadeli.

Ale nie przeszli przez nią. Markiz de Montcalm, zbudzony ze snu gwałtownym alarmem,

ochłonął, przypomniał sobie swoje szlachectwo, przywołał swą niezaprzeczalną waleczność i wybiegł, żeby wpły

nąć na postawę umykających rodaków i zwrócić ich przeciw nieprzyjacielowi. Był to błąd; o wiele lepiej byłoby wpuścić biegnących, zaryglować bramę i czekać, aż zima wyniszczy

głodem siły brytyjskie i weźmie w okowy brytyjską flotę.

Raz jednak w swoim życiu Montcalm stał się uosobieniem szlachetnej odwagi, ale nie

jasności myśli. Miało go to kosztować owo życie i stało się momentem zwrotnym w bitwie.

Obserwujący ją z dala — ci, co towarzyszyli wojsku i oficerowie pozostawieni na tyłach

dla planowania i, w razie konieczności, dla drugiego uderzenia—wśród krzyków bitewnych i klębów dymu wnet ujrzeli oznaki zwycięstwa. Wkrótce czerwone mundury były wszędzie;

wijąca się fala, która przewaliła się nad granatowymi uniformami i odrzuciła je do tyłu na skalisty przyczółek murów cytadeli. Teraz brama miasta była zamknięta — a na zewnątrz

pozostali główni jego obrońcy, bez przerwy ścigani, nękani i wycinani. Dla nich nie było ucieczki od brutalnej, krwawej klęski.

Mężczyźni, mężczyźni w czerwonych mundurach, zaczęli z kolei odpadać stopniowo z

pola walki, jak wyczerpani niewolnicy, których ominęła kara chłosty. Wracali tą samą drogą, którą przybyli, kulejąc, chwiejąc się, podtrzymując wzajemnie, przystając, żeby zatamować krew z ran albo może umrzeć. Niektórzy byli niesieni na płótkach, inni na szerokich plecach towarzyszy.

Byli zwycięzcami, którzy zapłacili dużo, a niektórzy najwyższą cenę.

I były tam nosze wolno posuwające się w kierunku grupy stojącej pośród drzew, niesione

przez czwórkę mężczyzn z pieczołowitością należną dzieciom. Było coś złowieszczonego w tym, że niesiono je osobno. Złowróźnie poprzedzał je starszy dobosz, który idąc wybijał powolny, żałobny werbel. Tego rytmu Mateusz nigdy dotąd nie słyszał: jakby szelest na skórze bębna, potem jedno mocne uderzenie, znowu szelest i następne uderzenie, powtarzające się w tak boleśnie wolnym rytmie, że idący mogli zrobić osiem kroków między jednym mocnym

uderzeniem a następnym.

Straszliwą ciszę przerwał pułkownik Howard. — Słodki Jezu! — szepnął, i raz

przynajmniej żołnierskie zakłęcie było modlitwą z głębi pogrążonego w bólu serca. — On wybija "Śmierć wojownika".

Zmasakrowane ciało Wolfe'a zostało złożone delikatnie na skraju kępy drzew. Jego

świecący mundur — czerwony, obramowany granatową satyną, z białymi spodniami do

kolan—był żalosnym łachmanem zbrukany, pokryty zakrzepłą krwią. Trzy duże rany

głowy i klatki piersiowej świadczyły o męce tych kruchych szczątków człowieka. Jego twarz, już nawet nie blada, zamieniała się w zielonkawą maskę śmierci.

Mateusz natychmiast znalazł się wśród szlochających, przepelnionych żalem ludzi.

Żołnierze obrzucali nosze jednym spojrzeniem i bez słowa odwracali się, załamani. Wszyscy byli z Własnego Pułku Wolfe'a i nagle zostali osieroceni przez kochającego ojca.

Nędzne mięczaki — pomyślał krzywdząco i zauważył, że i jego policzki są mokre.

Pułkownik Howard z drgającą twarzą pochylił się nad noszami, które były już tylko

pogrzebowymi marami. — Wieją, sir! — rzekł; prawie krzyczał, usiłując przebić

najstraszliwszą głuchotę. — Proszę spojrzeć, jak uciekają!

James Wolfe nie zobaczył tego. Już zamknął swoje śmiertelne oczy. Ale żołnierz, który mówił do niego, przeżył życie w nadziei, a potem w świętej wierze, że generał go słyszał.

Przygotowując się pod koniec roku do podróży w dół rzeki, gdy cała robota żeglarska została wykonana, a żołnierze triumfowali, James Cook miał do przekazania swemu pomocnikowi wiadomość wielkiej wagi.

— Przechodzę na nowy okręt 11 powiedział. Mówił w ciszy pokładu rufowego, gdy po wystawieniu pierwszej wachty "Pembroke", na pół czujny i na pół senny, był przygotowany na noc. — To "Northumberland", okręt flagowy naszej eskadry. Przezimy znowu w Halifax, a potem mam badać wybrzeże przez następny sezon. Może nawet dłużej. Oni chcą, żebym sprawdził i opisał każdą ligę\* i każdy sążeń od Nowej Fundlandii do Nowej Anglii i to jest moje zadanie.

Po chwili Mateusz spytał: — Sir, kto są ci "oni", co chcą tych badań?

— Wielcy ministrowie stanu w Anglii. Ale nie pytaj mnie o nic więcej, bo nie wiem.

Marynarze robią to, co im się każe. Jeśli robimy to dobrze, nikt nas nie gani. Jeśli źle, wina spada na nas i głodujemy. — Nie wyglądał jednak na zbyt zdepresjonowanego. Zrobił dobrze swoją robotę i wiedział o tym. — Jeśli nasi zwierzchnicy żądają map połowy linii wybrzeża Ameryki, to będą je mieli.

Mateusz czekał. Nie było większej przyjemności niż zaufanie wielkiego dowódcy, a on w tę przyjemną noc miał to zaufanie.

— Co do mnie — ciągnął James Cook — admirał Saunders mówi o randze oficerskiej.

Wkrótce mogę być kapitanem! — Oschłego marynarza z krogulczym nosem rozpałała ta perspektywa. Szczęśliwy człowiek, pomyślał Mateusz z zazdrością pomieszaną z podziwem, idzie za swoją gwiazdą, a ta dopiero zaczęła wznosić się po niebie. Ale następne słowa zdumiały nawet jego. — A ty? Kim byłbyś w doskonałym świecie?

Mateusz nie był zadowolony. Wybrał najniższą rangę oficerską. — Midszypmenem\*?

— Czemu nie? — Słowa Cooka były echem powiedzenia z dawnych czasów: "Człowiek

może iść w górę, jeśli tego chce". Ale kto wyrzekł je jako pierwszy? Stary Sam Pepys? Stary Drake? Stary Bóg? Cały obracający się świat był stary...—Jeśli masz chęć, to wezmę cię ze sobą. Powinieneś, Mateuszu, zostać ze mną. Nie będę wiecznie tkwił na tym wybrzeżu, wietrząc nosem zapach Św. Wawrzyńca albo pływy Skały Plymouth. — Pobudzony głębokim pragnieniem powiedział coś bardzo ambitnego: — Jedno mogę ci zagwarantować: jak tylko awansuję, zamierzam zbadać świat!

#### IV

W ciągu dwudziestu lat zbadał ten świat, od zimnych mórz rosyjskich do łagodnego Południowego Pacyfiku; od wybrzeża Północnej Ameryki (gdzie spędził całe osiem lat) do linii lodów Antarktyki; od przylądka Horn do wysp Sandwich\*, od Cieśniny Beringa do Zatoki Botanicznej i od zatoki Plymouth do Wielkiej Rafy Koralowej.

Pomierzył wszystko, naniósł na mapy i precyzyjnymi więzami (lepszych nie stworzono w jego stuleciu) powiązał ze słońcem, księżycem i gwiazdami. Jego pasem był Pas Oriona, jego wiernym przewodnikiem Psia Gwiazda — Syriusz, Krzyż Południa zaś jego rzeźbą ołtarzową.

Pod ich przyjaznym spojrzeniem lądy przybrały wreszcie kształt — nie na powierzchni globu, gdzie zawsze leżały, lecz na niezliczonych, bardzo wysoko cenionych mapach, będących ich wiernym odbiciem.

Jego przyrządy były mechaniczne i zdumiewające. Wiedział, czego potrzebował od naukowców, matematyków, zegarmistrzów; prosił o to i otrzymawszy, zastosowywał dla własnego doskonalenia. Od jednego takiego uzdolnionego człowieka uzyskał sekstant, znacznie ulepszony, do pomiarów wysokości ciał niebieskich — prawdziwy potomek oktanta Izaaka Newtona i prawnuk samego starożytnego astrolabium.

Od drugiego pochodziły tablice czasów i pływów, na których wreszcie mógł polegać; a od trzeciego kompas, znacznie lepszy od wszystkiego, co dotąd wymyślono; jego miska pływała w kąpielni z oleju wielorybiego, zapobiegającej morskim wstrząsom.

Lecz największy dar ze wszystkich dostał od swego przyjaciela z Yorkshire, Johna Harrisona, wiejskiego cieśli, który zmienił zawód na zegarmistrza i pracował przez duży szmat życia,



aby zbudować marynarzom niezawodny zegar do użytku na morzu.

Największym poza ruchami statku wrogiem takiego chronometru, wozonego z jednego

końca świata na drugi, z Arktyki do tropików, poprzez chłód nocy i upał dnia były wahania temperatury. John Harrison, który od robót ciesielskich przeszedł do mieszania metali z taką łatwością, z jaką dziecko przechodzi od raczkowania do chodzenia, po dłuższym

eksperymentowaniu rozwiązał problem, równoważąc te wahania przez zastosowanie różnych metali, które, połączone, anulowały problemy związane z ciepłem i zimnem.

W czwartej próbie zrobił duży zegar zapewniający taką kompensację. James Cook wziął

egzemplarz tego cudu w swoją drugą wielką podróż. Służył mu on tak dobrze, że wróciwszy do Plymouth z trzyletniej wyprawy dookoła świata stwierdził, iż jego błąd w pomiarze długości geograficznej wyniósł mniej niż osiem mil—lub jedną dziesiątą sekundy per diem\*.

To był triumf — i wreszcie swoboda. Na morzu pomiar szerokości geograficznej —

odległości na północ lub południe od równika — był łatwy od czasów pierwszego astrolabium.

Obliczano ją na podstawie pozycji słońca w południe. Lecz długość geograficzna — pomiary na wschód i na zachód — przez długi czas zawodziły marynarzy.

Teraz zegar Harrisona, który Cook nazwał “moim zaufanym przyjacielem”, rozwiązał

problem. W każdej chwili dnia i nocy, w złej czy dobrej pogodzie Cook znał dokładny czas na linii południka przebiegającej przez londyńskie Obserwatorium w Greenwich; w tym samym

momencie, drogą pomiaru gwiazd, otrzymywał czas w miejscu, gdzie się znajdował, dziesięć czy dziesięć tysięcy mil od kraju.

Następnie zestawiał obie liczby i robił proste obliczenie. Ponieważ obrót ziemi dookoła słońca trwa dwadzieścia cztery godziny, to jedna godzina różnicy, na wschód czy na zachód, wynosi piętnaście stopni na tarczy globu. Piętnaście stopni to na równiku około dziewięciuset mil. Ta liczba zmniejsza się w miarę posuwania się statku na północ czy na

południe od równika. Ale o ile się zmniejsza? Odpowiedź dawały tablice — i tu była wreszcie długość geograficzna!

Od tego momentu każda przebyta mila na wzburzonych falach morskich stawała się

pomierzalną kratką na mapie. Człowiek nie musiał już szukać brzegu albo go się obawiać. Znał

swój skrawek oceanu i swój następny kawałek lądu.

Stukając palcem w taką mapę Cook mógł powiedzieć: "Jestem tutaj. Łąd jest tam. Jeśli Bóg utrzyma wiatr, dopłynę do tamtego brzegu w południe Bożego Narodzenia".

Inne jego narzędzia, choć nie mechaniczne, były równie niezwykle: jego oko, mózg, jego płomienny geniusz, stawiający wyzwanie morzu i wymuszający na nim zwycięstwo. Był przede wszystkim dowódcą okrętu; jego załoga była przekonana, że okręt mógłby być bezpieczniejszy tylko w rękach Boga.

Był też człowiekiem nauki i badaczem. Potrafił przyciągnąć do siebie i następnie sobie podporządkować każdego podobnie myślącego podróżnika-matematyka, przyrodnika, hydrografa, astronoma, lekarza — a oni uznawali w nim ludzkiego i zarazem stanowczego przywódcę, tak samo jak zwykli marynarze, którzy wiedzieli, że gdy kapitan Cook powiedział:

"Prawoburtowa gejtawa grota jest przetarta

— przewlec nową!", jego czujne oczy dostrzegły wadę, zanim ktokolwiek inny zdążył zdać sobie sprawę z faktu, że mogła ona wystawić ich życie na niebezpieczeństwo.

Dbał o marynarzy na różne sposoby. Przede wszystkim był zdecydowany szukać

możliwości uwolnienia swoich okrętów od tych chorób morskich, które usadowiły się,

zdawałoby się jak plaga, w Marynarce Wojennej. Na przykład okręty stacjonujące w Indiach Zachodnich — tak pięknych, z łagodną pogodą, tak obdarowanych przez Boga słońcem,

drobnym piaskiem i koralowo czystą wodą

— miały tak przerażający rejestr zagrożeń i ubytków w ludziach, że urósł on do rozmiarów narodowego skandalu, starannie zatajanego przez leniwych lub obojętnych oficerów, który obecnie rozgorzał na dobre.

Podczas gdy w ciągu roku na Karaibach 59 marynarzy zmarło z ran odniesionych w

bitwach, to choroby zabrały z okrętów eskadry aż 715, dalszych zaś 86z nie wyszło z życiem z leczenia na lądzie. Było nagą i okrutną prawdą, że co siódmy marynarz zaciągający się na któryś z okrętów jego królewskiej mości mógł się spodziewać, że umrze, i to nie z powodu wysiłków nieprzyjaciela, lecz z gorączki statkowej (to jest tyfusu), szkorbutu i dysenterii.

James Cook nie chciał mieć takiej jatki u siebie... Przede wszystkim kazał czyścić okręty i utrzymywać na nich czystość. Środkowe pokłady zostały potraktowane prochowym dymem

wymieszanym

z octem, a dolne ładownie zaczęły pachnieć przyjemnie (przyjemniej od trucizny) dzięki przenośnym piecykom palącym się na samym dole kadłuba.

Otwierał furty strzelnicze, gdy tylko nie stwarzało to niebezpieczeństwa; zaprojektował, wykonał i zainstalował specjalne otwory wentylacyjne, wpuszczające powietrze po stronie jednej burty, a wysysające je po drugiej. Ustawił płócienne "czerpaki wiatru", zagarniające świeże powiewy pod pokłady. Dawał swoim ludziom możliwość wysuszenia odzieży

natychmiast po zejściu z wachty — i zmuszał ich, żeby to robili.

Następnie zwrócił uwagę na dziwne choroby morskie, podczas długiej podróży zdolne

zabić tylu ludzi, że mogłyby zniweczyć całe przedsięwzięcie. Tu plagą zajmującą pierwsze miejsce był szkorbut, ten morski zabójca.

Objawy tej plagi oceanu stały się tak okropne i tak wyraźne, że niejeden marynarz bał się o pierwszym świetle spojrzeć w twarz towarzyszowi w obawie, że odkryje, iż na jednego z nich padł jej zły urok.

Zaczynało się osłabieniem — śmiertelnym zmęczeniem, sprawiającym, że człowiek nie

był zdolny stać, chodzić, pracować. Ta słabość występowała tak niezmiennie, że przez długi czas mówiono, iż szkorbut jest tylko chorobą nierobów i że ludzie żwawi, pełni energii nie muszą się jej obawiać.

Dawną, potem zarzuconą metodą leczenia było wyganianie cierpiącego z koi i posyłanie go na maszty — skąd spadał do morza lub na twarde pokłady i szybka śmierć oszczędzała mu

cierpień.

Po osłabieniu następował wyraźny początek choroby. Wstrętny oddech, zdolny oszołomić

przelatującego ptaka, poprzedzał wystąpienie czerwonych, czarnych czy zielonych plamek na twarzy, podobnych do różnobarwnej ospy czy do lamparta, który odbił się od stada. Potem nadchodziła chwila przerażającej prawdy, gdy znikła chęć jedzenia, nie wskutek przesyty, lecz z powodu dziąseł, które robiły się gąbczaste i opuchnięte i odchodziły od zębów, a te zaczynały wypadać, tak że rano można było je znaleźć na poduszce.

Następowały krwawienia z zagłodzonego żołądka przy ciele tak rozdętym i obrzękłym, że

po naciśnięciu kciukiem zostawało w nim wgłębienie wielkości cybucha fajki. Straszliwie owrzodzone nogi zmieniały się w cuchnący grzyb. Wtedy był czas umierać, wśród obaw i

niechęci jeszcze zdrowych członków załogi. Ten moment był sygnalizowany przez gwałtowny wzrost

gorączki, zżerającej rozum chorego.

W przedśmiertnym delirium widział człowiek morze jako zielone pastwisko i próbował wyjść na tę błogosławioną swobodę. Gdy mu w tym przeszkadzano, nieszczęsny szkielet po kilku godzinach i tak

lądował w morzu, gdyż tej ostatniej, najgorszej ze wszystkich męczarni nie mogła przeżyć żadna żywa istota na żadnym statku.

James Cook, który wielokrotnie był świadkiem tego przerażającego stanu, postanowił

znaleźć sposób jego leczenia. Od dawna uważał, podobnie jak lekarze okrętowi wybiegający daleko przed swoje stulecie, że odpowiedzią może być ciągłe spożywanie świeżych owoców i jarzyn, uzupełniające niezdrową dietę, złożoną z solonej wołowiny i spleśniałego chleba. Jeśli te rarytasy można otrzymać, tylko gdy okręt od czasu do czasu przybija do przyjaźnie

nastawionego, urodzajnego brzegu, to trzeba znaleźć coś, co je zastąpi, coś, co okręty mogłyby zabierać ze sobą.

Przyzywając na pomoc całą swoją wiedzę i autorytet, zasiadł do pracy.

Podczas trwania jego pierwszej, drugiej i trzeciej wyprawy w niewinnym jadłospisie

zaczęły się pojawiać dziwne artykuły spożywcze i tajemnicze płyny. Jeszcze dziwniejsze

słowa, takie jak antyszkorbutowy, zaskakiwały marynarzy i wykręcały im języki. Określenie

“przeciwszkorbutowy” miało usprawiedliwiać wprowadzanie takich nowości, jak “kwaśna kapusta”, nie będąca niczym innym, jak marynowaną kapustą — dla języka równie ostrą, jak ocet zbyt długo trzymany w zamkniętym naczyniu; z pewnością odpowiednią dla Niemców,

lecz dla nieugiętych brytyjskich marynarzy tak samo nie do przyjęcia, jak papież.

Mogły to być kawałki selerów, tak twarde, że nadawałyby się do zatykania dziury w starym wiadrze; marmolada z marchwi, od której zęby ciemniały bardziej, niż ciemnieje dzień po zachodzie słońca; albo potrawa z gotowanych wodorostów, która chociaż nazwana “trawą

szkorbutową” — była tylko gotowanymi wodorostami.

Dla splukania tego wspaniałego posiłku nie dawano już uczciwego piwa z uczciwej beczki; w najlepszym razie zastępował je produkt ze słodu i drożdży uzyskany przez gotowanie do konsystencji gęstego syropu, potem rozwadniany tak, aby dał się przełknąć, lub — w dniach świątecznych — przygotowane w równie paskudny sposób skórki i sok z cytryn i pomarańczy.

Albo mleko z orzechów kokosowych. Orzechy kokosowe!

Marynarze szemrali, aż nastroje bardzo się zaogniły. Nigdy przedtem nie wymagano od

nich, żeby jedli albo pili takie świństwa. Nigdy nie słyszeli żeby ktokolwiek jadł albo pił takie świństwa. Nigdy nie słyszeli z ludzkich ust takich nazw. Już to samo wystarczało, żeby potępić cały system żywienia i spowodować ich opór. Czy po to wieziono ich przez dziesiątki tysięcy mil, żeby wypróbowywali coś nowego? Wyniknął z tego ciekawy dialog, który, powtarzany,

obiegił cały świat — a czymś takim nie mogłaby się pochwalić większość naukowców.

Zadawali pytania buntujący się marynarze, a odpowiadał, suchym rozkazem, dowódca.

Marynarze: “Co my tu mamy na talerzach? Marmolada z marchwi? Czy jesteśmy osłami,

żeby prowadzić nas za nos? Gotowana trawa? Czy on chce nas potruć? Kwaśna,

sfermentowana kapusta — co to za przysmak? A mleko kokosowe jest dla małp! Jesteśmy

mężczyznami i dawno odstawiono nas od piersi. Małpie mleko? Nie weźmiemy tego do ust!”

“Macie to jeść i pić — mówił na to Cook nie wdając się w argumentację. — To jest dobre dla was”.

Szemrali dalej, ale ponieważ nie było innego wyboru, poza niedojadaniem i groźbą kary,

zjadali, co im dawano. Największa awantura wiązała się z cebulą — surową cebulą. Na

początku drugiej podróży dostali rozkaz: “Każdy ma zjeść dwadzieścia funtów cebuli w ciągu tygodnia, a potem połowę tego”.

Dwadzieścia funtów cebuli? To już naprawdę do wiary! Chyba żartuje! Dwadzieścia

funtów to będzie osiemdziesiąt cebul. Czy mają obsługiwać okręt nafaszerowani cebulą jak kaczka w piecyku?

“Macie ją jeść — znów rozkazał Cook. — To jest dobre dla was”.

A trochę później: “Będziecie jeść cebulę i wszystko inne albo dostaniecie chłostę”.

Był człowiekiem zdecydowanym i dotrzymywał słowa. Jeden z żołnierzy piechoty

morskiej, który odmówił zjedzenia swojego przydziału cebuli i zachował się zuchwale, dostał dwadzieścia batów i obietnicę dalszych.

Szemranie ustało szybko i równie szybko znikła cebula.

“Nasz kapitan — zauważył lekceważąco lekarz okrętowy — będzie dbał o zdrowie swoich

marynarzy, nawet gdyby mieli zapłacić za to życiem".

\*

Odpowiedzią jednak był wspaniały rezultat, znany wszystkim, zanim jeszcze podróż

Cooka dobiegła końca. Podczas drugiej wyprawy, trwającej trzy lata, mimo wszystkich

towarzyszących jej niebezpieczeństw, tylko jeden członek z załóg dwóch okrętów zmarł na szkorbut — a był nim kucharz!

Całe mnóstwo wdzięcznych żeglarzy wyrażało uznanie kapitanowi, z jego własnymi

załogami na czele. Wystarczyło, żeby sobie przypomnieli, że intry głośny dowódca, komodor Anson\*, przed trzydziestu laty wrócił ze swej podróży dookoła świata z wielką sławą, lecz tylko z jedną trzecią obsady swojej eskadry.

Ceniony złoty Medal Copleya, nadany Jamesowi Cookowi przez najdostojniejszy i

najbardziej krytyczny zespół oceniający, Królewskie

Towarzystwo Londyńskie\*, był wyrazem uznania dla nie mających sobie równych wysiłków

dowódcy dbałego o zdrowie załogi. Inne fachowe jury, pływający z nim marynarze, przyznali mu medal od siebie mówiąc, że na okrętach Cooka każdy dzień jest niedzielą

— dniem czystości i porządku.

A teraz, w tej ostatniej wyprawie, co za cuda pozwolił oglądać swoim marynarzom! W

oczach midszypmena Lawe'a przewyższały one wszystko, co pamiętał z dawnych czasów, ze

swej pierwszej wielkiej podróży z Drakiem w samej wiosnie świata.

Głównym zadaniem wyprawy wciąż było szukanie północ- no-zachodniego przejścia\*, co

zawsze pociągało żeglarzy; i co powiodło ich z Plymouth, wokół Przylądka Dobrej Nadziei, do Tasmanii\* i Nowej Zelandii\*, a poprzez rejon wysp Oceanu Spokojnego

— jedną trzecią powierzchni kuli ziemskiej — do zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej.

Tam poszukiwania skierowały się na północ, do Cieśniny Beringa na Alasce, skąd musieli

zawrócić, pokonani, jak zawsze, przez kłębiące się mgły i lodowe ściany tej okrutnej fortecy, aby znaleźć łagodniejszą przystań na Hawajach.

Na swej trasie napotkali to wszystko, co z życia żeglarzy czyniło mieszaninę dobrego i

złego, łagodności i surowości, lenistwa i niewolniczej harówki, brzydoty i zachwytu, realizmu i mrzonki. Za Teneryfą mieli poważny przeciek i pracowali przy pompach jak galernicy, zanim mogli przystąpić do naprawy. W Zatoce Stołowej, w cieniu sterczącej nad nią góry o płaskim szczycie, zarówno Burowie, jak i Brytyjczycy powitali ich tak wspaniale, że trudno było w ogóle wrócić na morze.

W Krainie Tasmana wszyscy wzbudzający zaufanie żołnierze piechoty morskiej, wysłani dla osłony ich lądowania przed nagimi tubylcami, upili się na śmierć kradzionym winem, aby — obudziwszy się — stwierdzić, że ci sami dzikusy delikatnie ocierali im czoła. Na wybrzeżu Nowej Zelandii gapili się na tryskające w górę fontanny gorącej wody i przystanie

dorównujące australijskiej Zatoce Bota

nicznej\*, tak nazwanej przez Cooka, gdy zaznaczał ją po raz pierwszy na mapie przed

blisko dziesięciu laty, a to z powodu jej bujnej i pięknej roślinności.

Miewali też gości, którzy chcąc zmienić dietę zjadali wszystkie nie pilnowane świece i

knoty do lamp; spotykali usługowych mężów gotowych wymieniać swoje żony i córki na jeden gwóźdź czy kołek. James Cook uważał, że nauczono ich handlu, lecz niezbyt moralnego.

Ale właśnie w tym dziwnym rajach Pacyfiku wszyscy mogli rozkoszować się nowymi

urokami odkrywania.

Były tu koralowe atole z masą wybujających kolokazji\* i jamsów, jadalnych krabów

lądowych i mięczaków, złoż perłopławów, dziobatych ryb tęczowych, krabów pustelników,

występujących na Markizach i oczyszczających nocą plaże, i przyjemnie ufnych żółwi,

składających sto jaj w piasku u stóp podróżników, zanim zostały przewrócone na wznak i

zatłuczone na śmierć.

Tu, jakby sprzymierzeńcy w zemście, czaiły się ryby o trujących kolcach, radujące

przyrodników bardziej, niż mógł to docenić ktoś, kto od nich ucierpiał.

Byli tu ludzie — jak na Tahiti\* — też przyjemnie ufni, traktowani równie źle jak żółwie; wodzowie witający Cooka jako boga, a potem ograbiani przez jego marynarzy; mniej znaczni tubylcy, którym wykradano żony i zwracano chore, splugawione rękami — czy sprośniejszymi częściami ciała — tych najeźdźców ich Edenu.

Był tu świat łagodnej, bujnej, nieskalanej przyrody; darowany przez Boga, błogosławiony słońcem, spenetrowany przez utalentowanych badaczy i splamiony przez zwierzęta w ludzkiej skórze. Były tu wszystkie hojne cuda tworzenia i ci, co je podziwiali, i ich dzieci, i ci, co je profanowali.

Tu podróżował kapitan James Cook, zdolny i życzliwy badacz, księżę żeglarzy; i tu przybył w końcu na swoim okręcie "Resolution"\*, do miejsca swojej śmierci.

V

Wróciwszy z tej zimnej, odpychającej północnej krainy, której lodowe wały zniweczyły

jego plany, i zakotwiczony wraz z towarzyszącym mu okrętem "Discovery"\* na Hawajach, James Cook poczuł się zmęczony. Miał prawie pięćdziesiąt jeden lat, dowodził okrętami przez dziewięć długich lat pływania bez odpoczynku wokół kuli ziemskiej, narażony na wszelkie możliwe obciążenia i troski, i jego świetny, wrażliwy umysł zaczynał się już ugiąć pod trudami wyprawy, która zdawała się nie mieć końca.

Nawet teraz, po dwóch latach i ośmiu miesiącach najdłuższej podróży swego życia, był wciąż w połowie globu i o jakieś piętnaście tysięcy mil od kraju.

Roztrwonił siły i zdolności na mnogość zadań związanych z dowodzeniem: kontrolowanie posuwania się dwóch okrętów o różnej prędkości pływania i różnych właściwościach

morskich; kierowanie dwoma załogami, złożonymi z marynarzy zmęczonych jak on, lecz bez

tajonego marzenia, które by ich inspirowało; prowadzenie skrupulatnej obserwacji wybrzeży i nieznanych wysp i utrzymywanie zdolności perfekcyjnej nawigacji i umiejętności

wyszukiwania przystani.

Pod tym samym niebem jego sterana "Resolution" ciągle przeciekała, napotykała płycizny, ławice piasku i mordercze rafy koralowe albo też traciła drzewca i takielunek i nieustannie domagała się nowych masztów i łatania żagli.

Gdy wreszcie stanął na kotwicy, pod styczniowym niebem, w pięknej przystani zatoki

Kealakekua, znalezionej po wstępnych poszukiwaniach przez jego nawigatora, Williama

Bligha, niewiele w nim zostało z tego, co podtrzymywałoby ducha, a dużo więcej z tego, co go osłabiało.

Nie ulegało wątpliwości, że z pewnego szczególnego powodu jego załoga była bardzo

niezadowolona i buntowała się przeciwko surowości kapitana, który nie pozwalał marynarzom



cieszyć się tym rajem, a tylko wciąż im nakazywał, aby żyli w czystości i pracowali do utraty tchu.

“Zezwalam na związek z kobietami, bo nie mogę temu zapobiec — powiedział kiedyś do drugiego oficera, Jamesa Kinga, przystojnego i ujmującego młodzieńca, będącego w tak bliskich kontaktach z kapita-

nem, że wyspiarze brali go za syna Jamesa Cooka. — Ale nie dopuszczę, wszelkimi dostępnymi mi środkami, do rozprzestrzeniania się bezceństw!”

“Związek z kobietami” to była w oczach jego ludzi jedyna chwalebna fraza tego zarządzenia; reszta to pobożne brednie. “Czyżby był zazdrosny? — pomrukiwali złośliwie marynarze, zapoznawszy się z tym postanowieniem swego kapitana. — Może on nie chce kobiety, ale my chcemy! Spójrzcie tylko na te jego nowe zarządzenia! Czy myśli, że jesteśmy małpami?”

Zarządzenia, ogłoszone przez Cooka, gdy tylko zainstalowali się na Hawajach, były ścisłe i jasne, a także konieczne (tak on uważał) z powodu pewnych ekscesów w czasie minionej podróży na północ do wybrzeży Alaski.

Zastali tam Indian i Eskimosów, dzikie, nieokrzesane szczepy, wśród których trudno było odróżnić kobiety od mężczyzn: małego wzrostu, brudnych, cuchnących rybim olejem i dymem z drewna, z twarzami pomazanymi na czerwono, biało lub czarno. Mężczyźni mieli krzywe nogi od długiego siedzenia w kanu, kobiety też, z powodu nadmiernych wysiłków.

Wprowadzało równowagę wśród tych barbarzyńskich dzikusów rosyjskie osiedle handlarzy futrami. Jedni z nich mieli swe rodzinne miejsce zamieszkania po drugiej stronie Cieśniny Beringa, inni przybyli aż spod Moskwy. Rządzili sami swoim małym imperium, trzymając je w mocnych kleszczach, z czym się James Cook dotychczas nie spotkał.

Byli to dziwni ludzie. Przybyszów z “Resolution” witali na różne nieprzewidziane sposoby: czasem gromko wyrażali zbratanie, podlewając je potokami wina i przysięgając wieczną przyjaźń, to znów z ponurą podejrzliwością, jakby Cook i jego marynarze byli szpiegami pragnącymi ukraść im ziemię.

Wkrótce okazało się, że ci Rosjanie traktowali kobiety Alaski z pogardliwą wyższością

panów, czego ukoronowaniem było zaprowadzenie chorób wenerycznych, powszechnie i trwale. Marynarze z "Resolution" i z "Discovery" stali się ich nieszczęsnymi dziedzicami.

Przez całą drogę na południe ku Hawajom lekarze okrętowi mieli pełne ręce roboty, a załoga była przygnębiona. Żeby zarazić się czymś takim od takich paskudnych bab! Czyż piliby chętnie olej wielorybi tylko dlatego, że tak łatwo przelatywał przez gardło!

Będąc jednak marynarzami, po zacumowaniu w zatoce Kealakekua od razu okazywali gotowość do dalszych spotkań. Te ciemne wyspiarskie kobiety były przynajmniej piękne i swobodne — i niech diabli wezmą zapalenie napletka!

Cook był zdecydowany nie dopuścić, by tą drogą wyrządzili krzywdę ich prostodusznym gospodarzom. Jego szczególne upodobanie w tych Wyspach Hawajskich datowało się od czasu, gdy przybył tu

po raz pierwszy na krótkie dwa tygodnie przed trudną wyprawą na północ; był wtedy zaskoczony i wzruszony przyjęciem go przez wyspiarzy. Kilkuset mężczyzn padło plackiem twarzą do ziemi w chwili, gdy jego stopa dotknęła plaży; przyjęto go jak boskiego króla i nie zdarzyło się prawie nic, co by zmąciło to bajeczne powitanie.

Kanu, przystrojone zielonymi liśćmi palmowymi lub białymi, pokojowymi płachtami płótna, co dzień zbierały się tłumnie wokół "Resolution". Handel był ożywiony i zyskowny: świnie, jamsy i owoce płynęły na pokład tak szczerze, że zapobiegliwy marynarz mógłby narzekać, iż dostał tylko dwie duże ryby za jeden żółty paciorek. Spleśniała, cuchnąca solanka zawartość beczek z solonym mięsem poszła w zapomnienie wobec codziennego objadania się rajską strawą.

Na lądzie trwało ucztowanie i zabawa, która w ostatnią noc ich pobytu osiągnęła wprost królewski szczyt. Na skraju plaży przygotowano dla nich wielkie stosy jamsów, wysokie na trzydzieści stóp i ukoronowane pieczonymi prosiętami. W żółtym blasku gorejących pochodni tańczono tańce dreptane, tańce ze śpiewem, tańce naśladowujące akt miłosny, z narastającą wybuchową witalnością, ku rozkoszy wszystkich zmysłów. Silni mężczyźni rozgrywali mecze bokserskie, a kobiety, nagie do pasa, zwierły się ze sobą w zapasach, marnując w ten sposób (zdaniem co lubieźniejszych widgów) swoje najlepsze talenty.

W tym wszystkim ich ubodzy gospodarze byli szczerzy ponad wszelką miarę, a po

odpłynięciu "Resolution" pograżyli się w smutku. Teraz wracając Cook był przekonany w głębi serca, że nie może im się odpłacić plugawymi darami, jakie jego ludzie mogli tu

przywieźć, tak więc w chwili, gdy wierne kanu zaczęły znów gromadzić się wokół miejsca, gdzie zacumowali, ogłosił swoją "księgę zasad". Były one ułożone na miarę świętych i nie nadawały się dla nikogo innego.

Bez zezwolenia kapitana na żaden z obu okrętów nie może wejść kobieta pod żadnym pozorem. Każdy wartownik współdziałający w jej wejściu zostanie ukarany. Zostanie też

ukarany każdy mężczyzna chory wenerycznie lub podejrzany o to, a mający stosunek z

kobietą. Żaden chory wenerycznie pod żadnym pretekstem nie otrzyma pozwolenia zejścia na ląd. Żaden marynarz, zdrowy czy zarażony, nie pozostanie na noc na lądzie.

Marynarze poczuli się oburzeni. Czy po to przepłynęli połowę drogi naokoło świata, żeby na końcu przyjąć święcenia kapłańskie? Czy ostatni smak miłosnej rozkoszy ma pochodzić od przysadzistej, nieforemnej, śmierdzącej rybą baby z Alaski, zdejmującej z siebie po kolei bieliznę ze śmierdzącej skóry morsa, żeby ofiarować swe niebiańskie wdzięki — i

moskiewskiego trypra?

Wyspiarskie kobiety z Hawajów, odepchnięte, znieważone afrom-tem, bardzo się rozgniewały. "Czy nie jesteśmy dosyć dobre?" — wrzeszczały, gdy je odpędzano.

Dla załogi było rzeczą niemożliwą zrozumienie delikatności Jamesa Cooka. To jego ludzie nie byli dosyć dobrzy. To jego ludzie, jak tylko mogli, lekceważyli jego zarządzenia,

wywołując nastrój dezercji i robiąc w ten sposób głupców ze swoich oficerów i, jak się wydawało, obłązonego tyrana z ich dowódcy.

Ten zaś miał inne, prześladowające go zmartwienia. Bardzo psuły mu nastrój dokonywane

przez wyspiarzy kradzieże, które zauważył już przedtem; ale teraz stały się tak zuchwałe i bezczelne, że były jak choroba — dorównująca tej innej, która takim ciężarem leżała mu na sumieniu.

Kradzież dla tych hawajskich niewiniątek, przybyłych teraz tłumnie do zatoki Kealakekua, była rodzajem rozrywki, aktem odwagi, pożądaną nagrodą za to, co ofiarowali, czy w postaci kobiety, prosięcia, czy drewna na stengę, a także kpina z tych wszechmocnych bogów, których moc może jednak nie była absolutna. Ześlizgiwali się więc ze swoich kanu do wody i zakradali na burtę — czasem w biały dzień, czasem nocą; zabierali wszystko, co leżało luzem, i dawali z powrotem nurka, jak ośliźle węgorce z chwytliwymi rękami.

Znikały najdziwniejsze przedmioty: pojedyncze wiosło, gwóźdź, kłębek szpagatu, śruba od windy kotwicznej, ket\*, wycior od muszkietu wartownika. Z kajuty Cooka zginął jego złoty zegarek, lecz został zwrócony pod groźbą surowej kary. Ale następnej nocy spróbowano

odciąć i odholować jedną z łodzi "Resolution". Nie było granic zuchwalstwa ani odpoczynku od niego.

Midszypmen Mateusz Lawe, któremu zabrano nasadkę z brązu od lunety — bezużyteczną

dla każdego, poza nim samym — uznawszy to ze smutkiem za pech, bardziej się interesował

obserwowaniem, jak załoga "Resolution" traktuje to nieustanne nękanie. Marynarze, jak zawsze ludzie, których skromny dobytek nie był w niebezpieczeństwie, mogli być tolerancyjni.

Niechże ci Indianie ukradną okręt, jeśli potrafią! I niech im będzie na zdrowie!

Niektórzy oficerowie okazywali dezaprobatę, zwłaszcza młodszy, którzy nigdy się dotąd nie spotkali z taką niewdzięcznością. — To największy złodziej świata — oświadczył najmłodszy midszypmen, wyrzucając cały Ocean Spokojny ze swojego prywatnego atlasu. Żał mu było

anglikańskiej książeczki do nabożeństwa, oprawnej w skórę owiec z Suffolk, pożegnalnego prezentu od matki. — Te wesołe pyzate chłopaki to straszne huncwoty!

Inni oficerowie, podobnie jak podwładni im marynarze, byli bardziej szczodroblivi. A

więc tubylcy są zwinni w palcach? A więc są chciwi? Zazdrośni? A więc okradają

przejezdnych gości? A czegoż innego można się było spodziewać? Jeśli złodzieje zorientowali się, że można z tego się śmiać jako z żartu, to bogaci marynarze — a oni wszyscy byli bogaci w tym prymitywnym świecie — bogaci marynarze też mogą się śmiać i puścić rzecz w niepamięć.

Był jednak wśród nich jeden, który — rzecz zadziwiająca — nie mógł niczego zapomnieć.

To złodziejstwo najgorzej odbiło się na samym Jamesie Cooku. Najpierw się irytował, potem złościł, potem unosił się wielkim gniewem, aż w końcu zaczął się mścić.

Był zły, po pierwsze, z powodu afrontu sprawianego jego dumie, a po drugie, bo kochał ten

"zdecydowany"\* okręt, który wiozł go tak daleko i wiernie w dwóch wielkich wyprawach. Nie mógł patrzeć, jak go obrabowują... Sam wybrał i przyprowadził dla Zarządu Admiralicji ten 460-tonowy węglowiec aż z Whitby, tej północnej angielskiej kolebki statków i marynarzy, gdzie dawno temu praktykował jako młodzieniec.

"Resolution" była idealna dla jego zamiarów: dostatecznie głęboka na śródokręciu, żeby pomieścić zapasy na trzy lata, wystarczająco mocna, żeby zetknięcie z dnem morskim nie

powodowało uszkodzeń, do tego bardzo wytrzymała i uzbrojona w dwanaście dział na

wypadek sporu z ludźmi obojętnej rasy, sprzeciwiającymi się jej przejściu. Od dokonania tego korzystnego zakupu przed ośmioma laty służyła dobrze jemu i całemu światu.

Teraz nie będą jej plądrować i lekceważyć ci, których przyjmował serdecznie na jej

pokładzie, ludzie, z którymi się zaprzyjaźnił, których leczył i ratował od burz i głodu; których już obsypał darami mogącymi mieć dobroczynny wpływ na całe ich życie, obejmującymi

woły, jałówki, konie, klacze, owce, kozy, króliki, ptactwo domowe oraz maciory, nowe

rośliny, drzewa, nasiona, nowe przyrządy do łowienia ryb i narzędzia do uprawy roślin.

Podjmie wszelkie niezbędne kroki, żeby zapobiec takiej zniewadze lub do niej zniechęcić.

Oficerowie nie mogli nie zauważyć nowej surowości w zachowaniu dowódcy, którą zaczął

przejawiać od chwili, gdy mieszkańcy zatoki Kealakekua wrócili do swoich dawnych

sztuczek. Nie potrafili milczeć, gdy złodzieje — uśmiechający się rozbijając po złapaniu na gorącym uczynku — byli związani i chłostani, a inni nieświadomi złoczyńcy puszczani na pośmiewisko z ogolonymi głowami albo brutalnie karani obcięciem uszu. James Cook z tych ostatnich, surowych dni nie był tym samym człowiekiem co przedtem.

W ciasnej mesie, gdzie wszyscy spożywali razem południowy posiłek — z wyjątkiem

kapitana, który jadł w swojej kajucie — rozmawiano ze swobodą ludzi, którzy żyjąc przez lata obok siebie i przebywszy tysiące mil morskich, kochali i szanowali swego dowódcę bez

zastrzeżeń, a teraz widzieli, jak przestaje być człowiekiem ludzkim i staje się posępnym i mściwym.

Było ich siedmiu, gdyż pozostali dowodzili oddziałami, które wyprawiły się na ląd w

poszukiwaniu drewna i wody: pierwszy oficer John Gore, najstarszy rangą po samym Cooku; drugi oficer James King, ten wykształcony i przystojny młodzieniec, którego romantyczni wypiarze uważali za potomka Cooka; trzeci oficer John William-son, porywczy Irlandczyk ze skłonnością do używania siły, budzący wśród kolegów tylko dwa uczucia: niechęć lub

nienawiść; oraz midszypmen James Trevenen, zdolny młodzian z Kornwalii o żywym

usposobieniu, który uwielbiając Cooka potrafił mówić o nim "Despota".

Następny w okrętowej hierarchii był George Vancouver z "Discovery", który przebywał

tu w jakichś morskich sprawach; jeszcze jeden midszypmen, awansowany, podobnie jak

Mateusz Lawe, z wykwalifikowanego marynarza, już doskonały nawigator i — jak James

Cook — całkowicie oddany sprawie odkrywania nie odkrytego świata, i Dawid Nelson, ogrodnik z Kew\* (lecz ogrodnik mający przyjaciół wśród wielkich tego świata, którzy go wysłali jako "botanicznego kolekcjonera"); zapalony przyrodnik, niechętnie rozstający się ze swymi ukochanymi nasionami, roślinami i kwiatami, żeby coś zjeść.

Wreszcie był wśród nich Mateusz Lawe, noszący teraz dumną odznakę towarzysza "trzech wypraw" kapitana Cooka, który piał się w górę wśród ludzi i umysłów mających wielkie osiągnięcia w świecie, wciąż potrafiącym go zdumiewać.

W tej chwili zdumiał go porucznik Williamson, irlandzki "poły- kacznik", który będąc tego ranka świadkiem wymierzania kary, tak grzmiał na ten temat:—Powiadam, niech obcina im uszy! Co do mnie, może im też obcinać genitalia! Ci tubylcy rozumieją tylko jeden język, i jak będą nas rabować, to powinni go usłyszeć, głośno i wyraźnie!

Mateusz, znający swoich towarzyszy, był gotów się założyć, że tylko Williamson miał taki surowy pogląd na sprawę, a wszyscy pozostali nie zgadzali się z nim. Wystarczyło bowiem, że ten irlandzki bufon powiedział "tak" na jakikolwiek temat, aby każdy, kto go słyszał, odparł

"nie" — i to się sprawdziło

Nastąpiła cicha pauza na żucie — tego dnia podano pieczone prosię, czego nie należało marnować dla sporu—po czym James King, przełożony Williamsona, wyraził przeciwny pogląd:

— Obcinanie uszu i genitaliów? Kim my jesteśmy... królami ludożerców? Nieszczęsny rabuś, który na naszych oczach właśnie krwawił i płakał, to młody Mourea, bratanek wodza.

Znamy go. A cóż ukradł? — pokrywę od baryłki na wodę! Co dla nas znaczy pokrywa od baryłki? Cieśla Reuben może w pół godziny zrobić drugą z drewna wyrzuconego na brzeg.

— To nie była pierwsza kradzież Mourei — zaprotestował ostro Williamson. — O tym też wiemy.

— Więc co?

Williamson uśmiechnął się krzywo. — Uważam, że ta będzie ostatnia. Taki sam los spotka też innych nicponi.

— Taka kara jest za wysoka.

Inni poparli obiekcje porucznika Kinga. Wszyscy, każdy na swój sposób, uznali, że Cook

zbyt okrutnie potraktował młodego hultaja, zawsze mile tu witanego, zjawiającego się na okręcie, gdy mu się zachciało pokazać swoim przyjaciołom jedną czy dwie zdobycze. Nawet ogrodnik Dawid Nelson, zwykle milczący, zatopiony w swych marzeniach, zgodził się, że cena jest za wysoka.

— Ucho za pokrywą baryłki — powiedział swoim powolnym głosem.—Cóż to za żydowska transakcja! Co za zemsta! Nie mściłbym się krwią na roślinach.

— Chyba żeby szło o twoje — rzekł midszypmen Trevenen.

Nelson wyszczerzył zęby. Nie wypierał się swojej pasji. — To co innego.

George Vancouver, przybysz z "Disco very", rzekł: — Na naszym okręcie nie jesteśmy na pewno tak surowi.

— A co wam zabrali ci złodzieje? — zapytał pogardliwie Williamson.

Dobrze wychowany gość odparł wymijająco: — Nic takiego, na co nie byłoby nas stać.

— Tak właśnie uważam—poparł go midszypmen Trevenen swoją miękką kornwalijską mową, która przywodziła na myśl gęstą śmietanę, wieś i mleczarki, wszystko naraz. — Jeśli nie stać nas na pokrywą od baryłki, to wszyscy powinniśmy spać w grobach żebraków! To okropne! Tylko Despota chce egzekwować taką karę.

Ze szczytu stołu przerwał mu ostrzegawczy kaszel pierwszego oficera Johna Gore'a. Ten

ociężały siwy mężczyzna, budzący zaufanie i nie szczędzący sił wół roboczy, miał respekt dla szarży. Dla młodych lekkoduchów z załogi był zawsze "Starym Gore" — jedną nogą w grobie (znów określenie Trevenena nie mającego szacunku dla starszych), a drugą na skórce banana.

Lecz po trzech wyprawach odbytych z Cookiem ten żeglarz miał niewątpliwie autorytet.

— Panie Trevenen.

— Sir?

— W świetle tego, co widzieliśmy rano, może się wydawać despota, ale nie jest despota w stosunku do pana.

Młody Trevenen mógł się spodziewać ostrzejszej nagany. Powodowany swą prostą,

pogodną naturą podskoczył na siedzeniu i zawołał: — Sir, z całym szacunkiem, mogę na

dowód pokazać bliźny.

Porucznik Gore popatrzył na niego uważnie. Znał charakter tego midszypmena, w niczym

nie przypominający jego samego nawet sprzed trzydziestu lat, potrafił jednak odczytać oznaki i zapowiedzi młodzieńczej błazenady, bliskie przekroczenia granic rozwagi. — Więc... proszę nas nie trzymać w niepewności. Co to za bliźny?

Po raz pierwszy od chwili, gdy zasiedli do stołu, midszypmen Trevenen wypuścił z rąk nóż i widelec i pokazał otwarte dłonie. Były rzeczywiście stwardniałe, a w miejscu, gdzie dłoń i palce zaciskają się na wiosła, spękane i pokryte pęcherzami. — Sir, dwa dni temu zrobiliśmy na wiosłach dwadzieścia osiem mil, pływając tam i z powrotem wzdłuż brzegu i prowadząc z kapitanem sondowania. Prawie padaliśmy...

— Ale nie padliście.

— No... nie, sir!

— Dobra robota — odrzekł stary Gore. — Musimy znów pana wypróbować do granic wytrzymałości.

Zebrani przy stole roześmieli się. Midszypmen, zbity z pantafelku, rozejrzał się, szukając sprzymierzeńców, i złapał spojrzenie Mateusza. — Mateuszu, ty cierpiełaś razem z nami.

Wszyscy harowaliśmy, jak tureccy galernicy. Pokaż im swoje pęcherze!

Mateusz, widząc jak zręcznie John Gore odwrócił rozmowę od surowości kapitana ku

okropnym wysiłkom midszypmena, zdecydował się postąpić podobnie. — Pewnie że mam na

rękach pęcherze po tym całym wiosłowaniu. — Pokazał dłonie i wszyscy zobaczyli, że mówi prawdę. — Jeszcze większe, jak chcecie wiedzieć, mam na tyłku, ale nie będę ich wam

pokazywał... Co tam pęcherze... Jesteśmy marynarzami! Gdybym nie miał pęcherzy tam, gdzie mają być, pomyślałbym, że jestem urzędnikiem albo rachmistrzem.

James Trevenen, znów zbity z tropu, w ostatnim wysiłku ratowania swej tracącej grunt

argumentacji, szybko zmienił front. — Słuchaj, Mat! — rzekł, jakby miał przed sobą

przebiegłego prawnika — nie mówimy o pęcherzach na twoich dłoniach... ani na twoich

pośladkach... i musisz to przyznać.

— Ty mówisz o nich.



— Nawiasowo.

Porucznik King, niewiele lat temu midszypmen, nie mógł sobie odmówić błyskawicznego wtrącenia się. — Co to był za okręt? “Parenthesis”\*. Mam na myśli starego “Parthenona”...

Z kornwalijskim uporem Trevenen walczył z kpiarzami. — Chodziło mi o to, że mówiliśmy o cierpieniach innych ludzi, a nie o naszych. — Znowu zwrócił się do Mateusza: — Zapomnij o reszcie. Nie chodzi o pęcherze, lecz o rozlew krwi! Kradzieże i kary! Co myślisz o tym? Było to sedno całej ich rozmowy, i nie można było go zignorować. Mateusz mógł tylko wypowiedzieć swoje spokojne zdanie, które, jak sądził, wszyscy podzielali.

— Uważam, że on się zmienił.

Ta opinia mogła wystarczyć, żeby przeszli z grząskiego gruntu na bezpieczny, lecz porucznik Williamson, ten wybuchowy choleryk, tylko czekał na podjęcie awantury na nowo.

— On się n i e zmienił — powiedział głośno, patrząc przez stół na Mateusza. — Zmienił się ludzie wokół niego. — Niewątpliwe oskarżenie o nielojalność zmroziło obecnych w mesie, a Williamson nie omieszkał jeszcze bardziej zmrozić nastroj. — Cook jest naszym dowódcą.

Może ustalać zasady, czy to dla nas, czy dla tych indyjskich złodziei. Może też określać karę.

— Już nie patrzył wyłącznie na Mateusza, lecz płomiennym wzrokiem toczył kolejno po twarzach kolegów w mesie. — Obiecuję wam — dodał tonem groźby — że jak to gadanie dojdzie do niego, może wymierzyć oszczercom karę, przy której obcięte ucho wyda się pocałunkiem w policzek!

Mateusz nie odważył się wyrzec ani słowa odpowiedzi; milczenie

1 uległość nakazywała nie tylko szarża oskarżyciela, lecz także wściekłe oczy w nabiegłej krwią twarzy. Ale był przecież wśród nich ktoś, kto nie musiał znosić potwarzy i nie zniósłby jej ani przez chwilę. Był nim przełożony Irlandczyka, porucznik King, stojący na szczęście o jeden szczebel wyżej na drabinie służbowej.

— Panie Williamson! — rzekł głosem, jakim nigdy dotąd nie przemawiał. — Skoro mówi pan tak otwarcie, to i ja sobie na to pozwolę... Użył pan słowa “oszczercy”. Nie ma tu takich.

Byliśmy lojalni wobec kapitana i dalej będziemy — może bardziej lojalni od niektórych, co głośno o

tym trąbią... Rozmawialiśmy o tej okrutnej karze, bo stanowiła dla nas wstrząs, zwłaszcza że zarządził ją człowiek, którego kochamy i szanujemy.

Williamson nie dał się zastraszyć. — Dziwny szacunek! — powiedział złośliwie. — Przy takim szacunku, czy potrzeba braku lojalności, żeby obalić kapitana?

Nie wiadomo, do czego ta wielka zniewaga mogłaby doprowadzić

— do ostrej nagany dla wszystkich ze strony pierwszego oficera, do dalszej burzliwej kłótni, a nawet ciosów — na szczęście w tym momencie wszystkich zaabsorbowało coś innego.

Ich okręt, "Resolution" — ich dom-forteca przez tak długi czas

— zaczął się przechylać, tak że snop światła słonecznego wpadający przez luk przesunął się z jednego końca stołu na drugi. Z zewnątrz dobiegły zmieszane odgłosy: wołanie, gwar głosów, uderzenia młotka, tupot, szuranie po burcie okrętu. "Resolution" dalej się przechylała, w miarę jak jej wyładowany kadłub był coraz bardziej obciążany.

Z długiego doświadczenia wiedzieli, co to za obciążenie. To był napad! Ale taki napad

zdarzał się codziennie. A obciążenie zaś to trzysta, czterysta lub pięćset ciał ludzi

opuszczających kanu i wspinających się po burcie dla złożenia popołudniowej wizyty.

Przybywali, żeby handlować, przyglądać się albo kraść. Ale nie zabijać. W tej palącej

chwili więcej było chęci zabijania w mesie oficerskiej niż na wszystkich nadburciach i górnych pokładach ich prywatnej arki.

W ciszy, jaka zapadła na dole, z pokładu rufowego dobiegł silny głos kapitana:

— Panie Bligh!

— Sir?

— Będę wdzięczny za wywołanie załogi.

— Tak jest, sir.

Nikt na "Resolution" nie robił tego chętniej niż kapitański zastępca, William Bligh.

Bligh, nawigator, był zagadką dla wszystkich, a do wściekłości doprowadzał

nieszczęśników, którzy stali się przedmiotem smagnień jego języka lub kąśliwego,

dziwięciopalczastego keta jego bosmana. Oficerowie, bezpieczni za swoim małym szańcem

rangi, nie mogli zrozumieć, jak dwudziestoletni młodzieniec mógł zostać mianowany

zastępcą kapitana, a załoga, niosąca przerażający krzyż jego władzy nad nią, nie potrafiła pojąć, czemu diabeł dawno temu nie przytulił do serca tego człowieka i nie sprawił, żeby zostawił ich w spokoju.

Z jednej strony Bligh był natchnionym nawigatorem, doskonale prowadził okręt,

odnajdywał gwiazdy i przystanie; w towarzystwie starego Jamesa Cooka i młodego George'a Vancouvera nie musiał się wstydić. Ale przy zaledwie dwudziestu jeden latach życia dłuższa praktyka niewątpliwie nie wyszłaby mu na złe... Z drugiej strony urodził się, jak porucznik Williamson, żeby obrażać, żeby się sprzeczać, tak dalece jak się odważył, ze swoimi

przełożonymi; lekceważyć równych sobie, a wszystkich marynarzy będących pod jego rozkazami

\traktować z groteskową gwałtownością rzymskiego tyrauna znęcającego się nad słabszymi.

Wszyscy wokół niego byli głupcami lub łotrami... James Cook, który cenił umiejętności

Bligha jak najwartościowszą część uzbrojenia "Resolution", raz skarcił go mówiąc: "Nie zdobywa się przyjaciół obrażając ich". Jeśli William Bligh w ogóle wziął sobie tę lekcję do serca, nie zostało to zanotowane ani w pieśni, ani w opowieści od jego urodzenia do śmierci.

Dawid Nelson, ogrodnik z Kew, znał najlepszą ze wszystkich pieśń i opowieść o Blighu i

kiedyś przekazał ją Mateuszowi podczas spokojnej wachty kotwicznej opodal Tongatapu na

Wyspach Przyjacielskich\*, gdy Mateusz sprawował dowództwo nad pokładem, Nelson,

którego rośliny spały, nie miał nic do roboty, a Bligh był na lądzie ze złamaną kością skokową.

— Chciałbym, żeby to był jego kark! — zawołał Nelson, gdy ta wiadomość dotarła na

okręt, nie pogrążając go bynajmniej w żałobie. Było rzeczą zdumiewającą, że ten spokojny, miły człowiek wypowiedział te słowa. Ale miało przyjść ich jeszcze dużo więcej.

Gdy Mateusz skończył dozór nad wciąganiem skifa, a okręt pogrążył się w spokojnych

objęciach ciepłej magii tongijskiego zmierzchu, zapytał tylko: — Dawidzie, czemu tak ostro?

— Natychmiast w odpowiedzi usłyszał dużą porcję powodów tego.

— Można darować brutalność, z jaką odnosi się do załogi — odparł Nelson. —

Przypuszczam, że uważa się ją za konieczność, chociaż muszą pewnie być lepsze sposoby

zagonienia chętnego marynarza do pracy niż wpędzanie go na takielunek waleniem po plecach laską trzciniową. Nie jestem surowy dla moich roślin, a przecież one rosną dla mnie... Być może marynarze nie dorastają do miłości.

— Każdy kapitański zastępca musi utrzymywać twardą dyscyplinę — powiedział

Mateusz.

— Nasz zastępca nie powinien znajdować w tym takiej przyjemności... Ejże,

midszypmenie Lawe... — W ciągu swoich podróży zaprzyjaźnili się bardzo i mogli swobodnie z siebie pokpiwać. — Masz zrogowaciałe pięści, ale wiem, że serce twoje miękkie jak pączek lotosu. T y nie potrzebujesz trzciny ani groźby jej użycia, żeby zasadzić kogoś do pracy. Ale niech tak będzie. Zostawię marynarzom dyscyplinę. Czy wiesz, że pan Bligh interesuje się roślinami?

— Tak, nawet bardzo.

— I zabiera je, jak tylko może! Wiedziałeś, że kolekcjonuje rośliny?

— Nie.

— Niektórzy nazwaliby to kradzieżą... Pewnej nocy zobaczyłem

go, jak kolekcjonował moje. Tylko że one nie są moje. Są przeznaczone dla Ogrodów Botanicznych, a więc dla króla. A on był w moim ogrodzie i tak zręcznie manipulował palcami, jak byle Cygan podkradający rzepę!

Dawid Nelson miał na pokładzie swój własny raj, jak przystało zapalonemu ogrodnikowi z Kew, wysłanemu naokoło świata dla prowadzenia zleconych mu prac. Był to pachnący zakątek, otoczony troskliwą opieką i dogładany, jakby to była pierwsza kołyska na świecie.

Rosły tam obficie owoce i kwiaty, czekając na chwilę, aż będzie można wypróbować ich hodowlę gdzie indziej, w interesie nauki lub — ściślej — z miłości do rodzaju ludzkiego.

Były tu pszczoły, które przepłynęły dziesięć tysięcy mil, ptaki, które witały chórem tysięcy świtów i czule żegnały dnie śpiewanym wieczornym nabożeństwem.

W inspektach, i ogrzewanych, i chłodnych, maleńkie pędy, które będą ogromnymi

drzewami, warzywa, które sprawią, że pewnego dnia w Anglii, na Oceanie Spokojnym czy na dalekich Wyspach Karaibskich na ich widok pocieknie ludziom ślinka, a głodujący będą mogli przeżyć, jeśli rośliny przetrwają tę zdumiewającą podróż, uszeregowano w rzędy, jak żołnierzy

nadziei — tyle że płynąc na "Resolution" były żeglarzami i gdyby mogły mówić, byłyby z tego ogromnie dumne.

W tym raju pewnej nocy Nelson zastał węża.

— Zszedłem pod pokład — opowiadał Mateuszowi — żeby dać parę kropel wody drzewkom chlebowym. Był suchy, upalny dzień i wszyscy go odczuliśmy. A tam był pan William Bligh i odkładał na bok niektóre z moich najlepszej jakości roślin!

— Odkładał na bok?

— Żeby je ukraść!

Teraz opowieść Nelsona stała się liryczną odą do walki.

"Co to znaczy? — zawołał do Bligha. — Niech pan ich nie dotyka! Proszę odłożyć je z powrotem!"

Słyszając go, Bligh odwrócił się, ale wcale nie był zbity z tropu. "Zabiorę je — odrzekł twardo, li Chcę je wypróbować na innym gruncie".

"Pan ich nie dostanie!"

Nelson znał swoje miejsce na okręcie i nigdy nie wychodził poza nie. Znał też swoje obowiązki, które były takie same jak każdego innego pasażera na każdym statku na oceanach: dobrze się zachowywać i spełniać prawowite rozkazy kapitana. Nic mniej i, na Boga, nic więcej!

Powtórzył jeszcze raz: "Pan ich n i e dostanie. To nie pana sprawa!"

"Jestem zastępcą kapitana — rzekł młody Bligh, nadymając się jak indyk, gotowy wpaść we wściekłość. — Wszystko, co się dzieje na tym okręcie, jest moją sprawą".

„Ogród jest mój".

"Jest częścią okrętu".

"To moja część okrętu".

Gwałtowny spór, zaburzający spokój ogrodu, przy świetle łotrowskiej latarki Bligha,

oświetlającej migotliwie zarówno bujną zieleń, jak i gniewne twarze mężczyzn, przeszedł w wielką tyradę nawigatora na temat jego władzy nad wszystkim i pełną oburzenia obronę przez Nelsona z kolei zakresu jego władzy. A zakończył się tak:

“Na Boga, panie Nelson, każę pana wychłostać na kabestanie za zuchwalstwo!”

“Na Boga, panie Bligh, doprowadzę pana do więzienia za kradzież własności Korony!”

Mateusz czekał na ciąg dalszy, ale wyglądało, że na tym opowieść się kończyła. Ponaglił zamkniętego Nelsona: — I co potem? Co zrobił Bligh?

- Nic. Tak jak przypuszczałem, kiedy zaczął swoje pyskowanie. Znam takich ludzi i ty też.

Są surowi tylko wobec tych, co nie mogą im się odciąć. Wszyscy zadziorni młodzieńcy są tacy sami. Ale gdy dorastają do wieku męskiego...

— Naprawdę nic więcej nie powiedział? , — Ani słowa. Ale patrzy na mnie wilkiem, jak się spotykamy... Nie jestem marynarzem, którego można zmusić do posłuszeństwa czy wychłostać na kabestanie, i on wie o tym. A kapitan Cook wie najlepiej i porządnie by go zwymyślał. W tym jest moja siła. Jestem czymś mniej niż marynarzem i dzięki temu nie podlegam okrucieństwu Bligha. Ale... — znowu wyrzekł to ostrzegawcze słowo — gdyby ten człowiek dorwał się do dowództwa bez nikogo nad sobą, gnałby załogę ponad granice wytrzymałości. Któregoś dnia na jakimś statku na jakimś oceanie znajdzie tak daleko.

•— Co wtedy?

Dawid Nelson wzruszył ramionami. — Tylko jedna rzecz może się zdarzyć, gdy... Lecz zakończył już swoją opowieść i teraz, odwróciwszy wzrok od Mateusza, patrzył na odległą linię brzegu. Tongatapu chowała się w aksamitny mrok; purpurowa linia za białą plażą to były cienie drzew i zbocze wzgórza, nad którymi widać już było tylko nocne niebo i nieśmiało zerkające gwiazdy.—Przyjacielskie Wyspy—mruknął. — Kto mógłby je zniszczyć? Kto

mógłby popsuć taki wieczór jak ten dziś? — Odwrócił się. — Chcesz zobaczyć jamsa świeżo zaszczerpionego na łodydze bananowca?

Dla Mateusza nie był to najprzyjemniejszy sposób spędzania wolnego czasu, ale musiał podtrzymywać przyjaźń. — Czemu nie... owszem.

— To zostaw pokład bosmanowi i chodź ze mną.

Gdy marynarze zebrali się na surowy rozkaz Bligha, który rozciągał się i na wyspiarzy, zakłócających spokój na okręcie i zapędzonych na dziób, gdzie pozostawali pod silną strażą żołnierzy piechoty morskiej do czasu, aż kapitan zrobił, co do niego należało—James Cook zwrócił się do załogi.

Swoim zwyczajem, który drażnił ludzi, przez pełną minutę patrzył na nich w dół z pokładu rufowego, zanim zaczął mówić, a oni czekali cierpliwie na wszystko, cokolwiek mogło się zdarzyć, czy ogłoszenie napelniającego radością wolnego od pracy dnia, czy wezwanie do

obecności przy wymierzaniu kary. W górze nad sobą widzieli człowieka, któremu, choć

niezadowoleni, wciąż ufali: surowego, posępnego, posiwiałego mężczyznę, smukłego jak nie gnące się drzewo, który przez trzy długie lata mocno trzymał w rękę okręty, ludzi, kursy okrętów i dokonywane lądowania.

Wyglądał imponująco w granatowym kapitańskim żakiecie, lśniącym od złotych galonów i

guzików, w stosowanym\* kapeluszu i białych bryczesach do kolan, z symbolem swojego

urzędu — oprawną w mosiądz lunetą z rączką ze szkarłatnej skóry; mężczyzna ubrany w

sposób odpowiedni dla jego niekwestionowanego autorytetu, a jednak tajemniczy i samotny pod ciężarem dowództwa.

To, co widział James Cook, pozostało w nim zamknięte. To, co im teraz przekazał, było

dalszym wykładem na temat zachowania, a raczej czymś więcej niż wykładem, bo po raz

pierwszy powiedział im, że odpływają.

— Odpływamy jutro—oznajmił stanowczym tonem, bez żadnych wstępów. — Będzie to

więc nasza ostatnia noc na tych przyjaznych wyspach. Chcę, żeby nie zmałyły jej żadne

ekscesy. Będzie uczta pożegnalna na brzegu i jakaś ceremonia. Swoim zachowaniem musicie przynieść zaszczyt okrętowi. Jeśliby tak nie było, jak zwykle będzie wymierzona kara... A ja odpłynę jutro rano z pełnym składem załogi. Nie życzę sobie dezertarów. Jesteście

marynarzami "Resolution", i nie zostawię na lądzie nikogo, żeby żył sobie łatwo jako szczur lądowy. Wszyscy maruderzy będą ścigani i dostarczeni na pokład przez mego przyjaciela,

wodza Paleę. Tyle mi obiecał i tyle ja wam obiecuję. Pamiętajcie o tym!

Przerwał, aby wzmocnić efekt groźby, która nie była niczym nowym—ani czymś, co

można było zlekceważyć. Następnie przeszedł szybko do wydawania szeregu rozkazów,

suchych i jasnych, jak zawsze:

— Panie Bligh! Proszę odesłać załogę. Nie będzie handlu z tubylcami na rachunek okrętu; na dzisiejszej wieczornej ceremonii dostaniemy prezenty, a okręt już jest prawie wypełniony...

Panie King!

Wszystkie łodzie mają być gotowe o szóstej do odpłynięcia na ląd. Połowa żołnierzy zostanie na pokładzie, reszta popłynie z nami jako straż. — Potem bardziej oficjalnie, jak tego

wymagała szarża: — Poruczniku Gore!

— Sir? — odpowiedział stary pierwszy oficer.

— Proszę przyjść z panem Blighem jutro rano do mojej kajuty po rozkaz odpłynięcia...

Midszypmenie Lawe! Weźcie skif, popłyńcie na "Discovery" i zaznajomcie kapitana Clerke'a z moimi zamiarami. Niech jego łodzie dołączą do naszych o szóstej.

Mateusz, który stał tuż pod relingiem pokładu rufowego, wpadł na pomysł przyspieszenia sprawy. — Sir, pan Vancouver z "Discovery" jest u nas.

— Naprawdę? — odrzekł Cook głosem, który wszystkich przeraził. — Mam nadzieję, że zadbaliście o niego... — Następnie, jakby nacisnął sprężynę magicznego zegarka i odzyskał

trzydzieści sekund straconego czasu, dodał: — Midszypmenie Lawe! Weźcie skif, udajcie się na "Discovery" i zaznajomcie kapitana Clerke'a z moimi zamiarami. Niech jego łodzie dołączą do naszych o szóstej.

James Cook mógł, gdy chciał, być twardy, bardzo twardy.

Załoga rozproszyła się, pomrukując o nieudanych planach i miłościach utraconych na zawsze; oficerowie, bardziej dyskretni, spełniali swoje obowiązki z twarzami stosownie nieprzeniknionymi. Lecz sednem niepokoju na okręcie było odwieczne pytanie wszystkich żeglarzy: Dokąd udamy się jutro?

Nie wiedzieli nic; wiedzieli mniej niż ptaki morskie, które polecą za nimi jutro rano i będą skrzeczeć do siebie: to drewniane coś, dziwnie woniejące, płynie do Chin, Peru, na wschód, na zachód albo do takiego miejsca, którego nawet my nie znamy.

Były pogłoski, że "Resolution" zostanie przez jeszcze jeden sezon na tym oceanie i popłynie znowu na północ, do nieprzyjaznej Arktyki, jak tylko pozwolą na to lody. Czy mogło to być prawdą? Czy są



skazani na czwarty rok w tej nie kończącej się wyprawie?

Mateusz, boleśnie odczuwszy publiczną naganę, odpłynął skifem w nastroju tak

buntowniczym, jak marynarz skazany na chłostę przez flotę. W jego pytaniu do Cooka nie było absolutnie nic złego: tyle tylko, że jeśli trzeba przekazać wiadomość kapitanowi Clerke'owi na

“Dis-covery”, to Vancouver, midszypmen z tamtego okrętu, mógł ją zawieźć równie dobrze, jak ktokolwiek inny. Ale nie... despota chciał przekazać rozkaz tylko przez któregoś ze swoich oficerów, i każda inna propozycja była zuchwalstwem.

On, Mateusz, powinien był to przewidzieć. Powinien był nie otwierać ust i w ten sposób

zachować twarz. W tych niepewnych dniach najlepiej było nic nie wiedzieć, nie myśleć i nie mówić. James Cook, odmieniony dowódca, mówił mało swoim oficerom, a jeszcze

mniej załodze. Nikt nie śmiał teraz pytać go o cokolwiek i nikt rozsądny nie powinien dłużej o tym myśleć.

Uczta wydana z okazji drugiego pożegnania okrętu wspaniałością przewyższyła pierwszą i

musiała drogo kosztować hawajskich wyspiarzy. Niezależnie od nacisków wywartych przez

ich wodzów, kapłanów czy ich własne poczucie gościnności w stosunku do obcych, a może

zwykłą chęć przewyższenia sąsiadów, wynik był niezrównany. Wyglądało, że będą żegnać

Jamesa Cooka jak boga, mimo że takie pożegnanie uczyni ich biedakami na zawsze.

Być może zresztą ucieszyli się, że “Resolution” odpływa i ta zabawa swoją wspaniałością dawała do zrozumienia, że ma być ostatnia.

I znów wódz Palea, szczególnie przyjaciel Cooka, a także wysoki kapłan Kao, zawsze

gotów dać święte tabu wyprawom na ląd po zaopatrzenie, aby mogły działać bez przeszkód, stanęli na czele uroczystości.

Raz jeszcze, ku ich uciesze, ułożono z jamsów i świń parujące góry szczodrości.

Znów śpiewali, tańczyli, mocowali się w zapasach, znów mężczyźni, wyszliznąwszy się w

ciemny rejon plaży, mogli być pewni, że znajdą tam uległe usta, ramiona, nogi i wszystko.

Jeżeli ma to być ostatni czas na takie rozkosze, niech je zapamiętają!

Znów obsypano ich podarunkami zebranych od prostych ludzi. Świnie, zielone żółwie,

trzcina cukrowa, ryby, orzechy kokosowe, girlandy kwiatów — wszystko to mnożyło się, aż trudno

było zliczyć. Jeden dar, szczególnie wspaniały, od wodza Palei, przewyższył wszystkie inne.

Był to dar dla kapitana Cooka, boga, który przybył do nich w odwiedzin i ich dobroczyńcy: bezcenny płaszcz, nie mający sobie równych, z piór wyrywanych po dwa z pojedynczych ptaków, będących teraz na wymarcu — pomarańczowo-biało-purpurowy, o długości sześciu stóp, którego wykonanie zajęło wieki.

Ten płaszcz był tylko dla niego i drugi taki nie mógł być zrobiony. Jak wszystko inne, został pobłogosławiony przez wysokiego kapłana Kao i wręczony, jak cała reszta, odpływającemu bóstwu z należnymi bogu honorami.

W końcu przy migotliwym blasku pochodni wypowiedziano ostatnie słowa pożegnań, a

błądzący członkowie załogi — i niektórzy kochliwi młodzi oficerowie — zostali zapędzeni na pokład. Jedną prośbę, z góry skazaną na odmowę, skierował do Cooka wódz Palea. Czy byłoby możliwe, żeby jego "syn", piękny porucznik James King, pozostawał z nimi aby stać się błogosławieństwem dla wysp i zapewnić im wieczną szczęśliwość?

Kapitan Cook mógł tylko odpowiedzieć: — Może następnym razem — i wsiąść do łodzi płynącej na okręt.

Rankiem odpłynęli; przez wiele mil towarzyszyła im wielka flotylla kanu udekorowanych wszelkimi możliwymi oznakami pokoju i dobrej woli, lecz jedno po drugim odpadały za rufę okrętu, jak liście z prawdziwego drzewa hołdu. Odpłynęli... i wrócili.

W ciągu dwóch dni okresowe gwałtowne szkwały i fale, nieustannie bijące w kadłub

"Resolution" w pobliskiej zatoce wyspowej, złamały u szczytu fokmaszt, który, jak się okazało, był w dodatku przegniły w okolicy pięty. Przed udaniem się w dalszą drogę drzewce należało więc wymienić na nowe albo porządnie wzmocnić silnymi łubkami. Można to było

zrobić z pewnością na Kealakekua, gdzie było suche drewno i gdzie czekało ich ciepłe

powitanie; tam też tydzień później "Resolution" i towarzyszący jej okręt rzuciły kotwice w cichej i bezludnej zatoce.

Tak więc James Cook wrócił, jak na skrzydłach, i znów w potrzebie; a była to najgorsza rzecz, jaka mogła się stać, bo coś takiego nie mogło przydarzyć się bogu.

Z jakiegoś powodu, nieodgadłego dla zajętego marynarza, nastrój wyspiarzy uległ zmianie.

Do tego smętnego wniosku doszedł Mateusz Lawe po dwóch dniach spędzonych na lądzie z oddziałami gromadzącymi drewno i wodę, dozorujący zarazem cieśli pracujących nad fokmasztem "Resolution".

Było bardzo niewiele handlowania, a powitaniu, zgotowanemu przez wodzów i kapłanów, towarzyszył dziwnie skromny ceremoniał. Tubylcy chłodno traktowali gości; gdy do nich mówiono, mieli ponure twarze, a przy rewizji związanej z podejrzeniem kradzieży

zachowywali się zuchwale. Wyglądało, że przestali darzyć sympatią "Resolution", a co gorsza, stracili respekt dla jej dowódcy.

Może pytali: Czy nie daliśmy już dosyć? Dosyć naszych zhańbionych kobiet, dosyć

naszego drewna i wody, dosyć jamsów i świń, ryb i owoców? Dosyć naszego uwielbienia? Czy u podstaw wszystkiego nie leżało wielkie pytanie, które teraz można było swobodnie

wypowiedzieć? Jeżeli Cook jest bogiem, jego ludzie tak potężni, a jego okręty magiczne w swojej mocy, to jak mogły zostać zniweczone ich plany? Jak ich okręty, mogły zostać

uszkodzone i zawrócone?

Może to byli fałszywi bogowie. Może to tylko ludzie, słabi ludzie — nawet wielki Cook.

Może można by poddać ich próbie.

Kradzieże nasiliły się i stały się śmielsze, bardziej zuchwałe. Wyspiarze nie wahali się atakować okrętów: dawali nurka ze swoich kanu, by przecinać liny rybackie i zabierać haczyki; używając zrobionych z kamienia dłut, wyciągali nawet gwoździe z poszycia kadłuba. Potem z kuźni "Discovery" skradziono obcęgi zbrojmistrza—jeszcze jeden bezużyteczny łup

zuchwałego hultaja, i kapitan Clerke, naśladowując świeżą surowość Cooka, kazał winnego podciągnąć na grot- wanty i dać mu czterdzieści batów.

Uznano, że czterdzieści to kara brutalna ponad miarę. Powinien był przynajmniej

zachować obcęgi!

Mateusz, znalazłszy się na lądzie następnego dnia, sam bezpośrednio ocenił miarę buntu wyspiarzy.

Obserwował postępowanie przy fokmaszcie ustawionym na kozłach blisko brzegu plaży. Po

obu końcach pracowali cieśle, próbując wykonać porządne drzewce ze słabego elementu. Gdy jeden z nich uderzył się młotkiem w kciuk i oznajmił światu o swoim nieszczęściu, z drzew doleciał szelest, kpiące okrzyki i głupi chichot.

A potem zaczęło się rzucanie.

Najpierw był to orzech kokosowy, potem kamień, a za nim więcej kamieni. Nikt z

marynarzy nie został trafiony, lecz musieli odejść od pracy, a wartownicy z piechoty morskiej zajęli bliższe pozycje. Wtedy odważny wojownik, w wojennym stroju ochronnym z

plecionych liści i włóknistych łodyg, wyszedł zza drzew, uniósł włócznię i cisnął nią w wartownika.

Może nie celował w wartownika, lecz w palmę nad nim i z tyłu za nim, ale to wystarczyło na wszczęcie alarmu i odpowiedź w postaci demonstracji siły. Wartownik wystrzelił z

muszkietu załadowanego pociskami małokalibrowymi, które nie przebiły maty wojennej, a

tylko zsunęły się po niej na piasek jak krople deszczu. Odważny wojownik wycofał się bez pośpiechu pod osłonę lasu, gdzie po przenikliwych okrzykach powitania nastąpił wybuch

złośliwego śmiechu z powodu tego triumfu nad bogami.

Mateusz, zdając w południe sprawę z tego wszystkiego Cookowi, stwierdził, że kapitan jest zawzięcie spokojny, jak człowiek wiedzący, że wkrótce musi zdecydować o jakimś wielkim

kroku w jedną czy w drugą stronę. W końcu jednak powiedział tylko:

— W porządku. Pójdę sam i zobaczę... Co pan, panie Lawe, sądzi o tych wszystkich kłopotach?

Na okazane mu zaufanie Mateusz odrzekł z przekonaniem: — Sir, powiem tylko, Bóg z nim, z fokmasztem!

Twarz Jamesa Cooka po usłyszeniu imienia Boskiego najpierw pociemniała jak chmura —

on sam nigdy nie przeklinał ani wymieniał imienia Pańskiego nadaremno i stale tępił to u innych — a potem nagle rozjaśniła się rzadkim miłym uśmiechem, jakiego nikt nie widział od wielu miesięcy.

— Mateuszu — rzekł — z ciebie najprawdziwszy marynarz!

Był to ostatni promień słońca w całej ich fatalnej podróży.

Zgodnie z postanowieniem, tego samego popołudnia Cook udał się na ląd, żeby

skontrolować pracę cieśli. Po raz pierwszy został otwarcie wykpiony i zelżony przez duży tłum idący za nim na brzeg wody i próbujący zawładnąć pinasą.

W melee\*, niepodobnej do widywanych przez załogę "Resolution" we wszystkich podróżach, wódz Palea — działający z Bóg wie jakich pobudek — uderzony w głowę wiosłem, wyrwał je wiosłarzowi i oparłszy o biodro, przełamał na pół.

Być może w tym momencie gniewu i wzburzenia Palea z przyjaciela stał się wrogiem.

James Cook, wracając z wielkim trudem na okręt, chyba wpadł w podobnie gniewny nastrój.

Pierwszą jego reakcją był krótki rozkaz:

— Wszyscy żołnierze piechoty morskiej i wartownicy w służbie na lądzie mają załadować muszkiety kulami.

Teraz nie ulegało wątpliwości, że ktoś musi zostać zabity.

Oficerowie — z wyjątkiem zawziętego porucznika Williamsona, który zgodnie ze swoim irlandzkim sposobem myślenia uważał kule muszkietowe za najlepszy paszport do serc

Hawajczyków — byli przerażeni, zarówno rozkazem, jak i związanym z nim ryzykiem.

Mateusz, rozmyślając smutno na pokładzie rufowym w zmierzchu opadającym na zatokę

Kealakekua, mógł tylko uznać to za ranę zadaną sobie osobiście przez człowieka fatalnie dążącego do samozniszczenia.

Ten ruch palca przeznaczenia zdumiał go, ale przy tym wywołał zazdrość. Co powinien

uczynić człowiek, który dosyć się napracował, dostatecznie daleko zawędrował i żył

wystarczająco długo? Co robi człowiek zmęczony podróżą, a więc i życiem?

Tylko jedną rzecz, a ta wymagała teraz jeszcze jednego sygnału.

Tym sygnałem stała się kradzież kutra "Discovery" tejże nocy. Ten okręt stał bliżej brzegu, był więc łatwiejszym celem, niemniej była to niezwykle zuchwała napaść. Łódź została odcięta od boi w najciemniejszą godzinę nocy, przed wzejściem księżyca, i odholowana na brzeg przez pływaków, którzy w ten sposób zdobyli największy przyz w życiu.

Była największa i najlepsza ze wszystkich łodzi "Discovery", toteż zarówno ze względu na dumę, jak i na zwykłe zasady dobrego prowadzenia okrętu nie można było pogodzić się z tą stratą.

O pierwszym brzasku świętego niedzielnego ranka, w czternastym dniu lutego, tłumiąc

gniew, Cook przygotował przeciwuderzenie. Trzy łodzie z "Resolution" zostały obsadzone załogami i uzbrojone. Mieli ruszyć całą siłą na brzeg i wziąć jako zakładnika wodza

ważniejszego od Palei, imieniem Kerreeoboo. Miał być trzymany jako jeniec do czasu zwrotu kutra "Discovery".

Na pinasie sam James Cook, z porucznikiem Phillipsem i jego dziewięcioma żołnierzami piechoty morskiej, miał poprowadzić ten wypad. Płynął z nim również mały kuter pod dowództwem porucznika Kinga i łódź dowodzona przez Johna Williamsona, z Mateuszem Lawe'em do pomocy. Nie zostały postawione żadne ograniczenia co do sposobów, dzięki którym ten plan miał zakończyć się sukcesem.

Wylądowali nie napotkawszy sprzeciwu; po rozpoznaniu Cooka pojawiły się nawet oznaki szacunku. Wyspiarze wiedzieli doskonale, po co przybył... Mały kuter został na straży przy cyplu zatoki, a łódź Williamsona czekała na płyciźnie, mając pod stępką dosyć wody, żeby się swobodnie poruszać. Cook pomaszerował z żołnierzami w górę ku wsi i domowi Kerreeoboo.

Starzec, który zrobił się śpiochem z powodu pociągu do wywaru z ognistego korzenia kawa, jeszcze spał i wyglądało, że nie wiedział

o kradzieży z "Discovery". Zbudzony, przyjął Cooka bardzo uprzejmie i zaproszony, aby udał się z nim na "Resolution", chętnie na to przystał. Poprosił tylko o trochę czasu na odpowiednie ubranie się z okazji tak miłej wizyty... Cook z żołnierzami i Kerreeoboo z żoną

i dwoma starszymi synami ruszyli w drogę powrotną do zatoki i do czekającej na nich pinasy.

Początkowo szli sami, ale wkrótce to się zmieniło.

W ślad za nimi zaczął podążać gęstniejący tłum, zbierając przyłączających się z chat i z drzew. Wielu było uzbrojonych; wszyscy rozmawiali swobodnie między sobą albo

przekazywali jakieś wiadomości idącemu przed nimi wodzowi. Ani jemu, ani jego żonie nie podobało się to, co usłyszeli.

Gdy tłum wszedł w pole widzenia czekających w pinasie i w łodzi, przypominał już ciemny strumień lawy spływający ku morzu. Wysoki Cook górował nad wszystkimi jak leśny

wielkolud w zaroślach. Widać było idących za nim żołnierzy, ale wnet wszystkich pochłonęła czarna

fala pływająca im na pięty z chlupotem i szumem.

Oglądany z łodzi widok wzbudził obawy we wszystkich, którym bezpieczeństwo Cooka

leżało na sercu. Mateusz, siedzący na ławce rufowej naprzeciwko porucznika Williamsona i mający obok siebie

czterech żołnierzy piechoty morskiej, spoglądał przez lunetę na pełną grozy scenę.

— Oni są uzbrojeni! — rzekł nagle. Dojrzał otwarcie niesione włócznie, sztylety, maczugi i kamienie. Żelazne sztylety były darem przyjaźni od Cooka... — Wygląda, że są gotowi do...

Sir, za bardzo się do niego zbliżyli!

Williamson, którego dumna irlandzka twarz jakby pobladła, nic nie odpowiedział, tylko

rzucił do sternika: — Wiosłować wstecz! Zawracać!

Mateusz, sądząc że został źle zrozumiany, powtórzył z naciskiem:

— Sir, chciałem powiedzieć, że tubylcy są za blisko. Williamson ze zwykłą sobie arogancją zlekceważył jego słowa.

— My jesteśmy za blisko. Musimy być gotowi do ruszenia.

— Do ruszenia?

Łódź odsunęła się dalej i stanęła. Jakby w odpowiedzi na to haniebne zachowanie Cook i

wielki tłum, następujący mu na pięty, ruszyli przez plażę. Potem zaczął się tam ostatni akt tragedii.

Wódz Kerreeoboo, którego jeden z synów znalazł się już w pinasie gotującej się do

odpłynięcia, zaczął się wahać. Żona uczepliła się go, błagając, spierając się z nim, krzycząc, obejmując go ramionami za szyję. Wódz usiadł nagle na piasku i zwiesiwszy głowę zaczął się trząść. Nie pójdzie dalej. Jego wyspiarze natychmiast ruszyli do przodu i otoczyli go, tak że stał się nieosiągalny — ani dla dziewięciu, ani dla dziewięćdziesięciu żołnierzy.

Cook ze swoją strażą znalazł się teraz sam na skraju wody. Blisko niego ogromny tłum

zaczął krzyczeć, wyć i potrząsać bronią. A potem była już tylko hańba i tragedia.

Podejmując ostatnią roztrofną decyzję, Cook rozkazał porucznikowi Phillipsowi: — Do

pinasy! Nie uda nam się teraz go zabrać bez zabicia wielu ludzi. — Lecz zanim ktokolwiek z jego grupy zdołał wykonać ruch, Cook, zaatakowany od tyłu sztyletem, odwrócił się i podniósł

w górę dwulufowy muszkiet.

Być może miarą zmiany zaszłej w tym człowieku był fakt, że przed wylądowaniem załadował broń dwoma różnymi ładunkami. W jednej lufie był drobny śrut, łagodniej perswadujący, w drugiej kula, która nieuchronnie zabijała.

Podniósł muszkiet, westchnął i strzelił z lufy ze śrutem. Napastnik, bojownik z brodą, prawie tego samego wzrostu co Cook, roześmiał się, gdy kulki stuknęły o jego ochronną matę wojenną i spadły na ziemię nie wyrządziwszy żadnej szkody; śmiech musiał chyba pobudzić tłum, rozgniewany odgłosem sypiących się kulek prochu, do gwałtownego ataku. Rzucili się na żołnierzy. Phillips został pchnięty sztyletem, jego ludzie zwaleni z nóg. Widząc, że granica została przekroczona, Cook wystrzelił kulę i położył trupem jednego z tubylców.

Potem znowu krzyknął: — Do pinasy! — podnosząc równocześnie swą długą rękę i gestem przyzywając łódź.

Widok oglądany z łodzi stał się teraz tak okropny, że siedzący w niej marynarze nie mogli się opanować. Krzyknęli do Williamsona, żeby coś zrobił, a do żołnierzy — z którymi byli bliżej — żeby użyli muszkietów, lecz Irlandczyk widział chyba sytuację inaczej, bo rzucił

rozkaz:

— Nie strzelać!—a do sternika: — Wiosłować wstecz! Znowu rufą do lądu!

“Rufą” znaczyło tchórzliwą ucieczkę, jakie by nie nadano temu pozory. Mateusz nie mógł tego dłużej akceptować. Czy mają być tylko widzami rzezi?... Dogłębnie oburzony krzyknął:

— Sir, musimy strzelać. Musimy się włączyć! Czy pan nie widzi, że kapitan nas wzywa?

Williamson odwrócił się do niego i ryknął: — Nie będziemy strzelać! To zbyt niebezpieczne. Zastrzelę pierwszego, kto to zrobi!

Mateusz, osłupiały wobec tej nikczemności, powtórzył: — Ale on nas przyzywa. Proszę spojrzeć! Za chwilę go dopadną!

— Wcale nie. Chce, żebyśmy się odsunęli i osłaniali jego pinasę, gdy będzie odpływał z plaży.

Wielki połykacz ognia teraz ślinił się ze strachu. Mateusz ostami raz powiedział z

naciskiem błagalnym tonem: — Pinasa nigdy nie odpłynie z plaży, jeśli będziemy tu siedzieć jak manekiny.

Williamson krzyknął: — Midszypmenie, czy znów spierasz się ze mną?



— Błagam tylko, sir, żebyśmy się ruszyli — odparł Mateusz.

— Więc siedź cicho albo ja r u s z ę ciebie na sąd wojenny, a potem na dziób, gdzie jest twoje miejsce!

Gdy trwał ten kompromitujący spór, jeden z bosakowych, spojrzawszy w kierunku zamieszania na brzegu, krzyknął przeraźliwie: — Na Boga, on upadł! — i Mateusz pomyślawszy: Słodki Chryste, odgrywałem już kiedyś tę scenę! — mógł tylko obserwować wraz z resztą beużytecznej gromadki ludzi bez charakterów, stanowiących załogę łodzi, mordowanie ich kapitana.

Wśród załamującej się fali ciemnych ciał i wymachujących ramion Cook otrzymał z tyłu uderzenie maczugą, a potem dźgnięcie sztyletem w szyję. Upadł, a podłe ręce przytrzymały go twarzą do dołu w napełnionym wodą zagłębieniu w skale, podczas gdy inni zadawali mu ciosy.

Wyspiarze wydzielali sobie nawzajem sztylety, żeby uczestniczyć w tej krwawej uczcie. Ciało Cooka, wciągnięte wysoko na skałę, było dalej kaleczone, a tymczasem pinasa i łódź ruszyły do odwrotu.

Zostawiły za sobą swego dowódcę i czterech martwych żołnierzy na plaży, opustoszałej tak szybko, że wyspiarze musieli teraz poczuć się przerażeni swoimi okrutnymi wyczynami.

Pinasa, wypełniona ran

nymi, nie mogła nic uczynić, żeby zabrać martwych; czerstwy i krzepki Williamson, z nietkniętą łodzią, mógł to łatwo zrobić, ale zlekceważył sytuację.

Tylko mruczał, jak załamany bufon: — Potem, potem. Zobaczycie!

— podczas gdy jego ludzie, pełni oburzenia i pogardy, wiosłowali z ciężkim sercem.

Sprawa zakończyła się, gdy o ósmej rano łodzie przybiły do okrętów, a na okrętach zapadła śmiertelna cisza.

Najpierw wszyscy odczuli szalony żal z powodu straty kapitana Jamesa Cooka; pierwszy wielki wybuch gniewu skierował się na porucznika Williamsona, tego wielkiego, wiernego wojownika, który

— zdaniem wszystkich — mógł go uratować, a nie uczynił tego; i mógł zabrać jego czcigodne zwłoki,

lecz tego też nie zrobił.

Wśród załogi "Resolution" zdarzały się chwile takiej gwałtownej wściekłości, że nocą Williamson mógł postradać życie w jakimś nieszczęśliwym wypadku; marynarze pluli na

pokład, gdy przechodził obok, i prowokowali tego zagorzałego lojalistę, aby ich ukarał albo chociaż zauważył ich zuchwalstwo.

Przez wiele następnych dni Williamson zachowywał się bardzo spokojnie zarówno wśród przyjaciół, jak i wrogów.

Cały ciężar wypadków spadł na kapitana George'a Clerke'a z "Discovery", który objął

teraz dowództwo wyprawy i — chociaż wyczerpany tymi okolicznościami i obecnością w swej piersi zarodków własnej śmierci — bardzo chłodno grał swoją rolę, jak długo było to

konieczne.

Clerke, jak wypadało człowiekowi o tak zaszczytnym nazwisku\*, potrafił — gdy zaszła

potrzeba — sporządzić listę tego, co by można nazwać: "Sprawy pierwszej ważności"; a oficerowie, początkowo mający mu za złe jego przezorność, zaczęli go podziwiać za spokojną ocenę sytuacji, pozwalającą mu wykreślać te spośród "spraw pierwszej ważności", o których można było zapomnieć, zostawiając tylko te,

o których zapomnieć nie było wolno.

Odrzucił pomysł jakiegokolwiek działania przeciwko Williamsonowi, chociaż posunął

się tak daleko, że zebrał pisemne zeznania świadków. Takie dochodzenie będzie można

przeprowadzić później. Zastanawiał się nad zemstą nad wyspiarzami, lecz porzucił tę myśl.

Można ją było łatwo zrealizować; cały teren zatoki Kealakekua można byłoby zasłać trupami i nasączyć krwią. Ale to niczego by nie dowiodło

i niczego by nie przywróciło. Na liście pozostał tylko fokmaszt dla jego nowego okrętu

"Resolution", bez którego nie mogli odpłynąć, i ciało dowódcy, bez którego odpłynąć nie powinni. Dla żeglarza, który

w stanie wojny świeżo objął dowództwo flotylli, mającej jeszcze do przebycia tysiące mil, fokmaszt musiał być ważniejszy. Jako przyjaciel pogrążony w głębokiej żałobie nie mógł

zostawić Jamesa Cooka na pożarcie istotom ludzkim czy innym. Stanąwszy przed tymi

koniecz- nościami, wysiloną pracą umysłu znalazł sposób załatwienia obu spraw.

Najpierw wykonano zadanie żeglarskie. Silny, uzbrojony oddział, gotowy do walki — i

bardziej niż chętny do niej — został wysadzony na fatalną plażę wraz z nawigatorem

Williamem Blighem, mającym dopilnować, żeby nic złego się nie stało tak ważnemu drzewcu.

Odzyskano je bez trudu, spuszczone na wodę i doholowano do "Resolution". Po wciągnięciu na pokład cieśle dokończyli zadania.

Następnie zaczęły się targi, bo tak trzeba to nazwać, o szczątki Cooka. Tubylcy, skradając się przestraszeni do nich, opowiadali szeptem rozmaite historie. Jedni mówili, że ciało zostało zabrane daleko w głąb wyspy i trzeba będzie czasu, żeby je odzyskać i dostarczyć; inni

utrzymywali, że je poćwiartowano i rozdzielono, jako wojenne trofea, między wszystkich wodzów na wyspie. Obie historie były prawdziwe.

Kapitan Clerke i James King, jego nowy pierwszy oficer, wciąż powtarzali groźby i

sprawiali wrażenie, jakby je mieli zamiar wprowadzić w czyn. Jeśli szczątki nie zostaną zwrócone, grzmieli, na całą wyspę spadnie okrutna kara, dotąd jeszcze powstrzymywana. Gdy po dłuższym czasie zwrócono je niechętnie, były to rzeczywiście szczątki.

Najpierw po dwóch dniach, młody kapłan przyniósł kawałek ciała

x

o wadze dziewięciu funtów, pochodzący z bioder Cooka. Pięć dni później, przy dźwiękach uroczystej muzyki i wielkim biciu w bębny, na pokładzie rufowym zjawił się wódz, z

pakunkiem owiniętym w płaszcz z czarnych i białych piór i powiedział, że w środku jest to, czego najbardziej chcieli, a potem z przezornym pośpiechem oddalił się.

Rozpakowane w kajucie Cooka przez Clerke'a w obecności jego oficerów zawiniątko

ukazało przerażonym oczom obecnych swą zawartość: całe obie ręce, zasolone i

zamarynowane; czaszkę bez szczęki

i skalpu; skalp z uszami i najdłuższe kości z biodra, nogi i ramienia, prywatne trofea wielkiego wodza Kerreeoboo.

Następnego dnia dostarczono brakującą szczękę, stopy i buty oraz porysowane lufy

muszkietu, który doprowadził właściciela do takiego końca.

Te biedne szczątki zostały przyzwoicie ułożone w trumnie i tegoż wieczora pochowane w głębokiej zatoce Kealakekua. Następnego, ranka "Resolution" i "Discovery" podniosły kotwice i na zawsze opuściły to przekłete miejsce.

Upłynął dłuższy czas, zanim wiadomość podana w prasie uświadomiła Mateusza Lawe'a, wciąż oplakującego drogiego przyjaciela i opiekuna, że w Anglii ktoś nosi w sobie smutek znacznie głębszy niż żal odczuwany przez towarzyszy podróży Cooka. Ten smutek kryła w sercu żona ich dowódcy.

Pani Elizabeth Cook, posłuszna, lecz uwielbiająca małżonka, urodziła mu sześcioro dzieci.

Troje zmarło jeszcze za jego życia: czteroletnia córeczka, jedyna dziewczynka w ich związku, jeden synek miesiąc po urodzeniu i drugi w czwartym roku życia. Owdowiawszy, została więc z dwoma najstarszymi synami, midszypmenami, i najmłodszym.

Nathaniel, młodszy z tych dwóch, zginął w rok po śmierci ojca w czasie huraganu w

Indiach Zachodnich, który zatopił jego okręt z całą załogą. Najmłodszy, Hugh, który miał być duchownym, zmarł na chorobę zakaźną jako siedemnastoletni student Cambridge.

Miesiąc później komander\* James Cook, ukochany imiennik ojca, najstarszy, duma i radość, ostatni zakładnik, utonął opodal Portsmouth, gdy próbował otwartą łodzią dotrzeć w burzliwy czas do swego okrętu, korwety "Spitfire".

Czytając chłodną wzmiankę w "Gazette", Mateusz Lawe mógł tylko pomyśleć z zawziętą nienawiścią do wszelkiego losu:

Gdy Bóg się posila, zmywa talerz do czysta!

CZEŚĆ SIÓDMA

KAPITAN MARYNARKI WOJENNEJ

Ich słowa i czyny, jak dźwięk trąbki, pobudzają angielską krew; i gdyby imperium indyjskie, londyński handel i wszystkie zewnętrzne i widoczne znamiona naszej wielkości miały przeminąć, jeszcze pozostawimy po sobie trwałe pomniki tego, czym byliśmy, w słowach i czynach angielskich admirałów.

Robert Louis Stevenson, *Virginibus Puerisque* (Dziewczętom i chłopcom), 1881

I

W zwariowanym miesiącu marcu oficer wsławiony najbardziej cholerycznym usposobieniem na wszystkich pięciu oceanach postawił ciężką stopę na brzegu ziemi angielskiej po przeżyciu straszliwych niebezpieczeństw, których opisy wypełniały gazety i magazyny, na wiele miesięcy usuwając z kawiarni wszystkie inne tematy.

Był to kapitan William Bligh z Królewskiej Marynarki Wojennej, dowódca Okrętu Jego

Królewskiej Mości "Bounty"\*, który na swym okręcie stał się przedmiotem ohydnej bunt, a wyrzucony na łaskę fal w otwartej łodzi na środku oceanu został pozostawiony — z bardzo skąpym zapasem żywności przez pozbawionych serca łajdaków na zagładę lub ocalenie.

Przewycięzył jednak jakoś wszystkie trudności i przeżył, żeby opowiedzieć tę historię.

Teraz ją właśnie opowiadał, a była ona taka, że wstrząsała każdym słuchaczem, a w

każdym gorliwym czytelniku wzbudzała gniew na taki karygodny brak dyscypliny.

Ta skandaliczna historia została opowiedziana bardzo szczegółowo. Okręt JKM "Bounty"

— "szczęśliwy okręt", jak oświadczył kapitan Bligh, wypytywany przez "Naszego Własnego Korespondenta" przy licznych okazjach — wykonywał wyznaczone mu zadanie sporządzania map morskich i prowadzenia eksploracji na Oceanie Spokojnym, gdy banda niecznych

buntowników spośród załogi zawładnęła nim siłą. Niejaki Fletcher Christian—co za

nazwisko\* dla takiego potwora! — stanął na czele buntu, rozdmuchując drobną urazę do

rozmiarów problemu i ogłaszając się nowym kapitanem.

Posunął się nawet do tego, że użył siły wobec kapitana Williama Bligha — "Bligha od

Drzewek Chlebowych", jak go czule nazywała podziwiająca go załoga — i wysadził go w jednej z

łodzi "Bounty",

tysiące mil od najbliższego bezpiecznego schronienia, a z nim osiemnastu lojalnych wobec niego marynarzy, których zmuszono do zejścia do kruchej łodzi, z następującymi zapasami żywności:

Woda

28 galonów

Chleb

150 funtów

Wieprzowina

32 funty Rum 6 kwart Wino 6 butelek

Dalszy ciąg w naszym kolejnym porywającym rozdziale: "Kapitan Bligh i okrutne morze".

Rozgorączkowani czytelnicy ledwie mogli doczekać następnego dnia; był wśród nich

Mateusz Lawe, siedzący w kawiarni w cieniu katedry Św. Pawła i zgodnie ze swym

powodowanym oszczędnością zwyczajem przeciągający opróżnianie filiżanki. Ale nie musiał

przynajmniej czekać; czytał stare gazety z ostatniego miesiąca, bo tylko takie mógł zaoferować ten skromny zakład. Następną, zakurzona i z pozawijanymi rogami, leżała w zasięgu ręki.

Popił łyk, zastanowił się i sięgnął po nią.

Okrutne było morze i krucha łódź — o długości nie większej niż dwadzieścia trzy stopy —

w której kapitana Bligha i grupę wiernych mu ludzi puszczono na łaskę fal. Ta nikczemna zbrodnia przeciwko szlachetnemu dowódcy miała miejsce w pobliżu Tofua, opodal Wysp

Przyjacielskich — inna nazwa ironicznie brzmiąca, bo gdy próbowali tam wylądować, jeden z ich ludzi został zamordowany przez zdradzieckich Indian. Kapitanowi Blighowi nie pozostało nic innego, jak odpłynąć w nieznaną.

Tak wielka była zła wola tych niegodziwców, że nie dali mu nawet mapy morskiej. Musiał

więc opierać się tylko na mapie utrwalonej w swej głowie i na swej odwadze i umiejętnościach.

Tak więc płynął i płynął, pod nisko wiszącym niebem, prażącym słońcem, w sztormie i burzy, przy wietrze sprzyjającym i przeciwnym, często rezygnując z przybicia do jakiejś wyspy w obawie przed napastliwymi dzikusami. W końcu, przebywszy 3600 mil, doprowadził swoją

wynędzniałą skorupkę do wyspy Timor na morzach jawajskich\*, gdzie wreszcie znaleźli

przystań w holenderskiej osadzie.

Straszliwa podróż trwała czterdzieści sześć dni, w czasie których on i jego ludzie utrzymywali się przy życiu na racjach wynoszących jedną ósmą funta chleba i trzy czwarte pół kwarty\* wody per diem, uzupełnianych krwią morskich ptaków i zupą z mięczaków. Łądując, wyglądali jak szkielety — lecz szkielety nieustraszone! Tej zadziwiającej podróży nie można porównać do żadnej innej zapisanej w annałach nawigacji — ani pod względem wytrwałości, ani odwagi.

Mateusz opuścił gazetę na kolana. Oddam mu tę ostatnią salwę, pomyślał, jak żeglarz żeglarzowi: to był triumf ludzi nad morzem i tylko świeme umiejętności Bligha uczyniły go możliwym. Lecz co do reszty historii? Szczęśliwy okręt?... Podziwiająca go załoga?... Czułe przewisko nadane przez nich Blighowi?... Obalenie szlachetnego dowódcy przez jednego człowieka rozdmuchującego problemy?... Kubeł wapna do bielenia nie przysłużyłby się lepiej! A potem, zezując na zmniejszający się poziom kawy w filiżance, zwrócił uwagę na ostami

wiersz "Dzisiejszego podniecającego rozdziału". Podane tam nie wymieniane wcześniej nazwisko wyskoczyło ze stronicy jak meteor. To nazwisko brzmiało: Dawid Nelson. Mateusz czytał ze zdumieniem:

"Oprócz marynarza zabitego na tych bardzo Nieprzyjacielskich Wyspach kapitan Bligh w swoich wielorakich zwycięstwach nad morzem stracił, z przyczyn naturalnych, jeszcze tylko jednego człowieka. Był nim pan Dawid Nelson, znany botanik z Kew, który niestety zmarł z wyczerpania, ledwie postawiwszy stopę na wyspie Timor. Przyłączywszy się do wiernych zwolenników kapitana Bligha w jego małej łodzi, oddał bezcenne usługi..."

Mateusz nie mógł czytać dalej. Mógł to być tylko jego przyjaciel — ogrodnik ze starej "Resolution", więc był to moment na łzy żalu. Dawid Nelson zatem — mimo całego swego gadania — wytrwał w postanowieniu posłuszeństwa wszystkim prawowitym rozkazom kapitana, choć był nim William Bligh, który na pewno wypróbował tę lojalność do jej granic — i poza nie.

Jakim to stworzeniem jest człowiek! Jakże anielskim. Biedny Dawid Nelson, zawsze chętny, zawsze wierny sługa, niby upadły anioł, nie zdający sobie sprawy z tego, jaki to bóg go powalił; ale może patrzy teraz na wyspę Timor — tak bardzo różną od Kew — i ma całą

wieczność, by się zastanawiać, jakie cenne kwiaty i owoce mogą rosnąć nad jego grobem.

Jutro końcowy rozdział tej największej morskiej historii wszechczasów, z własnym

wyrokiem kapitana Bligha na buntowników z „*YBounty*”: “Będę ich ścigał jak psy! Jestem zdumiony ich niewdzięcznością!”

On, sam jeden.

Biegając tam i z powrotem i obsługując gości, kelner kawiarniany spoglądał na pustą

filiżankę Mateusza, ilekroć mijał jego stół. Z długiego i upokarzającego doświadczenia Mateusz znał te oznaki i ich powód. Pełno było w Londynie takich jak on oficerów na połowie pensji, żywiących nadzieję na zaokrętowanie, tęskniących za powrotem na morze, co jednak było im w fatalny sposób uniemożliwiane

przez zastój trwający w czas pokoju, który wyrzucił ich tysiące na mieliznę.

Ponieważ tkwili w eleganckim ubóstwie, nie byli już chętnie widzianymi klientami w

żadnym zakładzie utrzymującym się z handlu, i trzeba skóry afrykańskiego słonia, żeby nie zdawać sobie sprawy z tej niechęci.

Mateusz — taki właśnie sierota i bez takiej skóry — dzień po dniu liczył swoje pensy przez ponad trzy lata żalosnej bezczynności. Przysiągł solennie, że nie przyjmie niczego, poza koją w Marynarce Wojennej, nawet gdyby oznaczało to czekanie, żywienie nadziei, choćby

perspektywą była choroba serca. Wspiąwszy się tak wysoko, nie mógł znowu spaść w dół.

Oznaczało to więc dla niego chodzenie w zdartych butach i w rozlatującej się kurtce, obszytej zmatowiałym galonem; nędzną kwaterę, skąpe pożywienie, spacerowanie brzegiem rzeki dla

zabicia czasu, kubek kawy rano i drugi dla zaznaczenia pierwszej wachty nocnej\*.

Oznaczało to wstyd z powodu zajmowania krzesła w kawiarni w ramach bycia

tolerowanym, długo po upływie czasu, przez jaki wypadało siedzieć; wstyd w tej chwili przed kelnerem, który w końcu zatrzymał się przy nim i zapytał, na pół obojętnie i na pół

lekceważąco:

— Jeszcze filiżankę, sir?

Mateusz podniósł na niego wzrok, jakby wyrwany z dalekiej wędrówki myśli. — Nie, raczej nie.



Kelner zabrał pustą filiżankę i odstawił ją na bok. Następnie pochylił się i z wielką starannością, a z jeszcze większym zdecydowaniem, zaczął wycierać stół moką ściereczką.

Przez cały okres służby morskiej Mateusz nie otrzymał wyraźniejszego sygnału.

Wycofując się, przeprowadzał po raz setny swoją chorobliwą kalkulację: porucznik Lawe z Królewskiej Marynarki Wojennej nigdy nie zaszedł wyżej i nigdy nie spadł niżej.

Ruszył wolno East Cheap w kierunku rzeki i portu. Lepiej popatrzeć na okręty, niż dumać jałowo na kawiarnianym gruncie... Ale chodząc, siedząc czy patrząc potrzebował pieniędzy i wpływowego przyjaciela, a nie miał ani jednego, ani drugiego.

Swój wysoki awans zawdzięczał łaskawości Jamesa Cooka, który dał mu pisemną rekomendację w swoim ostatnim raporcie sporządzonym na okręcie i polecił go "Staremu

Gore", temu który doprowadził rozbitą ekspedycję z powrotem do kraju. Wówczas ten awans wydawał się triumfem i uczynił go dłużnikiem zmarłego kapitana w większym stopniu, niżby tego mogły dowieść lata głębokiej żałoby, służąc mu dobrze — a później wcale.

Wiosną roku 1782, dwa lata po tym smutnym powrocie, odbył jedną podróż w konwoju do

Quebecu, jako trzeci oficer na fregacie "Albemarle"\*, a stamtąd na południe w poszukiwaniu jankeskich przyzów. Ale okręt miał marną zdolność morską i nędzne zaopatrzenie, i załoga zaczęła cierpieć na skorbut, zanim misja została zakończona. Zmusiło to ich do ponownego, niepotrzebnego postoju w Quebecu w celu oczyszczenia okrętu i przeniesienia chorych na ląd.

Po powrocie do Anglii załoga „Albemarle” została zwolniona. Miało się to okazać, chociaż nie wiedział o tym, decydującym punktem wyjścia dla jego następnego awansu.

Później znalazł zatrudnienie na jednym ze statków strażniczych w Portsmouth; ponura

służba, prawie nie związana z morzem, ale i ten został wycofany — znów zapanował ciężki dla marynarzy okres pokoju, bo Francuzi uznali, że na razie są kwita — i Mateuszowi, podobnie jak tysiącom innych, nie pozostało teraz absolutnie nic.

Powiedziano: "Uprzejmie wam dziękuję", a to znaczyło połowę pensji i pobyt na lądzie — być może na zawsze.

Tego ranka, jak każdego innego, w porcie było wiele statków: tłuste i chude statki

handlowe, ładujące i wyładowujące, i wszelkie inne obsługujące handel — barki, fliboty, statki żeglugi przybrzeżnej, promy, łodzie zaopatrzeniowe, wiosłowe łodzie portowych handlarzy, węglowce, barki z wodą i skify, sępy zarabiające na utrzymanie kursowaniem po kanale

pływowym i zbieraniem trupów.

Nie było jednak niczego godnego uwagi dla kompetentnego oficera Marynarki Wojennej, a

więc i dla niego. Błądząc leniwie wzrokiem mógł tylko myśleć o swoim przyjacielu Dawidzie Nelsonie, ogrodniku, który stał się botanikiem; o botaniku, co z woli buntowników stał się rozbitkiem, a rozbitek przetrwał z wierności wszystko i zmarł z wycieńczenia pod odległym niebem Pacyfiku.

Była to śmierć honorowa, tysiącrotnie lepsza od schodzenia na psy na błotnistym brzegu rzeki Tamizy.

Rozglądając się, Mateusz zauważył przypadkiem na skraju nabrzeża innego, podobnego do

siebie osobnika, wyrzuconego przez morze na ląd: oficera wyższej rangi, robiącego

najzupełniej to samo co on — wpatrującego się nostalgicznie we wszystko, co było zdolne unosić się na wodzie. Ale nie był to obcy przechodzień. Z prawdziwym zdumieniem rozpoznał

swego byłego dowódcę z nieszczęsnej "Albemarle": drugiego Nelsona w swoim życiu,

kapitana Nelsona we własnej osobie.

Trudno byłoby go nazwać tym przyjacielem w potrzebie, którego Mateusz akurat szukał.

W istocie był ostatnim człowiekiem, o którym Mateusz pomyślałby w ten sposób, i na pewno nie kimś, od kogo mógłby oczekiwać teraz pomocy, a to ze szczególnego powodu związanego z owym drugim pobytem w mieście Quebec.

W Bandon Lodge, w starym Quebecu, mieszkała ładna dziewczyna, panna Mary Simpson,

córka Saundersa Simpsona, komendanta żandarmerii garnizonu Quebec. Zaledwie

szesnastoletnia, była najbardziej uroczą szesnastolatką, jaką można było spotkać w letni dzień w jakimkolwiek miejscu na kontynencie północnoamerykańskim; uwodzicielska piękność,

wysoka i ciemnowłosa, emanująca dziwną mieszaniną delikatności i rezerwy, która mogła

doprowadzić mężczyznę do najidiotyczniejszej nadziei — albo do śmiertelnej rozpacz.

Plotkarscy reporterzy "Quebec Gazette" ochrzczili ją "Dianą"; i tak jak Diana, bogini księżyca, polowania, niewinności, piękności i Bóg wie czego jeszcze, królowała tamtego

sezonu w modnych kołach Quebecu.

Ponieważ bywała królową każdego balu, a wesołe miasto starało się ze wszystkich sił

zapewniać rozrywkę odwiedzającym je oficerom, wszędzie ją widywano, podziwiano i

pożądano w czasie miesięcznego pobytu "Albemarle". Bromwich i Lawe, drugi i trzeci oficer kapitana Horatia Nelsona, mający przywilej częstego towarzyszenia mu na lądzie, nie mogli nie zauważyć, że ich dowódca zadurzył się mocno w tym uosobieniu wszelkich znanych

męczyźnie cnót i powabów.

Nie mogli też nie wiedzieć o tym, co mówiła powszechna plotka, że to uczucie n i e było odwzajemniane, że Mary Simpson nie brała pod uwagę, do czego miała prawo, impulsywnego, młodego, mianowanego kapitana, dwudziestotrzylatka bez pieniędzy, bez urody, bez męskiej budowy lub męskiego wzrostu, który był blady już przed spotkaniem z nią, a teraz wyglądał jak prawdziwa maska pośmiertna odrzuconej miłości.

Nie miał oczywiście żadnych szans... Zaledwie szesnastoletnia dziewczyna, miała przed

sobą długie lata podobnego gorącego zainteresowania, podobnych daremnych starań o nią,

zanim Czarowny Księżę czy może Czarowny Lord albo nawet Monsieur le Comte de Charme

przyżegluje do Quebecu i padnie do jej ślicznych stóp. A tymczasem bawiły ją płomienne

spojrzenia szarmanckiego kapitana —i tuzina innych. Nie była dziewczyną bez serca: miała szesnaście lat, była zachwycająco piękna i żyła ciesząc się każdą chwilą każdego darowanego przez Boga dnia.

Dla kapitana Nelsona o wiele za wcześnie nadszedł czas, gdy jego okręt, "Albemarle", musiał ruszyć w dół rzeki i pilotować jakiś wojskowy transport w drodze do Nowego Jorku.

Jeszcze się nie

oświadczył, a przynajmniej tak mówiono w mieście wśród nie hamujących języka, węszących skandale plotkarzy; i na pewno to, czego doświadczył w ostatnim dniu ich pobytu w porcie, gdy piękna Diana okazała się równie daleka jak księżyc i ledwo rzuciła mu spojrzenie czy słówko w czasie całego pożegnalnego przyjęcia, nie było do tego zachętą.

Gospodarzem tego przyjęcia, do którego punktualnie o drugiej zasiadły dwadzieścia cztery osoby, był pan Aleksander Davison, bogaty kupiec z północy kraju i armator prowadzący w Quebecu szerokie interesy, człowiek tak gościnnie, że jego dom był najulubieńszym miejscem wszystkich odwiedzających wybrzeże. Lawe, towarzyszący swemu dowódcy po raz ostatni i

usadowiony na dalekim miejscu przy stole, mógł mimo to zaobserwować dwie rzeczy, a

mianowicie: że chociaż Nelson został przez uprzejmego gospodarza posadzony obok swojej

inamorata\*, poświęcała mu ona żałośnie mało uwagi i że stając się wskutek tego coraz bardziej podniecony, pił — trzeba to powiedzieć — za dużo.

Jak wszyscy młodszy oficerowie, Mateusz pomyślał: Oho, przed nami szkwały! Będzie w

diabelnie złym humorze przez pierwsze kilka dni w morzu... Lecz sprawa okazała się znacznie poważniejsza, niż ją oceniał ze swego punktu widzenia.

Gdy towarzystwo podniosło się od stołu, była godzina czwarta i czas do odejścia. Nelson jednak krążył po salonie, starając się nie tracić swego przytułku z pola widzenia, może próbując przez chwilę stanąć w pojedynkę przeciwko wszelkim przeciwnościom. Po dziesięciu

minutach Mateusz Lawe wiedział, że musi wypełnić swój smutny obowiązek.

Podszedł blisko do swego dowódcy, który czaił się—nie było na to innego określenia — po zawietrznej zasłony, ledwie pozwalającej mu dojrzeć to, co nieosiągalne, i przemówił cicho:

— Z szacunkiem, sir, ale czas już na nas.

Kapitan Nelson nie odwrócił się. Trzymał się zasłony, co było złym znakiem; jego blada

twarz była spocona, co w umiarkowanym cieple salonu z płonącymi na kominku polanami

było znakiem jeszcze gorszym. Kontrast między wesołością panującą wokół niego — śmie-

chem, szelestem jedwabi, galanterią mężczyzn i miękką uległością kobiet — i tą izolacją beznadziejnie zakochanego był naprawdę gorzki.

Odburknął: — Mamy dość czasu. Proszę czekać na mnie na dole.

— Tak jest, sir.

Tylko na taką odpowiedź mógł sobie pozwolić nawet najodważniejszy z podwładnych.

Jednakże po następnych dziesięciu minutach kręcenia się po hallu Mateusz poczuł, że musi wrócić. Kusila go

myśl: To jest dowódca, niech ustala swój własny rozkład zajęć i niech poniesie

odpowiedzialność, jeśli go nie wypełni. Jednakże ponad tym było inne prawo, którym

kierowali się wszyscy ludzie morza i zawsze go się trzymali: Czy stoi wyżej, czy jest równy tobie, nigdy nie zostawiaj swego towarzysza rejsu na lądzie, gdy powinien być w morzu.

Znalazł dowódcę w tej samej sytuacji co przedtem, z tym że panna Mary Simpson była

wciąż pogrążona w ożywionej rozmowie z odzianym w szkarłatny mundur majorem z

garnizonowego pułku, a kapitan Nelson szalał teraz z rozpaczy. Zdając sobie sprawę z

niebezpieczeństwa i z licznych złośliwych spojrzeń ludzi, rozbawionych tą okrutną sceną,

powiedział:

— Proszę o pozwolenie przypomnienia panu, sir. Musimy wracać na okręt, bo potem będzie za ciemno.

Tym razem dowódca odwrócił się i spojrzał na niego. Zaszedł daleko i w picciu, i w rozpacz. Było jednak coś jeszcze w jego bladej twarzy, czego Mateusz nie widział nigdy dotąd §§• przyznanie, że o tej godzinie tego dnia w tym miejscu walka nie będzie dalej toczona.

— Która godzina?

||ijjg|Prawie pół do piątej, sir. Musimy przed zmierzchem przepłynąć obok Wyspy Orleańskiej do kotwicowiska konwoju, bo inaczej stracimy dzień.

— Chętnie straciłbym tu dzień.

— Ale mamy nasze rozkazy.

Nelson odwrócił się, popatrzył na piękną pannę Simpson, westchnął jak cała kompania zakochanych i znów zwrócił się do Mateusza. — Tak -p| rzekł, gg Mamy nasze przeklęte rozkazy Marynarki Wojennej... Idziemy... Gdzie mój kapelusz?

Przez cały okres służby w Marynarce Mateusz nigdy nie usłyszał bardziej szokujących słów, jak te: “przeklęte rozkazy Marynarki Wojennej”, lecz przełknął je, rad ze zwycięstwa.

Jego dowódca, niepewnie, niechętnie, ruszył w końcu w drogę.

Znalazłszy się z powrotem na pokładzie „Albemarle”, która pełzła w dół rzeki w dość niebezpiecznym półmroku, Mateusz zdał sprawę z wydarzeń dnia drugiemu oficerowi,

Josephowi Bromwichowi. Ten ostatni, bystry młodzieniec, który całe posuwanie się po drabinie awansu zawdzięczał swemu kapitanowi i który go podziwiał, a poza tym już się nie dziwił niespodziankom świata, a tylko jego ciągłemu obracaniu się, wydał swój werdykt:

— Dobra robota. Bóg cię wynagrodzi, chociaż będziesz może musiał trochę poczekać na pochwałę naszego kapitana... Myślę, że chodzi tu o wspaniałą Dianę... Przynajmniej mamy go, bezpiecznego, z powrotem.

Ale nie mieli go bezpiecznego z powrotem. Wczesnym rankiem następnego dnia

Mateusza, nie mającego wachty i pogrążonego w miłym śnie, zbudził gwałtowny ruch na

połkądzie śródokręca nad jego głową. Rozległ się świst bosmański, wzywający: "Załoga

łodzi, wychodzić!", po czym dał się słyszeć głośny tupot biegnących stóp. Po chwili porucznik Bromwich zastukał do drzwi jego kajuty i wszedł bezceremonialnie.

— Kapitan wraca do Quebecu — zaczął z miejsca. — Masz swoje obowiązki, Mat. Więc wyłaż z koi!

— Co jest? — spytał Mateusz, jeszcze zamroczony. — Czemu wraca?

— Zostanie nam to powiedziane... — Bromwich, jak zawsze, był cyniczny, lecz to ani o włos nie naruszyło jego lojalności. — Może zapomniał podziękować za przyjęcie... Co by to nie było, wyrusza za pół godziny. Prąd na rzece jest słaby i macie dobrą wschodnią bryzę.

Jedyne, czego będzie ci brak, to śniadania.

— Czy któryś midszypmen nie mógłby wziąć łodzi? — mruczał Mateusz wkładając spodnie.

— Kucharz mógłby wziąć łódź, ale to nie wystarczy, prawda?

— Bromwich oparł się o gródź i patrzył na Mateusza okiem poważniejszym niż zwykle. --

Dobrze się nad tym zastanów, Mat. Wiemy, czym może być ta nagła sprawa do załatwienia...

Przez pół nocy chodził po pokładzie... Pierwszy oficer musi zostać, żeby dowodzić. Ja, wraz z oficerem nawigacyjnym, mam obowiązki związane z okrętem. Więc musisz to być tyinikt stojący niżej.

Mateusz, z jedną ręką w rękawie kurtki, rzekł pełen wątpliwości:

— Ale z jakimi instrukcjami? Kim mam być? Dowódcą straży?

— Jesteś naszym pełnomocnym delegatem. Dla dopilnowania, żeby kapitan wrócił bezpiecznie na okręt. Mamy odpłynąć jutro, i to się nie może zmienić.

— Jak pragnę Boga, miewałem lepsze zadania!

Hj Ja też — odparł Bromwich. — Ale przyłóżmy się wszyscy do tego. Z tobą na czele!

— Czy mają być szpady? — zapytał Mateusz, manipulując przy pasie.

— Haki chwytakowe, jeśli wolisz! — Ale zaraz Bromwich złagodniał i uśmiechnął się. —

Tak, panie Lawe, szpady. Więc przypnij ją sobie! Ale błagam, traktuj swoją jako element etykiety.

Była to dziwna podróż w górę rzeki, piękna, cicha, lecz w atmosferze jakiegoś niepokoju.

Do tego dnia w połowie października pełna uroku Kanada łała mocne ciepło słońca na swoją letnią zieleń, i teraz jej jesienny płaszcz był jeszcze wspanialszy — ogromny, jaskrawo pomarańczowy, szkarłatny i żółty, z niezliczonymi klonami sygnalizującymi

nadejście zimy ostatnim wybuchem kolorów na de czystego, chłodnego nieba.

Brzegi i wzniesienia po obu stronach Rzeki Św. Wawrzyńca płonęły tą ognistą kurtyną,

gdy łódź z "Albemarle", z wygodnie złożonymi wiosłami, płynęła w górę rzeki pod wydętym żaglem lugrowym. W łodzi prawie nie rozmawiano. Kapitan Nelson siedział na ławce rufowej milczący i zamyślony. Mateusz dzierżył rumpel, bo najlepiej się znał na niespodziankach kursu. Sternik kapitana, w ten sposób pozbawiony będącego przedmiotem dumy kierowania

łodzią, oblókł twarz w najbardziej ponurą minę, na jaką się ośmielił.

Mateusz miał czas na myślenie, lecz nie bardzo chciał pozwolić myślom na swobodne

błądzenie. Znowu przepływali przez wielki Trawers — ale z jakim zadaniem! Wyglądało, że jego dowódca, jak przed nim generał Wolfe, wyruszył z próbą wdarcia się do fortecy. Czy mu się uda?—i czy obie te próby można stawiać obok siebie, po prostu i bez żenady, ukazując ten ostatni dzień jako zdradę każdego ostatniego obowiązku?

A może skryte domysły jego i Josepha Bromwicha były zdradą jeszcze bardziej haniebną?

Gdy łódź, znów prawie bez pomocy wiosel, stanęła przy nabrzeżu Dolnego Miasta Quebec,

kapitan Nelson wyglądał na niezdecydowanego. Stanąwszy na brzegu, wygładził mundur,

poprawił pas ze szpadą i kapelusz i zwrócił się do Mateusza:

— Panie Lawe, jakie ma pan obowiązki na pokładzie?

— Nic ważnego, sir. Pod moją nieobecność pokładem zajmuje się porucznik Barstow. Ja towarzyszę panu.

— Nic tu po panu. Złożę jedną lub dwie wizyty pożegnalne... Lepiej wrócić na okręt.

Widząc niezdecydowanie kapitana — powiedział "L e p i e j wrócić", w sposób

niezwyczajny dla niego, zamiast wprost "Wracać" — Mateusz odważył się zaproponować mu coś innego:

— Czy nie powinienem zaczekać, sir? Będzie pan chciał wracać na okręt za dwie, trzy

godziny. Trzeba zebrać konwój i ustalić kolejność płynięcia. Ponieważ mamy ich pilotować o pierwszym brzasku w dół rzeki...

— Och, dosyć tego! — przerwał gniewnie Nelson. Opuścił spojrzenie na buty, jakby

szukał tam podpowiedzi, co ma zrobić.—Proszę przywiązać łódź przy nabrzeżu i odprowadzić mnie do miasta.

To już było coś, i Mateusz mógł się z tego cieszyć. Ale tak się złożyło, że wcale nie doszli do miasta. Na przeszkodzie stanęła iście królewska dysputa z nieoczekiwaną trzecią stroną, zmieniając być może tok wielu wydarzeń w życiu wielu ludzi.

Trochę dalej od nich jakiś nieznajomy mężczyzna spacerował po nabrzeżu wdychając powietrze tego rześkiego, słonecznego dnia.

Sądząc po ubraniu i postawie, był to człowiek zamożny. Właśnie obrócił się, żeby popatrzeć na dwóch oficerów, a potem śpiesznie ruszył ku nim. Ale ten, który ich przywitał, nie był

nieznajomy; był to ich szczodry gospodarz z wczorajszego wieczoru i wielu innych dni,

kupiec, pan Aleksander Davison.

Na widok kapitana Nelsona na łądzie ledwie opanował zdumienie, gdyż miał cztery swoje statki w konwoju i znał rozkazy dla nich. Po pierwszych powitaniach zapytał wprost:

— Co pan robi na łądzie, kapitanie Nelson? Czy to nie "Albemarle" płynie z konwojem?

— Tak, we właściwym czasie.

— Jutro o pierwszym brzasku?

— Nawet gdyby tak. Wróciłem... — Nelson już czuł się niezręcznie — pożegnać się z... z innymi osobami, które tak uprzejmie nas przyjmowały.

Aleksander Davison, starszy o jakieś dziesięć lat od swego gościa i nie torujący sobie drogi w świecie nieśmiałością i niezdecydowaniem, przyjrzał się uważnie Nelsonowi. Znał plotkę krążącą po mieście, obserwował pod własnym dachem rozwój pewnych spraw w związku z

określonym przedmiotem zainteresowania; nie należał do ludzi pozwalających przyjacielom trwać w błędzie z braku ostrzeżenia w odpowiednim momencie. Powiedział, co myślał na ten temat:

— Sądziłem, że pożegnał się pan ze wszystkimi... Jeśli ciągle żywi pan jakieś nadzieje co do czegoś, muszę panu powiedzieć, że są one bezpodstawne.



Przy Mateuszu, zażenowanym świadku na dalszym planie, Nelson także powiedział, co myślał, z przepelnionego serca:

—

Nie wierzę w to... Ma pan słuszne podejrzenie, chociaż muszę oświadczyć, że to nie pańska sprawa... Wróciłem, żeby zaproponować małżeństwo.

•

— To na nic — odparł Davison dosyć łagodnie. — Proszę mnie posłuchać. To j e s t moja sprawa, bo życzę panu dobrze. Mogę pana zapewnić, że odpowiedź będzie "Nie" i jeszcze raz "Nie".

— Słyszał pan, jak to mówiła?

— Nie. I nigdy nie poruszałem tego tematu. Któż by mówił o tych sprawach z młodą dziewczyną w jej sytuacji. Czy jestem wiejskim plotkarzem?... Lecz od wielu lat cieszę się zaufaniem jej ojca i mogę pana zapewnić, że to, co powiedziałem, jest ścisłą prawdą.

— A więc nagnę prawdę i złamię ją! — zawołał Nelson z nagłą pasją, nie dbając zupełnie o obecnych. — Mówię panu, będzie mnie miała, jeśli się uprę! Jeżeli mój majątek nie wystarczy przy jej pozycji, postaram się o więcej. Porzucę morze!

— Tego nie może pan zrobić.

— Kto mi zabroni?

— To znaczy nie powinien pan. To byłoby szaleństwo. Ma pan piękną przyszłość w Marynarce Wojennej. — Nawet światowiec Davison poczuł się poruszony. — Błagam, niech pan jej nie rzuca.

— Nie będzie rzucania, jeśli weźmie mnie takim, jakim jestem.

— Tego nie zrobi.

— Sam muszę się o tym przekonać.

Przy dwóch tak zdecydowanych osobnikach musiało się to skończyć kłótnią. Rozmowa tak

się zaogniła, że Aleksander Davison był już bliski wyrażenia pogardy dla takiego zaniedbania obowiązków.

— Ma pan przekazane mu rozkazy, sir — rzekł. — Bóg wie, że nie ode mnie, lecz od pańskiego głównodowodzącego! Wracając tu teraz, już je pan krańcowo naciąga. Ma pan płynąć do Nowego Jorku, a stamtąd na pozycję w Indiach Zachodnich — i niech pan mnie nie pyta, skąd wiem, bo w i e m! Nie jesteśmy głupcami tylko dlatego, że jesteśmy szczurami lądowymi!

— Posuwa się pan za daleko, sir.

— Posuwam się za daleko, bo pańskie dobro leży mi na sercu. Pańska powinność jest jasna. Wracać bezzwłocznie na okręt i zapomnieć o tej mrzonce. Mówię otwarcie, jako przyjaciel. — Przypadkiem w tym momencie pochwycił spojrzenie Mateusza i widząc jego postawę, uznał go za sprzymierzeńca. — Myślę, kapitanie, że ma pan tu jeszcze jednego przyjaciela. Co pan powie, panie Lawe? Czy słuszność nie jest po mojej stronie?

Był to bardzo kłopotliwy obrót sprawy. Mateusz z wielkim niepokojem przysłuchiwał się wymianie zdań, a to dlatego, że wolałby być o sto mil stąd, niż widzieć i słyszeć kapitana Nelsona mówiącego o porzuceniu morza. Dla jednej zwykłej dziewczyny?... Musiałby być wariatem, rozpustnikiem czy zaczarowanym... ale nie mógł użyć żadnego z tych słów.

Odpowiedział bardzo ostrożnie: — Ja tylko towarzyszę kapitanowi, panie Davison. Jestem pewien pańskiej życzliwości... Jako młodszy rangą w tej służbie mogę jedynie powiedzieć, że czulibyśmy wielką stratę, gdyby...

Ale nawet ta skromna próba dyplomacji była ponad wytrzymałość jego przełożonego.

— Milczeć, sir! — przerwał mu rozwścieczony Nelson. — Czy staje pan po czyjejś stronie w tej sprawie? Niedługo pomocnik bosmana dorwie się do gwizdka!

— Błagam o wybaczenie, sir.

— Będzie pan musiał błagać o coś więcej, jeśli powie pan jeszcze słowo!

Spór między Nelsonem a Davisonem trwał dalej i stawał się coraz gorętszy, a ich głosy coraz wyższe. W końcu gdy Davison wszedł na grunt bardzo niebezpieczny i delikatny — znaczenie jednej dziew

czyny w zestawieniu ze znaczeniem czekających obowiązków — Nelson w nowym napadzie gniewu ruszył ku Dolnemu Miastu, usiłując wyminąć swego rozmówcę.

Davison rozmyślnie zastąpił mu drogę; pech chciał, że chcąc go ominąć kapitan

niespodziewanie natknął się na Mateusza Lawe'a i mając przed sobą wyższego i silniejszego mężczyznę musiał się zatrzymać.

Osaczony, Nelson zwrócił na niego spojrzenie pełne jadu. — Czy użyje pan przemocy przeciwko swemu dowódcy?

Mateusz, przerażony, bał się powiedzieć cokolwiek. Ale potem pomyślał: Trudno,

wpakowałem się w to po czubek głowy. Przecież nie może mnie zabić. Może mnie tylko

zniszczyć i już jest w takim nastroju... Odpowiedział śmiało, jak zawsze, niezależnie czy odpowiadał dumnemu kapitanowi, czy bosmanowi z laską trzciniową:

— Użyłbym wszystkiego, sir, dla mojego dowódcy.

Pięć minut później, w wyniku zwrotu, równie szybkiego i zdumiewającego jak ustanie

letniej burzy z piorunami, byli już w łodzi z "Albemarle" i płynęli w dół rzeki. Płynął z nimi Aleksander Davison, teraz pełen współczucia i troski. — Mam do przekazania instrukcje

jednemu z moich kapitanów — zmyślił naprędce. Zrobił to jako prawdziwy, wyrozumiały

przyjaciel — i może też jako przezorny człowiek, pragnący ujrzeć bezpieczny koniec tej sprawy.

Gdy okręt i kapitan płynęli już zgodnie z rozkazami, Joseph Bromwich gorąco pochwalił

Mateusza za "dobrą robotę" i przez jakiś czas w prywatnych rozmowach uważał za stosowne zwracać się do niego per "Antykupidynek". Nigdy nie wracano do sprawy tam, gdzie było to najbardziej niebezpieczne, lecz chłodne spojrzenie kapitana Horatia Nelsona bardzo rzadko spoczywało na jego trzecim oficerze. Pół roku później w Portsmouth "Albemarle" została wycofana ze służby.

. Teraz, po ośmiu chyba latach, spotkali się twarzą w twarz, bo kapitan Nelson zauważył go —

a raczej znajomy mundur—i podszedł bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Stwierdziwszy, że to jego człowiek, przywitał go bez żadnego zdziwienia.

— Lawe, nieprawdaż? Dzień dobry.

— Dzień dobry, sir — odparł Mateusz, po raz pierwszy od lat odwzajemniając powitanie w sposób tak służbisty. Nie wiedząc, czy ma zostać powieszony, czy tylko onieśmielony surowym spojrzeniem, powiedział ostrożnie: — Mam nadzieję, że ma się pan dobrze, sir?

Mateusz nie uważał, żeby kapitan miał się dobrze. Horatio Nelson, nigdy nie wyglądający dystygowanie, od ostatniego ich spotkania jakby się skurczył do absolutnego minimum mężczyzny. Był zmizero-

wany i wychudły; bystre oczy były jedynym ożywionym rysem jego twarzy, poźółkłej od gorączki, wyczerpania czy natrętnej troski.

Chociaż zawsze miał wygląd kapitański — i teraz też wciąż zachowywał się władczo — jego obraz smutno się zniekształcił, jakby minione lata dały mu więcej szturchańców i ciosów, niż kiedykolwiek otrzymał od morza.

Ku zaskoczeniu Mateusza, Nelson wydawał się podzielać tę opinię. — Widzi pan mnie żywego! — rzekł cierpko. — Byłem paskudnie chory po mojej przekłętej misji w Indiach Zachodnich. Jest to może zaszczytne miejsce służby, lecz dla mnie okazało się miejscem tyfusu! A wegetacja w Anglii na połowie pensji nie jest najlepszym lekarstwem.

Jest w takiej samej sytuacji jak ja, pomyślał Mateusz, zdumiony, że to samo zdarza się i kapitanom, i porucznikom... Jest pod wozem... Poczul potrzebę dalszego drażenia sprawy z człowiekiem — a nie z półbogiem — który wydawał się gotów do rozmowy.

— Czy mieszka pan w Londynie, sir?

— Za nic w świecie! — zachnął się Nelson. — Jest jak Babilon, gdy chodzi o wydatki!

Jestem teraz tylko rolnikiem; trzy lata na lądzie i na pewno będzie ich więcej. Mam chleb, ser i skromny dom. Moja kamienna fregata to probostwo mojego ojca w Norfolk... Och, w każdy

dzień wypłaty wlokę się do Londynu, żeby w Admiralicji nie zapomnieli mojej twarzy. Ale po co? Przez godzinę wyczekuję na stojąco w poczekalni Whitehall, a potem spędzam dziesięć minut z jakimś uprzejmym osobnikiem — wciąż są niezwykle uprzejmi, jak kaci proszący o

pozwolenie ścięcia naszej głowy — i on mówi: “No, no, kapitanie Nelson! Wygląda pan

kwitnąco, sir!” A ja nie wyglądam, u diaska, kwitnąco — mówił kapitan Nelson. — Jestem żółty jak opadły liść, a to diabelnie brzydki kolor... A potem ten osobnik powiada mi: “Bardzo ubolewamy,

ale nie ma wojen, żeby trzeba było walczyć. Ergo, nie ma okrętów do obsadzania.

Ergo, nie potrzeba oficerów i dziś nic dla pana nie mamy. Ale proszę być z nami w kontakcie".

I tak dalej i tym podobnie przez trzy jałowe lata. — Nagle twarz Nelsona, ruchliwa jak

magiczna rtęć, rozjaśniła się w koleżeńskim uśmiechu. — Na Boga, panie Lawe, nie słyszałem dłuższej mowy od czasu księcia Wilhelma Henryka — pamięta pan midszypmena, co był u

lorda Hooda na starym "Barfleur", a potem służył pod moim dowództwem? — otóż wyłożył on, mnie, swemu kapitanowi, swój pogląd na królewski przywilej dotyczący dokładnej liczby

wystrzałów z dział, jakimi należałoby go powitać, gdyby jego okręt wpływał do portu Hawana.

To był mój okręt! No cóż, teraz nie mam okrętu... i, jak sądzę, pan także.

Cóż za człowiek zrobił się z niego... Raz w górę, raz w dół, jak marionetka, ale to on

pociągał za swoje sznurki... Pierwsze iskry

pojawiły się na "Albemarle"; teraz był to już buzujący płomień. Znajomość własnej natury, energia trzymana w cuglach, lecz gotowa na wezwanie, płodna żywotność pośród dusznego

rozkładu — wszystko to promieniowało z niego, jak wierny blask świecy, który faktycznie był światłem wysokiej latarni morskiej oddalonej o dwadzieścia mil.

Czemu jednak teraz mówi tak swobodnie do człowieka, któremu nie ma powodu ani ufać,

ani go zaszczycać w ten sposób? Czy tak był spragniony rozmowy? A może nie wolno mu było rzucić przekleństwa w probostwie w Norfolk, z czcigodnym uchem ojca tuż obok? Czy nie ma przyjaciół? To raczej niemożliwe.

Mateusz wiedział, że mimo wszystko musi jakoś trzymać się tego człowieka; nie dla awansu, lecz dla tajemnic męstwa i wytrwałości, bez czego życie jest tylko nużącym posuwaniem się w dół ku grobowi.

■ — Rzecz jasna, sir, że nie mam pracy — odrzekł. — Nie miałem zatrudnienia na okręcie od prawie czterech lat.

— Na którym okręcie służył pan ostatnio?

— Na "Medway", sir, statku strażniczym w Portsmouth.

' — Więzienna służba! Wolałbym iść do wojska!

Mateusz zdał sobie sprawę, że gdy tylko kapitan Nelson odsunął na bok swoje kłopoty, zaczął dokładniej mu się przyglądać. Bystre niebieskie oczy musiały już zauważyć żalosne braki w jego odzieży. Teraz zajęły się jego twarzą — a co dostrzegły, wie jeden Bóg i Nelson, i ani jeden, ani drugi nie zamierzali tego zdradzić... Odparł tak dumnie, jak tylko potrafił:

— W tamtych latach nie miałem lepszego wyboru, sir. Ale teraz w ciągu godziny mogę być gotowy do czegoś lepszego!

— Ja też — odrzekł kapitan Nelson, znowu rozdrażniony. — To przyjdzie, to przyjdzie. Ale czekamy na los, jak rolnik na deszcz. Czy raczej jak robak pod jego butem! — Ale skończył z rozczulaniem się nad sobą i chyba też z uważnym przyglądaniem się swemu byłemu porucznikowi. Jak każdy zdecydowany żeglarz, od razu przeszedł na inny hals. — Jestem pańskim dłużnikiem — oznajmił bez ostrożnego wyczuwania nosem wiatru. — Chociaż wtedy tak nie myślałem.

Mateusz, chorobliwie pamiętający przeszłość, rzekł natychmiast: — Proszę nie mówić o tym, sir.

— Nigdy nie będę! — odparł natychmiast Nelson. — Może pan być tego pewien! Ale dług istnieje mimo to... Jest pan żonaty, panie Lawe?

— Nie, sir.

— Mogę polecić ten stan — powiedział kapitan bez większego zapału. — Ożeniłem się trzy lata temu. W czasie służby w Indiach Zachodnich — to jedyna korzyść, jaką z niej odniosłem! Jego królewska wysokość książę Wilhelm uczynił mi zaszczyt prowadzenia panny młodej do ołtarza.

— Moje gratulacje, sir. Ma pan dzieci?

— Nie. Właściwie mam, pasierba. Żona jest wdową, bratanicą prezydenta wyspy Nevis.

Więc może się pan swobodnie poruszać?

— Tak jest, sir.

— Potrzebuję kogoś do pomocy. Kogoś, kto zna się na wszystkim: sekretarzowaniu,

rolnictwie, potrafi być towarzyszem i człowiekiem zaufanym. Krótko mówiąc, marynarza. Ale robota nie będzie marynarska.

— To przyjdzie znowu, sir.

— Na Boga, mam nadzieję, że tak! Byłby pan skłonny?

— Z całego serca, sir.

— To miejsce to Burnham Thorpe, trzydzieści mil od Norwich. Jeszcze nie teraz —

odmalowujemy salon, kuchnię, spiżarnię i korytarze, co równa się wyposażaniu na nowo

okrętu liniowego pierwszej klasy, od miejsca spacerów admirała po najniższy pokład!... Niech pan przybędzie w połowie lata. Może pan zacząć od pomagania mi przy rzepie. Zgoda?

— Dwudziestego pierwszego czerwca, sir.

— Niech będzie. O pieniądzech pomówimy później. A teraz pożegnam pana.

Tak więc pewnego letniego dnia roku 1790 porucznik Mateusz Lawe ruszył w głąb lądu, do Norfolk, dźwigając na ramieniu widmowe wiosło swego losu.

## II

Dom, do którego doprowadziły go nogi, nie był, jak się okazało, "skromnym domkiem".

Na plebanię we wsi Burnham składały się dwa dwupiętrowe budynki z czerwonej cegły,

połączone w kształt kotwicy z jedną łapą. Stała na trzydziestoakrowym terenie wśród ogrodów, trawników, poletek warzywnych i drzew, między którymi płynął strumień.

Za drzewami, nad nieurodzajnymi, płaskimi polami, nieustannie wiał wiatr, a ruchliwe fale płytkiego Morza Północnego wciąż atakowały brzeg.

W tym wiejskim pałacu — gdyż dla Mateusza Lawe'a był to pałac po jego ciasnym

londyńskim pomieszczeniu — mieszkało mało liczne odgałęzienie rodziny Nelsonów — jeden

człowiek Boży, jeden człowiek morza, jedna żona i jeden pasierb, który nie miał jeszcze przydzielonych obowiązków.

Sześćdziesięcioośmioletni obecnie wielebny Edmund Nelson był starzejącym się

duchownym. Pobożność, pokora i pewna aprobowana indolencja złożyły się na klasyczny

wzór wiejskiego proboszcza, już w połowie drogi do nieba i z rezygnacją godzącego się na pozostałą

część doczesnej podróży. Jego syn, Horatio, bynajmniej nie godzący się z rezygnacją na żaden aspekt bezczynności, był mimo to w tej samej sytuacji: czekał na s w o j e niebo, które było czymś zupełnie innym od pobożnego marzenia jego ojca, lecz w tym samym stopniu

pozostawało w rękach Wszechmocnego — którym, w jego wypadku, były władze Admiralicji.

Synowa pastora, Frances, z domu Woolward, wdowa po Nisbecie, obecnie znana jako

Fanny Nelson, miała trzydzieści dwa lata, tyle samo co jej mąż-marynarz; dla niej, dziewczyny wczesnie rozkwitłej w cieplarni Karaibów, przesadzenie do chłodnego Norfolk okazało się nieproste, ponure i niezdrowe.

Jej dziesięcioletni syn Josiah przebywał, na szczęście, przez większą część roku w szkole z internatem, a nadzieje na przyszłość wiązał z Marynarką Wojenną.

Do tego spokojnego gospodarstwa został teraz dopuszczony porucznik Lawe,

“wartościowy oficer Marynarki i przyjaciel”, jak go przedstawił Nelson.

Ciepło powitania było różne, tak jak różnili się domownicy. Uprzejmie przyjął go Nelson, potrzebujący, jak się wydawało, zaufanego powiernika rodzaju męskiego bardziej niż innego członka rodzaju ludzkiego. Kurtuazyjnie przywitał go proboszcz, nie dopatrujący się w nikim ani zła, ani zagrożenia, a z rezerwą pani Frances Nelson, bardzo przejęta kłopotliwą krostą pod nosem — demonstrującym, że nawet w pełni lata klimat jest tu nieprzyjazny.

Najmniej serdecznie powitał go sam budynek probostwa — latem pełen przeciągów, jesienią chłodny i wilgotny, a zimą arktycznie lodowaty.

O tej późnej porze roku dom nie miał spokoju. Dokuczliwy wiatr północno-wschodni,

wiejący od morza, a zatem z Syberii, wydawał się zdolny przenikać ściany. Zamiast wesoło pogwizdywać, wzdychał albo wył i jęczał, cały czas szarpiąc posadzone przez człowieka

drzewa, jego dom, zwierzęta albo jego ubrania, jeśli odważył się wyjść za drzwi.

A za drzwiami były chwiejące się gałęzie, powietrze szorstkie od piasku i soli i obracające się skrzydła wiatraków mielących zboże, pozwalające ludziom żyć i przetrwać te

przeciwności.

Pani Nelson pozostawała w łóżku przez całe dni, trzymana przy życiu ciepłem z kłód

drewna spalanych na palenisku, wciąż przynoszonymi szkandelami\* i gorącymi, owiniętymi

we flanelę kamieniami,



bulionem aromatyzowanym goździkami i lekarstwami na jej rozliczne schorzenia. Ojciec znosił wszystko z chrześcijańskim stoicyzmem i z pomocą rękawiczek i szalików. Nelson, nękany reumatyzmem, poruszał się jak relikwiarz z przytułku dla wiekowych marynarzy. Młody Josiah, spędzający w domu ferie, prychał z niezadowolenia jak szczeniak.

Pokoik na poddaszu zajmowany przez Mateusza nie był w żaden sposób ocieplany i przebywanie w nim przypominało warunki w zimie na platformie marsa... Czasami przed udaniem się na spoczynek owijał stopy pasmami klejonego płótna i spał w płaszczu. Nic jednak w tym domu nie mogło go głębiej drażnić czy nie zadowalać. Zakotwiczył się w bezpiecznym porcie, miał wreszcie miejsce pobytu zaznaczone na mapie świata i było to dla niego szczęśliwe wydarzenie, za które chętnie płacił pracą.

Jego obowiązki, jak to przepowiedział kapitan Nelson na londyńskim nabrzeżu, obejmowały wszystkiego po trochu, od pisania listów do wykopywania korzeni, od noszenia do kościoła księżeczek do nabożeństwa do podawania leków chorym cielećtom. Lecz w głównej mierze leżały w dziedzinie ani razu nie wspomnianej jasno przez Nelsona: bycia towarzyszem śmiertelnie znudzonego mężczyzny.

Przez pierwsze sześć miesięcy rozmawiali nieustannie o przeszłości, czyli o morzu—tej utraconej przez Nelsona miłości, jego Świętym Graalu, jego najczystszej namiętności. Nie tylko szarża dyktowała, kto mówił, a kto był słuchaczem; z nich dwóch, kapitana bez okrętu i porucznika bez pracy na morzu, kapitan miał pierwszeństwo w mówieniu i palił się do tego.

— Najgorszą rzeczą w beczynności jest to, że sama się karmi sobą — zauważył któregoś dnia, gdy siedzieli pod bukiem w rogu domu, dnia wrześniowego, który przez jakąś pomyłkę natury był piękny, słoneczny i ciepły. — Nic nie robię jako marynarz i przez to moje umiejętności rdzewieją. Wkrótce przestanę robić cokolwiek... Zaobserwowałem to w Indiach Zachodnich, kiedy byłem kapitanem "Boreasa". Nie robiliśmy nic przez całe miesiące; był to okres zawieszenia między wojną i pokojem, więc mieliśmy rozkaz: "Pozostać w porcie. Nie prowokować sporów z nikim. Lecz okręt utrzymywać w porządku". Utrzymywać okręt w

porządku! Siedzieliśmy na kościach ze zjadanej przez nas wołowiny prawie jak na mieliźnie!

Pamięta pan Angielską Przystań w Antigui? Chciałbym, żeby nie miała w nazwie słowa

“angielska” — bezplywowy port, wypełniony nieczystościami z pięćdziesięciu okrętów stojących tam na kotwicach. Komary rzucały się na nas jak krogulce. Trzydziestu moich

dobrych marynarzy

leżało na ładzie z tyfusem. I w takim wstrętnym miejscu miałem rozkaz utrzymywać

bezczynny hulk\* w porządku!

Na jego twarzy pod czystym tego dnia niebem Norfolku odmalowała się taka wściekłość,

że Mateusz odwrócił oczy w obawie, że mógłby się uśmiechnąć. To był najprawdziwszy

Horatio Nelson: atakujący głupotę czy niedoskonałość, tak jakby Wszechmocny spiskował z niektórymi Swoimi głępszymi stworzeniami, aby stawiać przeszkody na jego drodze... Po

chwili powiedział uspokajająco:

— Przynajmniej, sir, nie prowokował pan sporów.

Nie podziałał uspokajająco. — Głupie gadanie, panie Lawe! — zachnął się Nelson, jakby

Mateusz brał udział — i to niemały — w tym spisku. — W życiu nie miałem więcej sporów! Z

moim własnym głównodowodzącym! Z każdym plantatorem i kupcem na Karaibach! Po

rewolucji w siedemdziesiątym szóstym Akt Nawigacyjny zobowiązywał nas do zabrania

dawnym amerykańskim kolonistom jakiegokolwiek handlu z naszymi posiadłościami na tych

wodach. Wskutek buntu i wyboru byli teraz obcokrajowcami. Mój okręt, tak jak pozostałe, znalazł się tam, żeby wprowadzać w życie embargo. Ale co się stało?

Nelson skoncentrował myśli na dawnym sporze, a teraz tak długo trwał w milczeniu, jakby nigdy nie miał wrócić do teraźniejszości. Mateusz ponaglił go:

— Sir, proszę mi powiedzieć.

— Na Akt Nawigacyjny patrzono z przymrużeniem oka! — odrzekł Nelson z nagłym

oburzeniem. — I to my sami, Marynarka Wojenna! Handel jankeski od tak dawna tu się

usadowił, że żaden statek amerykański i nikt z naszych wyspiarzy nie chciał z niego

rezygnować. Poradzono więc nam, żeby się do tego nie wtrącać. Monstrualne tchórzostwo!...

Napisałem jednaście pism do admirała Hughesa, zarządzającego rejonem Wysp

Zawietrznych, naciskając go, aby coś zrobił. I cóż mi odpowiedział? Nic konkretnego!

Usłyszałem: "Nie róbcie nic. Sprawy same się ułożą." Gdy nalegałem na konieczność działania, wyrobiłem sobie taką opinię, że nikt się do mnie nie odzywał. Na niektórych wyspach nie mogłem nawet zostawić swego okrętu, z obawy przed zniewagą albo czymś gorszym. A przecież chciałem tylko wprowadzić w życie nasze dobre angielskie prawo uchwalone przez parlament.

To gwałtowne szamotanie się wydawało się odległe o tysiąc mil od ogrodu w Norfolk w słońcu i spokoju późno ustępującego lata. Lecz było ono najwyraźniej realne dla tego człowieka, ciągle trzymającego się zasad prawa i postępowania, wciąż ryzykującego własną karierę w sporach ze starszymi rangą oficerami i wpływowymi magnatami w dążeniu do zachowania nie splamionego honoru. Musi się go podziwiać, myślał Mateusz, nawet gdyby musiało się także pomyśleć: Może trochę ostrożności, odrobina przystosowania nie byłoby przeciwstawianiem się uporządkowanemu wszechświatowi zaplanowanemu przez Wszechmocnego...

W głębi duszy Mateusz wiedział, że dla kapitana Nelsona taki kurs nigdy nie byłby do przyjęcia. Gdzie więc jest dziś, po pięciu latach, kapitan Nelson i jakie są teraz jego poglądy? Wyglądało, że są odbiciem poprzednich. Trwał w spokojnym zadowoleniu ze swego postępowania.

— W końcu oddano mi sprawiedliwość — rzekł. — Chociaż przeżyłem cholernie trudny okres, z utratą przyjaciół włącznie i wielkim szeptaniem na ucho w kołach Marynarki. Po wprowadzeniu Aktu, początkowo niezbyt zdecydowanie, kilku kupców poniosło pewne straty, a że wziąłem tuzin przyzów, posunęli się tak daleko, że podali mnie do sądu. Ryzykowny moment dla dowódcy fregaty, zaręczonego i bez własnych środków... Gdy jednak wszczęli proces o czterdzieści tysięcy funtów — mogli równie dobrze zażądać równowartości Narodowego Długu! ; powiedziano mi, że Admiralicja mnie poprze, a skarb państwa opłaci koszty.

Mateusz popatrzył na swego kapitana. Nie było triumfu w jego głosie ani na jego bladej twarzy. — Sir, to musiała być wspaniała chwila.

— No cóż, nie czułem się taki samotny... Aż do następnych zmagania.

A były takie?

— Oczywiście! — odrzekł Nelson, a potem uśmiechnął się. — Bycie kapitanem, panie

Lawe, niesie ze sobą więcej zagrożeń niż brzeg zawietrzny czy grotmaszt zwalony salwą burtową... Szczególnie ważną w tym samym czasie sprawą była plaga oszustw w urzędach

celnych i w magazynach, dokonywanych powszechnie na wyspach przez naszych własnych

agentów Korony. Znowu interweniowałem... Co mogłem zrobić widząc, jak te tłuste,

złodziejskie szczury lądowe obrabowują jego królewską mość? Wykryłem olbrzymie

malwersacje wśród właścicieli magazynów w stocznjach. Dwa miliony funtów, które

przyłgnęły do angielskich palców, to było dla mnie za dużo i powiedziałem to. Za to nazwano mnie

nadmiernie gorliwym intrygantem i jeszcze gorzej. Znaleźli się nawet tacy, co mówili, że

zainteresowałem się sprawą przez złość, że nie dostałem swojej części łupu... No cóż, w końcu

okazało się, że miałem rację i kilku głównych złodziei poszło do więzienia. Ale dopiero po

odesłaniu "Boreasa" do kraju i rozpuszczeniu załogi. — Westchnął — westchnieniem

wszystkich ludzi uczciwych, stwierdzających, że świat nie zna wdzięczności.

— Można z tego łatwo wyciągnąć morał: Człowiek może być zbyt gorliwy. Lecz ja w to nie

wierzę i nigdy nie uwierzę.

W porze świąt Bożego Narodzenia byli skazani na siedzenie w domu. Krajobraz pod

śniegiem, z wiatrem wyjącym żałośnie w nagich drzewach, zanim sięgnął lodowatymi palcami pod

ich dach, wyglądał niezwykle ponuro. Norfolk mogło równie dobrze leżeć na północnych

pustkowiach Rosji. Pani Nelson stała się niewidoczna, jak chory duch nie zaliczający się do żywych

domowników. Proboszcz, mający do obsłużenia dwa kościoły, trudił się bardzo, pod opieką

Mateusza, z rumakiem o szerokim zadzie, z którego czasem korzystał przy odbywaniu swych

kapłańskich wizyt.

Na uboczu, w swoim gabinecie, Nelson czytał i pisał. Zrodziła się w nim sympatia — i

szacunek — dla innego udręczonego żeglarza z dawnych czasów, kapitana Williama

Dampiera. Zainteresował go jego opis podróży naokoło świata sprzed stu lat. — To był dzielny człowiek! — mówił do każdego, kto chciał go słuchać — a w tym jałowym okresie mógł to być tylko Mateusz.

Dzienniki kapitana Dampiera sprawiły, że Nelson, zamknięty w ponurym, ciemnym pokoju, w szarym, zimnym świetle, zaczął znowu marzyć o minionej sławie. Czytał o przygodach na tajemniczych jawajskich morzach, o bukanierach i ucziwych żeglarzach, o wysadzeniu na odludnych wyspach, buntach, desperackich walkach, wspaniałych wyprawach zakończonych triumfem; o nawigatorze Dampiera, Aleksandrze Selkirku, rozbitku już sławnym w pieśni

opowieści jako "Robinson Crusoe"; o ludziach rzucających wyzwanie potędze morza i pokonujących je większą siłą i wytrwałością.

Natrafił na ironiczny przypis do historii burzliwego życia: jak to William Dampier, wróciwszy z trzyletniej podróży do Australii i dalej, został oskarżony o nadmierną surowość wobec załogi i skazany na grzywnę stanowiącą równowartość całego jego wynagrodzenia za wyprawę.

— Oficjalny rabunek! — oświadczył Nelson Mateuszowi, czekającemu na pełnienie obowiązków sekretarza; a potem, zamyślony, dodał z niezadowoleniem: — Nic się nie zmienia!

Nic się nie zmieniło i wyglądało na to, że wszystko było Wielkim Naigrawaniem się z bezowocności jego własnych poczynań.

Na krótko mogło go zadowolić skromniejsze zadanie, skoro nie miał innego: korespondencja w sprawie drogiej jego sercu—ratowania życia na morzu.

— Jeśli nie mogę zabić wroga, to niech przynajmniej uratuję przyjaciela — rzekł do

Mateusza, otrzymawszy pierwszy list od pana Williama Wouldhave'a z South Shields w

Durham, innego przybrzeżnego okręgu atakowanego przez Morze Północne. Pan Wouldhave,

prosty wieśniak, utrzymujący, że jest wynalazcą, i jego przyjaciel, pan Henry Greathead, szkutnik, wpadli na pomysł budowy "niezatapialnej łodzi", którą można byłoby wysyłać w morze w każdą pogodę i w ten sposób nieść pomoc okrętom w niebezpieczeństwie.

— Pokochałem ich nazwiska — wyznał kiedyś nieobliczalny Nelson — zanim jeszcze

dowiedziałem się, nad czym pracują. Pan Wouldhave\* będzie miał tę łódź ratunkową. Pan

Greathead\* okazuje wielkie serce dla tego przedsięwzięcia. Proszą mnie o radę, co mi

pochlebia; chyba też szukają u mnie pieniędzy, co byłoby, niestety, triumfem nadziei nad rzeczywistością. Myślę dać im mnóstwo rad i trochę pieniędzy. Co do ich projektów...

Co do ich projektów, to Nelson-marynarz i Mateusz Lawe, jego zaufany bosakowy, od razu

docenili ich wartość. Chodziło w nich

O małą łódź, niezniszczalną przez morze, z wyjątkiem ostrych skał na jego obrzeżu; łódź o mocnej, prostej stępce, z komorami powietrznymi na obu wysoko zadartych końcach, z

wypełnieniem z korka, zapewniającym stałą pływalność; łódź zdolną po wywróceniu się przyjąć z powrotem właściwe położenie.

— Proszę pisać ten list — polecił Nelson, odsuwając na bok co najmniej na godzinę złe potraktowanie kapitana Dampiera i cały świat rządów zakutych łańców. — Szanowny Panie

Wouldhave, Pańskie nowe projekty dalej zaprzatają moją uwagę. Chciałbym, aby mógł Pan

wynaleźć maszynę, która napędzałaby taką łódź lepiej niż wiosła lub żagiel. Skoro jednak jest to niemożliwe, musimy zapewnić naszym ludziom, aby przeżyli i mogli użyć siły mięśni.

Gdyby się udało, bez utraty stabilności, podnieść w górę platformę wiosłową, tak aby woda sama z niej ściekała, a łódź sama się naprostowywała, wiosłarze, przywiązani do swoich

ławek, byliby w stanie wiosłować bez przerwy. Jestem naprawdę przekonany, że ta służba ratowania życia na morzu, jak uznałem za słuszne ją nazywać...

I rzeczywiście był przekonany. Jak zawsze. Mateusz, notując śpiesznie, żeby za nim

nadążyć, znalazł jednak chwilę czasu na podziw. Wreszcie i łodzie będą unosić się na falach, i ludzie, i ten człowiek, sprawiający więcej kłopotów niż morze.

Będzie znowu pływał — niech Bóg błogosławi jego niezatapialne serce—i będą pływały

liczne okręty, także te pogardzane i odrzucone,

I sama Anglia, tonąca w rozkładzie.

Jeśli tylko zmieni się kierunek pływu.

Ale czas zmiany pływu jeszcze nie nastał. Z nadejściem wiosny kapitan Nelson odbył

kolejną długą i kosztowną wyprawę do Lon

dynu, rozstawnymi końmi w etapach dwudziestomilowych, po sześć pensów za przebytą milę.

Wrócił znowu i zniechęcony, i przygnębiony. Mimo krążących pogłosek o wojnie i ponownym zbrojeniu otrzymał taką samą odpowiedź jak przez ostatnie cztery poniżające lata: nie ma dla niego okrętu.

Siedząc z Mateuszem w ponurym gabinecie, przy ogniu w kominku ogrzewającym znużone ciało i mętym czerwonym winie dla podniesienia ducha, Nelson snuł relację ze swych odwiedzin Londynu. Otrzymał zgodę na krótkie spotkanie z lordem Hoodem, lordem z Marynarki Wojennej i admirałem, którego znał najlepiej z dawnego pobytu na pozycji w Indiach Zachodnich; ale to właśnie lord Hood przekazał mu oficjalny wyrok i to on odwzajemnił pożegnalny ukłon, zanim przeszedł do spraw większej wagi.

— Niczego lepszego nie oczekiwałem — zakończył smętnie Nelson. — Wiem, jak wiatr wieje w tamtej okolicy... Słyszałem wcześniej te same słowa z ust jego lordowskiej wysokości — i to wypowiedziane bardziej opryskliwie. — Zawahał się, a potem postanowił dokończyć opowieści, jakby mogło to złagodzić porażkę. — Było to jakieś dwa lata temu, latem osiemdziesiątego dziewiątego. Zapytałem go wręcz, dlaczego z moją rangą nie mogę dostać okrętu, a on dał mi prostą odpowiedź — najprostszą w moim życiu. Powiedział, że król wyrobił sobie niekorzystną opinię o mnie, że to jest prawdziwy powód i że to się nie zmieni.

Jak do tego doszło? — zapytał zdumiony Mateusz.

— Nie wiem. I nie mogłem zapytać.

— Ale myślałem, że jego królewska mość chwalił pana.

— Sądziłem, że był moim przyjacielem! — odparł Nelson z goryczą. Widać było, że był załamany i że pozostała w nim głęboka rana.

— Myliłem się jednak i utarło mi wtedy nosa... Mogę przyznać się panu, że nigdy nie czułem się bardziej przybity.

Polano zapaliło się jaśniejszym ogniem, ukazując twarz człowieka naprawdę przybitego, porzucającego wszelką nadzieję.

— Może chodziło o oszustwa w stoczni? — zaryzykował Mateusz. — Albo o kłopoty z Aktem Nawigacyjnym? Mówił mi pan kiedyś, sir...

— nie był pewien, jak to wyrazić — użył pan słów: “nadmiernie gorliwy” czy “zbyt gorliwy”.

— Chodziło o wszystko — odrzekł Nelson. — Przypuszczam nawet, że byłem obwiniany



za wybryki i skandale księcia Wilhelma Henryka. Dano go pod moją opiekę na tamtej pozycji i powiedziano mi prywatnie, żebym miał go na oku. Równie dobrze można by mieć na oku atakującego byka!

— Wybryki? — powtórzył Mateusz zaintrygowany. Według jego bardzo lojalnego przekonania księżęta krwi nie miewali wybryków,

które — jak utrzymywano — wyszły z mody od czasu, gdy wesoły monarcha Karol Drugi wyczerpał cały ich zapas.

— Wśród różnych nietaktów — Nelson przerwał wątek swoich myśli na rzecz surowej otwartości — jego królewska wysokość źle trafił z dziewczyną w Antigui. Czy to była moja wina? Mój przykład? Czy miałem wyciągać go ze wszystkich łóżek, do jakich zdarzało mu się zabłądzić? Czy powinienem był skradać się za nim krok w krok po Iwyspach z rurką rtęci? —

Wyglądało, że za chwilę wybuchnie, lecz znużenie i rozczarowanie przytłumiło ten nastrój. —

Och, jakie ma to teraz znaczenie? Księżę cierpi z powodu przelotnej plamy na reputacji, Ja kapitan mianowany traci dowództwo okrętu. Przedstaw pan to swoim filozofom i niech łamią głowy nad znalezieniem metafizycznej i odpowiedzi.

— Sir, to ma znaczenie dla mnie i nieskończenie większe dla pana.

— Dobry z pana człowiek, Lawe. — Nelson znów wrócił do równowagi, gdy ogień wygasł, a mętne wino przestało działać. — Najlepszy z ludzi, ale brak panu kropli cynizmu. Proszę pozwolić, że skończę moją żalospisną opowieść. Po wysłuchaniu werdyktu lorda Hooda nie

postawiłem stopy w Babilonie przez dwanaście miesięcy. Przy połowie pensji, stu dwudziestu funtach rocznie, jak mógłbym sobie pozwolić na takie bezużyteczne marnowanie grosza?...

Kiedy powiedziałem panu, że co kwartał jeździłem do Londynu, nie była to cała prawda.

Robiłem to zawsze przedtem, z głową pełną marzeń, lecz po takim potraktowaniu mnie nie mogłem zdobyć się na to. W dniu naszego spotkania przybyłem tam po raz pierwszy od roku.

Odpowiedź była taka sama. Nelson? Nie ma okrętu dla Nelsona. Niech czeka, aż dostanie sygnał.

Pory roku przychodziły i wolno mijały, pełzną, jak kaleki, bez żadnej nadziei poza

niebem. Na początku roku 1792 wielebny Edmund Nelson, skończywszy siedemdziesiąt lat i

czując się słabo, opuścił Burnham Thorpe i przeniósł się do pobliskiej wioski położonej dogodniej dla jego licznych obowiązków, które zamierzał pełnić do końca swego

duszpasterzowania. Podczas Świąt Bożego Narodzenia, już się żegnając, odbył z Mateuszem rozmowę o swoim pogrążającym się w rozpacz synu.

— Wiem, że Horacy jest nieszczęśliwy — rzekł, gdy Mateusz powiedział mu o

rozgoryczeniu kapitana. W rodzinie używano imienia "Horacy"; "Horatio" było na użytek oficjalny, w wielkim zewnętrznym świecie, który o nim zapomniał. — Ale przecież tak dobrze szło mu w Marynarce. Kapitan mianowany w wieku dwudziestu jeden lat... Byłem tego dnia

taki dumny z niego! Czy to mu nie wystarcza?

— Należy mu się więcej, sir, gdy ma tak dużo do zaofiarowania.

— Ma przecież to gospodarstwo, które daje mu zajęcie, swoją drogą żonę, tak dbałą o niego, i dorastającego Josiaha.

\_ Nawet z tym wszystkim.

Proboszcz westchnął. — Gdyby tylko mógł na to spojrzeć jak na wolę Boga...

Mówił o rezygnacji i pokorze, czego Mateusz ledwie słuchał, tak bardzo te cechy były

odległe od świata marynarzy. Były one darem i pociechą dla ojca, lecz nie dla syna. Czy jednak ojciec nigdy nie zapragnął zostać biskupem?... Popatrzył na bezbarwną twarz starca,

równocześnie zakłopotaną i spokojną, i zdecydował, że nie.

Przy końcu kazania Mateusz zauważył: — Z całym szacunkiem, sir, kapitan Nelson pozostaje ambitny, co też może być wolą Boga.

— Tak, tak — odparł starzec, nagle rozdrażniony. — Gdy ktoś zakosztował sławy... Lecz czy pan, znający go dobrze, uważa, że tu nie będzie nigdy szczęśliwy?

— Szczerze mówiąc, nie.

— No więc co?

— On żyje nadzieją, podobnie jak ja.

Niewykluczone, że przed opuszczeniem plebanii proboszcz powiedział o tej rozmowie

komuś, kogo to jeszcze bardziej obchodziło. Kilka tygodni później, gdy liczba domowników

zmniejszyła się, a codzienny tryb życia stał się spokojny, pani Nelson poruszyła temat mało widywanego męża z człowiekiem, który mógł więcej o tym wiedzieć niż ona sama.

W ciągu dwuletniego pobytu Mateusz rzadko rozmawiał z panią domu, a nigdy poufale.

Teraz, gdy siedzieli w spłowiełym salonie, ona z robótką, a on beczynnie, nie spodziewał się niczego, poza godziną uprzejmej wymiany zdań przed obiadem, na który — jako że był to

wtorek — złożą się: gotowana baranina, sos z kaparów, przystawka z cielecego mostka i ser, biały i płaski, jak krajobraz Norfolku.

Ku jego zdziwieniu, pani Nelson miała mu do powiedzenia coś ważnego i przystąpiła do rzeczy bez żadnego wstępu.

— Panie Lawe — rzekła — proszę mi powiedzieć, czy kapitan Nelson jest zadowolony ze swojego życia na łodzi?

Zaskoczony, popatrzył na nią uważniej, niż się ośmielał — lub chciał — dotąd. Zobaczył

to, co widział zawsze: kobietę zamkniętą w sobie i milczącą, bladą, jak jej małżonek, cierpiącą, jak zawsze, z powodu zimowych chłódów, ubraną w najsurowsze szarości, jakby już była

wdową, kobietę żyjącą na uboczu, nie wiedzącą dlaczego i być może nie chcącą wiedzieć. Czy potrafiłby przepisać kurację na takie dolegliwości? Czy był to pierwszy krok w kierunku szukania w nim sprzymierzeńca? Mógł tylko posuwać się na ślepo.

— Jak pragnę zdrowia, proszę pani, nie mam pojęcia. Rzecz jasna, że chciałby być na morzu. Uważa, że powinien, więc czeka cierpliwie.

— Nie może zrezygnować?

“Zrezygnować” to było słowo używane przez proboszcza. Mateusz rozumiał je, ale go nie lubił. Czemu człowiek ma “rezygnować”, kiedy ma jeszcze w sobie trochę życia? Może to dobre dla zakonników i słabych starych ludzi albo więźniów, którzy wyjdą na wolność dopiero w zabitej gwoździemi nędznej trumnie. Ale dla mężczyzn? Dla marynarzy? Dla Nelsona?

— W tej sprawie, proszę pani—odrzekł ostrożnie — kapitan musi mówić sam za siebie.

Pani Nelson na chwilę zajęła się robótką, potem spojrzała na niego znad tamborka, zrobiła kilka ściągów i westchnęła. Było jasne, że spodziewała się czegoś więcej i teraz sama

“rezygnowała”, poddając się rozczarowaniu. W końcu powiedziała:

— Wszyscy czekamy cierpliwie. Ja czekam na powrót do słońca, ale się nie doczekam.

Robię więc lojalnie to, na co mnie stać najlepszego.

Grunt był wielce niebezpieczny. Oznaczało to, że to jej "najlepsze" nie było dosyć dobre i z pewnym oporem powiedziała mu to. Ale czemu nie ma u jej boku szczęśliwego mężczyzny?

Czemu nie ma radości ani zgody w kochaniu? Czemu nie ma dzieci? Nawet najodważniejszy porucznik na świecie nie zaryzykowałby wkroczenia w taki prywatny konflikt.

Na szczęście coś im akurat przerwało, chociaż coś nie najlepszej jakości. Dziecko z innego małżeństwa, pasierb Josiah wpadł z hałasem do pokoju i bez słowa powitania rzucił się na fotel. Ten dwunastolatek był niezgrabny i bez wdzięku, a do tego nieustępliwy w swoim

przekonaniu, że duży świat musi się obracać wokół jego małej osoby.

Nie należał do kochanych przez Boga, i Mateusz był pewien, że wyrośnie na człowieka jeszcze mniej wzbudzającego miłość. Wielkie szczyty niedoskonałości ciągle leżały przed nim.

— Mama — zaczął zdecydowanie płaczącym głosem. — William mówi, że nie dostanę placka z owocami.

— To prawda, skarbie.

— Powiedział: "Połóż to", tak niegrzecznie! Jak może mi zabraniać? On jest służącym.

— Nie pozwolił ci, bo zaraz obiad, i wiedział, że ja tego nie' pochwalę.

— Ale ja jestem głodny.

— To zjesz dobry obiad.

Josiah kręcił się i kopał nogami. — Nie miał prawa tak mówić — zalił się, a potem powiedział mściwie: — Jak dorosnę, zwolnię go!

Jeśli dorośniesz, pomyślał Mateusz, i żałował, że nie może powiedzieć tego na głos. Ale nie mógł — nie mógł nawet najlżej napomknąć kochającej matce, że panicz Josiah Nisbet mógł

być nie

najmniejszym składnikiem lądowej choroby, sprawiającej, że marynarze tęsknili za morzem.

Raz jeszcze zmieniły się pory roku, w czasie których pracowali w ogrodzie i pilnowali

ludzi kopiących grunt i rowy, przycinających żywopłot i zbierających plon — ubogi w czas nieurodzaju. Sami również kopali, pomagali zrywać owoce, przeprowadzili też niewielki kanał

przez swoją małą pustynię. Jesienią chodzili wśród bezlistnych drzew. — Idzie ich dwa tysiące na budowę okrętu liniowego — mówił wtedy Nelson patrząc na duży drzewostan dębowy. —

Tak pragnę zobaczyć te drzewa ścięte po to, żeby zrobić z nich użytek!

Na plebanii nie było wiejskich rozrywek dla mężczyzn. — Nie umiem strzelać — oznajmił

Nelson — dziwne zaiste wyznanie ze strony bojowego oficera Marynarki — i dlatego nie mam pozwolenia. — W tym martwym sezonie te słowa mogły być jego żywym epitafium.

Przeczytawszy wiadomości polityczne z Francji w tym burzliwym, krwiożerczym roku

rewolucji, raz jeszcze pojechał do Londynu, jak to uczyniło tysiąc innych, ogarniętych nadzieją oficerów, aby zgłosić się na służbę we flocie. Flota pozostała ślepa i głucha. Nelson wrócił

zniechęcony i trzęsący się nie tylko z dokuczliwego zimna. Położył się do łóżka na trzy dni.

— Malaria albo jej pozostałości — usłyszał Mateusz, gdy w końcu bladożółty cień oficera Marynarki wynurzył się z sypialni. — Cierpię na nią od czasu, gdy jako siedemnastoletni chłopiec zostałem midszyp- menem. Trincomalee\*, na dalekowschodniej pozycji — jeszcze

jedna przekłeta pułapka na młodych marynarzy. Kiedy mnie bierze, kładę się i pocę przez jakiś czas. Potem mam spokój na rok albo dwa.

— Nie wiedziałem, sir.

— Och, jestem chory na wszystkie choroby wymienione w farmakopei\* — rzekł Nelson

— i rzeczywiście, sądząc po jego wyglądzie, mogło to być prawdą. — Ale one jakby o mnie zapominają, kiedy pływam... — Stał przy oknie gabinetu, patrząc poprzez ogród w lodowatym uścisku zimy na płaskie pola uprawne, czekające na następną wiosnę. Coś w lekkim

pochyleniu pleców mówiło: Od tej wiosny dzieli mnie sześć miesięcy. — Po tych paskudnych atakach mam jakby zasłonę na obu oczach, cienką błonkę, która pojawia się i znika. Nie widzę daleko — teraz też, nie widzę tego dalszego pola dziesięcioak- rowego. — Odwrócił się

nagłym ruchem. — I nie chcę widzieć! Nienawidzę lądu! Żałosny, skąpy stwór, co nie chce dawać! Cojatu robię?

— To samo co zawsze, sir — odrzekł Mateusz. Z długiego doświadczenia wiedział, że nie

może nic zrobić, żeby poprawić desperacki nastrój kapitana Nelsona: pływ musi się zmienić od wewnątrz. — Niech pan czeka na lepsze dni.

— Przypuśćmy, że nie nadejdą. Kim my jesteśmy? Oficerami Marynarki Wojennej? Nie

byłem nim naprawdę od czasu wycofania "Boreasa" ze służby w 1787 roku. Całe pięć lat. Pięć

pustych lat!... To doprowadza mnie nieomal do szału! My obaj jesteśmy zwierzętami wodnymi. Wyszliśmy z wody i musimy do niej wrócić. Albo będziemy pływać, albo umrzemy.

— Można jakoś żyć na lądzie — rzekł Mateusz, który zaczynał w to wierzyć.

— Bezwartościowym życiem. Dla mnie nie ma ż y c i a w Burnham. Mój pies ma lepiej.

Mówię panu, wrócę na morze, choćbym miał służyć u Rosjan!

Nigdy jeszcze nie zapadł się głębiej w swoją krainę rozpacz. Po kolacji spożytej w milczeniu i zamyśleniu poszedł tego wieczora do łóżka znów w dreszczach, z bolącymi oczyma, z większą niż zwykle pustką w sercu. To zwierzę morskie, uwięzione powyżej zasięgu wód pływowych, ledwo już dyszało z braku jedyne go żywiołu, który mógłby utrzymać je przy życiu.

I wtedy wszystko się zmieniło.

### III

Zmieniło się po ostatecznym morderczym sygnale: odrąbaniu głowy ludzkiej od ciała, wielkiej plamie krwi królewskiej, która spłynęła na stopy kata, i spadającym trofeum zręcznie pochwyconym do wiklinowego kosza przy triumfalnym wyciu tłumu. Król Francji Ludwik

XVI, zgilotynowany, łatwiej poruszył serca i umysły niż jako człowiek nie naruszony.

Tej historii słuchano z przerażeniem w Anglii, gdzie od 144 lat nie odcięto głowy królowi i gdzie sądzono, że takie barbarzyństwo znikło wraz z niedobrą przeszłością. Lecz był to tylko ostatni rozdział w biegu wydarzeń, który teraz wydawał się zagrażać ich własnemu zdrowiu.

Gorączka, która osiągnęła pierwszy szczyt podczas szturm na Bastylię czternastego lipca jakieś trzy lata temu, teraz znów podnosząc się po egzekucji monarchy, była dla Francji zbyt gwałtowna, aby dało się ją opanować. Wyglądało zresztą, że wcale tego nie chce.

Gorączka rozprzestrzeniała się, nie tylko na kontynencie europejskim, lecz także poprzez Kanał w najbliższym sąsiedzkim kraju,

w Anglii, choć większość ludzi znacznych i trzeźwo myślących nie witała infekcji radośnie.

Naśladując zapalczywych Galijczyków, zakładano kluby rewolucyjne nawet w spokojnym

Norfolk, ze spotkaniami urządzanymi w szynkach dla "Przyjaciół Rewolucji", "Ludzi

Zdecydowanych" i tym podobnych.

Wkrótce tłumy, rozruchy, palenie kop siana, buta pospólstwa, rozdmuchane obietnicą

władzy, zagroziły porządkowi prawnemu. Wtedy inny król dał inny sygnał.

Angielski Jerzy III, "Jerzy Wieśniak" dla większości przyjaznych mu poddanych, wygłosił mowę w wiernej mu Izbie Gmin.

Starannie ułożona przez kogoś bardziej doświadczonego, stwierdzała w chłodnych słowach, że Anglia nie może dłużej być neutralna w sprawach Kontynentu, ponieważ osoby z zagranicy wywołują kłopoty w jego własnym szczęśliwym królestwie. Toteż jest wolą króla, żeby jego siły lądowe i morskie zostały zwiększone dla utrzymania wewnętrznej stabilizacji i potęgi zewnętrznej.

Przetłumaczona na prosty język mowa znaczyła, że "francuska choroba" nie może się rozprzestrzeniać w tych czystszych okolicach. Jeśli potrzeba do tego armii, aby stłumiła ją w kraju, i Marynarki Wojennej, aby ją odepchnąć, to armia i Marynarka Wojenna będą podwójną odpowiedzią. Jeśli wymaga to wypowiedzenia wojny.....

To napomknienie z pewnością było wystarczające dla Marynarki Wojennej. W ciągu tygodnia okręty stojące w dokach zostały spuszczone na wodę, a ich marynarze, wezwani, przybyli biegiem.

Wśród nich był kapitan Horatio Nelson, nie czekający na wezwanie, które mogło do niego nie dotrzeć. Gdy ustała styczniowa burza zimowa, która zalawszy drogi uczyniła je nieprzejezdnymi, udał się rozstawnymi końmi do Londynu; idąc za impulsem — dziwna, przedwczesna decyzja, która okazała się bardzo właściwa — zabrał ze sobą swego porucznika.

Porucznik Mateusz Lawe, który po trzech latach pracy mógł kupić sobie przynajmniej jeden galowy mundur zasługujący na tę nazwę, i teraz nosił go z dumą, czekał w parku Św.

Jakuba na powrót kapitana Nelsona z położonego w pobliżu budynku Admiralicji. Gdy przyszli tam po raz pierwszy, zastali taki dum ludzi, a urzędnicy w dalszym ciągu tak wyniośle i apodyktycznie traktowali poszukujących zatrudnienia w Marynarce Wojennej, że Nelson uznał, iż samemu będzie mu łatwiej torować sobie dostęp.

Mateusz dzielił czas oczekiwania między Admiralicję i królewskie kaczki, które uczyniły park swoją posiadłością. Chociaż ta pierwsza, surowa i wyniosła, nie dawała

żadnych—dobrych czy złych—znaków co do przyszłości, znaki dawane przez kaczki były

wspaniałe. Nigdy

jeszcze nie pływały tak żwawo; nigdy nie wydawały się szczęśliwsze i bardziej zadowolone w wybranym przez siebie żywiole.

Pływały w konwoju, w szyku torowym, w szyku czołowym; wykonywały zwroty,

zataczały koła i rozchodziły się w takim tempie, że pozostawiłyby za sobą eskadrę fregat ledwie wlokącą się w chaosie. Jeśli królewskie kaczki były w takiej gotowości bojowej, to królewskie okręty z pewnością nie mogły być daleko w tyle.

Wkrótce się dowie — dowie się teraz! Spieszyła bowiem ku niemu, niemal biegła, postać

łatwa do rozpoznania, ale przecież prawie nieznaną z jej obecnym wyglądem: niejaki kapitan Horatio Nelson, z rozbłysłym okiem, z uśmiechem na ustach i z zaróżowionymi policzkami, czego żaden śmiertelnik, czy to mężczyzna, czy kobieta, nie oglądał od ponad pięciu lat.

Już był blisko; uśmiech przeszedł prawie w śmiech, a błysk w oku stał się tak silny, że mógłby zastąpić latarnię na topie masztu o północy. Nie można było się mylić: Nelson był

znowu sobą, człowiekiem pełnym optymizmu, niosącym być może najlepsze wiadomości w życiu.

— Mam okręt! — powiedział, ledwie znalazł się w zasięgu słuchu. Jego wątła postać

jakby nagle urosła i stała się wysoka i dumna jak grotmaszt. — Okręt liniowy! Mój pierwszy!

Co pan na to, panie Lawe?

— Powiem: Chwalmy Pana. — Zachowywali się w sposób tak nieopanowany, że

najbliższe stado kaczek zerwało się z wody, jakby ulatując ku niebu. Kolejny dobry omen...

Mateusz, nie posiadający się z radości, postąpił do przodu. — To cudowna wiadomość, sir.

Proszę pozwolić, że uścisknę panu dłoń.

Podali sobie ręce i potrząsali nimi gorąco i serdecznie; w takiej chwili Nelson uściskałby dłoń nawet ślepego żebraka — albo którąś z kaczek. Ale otaczali ich ludzie, uśmiechający się lub patrzący na nich ze zdumieniem, więc Nelson się zmiłgował. Zgodnie odeszli na bok i ruszyli przez zieleń parku.

— Powiedział pan: okręt liniowy, sir?

— Tak. Obiecano mi sześćdziesięcioczerodziałowy. Teraz witają mnie z uśmiechami! —

Kapitan Nelson za bardzo był uszczęśliwiony, żeby się rozwodzić na temat lekceważenia go w



przeszłości. — Proponowano siedemdziesięcioczerdziałowy, gdybym zechciał poczekać kilka miesięcy, ale ja z największą gotowością przyjąłem ten pierwszy. Pięć lat wystarczy...

Wyflęwam więc w końcu na morze.

— Co to za okręt?

— Jeszcze nie zdecydowano. Jakiś jeden z trzech. Ale jak tylko się dowiem, musi pan wrócić do Burnham.

— Burnham? — powtórzył Mateusz zaskoczony.

— Burnham — potwierdził Nelson, spoglądając z ukosa na niego. — Niech pan jednak nie robi takiej smutnej miny, panie Lawe. Jest pan

ze mną, miejsce ma pan już zapewnione. I Josiah też — jako midszypmen. Dobrze mu robi, tak sędzę, służba od początku bezpośrednio pod moim okiem... Ale pierwszym pańskim zadaniem jest zmobilizowanie ludzi w Norfolk. Myślę, że jest wielu, którzy chętnie przyjdą; im mniej marynarzy z przymusowej branki czy z więzień na moim okręcie, tym lepiej dla nas.

— Najgoręcej dziękuję, sir.

— W pełni pan na to zasłużył przez te przeszłe lata złej pogody. I, na Boga, ja także! —

Nelson pozwolił spojrzeniu wędrować przez chwilę po przyjemnej zieleni królewskiego parku, a potem zwrócił je na surowy budynek Admiralicji, który okazał się takim opiekuńczym

pałacem. — No cóż, musimy rozstać się na jakiś czas. Postaram się o spotkanie z panem

Davisonem. — Spojrzał na Mateusza z lekko figlarnym błyskiem w oku; w tym radosnym

dniu, który z szarego przemienił się w błękitny, z zastąlej sadzawki w swobodnie płynące morze, nie było niczego w pełnej udręceń przeszłości, czego nie można by potraktować jako żartu. — Pamięta pan może pana Aleksandra Davisona, z miasta Quebec?

— Hm... tak, sir.

— Mieszka teraz w Londynie. Był dawniej moim agentem przyżowym i dalej prowadzi

moje sprawy. Jeszcze jeden prawdziwy przyjaciel. Mam nadzieję odpłacić się mu za chude

lata. — Potem szorstko skinął głową, znowu stając się kapitanem mianowanym, mającym na

głowie więcej niż zamartwianie się połową pensji i myślenie kategoriami półpensówek. —

Proszę być w naszej kwaterze o drugiej. Dla odmiany będziemy ucztować!

Blisko trzy tygodnie czekali, odprężeni, przyjemnie zajęci, na nazwę nowego okrętu

kapitana Nelsona. Podano ją wreszcie: "Agamemnon", obiecany

sześćdziesięcioczerodziałowy okręt liniowy, stojący w stoczni Chatham w ostatnim stadium przygotowania do wyjścia w morze. Potrzebował już tylko pełnej załogi.

I znowu Nelson nie posiadał się z radości. — Jest to jeden z najlepszych okrętów w

Marynarce — oświadczył. — Zbudowany w Buckler's Hard w Hampshire. Nie zamieniłbym

się teraz, nawet gdyby oferowano mi "Victory"... Muszę pilnować go w Chatham, a pan musi wrócić do Norfolk. Proszę tam rozpowszechnić dobrą nowinę. Znaleźć mi ludzi, chętnych

ludzi. Niech pan rozlepi ogłoszenia w tawernach, pomówi z burmistrzami i rajcami. Proszę niczego nie obiecywać, poza ciężką pracą, dobrym traktowaniem, szansą na bitwy i przyzy i wszechstronną opieką, jak długo ja będę dowódcą. Jeśli to nie wystarczy, to znaczy że

angielscy marynarze wymarli!

Marynarce nie wymarli, chociaż nie traktowano ich z dbałością. W czasie, jaki dostał na to, Mateusz Lawe zebrał dwustu ochotników,

gotowych służyć (czego nie wstydził się powiedzieć) "przywódcy wartemu miłości".

Gdy Nelson wrócił do Burnham po swoje morskie rzeczy i żeby pożegnać się z rodziną,

miął do powiedzenia swojemu porucznikowi po pierwsze: "Dobra robota", a po drugie: "Nasz wspólny przyjaciel, pan Davison, przesyła panu najserdeczniejsze pozdrowienia". A potem było już tylko pakowanie się, krótka runda wizyt i powóz do Londynu, z porucznikiem

Lawe'em i midszypmenem Josiahem Nisbetem. Przecięcie więzi z lądem, tak długiej i nużącej, zostało \_J dokonane co najmniej równie łatwo jak odcięcie głowy królowi francuskiemu.

Tak więc w szóstym roku wygnania, zostawiając za sobą dumnego z niego ojca, który

przekroczył już siedemdziesiątkę, i uporczywie bezdzietną trzydziestopięcioletnią żonę, Nelson radośnie wrócił na morze. Miał dołączyć do eskadry lorda Hooda na Morzu

Śródziemnym; lorda Hooda, mającego podnieść swój proporzec na "Victory", teraz

przyjaciela, który nie musiał brać pod uwagę królewskiej niechęci ku niemu.

O "Agamemnonie" mówiono, że mógłby wyprzedzić flotę. Tak też uczynił i tak uczynił on.

W miesiąc od czasu, gdy lord Hood z eskadrą złożoną z czternastu liniowców zaczął krążyć w pobliżu Tulu, dużego portu francuskiego, w nadziei wywabienia stamtąd floty w morze, stało się rzeczą jasną, że nieprzyjaciel nie zamierza podjąć takiej ryzykownej gry. Powodów można się było domyślać, a teraz potwierdzili je brytyjscy agenci.

Idące do głowy wino rewolucji rozluźniło dyscyplinę we flocie, a ponad połowę oficerów, zatwardziałych rojalistów, zabrano na ląd i zgilotynowano w Marsylii. Toteż francuskie okręty wolały pozostać tam, gdzie były, tak długo jak się dało. Tulon był mocnym, dobrze

ufortyfikowanym portem, nie do Sforsowania od strony morza. Niech brytyjska flota traci tu czas, skoro tego sobie życzy.

Była tylko jedna odpowiedź, jedyna możliwość energicznego działania: intensywna

blokada i dokuczliwy głód, jako jej następstwo, bo biedne, pogrążone w chaosie tereny wokół

zatłoczonego portu nie będą w stanie go wyżywić. Hood wprowadził ten zamysł w czyn i

osiągnął cel wcześniej, niż się spodziewał. Blokada Tulu, z jego statkami i dokami i

reputacją twierdzy Europy, rozpoczęła się w czerwcu, a w końcu sierpnia złamane przez głód i wewnętrzne niesnaski miasto wywiesiło białe flagi i poddało się.

Nie było czasu na świętowanie, chociaż wydano dodatkowe racje rumu, a marynarze

ustawiali 6ię przy relingach, wymieniając radosne okrzyki z mijanymi innymi brytyjskimi okrętami w służbie blokado

wej. Lord Hood wiedział, że Tulon może utrzymać tylko wojsko, które musiało wejść do

miasta i objąć nad nim ścisłą kontrolę, zanim zostanie podjęta próba odebrania go przez francuskie siły lądowe. Najbliższe oddziały wojskowe, neapolitańskie, sprzymierzone na mocy traktatu, znajdowały się w Neapolu. Trzeba było je wezwać, aby się przyłączyły.

Do tego zadania, które mogło wymagać człowieka chłodno myślącego i mającego

umiejętność przekonywania, a także szybkiego okrętu, wydelegował Hood kapitana Nelsona i

“Agamemnona”, który w krótkim czasie zyskał sławę w dwóch dziedzinach: prędkości i fachowości.

Rozkazy dane Nelsonowi były jasne, lecz dość ogólne, jak przystało na

głównodowodzącego, który uczył się zaufania do niego: dostarczyć pilne wiadomości

brytyjskiemu ambasadorowi, Sir Williamowi Hamiltonowi (nosił bardziej szumny tytuł posła i pełnomocnego ministra przy dworze Królestwa Obojga Sycylii w Neapolu); uzupełnić pisma

wszelkimi argumentami, wyjaśnieniami lub szczegółami, których mógłby potrzebować Sir William Hamilton (negocjator traktatu o przyjaźni) do przedstawienia sprawy królowi Neapolu; i pozostać tam tak długo, jak będzie trzeba.

Poza tym miał nie zaniedbać żadnej okazji nękania nieprzyjacielskich okrętów, jakie znajdą się w jego zasięgu.

Jedno przedsięwzięcie łączyło w sobie wspaniałą swobodę i ważne zadanie, toteż Nelson nigdy w swym życiu nie był szczęśliwszy. Przemierzając pięćset mil, mijając po drodze wspaniałe wzniesienia Korsyki, jego "Agamemnon", przez czas tego oderwania się od eskadry, był jakby prywatnym okrętem, płynącym w bezpośrednim interesie swego suwerena.

Ustawivszy go dziobem na wschód, ku łagodnemu błękitowi Morza Śródziemnego, Nelson wstąpił do żeglarskiego nieba, nie widzianego przez sześć lat, będącego przy tym zaledwie zapowiedzią wspaniałej symfonii jego czasów.

Pewnego wrześniowego ranka, kiedy "Agamemnon" miał przed sobą jeszcze dzień podróży, a cały świat był piękny, całe niebo jasnoblękitne, całe morze ciemne, a wszystkie żagle okrętu wznosiły się, wydymając, kondygnacja za kondygnacją, na trzech wieżach białej mocy, kapitan Horatio Nelson pojawił się swoim zwyczajem na pokładzie.

Wyglądał na takiego, jakim szybko się stał w ciągu ubiegłych miesięcy: na małego, buchającego energią lwa, na którego wąskich ramionach spoczywał "Agamemnon". Ledwie go zauważywszy, wszyscy oficerowie i wszyscy chwilowo nie zajęci marynarze usunęli się na burtę zawietrzną, pozostawiając do prywatnego użytku kapitana połowę szerokości pokładu rufowego.

To usunięcie się było przejawem szacunku, ale również znaczyło [osamotnienie dowódcy, bardziej widoczne na dużym okręcie liniowym niż na jakimkolwiek innym. Ogromna przepaść dzieliła tego jednego człowieka od sześciuset innych na pokładzie i żadna istota ludzka w zasięgu wzroku nie ośmieliłaby się jej przekroczyć, chyba że wezwana gestem, ani odezwać się słowem do swego kapitana bez rozkazu, że ma odpowiedzieć.

Nelson odczekał dłuższą chwilę, zanim dał poznać, że zauważył obecność kogoś z załogi.

Popatrzywszy w górę na naprężone żagle i ku rufie, na sternika, którego oczy nagle przywarły do róży

kompasowej, jakby przyklejone morskim klejem, przeszedł raz czy dwa przez całą długość pokładu rufowego.

Pochylił się, żeby obejrzeć zwój liny, będący zakończeniem brasów nawietrznych, a oficer nawigacyjny, John Wilson, patrzył na niego niespokojnie. Ten zwój został ułożony jak należy nie dalej jak pięć minut temu... Potem odwrócił się i znów przeszedł ku rufie, gdzie stanął nieruchomo opodal koła sterowego, wparty stopami w łagodnie rozkołysany odwiecznym tańcem pokład "Agamemnona", dumnie mknącego pełnym wiatrem.

Mateusz, stojący w pogotowiu w grupie złożonej z oficera nawigacyjnego Wilsona, pierwszego oficera Martina Hintona i młodego Josiaha Nisbeta, w cudowny sposób przemienionego teraz w midszypmena, równie eleganckiego jak powłoka malarska ich okrętu—czujnie, jak wszyscy, obserwował kapitana. Wciąż zdumiewała go ogromna transformacja zaszła w człowieku teraz stojącym tak wysoko.

Jeszcze niecały rok temu obaj byli smętnymi wieśniakami na gospodarstwie w Norfolk, tęskniącymi za nieosiągalną wtedy pracą na morzu. Teraz jeden z nich był kapitanem — drugim po Bogu — na świetnym okręcie wojennym. Pod jego bardzo wymagającym dowództwem żaden żagiel nie zostanie sprzątnięty i nie umilknie żadne działo, póki obowiązek nie zostanie spełniony zgodnie z regulaminem, którego w najmniejszym stopniu nie wolno było kwestionować ani lekceważyć.

Mateusz Lawe dobrze się czuł w cieniu takiej znakomitości; dając z siebie wszystko, otrzymywał najlepszą nagrodę, jaką jest zaufanie.

Zakres możliwości kapitana Nelsona poszerzył się teraz w sposób zadziwiający. Widziano go wzywającego midszypmenów do wyścigu we wspinaniu się na top masztu i przybywającego tam przed nimi, żeby powitać pewnych nerwowych młodych dżentelmenów, którzy się przekonywali, że ta wielka wspinaczka musi być łatwa, skoro sterany, stary, przeszło trzydziestoletni człowiek potrafi stękając i zgrzytając zębami dowlec się na szczyt. Zachęcał też swego głównodowodzącego, lorda Hooda (w takim stopniu, w jakim mógł sobie na to

pozwolić

mianowany kapitan), żeby nie ustawał w zmuszonej blokadzie, i odznaczał się w jej realizacji.

Zaiste praca była balsamem na żalostną nudę przeszłości. Praca była czarodziejską różdżką awansu. Praca... właśnie teraz ją mieli!

Ten fakt był natychmiast sygnalizowany przez publiczne powitanie, takie samo jak zawsze, zgodne z obyczajem, a jednak nowe i pożądane, jak świt każdego dnia. Kapitan Nelson,

witając świt po swojemu, robił wrażenie trochę wyższego, gdy odwrócił się, żeby skinąć na pierwszego oficera. Przywołanie kogokolwiek innego przed nim było nie do pomyślenia. Jeśli stopień kapitana był świętością, to tak samo święty był każdy stopień na wiodącej do niego drabinie.

Martin Hinton wystąpił, odkrył głowę i czekał milcząco. Był wysoki, silny i pewny siebie.

Ale nie odezwałby się pierwszy, tak jak ostryga nie otworzyłaby swego przepaścistego

wnętrza, żeby zawołać: „Jestem z Whitstable\*. Oddaj mi honory!”

Nelson odwzajemnił jego salut i zaczął nowy dzień nową przemową.

— Dzień dobry, panie Hinton.

— Dzień dobry, sir.

— Coś ważnego do zakomunikowania?

— Nie, sir. Kurs wschód-południe-wschód. Odległość przebyta od wczorajszego południa

dobra, sto trzydzieści mil. Nie ma lądu w polu widzenia. Nie widziano żadnego okrętu ani nie nawiązano wymiany informacji. Nie ma chorych marynarzy. Jeden ma się stawić przed panem do raportu.

— Za co?

— Sir... — teraz porucznik Hinton przemówił językiem oficera żandarmerii. — Zgłaszam

Adama Ratcliffa z obsady marsa. Wolno stawił się na wezwanie, wolno się wspinał i był

powolny na rei. Drugie przewinienie.

Kapitan Nelson popatrzył na niego uważnie. — Pańskim zdaniem, panie Hinton, sprawa

wymaga chłosty?

— Nie, sir. — Hinton, świadomy, jak wszyscy na okręcie, że kapitan jest wymagający, ale ludzki, dostosował odpowiednio swoją opinię. — Lepiej zapisać go w dzienniku okrętowym

jako cierpiącego nieuleczalnie na chorobę morską i skierować do tych na śródokręciu.

— Choroba morską? — Spędziwszy w morzu połowę życia Nelson, o czym wiedzieli

wszyscy jego oficerowie, dalej zapadał na tę zmorę marynarzy, a przecież mimo niezmiennie złego samopoczucia we wszystkie burzliwe dni w morzu zjawiał się na stanowisku, żeby

dowodzić i kierować. Mógłby okazać głęboką pogardę dla słabości kogoś innego, ale tego nie uczynił. Był Nelsonem. — Choroba morską?

Darujmy biednemu kalece... Żadna chłosta w świecie nie uspokoi zepsutego żołądka... Proszę powiedzieć Ratcliffowi, że jedyna kuracja dla niego — to posiedzieć pod drzewem!

— Oddalić oskarżenie?

— Tak, oddalić. I dopilnować, żeby nie posyłano go wysoko na reje. Lepszy żywy

pomocnik kucharza niż martwy marynarz. — Załatwiwszy drobne sprawy, kapitan Nelson

wrócił do szerszych, związanych z dowodzeniem na morzu. Miał je poukładane w głowie i

wyrecytował, jakby czytając z pierwszej strony dziennika. — Proszę sprowadzić do mnie

porucznika Lawe'a, doktora Roxburgha, pana Nisbeta, oficera nawigacyjnego, dowódcę

artylerii i jego zastępcę. Wszystkich naraz. Nie wolno nam marnować dnia.

— Tak jest, sir... Czy będą ćwiczenia artyleryjskie?

Kapitan uśmiechnął się. Hinton zasłużył na prawo zadania jednego lub dwóch pytań. —

Panie Hinton, czyta pan w moich myślach jak Cyganka. Tak, to artyleryjskie ćwiczenia, bardzo specjalnego rodzaju.

Gdy wszyscy się zebrali i wymienili pozdrowienia, Nelson bez zwłoki wydał rozkazy.

— Dziś ćwiczymy salwy burtowe i ćwiczymy dotąd, aż będę zadowolony. Będziemy

używać ślepych naboju, bo inaczej miałbym kłopoty z ich lordowskimi wysokościami w

Admiralicji. Salwy burtowe, najpierw z burty prawej, potem z lewej. Chcę słyszeć prawdziwą kaskadę strzałów, od dziobu do rufy—strzały możliwie najbliżej jeden po drugim, a n i e jeden potężny grzmot, żeby okręt rozleciał się na drzazgi. Czy zrozumiano?

Rozległ się potwierdzający pomruk i Nelson przeszedł do szczegółowych instrukcji.

— Doktorze Roxburgh, proszę rozstawić swoje stoły w pomieszczeniu midszypmenów, z

narzędziami przygotowanymi jak na wypadek bitwy. Będę posyłać na dół rannych, żeby się pan nimi zajął. Proszę dobrze się z nimi obchodzić. Nie amputować... Dowódco artylerii, proszę nas teraz zostawić i przygotować obsady dział... Panie Wilson, jak skończymy ze strzelaniem z prawej burty, proszę wykonać elegancko zwrot przez sztag i ustawić się na przeciwnym kursie, żeby działa z lewej burty mogły wejść w linię celu. Pierwszy oficer wyda rozkaz... Panie Nisbet... — patrzył na pasierba, jak na coś małego i obcego, co mogło się okazać istotą ludzką — będzie mi pan towarzyszył z notatnikiem. Proszę go zaraz przynieść i nie guzdrać się.

Zaczęli się rozchodzić na znak dany ruchem głowy kapitana. Pozostawszy z Mateuszem i Martinem Hintonem, Nelson rzekł do tego ostatniego:

— Będę obserwował ćwiczenia z pokładu działowego. Zróbmy z tego małą zabawę. Ja zostanę ranny i zabrany pod pokład. Pan obejmie dowództwo. Wyda pan rozkaz strzelania, potem zrobi obrót na przeciwny hals i powtórzy to.

Następnie zwrócił się do Mateusza. Mając przed sobą perspektywę akcji — nawet pozorowanej — już promieniał nadmiarem energii i zapału. — Panie Lawe, proszę zająć stanowisko na niższej kondygnacji. Słyszał pan, o co mi chodzi. Kaskadowe salwy burtowe z obu pokładów, górny — dolny, górny — dolny, od dziobu do rufy; tak szybko, jak będzie możliwe, ale nie z dwóch dział naraz. Gdyby któreś dział wystrzeliło za wcześnie albo za późno, chcę mieć jego numer. Jeżeli to będzie znowu prawoburtowa siódemka, każę jego dowódcy powyrywać najkrótsze włosy jeden po drugim... Niech artylerzyści pilnie się wsłuchują i uczą się melodii.

Wrócił do pierwszego oficera. — Za pięć minut proszę bić na alarm. Niech usłyszę, jak huknie stara pieśń "Mężne serce"! Proszę zameldować, gdy wszystko będzie gotowe.

Wkrótce wszystko było gotowe i wszystko skoncentrowało się na działaniach związanych z symulowaną wojną, jakby nadmiar ducha przelał się z Nelsona na załogę i pchnął ją do obojętnego zadania. Gdy dobosze wybili swój rytm "ta-ta-TON, ta-ta-TON", na złowieszczej nucie, która w jednych pobudzała odwagę, a w innych śmiertelny strach, z dolnych pokładów dobiegł łoskot wytaczanych dział i krótkie trzaśnięcia podnoszonych i zamocowywanych furt strzelniczych.



Wyborowi strzelcy z piechoty morskiej gramolili się na takielunek — jak jednonogie

pająki, mówili marynarze z mieszaniną sympatii i drwiny — i zajęli upatrzone pozycje na rejach; a tymczasem oficer nawigacyjny John Wilson przeprowadzał inspekcję uszczuplonych obsad marsów, rei i obsługi brasów; okręt bowiem zawsze pozostaje okrętem, którym trzeba sterować do boju, zanim zwykli artylerzyści będą mogli nastawić swoją broń na cel.

Załoga "Agamemnona" była teraz gotowa na wszystko, co los mógł przynieść, i to, według kieszonkowego zegarka Nelsona, w krótkim czasie.—Na Boga—odezwał się prywatnie do

Mateusza Lawe'a—są całkiem chętni!

Byli chętni dla niego.

Gdy to mówił, porucznik Hinton wrócił i z bliskiego dystansu zameldował: — Załoga na stanowiskach, sir, i gotowa.

— Podnieść sygnał dla walki z bliska — rozkazał Nelson i porucznik sygnałowy ruszył

biegiem do flaglinek. W tym momencie głowa kapitana opadła na piersi. — Jestem ranny,

panie Hinton! Nie śmiertelnie, więc zejść pod pokład, żeby krwawić przez chwilę. Mój okręt należy do pana.

Chociaż mógł z tego robić "małą zabawę", była to zabawa śmiertelnie poważna. Któregoś dnia w krwawej gorączce bitewnej takie nieszczęście może się zdarzyć naprawdę i wtedy

Hinton będzie musiał się wykazać, podobnie jak cała reszta.

Powiedział do Mateusza Lawe'a: — Proszę na dół — i Mateusz śpiesznie zbiegł pod pokład

i do innego świata.

W drodze na dolny pokład działowy przeszedł przez kokpit rufowy, skromne

pomieszczenie midszypmenów, które teraz stało się jaskinią chirurga. Tu wszystko było w nieubłaganym porządku, chociaż ten porządek nie zachwyciłby pani bardzo dumnej z ładu w swoim domu. Po świeżym powietrzu, którym Bóg pobłogosławił pokład, przypominało to

wejście do piekieł.

Prowizoryczny szpital był źle oświetlony; duże świece w cynowych lichtarzach,

poustawiane na stołach i skrzyniach, dawały więcej dymu

o nieprzyjemnej woni niż światła. Ustawione rzędami meble, przykryte żaglowym płótnem,

miały służyć chirurgowi za rzeźnicze pniaki. Pod nimi, na deskach pokładu, stały wiadra z gąbkami i bandażami,

większe, puste pojemniki na amputowane członki.

Z jednej strony na półce leżały mocne piły, które zadowolilyby mistrza zakładu

rzeźniczego; na innej były noże i sondy; i baryłka rumu dla pacjentów, żeby sobie łyknęli, zanim pójda pod nóż.

Tak wyglądała na "Agamemnonie" oaza miłosierdzia, do której będą znoszeni jeden za drugim stęający, krzyczący, milczący, zawsze krwawiący marynarze już w kilka chwil po

rozpoczęciu ostrzału przez nieprzyjaciela, aby czekać w kolejce na szansę uratowania życia; piekło na dole dorównujące piekłu na górze.

Dwaj niezbędni ludzie, doktor Roxburgh i kapelan, mieli pieczę nad tym wszystkim. Ten

drugi wyglądał poważnie, jak przystało człowiekowi w stroju duchownego; natomiast chirurg, ze szkockim poczuciem humoru, ponurym jak urwiska w jego ojczyźnie, uśmiechnął się do

przechodzącego Mateusza.

— Powodzenia, panie Lawe — zawołał. —| Ale proszę nie zapominać... dla pana jesteśmy

zawsze w domu, o każdej godzinie!

Odwzajemniwszy się niezbyt wesołym uśmiechem, Mateusz wszedł na zejściówkę i zaczął

schodzić tam, gdzie biło rozgorączkowane serce okrętu.

I tu panował ład, lecz o bardziej wojskowym charakterze. Działa były już wytoczone,

przygotowane do pierwszej salwy burtowej, a ich myszkujące lufy wydawały się badać

węchem powietrze za otwartymi furtami, gotowe na to, co zobaczą, na polowanie i zabijanie.

Na wózkach dział pomalowanych na krwistoczerwony kolor, powtarzający się wszędzie na

pokładzie działowym dla maskowania krwawych plam — rezultatu bitwy — założono

podwójne zamocowania, amortyzujące potworny odrzut, który mógłby zmienić trzydzies-

todwufuntowe działo w szalonego byka szarżującego przez pokład po ludziach i uzbrojeniu, aby wywołałszy śmiertelny chaos, zatrzymać się na przeciwległej burcie albo swym

dwutonowym ciężarem wybić dziurę w kadłubie okrętu i zniknąć w morzu.

Marynarze, którym w bitwie mógł zagrozić ten wściekły atak, stali przy swoich działach z włosami bezpiecznie zebranymi w wysmarowany smołą ogonek, z chustkami ciasno

obwiązanymi uszy. Wokół nich zgromadzono wszystkie przybory niezbędne w tym

wojennym kotle: stojaki na pociski, rurki spłonkowe, miedziane szufle do prochu, wyciory z baraniej skóry do luf, przybijaki do wpychania pocisków i handszpaki do nastawiania dział dla zadania śmiertelnego ciosu.

Działonowi chuchali na talrepy, które służyły do spuszczenia zamka skałkowego —

wielkie ulepszenie zastępujące teraz lont i podsypkę prochową i zapalające spłonkę w sekundę po sygnale.

Wszystko było gotowe z punktu widzenia możliwości ludzkich, lecz sukces zależał — i

zawsze będzie — od przypadku. Krzesiwo mogło nie dać iskry, działo zaciąć się i zepsuć rytm strzelania. Działonowy mógł zostać ogłuszony monstualnym hukiem wybuchu z odległości

kilku stóp i przeoczyć swoją kolej.

W rzeczywistym boju działo silnie ostrzeliwane mogło eksplodować czy zerwać się z

zamocowań i zacząć swój szaleńczy taniec po pokładzie czy celny strzał nieprzyjaciela mógł

zasypać pokład wielkimi fruującymi odłamkami, zadającymi, jak piekielne szerszenie, najstraszniejsze ze wszystkich rany bitewne.

Oficer artylerii Nicholls, odpowiedzialny za tę całą plątaninę żelastwa, przywitał

Mateusza, jakby obaj byli gośćmi na jakimś spokojnym rodzinnym śniadaniu. Miał twarz

prawdziwego artylerzysty, szarą jak jego działa, pociemniałą jak drewno okrętu, pozbawioną złudzeń, jak twarz położnej w trzecim dziesięcioleciu przyjmowania porodów, twardą jak

skała w swej niechęci przyznania, że ostrzał salwą burtową różni się czymś od chóru ptasząt słodko śpiewających o świcie.

To było jego własne imperium, a imperator miał nad nim pieczę, jak pasterz nad swoim

łagodnym stadem.

Gdy Mateusz spytał, czy jest gotów, odrzekł: — Gotów, jak zawsze.

Mateusz czekał mocniejszej i bardziej entuzjastycznej odpowiedzi. — To bardzo ważna

próba naszej siły — zauważył ostrzegawczo.

— Tak. — Oficer artylerii odwrócił się w bok i krzyknął do chłopca od noszenia prochu:

— Przykrywaj nabój kurtką wychodząc z magazynu! Znasz rozkazy! Bo przetrzępię ci skórę!

Chcesz, żebyśmy wszyscy wylecieli na tamten świat? — I dopiero wtedy odpowiedział

Mateuszowi: — Zawsze jest ważna.

— Kapitan Nelson oczekuje perfekcji.

— Ja też, sir, ja też. A moja perfekcja to to, że jeszcze żyję, po trzydziestu czterech latach służby.

Z takim człowiekiem wie się przynajmniej, na czym się stoi... I wtedy stentorowy głos z góry rzucił rozkaz: — Salwy burtowe! — I mosiężne gardziele błyskawicznie zaczęły swój

ryk.

Tego pechowego ranka ryk nie był zrazu jak należy; straszliwy lew okazał się hieną

śmiejącą się z pomysłów ludzi, kpiącą nawet z prawa dżungli. Wyglądało, jakby dumny

“Agamemnon” dostał ataku czkawki właśnie w chwili, gdy żadną miarą nie mógł sobie na to pozwolić.

Jedne działa nie wypaliły, innych nie usłyszano; gdy okręt przeszedł na lewy hals, po

jednym wystrzale nastąpiła upiorna cisza, bo następny działonowy, o pokład niżej, nie zdążył

wypełnić luki. Jeśli kapitan Nelson oczekiwał perfekcji, to po rozkazie: “Przerwać ogień!”

miał przed sobą dalsze czekanie.

Późnym rankiem podczas burzliwego podsumowania kapitan miał tylko jedno do

powiedzenia.

— Nie wiem — przemówił do zebranych oficerów, unikających jego uważnego

spojrzenia, jakby mogło ich unicestwić — jaki efekt wywrze nasz ogień artyleryjski na

nieprzyjacielu, lecz, na Boga, mnie on przeraża! Naszym następnym ćwiczeniem, które

zacznie się za dziesięć minut, będą salwy burtowe, a po przerwie południowej znowu salwy burtowe, aż będę zadowolony. Jesteśmy szczęściarzami — zauważył z najwyższym

niesmakiem — że wciąż mamy okręt, z którego można prowadzić ogień artyleryjski... Proszę przekazać to, co powiedziałem, w razie potrzeby znakami dla głuchoniemych, każdemu

baranowi na burcie. Rozejść się!

Nawet podczas łatwej, bezpiecznej podróży Nelson nie tracił czasu swego króla.

Ku zachodowi nastąpiła wreszcie przerwa w tych gromadzących się chmurach. Marynarz

na oku krzyknął w kierunku pokładu, że widzi przed sobą ląd. Mateusz Lawe, wspiąwszy się do niego na saling, potrafił podać nazwę tego lądu. Daleko na południowy wschód, w

odległości może siedemdziesięciu mil, widać było złocistą koronę lądu, ciemną u podstawy, perłoworóżową u szczytu, równo uciętą na de blednącego, żółtego nieba. To był odległy krater Wezuwiusza.

— Sprzątnąć żagle! — rozkazał nawigatorowi kapitan Nelson, gdy tylko usłyszał nowinę.

— Przeczekamy noc i o boskiej godzinie dziewiątej przekażemy nasze

pozdrowienia.—Akuratnymi salutami dział — dodał dla wszystkich w zasięgu słuchu, którym mogłaby wyjść na korzyść ta wiadomość.

O boskiej godzinie dziewiątej\* na pokładzie dziobowym oficer artylerii Nicholls chodził

tam i z powrotem między dwoma liniami swoich dział, które miały oddawać saluty, intonując ponury, żałobny śpiew wszystkich ludzi jego fachu w tym momencie próby — rytm salutu

morskiego, zaczynający się poufnym pomrukiem, a kończący dosadną komendą:

— Gdybym nie był artylerzystą, nie byłoby mnie tutaj... OGNIA RAZ! Gdybym nie był

artylerzystą, nie byłoby mnie tutaj... OGNIA DWA! Gdybym nie był artylerzystą, nie byłoby mnie tutaj...

„Agamemnon”, wślizgując się do niezrównanie pięknej Zatoki Neapolitańskiej, wyrażał

szacunek należny obcemu potentatowi: dwadzieścia jeden strzałów na cześć króla Obojga

Sycylii, zachowując w rezerwie jeszcze dziewiętnaście dla jedyne go przedstawiciela brytyjskiego na tej scenie: ambasadora przy dworze królewskim w Neapolu, jeśli przybędzie na

pokład.

Ramię zatoki, obejmujące lśniącą wazę niebieskozielonej wody, małą armadę kolorowych

łodzi rybackich i tarasy zalanych słońcem domów na tle wspaniałych wzgórz, tworzyło jeden z najpiękniejszych widoków świata. Poeci opiewali go w swoich utworach, a przesądzi li o tym podróżnicy, wyrażając zachwyt z nowego odkrycia; kochankowie marnieli w jego objęciach, malarze zaś opłakiwali dzień, w którym stwierdzali, że ich sztuka nie jest w stanie oddać jego świetności — i

zostawali, aby cieszyć się bez zawiści jego czystą doskonałością. Marynarze, zwykli marynarze mogli odnotować w oszczędnej prozie dziennika okrętowego: piękny port, dobre dno, niezawodne słońce, wyjątkowo niezawodne dziewczęta.

“Agamemnon” płynął w huku salutów po lśniącym morzu, które stając się powoli płytsze, tworzyło bezpieczne kotwicowisko. Nelson, nie rozstając się z lunetą, czuł pełną satysfakcję z udanego podejścia do lądu. Któż by tego nie czuł w tym uroczym zakątku Morza Śródziemnego w tak ciepły, cudowny ranek? Kto nie byłby dumny z pięknego

sześciodziesięcioczerodziałowego okrętu wojennego, zwijającego większe żagle po wytraceniu prędkości i opuszczeniu kotwic do linii wodnej? Kto wolałby być w Norfolk?

A potem jego wzrok pochwycił nagle eksplozję kolorów u wejścia do wewnętrznej

przystani. Najpierw płynął niewielki statek cały we flagach; za nim połączona barka, poruszana przez kraepkich neapoli- tańskich wioślarzy, ruszyła w ich stronę. Mógł to być zatem tylko jakiś bardzo ważny gość.

Nelson, stojący na pokładzie rufowym, z najstarszymi rangą oficerami u boku, wypowiadał

na głos swoje myśli: — Jeśli to nie doża wenecki wychodzący na zaślubiny z morzem, to jest to brytyjski

ambasador. Zostaliśmy uhonorowani... Panie Nisbet! Proszę przekazać polecenie wykonania świstu trapowego! Panie Nicholls... jeszcze dziewiętnaście, gdy będzie wchodził na pokład!

#### IV

Rzeczywiście zostali uhonorowani. Brytyjski ambasador nie tylko przyплыł osobiście,

żeby powitać zwykłego kapitana Marynarki Wojennej, ale przywiózł słowa powitania od

króla, oczekującego gościa na nabrzeżu.

Trudno stwierdzić, kto czuł się bardziej pochlebiony tą szczególną łaskawością: kapitan Horatio Nelson, którego znajomości wśród wielkich tego świata ograniczały się do nieudanych kontaktów z brytyjskim księciem i jednym czy dwoma lordami z Marynarki, czy Sir William Hamilton, który oto widział, jak jego długotrwałe, żmudne wysiłki na rzecz scementowania przymierza z Sycylią zostają uwieńczone tak błyskotliwym sukcesem.

Kapitan Nelson zszedł na ląd w Zatoce Neapolitańskiej w towarzystwie pierwszego oficera Martina Hinton, Mateusza Lawe'a i midszypmena Nisbeta, ale wobec następnego obrotu losu Hinton wrócił na okręt sam, jak dyktował obowiązek.

— Byłbym wielce rad — powiedział Sir William do Nelsona, gdy tylko król odjechał z

powrotem do swego pałacu, a oni zostali sami — gdyby zechciał pan zatrzymać się u mnie w czasie

pobytu na łądzie, tak długo jak pan zechce. Palazzo Sessa jest dosyć wygodny, Lady Hamilton będzie zachwycona, a my dwaj mamy wiele do omówienia, zanim się pożegnamy.

Muszę pana uprzedzić, że jutro jemy obiad z jego królewską mością.

Chociaż Sir William potrafił zachować chłód, gdy mu na tym zależało, był niezmiennie

zwierciadłem kurtuazji i czaru wobec tych, z którymi znajomość cenił — lub mógł cenić w przyszłości. Sześćdziesięcioletni poseł-weteran, łączący harmonijnie takie dziedziny, jak archeologia i dyplomacja z wytwornym pobłażaniem sobie, piastował swoje obecne stanowisko od blisko trzydziestu lat.

Nikomu nie zależało na odbieraniu mu tego tytułu, bo nikt nie potrafiłby sprawować jego urzędu z większym wdziękiem i kompetencją. Kto poważnie myślący mógłby marzyć o

zajęciu miejsca kolekcjonera antyków, zakochanego w etruskich wyrobach garncarskich,

ambasadora mającego tak świetne stosunki z podatnym na wpływy królem i człowiekiem, który mimo długich, chudych nóg i bladej

twarzy uczonemu wszedł na górę Wezuwiusz nie mniej niż dwadzieścia dwa razy?

W owym momencie Sir William witał Nelsona szczególnie serdecznie, bo chciał widzieć

brytyjski okręt liniowy stojący w porcie neapolitańskim na kotwicy jako namacalny dowód dobrej woli strony brytyjskiej, a także dlatego, że spodziewał się, iż ten fakt będzie stanowić wsparcie dla ustaleń traktatowych, nad którymi pracował przez połowę życia.

Może też dlatego, że przybysz, człowiek małego wzrostu, o dziwnym wyglądzie, mógł

zabawić jego dwudziestoosmioletnią żonę, która była młodsza od niego o trzydzieści pięć lat i chociaż zamężna od dwóch zaledwie lat, potrzebowała czasem rozrywki.

W Palazzo Sessa, miejskiej rezydencji usytuowanej w połowie zbocza wzgórza — dawało

to niezrównany widok na zatokę, a jednocześnie, dzięki bliskości, umożliwiało znużonemu ambasadorowi codzienne pluskanie się, jak wieloryb, w jej ciepłych wodach — przybyli

oficerowie Marynarki Wojennej zetknęli się z nie znanym im dotychczas przepychem i

komfortem.

Imponujące, wyłożone marmurem korytarze prowadziły do pokojów o wspaniałych

proporcjach. Przez obszerny portyk wychodziło się do ogrodu — właściwie szeregu ogrodów



— gdzie prości ludzie trudzili się przez stulecie, i wciąż ciężko pracowali, aby wielcy mogli cieszyć oko uładzoną bujnością natury.

Sam Nelson, ulokowany w królewskim apartamencie, najpierw poczuł się zagubiony w jego wspaniałości — a potem podniesiony na duchu. Od tego czasu nigdy już chyba nie musiał odczuwać onieśmielenia czymkolwiek: ani wystawnością, ani osobistą obsługą, ani zetknięciem się z arystokratycznym luksusem. Kontrast między surowym życiem na zatłoczonym okręcie, gdzie "honor i solona wołowina" były dolą marynarza, mógłby pobudzić do śmiechu. Dla niego było to tylko wyjście na ląd. Ten pokład, bardziej przyjazny niż jego własny, trwał pewnie i będzie zawsze wspomniany jak nagroda należna zmęczonemu marynarzowi.

Obiadowali przy wernie, en familles z Sir Williamem siedzącym niby wąż Bachus w jednym końcu owalnego orzechowego stołu, i jego żoną, jak bachantką, w drugim. Emma

Hamilton od dawna zaskakiwała wszystkich, którzy spotykali się z nią w takim otoczeniu, i ten dzień nie stanowił wyjątku. Była chyba w szczytowym okresie swej urody: czarodziejka o

płomiennych włosach, nieskazitelnej cerze, bujnych kształtach, w zachowaniu naturalna i sympatyczna zarówno rozmawiając, jak i milcząc.

W miarę jak wino płynęło, a słońce zaglądając przez uniesione żaluzje rozgrzewało kości przybyszów z północy, zdawało się, że dla każdego mężczyzny stawała się tym, czego akurat potrzebował. Wobec

męża była dbała i okazująca względy, Nelsonowi nie szczędziła subtelnych pochlebstw, a w stosunku do Mateusza Lawe'a (w którym mogła się domyślać kogoś niższej sfery) była miłą i towarzyską, dodającą otuchy panią domu. Josiahowi Nisbetowi, młodzieńcowi o niezdatnych ruchach, trochę matkowała, a trochę partnerowała w buntowniczych żalach młodości.

Pod koniec obiadu, gdy smak ostatniego kielicha marsali zmieszał się przyjemnie ze

zrumienionymi przez słońce brzoskwiniami, podanymi na deser, kapitan Nelson odważył się wystąpić z komplementem.

— Ekscelencjo — powiedział oficjalnym tonem, podnosząc kielich w kierunku gospodarza

— po tym wspaniałym posiłku, mam nadzieję, że wolno mi będzie złożyć najwdzięczniejsze

dzięki naszej pani domu — i jej kucharce.

Na moment zapadła cisza, prawie niezauważalna dla nikogo, z wyjątkiem, może, muzyka, dla którego króciutki odstęp między jedną nutą a drugą mógł naprawdę coś znaczyć. Ale zaraz Sir William odpowiedział z dworskim ukłonem:

— Dziękuję, kapitanie Nelson. Jestem pewien, że obie będą jednakowo wdzięczne za tak uprzejme słowa.

Uśmiechnął się; wypili wszyscy, oprócz Lady Hamilton, która była niepokojąco poważna; a potem, gdy odeszła służba w liberiach, zapanował spokój i dobry nastrój.

Była godzina piąta. Podczas gdy Lady Hamilton z największą chęcią, jak się wydawało, zabawiała Josiaha, Sir William oprowadzał pozostałą dwójkę gości po Palazzo Sessa, który okazał się skarbnicą antyków zbieranych w ciągu ponad trzydziestu lat przez bardzo zdecydowanego i świetnie znającego się na rzeczy kolekcjonera.

Sir William musiał zdawać sobie sprawę, że pokazywał swoje, jak mówił, "rupiecie" dwóm mało wykształconym mężczyznom, wręcz zupełnym ignorantom w dziedzinie zgromadzonych tam klejnotów. Dlatego tylko pobieżnie prezentował swoje wspaniałości. To jest kominek Roberta Adama — niektórzy mogliby nazwać go nowoczesnym etruskim; oto kamee mające dosyć szacowny wiek — osiem stuleci, a te gryzmoły to wykonane ręką Michała Anioła wstępne szkice przedramienia Boga, teraz do oglądania w całej wspaniałości w Kaplicy Sykstyńskiej.

Ten złoty kielich przypisuje się Benvenuto Celliniemu; to zaś... ach, to!... zabawne graffito z Pompejów, ukazujące, czym emocjonowali się obywatele, zanim ogniasta kaskada stopionej lawy zgasiła wszelkie iskry pożądania i wszelkie szanse jego spełnienia.

Miła, swobodna przechadzka trwała dalej. Mogliby tak wędrować jak po Edenie, z godnym zaufania przewodnikiem, już nie w kwiecie wieku, który kiedyś był tu młodym, ambitnym ogrodnikiem. Raz tylko

ambasador pozwolił sobie na odkrycie rąbka osobistego odczucia. Zatrzymał się przed pustym miejscem, rzeźbioną niszą w ścianie, piękną samą w sobie, lecz teraz, dla niego, pustą jak ograbiony grób.

— Chciałbym — rzekł wskazując wnękę — móc wam pokazać, co tu kiedyś stało.

Największy skarb mego życia... Była to waza, z niebieskiego szkła, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem. Z wierzchu w osłonie mlecznobiałej masy, z której ukształtowano postać bogini pod drzewem. Nawet uchwyty były doskonale... Była równie stara jak samo

Anno Domini — liczyła jakieś osiemnaście stuleci.

Głębokie uczucie w jego głosie wymagało współczującej reakcji gości. Okazał ją kapitan

Nelson:

— Co to za historia, sir? Gdzie jest waza? Czy należała do rodziny Sessa?

— Nie, nie. Była moja. Kupiłem ją wiele lat temu z pałacu Barberini, dokąd przybyła z

Frascati, miejsca jej znalezienia. Nie jest tajemnicą, że za ten przywilej zapłaciłem tysiąc gwinei. Wtedy zostałem nakłoniony — powiedział tonem zdumiewająco pasującym do

poufnych dyplomatycznych nacisków i perswazji — abym ją sprzedał księżnej Portlandu.

Słyszałem, że waza jest teraz znana jako Waza Portlandzka\*. Jeśli chodzi o mnie, to nie widzę powodu, żeby nie myśleć o niej już na zawsze jako o Wazie Hamiltonowskiej. — Nagle znów się uśmiechnął. — Lecz to, co myślę, mój drogi Nelsonie, i to, co mówię, to dwie różne rzeczy. Jestem dyplomatą we wszystkich sprawach... A teraz... może powinniśmy zawrócić od pierwszego Anno Domini do naszego wymagającego uwagi roku tysiąc siedemset

dziewięćdziesiątego trzeciego?

Wcześniej udali się na spoczynek tej pierwszej nocy, gdy tylko depesze przywiezione przez Nelsona zostały dokładnie omówione, kolacja przy świecach zjedzona, a Lady Hamilton w

połyskliwej błękitnej szacie zaśpiewała przy akompaniamencie fortepianu i — zachęcona

przez małżonka — złożyła tajemnicze przyrzeczenie, że dla rozrywki gości przedstawi swoje

“Pozy”, jeśli nie nazajutrz, to w dzień następny.

Wcześniej udali się na spoczynek: rozrywki było niemal nadmiar dla śmiertelników

zamienionych w pogańskich, zamroczonych bogów. Marynarze, którzy od dziewiętnastu

tygodni nie postawili stopy na lądzie, w miękkich łóżach palazzo znaleźli przedsmak raj. Z

kim chcieliby dzielić te łóża w sennym, zmysłowym półmroku świadomości

było dla każdego z nich tajemnicą równie przejrzystą jak suknia z pajęczyny.

Mateusz ocknął się z lubieżnego snu, który nie był niczym nowym w życiu marynarza, do

przepysznego komfortu puchowego łoża z baldachimem, co było dla niego zupełną nowością.

Ale nie obudził się, jak dziewczica z omdlenia, krzyząc "Gdzie jestem?" Wiedział, gdzie jest, jak wszyscy czujni marynarze, którzy zwinąwszy się w kłębek na noc w jakimś zakątku,

budzili się następnego ranka stwierdzając, że są w znajomym zwykłym miejscu.

Ubiegłej nocy "zwinął się w kłębek" w obitym dywanami pokoju gościnnym Palazzo

Sessa, gdzie na otwartym kominku płonął jasny ogień rozgrzewający mu stopy, a dla wygody reszty ciała miał łożo wielkości kecza bombardującego. Teraz bez zdziwienia zbudził się w tym samym miejscu, z tym tylko że ogień, cichutko podsycany w czasie jego snu, rozgorzał na nowo, a łożo o rozmiarach kecza bombardującego okazało się najzwyczajniej odpowiednie dla nie pracującego mężczyzny, na którego czekały trudy poranka.

Taką szansę marynarze określali słowami: "niezasłużone pomyślne zrządzenie losu".

Zazdrosnym towarzyszom z okrętu opowiadaliby, że znaleźli się "jak świnia z zadkiem w

maśle". Gdyby Mateusz Lawe był zwykłym marynarzem, a nie posiadającym rangę

porucznika, mógłby użyć tych samych niewybrednych słów. Teraz, z zadowoleniem, mógł

powiedzieć sobie lub pomyśleć: Do czegoś takiego się urodziłem — i tego nie utracę.

Rozległo się dyskretne, niemal przepraszające pukanie do drzwi, i Mateusz siedział,

wsparty o poduszki, gdy drzwi się otworzyły. W nocy lpkaj, pomagający mu rozebrać się do snu, zabrał jego odzież, która teraz wróciła, oczyszczona i wyprasowana. A przyniosła ją osoba o imponującym wyglądzie.

Był to mężczyzna przedstawiony wieczorem przez gospodarza, Gaetano Spedilo, osobisty

służący ambasadora, którego Sir William nazwał "prawdziwą ostoją tego domu". Wysoki, śniady, o pomarszczonej twarzy i z bokobrodami, o ruchach aktora i pewności siebie człowieka wiedzącego, że jest niezbędny, Gaetano mógł być czarodziejem grającym tu pierwsze

skrzypce.

Podszedł, uklonił się i powiedział cichym głosem: — Buon giorno, ignedor tenente\*. Jego

ekscelencja chciał wiedzieć, czy mógłbym być w czymś pomocny. — Ponieważ nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości, odwrócił się i skinął na lokaja niosącego pachnący jak

ambrozja dzbanek z gorącą czekoladą. Potem rozsunał zasłony, pomanipulował przy

przyniesionym ubraniu, pomógł Mateuszowi

włożyć jedwabny szlafrok, nalał mu czekolady i potem, bez zachowywania pozorów, został na pogawędkę.

Pogoda, powiedział, jest, jak zawsze, piękna. Okręt porucznika, dodał z ujmującym uśmiechem, wciąż stoi bezpiecznie w zatoce na kotwicy. Ma nadzieję, że porucznik spał dobrze. Człowiek potrzebuje snu po takiej okropnej podróży. Czy jest coś — cokolwiek by to było — co mógłby zrobić dla porucznika przed przygotowaniem mu kąpieli?

Ambasador nie wyjdzie ze swego pokoju przed dziewiątą, a jego małżonka może się nie pokazać nawet do dziesiątej — ach, ale kobiety muszą dbać o więcej rzeczy, niż człowiek może sobie wyobrazić, i potrzebują snu jak ptaki swoich ciepłych gniazd.

Piękno będące rezultatem tych zabiegów, podsumował, warte jest całego niepokoju, z jakim człowiek oczekuje na jego pojawienie się.

Jak na służącego, Gaetano Spedilo zachowywał się z niezwykłą swobodą. Momentami otrząsający się ze snu Mateusz, słuchając kwiecistych fraz, patrząc na uśmiechy, kiwanie głową, miny i nagłe gwałtowne ruchy ramion myślał, że ten człowiek zwariował. A potem zaczął podejrzewać, że lokaj, snob, jak wszyscy służący, zobaczył w nim kogoś z półcienia, pomiędzy salonu i pomieszczenia dla służby, i nadał swej pieśni nadmiernie familiarne brzmienie.

Popijając czekoladę i ciesząc się każdym nowym elementem nieznanego mu świata, Mateusz zdecydował: Nie. Ta gadanina wypływała jedynie z prostego faktu, że Gaetano, jako cudzoziemiec, nie mógł znać się na rzeczy, a przez to mógł się okazać jeszcze zabawniejszy.

Dla samej rozrywki Mateusz postanowił zbadać wabiący ład.

Zadał, on z kolei, Gaetanowi nadmiernie familiarne pytanie: Lady Hamilton mówiła ubiegłego wieczora o przedstawieniu jej "Póz" dla zabawienia gości. Co to są te "Pozy"?

Ten natychmiast służył odpowiedzią. Zaczął przebierać palcami w powietrzu, a twarz przybrała prawie niebezpiecznie gorączkowy wyraz.

Ach, te Pozy... Bellissimo\ Tenente musi zrozumieć, że la signora miała... pewne związki z teatrem, zanim poślubiła ambasadora. Mówiono, że miała cały Londyn u swoich stóp. Pozy to są... no, Francuzi nazwaliby je tableaiuc\*.

Włożywszy odpowiedni strój przybiera pewne pozy, ambasador zaś podnosi świecznik tak, aby rzucić światło na tę scenę i... Ecco\\* widzimy Pozę! Może ona przedstawiać boginię miłości, wojującą królową, dziewczynę uliczną albo... scusi\*... samą Królową Nieba. Takie są te Pozy. Całe towarzystwo Neapolu zachwyca się nimi. No, może nie wszystkie kobiety.

— Rozumiem — rzekł Mateusz i jako wczesnie wstający człowiek, który wciąż pozostawał w nagrzanym łóżku, ujrzał to aż nazbyt wyraźnie. — Cieszę się na to widowisko... Od jak dawna są małżeństwem?

— Od dwóch lat, tenente. — Twarz Gaetana, wciąż niespokojna i niezupełnie normalna, jak na angielski gust, teraz przybrała naprawdę dziwny wyraz. — Ale przed ślubem mieszkała tu pięć lat.

Wyglądało, że grunt robi się delikatny, ale cóż to szkodzi?

— Może była zaprzyjaźniona z rodziną?

— Właśnie! — wykrzyknął Gaetano, bardzo pragnąc namalować prawdziwy obraz. —

Podobno siostrzeniec ambasadora — pan Greville, trudne nazwisko — zrezygnował z niej, żeby zrobić przyjemność wujowi. Przybyła więc, żeby lepiej poznać język włoski. I została tu.

Gaetano zajął się teraz sprzątnięciem dzbanka z czekoladą, filiżanki i tacy, a potem po raz trzeci wygładził mundur i bieliznę Mateusza. Nastrój stał się spokojniejszy, ale tylko dlatego, pomyślał Mateusz, że Gaetano, po tak daleko idącej niedyskrecji, sam sobie tego życzył. W

końcu, odwróciwszy się znowu w stronę łóżka, kamerdyner zapytał tonem mniej teatralnym, a bardziej konfidencjonalnym:

— Sir, czy to prawda, że pański commandante wzniosł toast za kucharkę po wczorajszym obiedzie?

— Powiedział, że chciałby jej podziękować za wspaniały posiłek.

— Prodigiosol\* — Gaetano był zachwycony. — Coś takiego nigdy się tu dotąd nie zdarzyło! Commandante jest taki odważny, taki bezpośredni!

Mateusz nic z tego nie rozumiał. — To tylko taki zwyczaj.

Radosny uśmiech Gaetana stał się teraz figlarny. — Ale nie w Palazzo Sessa. Tutaj

kucharką jest la madre\

— Matka? — spytał Mateusz zdumiony. — Czyja matka?

— Della signora! Własna matka jaśnie pani.

— Jak to jest możliwe?

— Sir, takie jest życie. I Bogu za to dzięki. Sam życzyłbym sobie takiej córki. — Nagle Gaetano, jak reżyser w teatrze kukielkowym, mogący wedle własnej woli kończyć jedną scenę i zaczynać drugą, przemówił znowu oficjalnym tonem: — Dziś, tenente, obiada pan z

królem. Miły człowiek, chociaż trochę za swobodny wobec zwykłych ludzi. Nazywamy go II

Re Nasone. Po waszemu byłoby Król Nochal.

— Dlaczego?

— Sam pan zobaczy.

Kamerdyner uklonił się i skierował do odejścia. Wyglądało, że audiencja dobiegła końca.

Mateusz świadom, że w najmniejszym stopniu nie kontroluje tych domowych wpływów, rzekł:

— Dziękuję, Gaetano. Byłeś bardzo pomocny.

Gaetano znowu się odwrócił, przytrzymując otwarte drzwi, jak aktor wywoływany przed

kurtynę. Rozpostarł ramiona, udając ciepły uścisk.

— Jest tylko jeden tego powód, tenente, kochamy Anglików!

— Kochamy Anglików! — oświadczył król Ferdynand z takim naciskiem, że szczęki

drżały mu jeszcze po ucichnięciu echa jego głosu. — Są zbawcami naszego narodu! Dlatego —

powiedział do mężczyzny siedzącego po jego prawej stronie — tak mnie uszczęśliwił widok pańskiego dzielnego okrętu wchodzącego do mojego portu. Niech długo pozostanie z nami.

Gościem posadzonym po prawej ręce króla, wbrew wszelkim wymogom protokołu, lecz ku

ogólnemu zadowoleniu większości obserwatorów, był kapitan Horatio Nelson z

“Agamemnona”. Dlaczego potraktowano go z takim wyróżnieniem, kosztem ambasadora jego kraju,

któremu należało się to miejsce przy stole, pozostanie sprawą niejasną, choć głęboko satysfakcjonującą.

Prywatnie Nelson wolałby, żeby król Obojga Sycylii nie był takim gburowatym

wieśniakiem, z wielkim zaczerwienionym nosem i szkarłatną cerą, wyposażonym w ochryply

głos i przejawiającym wielki apetyt. Ale, pomyślał, człowiek musi brać królów takimi, jakimi są. Nie zetknął się aż z tyloma, żeby mógł wybrzydzać.

W Palazzo Reale zgromadził się wielki, błyszczący tłum. Od początku było rzeczą

oczywistą, że obiad został wydany na cześć gości z Marynarki Wojennej. Wszyscy oficerowie z "Agamemnona", których można było zabrać na ląd, przybyli na to przyjęcie; znalazło się miejsce nawet dla midszypmena Nisbeta. Jedzenie było fantastyczne, czerwone wino lało się strumieniem, a od hałasu drżały kandelabry.

Wcześniej, w poufnej rozmowie, Sir William Hamilton uprzedził Nelsona, że tak właśnie

będzie. Wyjaśnił też mu powód w zdaniach będących dla gościa komplementem odartym z

wszystkich dyplomatycznych subtelności.

— On nas potrzebuje — powiedział ambasador. — Gdyby nie potrzebował, dostalibyśmy

chleb i makaron, a na splukanie trochę mętnej neapolitańskiej wódki. Pozna go pan: popularny monarcha, kochany przez lud, póki zapełnia mu żołądki, ale na zewnątrz nie posiadający

żadnego znaczenia, chyba że poprzez przymierze z nami. Szkoda, że jego żona nie będzie

obecna; to ona ma cały rozum, iskrę i cały spryt. Nie jest jednak dostatecznie przebiegła, żeby unikać ciąży rok po roku. Bóg wie, ile dzieci spłodził ten prawdziwie królewski

tryk... Trzeba pamiętać o jednym: królowa Maria Karolina jest siostrą nieżyjącej,

nieodżałowanej Marii Antoniny, a więc w tych burzliwych czasach boi się trochę o swój kark...

Przy obiedzie będzie prawił panu komplementy. Wystarczy, że będzie się pan uśmiechał i

zgadzał we wszystkim, ale zachowywał chłodno, kiedy zaczną wznosić ręce do nieba i mówić panu, że nie może dać żadnego wojska dla Tulu. Może dać go dosyć — żołnierze będą radzi, że szybko dostaną żołd... Przykro mi za jego nochal — zakończył wracając do uprzejmego

tonu. — Wolałbym raczej wejść na Wezuwiusz. Wulkan jest przynajmniej nieczynny.

Niech Bóg błogosławi naszych ambasadorów, pomyślał Nelson słuchając tej otwartej



oceny. Potrafią być swobodni jak marynarze... A Sir William mógł być zostać obdarzony przez samego diabła dodatkową zdolnością przewidywania, gdy chodziło o obiad. Włącznie ze wznoszeniem królewskich rąk ku niebu, które opadły zresztą w trakcie jedzenia.

— Wczoraj uważałem wysłanie oddziałów, o które pan prosi, za rzecz dla mnie niemożliwą

— oświadczał teraz król Ferdynand. Skinął na majordomusa; ten dał znak lokajowi

odpowiedzialnemu za wina, który napełnił ich kielichy z wielkiej karafki najlepszego wina sycylijskiego. — Jestem jednak gotów to uczynić — rzekł król pociągawszy monstrualny łyk

— aby pomóc sprzymierzeńcowi i przyjacielowi w potrzebie... Proszę mi powiedzieć, jaka najmniejsza liczba zadowoli pański rząd?

Dla Nelsona było rzeczą nową mówić w imieniu rządu swego kraju, lecz w taki wieczór, w

tak pełnej wyzwania chwili jego życia wszystko było nowe. A że mógł przy tym korzystać z rad lorda Hooda i Sir Williama Hamiltona, nie można było go uznać za osamotnionego

gladiatora. — Sire, uważam, że sześć tysięcy.

— A największa?

— Sire, uważam, że sześć tysięcy.

Ich oczy spotkały się i nagle król wybuchnął potężnym śmiechem. — Gran Dio<sup>3</sup> kapitanie,

podoba mi się pańska odwaga! -^wykrzyknął bełkotliwie, gdy oczy wszystkich zwróciły się ku nim; nawet wargi Sir Williama siedzącego dalej przy stole wygięły się w ostrożnym uśmiechu.

— Doskonale... będzie sześć tysięcy, i to jest przyrzeczenie. Jest pan zadowolony?

— Bardzo, wasza królewska mość. I uprzejmie panu dziękuję.

— Jest jeden warunek.

Zagraniczne chytrusy! — pomyślał Nelson. — Królewskie chyt-rusy!... Co chce za to?

Milion funtów? Sześć okrętów liniowych? Lady Hamilton w którejś z jej Póz? Ale został zaskoczony.

— Chcę zwiedzić pański okręt — rzekł król. — Czy mogę przybyć jutro albo pojutrze?

— Wasza królewska mość, będę bardzo zaszczycony. — A potem pomyślał o

“Agamemnonie”, wracającym do siebie po ciężkiej, monotonnej harówce blokadowej, z setką chorych na pokładzie i z zasobem kubków i talerzy, który z ledwością wystarczyłby na popołudniową herbatę w Norfolk. — Boję się, że znajdzie pan w nas prymitywnych prostaków.

— Znajdę, czego szukam — odrzekł król wyniośle. — Brytyjski okręt wojenny z przyjacielem na pokładzie, który mnie przywita. A zatem jutro? Czy w niedzielę?

— W niedzielę — odrzekł kapitan Nelson. — O pierwszej, sire —r jeśli to nie będzie kolidować z pańskimi zajęciami.

— Co może pan wiedzieć o moich zajęciach? — spytał król, wybuchając tak monstualnie głośnym śmiechem, że cała ogromna sala zamilkła, a niektórzy oficerowie Nelsona mogli pomyśleć z zazdrością: Czy to nasz kapitan doprowadził go do śmiechu? Nie mógłby zachować dla nas jednego czy dwóch żartów?

Wczesnym rankiem następnego dnia marynarze opuścili gościnny dom Sir Williama.

Czekało ich na okręcie dużo pracy, mimo że ambasador, po wyrażeniu Nelsonowi wdzięczności za jego zachowanie i żywość reakcji, zaofiarował się dostarczyć z zasobów Palazzo Sessa talerzy, sztucców, jedzenia i wina na królewską wizytę.

Między tymi dwoma mężczyznami powstało już bardzo życzliwe zrozumienie i

obustronny podziw. Mimo to kapitan Marynarki nie mógł oprzeć się uczuciu, że ich losy nigdy naprawdę się nie spleją. Jeden kierował ambasadą, drugi okrętem; chociaż były to dwa

ramiona tej samej służby królewskiej, były to dwa różne ramiona, równie od siebie odległe, jak wyciągnięte końce palców ich obu.

Rezultatem wkroczenia jednego z nich na terytorium drugiego, nawet z najlepszymi

intencjami, mogłoby być jakieś potknięcie, współzawodnictwo we wpływach, ostra zazdrość albo zwykły bałagan. Na ławce rufowej kapitańskiej łodzi, zdążającej w stronę “Agamemnona”, siedziała grupka mężczyzn, ofiar nadmiernego pobłażania sobie, pogrążona w

rozmyślaniach na temat obowiązku i przyjemności i wczesnorannych żalach.

Młody Josiah miał pierwszy w swym życiu ból głowy spowodowany mdłościami; Nelson

snuł ambitne plany bitewne na wypadek, gdyby jego samotny okręt został zapędzony w ciasny róg portu Neapol przez francuskich piratów, i mniej ambitne, dotyczące liczby talerzy i łyżek, a nawet krzeseł i miejsc w ustępach, w związku z królewską wizytą; a Mateusz, mający mniej spraw na głowie i bardziej opóźniony refleks, pragnął na zawsze zostać wysadzony w Neapolu na ląd.

Wiosła głucho zgrzytały w dulkach, jasna zatoka otwierała się przed nimi, słońce zaczynało nabierać siły, "Agamemnon" zaś wylaniał się w całym swoim wyniosłym majestacie w miarę znikania mgły z powierzchni wody. Mateusz, który odwykł od ciszy przez ostatnie dwa dni, poczuł się w obowiązku wypełnić jakoś tę niecodzienną lukę. Wybrał temat niewątpliwie najbardziej zaprzatający jego umysł.

— Sir, co pan sądzi o naszej wczorajszej rozrywce?

Nelson, zaabsorbowany myślami, był w złym humorze. — Jakiej rozrywce? W pałacu królewskim?

— Miałem na myśli Palazzo Sessa, sir. Ostatnią rozrywkę... Pozy.

— Sądzę to, co powinni sądzić wszyscy — odrzekł surowo kapitan

— że były w dobrym guście i bardzo zabawne.

— Zgadzam się w zupełności.

Nelson, zziębnięty i poszarzały we wczesnym blasku słońca, zdawał się budzić ze snu. —

Nigdy nie przypuszczałem, że tyle można zrobić posługując się szalem i tamburynem.

— Ani ja, sir.

—

A co ty myślisz? — spytał Josiaha jego ojczym. — Podobały ci się scenki odegrane przez Lady Hamilton?

Josiah, równie poszarzały jak kapitan Nelson, odparł z niezwykłym u niego ferworem: —

Chyba to najpiękniejsza rzecz, sir, jaką oglądałem w życiu.

— Naprawdę? A więc wszyscy jesteśmy zgodni w tej sprawie.

—

Jej lordowska wysokość musiała mieć przed ślubem wielkie do tego powołanie —

zauważył Mateusz.

Nelson zdawał się wyczuwać w tych słowach lekkie uchybienie.

— Czemu nie? Powinniśmy myśleć o t e r a z. Uważam — dodał z lekką dozą podziwu — że jest to miła młoda kobieta, przynosząca zaszczyt pozycji, do której została podniesiona.

— Tak, jak najbardziej, sir.

—

No to koniec na tym.. — rzekł, a potem zmienił kurs w sposób całkiem niekonsekwentny, zdradzając przez chwilę całą głębię sekretnych myśli. Powiedziałem przedtem, że za Gibraltarem każdy mężczyzna jest kawalerem. Przez co miałem na myśli, panie Lawe, że jest poślubiony tylko swojemu okrętowi!

Jeszcze przed końcem dnia miał to udowodnić w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości.

W świąteczny dzień niedzielny, gdy kapitan Marynarki Wojennej miał z pewną pomocą przyjaciół przyjąć wizytę króla, na pokładzie „Agamemnona” panowało wielkie zamieszanie.

Był to ten rodzaj zamieszania, którego Nelson nie znosił: zamieszanie domowe, zamieszanie towarzyskie, nie mające nic wspólnego z prawdziwym życiem okrętu.

Wymagało ono, aby pierwszy oficer nadzorował rozwieszanie kolorowych sznurków i wstążek na przyzwoitym relingu linowym

trapu; żeby żaglomistrz dopilnował, aby tylko marynarze w nie poplamionych spodniach, ze schludnymi, wysmarowanymi dziegiem warkoczykami mogli zgromadzić się na prawej

burcie pokładu rufowego; żeby porucznik Lawe przygotował kieliszki do wina i sprawdził, czy nie ma na nich śladów palców; żeby oficer artylerii dostarczył fajerwerki, trębacze z piechoty morskiej przeciwicyli dworskie melodie, a midszypmen Nisbet powiązał bukieciki dla pań.

To była wojna! — z makaronem, zamiast kordów, ze słońcami ogni sztucznych, zamiast

salw burtowych, z markizami, zamiast topsli. To przekłete zadanie zostało mu narzucone. I chociaż jego przyszła kariera nakazywała, aby je wypełnił, jego męska natura gwałtownie się burzyła przeciwko temu. Były to tylko własne Pozy Nelsona — i do diabła z tą całą fałszywą tragikomedią!

Towarzystwo, które musiało zebrać się szybko i dyskretnie, zanim królewska barka opuści port wewnętrzny, przybyło na pokład w stadkach, jak odziane w jedwabie bydło. Składało się z biskupów, ludzi wielkiego rodu, polityków, ludzi wybitnych, ludzi z tupetem i spryciarzy. Była to elite sycylijskiej społeczności i brytyjskiej kolonii, Marynarki Wojennej i armii, a także zwyczajnie dobrze ubrani ludzie. Prowadzeni przez Sir Williama Hamiltona i jego panią,

weszli na okręt i zatłoczyli go jak pasażerowie — i tyle dobrego i złego dało się o nich powiedzieć.

Potem, szczęśliwie, wszystko się zmieniło. Mała pinasa, która właśnie odbiła od

rybackiego nabrzeża Neapolu, mogła wieść jakichś spóźnionych notabli. Zamiast nich,

przywiozła pilną wiadomość od pewnej osoby z lądu do kapitana "Agamemnona", informującą go, że francuski konwój złożony z jednego okrętu wojennego i trzech statków handlowych stoi na kotwicy opodal Sardynii i może zostać zaskoczony, jeśli jego okręt jest gotowy do akcji.

Pierwszy oficer Hinton, który przeczytał wiadomość, stał obok niego, czekając. Po

odpowiedniej przerwie zapytał: — Pańskie rozkazy, sir?

— Czy jesteśmy gotowi do wyjścia w morze, panie Hinton?

— Możemy być — odrzekł Hinton, który był w tym momencie daleki od towarzyskiego nastroju. — W każdej chwili!

— Więc ruszamy — powiedział Nelson; a parę minut później oznajmił Sir Williamowi

Hamiltonowi: — Sir, niezmiernie żałuję, lecz muszę darować sobie tę okazję i natychmiast opuścić port.

Jego decyzja była jasna jak słońce, jego motywy natomiast dziwnie mieszane. Chciał pokazać temu modnemu światu, że brytyjski okręt wojenny nigdy nie zapomina o swoim

pierwszym obowiązku. Musi to zademonstrować wprost, nawet królowi. Sobie musi

przypomnieć, że marynarze nie są wychowywani do cieplarnianego lenistwa ani urodzeni do folgowania sobie na lądzie, gdy wzywa ich służba.

Musi się uwolnić od pewnych niewłaściwości zachowania, intencji czy ambicji

uczuciowych. Jest tylko jedna droga.

Był również kuszący aspekt przyzowego.

Zrywając obcesowo więź z lądem, pozbył się ciężaru swoich gości, podniósł kotwicę i w

dwie godziny odpłynął, żeby przez pięć pełnych wydarzeń lat nie zabawić króla, nie brać w objęcia delikatniejszych brzegów życia i nie widzieć się z Sir Williamem i jego żoną.

V

Wstrętna zaraza, jaką był bunt w obrębie Marynarki Wojennej z 1797 roku, rozprzestrzeniająca się jak plama na morzu, na pozycje w Indiach Zachodnich i na daleki Przylądek Dobrej Nadziei, nie mogła nie dotknąć Morza Śródziemnego, przynosząc na to

południowe jezioro hańbę, szok i śmierć. Jednakże swoją ohydną wędrówkę zaczęła na wodach angielskich, w dwóch głównych ośrodkach floty: Spithead i Nore, a początek dały jej, jak mówiono, kontynentalne mrzonki

O wolności i równości; lecz niewątpliwie także nieludzkie traktowanie, które przynosiło wstyd wielu okrętom Królewskiej Marynarki Wojennej.

Przywódcą i głównym nikczemnikiem — jeśli nikczemnicy muszą być wskazani dla dobrego samopoczucia prawomyślnych obywateli — był niejaki Richard Parker, któremu droga od kołyski do stryczka zajęła ledwie trzydzieści lat. Był on kolejno midszypmenem, marnotrawcą pieniędzy przyzowych, wytwórcą szkockich piłek do golfa, dyrektorem szkoły, znowu midszypmenem, zdegradowanym i zwolnionym z pracy kwalifikowanym marynarzem, więźniem za długi

i ponownie marynarzem, który się zgłosił na ochotnika.

W ciągu sześciu tygodni od przybycia na swój ostatni okręt pierwszej klasy, dziewięćdziesięciodziałowy "Sandwich", stał się przywódcą buntu w Nore i "Prezydentem Pływającej Republiki".

Mimo niepokoju niektórych polityków nie było potrzeby widzieć w tym szybkim rozprzestrzenianiu się jakiegoś ohydneho kontynentalnego lub irlandzkiego czy radykalnego spisku. Parker, dobry żeglarz, lecz urodzony mąciociel (już jako midszypmen wyzwał swego dowódcę na pojedynek), był człowiekiem wykształconym, lecz ciągle niezadowolonym, a jako zwykły marynarz miał niewiele do stracenia.

Był on naturalnym przywódcą, a zwłaszcza świetnym mówcą; nie musiał też daleko szukać miażdżących faktów, aby dodać ognia swoim przemówieniom — i swoim słuchaczom. Miał

dwa gotowe tematy:

warunki służby w Marynarce Wojennej i straszliwe okrucieństwo utrzymujące ludzi w ryzach pod codzienną groźbą śmierci.

Niewolnicza płaca, pieskie jedzenie i okrutna dyscyplina dostarczyły argumentów do antyfony przeklętych.

Płace najdzielniejszych wojowników Anglii były tak podłe, że nie trzeba było buntujących się do głoszenia tego faktu — chociaż potrzebny był bunt, żeby wreszcie spowodować uzdrawiającą reakcję parlamentu. Nie podnoszono płac od czasu ich ustalenia za panowania króla Karola II przed prawie stu czterdziestu laty; chociaż wartość pieniądza była teraz niższa o jedną trzecią, marynarz—żonaty czynnie, ojciec rodziny czy nie — był trzymany, jakby

uświęconym rozkazem, w kleszczach nędznej płacy, wynoszącej dziewiętnaście szylingów za miesiąc synodyczny\*, czyli dwanaście funtów rocznie.

Zgodnie ze zwyczajem panującym w Marynarce pensje wypłacano zawsze z sześciomiesięcznym opóźnieniem; a w wypadku bardzo długiego rejsu czy przebywania okrętu z jakąś dłuższą misją zwłoka mogła się przeciągać do trzech, a nawet czterech lat.

Odwiedzający okręty złotouści sprzedawcy taniej konfekcji zawsze udzielali kredytu na poczet zaległych wypłat, ale za monstrualne dyskonto. Żony tych marynarzy, pozostawiane same sobie na taki długi czas, mogły wybrać sobie los: albo żyć z prostytucji, albo, nie mając żadnego zabezpieczenia, iść z nędzy do przytułku.

Każdy marynarz chory albo ranny, jeśli musiał pozostać w hamaku, był uznawany za nie pracującego i pozbawiany płacy za każdą spędzoną beczynnie godzinę. Z pryzowego, zdobytego wielkim kosztem krwi i potu, utraconych członków i rozdartych ciał, oficer mógł dostać dwieście funtów, a marynarz, wystawiony na takie same niebezpieczeństwa, marne czternaście szylingów. Nic dziwnego, że zniechęceni wyrażali nadzieję, że ostrzał w boju będzie rozdzielany jak pryzowe — lwia część dla oficerów.

Nic też dziwnego, że Richard Parker, wzbiwszy się na wyżyny krasomówstwa, mógł doprowadzić słuchających do łez, opisując marynarzy bez środków do życia, ciągnących za sobą malowane okręciki na kółkach i żebrzących na chleb na ulicach Portsmouth.

Chleb wyżebrany na lądzie był stokroć lepszy od tego, jaki mogli dostać w morzu, gdzie

był zarobaczony i spleśniały. Od robaków roiły się również twarde jak kamień suchary, a mąka stanowiła pożywkę dla mączniaków. Baryłki z wodą, wciąż opróżniane i na nowo napełniane, nigdy nie były myte; woda rzeczna ze skażonej Tamizy najpierw zieleniała, potem stawała się miejscem rozmnażania nie mających nazwy wijących się stworzonek, aż wreszcie "osiadała", i wtedy dopiero była pita.

Ale największym przekleństwem marynarza było mięso — solona wołowina i solona wieprzowina — podstawa jego pożywienia. Większość zapasów mogła pochodzić z odległego okresu panowania Wesołego Monarchy\*. Ponieważ magazyny prowiantowe należały, aby najpierw konsumowano stare mięso, każda nowa podróż zaczynała się od obrzydliwego zapisu; to "stare mięso" bowiem było mięsem zwróconym po zakończeniu podróży przez inne okręty, wydobytym z dziwnych magazynowych zakamarków i mogło leżeć przez lata zasolone w beczkach, zanim włożono je na okręcie do wody na dwadzieścia cztery godziny, a potem gotowano i podawano.

Trudno było jeść takie świństwo. Starzy marynarze, gdy nie pozostawało nic innego, jak stroić żarty, opowiadali o znajdowanych w beczkach podkowach końskich, o nagle milknącym ryku osłów, o zabłąkanych w okolice stoczni Murzynach, znikających w tajemniczy sposób. A najwyżej umieli się przechwalać pięknymi rzeźbami sporządzanymi z tej mocnej masy, która nabrała przyjemnego połysku przypominającego najlepszy mahoń, i mogącymi stanowić spadek, jeśli komuś udało się znów zobaczyć z rodziną.

Był też inny uświęcony zwyczaj w Marynarce, który podobnie jak zaleganie z wypłatami trwał jak zastarzały skorupiak uczepiony pleców marynarza. Chociaż magazyny zaopatrzeniowe dostarczałyienne racje o prawidłowej wadze, te wydawane załodze rozliczano po czternaście uncji na funt i siedem pół kwart napojów na galon. Brakujące dwie uncje mięsa i pół kwarty piwa przylepiały się do palców magazyniera lub kucharza — czyichkolwiek, byle nie marynarskich.

Ostatnią sprawą, poza stłoczeniem nieszczęśników w cuchnące) klatce, jaką był przepełniony załogą okręt na morzu — było traktowanie marynarzy przez oficerów. Mundur



oficerski dawał prawo do wymierzania chłosty; a stanowisko bosmana do bicia trzcina i linką zakończoną węzłami, jeśli ktoś został uznany za opieszałego.

Zdarzało się na niektórych okrętach, że marynarz schodzący jako ostatni po zwinięciu czy zrefowaniu żagla zawsze dostawał chłostę; bywały wypadki, że wykwalifikowany marsowy

wolał — w połowie podróży, której towarzyszyły takie tortury — rzucić się do morza, niż znowu obnażyć plecy na uderzenia dziewięciu ogonów keta i słyszeć jego świst, zanim zaczną wyrywać mu mięso z ciała.

Niektórzy kapitanowie i porucznicy byli bez wątpienia obłąkani. Dwa tuziny batów za

nieprzyszycie numeru na hamaku; tyleż za plucie; nieustanna chłosta za powolność, szemranie, niezadowolenie; bicie po głowie tubą — nie było jakim instrumentem do karania z powodu

mosiężnej krawędzi — za coś lub za nic; taki był los

marynarzy, dla których protest lub opór mógł oznaczać śmierć przez powieszenie.

Nawet mali midszypmeni, bezpieczni w swoich mundurach, mogli doprowadzić

doświadczonego marynarza, dwa razy od nich wyższego i starszego, do gniewu, a potem bić go węzłąstą linką aż do zmęczenia swoich słabych rąk.

Pewien dzielny, a może twardy marynarz, który po jednej takiej uroczystej chłości potrafił

zdobyć się na uśmiech, został skazany na ponowne przywiązanie do gretingu i dalsze trzy tuziny batów. Jego dowódca wyszedł z siebie i miotał się z wściekłości. "Śmie wyszczerzać do mnie zęby? Więc ja zobaczę jego kość pacierzową!" I zobaczył, poprzez krwawą miazgę, w jaką zamieniły się plecy marynarza.

Po każdym dwóch tuzinach razów stawiano nowego człowieka do chłostania; i zdarzało

się, że kapitan był rad, gdy znalazł leworęcznego pomocnika bosmana, który zadając razy na przemian z praworęcznym kolegą zostawiał na plecach winnego krzyżujące się szramy.

I tak dalej, i dalej, po straszliwej drabinie cierpień, aż do najwyższej kary. Za uderzenie oficera, za próbę buntu lub za dezercję wyrok brzmiał: powieszenie na noku rei albo chłosta przez całą flotę. Celem tej ostatniej była śmierć winnego: można było nakazać nawet 800

razów, a nikt, jak dotąd, nie przeżył więcej niż 350, choćby jako skończony kaleka.

Przy akompaniamencie wybijanego na bębnach "Marsza przestępców" obwożono

nieszczęśnika w łodzi okrętowej od jednego okrętu do drugiego; z trapu poszczególnych

okrętów schodził silny pomocnik bosmana, aby wymierzyć swoją część kary. Winowajcy

towarzyszył lekarz, chyba dla dekoracji, bo wymierzanie kary musiało być kontynuowane, nawet gdy z okrętu do okrętu przewożono martwego człowieka i wymierzano orzeczone razy już będącemu po drugiej stronie grobu.

Wróciwszy w końcu do portu marynarze, jeszcze nie zdążywszy postawić stopy na lądzie, mogli zostać znowu wzięci siłą do służby, na kolejny rejs. Jeśli uciekli, pozostawali bez grosza i byli ścigani po wieczne czasy. Bywali tacy, co spędzili pięć, a nawet sześć lat w morzu bez godziny miłego odpoczynku na lądzie, a gdy wróciwszy chcieli za inkasować swoje należności, znowu zostawali schwytani, ponownie przymusowo wcieleni do floty i skazani na ten barbarzyński kierat.

Tacy byli ci niewolnicy, traktowani brutalnie, oszukiwani i oplątani najohydniejszą siecią, jaką kiedykolwiek zrobił człowiek. W końcu się zbuntowali.

Uczyniono to z najwyższą godnością i niesamowitą cierpliwością, biorąc pod uwagę wszystko, co byli zmuszeni znosić. Po starannym rozważeniu sprawy przez grupę "bratnich delegatów" w Spithead

opodal portu Portsmouth podniesiono czerwoną flagę wolności i Flota Kanału odmówiła wyjścia w morze. Załogi przedstawiły uporządkowaną listę swoich żalów, pod nagłówkami znanymi równie dobrze, jak żrąca tyrania chłosty, płace, jedzenie, zmniejszone racje, sprawa swobodnego wychodzenia na ląd i surowości oficerów.

Z należnym szacunkiem potwierdzili niezmienną wierność osobie króla, przysięgli, że wypłyną natychmiast w razie ataku jakichkolwiek okrętów francuskich, a potem usiedli na tyłkach i czekali.

Moment był dobrze wybrany; Anglia stała w obliczu wojny i niebezpieczeństwa, i lordowie Admiralicji, po bardzo hałaśliwym sprzeciwie trwającym przez okres, na jaki pozwoliło bezpieczeństwo kraju, wpadli w popłoch. Żale przedstawione z tak powściągliwą zręcznością zostały uznane za uzasadnione. Obiecano natychmiastowi wyrównanie krzywd.

Żaden marynarz nie został postawiony przed sąd wojenny. Odesłano na ląd niektórych oficerów znanych ze złej opinii. Wobec amnestii osobiście ogłoszonej przez króla Flota Kanału wypłynęła, żeby pełnić swój obowiązek.

Richard Parker, będący na pozycji w Nore, między ujściem Tamizy a ujściem rzeki

Medway, w złą godzinę zdecydował się na wszczęcie takiej samej akcji. Miał pecha, że zyskał pełny rozgłos i znaczenie, akurat gdy w Spithead wszystkie żądania zostały spełnione. To był jego pech — lecz wybrał sobie swoją drogę i nie chciał z niej zejść, a była to droga zgubna.

Okazał zbytnią pewność siebie; swymi przemówieniami szybko osiągnął szczyt możliwości wywierania wpływu; nastał taki oszałamiający dzień, gdy ten prezydent

Pływającej Republiki miał pod swoim dowództwem trzynaście okrętów liniowych, w tym

także fregaty. Jako admirał groźnej eskadry odmówił wykonywania jakichkolwiek rozkazów z lądu, obrócił swe działa na te okręty, które jeszcze nie podniosły czerwonej chorągwi, i usiadł, jak ci w Spithead, czekając na poddanie się królestwa.

Jego dalszy pech sprawił, że "Sandwich", jego okręt flagowy — stary, sterany hulk okazał

się tak przegniły i zanieczyszczony, że został odpisany na straty i przeznaczony na złom, gdy tylko skończą się jego rządy. Siedząc na tym cuchnącym tronie, beczynn timer i w zadumie, z upływem dni stwierdzał, że coraz trudniej mu rządzić.

Po pięciu tygodniach letnich upałów poparcie dla Richarda Parkera zaczęło słabnąć. A że więzy z lądem zostały przecięte, zapasy na okrętach kończyły się. Gwałtowne spory podzieliły

"bratnich delegatów". Gdy przypominano Parkerowi, że wszystko, czego się domagają, zostało przyznane w Spithead, odpowiadał, że tamte decyzje mogą zostać zmienione w jeden ranek przez tych łobuzów z parlamentu.

A co, pytano, ze słowem danym przez króla? "To samo! — szydził Parker. — Czy korona czyni z króla człowieka honoru?"

Ta zdrada nie była dobrze odbierana przez zgorszonych towarzyszy na okręcie,

którzy—rzecz nie do wiary—pozostawali wciąż lojalni wobec swego kraju i gotowi bić się jak tygrysy w jego obronie. "Zostaniesz sam na noku rei!" — powiedział mu ktoś. Te prorocze słowa nie wywarły żadnego wrażenia ani na kimkolwiek ze słuchających, ani na Richardzie Parkerze.

Zaczął się bunt, tym razem znacznie dziwniejszy, i Parker został opuszczony przez

wszystkich. Ani łagodne słowa, ani okrutne groźby nie były w stanie powstrzymać odpływu.

Okręt za okrętem, pogodziwszy się z surową krytyką, wychodziły wolne na otwarte morze.

Jego dumna flota kurczyła się, aż znikła. W końcu został sam w zawłaszczonej kapitańskiej kajucie, gdzie go ujęto i skazano na śmierć przez powieszenie wraz z dwudziestoma czterema innymi wiodącymi malkontentami.

Jak tylu dzielnych, lecz nierozważnych ludzi przed nim, napotkał śmierć odważnie. Ostami kielich białego wina; ostatnie słowo, w którym prosił, aby ukarano tylko jego; uścisk dłoni jego kapitana, zanim związane mu ręce — i zawisł na noku rei, gdzie pozostał do zachodu słońca, wraz z całą grupą swych towarzyszy-buntowników; zbrukane flagi zdrady, które mogły

osiągnąć zaszczyty, tak jak — zbyt późno — osiągnęły liberalne i trwałe reformy.

Bezplywowe Morze Śródziemne nie uniknęło tego zawirowania napływającej z daleka

cuchnącej wody. Niektóre okręty, zaangażowane w Spithead i wysłane na południe, dla ich zdrowia — czy też dla zdrowia Marynarki Wojennej—powiozły ze sobą truciznę, gdyż to, co wiozły, stało się trucizną w znacznie łaskawszym klimacie.

I znów okręty odmawiały pełnienia obowiązków, podnosiły krwawą flagę rewolty i

czekały na “naprawienie krzywd”, które to żądanie już było spełnione. Teraz jednak prąd skierował się zdecydowanie przeciwko nim; w braku zmasowanego poparcia koniec był

zawsze taki sam: poddanie się, sąd wojenny i śmierć przywódców.

Jeden taki wyrok, na JKM “Marlborough”, polecono wykonać kolegom buntownika. Na

zbrodniczą jednostkę zostały wycelowane działa floty, otoczyły ją łodzie z wyborowymi

strzelcami, mającymi reagować wobec ewentualnej zwłoki i położyć jej kres na znak dany

werblem na kotle.

Zmienił się sposób postępowania i nieszczęśnicy, zarówno przywódcy, jak i naiwne ofiary, żyli tylko do chwili poznania tej twardej prawdy.

Podczas gdy niektórzy pobożni oficerowie perswadowali głównodowodzącemu, lordowi

St Yincetowi, żeby nie wieszać nawet takich

marynarzy w niedzielę, inny admirał, który właśnie podniósł swój proporzec na 74-działowym

“Theseusu”, był przeciwny takiej delikatności. “W niedzielę? — warknął, usłyszawszy o tej obiekcji. — Ja bym ich wieszał nawet w ranek Bożego Narodzenia!”

Miało to miejsce jakieś dwa miesiące po załatwieniu sprawy w Spithead, i tego wybimego

oficera gniewały pozostałe męty buntu. Nie był on jednak buńczucznym zawadiaką. Wcześniej pisał

do przyjaciela:

“Jestem całkowicie z marynarzami w ich żalach. Jesteśmy zaniedbywaną grupą”.

Słowo “my” i koleżeńskie określenie “grupa” wciąż stanowiły rdzeń jego przekonań. Dla niego służba w marynarce zawsze oznaczała prawdziwe braterstwo. Jednakże gdy zbłąkana

owca z tego stada schodziła na złą drogę, kontradmirał Sir Horatio Nelson, Kawaler Kapitan Orderu Łaźni, zmieniał się w srogiego wilka.

A zatem ten szybko awansujący człowiek potrafił i warczeć, i gryźć, i te cechy nie zawsze szły w parze. Potwierdzał to pewien wzruszający incydent na jego własnym “Theseus”.

Podczas którejś rozświetlonej księżycem środkowej wachty, gdy okręt szedł łatwym

odcinkiem, uwagę Mateusza Lawe'a zwrócił kawałek papieru, który musiał ktoś upuścić na

pokład rufowy. Nie mógł przecież zostać zesłany z nieba... Mateusz podniósł go, zdając sobie sprawę, że naokoło są ludzie z wachty i że udając zajętych, obserwują go z ciemnych

zakamarków.

Wyglądził zmięty papierek i wyobrażając sobie ciężkie oddechy i męźnie rozprostowane ramiona, stojące za tym pismem, odczytał w świetle latarni:

Niech sukces towarzyszy admirałowi Nelsonowi! Jesteśmy szczęśliwi i spokojni i przelejemy ostatnią kroplę krwi z naszych żył, żeby wspierać naszych oficerów.

## ZAŁOGA OKRĘTU

Żadne odznaczenie, które mógłby dać suweren, nie mogło się równać z tym pasowaniem na rycerza.

Odnaczenia bitewne posypały się szybko i gęsto, jak złocone liście laurowe, którym zmiana pory roku nakazała opadać. Nelson pozostawał bez przerwy w służbie brzegowej i blokadowej na starym “Agamemnonie”, swoim pierwszym, triumfującym, ukochanym liniowcu, po którym były inne; po dwóch dużych bitwach zaczepnych z Francuzami otrzymał awans na komodora i dowództwo większego “Captain”.

“Captain” zainspirował go do jego największego, jak dotąd, wyczynu, bitwy pod

Przyłądkiem Św. Wincentego, stanowiącej uko

## ŻEGLARZ

ronowanie roku 1797. Ta "walentynka" — bitwa rozegrała się czternastego lutego —

popchnęła go do dwóch szczególnie śmiałych kroków: pierwszy z nich to powzięta przez

niego, grożąca sądem wojennym decyzja oddalenia się od angielskiej linii bojowej na minutę przed otrzymaniem sygnału od głównodowodzącego, i przecięcie hiszpańskiej eskadry na

dwie zbite z tropu połowy.

Drugim było podejście do burty najbliższego nieprzyjacielskiego okrętu, jednego z

największych hiszpanów, 80-działowego "San Nicolasa", i poprowadzenie oddziału

abordażującego, który szybko wziął go szturmem. W zamieszaniu bitewnym "San Nicolas"

zderzył się ze swoim jeszcze większym krajanem, 112-działowym "San Josem".

Komodor Nelson natychmiast skorzystał z nadarzającej się okazji. Używszy "San

Nicolasa" jako dogodnego pomostu, powiódł swoich ludzi wyżej i wyżej, aż na pokład "San Josego", do zdecydowanej walki wręcz — i drugi hiszpański okręt poddał mu się w ciągu tej samej godziny.

To zwycięstwo odbiło się głośnym echem w całej flocie. Obrósł wnet legendą "Oryginalny

Nelsonowski Pomost do Abordażowania Okrętów Wojennych Pierwszej Klasy", podobnie jak on sam. Legendarna stała się też jego odpowiedź na czyjeś dociekliwe pytanie

O główne ryzyko towarzyszące tej zdobyczy. "Znalezienie dostatecznie silnego człowieka do niesienia szpad złożonych przy poddawaniu się. Pomyślnie dla nas się złożyło, że William Fearney, najlepszy z obsady mojej łodzi, ma dwa potężne ramiona".

Przy tym wszystkim był zmuszony dopuścić tu i ówdzie do niewielkiego wyłomu w swej

osobistej fortecy... W ataku na Calvi na Korsyce został trafiony odłamkiem w brew i stracił

wzrok w prawym oku; odtąd zawsze nosił zieloną osłonę na lewym, które — jako uratowane

— musiało być szczególnie chronione. Później, prowadząc łodzię ze swego nowego okrętu

"Theseus" z zamiarem odcięcia drogi hiszpańskiemu statkowi ze skarbami w Santa Cruz na Teneryfie

i zdobycia go, utracił prawą rękę.

To okaleczenie i ciała, i nadziei wyglądało na najgorszy cios ze wszystkich. Odesłany, jako inwalida, do domu w Anglii, nękany ciągłymi straszliwymi bólami nerwu, który pozostał

uwieczony w podwiązonym kikucie, raz jeszcze musiał poprzestawać na chlebie z serem i zajęciu się sprawami domu — to było wszystko, czym jednoręki admirał mógł teraz dowodzić lub czego oczekiwać.

Mógł to być koniec, lecz był to tylko jeszcze jeden początek.

Po pół roku, gdy nerw się uspokoił i cudownie wygoił się kikut, dostał dowództwo

74-działowego okrętu "Yanguard"\*, z rozkazem

w

dołączenia do admirała St Vincenta w pobliżu wybrzeża portugalskiego. Tam otrzymał

wydzieloną eskadrę okrętów i polecenie kręcenia się po Morzu Śródziemnym; tam właśnie ten marynarz z jednym okiem, jedną ręką i jedną aspiracją zaczął sobie wykuwać stalowy krąg przyjaciół, bramie kółko kolegów-dowódców, którzy mieli nigdy się nie zachwiać w swojej lojalności, dopóki on, trwała gwiazda na tym firmamencie, nie spadł z niego.

Nazwiska ich wszystkich miały stać się sławne: Hardy, Fremantle, Aleksander Bali,

Blackwood, Foley, Hallowell, Berry, Troubridge, Collingwood, Saumarez, Hood. To byli

ludzie, których mały, zmaltretowany admirał powiodł ku sławie. Byli to mężczyźni, którym mógł ufać, ludzie wolni od zawiści, ludzie, którym dotknięcie Nelsona było potrzebne nie po to, żeby wzbudzić w nich odwagę, lecz żeby stopić ich w jedno ostrze.

On był ich, a oni byli jego; i najostrzejsze słowo a zarazem wyraz największego uznania ze strony tego braterstwa wyszło od jednego z nich, który warknął na kilka minut przed kończąca wszystko bitwą:

"Tak bardzo chciałbym, żeby ten nasz kompan Nelson nie zasypywał nas sygnałami.

Wszyscy wiemy, co mamy robić!"

VI

Ludzie, którym można ufać, ludzie wolni od zawiści... Wszyscy wiemy, co mamy robić...

Znalazło to potwierdzenie pewnej szczególnej nocy, w świetle błyskawic, pośród okrutnie kłębiących się fal, w szalejącej wichurze, która — zdawałoby się — pragnęła wymordować

wszystkich żeglarzy, gdy okręt Nelsona, "Vanguard", a może też i jego życie, uratował jeden z tego bratniego grona, kapitan Aleksander Bali, dowódca swego imiennika, 74-działowego

"Alexan- dra".

Eskadra admirała Nelsona, złożona z "Vanguard", "Alexandra" i "Oriona" oraz z czterech fregat i korwety, znów była w odwiecznej pogoni za flotą francuską, rozproszoną teraz po Morzu Śródziemnym, a równie trudną do znalezienia jak igła w stogu siana. Sztorm zaczął się opodał Sardynii i osiągnął siłę wichury o takiej gwałtowności i nieustępliwości, jakiej nikt nie pamiętał. Pewnej niedzielnej nocy w maju, gdy do gwałtowności natury doszło

niebezpieczeństwo brzegu zawietrznego, "Vanguard" nagle stanęła w obliczu katastrofy.

O drugiej po północy, podczas wachty środkowej, w czarnych jak smoła ciemnościach, w

chaosie, jaki ogarnął okręt, trzasnęła stenga grotmasztu i zwała się za burtę wraz z ożaglowaniem i obsadą marynarzy, których już więcej nie zobaczono. Potem poszła stenga

stermasztu, a w godzinę później sam fokmaszt. Nie trzeba było nieprzyjaciela; wystarczył

rozszały wiatr i morze, żeby zamienić okręt flagowy w żalosną kłodę drewna dryfującą z wiatrem ku wrogiemu brzegowi.

Strzaskane drzewca walące o burtę wybijały podzwonne "Vanguard", która przewalając się potwornie z burty na burtę i tonami nabierając wody znalazła się, bezsilna, w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Nelson, ze swoim dowódcą okrętu flagowego, Edwardem Berrym, z pierwszym oficerem Galweym, Mateuszem Lawe'em i tuzinem oficerów, miał nigdy nie zapomnieć tamtej nocy

ani dwóch następnych. Byli sami w środku dziko szalejącego sztormu; nie widzieli światła

żadnego innego okrętu ani, po nastaniu świtu, żadnych innych okrętów. Musiały pewnie

stawiać czoło własnym kłopotom. Nie zdezerterowały. Zostały uderzone i rozproszone przez ten sam wściekły, piekielnie złośliwy sztorm.

Przez dwa dni "Vanguard" dryfowała bezradnie pod niebem bez słońca, w podłej pogodzie bez momentu ulgi, która by pozwoliła zorientować się w pozycji. Wiedzieli tylko, że wroga Korsyka leży wobec nich w kierunku wiatru, a jeśli nie Korsyka, to szczerbate skały

zachodniego wybrzeża Sardynii. Chociaż poodcinali siekierami wleczone za burtą szczątki takielunku, odzyskali kilka żagli nadających się do użytku, opłakali utraconych członków załogi i harowali jak niewolnicy, przy pompach, wciąż byli wrakiem, z kikutami masztów jak ręka admirała; posępnym hulkiem zalewanym przez fale. Wokół nich wszystko kłębiło się

szaleńczo, a oni nie mieli nawet cienia nadziei.

Wtorkowy wieczór przyniósł wreszcie odległy błysk marsla "Alexandra", pędzącego



pełnym wiatrem na ratunek. — Niech Bóg błogosławi Balia! — powiedział Nelson, który nie zawsze mówił ciepło o oficerze tak odmiennym od niego. Aleksander Bali był nie tyle marynarzem, co uczonym wśród dyrektorów szkół; człowiekiem rozmiłowanym w nauce, wysokim i poważnym, spędzającym wolny czas wyłącznie na czytaniu — z surowym embargo nałożonym na rzeczy rozrywkowe.

Mimo to był odważnym żeglarzem. Manewrując swoim okrętem wielkości "Vanguard", jak posłusznym jachtem, opuścił na wodę linę kokosową, a potem ciężki konopny hol, który morderczym wysiłkiem wyczerpanych marynarzy został właśnie przymocowany do ofiary.

"Alexander" naprężył go i okręt flagowy, niezdolny wprawdzie

odpłynąć z zagrożonego rejonu, został w końcu ustawiony dziobem do huczących fal i mógł zaznać nieco spokoju.

Przez całą noc "Alexander" utrzymywał go w tej pozycji. W środę rano wiatr nieco zelżał; jednakże potężny rozkołys dalej pędził ich ku niebezpieczeństwu, które teraz stało się

słyszalne.

Ryk i grzmot fali przybojowej po zawietrznej obudził pełną czujność Nelsona, który — podobnie jak wachtowi marynarze z obsady szotów — podrzemywał oparty plecami o poręcz.

Po dwóch dniach i nocach wycia wichru, zimna, niepokoju, zwątpienia i rwącego bólu w kikucie ręki wyglądał upiornie — obdartus, strzęp admirała stojący przed niebezpieczeństwem utraty okrętu.

Wyprostował się, naprężył członki i rozejrzał się wokoło. Przed nimi widniała zamglona sylwetka wiernego "Alexandra"; między nimi lina holownicza, to naprężona, to zapadająca się w gnane wiatrem wody; pod stopami kadłub kiwający się na boki i niezdarny do żeglowania, a za plecami ryk fal bijących w udręczony brzeg i — w parę chwil po świcie — widok groźnych urwisk i wysepek wyszczerbionych skał, śmierć i ruina dla wszystkich i wszystkiego.

Oba połączone okręty zamiast zyskiwać, traciły.

Nelson odwrócił się do Mateusza, który stał obok. Obaj, zalewani bryzgami, przemarzli do szpiku kości, ledwo przypominali istoty ludzkie. Sześć godzin temu udało im się zjeść trochę zupy, ale potem ogień w kuchni zalała woda i jeśli chcieli mieć coś w ustach, to mogło to być jedynie morze.

— Przegraliśmy. Muszą nas odciąć.

Mateusz nie był w stanie odpowiedzieć. Ani nawet słuchać. Po raz pierwszy od lat, których nie dałoby się zliczyć, zaczął się bać. Wyglądało to tak, jakby znowu podążał za gwiazdą starego Drake'a. Wtedy ich główny kapitan wzniósł się na wyżyny, po to tylko, żeby

wyprowadzić ich zbyt daleko. Teraz załoga "Vanguard" znalazła się w takiej samej

nieszczęsnej pułapce; gromada miotanych wiatrem strachów na wróble to byli oficerowie i marynarze, jakich widział wokół siebie — stojący, leżący, przykucnięci na zawietrznej poręczy, nie mający nic do roboty.

Stanowili załogę okrętu, który już stracił swą nazwę, a wkrótce, w niezbyt odległych przybrzeżnych falach, może zyskać nowe miano — drewna unoszonego przez wodę.

Ocknął się i poprzez wycie wiatru usłyszał Nelsona mówiącego: — Proszę dać im sygnał, żeby nas odcięli. Lepiej utracić jeden okręt niż dwa.

Niechętnie, pełen lęku, Mateusz przywołał gestem oficera sygnałowego, który dał jakoś radę wykonać swoje ograniczone zadanie: przywiązał flaglinkę do na pół zniszczonego grotmasztu. Dwie chorągiewki poszły właśnie w górę. Wiatr rzucił się na nie, lecz oparły mu się i powiewały chłodne, wyraźnie widoczne w bladym świetle brzasku.

Wspaniały "Alexander" czuwał w zimnym piekle wysokich jak góra fal, żalonych podmuchów zamierającego wiatru i zgłodniałych, coraz bliższych fal przybojowych.

— Odpowiadają, sir.

— Jaka odpowiedź?

Porucznik nie musiał zaglądać do księgi sygnałowej. — Negatywna, sir.

Nelson, admirał, ryknął: — Co? — A potem Nelson, człowiek, uśmiechnął się wąskimi,

zsiniałymi wargami. — Chciałem, panie Lawe, powiedzieć: "Co za przyjaciel". — Potem znowu ogarnął go gniew. Rozkaz to rozkaz, i nie może być nigdy ani kwestionowany, ani nie wypełniony. A on wydał rozkaz. Kiwnięciem palca przywołał oficera sygnałowego.

— Czy jest sygnał na: "Posłuchać mnie natychmiast"?

— Nie, sir.

— Czemu?

— Nie sędzę, żeby był kiedykolwiek potrzebny, sir.

— W to mogę uwierzyć... No dobrze, ma pan coś w tym sensie w swojej magicznej księdze?

Porucznik miał to w swojej magicznej głowie. Mamy: "Zastosować się do mego sygnału", sir.

Nie był to sygnał wyrażający najsroźszy w świecie wybuch niezadowolenia, ale musiał wystarczyć. — Podnieść go.

Pauza, a potem nadeszła odpowiedź, ale nie w postaci rzutu flag, lecz ustna.

Na pokładzie rufowym "Alexandra" pojawiła się wysoka postać. W blasku wschodzącego słońca dało się ją rozpoznać. Następnie z wiatrem nadleciały słowa wypowiedziane przez tubę głosem naukowca, powolnym i poważnym. Kapitan Aleksander Bali miał do przekazania wiadomość, a raczej lekcję.

— Mam pewność, że mogę wyprowadzić was w bezpieczną strefę... Nie odwiążę holu i nie zostawię was teraz.

— Na Boga! — zaczął Nelson i zamilkł. Milczał tak długo, że oficer sygnałowy poczuł się zmuszony zapytać: — Czy będzie odpowiedź, sir?

— Tak. Potwierdzić.

Chociaż wszystko szło boleśnie wolno, w końcu się udało. Wiara jednego człowieka w

swoje możliwości i zaufanie ze strony drugiego stały się żywym faktem. Dzięki doskonałemu nawigowaniu "Alexan- der" korzystał z wiatru do posuwania się na granicy łopotu żagli, jak gospodyni w swej przemyślności przygotowuje zimne mięsa z resztek wołowej pieczeni,

ragout z zimnych mięs, jedzenie dla kota z ragout,

a czwartkowy rosół z kości — i jeszcze za widna odsuwał się od pragnącego ich pożreć brzegu w tempie połowy mili morskiej na godzinę, wlokąc w swoim śladzie torowym coś, co bardziej przypominało rozmokły węcierz na homary niż okręt.

Potem, prowadzona przez kapitana Saumareza, na "Orionie", zastępcę Nelsona,

"Vanguard" została troskliwie doholowana na miejsce postoju po zawietrznej wyspy San Piętro, u południowego wybrzeża Sardynii, i tam znalazła upragnione schronienie.

Gdy było już po wszystkim, admirał Nelson pierwszy ruszył się z wraka. Zostawiwszy go na kotwicy, udał się do kapitana Balia.

Czegokolwiek Bali mógł się spodziewać, nie mógł to być ciepły uścisk ręki, komplementy natury zawodowej i pry warnej, puszczenie w niepamięć wszystkiego, co się zdarzyło ostatnio — a tylko wdzięczność dla przyjaciela w potrzebie. Tymczasem Nelson wylewnie dziękował wybawcy za pomoc, której nigdy nie zapomni. Potem zawsze czujny dowódca przeszedł do chwili obecnej. Co trzeba zrobić i jak, żeby się wykaraskać z katastrofy.

Aleksander Bali, który miał dosyć czasu, żeby obejrzeć pogruchotany okręt, dał rzeczową odpowiedź.

— Dla pana, sir, konieczna jest stocznia w Gibraltarze.

— Za nic!

Według Nelsona nie powinna to być stocznia, bo ta przeciwność losu nie mogła przyjść w bardziej niebezpiecznym momencie, gdy nie można się było obyć bez któregoś z okrętów, a co dopiero bez okrętu flagowego. Wielkie siły francuskie, które gromadziły się w Tulonie i innych śródziemnomorskich portach, wyszły teraz w morze i znikły z oczu Anglikom. Było wiele najdziwniejszych pogłosek na temat, dokąd popłynęły.

Przypuszczano, że mógłby to być Neapol lub Portugalia; także Irlandia, Indie Zachodnie, Egipt i sama Anglia... Najlepszy wywiad potwierdzał, że mieli na pokładach niezliczone oddziały wojska, 12 000 kawalerzystów i samego Napoleona. Najtrafniejszy zaś domysł wskazywał, że Napoleon po splądrowaniu Malty popłynie do Egiptu i dalej, na podbój Indii.

Najlepsza część Europy już leżała powalona pod rządami tego tyrana, trzeba więc było koniecznie położyć kres jego mrzonkom. W szukaniu go nie mogło zabraknąć żadnego okrętu z eskadry, bo gdy go się znajdzie i dojdzie do walki, wszystkie się przydadzą.

Nelson, oddawszy wszelkie honory i wypowiedziawszy wszystkie słowa wdzięczności, rozejrzał się w skąpych możliwościach wyspy San Piętro i zdecydował:

— Mój okręt musi być naprawiony tu i teraz.

W tej flocie i w tej służbie była tylko jedna odpowiedź:

— Tak jest, sir.

Mimo wcześniejszego stwierdzenia: "Tego nie da się zrobić" jego przyjaciele zabrali się do dzieła ze zwykłą dobrą wolą. Kapitan Saumarez miał zapasowe drzewca, bez których mógł się obejść, więc natychmiast przekazał je na "Vanguard". Kapitan Bali przysłał człowieka, podobnego trochę do niego samego, niejakiego Jamesa Morrisona, surowego Szkota, który

mało mówił, lecz dużo umiał. Był cieślą okrętowym na "Alexandrze" i cichym cudotwórcą.

Kapitan flagowy "Vanguard", Berry, postanowiwszy pokazać, że jego okręt, na którym przebywa admirał, nie jest niegodny swego ciężaru, niezależnie od nieszczęść, jakie spadły na niego, trudził się jak pływający Herkules, żeby odzyskać swoją reputację.

Przez cztery dni w zatoce San Piętro odbijały się echem odgłosy uderzeń młotów,

piłowania, heblowania, windowania w górę i znowu stukania młotów. Nad pokładem jak

chmury pojawiły się nowe żagle ze starych płótnisk. Z "Vanguard" rzeczywiście dokonano żeglarskiego cudu; te cztery dni wystarczyły, żeby ją znowu przygotować do wyjścia w morze.

Takielunek tymczasowy, wprawdzie ponaprawiany, był wystarczający; okręt flagowy mógł stanąć na czele floty, a i flota nagle się rozrosła, jak żagle.

Z posiłkami napływającymi z Anglii, które podniosły liczbę jego liniowców do czternastu

— były wśród nich najpiękniejsze, jakie miała Marynarka w owym czasie — Nelson podjął

pościg. Chociaż podążał świeżym śladem, tracił z oczu nieprzyjaciela raz i drugi; wreszcie po ostatnim beznadziejnym, zdawałoby się, skoku dopadł swej zwierzyny sierpnia w zatoce

Abukir w ujściu Nilu.

Admirał i wszyscy oficerowie, starzy i młodzi, którzy zostali zaproszeni przez niego na obiad w tym pierwszym dniu sierpnia, właśnie usadowili się za lśniącym zastawą stołem,

nakrytym śnieżnobiałym obrusem — o ileż smakowitsze były zawsze takie spotkania u niego niż samo jedzenie — gdy, o drugiej po południu, zaskoczył wszystkich radosny okrzyk

dobiegający z pokładu nad ich głowami.

Żaden dźwięk nie mógł wzbudzić większego zdumienia. Od niepamiętnego czasu nigdzie

we flocie nie słyszano takiego wybuchu radości; wyczerpujący pościg nie przynosił im

niczego, poza rozczarowaniem i obawą, że wlepione w nich oczy Anglii, chciwe dobrej

nowiny, muszą teraz stawać się krytyczne, nawet szydercze... Nelson spojrział na swojego kapitana flagowego, Berry'ego, na drugim końcu stołu, a potem na Mateusza, zwykle

pełniącego rolę pośłańca, gdy, jak teraz, powstawała jakaś wątpliwość.

— Panie Lawe... — zaczął, lecz go uprzedzono. Stukot butów na stopniach zejściówki

oznajmiał przybycie oficera wachtowego, tak przejętego, że słowa ledwie przeszły mu przez usta.

— Sygnał z "Zealouza"\*, sir! Nieprzyjaciel w polu widzenia! L\_

Nie musiał słyszeć nic więcej, wszystko było jasne. Dwa okręty

idące na czele floty w ostatnim jej skoku na wschód to był "Zealous" kapitana Hooda i

"Goliath" kapitana Foleya, oba uzbrojone w 74 działa. Wysforowały się daleko przed resztę dzięki swej świetnej sprawności morskiej. Nie musieli nic robić, poza śpiesznym udaniem się na pokład.

Nelson powiedział:—Panowie, obiad się opóźni — i ruszył w górę, a za nim wszyscy

zaproszeni. Wybiegłszy na otwarty pokład, znaleźli się wśród wiwatujących marynarzy — i oficerów — ze wzrokiem zwróconym na wschód. Widać było tylko odległy, zamglony brzeg

Egiptu i, daleko w przodzie, bliźniacze marsie "Zealouza" i "Goliatha". Te dwa bliźniaki, przekazawszy im jedną drogocenną nowinę, już pośpieszyły z następną.

Midszypmen sygnałowy z "Vanguard", przycupnięty wysoko na rei grotbombramsła,

obwołał pokład. Był to dla niego moment ogromnej dumy i chłopak z podniecenia ledwie był

w stanie zrobić, co do niego należało.

— Z "Goliatha", sir. — Głos dochodzący przez tubę brzmiał piskliwie, z powodu młodego wieku i szalonej radości.—Nieprzyjaciel w polu widzenia. Zacumowany w linii bojowej.

— Zacumowany! — powtórzył Nelson. — Na Boga, możemy ich dostać! — Nie pozwolił

sobie na dalsze zdumiewanie się. Sygnały, jak światełka błyskające w jego mózgu, zaczęły spadać kaskadą i były tłumaczone na rzuty flag tak szybko, jak zdołali wysyłać je w górę gorączkowo pracujący sygnaliści.

— Powtórzyć sygnał z "Goliatha" do wszystkich za rufą.

— Nadać do "Goliatha" i "Zealouza": "Dołączcie do mnie i zajmijcie pozycje w przodzie".

— Nadać do wszystkich innych: "Uformować się w linię za rufą, jak zaplanowano".

— Do wszystkich: "Przygotować się do bitwy i do rzucania kotwic z rufy".

Gdy wszystkie te sygnały zostały potwierdzone przez nagle poruszoną flotę, admirał obszedł pokład. Przygotowywanie "Vanguard", łoskot wytaczanych dział, bieganina i okrzyki, wszystko wyglądało jak powinno. Nie było tu nic nowego, ale tym razem, tym razem mogło się to wreszcie obrócić w złoto i sławę. Podchodząc do kapitana flagowego powiedział:

— Niech pan naciska, Berry. Mamy dwie godziny, może więcej. Ale musimy zrobić, ile się da, przy świetle dziennym. Gdy te dwa... — wskazał ku wschodowi, w kierunku "Zealouza" i "Golia-tha" — dołączą, nadać do wszystkich: "Księga sygnałowa, plan czwarty".

Potem, w mniejszym gronie, zjedli obiad. W trakcie jedzenia Nelson znów stał się spokojny, chociaż od czasu do czasu gładził lub przyciskał swędzący kikut ręki; a Mateusz od nowa zdumiewał się jego mistrzowskim opanowaniem — zależnym od tego, co dyktował jego stalowy duch, tak że mógł krzesać iskry lub żarzyć się łagodnie. Przy końcu, gdy musieli się rozejść, Nelson z wszystkimi wzniosł bez słów toast za zwycięstwo, a potem, znajdując, jak zawsze, jakieś specjalne powiedzenie, rzekł:

— Albo będzie godność para, albo Westminster Abbey.

Sławne zwycięstwo lub szlachetna śmierć... Taka była jego ocena, jego osobista przyszłość na ziemi albo w niebie... Ale co z innymi? Czyżby ten człowiek zaczynał wierzyć, zastanawiał się Mateusz, idąc za admirałem po zejściówce, że nie należy do grona śmiertelników?

Śmiertelnicy pozostawali.

To, co zobaczyli śmiertelnicy przed dwoma godzinami i na co patrzyła teraz flota, ze wszystkim, co ten widok obiecywał lub czym groził, to było trzynaście francuskich okrętów liniowych, zakotwiczonych w obrębie zatoki Abukir zakrzywioną kolumną, widmem owego półksiężyca Armady sprzed dwustu lat. W miarę ruchu zegara i słońca ku godzinie wpół do szóstej, widok rozszerzał się jak we śnie i obie strony mogły ocenić czekającą je próbę siły.

W środku francuskiej linii piętrzył się okręt flagowy "L'Orient", monstrum uzbrojone w sto dwadzieścia dział, przeciw siedemdziesięciu czterem, bo tyle najwięcej miał angielski okręt w ich grupie. Okręty, uszeregowane w linii, stanęły na kotwicach tak głęboko w zatoce, jak na to pozwalały jej płyiczyny.

Wyglądało, że nie ma ani dosyć miejsca, ani dostatecznie głębokiej wody, żeby można

było wdrzeć się między nie. Tworzyły uwięzioną w zatoce twierdzę, mając w tyle za sobą las francuskich trójkolorowych flag, na każdym domu, na każdym wzgórzu, na każdej

wyciągniętej na piasek łodzi.

Z tej zuchwałej manifestacji lub służalczości można było wywnioskować, że

Napoleon-zwycięzca już wylądował i odcisnął swój gigantyczny ślad na tej ziemi; i — jak się okazało pod koniec dnia — już wygrał swą zapowiadaną bombastycznie Bitwę o Piramidy i

zajął Egipt.

Ale zajął go jako stworzenie lądowe. Pozostali marynarze i pozostały okręty, żeby na swój własny sposób pospierać się o to.

Admirał Nelson zakończył już przekazywanie sygnałów, poczynając od krótkiego

“Otworzyć ogień, gdy sytuacja będzie dogodna” do nieco mniej zwięzłej reprimendy pod adresem nieszczęsnego midszypmena, któremu spadł paradny sztylet ze sterrei na święte

miejsce

w obrębie dwóch stóp od admirała. Gdy zbliżył się zmieszany, żeby podnieść swą własność, powitały go przerażające słowa: — Młodzieńcze, czy jesteś Francuzem? — Teraz admirał był

w nastroju do rozmowy, a skorzystał z tego Mateusz Lawe.

Nastrój stał się familiarny, a to, co mówił Nelson, było równie cenne, jak słowa szeptane na poduszce czy przy komunijnych balas- kach. Czasem zachowywał swoje myśli dla siebie, jak tajemnice trzymane w podziemiach; czasami musiał podzielić się nimi albo wyrwać się z

samotności. Tego wieczora, gdy wszystkich zaczął ogarniać niezdrowy nastrój bitewny,

towarzyszący bliskości śmierci, był czas na dzielenie się myślami, czas, gdy Nelson był tylko człowiekiem, którego się kocha.

Stojąc z plecami opartymi o poręcz pokładu rufowego i mając pewność, że kapitan Berry

panuje nad “Vanguard”, jak on sam nad całą flotą, Nelson rozglądał się wokoło. Coraz lepiej było widać długą kolumnę francuskich okrętów, a za nimi dowód ich panowania nad lądem —

flagi i artylerię polową, która zaczęła marnować pociski na celowanie w płytkie dno morskie lub w najmniejszy rybi drobiazg.

Inni mogli w tym szyku bojowym widzieć jego siłę; Nelson .widział jego słabość. Już

poczuł się dziwnie podniecony, jak kochanek, jak pewny swego złodziej, jak rozbawiony



wielkolud szykujący się do skoku.

— To, co dzieje się na ładzie, to sprawa żołnierzy — powiedział do Mateusza. — Niech sobie wymachują dumnie chorągiewkami... Ale my mamy tu linię ich okrętów. Cały wąż okrętów. Wąż Nilu. — Spojrzał na Mateusza i zadał, zdawałoby się, błahe pytanie: — Kto był wężem Nilu?

—Kleopatra, sir.

— Doskonale, chłopcze! — Mateusz nigdy nie słyszał go mówiącego tak swobodnie. — Co się robi z Kleopatram?

—Kładzie się innego węża na jej piersi?

— Co za niewdzięczność! Ale masz rację! Mamy tu Kleopatram, węża morskiego. Leży cicho, lecz czujnie. Można mu nastąpić na głowę i zaryzykować, że poczęstuje cię trucizną, ale można też udać kochanka i złamać mu kark. I mówię ci, złamiemy ten kark, zanim wzejdzie księżyc!

—Nie ma wątpliwości, sir.

Bojaźliwsi mogli tu mieć dużo wątpliwości, chociaż nie był to moment na dopuszczenie ich do głosu. Mateusz nie musiał sobie przypominać, że to "złamanie karku" stanowiło sedno

"Księgi sygnałowej, plan czwarty", do którego nelsonowskie bractwo kapitanów zostało świetnie przygotowane. Polegał ten plan na skoncentrowaniu ognia na jednym punkcie,

jednym okręcie z dwóch lub na

jednym obiekcie z dwudziestu, żeby zniszczyć ten cel, a potem poszerzyć zakres niszczenia.

Dla realizacji tego przedsięwzięcia i dwudziestu innych, które mogłyby mieć taki przebieg czy inny albo zawalić się i wymagać natychmiastowej naprawy, byli nieustannie zwoływani na pokład "Vanguard" na konferencje, na zadawanie w kółko pytań, na wyostanie pamięci.

Teraz musieli tylko przypomnieć sobie te lekcje, nigdy nie pozostawać w tyle i nigdy nie zawieść przyjaciela.

Angielska flota płynęła dalej, mając za sobą słońce już zniżające się ku zachodowi; jej czołowe okręty wkrótce zaczną nachodzić na zakotwiczoną linię francuską. Flagi sygnałowe nieprzyjaciela zaczęły właśnie gadać ze sobą, jak stado szpaków o zmierzchu, i lunety na pokładzie "Vanguard" poszły w ruch. Mogły to być sygnały przywołujące załogi z lądu.

Nelson jednak miał jeszcze czas — starannie obliczyć — na dokończenie tego, o czym mówił.

Wskazał na ogromny maszyn francuskiego okrętu flagowego "L'Orient", daleko przed nimi, siódmego w linii. — Na tamtym okręcie — rzekł — jest niejaki admirał François Paul de Brueys. — Wymowa rodem z Norfolku mogła w Paryżu nie zostać uznana za wzorową. — Nie wątpię, że uważa, iż jest bezpieczny. Myśli, że licząc okręt na okręt, może mieć przewagę bojową nad nami, i ma rację. Myśli, że żadnemu z naszych okrętów nie uda się okrążyć zatoki wzdłuż brzegu i związać jego flotę walką od tyłu. Uważam, że się myli! Capel!

Czasem trudno było nadążyć za tokiem myśli tego człowieka, tak łatwo przeskakującego z tematu na temat. Dopiero gdy porucznik Capel podbiegł przez pokład do admirała, Mateusz uprzytomnił sobie, że ostatnie słowo nie było przekleństwem w obecnym języku, lecz nazwiskiem oficera sygnałowego.

Flagi poszły szybko w górę według wielokrotnie, dwa miesiące wcześniej, przekartkowanego planu bitewnego; miały przypomnieć niektórym kapitanom, że mają zgodę na wyjście z linii bojowej, gdy uznają to za wskazane, i zajście od tyłu jakiegokolwiek zakotwiczonego nieprzyjaciela, jeśli ryzyko będzie do przyjęcia. A ryzyko istniało niewątpliwie; wejście do obcej zatoki, usianej skałami i płyciznami, mając do dyspozycji wątpliwą wartość mapy, bez pilotów i w zapadającej ciemności, było co najmniej ryzykowną próbą samych tylko żeglarskich umiejętności, jeśli niczego więcej.

Miarą doskonałego rozumienia się przez jednostki floty było wybranie tej drogi przez sześć okrętów: dwa wiodące, "Zealous" Hooda i "Goliath" Foleya, z podążającymi za nimi —

"Orionem", "Audaciousem", "Theseusem" i "Cullodenem". Ten ostatni wszedł na mieliznę przy wystającym cyplu i — pozostawszy tam w roli przydatnej pławy dla okrętów

przybywających na końcu — sprawił, że

kapitan Troubridge spędził najsmutniejszy wieczór i noc, jakie mogły się przydarzyć

kapitanowi Marynarki.

Pozostałe okręty przeszły bezpiecznie, przeciskając się między francuzami i płyciznami i, oddawszy po drodze salwy burtowe, zajęły pozycje na wprost ustalonych przeciwników. Po

zakotwiczeniu od strony ich ruf zaczęły zadawać im, jeden za drugim, niezwykle krwawe serie

ciosów.

Po drodze wszyscy zauważyli, że nieprzyjaciel został zaskoczony; wycelowane w stronę

łądu działa okazały się bezużyteczne, pokłady i furty strzelnicze były zapchane zapasami, meblami, workami i wszelkiego rodzaju drewnem budowlanym. — Dobry materiał

odłamkowy!

— zauważył jakiś zadowolony angielski artylerzysta. Na niektórych brakowało połowy załóg, zajętych na ładzie przy gromadzeniu zapasów wody, nawet przy kopaniu studni. Ta ich słaba strona była darem Bożym.

“Vanguard” prowadziła eskadrę od strony morza. Gdy i oni stanęli na kotwicach,

większość francuskich okrętów znalazła się w obliczu nieprzyjacielskiego zagrożenia od

przodu i od tyłu. A potem, pod wschodzącym księżycem, była już tylko ciemność, krew i

śmierć.

Schwytane w śmiertelny ogień krzyżowy okręty zaczęły tracić maszty i zapalać się;

zaczęły tonąć, odcinać liny kotwiczne i uciekać ku plaży. Nie zabrakło wspaniałej francuskiej odwagi, ale był też pech, głupie zaniedbanie i mordercza nierówność siły ognia. Wielki

trójpok- ładowiec “L'Orient”, rozbiwszy angielski “Bellerophon” na taką krwawą miazgę, że całkiem wypadł z walki, sam został zaatakowany przez dwa inne, “Swiftsure” Hallowella i

“Alexandra” Balia, które sumiennie go niszczyły.

Okręty zaczęły opuszczać bandery i poddawać się. Huk i oślepiające błyski, towarzyszące bitwie, były tak przerażające i taką budziły grozę, że co słabsi padali martwi od wstrząsu. A potem, po dwóch godzinach bezlitosnych zmagañ, pewien silny mężczyzna niewielkiego

wzrostu został trafiony i pomyślał, że umiera, co też oznajmił kapitanowi flagowemu. To był

admirał Nelson.

Stojąc z Mateuszem Lawe'em i Berrym na pokładzie rufowym “Vanguard” i kierując

ostrzałem z okaleczonego “Spartiate'a”, został trafiony w brew odłamkiem kartacza, tego podstępного pocisku, tak ulubionego przez Francuzów, wypełnionego skrawkami metalu,

ostrymi odłamkami żelaza, śrubami, sztabkami i ogniwami łańcuchów. Dostał w miejsce już kiedyś poważnie ranione; odłamek przeciął mu aż do kości starą ranę nad nie widzącym

prawym okiem i wyrwał kawałek ciała; krew płynęła jak z zarzynanego wieprza, oślepiając drugie oko.

Upadł na pokład i zdławionym głosem powiedział do Berry'ego:

— Jestem zabity. Powiedz o mnie mojej żonie.

Mateusz Lawe, przerażony i bliski mdłości wskutek monstrualnego zgiełku na niszczonych okrętach, trzasku drzewc i widoku ludzi zataczających się i padających trupem, stał się teraz świadkiem sceny tak dziwnej, że się zastanawiał, czy przypadkiem nie opuściła go przytomność i czy nie zajęła jej miejsca obłąkana wyobraźnia.

Razem z kapitanem Berryem towarzyszył znoszeniu Nelsona pod pokład; upiorna postać, z twarzą bladą jak księżyc i zalaną krwią, została ułożona w koi. Wezwany chirurg przybył, gdy tylko mógł odejść od innych rannych z załogi "Vanguard".

Mimo ponurości kapitańskiej kajuty zdawało się, że Nelson postanowił umrzeć w teatralnym blasku historii. Odmówił przyjęcia pomocy lekarza przed swoją kolejką; wysyłał ciągle rozkazy do kapitana flagowego i sygnały do innych okrętów, które tak mężnie go wspierały, wygłaszał chaotyczne oświadczenia mające chyba rozświetlić wizję szlachetnej śmierci, by zyskała wzniosłą dekorację, zanim nie będzie za późno.

Powierzył swoją duszę Bogu, dodał otuchy kapelanowi i raz jeszcze przesłał swojej żonie wyrazy oddanej pamięci.

Mateusz opiekował się swoim gasnącym admirałem jak mógł najlepiej. Lecz chirurg

Jefferson, nareszcie wolny, orzekł, że to tylko powierzchowna rana; po jej zszyciu i

zabandażowaniu zalecił pacjentowi spokój, przezornie zauważył, że rana głowy zawsze jest niebezpieczna, i odszedł do innych, większych nieszczęść.

Nelson więc opuścił koję i został przeniesiony do magazynu chleba, dającego jakie takie schronienie przed bitewnym zgiełkiem. Z tego mrocznego pomieszczenia, oświetlonego

migotliwym płomieniem świecy, posłał Mateusza, aby wezwał jego sekretarza, który

stanąwszy przed tą przerażającą wizją śmierci, natychmiast zemdlał. Kapitan flagowy Berry wracał wielokrotnie, aby raportować o zatopieniu, spaleniu czy poddaniu się francuskich okrętów. To wszystko razem było trudne do uwierzenia. Wkrótce Nelson skinął słabym gestem na Mateusza, aby zbliżył się do niego.

— Pisz! — rozkazał. Mógł być konającym królem Harrym lub żywym Mojżeszem, z cennymi tablicami pod pachą, które musiały zostać skopiowane. — Do głównodowodzącego.

“Mój drogi lordzie, Bóg Wszechmocny pobłogosławił oręż Jego Królewskiej Mości...” — W skromnych, zwięzłych słowach doniósł o świetnym zwycięstwie. A potem powtórzył: — Pisz!

— z tą samą upartą determinacją. Był to aide-memoire\* mówiący o tym, że pan Aleksander Davison, ostatnio z miasta Quebec, a teraz mieszkający na St Jame's Square w Londynie, został mianowany jedynym agentem przyzowym dla wszystkich okrętów zdobytych w obecnej bitwie.

Potem zjawił się znowu kapitan Berry, świeży jak powłoka malarska jego okrętu, z naręczem dobrych wiadomości. Francuski okręt flagowy “L'Orient” płonie i albo zacznie tonąć, albo eksploduje czy może zakończy żywot w inny sposób. Kilku innym z jego eskorty uda się przetrwać.

Ul Proszę pomóc mi wyjść na pokład — rzekł Nelson. — Muszę zobaczyć ten ostatni moment.

Zobaczył go, tak jak dwadzieścia tysięcy innych marynarzy, przerażonych, triumfujących albo ponuro obojętnych na to, co się działo tej piekielnej nocy. “L'Orient”, dzielny jak tygrys, pechowy i skazany na stracenie od świtu pierwszego dnia sierpniowego, był przez wiele

cennych godzin statkiem-farbiarnią. Jakiś pierwszy oficer, którego należałoby przybić do krzyża z drewnianych protez, dopuścił do zgromadzenia na górnym pokładzie ogromnej liczby wiader z farbą, słoików z olejem i szmat do wycierania, które zajęły się od ognia. Około dziesiątej pożar objął cały ogromny okręt.

Płomienie przeskakiwały chciwie z drzewca na drzewce, z żagla na żagiel, z kajuty na kajutę, z wyższego pokładu na niższy. Jakby się umówiwszy, artylerzyści po obu burtach ucichli i z opuszczonymi rękami obserwowali, jak języki ognia i wirujące iskry sięgają czarnego, zasnutego deszczem nieba nad świeżo wysmołowanym takielunkiem.

Krwistoczerwona poświata oświetlała całą zatokę; w coraz jaśniejszym płomieniu tej olbrzymiej palącej się pochodni widać było każdy okręt, każdą banderę.

Nikt nie oglądał dotąd potężniejszego i żałośniejszego stosu pogrzebowego. Musi jednak nadejść ostatni, straszliwy, kulminacyjny moment szalejącego pożaru. Ogień pełzający i

skaczący po okręcie i dobierający się do jego najważniejszych części pod pokładem, strawi również jego prochownię.

Mateusz, pomagający Nelsonowi stanąć na własnych nogach, obserwował, wstrząśnięty,

groźny widok, zbliżający się do punktu szczytowego; płomienie zamieniały bezlitosną noc w nienaturalny, brutalny dzień. Nigdy nie bał się bardziej tego, co musiał ujrzeć za chwilę. Nie umiał uwolnić się od uczucia lęku, tej choroby swego przeznaczenia. Gdy w jednym odwaga rosła, w drugim zanikała. Dla niego ogień raz jeszcze okazał się najbardziej przerażający ze wszystkiego. Znow nadchodząca chwila zapowiadała spełnienie się złowieszczych słów

Francisa Drake'a: "Każdy, kto stoi blisko człowieka odważnego, stoi wobec groźby śmierci".

flISS »L'Orient" wybuchł, z gwałtownym podmuchem płomieni i żaru, jaki wydostałby się z piekła po otwarciu jego pokrywy. Szarpiący nerwy huk poniósł się na odległość dziesięciu mil. Niebiosa pękły, nastąpiła pauza na coś, co było jakby gigantycznym wciągnięciem

powietrza, i wtedy zaczął padać krwawy deszcz.

Zgruchotane drzewca wzbijały się w górę, a potem spadały w morze. Płonące elementy

drewniane rozżarzały się, zanim z sykiem wpadły w splugawioną wodę. Pałace się szczątki żagli i lin jak ogniste pióra opadały na inne okręty. Trupy ludzi leciały z nieba jak

niepotrzebne, zmalretowane lalki, które utraciwszy swój niegdyś tak kochany wygląd żywej istoty, były teraz wyrzucane.

Potem ogień został stłumiony, a okręt flagowy, z dzielnym admirałem, setkami jego ludzi i najważniejszymi skarbami Malty, pogrążył się w zatoce na zawsze.

Na zatokę Abukir cisza opadła jak całun.

Pierwszy w swej grupie odezwał się Nelson. Współczujący w chwili zwycięstwa,

powiedział — jak sądził — do Mateusza: — Jeśli została nam łódź zdolna do pływania, proszę posłać porucznika Galweya na poszukiwanie tych, co przeżyli.

Ale nie usłyszał od Mateusza odpowiedzi, a gdy odwrócił się w jego stronę, zobaczył

swego zaufanego porucznika leżącego bez życia na pokładzie.

Ocknąwszy się w magazynie chlebowym wśród rannych, po których nie oczekiwano, że

przeżyją, Mateusz Lawe, zawstydzony i z poczuciem winy, wyszedł chyłkiem na pokład, gdy wschód słońca zasygnalizował drugi dzień sierpnia. Nie wiedział, jak zostanie przywitany; nawet najślabsi marynarze nie powinni nigdy mdleć ze strachu, tak jak on; perspektywa

ponownego napotkania wzroku admirała była cięższą próbą niż widok "L'Orient", tej bomby zapalającej.

Mógł wymyślić wymówki; ludzie byli zwalani z nóg bez przytomności przez szal bitewny,

ale nie byli to doświadczeni oficerowie, od których oczekiwano, że będą dawali przykład i utrzymywali należyty poziom we flocie. Gdybyż choć został trafiony, jak Nelson; gdyby

przelał trochę uczciwej krwi, doznał zauważalnego bólu, miał przynajmniej jedno zszyte, posiniałe draśnięcie, mówiące o jego męstwie. Gdyby zachował się jak mężczyzna, a nie

tchórzliwa mysz.

Ku swemu zdumieniu, dotarłszy na pokład, przedstawiający obraz krańcowego chaosu,

Mateusz stwierdził, że nikt nie ma mu nic do zarzucenia. Kilku wyczerpanych marynarzy

trudzących się przy stermaszcie, z którego pozostał bezużyteczny wrak, uśmiechnęło się na jego widok lub skinęło głowami. Gdy schodził z ostatniego stopnia zejściówki, pomocnik

bosmana podszedł i podał mu pomocną dłoń, a pierwszy oficer Galwey powitał go głosem, w którym była tylko serdeczność.

Galwey, wyglądający jak wynędzniały kogut, był postawnym, pogodnym człowiekiem, nie przestrzegającym ceremonialnych norm i nie potrzebującym ich dla zachowania autorytetu.

Gdy powiedział: — Dzień dobry, Mateuszu! Dobrze się czujesz? Żyjesz?—zabrzmiało

to tak, jakby jeden triumfujący ocalały kolega mówił do drugiego kolegi. Skoro Śmierć, ten Niwelator, nie powaliła żadnego z nich, drabina rang traciła rację bytu.

— Nie najgorzej — odparł Mateusz, czując, że wraca do świata ludzi dobrej reputacji. —

Nie mam pojęcia, co zważyło mnie z nóg... Pamiętam tylko rozlatujący się francuski

flagowiec... Przykro mi, że nie na wiele się przydałem.

— Nie myśl o tym. To jest loteria. Ten sam wstrząs zabił człowieka na fokmaszcie. Nie ma śladu po nim, musiał pójść za burtę... Mogę ci powiedzieć, że byłeś już opłakany. Admirał

myślał, że nie żyjesz.

— Mrugnął przy tym; był kimś mogącym sobie pozwolić na zrobienie oka do młodszego,

aktualnie będąc jego dowódcą. — Prawie zapomniał o swojej ranie!

— A jak on się czuje?

— Zupełnie dobrze, tak jak ty. Było to porządne, głębokie nacięcie rzeźnicze, ale, dzięki Bogu, one się goją. Odpoczywa pod pokładem. Kapitan Berry też; bardziej poganiał siebie niż marynarzy... — Galwey rozprostował strudzone ramiona, a potem rozłożył je szeroko, obejmując nimi zatokę, wschód słońca, krwawe owoce bitwy. — Rozejrzyj się, Mateuszu, wokół

siebie. Zwycięstwo! Nie zobaczysz piękniejszego widoku, nawet gdybyś dożył setki!

Widok nie był “piękniejszy” od innych, z tym że na jego namalowanie malarz

potrzebowałby płótna o rozmiarach piekła; lecz było to zwycięstwo. Chociaż odgłosy ognia artyleryjskiego wciąż dobiegały z tyłów linii, gdzie niestrudzony Aleksander Bali dalej działał, odstraszać od przyszy przy brzegu arabskich piratów, którzy mieli nadzieję na jego

splądrowanie przed objęciem go przez prawowitych właścicieli, reszta zatoki stanowiła obraz krańcowego, żałosnego, milczącego zniszczenia.

W Abukirze nie było żywych nieprzyjaciół. Większość okrętów poddała się; dwa zostały

zniszczone lub spalone; niektóre wytropiono pod brzegiem, dymiące hulki bez bander i śladów życia. Gdy słońce zaczęło iść w górę, można było zobaczyć martwe ryby przebłys- kujące

pośród piany zwycięstwa. Już powiew śmierci mieszał się z wonią palonej Afryki. W jednej z zatoczek pełno było zagnanych tam przez wiatr trupów i uwijających się wśród nich

obdzieraczy ofiar bitwy.

Cała reszta zatoki była brudną sadzawką, pełną zwęglonego drewna, mokrych płótnisk,

drzewc, których nigdy już nie da się ustawić w pozycji pionowej, rozbitych beczek,

rozpłatanych ciał

— odpadki, prawdziwe ekskrementy klęski.

Przez długą chwilę obaj oglądali spustoszenie wokół nich. Ponure myśli walczyły z

triumfalnymi — bo triumf był istotą tego ranka—nie mogąc ich przemóc. Odwróciwszy się,

Mateusz znowu zauważył szarą,

niemal widmową barwę twarzy Galweya. Musi chyba padać z wyczerpania.

— Zrobił pan dosyć, sir — rzekł.

— No cóż... — Galwey nie wstydził się przyznać mu racji. — Całą noc pływaliśmy,

wyławiając tych, co przeżyli. Z innymi łodziami, rzecz jasna. Lecz połów był marny.



— Ilu?

— Może osiemdziesięciu. — Były jednak większe liczby do porównania z tą marną. —

Pomyśl tylko: cała francuska flota została zdobyta albo spalona! Cała! Udało się wymknąć dwóm okrętom liniowym i dwóm fregatom. Ale same nic nie zrobią... Łączny wynik bitwy to dwa okręty zatopione i dziewięć, które się poddały. To więcej niż zwycięstwo. To podbój!

— Poczekajmy, aż usłyszą o tym w Anglii.

— Poczekajmy, aż usłyszą o tym we Francji! — Niemniej po krótkim wybuchu entuzjazmu Galwey znów opadł na duchu.—Niech to diabli, ale jestem zmęczony!... Da pan radę przejąć pokład?

— Tak jest, sir. Chętnie.

— No to idę do koi. Gdybym tak mógł na zawsze!

— Jakież rozkazy, sir?

— Żadnych, oprócz zdrowego rozsądku, który pan posiada. Będziemy stać na kotwicy, aż wszyscy się pozbieramy. Pogrzeby o zachodzie słońca. Będą przybywać do nas kapitanowie z dumnymi opowieściami o żelaznym wilku, ale na Boga, raz chociaż możemy dać im wiarę!

Modłę się, żeby długo pospali. Tak jak ja, bo zupełnie się rozlecę.

Pierwszy oficer Galwey, który zostawił teraz Mateusza samego, nie był odosobniony w swoim wyczerpaniu i pragnieniu zapadnięcia się w niebyt. Po dwunastu godzinach walki, niewolniczego trudu i przebywania w huku bitewnym ludzie zasypiali tam, gdzie stali, przy działach, przy drągach kabestanu, u końca liny. Nie dałoby się ich gnać dłużej i nie było potrzeby. Bitwa na Nilu została wygrana i wszystkich ogarnął spokój po rzezi, błogosławiony spokój.

Ogarnął on też kobiety we flocie. Niektóre podczas bitwy donosiły proch do dział, inne opatrywały rannych, a umierającym ofiarowały ostatni jasny przejaw życia: matczyną troskę i łagodność. Jedna, w samym szczycie bitewnego zgiełku, urodziła syna.

Natomiast syn innej matki, bystry dziesięcioletni Francuzik, opuścił świat w wielkim smutku i bólu, wyciągnięty przedtem z wody na pokład "Vanguard", nagi i ciężko dyszący.

Opowiedział tym, co chcieli słuchać, najdziwniejszą, najbardziej wzruszającą historię tej nocy.

Zdarzają się ludzie, co spalają się z własnej woli. Ich przykład wielce podnosi innych na duchu. Niektórzy mają możliwość przeniesć iskrę męstwa na swoje dzieci, zanim stanie się za późno. Francuski okręt flagowy "L'Orient" w swoich ostatnich chwilach dał ludzkości wspaniałą, świetny przykład takiego łańcucha odwagi.

Admirał François Paul de Brueys, dowódca okrętów francuskich, z niedowierzaniem obserwował powolne, nieubłagane niszczenie jego okrętu flagowego i jego floty. Nie mógł uwierzyć w klęskę ani jej zaakceptować. Choć raniony na samym początku, z niezwykle stoicką determinacją kierował odpieraniem okrętów angielskich przez swoje załogi, a później walką z płomieniami obejmującymi jego okręt.

Potem znów został ranny tak okrutnie, że musiał umrzeć. Z odwagą, którą można by nazwać wzniosłą albo nieludzką, a która niewątpliwie wypływała z ducha, postanowił stosownie zakończyć życie. Z ciałem prawie przeciętym na pół, bez nóg, z kręplcami na obu kikutach, wybrał śmierć twarzą w twarz z wrogiem, w fotelu na swoim pokładzie rufowym.

I tak się stało, gdy ognista ruina, w jaką zmienił się ten kiedyś największy okręt Francji, gotowała sobie własny koniec.

Jego kapitan flagowy, Comte Louis de Casabianca, waleczny marynarz z tego samego dzielnego kruszcu, bez chwili wahania postanowił iść w ślady swego admirała. Jako osamotniony najwyższy dowódca toczył bój o swój okręt pożerany do dna przez płomienie, aż do jego ostatecznego końca. Potem, w chwilę po wybuchu, który musiał być zgubny, został trafiony i padłszy na pokład skonał.

Umierając nie był tak całkiem samotny. Był kochany. Miał przy sobie swego syna

Jacquesa, w wieku ledwie pozwalającym na służbę w charakterze aspiranta — dziwaczne francuskie określenie midszypmena. Dziesięć lat to niedużo, ale dosyć, żeby kochać i być mężnym. Jacques de Casabianca kołysał ciało ojca, aż ten wyzionął ducha, a potem, oblany jego najdroższą krwią, wstał i rozejrzał się wokoło.

Stwierdził, że został sam wśród huczącej ściany płomieni; sam, poza marynarzami, w panicznym przerażeniu odbiegającymi od swoich dział i wszystkich innych obowiązków i

skaczącymi do morza.

On nie skoczył, on został. Stał na płonącym pokładzie do samego końca — gdy już

wszyscy uciekli, oprócz niego; stał wraz z biednym, storturowanym duchem swego ojca, aż do śmiertelnej chwili, w której okręt wzbił się w górę ostatnim wulkanem ognia.

W powolnej, niestety, nie radosnej powrotnej podróży do Neapolu, "Vanguard", już

dostatecznie pogruchotana w boju, znów straciła maszty w wichurze. Maszt awaryjny z wyspy San Pietro mógł wytrzymać wiele, ale nie Bitwę na Nilu, a po niej przeciwny wiatr

## ŻROLARZ

sirocco. W sytuacji określonej przez Nelsona z krzywym grymasem jako "nasze zwyczajowe

pas de doo" — był w stanie opanować Francuzów, ale nigdy ich język — okręt został wzięty na hol przez fregatę "Thalia" i doprowadzony do portu jako kulejący kaleka.

Mateusz stwierdził, że Nelson mimo wszystkich dokonań był w marnym stanie. "Kapitan

Hallowell obiecał mi trumnę zrobioną z grotmasztu »L'Orienta« — zwierzył mu się raz

admirał. — Na Boga, mógłbym teraz z niej skorzystać!" I wyglądało, że prawie ma rację.

Świeża rana nad bezużytecznym okiem powodowała gwałtowne bóle głowy. "Vanguard",

dniem i nocą kolebiąca się jak prawdziwa baryłka z mięsem, wywoływała ostre objawy

choroby morskiej. Teraz on, Zwycięzca na Nilu, musiał wchodzić do portu, jak zbity pies, na smyczy.

Zatoka Neapolitańska przemieniła wszystko w radosny, wspaniały triumf.

Poprzedziła go nowina o największym od stu, a może więcej lat zwycięstwie brytyjskiego

oręża morskiego. Całe miasto było en fete\* i nie miało zamiaru rezygnować. Wszędzie były flagi, fajerwerki i tłumy. Zatokę wypełniały setki łódek spacerowych, niektóre z muzykami rzępolącymi i wygrywającymi na trąbkach całkiem niezłą wersję "Władaj, Brytanio!"\*

Chociaż gołębie i płatki róż trzymano w rezerwie, lądowe działa do oddawania salutów nie czekały na kurtuazyjną salwę ze strony "Vanguard", lecz zaczęły pukać zawzięcie, gdy tylko okręt został dostrzeżony, aby w ten jedyny dzień pokazać światu, gdzie najświetniej oddają honory.

Nie mogło być pomyłki co do nowiny. Za jednym sławnym uderzeniem Francuzi pozostali

na Morzu Śródziemnym bez okrętów, Neapol zaś był pierwszym miastem czczącym ten fakt

szalenie radośnie, tym bardziej że był to nie opodatowany i nie zasłużony prezent od Brytanii.

Plusnęła kotwica; znużony okręt stanął bezpiecznie przycumowany i jak w nowym

przedstawieniu starej sztuki, barka pełnomocnego ambasadora Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości odeszła od nabrzeża i dzielnie ruszyła ku niemu.

Na trapie puszczono panie przodem i widok pierwszej damy wraz z postępującym za nią

Sir Williamem Hamiltonem, w jego najlepszych czarnych, sięgających kolan spodniach i z

odpowiednimi dla jego dyplomatycznej rangi złotymi emblematami, olśnił najbardziej znużone oczy. Gdy po upływie pięciu lat Nelson ujrzał Emmę Hamilton, mógł nie wątpić, że jeśli zechce, zostanie ciepło powitany.

W wieku trzydziestu trzech lat była teraz trochę tęższa albo — zależnie od gustu —

bardziej ponętna. Miała na sobie falującą błękitną szatę, szal haftowany wszędzie gdzie się dało w złote kotwice i przepaskę na głowie ze świecidełkami i napisem: "Nelson i Wiktoria"\*.

To, co ona nagle zobaczyła, było tym, co Mateusz i wszyscy inni pływający z nim oglądali przez lata i do czego przywykli: ruinę człowieka małego wzrostu, bladego jak krewetka,

wyczerpanego bitwą, z jednym rękawem pustym, z jednym okiem zasłoniętym i ze świeżym

bandażem zasłaniającym jeszcze jedną ranę odniesioną w służbie dla kraju.

Mogła znaleźć się pod wrażeniem jego pojawienia się czy wielkiej okazji albo huku

salutujących dział czy też prawdziwego i głębokiego uczucia. Mogła przeciwiczyć prawdziwie dramatyczną Pozę i wystąpić z jej wspaniałym wykonaniem na tym pierwszym i jedynym

przedstawieniu. Nie miało to znaczenia dla żadnego z nich dwojga.

Emma Hamilton wykrzyknęła zduszonym głosem: — Och, Boże, czy to możliwe? — i

ruszyła chwiejnie ku niemu. Potem, gdy Sir William patrzył na nią z uzasadnionym

wprawdzie, lecz kontrolowanym zaniepokojeniem, padła, jakby ogarnięta nagłą słabością, na pierś Nelsona i została tam na zawsze.

## VII

Gdyby czcigodnej pamięci stary Sam Pepys wyliczał "Korzyści Lorda Nelsona" z

ubiegłych dwóch lat, bystro piszące palce Mateusza Lawe'a zanotowałyby w lipcu roku 1800

co następuje:

PUNKT NA PLUS: Jest kontradmirałem Eskadry Czerwonej, baronem Nelsonem z Nilu,

księciem Bronte na Sycylii; wicehrabią Pyramid i baronem Krokodylem dla pani jego serca; obywatelem miasta Londyn; posiadaczem dużej kolekcji zdobnych w chwasty honorowych szpad, złotych medali, gwiazd z klejnotami, kasetek nabijanych diamentami, darów od wschodnich potentatów i zachodnich ludzi interesu; odbiorcą nagrody 10 000 funtów od Kompanii Wschodnioindyjskiej i przyznanej przez parlament rocznej pensji w wysokości 2000 funtów.

PUNKT NA MINUS: Jego atnour jest skandalem zaakceptowanym przez flotę, niewybaczalnym błędem w oczach całego szanującego się towarzystwa i uciechą pospólstwa.

PUNKT NA MINUS: Zmarnował dużo czasu na nieudolnym i zdegenerowanym dworze Królestwa Obojga Sycylii i nie usłuchał rozkazu głównodowodzącego, że ma tam pozostać.

PUNKT NA PLUS: Tak świetnie kierował blokadą Malty, że Francuzi zostali stamtąd wypędzeni, a jego dzielny i lojalny przyjaciel, kapitan Aleksander Bali (wkrótce, mówi się, mający zostać baronetem), został przyjęty z szeroko otwartymi ramionami, jako pierwszy cywilny komisarz wyspy.

PUNKT NA MINUS: Jest przedmiotem tak ryszotkowych komentarzy w Anglii, że sprzedawca grawiur z Seething Lane pozwala sobie na opublikowanie następującego tekstu: "Herb pewnego, ostatnio uszlachetnionego, oficera Marynarki: para bujnych kul na rozpostartym żaglowym płótnie, z doczepionym admirałem i mottem: Stój sztywno, Anglio!"

PUNKT NA PLUS: Stracił rękę i oko, zdrowie i zapął walcząc bardzo dzielnie w służbie publicznej; siał w jedno Flotę Śródziemnomorską, panującą nad sześcioma tysiącami mil kwadratowych błękitnej wody; zyskał miłość każdego marynarza obcującego z nim bliżej i niechętny szacunek patrzących na niego z dezaprobatą kapitanów w kraju.

PUNKT NA MINUS I NA PLUS: Teraz jest odwołany do Londynu, z Sir Williamem Hamiltonem; obaj wypadli z łask u tych, których to rani, lecz entuzjastycznie podziwiani przez tych, których to cieszy.

BILANS: Płynę pod prąd z bardem z Avonu i muszę oświadczyć: oceniajcie go za

wszystko razem, jest Człowiekiem. Nie zobaczymy znów kogoś podobnego do niego.

Nelsonskie trio, jak ich teraz nazywano w zszokowanych, długo znoszących ten afront lub zawistnych kołach towarzyskich, spędzało miło czas w powrotnej podróży. Zaczawszy od

Malty, na okręcie liniowym "Foudroyant", który — jak pewien szelmowski młody

midszypmen powiedział do Mateusza — "nie był świadkiem takiego bliskiego zwania się od czasu spłynięcia z pochylni" (kara: na marsie od południa do zachodu słońca), lord Nelson, Lady Hamilton i zawsze zadowolony Sir William ukończyli na "Alexandrze" niezmaczenie szczęśliwą letnią podróż do Liworno.

W niektóre wieczory Emma Hamilton grała na harfie na pokładzie rufowym — wtedy

słabła dyscyplina wśród oczarowanych marynarzy. W inne kurs wytyczano tak, żeby okręt się nie kołysał lub, według sprośnej wersji marynarskiej, żeby nikt z wyższych szarż nie wypadł z koi.

Potem, łatwymi etapami, omijając nieprzyjazną Francję, przejechali Europę prawie po królewsku, odwiedzili Florencję,

Triest, Wiedeń, Pragę, Drezno i z Hamburga drogą morską dotarli do Anglii.

Ta podróż zajęła im cztery miesiące. Na każdym znaczącym miejscu postoju brytyjscy

ambasadorowie i ministrowie, niektórzy całkiem chętnie, zapraszali ich na przyjęcia, które nigdy nie przechodziły nie zauważone, a często przyciągały uwagę. Liczne grono

podróżników, obok oficjalnych osobistości, obejmowało królową Marię Karolinę, pięć jej

córek-księżniczek i panią Cadogan, zapracowaną matkę Lady Hamilton.

"Osobistości" były oczywiście przedmiotem skandalu; Mateusz zastanawiał się czasem, czy skandal musiał być taki głośny. Powiedzenie: "Lady Hamilton i to wszystko" znalazło się w powszechnym użyciu wśród tych, którzy musieli ich zabawiać, a "to wszystko" jak również potwierdzenie ich rozgłosu stanowiło żałosny hołd dla ich zachowania.

Jej lordowska wysokość zrobiła się większa pod każdym względem; jej głos był

donośniejszy, śmiech bardziej przenikliwy, apetyt na trunki zauważalny w większym stopniu, a figura obfita jak Wenus z marzenia sennego. Uwielbiała towarzystwo i prawie nie mogła bez niego się obyć. Obok innych sposobów spędzania czasu wyrobiła w sobie pasję do hazardu.

Bardzo modna była akurat gra w fardo, i Emma uznała ją za swoją; można ją było przetłumaczyć jako faraon, lord piramid... Wszędzie, dokąd się udawali i gdzie się zatrzymywali, musiały być koncerty, proszone obiady, bale i gra w karty przeciągające się do wczesnych godzin rannych.

Lord Nelson, jak zauważano, nie gustował zbyt w kartach i czasem zasypiał przy stoliku. Ale we wszystkim innym, co jej dotyczyło, był kompletnie zaślepiony. Dla niego Emma Hamilton nie mogła zrobić źle.

Czasem, zauważano dalej, Emma miewała nagłe ataki nudności i musiała opuszczać towarzystwo. Sir William, z którym naturalnym biegiem rzeczy Mateusz spędzał teraz więcej czasu niż z kimkolwiek innym, obawy wyrażane czasem z tego powodu zbywał jako rzecz mało ważną.

“To kłopoty z żołądkiem”—mówił i zmieniał temat. Odwołany po trzydziestu sześciu latach służby w kraju, który zdążył pokochać, wyrwany stamtąd z pełnookrętowym ładunkiem cennych antyków, wolał złote ciepło przeszłości od wszystkiego, co mogło go czekać w przyszłości.

Był świetnym towarzyszem, wytwornym, wykształconym, uprzejmym, równie gotowym słuchać, jak mówić. Był światowcem, człowiekiem z prawdziwie cywilizowanego świata pogodnego spełnienia. Jednakże w dziedzinie medycyny Mateusz mu nie dowierzał.

Pewne wydarzenia na pokładzie “Foudroyanta”, jeszcze przed odpłynięciem z Malty:

jakieś szepty, porozumiewawcze spojrzenia między dwojgiem ludzi, którzy żywili do siebie oficjalnie tylko pełną podziwu przyjaźń, ostrzegły człowieka stojącego bardzo blisko admirała, że w tkankę ich życia wplatało się teraz fatalnie coś, co mogło oznaczać katastrofę.

Jednakże Emma Hamilton prawie zawsze szybko wracała do siebie i odzyskiwała dobre samopoczucie, a z nim upodobanie do ucztowania, głośnego śmiechu, skandalicznego hazardu i w ogóle do hałaśliwego świętowania. W Dreźnie dała pokaz swoich Póz... Trudno się dziwić, że pewien ambasador wieczorem po jej wyjeździe spod jego znękanego, pękającego od hałasu dachu, zasiadając do kolacji zwrócił się do swej najbliższej rodziny:

“Dziś wieczorem bądźmy wszyscy bardzo, bardzo cicho”.

Do Yarmouth przyплыли na zwykłym statku pocztowym, bo surowych obyczajów

Admiralicja (mimo prośby) nie wysłała fregaty po Bohatera z Nilu. Lecz dobrzy obywatele Norfolku nie zawahali się naprawić tego zaniedbania wobec ich powracającego syna.

Znając dobrze zarówno powszechną plotkę, jak i dezaprobatę władzy, podjęli angielską

decyzję, że niegrzeczny admirał, ze zwycięstwem wetkniętym za pas, podoba im się bardziej niż jakkolwiek skostniały Władca Morza z Londynu, przekonany, że jego pióro jest

skuteczniejsze od szpady.

Głośno biły kościelne dzwony, fajerwerki dziurawiły ponure listopadowe niebo, a światła latarni zwiastowały nową, uniwersalną dewizę: "Nelson i Wiktoria", gdy lojalny i kochający lud miejski ciągnął ulicami z portu powóz Nelsona. Burmistrz wraz z władzami miasta oddał je we władanie ich bohaterowi i zasadził go do ucziwego angielskiego obiadu.

Piwo płynęło obficie, gdy na tle nocy, którą wszelkiego rodzaju iluminacje zamieniły w

dzień, znakomite grono wyszło pokazać się z balkonu hotelu. Lord Nelson wygłosił skromną dziękczynną mowę; Emma Hamilton pokazała się na moment, witana lubieżnymi rykami

tłum; Sir William podziękował ukłonem; a potem znowu Nelson, z lśniącymi medalami,

należycie uwydatnionymi przez blask lamp, z Mateuszem Lawe'em trzymającym jego płaszcz

łodziowy ze szkarłatnymi wyłogami, kłaniał się i machał ręką, zanim udał się na Bóg wie jakie rozpustne rozkosze.

Bohater był znowu w domu.

Wrócił, aby stanąć w obliczu największego sztormu w jego czterdziestoletnim życiu. To co było miłym triumfem w Norfolk, w Londynie stało się trucizną; trującym jadem dla dworu, dla lordów Admiralicji, w ogóle dla wytwornego towarzystwa. Szczególnego

[rodzaju trucizną było dla Lady Nelson, kobiety bez skazy, niewinnej i zranionej.

W prozaicznej nudzie codziennych zajęć, wysychając w cnocie, długo czekała na nagrodę

w postaci wierności i owoców olśniewającej kariery, słuchając tylko opowieści o słońcu gdzieś daleko, o wspaniałych pałacach, królewskich faworach, zwycięstwach, zaszczytach i

niewysłowionej dobroci Lady Hamilton. A od przeszło roku była narażona na słuchanie

szeptów, na podmuch okrutnych plotek i na czytanie sprośnych druków pełnych ordynarnych szczegółów, których uprzejmi przyjaciele nie omieszkali jej przysyłać.

Teraz mężczyzna został jej zwrócony. Chociaż w końcu znaleźli się pod jednym dachem,

ona wciąż czekała na powrót zaufania, na miłość, na cokolwiek.

Czas i okoliczności pozbawiły jej tego. Był nieobecny zbyt długo. W wielkim falowaniu

życia on miał swój miłosny szczyt, jego przyjaciele i wielbiciele okres załamania, wątkonie trochę



rozrywki, a jego żona samotną pustką. Nie trzeba było godziny na odkrycie, że wypadła z łask. Tak jak Emma Hamilton nie mogła zrobić nic złe, tak Fanny Nelson nie mogła teraz nic zrobić dobrze.

Wyglądało, że zagnieżdziła się jakaś zaraza i karmiła się samą sobą i wszystkim wokół

niej. Niezależnie od jego fascynacji piękną kobietą w zestawieniu z obowiązkiem dzielenia łoża i stołu z małżonką bezbarwną, o ziemistej cerze, tak bardzo przez nią zdystansowaną, istniało jeszcze głębokie źródło irytacji, które sam sobie tworzył, w postaci Josiaha Nisbeta, jedynej pozostałej więzi między nimi dwojgiem.

Josiah, popłakujące dziecko, niewydarzony chłopak i młodzieniec zepsuty dużymi

koneksjami, staczał się nieuchronnie w dół, jak bezwolna kłoda. Ojczym wciąż pomagał mu w karierze, domagał się względów dla niego, wypraszał wybaczenie jego niedociągnięć, upominał i stawiał go z powrotem na nogi. Ale wyglądało, że nie ma sposobu, aby z gburowatego gagatka zrobić dobrego oficera czy w ogóle oficera.

Jako porucznik Josiah przyniósł wstyd swojej szarzy na soiree\* w Palazzo Sessa, upijając się do bełkotliwego otępienia, robiąc wyraźne awanse wobec gospodyni, a potem uskarżając się, tak że słyszał to cały Neapol, iż nie powiodło mu się, bo jego ojczym wypełniał powinności Sir Williama Hamiltona.

Kapitan Troubridge wraz z innymi przyjaciółmi uciszył go umiejętnie, choć dyskretnie, i zabrał go z przyjęcia. Otrzymawszy wybaczenie, Josiah płacząc przyrzekł poprawę; wkrótce

— wbrew zwykłej przezorności — został awansowany i po wstawieniu się za nim u lorda

St Vincenta, czego Nelson nie zrobiłby nigdy dla żadnej innej istoty ludzkiej, w wieku lat dziewiętnastu dostał dowództwo fregaty "Thalia".

St Vincent, którego prywatne zastrzeżenia przeważał podziw dla świętego

kolegi-admirała i przyjaciela, napisał: "Kapitan Nisbet siedzi teraz na swoim własnym dnie". I mówił prawdę. Kapitan Nisbet bezzwłocznie wylądował na dnie. Był teraz w skrajnej niełasce, za pijaństwo, niekompetencję i wołające o pomstę do nieba zachowanie w stosunku do swoich oficerów.

Jego bezpośredni dowódca, admirał Duckworth, z całym respektem wyznał Nelsonowi, że

nie może pozwolić, aby ten bezużyteczny osobnik pozostał na swoim stanowisku. Dodatkowo zasugerował, że dobrym lekarstwem mogło być spędzenie kilku miesięcy z Lady Nelson.

Niezależnie od wszelkich okoliczności nie mogło być zalecenia bardziej niefortunnego w

swoim podtekście. Nienawiść zmieszana z frustracją sprawiła, niestety, że i to obróciło się przeciwko Fanny.

Londyn okazał się katastrofą, a dla ludzi współczujących — tragedią. Dokądkolwiek by się nie udał, lord Nelson był wszędzie przedmiotem gorących uczuć tłumów. Chociaż król robił

mu afronty, a wyższe sfery niemal z sykiem odwracały się od niego, przez niżej stojących był ogólnie uwielbiany. Pokazując się ostentacyjnie w loży teatralnej, oboje z Emmą przyciągali oczy wszystkich. Rozjuszeni tenorzy musieli przerywać w połowie pieśni, gdyż późno przybywająca para kradła im scenę i aplauz.

Lecz parą nie byli nigdy. Za Nelsonem, w lśniących orderach, nadanych mu za rycerskość i odwagę, i za Emmą w uwodzicielskich morskich błękitach, snuło się dwoje innych ludzi: Sir William, uprzejmy i nie narzucający się, oraz szary cień — małżonka bohatera. Fanny została opuszczona, a Emma była wszędzie. Okropna scena, jaka rozegrała się na wieczornym

przyjęciu w okolicznościach o dużym znaczeniu, sprawiła, że w końcu opadła kurtyna na małżeński taniec śmierci.

Zjawiając się w nowym domu lorda Nelsona na Dover Street w pojedynkę, wynajętym powozem, żeby zabrać żonę swego admirała na wieczorne przyjęcie, Mateusz Lawe czuł niezręczność sytuacji. Uzgodnienia dotyczące ich wizyty w domu ustępliwego lorda Admiralicji były, aż do tego ranka, zupełnie inne. Teraz musiał wyjaśnić nieprzyjemną zmianę zaszłą w ostatniej chwili.

— Dobry wieczór, milady — rzekł wprowadzony do salonu będącego jeszcze w niezbyt przyjemnym stadium między kompletnym urządzeniem a połowiczną gotowością do jego zamieszkania. — Mam nadzieję, że czuje się pani dobrze.

Wcale nie wyglądała dobrze. Jak zwykle, twarz miała bladą i mizerną; mimo starannej toilette, purpurowa satyna i dziwaczny turban ozdobiony klejnotami, akurat szalenie modne w Londynie, wyglądały jak teatralne przebranie. Nie mogłaby zmierzyć się z najskromniejszą rywalką... Gdy wzrokiem szukała za nim drugiej postaci, która powinna była tu być, Mateusz wiedział, nie po raz pierwszy w czasie tego okropnego pobytu w Londynie, że wszystkie wymówki będą kulawe jak jednonogi kaleka.

— Dobry wieczór, panie Lawe. — Fanny Nelson nigdy nie traktowała go inaczej jak z formalnym chłodem; teraz zaliczała go do wrogów. — Czy jego lordowska wysokość jest na

dole?

— Nie, milady. Przeprasza za zmianę planów; prosił mnie, żebym pani towarzyszył do Domu Admiralicji. Tam dołączy do pani.

Lady Nelson zastanawiała się. Widział tak często przez niego oglądany wyraz jej twarzy: wyraz mówiący o rozczarowaniu, rezygnacji i przegranej. W ciągu ubiegłego miesiąca tyle doznawała afro-  
tów, że w tym wyrazie nie było żadnego stopniowania: był niezmienny w

rozpaczy. Powiedziała:

— Gdzie go zatrzymano?

— Na Grosvenor Square, milady. Ma coś do załatwienia z Sir Williamem.

Po raz pierwszy odwzajemniła się gorzką uwagą zdradzającą jej uczucia. — Może któregoś dnia otrzyma więcej, niż się spodziewa.

Mateusz, zaskoczony, mógł tylko odrzec: — Nic nie wiem o tych sprawach.

— Ani ja. — Wstała, mała, żałosna postać w swym absurdalnym stroju. — Ale mam nadzieję, że się dowiem... No dobrze, jestem gotowa.

Na dole zebrała się jak zwykle gromada ludzi nie mających nic do roboty, czekających na swego bohatera. Na widok munduru Mateusza nastąpiło poruszenie, które zamarło, gdy tylko rozpoznano w nim kogoś mniej znacznego. Fanny Nelson nie wzbudziła żadnej reakcji.

To samo powtórzyło się, gdy przybyli przed wielki budynek na Whitehall. Tu prywatny wywiad i widok powozów podjeżdżających pod wspaniałe drzwi frontowe przyciągnęły dużo gęściejszy tłum. Chłopcy z zapalonymi pochodniami stali gotowi do oświetlenia drogi- Lecz porucznik Lawe i Lady Nelson wysiedli i weszli w monumentalny portal nie powitani nawet szmerem.

Towarzystwo zebrane już na górze musiało czekać prawie godzinę na pojawienie się trójki ostatnich gości. Ale spóźnienie zostało im, rzecz jasna, wybaczone. Sir William Hamilton był, jak zwykle, uosobieniem spokoju; Emma wpłynęła pod pełnymi żaglami, jak łabędź wśród

wróbli. Lord Nelson, zmizerowany, chudy jak pałeczka

od bębna, miał na sobie mundur szamerowany złotem od stóp do głów i medale od ramienia do pustego rękawa.

Powitano ich oklaskami, podprowadzono do foteli, a potem do lśniącego kolacyjną zastawą stołu, jakby Drury Lane\* przybyła do Domu Admiralicji.

Godzinę później cała harmonia została zniweczona przez okrutną farsę odegraną aż do jej końca.

Dystyngowane towarzystwo przy kolacji, częściowo ciągle pełne rezerwy, częściowo

skore do krytyki, w całości ogarnięte podnieceniem, nie wytrzymało porównania z

Nelsończykami. Sam Nelson, usadowiony między gospodynią a Lady Hamilton, mimo że

dodawał swą obecnością blasku, stanowił tylko połowę wspaniałego duo, jakiego nie widziano w Londynie od czasu przybycia po raz pierwszy z Italii Puncha i Judy\*, a już nigdy przy tak dostojnym stole.

Emma Hamilton była w najlepszej formie albo — według gości zawsze gotowych do

informowania plotkarzy — w najgorszej: w fazie kwitnienia bliskiej przekwitnięcia róży z Edenu, hałaśliwa, śmiejąca się piskliwie z najsłabszych dowcipów, wylewna wobec każdego, kto by zareagował na jej spojrzenie, z wypiekami od wypitego wina, a przede wszystkim

uprzedzająco miła w stosunku do bohatera chwili.

Kroiła mu mięso, tak jak sobie życzył, i czasem można było zauważyć, jak z oczyma

wilgotnymi od uwielbienia wkładała mu do ust wybrane kęski. On przyjmował to wszystko z satysfakcją chłopca baraszkującego na pastwisku, gdzie znalazł się między pastereczkami, wśród których szczególnie jedna przy szczęśliwym zbiegu okoliczności mogła zadowolić

apetyt każdego.

Wszystko to było absurdalne, skandaliczne, rozrzewniające i wprost nie do wiary. To jest ten człowiek, myślał Mateusz Lawe siedzący bezpiecznie daleko, przy końcu stołu, który

abordażowa! "San Josego" i prowadził oddziały szturmowe pod Calvi i Teneryfą, który zniszczył doszczętnie francuską flotę na Nilu i zawsze bił się jak tygrys. Czy był to ten sam mężczyzna, bohater, admirał? — bo zachowywał się bardziej jak Kupidyn, z widelcami

zamiast strzał i złożoną serwetką zamiast łuku.

Wszystko to było absurdalne. Dla Lady Nelson, jego żony, posadzonej po przeciwnej

stronie stołu, z pełnym widokiem na tę charade\*, było to gorsze od wszystkiego, co widziała, słyszała lub wyobrażała sobie. Było gorsze niż odrzucenie, było publiczną zniewagą. Dzielna w swoim osamotnieniu, musiała jednak pewnie postanowić, że zrobi z tego małą potyczkę.

Gdy wreszcie podano deser, wzięła garstkę orzechów, rozłupała je, oczyściła ze skorupki i pochyliwszy się przez stół ofiarowała tę małą daninę swemu mężowi. Danina wszakże została z irytacją odsunięta na bok, prawie odtrącona przez mężczyznę, który nie mógł znieść

zakłócania mu uwagi. Goście i służba z jednakową konsternacją patrzyli, jak rozbity gwałtownym gestem kieliszek do wina potoczył się po stole.

W zelektryzowanej atmosferze wszyscy widzieli łzy w oczach Lady Nelson. Mogła być tylko przedmiotem współczucia. Lecz i ten moment został jej odebrany. Wśród panującej ciszy Emma Hamilton ze swą zwykłą swobodą oznajmiła, że musi opuścić przyjęcie. Wstała i nagle nie była to już charade; śmiertelnie blada, Emma zaczęła drżeć i była bliska omdlenia.

Nelson, mierząc małżonkę poprzez stół, piorunującym wzrokiem w monstrualnym akcie woli zdawał się jej nakazywać, żeby podtrzymała Emmę; po chwili ogólnego zamieszania właśnie Fanny Nelson pomogła dotkniętej słabością rywalce opuścić salę.

Czas płynął; rozmowa prawie zamarła, z wyjątkiem szeptów poruszonych skandalem gości; nad kolacją zawisła niepewność i zdawało się, że goście woleliby opuścić przyjęcie.

Trudno byłoby wymyślić dziwniejszą scenę... Lord Nelson, mając puste miejsce obok siebie, trwał ponury i rozdrażniony; paru spostrzegawczych spośród obecnych na przyjęciu oficerów zauważyło i komentowało między sobą, że "obrabiał sobie łapę" — podnosił i opuszczał uciskając kikut prawego ramienia.

Po przygniatającej chwili milczenia dopił wino, poszukał wzrokiem Mateusza Lawe'a i dał mu znak nieznacznym, lecz rozkazującym ruchem głowy. Niewątpliwie nakazywał swemu porucznikowi, żeby poszedł i zbadał sytuację.

Odprowadzany zdumionymi spojrzeniami gości Mateusz wstał i uklonił się sąsiadce przy stole, która jednym spojrzeniem dała do zrozumienia, że zaskakuje ją takie zachowanie na przyjęciu. Szybko minął drzwi i wyszedł na korytarz.

Nie musiał długo się rozglądać — niespodziewanie od razu natknął się na nieprzyjemną scenę... Emma, nie zdążywszy dojść w bezpieczne schronienie pokoju wypoczynkowego, zaczęła gwałtownie wymiotować. Razem z Lady Nelson weszła do męskiej szatni zawieszonych kapeluszami i płaszczami, w której akurat nie było nikogo.

Na szczęście stała tam sofa i umywalka do rąk, z dzbankiem i miską. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak malutka dama podtrzymywała głowę dużej, pomagając jej w końcowej fazie wymiotów.

Zdawszy sobie sprawę z czyjejś obecności, Fanny Nelson podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Mateusza i skinąwszy głową znów się pochyliła. Wspólnym wysiłkiem pomogli Emmie położyć się na

sofie. Fanny podsunęła fiolkę z sal volatile pod jej nos. Leżąc z suknią w nieładzie Emma ujawniła coś, czego nikt w Anglii nie miał jeszcze zaszczytu widzieć.

Jej obecna tusza nie budziła teraz najmniejszych wątpliwości co do swego pochodzenia.

Mimo luźnego stroju, modnego w tym sezonie, widać było daleko zaawansowaną ciążę, może już nawet siedmio- miesięczną.

Mateusz, człowiek znający życie, wiedział o tym wcześniej; Fanny Nelson nie wiedziała;

wstrząs i zdumienie spadły na nią okrutnym ciosem. Za jednym razem zdała sobie sprawę z poniżającej prawdy i ze wszystkich jej implikacji, znieważająco odnoszących się do jej własnego jałowego stanu. Przerwała pomocne zabiegi, jakby jakaś zaraza już położyła trupem jej pacjentkę. Gdy Emma otworzyła oczy, wyprostowała się, spojrzała na nią i rzekła:

— Wasza lordowska wysokość powinna naprawdę bardziej uważać.

Była to druga i ostatnia kąśliwa uwaga tego wieczoru. Wypowiedziawszy ją, Fanny opuściła pokój, dom i świat zdrady i nigdy więcej nie zobaczyła swego pana.

W tej zagmatwanej sytuacji porucznik Lawe stał się pośrednikiem między dwojgiem ludzi, którzy mieli nigdy się już nie spotkać, lecz musieli załatwiać pewne sprawy tego świata.

Nelson, zajęty wieloma innymi rzeczami, zawsze po powrocie z ciekawością wypytywał

Mateusza. Jak się czuła jej lordowska wysokość? Czy była spokojna? W jakim nastroju, czy w dobrym? Czy jej czegoś nie brakowało? Jaki miała humor?

Pewnego razu Mateusz poczuł się zmuszony odpowiedzieć admirałowi: — Milordzie, wyraziła pogląd, że zawiodła w małżeństwie.

Odpowiedź była natychmiastowa i pamiętna. — Ależ skąd — oświadczył. — Moge

przysiąc, że nigdy nie zauważyłem nic niestosownego w jej zachowaniu!

W końcu przyszła wielka nowina.

Potem, dużo za wcześnie jak na takie domowe troski, lord Nelson otrzymał rozkaz od władz Admiralicji, nie mogących polegać na nikim innym, aby przygotował nową flotę do nowej bitwy, do jeszcze jednego niezrównanego zwycięstwa w odległej Kopenhadze, gdzie rzeź i lwia odwaga obu stron, Duńczyków i Brytyjczyków, przedłużyła walkę do granic agonii, a potem do bezsilnej ciszy.

Mateusz, człowiek do wszystkiego, pozostał w Londynie dla zajęcia się papierami jego lordowskiej wysokości — a faktycznie do pomocy przy porodzie bliźniąt, pogrzebu jednego i zakonspirowania faktu istnienia drugiego, dziewczynki, odwiezionej w mufce do zaufanej mamki.

Sir William, wyraziwszy nadzieję, że jego żona, która musiała pozostawać w swoim pokoju przez trzy dni, wyzdrowiała z niedyspozycji, zapadł w spokojny sen; najbardziej opanowany osobnik spośród mężczyzn i z pewnością najmądrzejsza ze wszystkich istota ludzka.

## VIII

Mężczyzna na skraju zasięgu wód pływowych stał nieco z dala od grupy marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej, czekających przy admirałkiej łodzi z "Victory" u stóp schodów Southsea, niedaleko basenu portowego Portsmouth. On musiał czuwać, oni mogli rozprostować nogi i puścić wodze językom; dumny sternik admirała potrafił utrzymać porządek bez pomocy porucznika Lawe'a. Tak więc Mateusz czekał samotnie zaledwie kilka jardów od największego zbiego- Iwiska, jakie widział kiedykolwiek w Portsmouth.

W górze nad nim tłumy na przedpiersiu portu napierały na cofające je szkarłatne mundury, zapewniające bezpieczne zejście lordowi Nelsonowi, kiedy się pojawi. W tyle na wałach obronnych miasta tłoczyli się ludzie pragnący pożegnać "Victory", uważane za ich okręt, i admirała tego okrętu, który był ulubieńcem całej Anglii i zawsze nim będzie.

Chcąc wymknąć się tłumom z Portsmouth, oblegającym od rana oberżę, w której się zatrzymał, Nelson postanowił dostać się na okręt ze zwykłych schodów pomostu łodziowego

Southsea, lecz mieszkańcy miasta zwietrzyli zmianę planu i nie chcąc dać się wywieść w pole, pognali co sił z wewnętrznego portu ku zewnętrznemu. A że była sobota — czternastego września 1805 roku — zbiegowisko nie pracujących było tego dnia ogromne. W rezultacie jego przybycie na okręt zostało opóźnione.

Zawsze się opóźniało, gdziekolwiek schodził na ląd, pomyślał cierpliwy Mateusz Lawe, obserwując z dołu kobietę grożącą sierżantowi piechoty morskiej najróżniejszymi okropnościami, jeśli nie pozwoli przejść trójce jej dzieci i pożegnać machaniem rącek “człowieka większego niż jakieś tyrańskie homary”\*. Jej mąż jest na pokładzie “Victory”!

Tak samo opóźniało się w Londynie, gdzie spędzał krótki urlop po dwóch latach nieustannego przebywania na morzu, nieustannej obser-

ŻBOLARZ

wacji — “cerowaniu oceanu”, jak to ponuro określał — nieprzyjaciela wzdragającego się przed wyjściem z portu i podjęciem walki; nieustannego ścigania Francuzów, od Tulonu do odległych Indii Zachodnich. Ludzie nie chcieli dać mu odpłynąć bez powiedzenia tego, co mieli powiedzieć, czy to słowami, czy wpatrywaniem się w milczeniu, czy choćby wyciągniętymi rękami.

To, co chcieli mu przekazać, było tak niejasne jak wieża Babel albo tak jasne jak magiczny bursztyn mający własność przyciągania drobin jednego elementu i przenoszenia ich na drugi.

Mówili albo pragnęli powiedzieć: “Ty jesteś Anglią. Ty jesteś nami na morzu. Płyn walczyć — ale błagamy cię, żyj!”

Wszyscy ci, co w ten sposób go zatrzymywali, kochali go i musieli go zobaczyć, i wznieść okrzyk na jego cześć, i dotknąć go, jeśli się uda. Zawsze tak miało być, z tym podziwem i oddawaniem czci, aż do samego końca, który mógł przyjść pod Przylądkiem Św. Wincentego

albo pod Calvi, pod Santa Cruz, na Nilu, na Malcie czy opodal Kopenhagi, końca, który musi nadejść pewnego dnia

— a ten “pewien dzień” był już opóźniony, w zawistnym kalendarzu powodzenia.

Ciągle był winien Bogu śmierć, a ten, kto zapłacił dziś, nie będzie płacił jutro. Nie

przyjdzie to dzisiaj, chyba że obsada łodzi z “Vic- tory” postrada zmysły i umiejętności albo



przestanie go kochać. Ale jutro? Za tydzień? Za miesiąc?

Każda historia na tym świecie musi mieć koniec, a każdy mit wielkości musi zostać sprowadzony do nagiej prawdy.

Mitów nie brakowało; jedne były prawdziwe, inne stanowiły fałszywe echa, a wszystkie były ważne dla tego człowieka i dla tych, co niezmiennie mu ufali. Zaczęły się rodzić dawno, poczynając od "Oryginalnego Nelsonowskiego Pomostu do Abordażowania Okrętów

Wojennych Pierwszej Klasy", a przybywało ich wraz z utraconym okiem, utraconą ręką i triumfem na Nilu; ograniczył ich tworzenie skandal w Neapolu, który wydawał się martwić wielkich ludzi, prawie doprowadzając ich do ciężkiego rozstroju nerwowego, a zupełnie nie martwić prostych obywateli; potem zwycięstwo kopenhaskie, szczyt dokonań, sprawiło, że znowu zaczęły się mnożyć.

Pod Kopenhagą Nelson był zastępcą niezdecydowanego admirała, Sir Hyde'a Parkera, który wśród gorączki bitewnej nadał sygnał odwoławczy. Nie został jednak usłuchany. Nelson najpierw udawał, że mu go nie przekazano; potem, gdy chodzącemu tam i z powrotem po śliskim od krwi pokładzie ośmielił się o nim przypomnieć zatrwożony midszypmen sygnałowy, rzekł: "Potwierdzić" — i wciąż nie reagując na tamten sygnał, kazał trzymać dalej podniesiony własny sygnał Numer 16: "Walka z bliska".

Następnie do ślepego oka przyłożył lunetę opartą na ramieniu szczerzącego zęby marynarza, odszukał okręt flagowy admirała i powiedział do kapitana flagowego, tak żeby wszyscy słyszeli:

"Foley, zostało mi tylko jedno oko. Czasem mam prawo być ślepy".

Kontynuował walkę aż do zwycięstwa, doskonałego i niezaprzeczalnego. Jego przełożonemu to się nie podobało i powiedział to głośno, a władze Admiralicji, nie zwlekając, na miejsce Hyde'a Parkera, jako głównodowodzącego S powołały właśnie lorda Nelsona.

Prości ludzie, uwielbiający całą tę historię, mówili to głośno i wyraźnie; i tak jeszcze jeden prawdziwy mit powiększył pakiet podobnych smakowi- tości.

Był też, jak zawsze, wyjątkowo obrzydliwy komentarz ze strony tych, co nie będąc w stanie obalić rządu, byli gotowi, gdy tylko się dało, atakować, ranić i niszczyć jego cichych pracowników. W karykaturze dnia uczyniono smaczny kąsek z jednego z elementów

wiążących się z bitwą, ślepego oka.

Ignorując wszystkie aspekty dzielności i zwycięstwa, sportretowa- no na niej trzy osoby: ogromną Emmę Hamilton pośród pustych butelek po winie i nie zapłaconych rachunków,

drobnego Nelsona w lubieżnej pozie, z jednym okiem zasłoniętym, zerkającego pożądliwie w jej stronę, i zramolałego starca drzemiącego w fotelu, nad którym była etykieta: "Stary Antyk". Podpis pod tym dziełem sztuki, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, był

szczególnie nikkzemny:

"Który to ma Kopenhaskie Oko?"

"Stary Antyk" zmarł w swoim domu przy Piccadilly jakieś dwa lata temu,

przeprowadziwszy się tam po to właśnie z posiadłości zwanej Merton Place w okręgu Surrey, którą ta trójka dzieliła od czasu Kopenhagi.

Zmarł w ramionach Emmy, trzymając Nelsona za rękę. Zmarł bardzo spokojnie, chociaż

przedtem wypowiedział się w jedynym silnym wybuchu w swoim życiu, zirytowany

nieustanną bieganiną w Merton — "Nigdy mniej niż czternaście osób przy stole" — i wyni-  
kającymi z tego kosztami prowadzenia domu, czasem sięgającymi monstrualnej sumy dwustu

funtów tygodniowo.

Zmarł dając na koniec świadectwo honorowemu, nieskazitelnemu zachowaniu wybitnego

oficera Marynarki Wojennej i wymienił go w końcowym kodycyli do swej ostatniej woli, jako

"mego najdroższego przyjaciela, lorda Nelsona, najdzielniejszego, najbardziej lojalnego i  
prawdziwie najodważniejszego człowieka, jakiego znałem kiedykolwiek; niech Bóg go

błogosławi, a hańba niech spadnie na tych, którzy nie powiedzą Amen".

W Merton, ekstrawaganckim Merton, błogosławionym, spokojnym, wiejskim i prywatnym

Merton, lord Nelson spędził dwudziest-

topięciodniowy urlop, ciesząc się, tak długo jak się dało, towarzystwem swej "małżonki w oczach  
Boga" i bawiąc się z córeczką ochrzczonej imieniem Horatia, kończącej pięć lat.

Ten błogi okres szczęścia musiał teraz, z przybyciem pilnej nowiny o wyjściu floty

francuskiej z Kadyksu w morze, zamienić na bitwę

— i oto był tu teraz, żeby to uczynić!

W oddali, na wałach obronnych Portsmouth i na niższym obmurowaniu wybrzeża

Southsea, odległy ryk powitalny zwiastujący nadejście tego człowieka narastał w miarę jego zbliżania się. Mateusz wszedł sześć stopni wyżej, żeby mieć lepszy widok. Zobaczył tego, na kogo czekał, kogo znał i kochał i o kogo często się lękał z powodu jego bliskiej znajomości ze śmiercią. Mała, lecz wyraźnie widoczna postać, błyszcząca jak guziki boskiej szaty w dniach stworzenia — to Horatio Nelson nadszedł wzdłuż linii brzegowej, tym śmiertelnym krańcem granicy pływów, zanim wyruszy w morze.

Mateusz śpiesznie zszedł w dół i kazał załodze łodzi zająć swoje miejsca i czekać, z podniesionymi wiosłami, z czapkami zdjętymi z głów, skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami, po czym przekazał wiadomość drugiej osobie wysokiej rangi. Był nim kapitan flagowy Hardy, który kierując się zarówno obowiązkiem, jak i przyjemnością czekał na ławce rufowej admirałskiej łodzi, żeby go znowu powitać na "Victory".

Mateusz oznajmił:—Już go widać, sir—i Hardy, potężnej postury Hardy, który nie mógł się wyprostować w dużej kapitańskiej kajucie "Victory" w obawie, żeby nie rozbić sobie czaszki o masywne belki pokładu, zszedł również na brzeg przywitać swego zwierzchnika.

Ukazał się lord Nelson. Hurrra! — krzyczeli wszyscy, gdy największy żeglarz świata przechodził wśród tłumu. Jedni pchali się do przodu, żądni zobaczenia go z bliska i przekazania mu pozdrowienia, w nadziei, że zostanie odwzajemnione, czy nawet dotknięcia tak wielkiej osoby. Drudzy, bardzo liczni, klękali w milczeniu, gdy ich mijał, albo płakali.

Największy żeglarz znów ruszał do bitwy. Bitwy raniły, bitwy zabijały. To był czas na modlitwę, a nie majówkową zabawę.

Wielce dostojny wicehrabia Nelson, wiceadmirał Eskadry Białej\*, uścisnął kilka najbliższych wyciągniętych ku niemu dłoni i zaczął schodzić ku morzu po swoich ostatnich szesnastu schodach.

Był blady, niezwykle opanowany, ale wesoły, jak sroka na gałęzi

— czego Mateusz Lawe nigdy nie potrafił pojąć. Albo to był

największy admirał w Marynarce Wojennej, albo najlepszy aktor swoich czasów; a może

jednocześnie jedno i drugie. Mateusz z całkowitą pewnością wiedział z prywatnych źródeł, że

Nelson o pół do jedenastej wieczorem opuścił diabelnie ciepłe łóżko, wsiadł do karety pocztowej, zmienił konie w Guildford, przejechał siedemdziesiąt mil do Portsmouth, podrzemując po drodze; przybył o szóstej rano, wysłuchał pożegnalnych przemówień i życzeń dobrej drogi od ważnych osobistości cywilnych, wysłał sygnały do kapitana Hardy'ego z "Victory" i Blackwooda z fregaty "Euryalus", jedynych okrętów towarzyszących mu bezpośrednio; zjadł ogromne śniadanie w gospodzie "U George'a", a teraz przeszedł pół mili z powozu do schodów Southsea, gotów natychmiast rozpocząć służbę na morzu.

Ludzie tego pokroju zawsze byli tacy. Taki był stary Samuel Pepys. Podły Henry Morgan był taki. Powiadano, że Napoleon, człowiek bezgranicznej władzy i wielkiego umysłu, też nie odstawał od tego wzoru. Któż to wie?—może Bóg w trakcie procesu tworzenia był taki.

Wzajemny stosunek, wyładowanie miłosne nie wpływało na tych ludzi otępiająco, nie męczyło ich ani nie usypiało.

Spanie? Sen był dla chrząkających, chrapiących, nędznych prosiąt tego świata! Sen był dla półludzi... U Nelsona nasilenie aktywności zawsze wyzwalało kolejny strumień energii;

natychmiastowy ładunek elektryczny, jakby jego sekrems narządy umiały wykrzesać własną alchemię, rozjaśniając umysł, oczyszczając jego ciało aż po czubki palców, wyposażając go w zdolność jasnego myślenia, męskich decyzji, prawdziwego czynu, do teraz.

Kiedyś podczas dyskusji Mateusz usłyszał opinię o Nelsonie, wypowiedzianą przez pijanego, lecz spostrzegawczego polityka, zdymisjonowanego za notoryczne cudzołożenie:

"Gdybym był królem Anglii, chciałbym, żeby wszyscy moi admirałowie potrafili wyskoczyć z łóżka po odniesieniu tam triumfu, ruszyć prosto na morze i zrobić to samo Francuzom!"

Zszedłszy z ostatniego stopnia na brzeg lord Nelson odwzajemnił pozdrowienia swojego kapitana flagowego, swojego porucznika i swojego pułkownika piechoty morskiej. Świeżo rozgrzany bezpośrednim kontaktem z miłością ludzi, powiedział:

— Chciałbym mieć dwie ręce, żeby wymienić uścisk dłoni ze wszystkimi po drodze...

Chciałbym mieć dziesięć... — Uśmiechnął się do Hardy'ego, z którym łączyły go rzadkie więzy przyjaźni i zaufania. — Jesteśmy gotowi do wyjścia w morze?

— Tak jest, milordzie.

— A "Euryalus"?

— Również.

Nigdy nie było innej odpowiedzi.

— Szczęść Boże Blackwoodowi — rzekł Nelson. I do Hardy'ego:

— Szczęść Boże tobie. — Z kolei do Mateusza, z serdecznym uśmiechem: — Szczęść Boże nam wszystkim... A teraz... na pokład i do roboty!

Pięć tygodni później i jakieś tysiąc dwieście mil morskich od Portsmouth, w południe dwudziestego pierwszego października 1805 roku, rozpoczęła się bitwa pod przyłądkiem Trafalgar. Świat wstrzymał oddech. Gdy dwie floty — 27 angielskich okrętów liniowych i 33 wspaniałe okręty francuskie i hiszpańskie — stanęły naprzeciw siebie, los całej Europy znalazł się w ręku Nelsona.

Jeden błąd, jedna chwila wahania, jedna zmiana wiatru, jeden niewłaściwy sygnał albo błędny rozkaz rzucony sternikowi mógł poddać wolność mórz i całego kontynentu trzymającej za gardło woli Napoleona. Inwazja na Anglię poprzedziłaby tylko panowanie tyranii nad światem.

Nelson to wiedział i czuł. Obmyślił w swej głowie wydane zarządzenia. Po wprawnie wykonanych nocnych manewrach, z mnóstwem fałszywych sygnałów z rakiet, z dział i bengalskich ogni adresowanych do przeciwnika, a prawdziwych dla własnej floty, świt zastał go z dwoma liniami bitewnymi gotowymi do uderzenia w odległości dziesięciu mil po nawietrznej nieprzyjaciela — żeglarski majsterszyk, zaplanowany cały rok wcześniej. Teraz potrzebne było tylko jego odważne serce.

W południe — wielka skala czasu skurczyła się do połowy dnia

— ten plan był wcielany w czyn z majestatyczną powolnością, wymuszoną przez osłabienie wiatru, co jednak nie oznaczało braku zdecydowania. Dwie kolumny angielskiej floty, jedna z

"Yictory" na czele i dwunastoma okrętami bitewnymi i druga, z piętnastoma, dowodzona przez admirała Collingwooda na "Royal Sovereign", ruszyły, żeby przeciąć linię wroga uformowaną w ogromny, zakrzywiony dziób o długości pięciu mil. Gdy tam dopłyną, nie odstąpią go, aż nie skończą

walki.

Był to plan jedyny w swoim rodzaju i niebezpieczny, bo do chwili włączenia się

wszystkich okrętów dwa wiodące będą zdane na własne siły i dostany mocne ciągi. Miał on być raczej jak szybkie pchnięcie nożem, a nie tępe okładanie się maczugą. Lecz wszyscy

kapitanowie Nelsona byli od dawna zgrani w jego ramach, wszyscy znali swoje obowiązki, raz na zawsze określone końcowymi słowami ich admirała: "Jeśli sygnały będą niewidoczne, nie uczyni nic bardzo złego kapitan, który ustawi swój okręt przy burcie okrętu

nieprzyjacielskiego".

Niewątpliwie miał w swojej kompanii wspaniałe okręty: walecznego "Temeraire'a"\*,

ukochanego "Agamemnona" pod dowódz-

twem Edwarda Berry'ego, "Bellerophona" i "Spartiate'a" — stare krokodyle z bitwy na Nilu.

"Polyphemusa" i "Defiance" spod Kopenhagi, "Euryalusa", swoją najwierniejszą fregatę, a nawet "Oriona", który dawno temu pomógł zaleczyć rany pozbawionej masztów

"Vanguard".

Dla Nelsona to było wszystkim — szczytem doskonałości. Stare okręty, starzy

przyjaciele... Przy dalej słabnącym wietrze dwie brytyjskie linie w czarno-żółtych barwach, skopionych z podziwianego "Victory", wchodziły wolno w linię i działa zaczęły grzmieć.

Kapitan Blackwood, który jako dowódca eskadry fregat pozostał na pokładzie okrętu

flagowego dla odebrania ostatnich instrukcji, został pożegnany, gdy Francuzi wystrzelili pierwsze pociski. Stracił trochę czasu próbując namówić admirała, żeby przeniósł się na

"Euryalusa" i kierował bitwą z tego bezpieczniejszego i korzystniejszego miejsca.

Ale Nelson nie chciał o tym słyszeć. "Dla przykładu" nie opuści "Victory", gdzie marynarze, nadzy do pasa, czekali na rozpoczęcie boju, a obsady dział wprost paliły się do ostrzału; gdzie orkiestry na rufie grały "Władaj, Brytania!", a załoga w fantastycznych nastrojach tańczyła swego ostatniego horn-pipe'a.

Schodząc po trapie, żeby odpłynąć, Blackwood usłyszał wyraźnie pamiętne pożegnalne

słowa:

— Bóg z tobą, Blackwood. Już nigdy więcej nic do ciebie nie powiem.

O pół do pierwszej — skala czasu w tym żeglarskim świecie ograniczyła się teraz do

godzin — rozgorzała już w pełni chaotyczna bitwa, ze straszliwymi stratami po obu stronach.

Była to walka okrętu z okrętem, strzelca ze strzelcem, a w końcu kadłuba z kadłubem. Pociski zderzały się w powietrzu w bezpośrednim pojedynku dział. Znosząc cierpliwie bezlitosny

ostrzał trzech nieprzyjacielskich okrętów, zanim własne działa zostały naprowadzone na cel,

“Victory” znalazło się wreszcie w zasięgu pozwalającym na zwanie z “Bucen- taurem”, okrętem flagowym admirała Villeneuve'a.

Villeneuve, jeden z dwóch francuskich kapitanów, którym udało się ujść z Nilu i dożyć

dnia następnej walki, zwodził Nelsona ciągnąc go za sobą do Indii Zachodnich i z powrotem w mylącym manewrze, mającym na celu wywabienie go z Kanału i pozostawienie Anglii

otworem dla inwazji. Nelson miał więc z nim rachunek do wyrównania i męznego człowieka do pobicia. Tak się złożyło, że szybko załatwił obie sprawy.

Trójpokładowiec “Victory” miał do dyspozycji setkę dział, a na dziobie, dla ich

wzmocnienia, ulubioną straszliwą 68-funtową karo- nadę, która przed wystrzeleniem

okrągłego pocisku wyrzucała z lufy pojemnik z pięciuset rozgrzanymi do czerwoności kulami muszkietowymi.

Wystarczyła jedna salwa burtowa z podwójnie załadowanych dział, wsparta przez tego

potwora z pokładu dziobowego, żeby “Bucen- taur”, unieszkodliwiony, zamilkł. Wtedy jednak od drugiej burty nadpłynął francuski “Redoutable”\*, dowodzony przez kapitana Lucasa, i po- częstował ich kartaczami. W chwilę później pan Scott, sekretarz admirała, stojący blisko lorda Nelsona i niecałe pięć stóp od olbrzymiej bryły Hardy'ego, który już stracił kłamię od buta, został przecięty na pół przez następną salwę burtową.

Teraz zaczęto po całym okręcie pilnie szukać Mateusza Lawe'a, żeby go zastąpił.

Od chwili gdy pierwsze pociski odłamkowe zaczęły z głuchym hukiem zasypywać

“Victory”, Mateusz przycisnął się — nie umiał, zgodnie z własnym sumieniem, znaleźć na to innego określenia — w mrocznym sąsiedztwie kokpitu, dokąd pierwsi ranni w bitwie

napływali i gramolili się albo byli znoszeni w taki sposób, że pomiędzy jednym zalanym krwią pokładem a drugim stawali się rozszarpanym mięsem, nadającym się tylko na rzeźniczy

pogrzeb za burtą.

Wezwany wreszcie przez zastępcę oficera nawigacyjnego, który sam był rad, że może

skryć się pod pokładem choćby na kilka chwil, Mateusz wspiąwszy się na pokład ujrzał

przerazającą scenerię. Nigdy w życiu nie widział tak zacieklej bitwy. Przede wszystkim jednak wyrzawszy z luku pokładu rufowego, osłupiał na widok blasku bijącego od admirała.

Nelson miał na sobie granatowo-biały roboczy mundur, lecz złote galony łapały słońce,

kapelusz zdradzał jego szarzę, a gwiazdy lśniące na piersi świadczyły o posiadaniu czterech wielkich rycerskich orderów. Kakadu wśród wron nie stanowiłoby lepszego celu dla

myśliwego.

Pokłady "Victory" nad nim już przedstawiały obraz bliski ruiny. Chociaż biedne ciało Scotta zostało wraz z innymi wyrzucone za burtę, pozostało wiele ponurych świadectw. Śmierć nie miała uczciwego zapachu prochu; cuchnęła wnętrzościami, które dopiero w połowie

wykonały swoją pracę.

Poprzez kłęby dymu było widać, że zwały się bomstengi, a ich nadpalone żagle były w

strzępach. Pociski roztrzaskały koło sterowe na pokładzie rufowym i okręt flagowy był

sterowany spod pokładu za pomocą lin i talii. Jeden obrót rumpla wymagał pracy czterdziestu silnych marynarzy.

Nelson, w pełni świadom tej jatki, pozostawał niemal lodowato chłodny. Błady jak duch

Hamleta, lecz opanowany przez własnego demona odwagi, był gotowy na śmierć, ale i zżerany pragnieniem, żeby

żyć i zwyciężać — bacząc przy tym na wszystko. Gdy Mateusz się zbliżył, obrzucił go

przenikliwym spojrzeniem.

— Panie Lawe, czym pan jest zajęty?

— Pomagałem chirurgowi, milordzie.

— Aha... Czy pan Beatty ma dużo roboty?

— Niestety tak, milordzie.

— Będzie miał jeszcze więcej... Walka jest zbyt zażarta, żeby miała trwać długo. Scott nas opuścił. Pasco, ranny, jest na dole. Proszę więc zamienić się w oficera sygnałowego i

sekretarza. — Nagle uśmiechnął się w sposób, który sprawiał, że marynarze zapamiętali go potem na zawsze, jako kogoś, kogo trzeba kochać. Mateusz czuł, że admirał domyślał się



prawdy, i był gotów natychmiast objąć go pomocnym ramieniem, jak małych midszypmenów, po raz pierwszy wachających bitewną krew, czy starych przyjaciół chwiejących się pod wielkim ciężarem. — Proszę też zamienić się w przyjaciela.

— Chętnie, milordzie.

— Tylko tego potrzebuję.

O pierwszej, wśród ciągłego, przeraźliwego zgiełku, nadszedł kapitan Hardy. Wskazał na

“Bucentaura”, który umilkł wprawdzie, lecz jeszcze się nie poddał, na inny okręt z drugiej linii francuskiej, gotowy, sądząc po wyglądzie, do związania się walką, i w końcu na “Redoutable”, zbliżający się ku nim z rozwiniętymi żaglami i zionący ogniem i dymem, jak smok, który zna się na swojej robocie.

— Milordzie — przemówił Hardy, chłodny jak admirał, lecz bardziej nastawiony na zwykłą, natychmiastową akcję — musimy podejść do burty któregoś z nich. Który to ma być?

— Nie ma znaczenia — odparł Nelson i to mówiąc, wybrał swoją śmierć.

Hardy ruszył prosto na “Redoutable”, uznawszy go za najbardziej zawziętego ze

wszystkich francuzów. Po kilku minutach okręty szepiły się, jak pazurami, szarpiąc sobie wzajemnie takielunek, a ich potężne kadłuby tylko czekały, żeby pokieroszować przeciwnika na kawałki, załogi zaś gotowały się, jak tygrysy, do abordażu.

“Redoutable”, który kapitan Lucas przekształcił w mrowisko hańby — i bezgranicznego zapału — strzelał kartaczami, sypał deszczem kul muszkietowych, ciskał na pokład “Victory”

zapalające pochodnie i granaty ręczne. Z jego rei celowali wyborowi strzelcy, oddane strzały kwitując śmiechem. Czasem sami spadali i ginęli — na “Victory” też byli zapaleni myśliwi.

Czterdzieści minut po pierwszej — czas skurczył się teraz do takich krótkich mgnień

wieczności — Mateusz, towarzyszący admirałowi i notujący jego rozkazy, sygnały i wpisy do późniejszego dziennika bitwy, zauważył na sternarsie “Redoutable”, w odległości nie więcej niż piętnastu jardów, francuskiego żołnierza piechoty morskiej w gra

natowym mundurze, spokojnie celującego w niego — albo w stojącego obok Nelsona.

Zamarły z przerażenia, nie zdobył się na żaden honorowy czy użyteczny czyn. Nie

krzyknął ostrzegawczo ani nie spróbował odciągnąć dowódcy na bok. Natomiast gdy

“Victory” w wyniku przechyłu przypadkowo odbiło się od nieprzyjacielskiego okrętu, zachwiał się, zrobił sześć kroków i znalazł się bezpieczny za grotmasztem, do którego, dawno temu, w spokojnym Portsmouth Nelson przybił podkowę. Wyjrząwszy zza haniebnego

schronienia, ujrzał, jak admirał, będący prawdziwym celem, padał, niby ścięta kłoda, na pokład i usłyszał, że ranny, z trudem chwytny oddech, powiedział do kapitana Hardy'ego:

— Przestrzelono mi kręgosłup.

Po wielu bitwach, wielu ciosach, wielu fałszywych alarmach i przelotnych spojrzeniach śmierci miał rację.

Coraz niżej i niżej, do punktu opatrunkowego w kokpicie, tej wielkiej, końcowej stacji

bólu, znoszono lorda Nelsona. Twarz i gwiazdy orderów na piersi miał przykryte chustką do nosa. Na jego życzenie znoszono go cichcem, bez oznak żalu. Na dole było pięćdziesięciu innych poszkodowanych, a przynoszono wciąż nowych. Wracając zabierano tych, co zmarli po drodze.

Dosyć było żalości na okręcie bez okropnej nowiny o ranie admirała, która mogła okazać się śmiertelną.

W stłumionym zgiełku bitewnym, wśród wstrząsów i tępych odgłosów kul gruchocących burtę ich okrętu, chirurg, pan Beatty, ciężko pracował ze swymi dwoma pomocnikami.

Przybycie jeszcze jednego poharatanego marynarza nie miało znaczenia; musi czekać w kolejce, zgodnie z rozkazami dla floty — własnymi rozkazami Nelsona dla floty.

Odrąbywali i piłowali, bandażowali i podwiązywali, tamponowali duże rany, inne zostawiając swojemu losowi. Pracowali i szybko, i najlepiej jak mogli, modląc się o litość za swe liczne grzechy. Chirurdzy, chociaż aniołowie, byli tylko ludźmi.

Wnet jednak do świadomości ich szefa dotarł dziwny szmer, który nasilał się, zagłuszając krzyki operowanych i wypełniał kokpit jakąś dziwną muzyką nie z tej ziemi. Przy układaniu Nelsona chustka spadła, odsłaniając jego twarz i pierś, i poruszeni marynarze, sami cierpiący od ran, zaczęli wołać coraz głośniejsze:

— Panie Beatty, lord Nelson jest tutaj!

— Sir, on jest ranny!

— Niech pan obejrzy najpierw jego!

Ta muzyka współczucia nie mogła pozostać nie usłyszana... Nie oszczędzając nowego

pacjenta szybko rozebrano go i przeniesiono na

koję, a Beatty, bardzo delikatnie, zaczął go badać. Chociaż powiedział na początku: — Nie zadam panu więcej bólu, milordzie — zadawał go oglądając rannego i obracając w miarę

potrzeby. Po dziesięciu minutach katuszy prześledził, tak jak się dało, drogę kuli musz-kietowej, która przebiła ramię od góry lekkim ukosem, przeszła przez klatkę piersiową,

uderzyła w kręgosłup i utkwiała w mięśniach pod drugim ramieniem.

Ale chirurg musiał wiedzieć więcej. — Milordzie, słyszy mnie pan?

— Tak, Beatty.

— Proszę powiedzieć, co pan czuje.

Nelson, oprzytomniawszy po ciężkiej drodze na dół, mówił bardzo wyraźnie: — Wytrysk

krwi w piersiach, co kilka minut... Brak czucia w dolnych partiach ciała... Ból... — Urwał nagle, ciężko dysząc.

— Silny ból w stosie pacierzowym... Poślijcie po Hardy'ego.

— Milordzie, musi pan odpocząć.

—

Muszę umrzeć i pan to wie. Poślijcie po Hardy'ego. Podczas gdy czekali i Beatty został

odwołany do innych, gdy jedni

ranni umierali, inni krzyczeli, a jeszcze inni zapadali w spokojny sen, kapelan zaś, dr Scott —

“ten drugi Scott”, jak zawsze nazywał go Nelson — rozcierał piekielnie bolącą pierś i wachlował admirała chwytającego z trudem powietrze — dwaj obserwatorzy czuwali pokornie w mroku kokpitu.

Byli to: Mateusz Lawe, który zszedł na dół, i jego stary przyjaciel, Gaetano Spedilo, wierny kamerdyner Sir Williama Hamiltona, a teraz, w drodze naturalnego dziedziczenia, dumny

osobisty służący lorda Nelsona. Lecz Gaetano nie był już dumny. Potrafił tylko gorzko łkać.

Mateusz nie był dumny i nigdy nie będzie.

Obaj przeważnie milczeli. Z bólem prawie równym bólowi rannego obserwowali

konieczne sondowanie rany palcem przez dra Beatty'ego. Śledzili serdeczne zabiegi czciwego dra Scotta, przestraszonego kapelana okrętowego, który przewyciężając odrazę do krwi i ran cierpliwie wachlował Nelsona kartkami papieru, podawał mu do ust po łyku lemoniady i rozcierał jego stygnącą pierś, przywodzącą mu pewnie na myśl pierś Chrystusa w grobie. Mateusz i Gaetano rozmawiali szeptem. Ich wilgotne policzki były ledwie zapowiedzią łez świata żeglarzy.

— Tenente, mam taki słaby wzrok, nie widzę. — Okolona bokobrodami twarz wysokiego, pogodnego neapolitańczyka poddała się żalowi i wyglądała jak zapłakana twarzyczka zrozpaczonego dziecka.

— Czy już odszedł?

— Nie, nie — odparł Mateusz i pragnął, aby to była prawda.

— Porusza głową. Dr Scott dobrze się nim opiekuje. Nie pocieszałby nieżywego.

— Czy musi umrzeć?

— Na to wygląda.

— Widział pan, jak się to stało?

— Tak.

— Co to było?

— Strzał francuskiego muszkietera.

— Niech diabli wezmą ich wszystkich!

— No cóż, to była uczciwa bitwa.

— Ale żeby zabijać admirała!

— Nie mogli wybrać lepiej.

— I pomyśleć, że niecałe pięć godzin temu tak wypolerowałem jego gwiazdy i ordery!

Przez te wszystkie lata z nimi właśnie miałem najwięcej roboty... A teraz, a teraz... sir, myśli pan, że medale ściągnęły uwagę strzelca?

Mateusz mógł tylko odrzec: — Tak.

— Maledizional\*

Dwaj ludzie ze służby wielkiego człowieka z poczuciem winy obserwowali jego umieranie.

Wyglądało, że zaczęło się z przybyciem osoby kapitana flagowego Thomasa Mastermana

Hardy'ego, który wreszcie uwolnił się od naglących obowiązków na pokładzie, żeby zająć się ukochanym dowódcą. Wielka ironia losu sprawiła, że jego przybyciu towarzyszyły gromkie okrzyki radości na pokładzie.

Gdy Hardy pochylił się nad Nelsonem, ten otworzył oczy i zapytał: — Czy to Hardy? Bogu dzięki! Co znaczą te okrzyki?

— Dalsze okręty się poddały, milordzie.

— Ale chyba żaden nasz.

— Ani jeden!

— Ilu francuzów?

— Czternaście na pewno. Może więcej. A Villeneuve opuścił banderę i jako jeniec przebywa na pokładzie "Marsa".

— Spodziewałem się dwudziestu.

— Będzie dwadzieścia... Jak się czuje wasza lordowska wysokość?

— Zabili mnie, Hardy.

Patrząc w dół na twarz już objętą widmową bladością śmierci, Hardy jednak zdobył się na odpowiedź. — Wcale nie. Wcale nie! Mam nadzieję i modlę się, żeby pan dotarł do Londynu i zameldował o wspaniałym zwycięstwie. — Zaraz potem stał się znowu zapracowanym jak koń

marynarzem Hardyem. — Milordzie, muszę teraz pana opuścić. To jeszcze nie koniec. Trzeba wziąć przyzy, zanim skończymy. A Francuzi mogą się poderwać. Dziś na morzu są dzielni

ludzie.

— Hardy, jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. — Wyczerpany mówieniem Nelson

ciągnął szeptem: — Pochyl się niżej.

— O co chodzi, milordzie?

— Nie wyrzuć mnie za burtę — usłyszał żalosne słowa.

— Nigdy!

— Daj Lady Hamilton pukiel moich włosów.

Wysoki kapitan flagowy uściśnął mu dłoń i odszedł z głową zwieszoną z żalu, ale i z obawy przed uderzeniem nią o niskie belki pokładowe; admirała zaś otoczono — co stało się zasadą

— zwykłą opieką, jednakową dla rannych marynarzy i admirałów. Godzina upłynęła, tak samo jak dla wszystkich, na wachlowaniu twarzy, ocieraniu zimnego potu z czoła, podawaniu

filizanką napoju do ust i na próbach złagodzenia bólu rozsadzającego mu plecy i pierś. A potem pan Beatty, poplamiony krwią stu innych marynarzy, znów podszedł do niego.

Wyjął właśnie dłoń z panewki stawu artylerzysty, który zaraz zmarł, i wrócił do człowieka, który też na pewno pójdzie na spotkanie śmierci, w mdłym blasku latarni, w samym sercu

kołyszącego się na burty, wstrząsanego bitwą okrętu; śmierci nieuniknionej, patetycznej i mężnej.

Nelson niespokojnymi myślami ciągle był przy bitwie. — Proszę jeszcze raz posłać po

Hardy'ego — polecił Beatty'emu.

— Wzywałem go czterokrotnie. Czemu nie przychodzi? Zabito go... wiem!

Beatty dotknął trzepoczące się serca, a potem dolnej części ciała, która zupełnie straciła czucie. — Błagam, milordzie, niech się pan nie martwi. Kapitan Hardy przyjdzie, gdy znajdzie czas. Wiem, że żyje. Ale nie może opuścić stanowiska dowodzenia.

— Umrę, zanim przyjdzie!

— Mam naprawdę nadzieję, milordzie, że nie.

Sposób, w jaki to powiedział, musiał poruszyć zamglony mózg.

— Beatty, chcę znać prawdę — szepnął Nelson.

Chirurg odparł słowami oddającymi wzruszającą poezję smutku:

— Milordzie, nieszczęściem dla naszego kraju jest to, że nic nie można zrobić dla pana — i odwrócił się, żeby ukryć łzy.

— Chryste, on płacze! — odezwał się głos w mroku.

— Kto płacze? — spytał Gaetano.

— Chirurg.

— To znaczy, że admirał oszczędł?

— Nie, ale wkrótce.

— Niech Bóg zlituje się nad nim.

Chociaż jeszcze żył, w tym "wkrótce" była prawda. Teraz miarą skali czasu stały się sekundy, mierzone uderzeniami zamierającego serca. Gdy Hardy wrócił do kokpitu, lord

Nelson zaczął umierać we wszystkich trzech dziedzinach swego życia: jako marynarz, jako mężczyzna i jako kochanek.

Dla kapitana Hardy'ego był admirałem, którego umysł wciąż dręczyła odpowiedzialność za

flotę i za ukochany okręt. Pod swymi biednymi plecami czuł, jak "Victory" wznosi się i opada na zachodnim rozkołysie, zapowiadającym sztorm. Przypomniawszy sobie o płyciznach

Trafalgaru, tylko czekających, żeby ich pochwycić, jeśli zdryfują za daleko.

— Kotwiczyc, Hardy. Nadać sygnał kotwiczenia.

— Milordzie, czy chce pan, żebym przekazał rozkaz flocie? Admirał Collingwood

będzie...

— Póki żyję, to ja dowodzę. Czy ty zakotwiczyłeś, Hardy?

— Tak jest, sir.

— Kieruj się własnym osądem... Zawsze na nim polegamy... Wkrótce odejdę. Ucałuj mnie,

Hardy.

Hardy rzekł:— Żegnaj, milordzie—i ucałował go dwukrotnie; raz, jak mu polecono, i

popatrzawszy na niego uważnie przez dłuższą chwilę, jeszcze raz, jak silny, żywy mężczyzna dający pożegnalny pocałunek komuś, kto nie może dłużej zaliczać się do tego samego grona.

Potem wrócił, bo musiał, na pokład, do swojej morskiej służby.

Do kapelana, dra Scotta, nieustannie rozcierającego umęczoną, stygnącą pierś, lord Nelson skierował swój ostatni apel ku niebiosom: — Doktorze, nie byłem takim wielkim

grzesznikiem.

A do wszystkich, którzy mogli go jeszcze usłyszeć: — Zaopiekujcie się biedną Lady

Hamilton... Dzięki Bogu, spełniłem swój obowiązek.

O pół do piątej szlachetne serce pękło i przestało bić. Przy huku odległego ognia artyleryjskiego, po czterdziestu siedmiu latach wiernej służby, czas dał swą ocenę.

W tym straszliwym dniu po zapadnięciu zmroku Mateusz wyszedł chyłkiem na pokład, gdzie ujrzał wzniosłą i zarazem tragiczną scenę. Ten widok był zbyt wstrząsający, jak na jego własny żal i wstyd, które będą musiały poczekać jeszcze dzień, jeszcze wiek. Tej nocy mógł się tylko zdobyć na to, żeby patrzeć, zapamiętywać i opłakiwać.

Cisza opadła na ogromne pobojuwisko, chociaż niesamowity cmentarny wiatr dalej marszczył wodę i sprawiał, że ocalałe resztki całunów żagli i takielunku wzdychały w smutnym proteście. Zachodni atlantycki rozkołys, zapowiadający sztorm, wzmagał się. Wnet będą musieli pozbierać się i odpłynąć.

Będzie wiele do pozbierania, wielu do otoczenia opieką i trochę takich, co się ich zgubi po drodze... Przygnębiony pozwalał błądzić swoim oczom. Pięćdziesiąt rannych okrętów, ze

słabymi oznakami życia, unosiło się na ospałym, udręczonym, splugawionym morzu. Okręty jeszcze palące się, okręty z wgiętymi do środka burtami. Okręty będące tylko hulkami, bez drzewc wystających nad pokłady. Okręty z czterema setkami zabitych.

Lecz dwadzieścia spośród francuskich i hiszpańskich to były przyzy, i chociaż okręt

“Victory” stał wyziębły i milczący, obok miał triumfującego “Temeraire'a” z dwoma przyzami przymocowanymi po obu burtach — jednym z nich był nieszczęsny “Redoutable”.

Czy okręty będą uznane za cenniejsze od ludzi?

Poza tym wszystkim, groźnie pomrukując, czekały na nich płycizny Trafalgaru, które lord Nelson, ze swym instynktem marynarza i wewnętrznym uchem dowódcy, miał na uwadze, gdy

przestrzegał: “Kotwiczyć, Hardy, kotwiczyć”.

Kiedy zapadła ciemność i okręty stojące dalej stały się mało widoczne, słowa najzimniejsze ze wszystkich, powtarzające meldunek nadany szeptem przez midszypmena, zaczęły obiegać flotę:

“Nie ma światła admiralskich na »Victory«”.

Wiktoria.